



Thomas Olde Heuvelt

HEX

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

THOMAS OLDE HEUVELT

HEX

POWIEŚĆ

Z angielskiego tłumaczenia Nancy Forest-Flier
przełożył Piotr Kuś

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Thomas Olde Heuvelt
HEX

Tytuł oryginału
HEX

ISBN 978-83-8116-222-7

Copyright © 2016 Thomas Olde Heuvelt, by arrangement with The Cooke Agency International, BookLab Ltd (Sp. z o.o.) and Uitgeverij Luitingh-Sijthoff, Amsterdam, The Netherlands. Originally published in Dutch by Uitgeverij Luitingh-Sijthoff, Amsterdam, the Netherlands, and translated into English by Nancy Forest-Flier.

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2017

Projekt graficzny okładki
Anna Damasiewicz

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Część 1

Część 2

Epilog

Podziękowania

Dla Jacques'a Posta — mojego literackiego szamana

Część 1

Codziennie dziwactwa

1

Steve Grant obszedł parking za Market & Deli w samą porę, żeby zobaczyć, jak Katherine van Wyler znika pomiędzy kołami starej holenderskiej kataryny. Przez chwilę był przekonany, że padł ofiarą złudzenia optycznego, ponieważ zamiast upaść na ulicę, ciało kobiety jakby stopiło się w jedną całość z drewnianymi ozdobami, anielskimi skrzydłami i chromowanymi piszczałkami urządzenia. To Marty Keller cofnął katarynę, złapawszy ją za uchwyt, po czym, postępując według instrukcji Lucy Everett, zatrzymał mechanizm. Chociaż nie było słychać huku uderzenia, nigdzie też nie było widać śladów krwi, ludzie i tak zaczęli się zbiegać ze wszystkich stron, jak to ludzie z małego miasta, zawsze chętni obejrzeć następstwa nieszczęśliwego wypadku. Nikt jednak nie porzucił torby z zakupami, żeby pomóc kobiecie... ponieważ mieszkańcy Black Spring przede wszystkim hołdowali zasadzie, że nie należy zanadto mieszać się w żadne sprawy Katherine.

— Nie zbliżać się! — krzyknął Marty, ostrzegawczo wyciągając rękę w kierunku małej dziewczynki podchodzącej niepewnym krokiem, którą w to miejsce przyciągnął bynajmniej nie dziwaczny wypadek, ale wspaniałość kolosalnej maszyny.

Steve nagle zdał sobie sprawę, że to, co przed chwilą widział, w rzeczywistości wcale nie było wypadkiem. W cieniu pomiędzy kołami kataryny zobaczył bowiem dwie brudne stopy, pewnie stojące na trotuarze, i ubrudzony błotem rąbek spódnicy Katherine. Uśmiechnął się pobłaźliwie sam do siebie: oczywiście, przywidzenie, iluzja. Dwie sekundy później na parkingu znowu zabrzmiały dźwięki *Marsza Radetzkiego*.

Zwolnił kroku, zmęczony, lecz zadowolony z siebie, gdyż prawie kończył już dzisiaj długą trasę biegową: ponad dwadzieścia kilometrów wzdłuż granicy Parku Stanowego Bear Mountain do Fort Montgomery, a następnie w prawo wzdłuż rzeki Hudson do Akademii Wojskowej w West Point — którą ludzie z okolicznych miejscowości zwali po prostu Pointem — skąd wreszcie mógł zawrócić do domu. Z powrotem do lasu i przez wzgórza. Bieganie sprawiało, że dobrze się czuł, i to nie tylko dlatego, że było idealnym sposobem na pozbycie się z ciała napięcia, które nagromadziło się w nim w ciągu dnia, gdy prowadził lekcje w New York Med w Valhalla. W doskonały nastrój wprawiał go rozkoszny jesienny wiaterek wiejący poza miasteczkiem, tłoczący mu smakowite powietrze do płuc i unoszący zapach jego potu w kierunku zachodnim. Oczywiście trochę

zbyt intensywnie sobie to wmawiał. Z powietrzem w Black Spring też było wszystko w porządku, przynajmniej żadne analizy nie wskazywały, że może być inaczej.

Muzyka skłoniła kucharza z Ruby's Ribs do wyjścia z za grilla. Dołączając do pozostałych obserwatorów, popatrzył podejrzliwie na katarynę. Steve obszedł zgromadzonych ludzi, przecierając czoło przedramieniem. Kiedy dostrzegł, że na pięknie polakierowany bok urządzenia składają się szerokie drzwi wahadłowe, nie potrafił już stłumić uśmiechu. Instrument był w środku zupełnie pusty, od jednej osi po drugą. W ciemnym wnętrzu stała natomiast Katherine, aż w końcu Lucy zatrzasnęła drzwi i całkowicie ukryła ją przed wzrokiem ludzi. Teraz kataryna znowu była kataryną. I co najważniejsze, znowu grała.

— A więc — powiedział cicho sam do siebie, ciężko oddychając i trzymając ręce oparte wysoko na biodrach — Mulder i Scully znowu naciągają ludzi na pieniądze.

Niespodziewanie podszedł do niego Marty i uśmiechnął się.

— Ty to powiedziałaś? Wiesz, ile kosztuje to urządzenie? Tyle, że każdy zarobiony cent ma dla nich znaczenie. — Ruchem głowy wskazał na katarynę. — Mimo że to jest absolutna podróbka. Replika kataryny ze Starego Muzeum Holenderskiego w Peekskill. Ale wygląda całkiem porządnie, co? A jednak to jest przecież zwykła przyczepa.

Steve był pod wrażeniem. Teraz, gdy dokładnie przyjrzał się katarynie, zauważył, że — jakżeby inaczej — z zewnątrz urządzenie ozdobione jest byle jak rozmieszczonymi, ckliwymi figurkami z porcelany i byle gdzie ponaklejanymi wizerunkami koni stojących na tylnych nogach, no i jest też byle jak pomalowane. Piszczalki nie są powleczone prawdziwym chromem, lecz wykonane z polichlorku winylu w kolorze złotym. Nawet *Marsz Radetzkiego* zabrzmiał kiepsko: sztuczka dla prostych ludzi, zupełnie pozbawiona rozkosznego jęku wentyli albo trzasku perforowanych kart muzycznych, jakiego można by się spodziewać po instrumencie z minionych lat.

Marty odczytał jego myśli i powiedział:

— iPod z wielkim głośnikiem. Jeśli ktoś pomyli listy odtwarzania, zaraz usłyszymy heavy metal.

— Brzmi jak jeden z pomysłów Grima. — Steve się roześmiał.

— Aha.

— Myślałem, że chodziło o to, by odwracać od niej uwagę.

Marty wzruszył ramionami.

— Znasz styl mistrza.

— To jest przeznaczone tylko na publiczne występy — powiedziała Lucy. — Na targowisko albo na jakiś festiwal, pod warunkiem że uczestniczy w nim wielu przyjezdnych.

— Cóż, powodzenia — powiedział Steve z uśmiechem, gotowy do kontynuowania biegu. — Może jednak zbierzecie trochę forsy, jak się postaracie.

Ostatnie półtora kilometra do domu przy Deep Hollow Road przebył swobodnym truchtem. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem muzyki, przestał myśleć o kobiecie, którą dostrzegł w ciemności, kobiecie w brzuchu wielkiej kataryny, chociaż *Marsz Radetzkiego* wciąż rozbrzmiewał mu w głowie w rytm jego kroków.

* * *

Steve wziął prysznic i zszedł na parter. Zobaczył, że Jocelyn siedzi przy stole jadalnym. Zamknęła laptopa. Z subtelnym uśmiechem na ustach, w którym zakochał się dwadzieścia trzy lata temu i który prawdopodobnie nie opuści jej aż do śmierci, mimo że miała już coraz więcej zmarszczek i worki pod oczami (kieszonki czterdziestki z plusem, jak mawiała), powiedziała:

— No, dosyć już czasu poświęciłam moim chłopakom. Teraz kolej na mojego męża.

Steve uśmiechnął się.

— Kto to jest, przypomnij mi. Rafael?

— Tak. I Roger. Za to zerwałam z Novakiem. — Jocelyn wstała i objęła go w pasie. — Jak minął dzień?

— Jestem wykończony. Pięć godzin zegarowych wykładów i tylko dwudziestominutowa przerwa. Albo poproszę Ulmanna, żeby zmienił mi plan, albo podłączę się do jakiejś baterii.

— Biedaczysko. — Jocelyn pocałowała Steve'a w usta, a on przycisnął ją mocno do siebie. — Hej, muszę cię ostrzec, że ktoś nas podgląda, panie rozochocony.

Steve cofnął się i zmarszczył czoło.

— Babcia — powiedziała Jocelyn.

— Babcia?

Przyłgnąwszy znów do męża, Jocelyn ruchem głowy wskazała za swoje ramię. Steve popatrzył w tym kierunku, ku drzwiom do salonu. Rzeczywiście, w kącie pomiędzy kanapą a kominkiem, tuż przy wieży stereo — Jocelyn nazywała tę wieżę swoim limbo, ponieważ właściwie nie miała pojęcia, po co ją kupiła — stała nieruchomo drobna, zasuszona kobieta, chuda jak tyczka. Sprawiała wrażenie, jakby zupełnie nie należała do tego pięknego popołudnia, oświetlonego złotym blaskiem słońca. Jej postać była ciemna, brudna, jakby należała już do nocy, która dopiero miała nadejść. Jocelyn okryła głowę staruszki starą ścierką do naczyń, nie można więc było dostrzec jej twarzy.

— Babcia — powiedział Steve w zamyśleniu.

Ale po chwili zaczął się śmiać. Nie potrafił się powstrzymać: ze ścierką na

głowie stara kobieta wyglądała dziwacznie i śmiesznie.

Jocelyn zaczerwieniła się.

— Wiesz, że przechodzą mnie ciarki, kiedy ona tak dziwnie na nas patrzy. Oczywiście jest ślepa, ale czasami mam wrażenie, że to bez znaczenia.

— Od jak dawna tam stoi? Pytam, ponieważ zupełnie niedawno widziałem ją w mieście.

— Od niecałych dwudziestu minut. Zjawiła się krótko przed tobą.

— I bądź tu mądry. Widziałem ją na parkingu przy Market & Deli. Prawie włożyli jej na głowę jedną z tych nowych zabawek, pieprzoną katarynę. Ale muzyka chyba jej się nie spodobała.

Jocelyn uśmiechnęła się i wydeła usta.

— Cóż, mam nadzieję, że lubi Johnny'ego Casha, ponieważ akurat jego płyta była w odtwarzaczu, a wyciąganie ręki ponad nią, żeby włączyć ten sprzęt, to już i tak jest dla mnie zbyt wiele, dzięki.

— Jesteś dzielna, madame. — Steve wsunął palce we włosy żony, przeciągnął nimi aż do jej szyi i znów ją pocałował.

Otworzyły się drzwi z siatką przeciwko owadom i do jadalni wszedł Tyler. Miał ze sobą dużą plastikową torbę, którą wyraźnie było czuć chińskim jedzeniem na wynos.

— Hej, nie chcę widzieć żadnego migdalenia, dobrze? — odezwał się. — Do piętnastego marca jestem jeszcze niepełnoletni i do tego czasu moja wrażliwa dusza nie zniesie widoku podobnych wybryków. Tym bardziej w mojej własnej rodzinie.

Steve puścił oko do Jocelyn, która zapytała Tylera:

— Czy to dotyczy także ciebie i Laurie?

— Wolno mi przecież eksperymentować — odparł Tyler. Położył torbę na stole i ściągnął kurtkę. — Eksperymenty są dozwolone niezależnie od wieku. Tak mówi Wikipedia.

— A mówi, jak my powinniśmy się zachowywać, w naszym wieku?

— Pracować... gotować... podnosić moje kieszonkowe.

Jocelyn szeroko otworzyła oczy i wybuchnęła śmiechem. Za plecami Tylera pokazał się Fletcher, który również pchnął drzwi z siatką i z wysoko podniesionymi uszami zaczął krążyć wokół stołu.

— Och, Chryste, Tyler, złap go — powiedział Steve, gdy tylko usłyszał warkot dobiegający z psiego gardła.

Było już jednak za późno.

Owczarek border collie dostrzegł kobietę stojącą przed odtwarzaczem. Jego warkot przerodził się w ogłuszające szczekanie, które po chwili przeszło w tak wysoki skowyt, że wszyscy troje omal nie wyskoczyli ze skóry. Pies ruszył do salonu, ale poślizgnął się na kafelkach i Tyler zdołał złapać go za obrożę.

Skowycząc i poszczekując, wymachując w powietrzu przednimi łapami, Fletcher utknął na progu.

— Fletcher, siad! — krzyknął Tyler, szarpiąc gwałtownie za obrożę.

Pies przestał szczekać. Ale nerwowo machając ogonem, wciąż warczał groźnie, spoglądając na nieruchomą kobietę przy odtwarzaczu, której nie drgnął nawet mięsień.

— Jezu, nie mogliście mi powiedzieć, że ona tutaj jest? — zapytał Tyler.

— Przepraszam — odparł Steve. Przyczepił smycz do obroży i przejął kontrolę nad psem. — Nie wiedzieliśmy, że Fletcher tutaj wbiegnie.

Tyler zrobił krzywą minę.

— Ta szmata doskonale do niej pasuje.

Przerzucił kurtkę przez oparcie krzesła i nic więcej nie mówiąc, pobiegł na górę. Na pewno nie po to, żeby odrabiać lekcje, przyjął Steve, ponieważ jeśli w grę wchodziło odrabianie lekcji, Tyler nigdy się nie spieszył. Spieszył się tylko wtedy, gdy zbliżała się godzina randki z dziewczyną, z którą się umawiał (zadziorną małą ślicznotką z Newburgha, która jednak nie mogła go odwiedzać zbyt często ze względu na Dekret o stanie wyjątkowym), albo gdy zamierzał kręcić wideobloga na YouTube; prawdopodobnie pracował już nad nim, kiedy Jocelyn wysłała go do Emperor's Choice po jedzenie na wynos. W środy robiła sobie wolne i lubiła zamówić w mieście coś prostego, zawsze coś innego, chociaż i tak wszystkie dania chińskiej kuchni smakowały identycznie.

Steve wyprowadził warczącego Fletchera do ogrodu i zamknął go w kojcu. Pies natychmiast zaczął się rzucać na druciany płot i biegać wzdłuż niego bez wytchnienia.

— Daj sobie spokój! — wrzasnął na owczarka znacznie ostrzej, niż wymagała tego sytuacja.

Pies był jednak cały w nerwach i nie należało się spodziewać, że ucichnie w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Już od dłuższego czasu Babcia regularnie odwiedzała ich w domu, jednak niezależnie, jak często tutaj przychodziła, Fletcher nie zdołał się do niej przyzwyczaić.

Wróciwszy do jadalni, Steve przygotował wraz z Jocelyn stół do posiłku. Właśnie wydobywał z kartoników potrawkę z kurczaka i tofu generała Tso, gdy drzwi do jadalni znowu się otworzyły. Trzymając w rękach buty do jazdy konnej, do środka wszedł Matt. Natychmiast rzucił buty pod ścianę. Z zewnątrz wciąż dobiegało szczekanie Fletchera.

— Fletcher, Jezu! — Steve usłyszał krzyk swojego młodszego syna. — Co się z tobą dzieje?

Matt stanął przy stole w przekrzywionym toczku i ze spodniami do jazdy konnej przewieszonymi przez ramię.

— Chińskie jedzenie, mniam, mniam! — zawołał. Mijając rodziców, po

kolei się do nich przytulił. — Zaraz wracam — dodał i podobnie jak wcześniej Tyler, wbiegł po schodach na górę.

Steve uważał, że o tej godzinie jadalnia stanowi epicentrum rodziny Grantów, jest miejscem, gdzie indywidualne rozkłady dnia poszczególnych jej członków nakładają się na siebie jak płyty tektoniczne, a potem nieruchomieją. I to nie dlatego, że szanowali tradycję, w myśl której cała rodzina powinna jadać wspólnie, kiedy to tylko możliwe. Miało to raczej związek z charakterem tego pomieszczenia: było miejscem, w którym wszyscy czuli się najlepiej, w którym najmocniej zacieśniały się więzy rodzinne. Z jego okien rozciągał się wspaniały widok na stajnię i zagrodę dla koni, a za ogrodzeniem gwałtownie wznosiły się dzikie zbocza Ostępu Filozofów.

Właśnie nakładał na talerze makaron z sezamem, gdy do jadalni wszedł Tyler z kamerą internetową GoPro, którą dostał na swoje siedemnaste urodziny. Czerwone światelko świadczyło, że włączona jest funkcja nagrywania.

— Wyłącz to — powiedział stanowczo Steve. — Znasz zasady, które obowiązują, kiedy w domu jest Babcia.

— Przecież nie ją filmuję — odparł Tyler i przysunął sobie krzesło do stołu. — Patrz, stąd nawet nie jestem w stanie skierować na nią obiektywu kamery. A poza tym, kiedy Babcia już wejdzie do domu, to prawie wcale się nie rusza. — Posłał ojcu niewinny uśmiech i przełączył się na swój typowy głos, przeznaczony dla YouTube'a: — Nadszedł czas, żeby cię zapytać o mój *très important* raport statystyczny, Wspaniały Przodku.

— Tyler! — krzyknęła Jocelyn.

— Przepraszam, Podwójnie Wspaniała Rodzicielko.

Jocelyn popatrzyła na niego z przyjazną determinacją.

— Chyba nie zamierzasz tego puścić w świat? — zapytała. — I nie filmuj mojej twarzy. Wyglądam okropnie.

— Wolność prasy. — Tyler wyszczerzył zęby.

— Wolność prywatności — odcięła się Jocelyn.

— Zawieszenie obowiązków domowych.

— Obniżenie kieszonkowego.

Tyler skierował kamerę na siebie i przybrał udręczony wyraz twarzy.

— Ojej, co chwilę słyszę te wstrętne słowa. Mówiłem to już wcześniej i powiem to raz jeszcze, przyjaciele: żyję pod władzą dyktatora. Wolność wypowiedzi jest poważnie zagrożona, gdyż spoczywa w rękach starszego pokolenia.

— Powiedział Mesjasz — uzupełnił Steve, nakładając sobie tofu generała Tso.

Doskonale wiedział, że Tyler i tak większość nagrania przerobi i zamieści na YouTube. Bardzo pomysłowo nagrywał swoje opinie, rejestrował absurdalne

sytuacje i przypadkowe wydarzenia z ulicy. Pod nagrania podkładał swój głos i uzupełniał je różnymi efektami dźwiękowymi. Był w tym dobry. I uzyskiwał imponujące rezultaty. Kiedy Steve ostatnim razem przeglądał TylerFlow95, kanał syna na YouTube, miał on już trzystu czterdziestu subskrybentów i dwieście siedemdziesiąt tysięcy wejść. Część kieszonkowego Tyler samodzielnie zdobywał (absurdalnie mało, jak sam przyznawał) dzięki reklamom.

— O co chciałeś zapytać? — zainteresował się Steve i obiektyw kamery natychmiast skierował się na niego.

— Gdybyś był zmuszony posłać kogoś na śmierć i miałbyś wybór, to kto by to był: własne dziecko czy cała biedna wioska w Sudanie?

— Co za niedorzeczne pytanie.

— Własne dziecko — powiedziała Jocelyn.

— Och! — krzyknął Tyler dramatycznie, a Fletcher w swoim wybiegu nastawił uszy i znów zaczął ujadać. — Słyszeliście to? Moja własna matka bezlitośnie poświęciłaby mnie w zamian za życie ludzi z jakiejś nieistotnej wioski w Afryce. Czy to świadczy o jej współczuciu dla Trzeciego Świata, czy też jest oznaką dysfunkcyjności naszej rodziny?

— Jednego i drugiego — odparła Jocelyn, by po chwili zawołać w kierunku schodów: — Matt! Schodź na dół. Jedzenie czeka na stole!

— Ale mówmy poważnie, tato. Masz przed sobą dwa przyciski i gdy naciśniesz pierwszy, umrze twoje dziecko, a gdy przyciśniesz drugi, wymrze cała wioska w Sudanie. A jeśli nie podejmiesz żadnej decyzji, zanim ktoś stojący nad tobą policzy do dziesięciu, oba przyciski zostaną uruchomione automatycznie. Kogo byś ocalił?

— Absurdalna sytuacja — stwierdził Steve. — Kto mógłby mnie postawić przed takim wyborem?

— Nie wykręcaj się.

— Na to pytanie nie ma właściwej odpowiedzi. Jeśli ocalę ciebie, oskarżysz mnie o unicestwienie całej wioski.

— Ale jeśli nie podejmiesz decyzji, umrą wszyscy — naciskał Tyler.

— Oczywiście, że poświęciłbym wioskę, bylebyś ty przeżył. Jakże mógłbym zabić własnego syna?

— Naprawdę? — Tyler aż gwizdnął z podziwu. — Nawet gdyby chodziło o wioskę okropnie niedożywionych dzieci wojny, z wypukłymi małymi brzuskami, z muchami brzęczącymi wokół ich oczu i z matkami, ofiarami gwałtów chorymi na AIDS?

— Nawet wtedy. Te matki dla ratowania swoich dzieci zrobiłyby dokładnie to samo co ja. Gdzie jest Matt? Aż skręca mnie z głodu.

— A gdybyś miał wybierać między moją śmiercią a śmiercią całego Sudanu?

— Tyler, nie powinieneś zadawać takich pytań — powiedziała Jocelyn,

jednak bez większego przekonania. Doskonale wiedziała, że gdy jej mąż i najstarszy syn pogrążeni są w dyskusji, każda próba przerwania im z reguły kończy się niepowodzeniem.

— No, mów, tato.

— Zginąłby Sudan — oznajmił Steve. — O czym w ogóle jest ten raport? O naszym zaangażowaniu w Afryce?

— O uczciwości. Każdy, kto twierdzi, że w takiej sytuacji ocaliłby Sudan, kłamie — powiedział Tyler z naciskiem. — A każdy, kto nie chce odpowiedzieć na takie pytanie, po prostu zachowuje jedynie polityczną poprawność. Zadaliśmy je wszystkim nauczycielom i tylko pani Redfearn, która uczy filozofii, odpowiedziała na nie szczerze. No i ty. — Tyler usłyszał, że jego młodszy brat zbiega po schodach, i zawołał do niego: — Gdybyś miał wybierać, kto za chwilę ma zginąć, kogo byś wybrał: cały Sudan czy naszych rodziców?

— Sudan — padła natychmiastowa odpowiedź.

Tyler pokiwał głową zza kamery i przesunął palcem po ustach, imitując zasuwanie zamka błyskawicznego. Steve rzucił Jocelyn niechętnie spojrzenie, jednak sposób, w jaki przygryzała wargę, podpowiedział mu, że ona chce brnąć w to dalej. Sekundę później otworzyły się drzwi i do jadalni wszedł Matt, przepasany tylko ręcznikiem wokół bioder. Bez wątpienia właśnie wyszedł z łazienki.

— Dobrze, już mi załatwiłeś dodatkowe tysiąc wejść — powiedział Tyler.

Matt zrobił do kamery głupawą minę i zaczął przesuwac biodrami do przodu i do tyłu.

— Tyler, on ma dopiero trzynaście lat! — krzyknęła Jocelyn.

— Rzeczywiście. A klip z Lawrence'em, Buranem i mną, na którym bez koszulek śpiewamy z playbacku piosenkę Pussycat Dolls, miał trzydzieści pięć tysięcy wejść.

— To było bliskie pornografii — zauważył Matt i odsunął sobie krzesło, aby usiąść przy stole tyłem do salonu i nie widzieć kobiety przy wieży stereofonicznej Jocelyn.

Steve i Tyler wymienili rozbawione spojrzenia.

— Może jednak coś na siebie włożysz, skoro siadasz do stołu? — zapytała Jocelyn z westchnieniem.

— Przecież przed chwilą chciałaś, żebym zszedł na dół, bo jedzenie czeka! Całe moje ubranie śmierdzi koniem, a jeszcze nie zdążyłem nawet wziąć prysznica. Przy okazji, spodobał mi się twój album, mamó.

— Co?

— Na Facebooku. — Z ustami pełnymi makaronu odepchnął się od stołu i zaczął się kołysać na tylnych nogach krzesła. — Jesteś równiacha, mamó.

— Hej, kochanie, cztery nogi na podłodze, albo za chwilę znowu się

przewrócisz.

Ignorując ją, Matt skierował uwagę na sprzęt Tylera.

— Założę się, że nie chcesz wiedzieć, co ja myślę.

— Nie, nie chcę, bracie śmierdzący koniem. Wolę, żebyś wziął prysznic.

— Ja nie śmierdę koniem, tylko własnym potem — odparł Matt niewzruszony. — Uważam, że twoje pytanie jest zbyt łatwe. Myślę, że o wiele bardziej interesujące byłoby inne: jeśli już ktoś musiałby umrzeć, kto miałby to być: twoje własne dziecko czy całe Black Spring?

Fletcher znów zaczął warczeć. Steve wyrzął do ogrodu i zobaczył, że pies za ogrodzeniem nisko przyciska łeb do ziemi, a kły ma obnażone jak drapieżnik.

— Jezu, co się dzieje z tym zwierzakiem? — zapytał Matt. — Poza tym, że jest kompletnie zwariowany?

— Przecież naszej Babci już nie ma w pobliżu, prawda? — zapytał Steve niewinnym głosem.

Jocelyn z rezygnacją opuściła ramiona i rozejrzała się po jadalni.

— Dzisiaj w ogóle jej nie widziałam. — Z udawanym zniecierpliwieniem zaczęła się rozglądać, przenosząc spojrzenie z ogrodu na pęknięty czerwony dąb stojący na skraju rodzinnej posiadłości, od którego prowadziła ścieżka na wzgórze. Czerwony dąb z trzema kamerami przemysłowymi spoglądał w różne kąty Ostępu Filozofów.

— Przecież naszej Babci już nie ma w pobliżu. — Matt uśmiechnął się z pełnymi ustami. — Co na to powiedzą fani Tylera na YouTube?

Matka Jocelyn, długo cierpiąca na chorobę Alzheimera, umarła na zapalenie płuc półtora roku temu. Matka Steve'a nie żyła od ośmiu lat. Nie żeby YouTube o tym wiedział, ale Matt stroił sobie żarty.

Steve odwrócił się do starszego syna i powiedział stanowczym głosem, zupełnie do niego niepasującym:

— Tyler, wytniesz to wszystko, dobrze?

— Jasne, tato. — Tyler zmienił głos na taki, którego używał na wideoblogu TylerFlow95. — Postawmy więc pytanie bliższe rzeczywistości. *O padre mio*, gdybyś miał wybrać, kto za chwilę ma zginąć, to kogo byś wybrał: swojego syna czy pozostałych mieszkańców naszego miasta?

— Czy do tych pozostałych mieszkańców zaliczamy także moją żonę i mojego drugiego syna? — zapytał Steve.

— Tak, tato — odparł Matt, tłumiąc śmiech. — Kogo byś ocalił, Tylera czy mnie?

— Matthew! — zawołała Jocelyn. — Dosyć tego.

— Ocaliłbym was obu — odparł Steve poważnie.

Tyler uśmiechnął się.

— To już jest politycznie poprawne, tato.

W tej chwili Matt zanadto odchylił się od stołu na tylnych nogach krzesła. Zamachał rękami, próbując utrzymać równowagę, czerwony sos spłynął z jego łyżki, jednak krzesło uderzyło z trzaskiem o podłogę, a Matt razem z nim. Jocelyn podskoczyła, co z kolei przestraszyło Tylera i spowodowało, że kamera internetowa wysunęła mu się z rąk i wylądowała na talerzu pełnym potrawy z kurczaka. Steve zobaczył, że dzięki dziecięcej sprawności Matt osłabił swój upadek wyciągniętą w bok ręką i teraz chichocze histerycznie, drugą ręką starając się utrzymać ręcznik, przewiązany wokół pasa.

— Braciszek za burta! — zagrzmiął Tyler.

Pospiesznie starł potrawkę z kamery i przytrzymał ją tak, aby zrobić jak najlepsze ujęcie.

W tym momencie Matt zadrżał, jakby przez jego ciało przebiegł prąd elektryczny. Na twarzy chłopca pojawił się wyraz przerażenia, zaczął uderzać golenią o nogę od stołu i wydał z siebie głośny wrzask.

* * *

Po pierwsze, nikt nigdy nie zobaczy obrazów, które właśnie rejestruje kamera Tylera. To trochę niedobrze, ponieważ gdyby ktoś je obejrzał, stałby się świadkiem czegoś bardzo dziwnego, zapewne nawet niepokojącego — łagodnie rzecz ujmując. Te obrazy są kryształowo czyste, a obrazy zarejestrowane przez kamerę nie kłamią. Mimo że kamera jest mała, GoPro chwyta rzeczywistość z zadziwiającą prędkością sześćdziesięciu klatek na sekundę, i to dzięki niej powstały filmy z wyprawy rowerowej Tylera na Mount Misery albo z wycieczki nad jezioro Popolopen, w którym nurkował razem z kolegami. Podwodnych zdjęć nie zepsuła nawet mętna woda w jeziorze.

Obrazy ukazują, jak Jocelyn i Steve z niedowierzaniem wpatrują się w młodszego syna leżącego na podłodze, a potem czołgającego się do salonu. W trakcie ujęcia pojawia się przebitka ze stygnącym makaronem i z rozmazanym żółtkiem jajka. Kamera odwraca się w drugą stronę i Matt nie leży już na podłodze: dzięki jakiemuś nieprawdopodobnemu skręceniu całego ciała podniósł się, ale zaraz zgiął się w pół, zderzywszy się ze stołem. W dziwny sposób przez cały czas udaje mu się przytrzymać ręcznik przewiązany wokół bioder. Przez moment można odnieść wrażenie, że wszyscy stoimy na pokładzie kołyszącego się statku, ponieważ wszystko, co widzimy, jest pochylone, jakby cała jadalnia w mgnieniu oka roztrzaskała się na kawałki. Zaraz jednak obraz się prostuje i chociaż widzimy na nim głównie plamy po makaronie, widzimy też wymizerowaną, chudą kobietę, idącą z salonu przez szeroko otwarte drzwi do kuchni. Aż do tej chwili stała nieruchomo przy odtwarzaczu, ale niespodziewanie przeszła kilkanaście kroków, jakby nagle zrobiło jej się żal Matta. Ścierka zsunęła się z jej twarzy i przez ułamek sekundy — pewnie jest to tylko kilka klatek — widzimy, że jej oczy są mocno

zaciśnięte, podobnie jak zaciśnięte są jej usta. Wszystko dzieje się tak szybko, że cała scena kończy się, zanim zdajemy sobie sprawę, co tak naprawdę zaszło, jednak jest to jeden z tych obrazów, które zagnieżdżają się głęboko w umyśle, nie na tyle długo, żeby wydobyć nas ze strefy komfortu, ale wystarczająco długo, żeby kompletnie nas sparaliżować.

Teraz Steve rzuca się do przodu i zasuwa drzwi do salonu. Przez półprzezroczyste kolorowe szkło widzimy, jak drobna kobieta zatrzymuje się. I nawet słyszymy delikatne wibrowanie szkła, kiedy opiera się o szybę.

Dobry humor Steve'a zniknął.

— Wyłącz to — mówi. — Natychmiast.

Jest śmiertelnie poważny i chociaż nie widzimy jego twarzy (możemy zobaczyć tylko jego bawełnianą koszulkę i džinsy, i palec swobodnej ręki, który trzyma wycelowany w obiektyw), wszyscy potrafimy sobie wyobrazić, jak wygląda. A potem wszystko robi się czarne.

* * *

— Ruszyła prosto na mnie! — zawołał Matt. — Nigdy dotąd się tak nie zachowywała.

Wciąż stoi przy przewróconym krześle, przytrzymując ręcznik, żeby nie opadł na podłogę.

Tyler zaczął się śmiać. Raczej z ulgą, pomyślał Steve.

— Może ona na ciebie leci?

— Hej, stary, żartujesz! Przecież to antyk!

Jocelyn także wybuchnęła śmiechem. Wzięła do ust dużą porcję makaronu, jednak nie zauważyła, że jest obficie polany ostrym sosem. Natychmiast łzy napłynęły jej do oczu.

— Przepraszam, kochanie. Chcieliśmy trochę tobą potrząsnąć, ale chyba to ty wstrząsnąłeś nią. Ruszyła na ciebie w bardzo dziwny sposób. Nigdy się tak nie zachowuje.

— Jak długo tam stała? — zapytał Matt z oburzeniem.

— Przez cały czas. — Na ustach Tylera pojawił się szeroki uśmiech.

Mattowi opadła szczęka.

— A więc widziała mnie gołego!

Tyler popatrzył na niego z mieszaniną wielkiego zdumienia i tego rodzaju niesmaku, który graniczy z miłością pełną współczucia, zarezerwowaną wyłącznie dla starszych braci, kierujących tę miłość ku braciom młodszym i głupkowatym.

— Przecież ona nie widzi, ty idioto — powiedział.

Przetarł obiektyw GoPro i popatrzył w kierunku niewidomej kobiety, która stała teraz za drzwiami przeszklonymi matowym szkłem.

— Usiądź, Matt — odezwał się Steve, a jego twarz przybrała surowy wyraz.

— Kolacja stygnie. — Nadąsany Matt wykonał polecenie. — Chcę, żebyś skasował to nagranie, Tyler. Natychmiast.

— Och, daj spokój. Nie mogę tak po prostu...

— Natychmiast. I chcę wiedzieć, jak to robisz. Znasz zasady.

— Co to ma być? Jesteśmy w Pjongjangu?

— Nie każ mi powtarzać polecenia.

— Ale tutaj jest jeszcze inny zajebisty materiał — wymamrotał Tyler, jednak bez większej nadziei.

Wiedział, kiedy ojciec mówi coś całkiem na poważnie. No i oczywiście znał zasady. Niechętnie przesunął wyświetlacz tuż przed oczy Steve'a, wybrał plik wideo, nacisnął polecenie USUŃ, a potem OK.

— Dobry chłopiec.

— Tyler, zgłoś to w aplikacji, dobrze? — poprosiła Jocelyn. — Sama chciałam to zrobić wcześniej, ale wiesz, że jestem beznadziejna w tych sprawach.

Steve ostrożnie przeszedł do salonu przez hol. Stara kobieta stała nieporuszona. Tkwiła tuż przed rozsuwanymi drzwiami, z twarzą przyciśniętą do szyby, niczym posąg, który został ustawiony w tym miejscu jak makabryczny żart, zamiast lampy na statywie albo wysokiej rośliny w doniczce. Jej cienkie, sztywne włosy zwisały nieruchomo spod przepaski na głowie. Jeśli nawet zorientowała się, że ktoś przed chwilą wszedł do pokoju, w żaden sposób nie dała tego po sobie poznać. Steve podszedł bliżej, jednak celowo nie patrzył na nią, rejestrując jej sylwetkę jedynie kątem oka. Czuł się lepiej, jeżeli nie musiał na nią spoglądać, szczególnie z bliska. Jednak wyczuł jej zapach: odór innej epoki, błota i bydła na ulicach, choroby. Zachwiała się delikatnie, przez co kuty żelazny łańcuch przyciskający jej ręce do pomarszczonego ciała zastukał z ponurym szczękiem o polakierowaną futrynę.

— Ostatnio o godzinie siedemnastej dwadzieścia cztery zarejestrowały ją kamery przemysłowe Market & Deli. — Steve usłyszał przytłumiony głos Tylera dochodzący z sąsiedniego pokoju.

Usłyszał też, że kobieta coś szepcze. Wiedział, że niewysłuchiwanie się w jej szepty jest sprawą życia i śmierci, skoncentrował się więc na głosie syna i Johnny'ego Casha.

— Istnieją też relacje czterech osób, które ją wtedy widziały, ale później nie ma już żadnych informacji. Mówią też coś o katarynie. Tato... nic ci nie jest?

Z gwałtownie bijącym sercem Steve uklęknął obok kobiety z zaszytymi oczami i podniósł z podłogi ścierkę, która jeszcze niedawno tkwiła na jej głowie. Następnie wyprostował się. Gdy potrącił łokciem jej łańcuch, staruszka skierowała ku niemu okaleczoną twarz. Steve znów położył jej ścierkę na głowie i wycofał się do jadalni, byle jak najdalej od niej. Na czoło wystąpił mu pot. Tymczasem z ogrodu dobiegło gwałtowne i głośne szczekanie Fletchera.

— Ścierka — powiedział do Jocelyn. — Dobry pomysł.

Rodzina kontynuowała posiłek. Gdy oni we czworo jedli kolację, kobieta z zaszytymi oczami wciąż stała bez ruchu za matowym szkłem.

Drgnęła tylko raz: przechyliła głowę, kiedy w jadalni zabrzmiał wysoki, przenikliwy śmiech Matta.

Jakby chciała go uważnie wysłuchać.

Po kolacji Tyler załadował naczynia do zmywarki, a Steve uprzątnął stół.

— Pokaż mi, co wysłałeś do HEX-a.

Tyler wziął do ręki iPhone'a z aplikacją HEX na wyświetlaczu i pokazał ojcu. Ostatni wpis brzmiał:

Śr., 19.09.2012, godz. 19.30, przed 16 minutami Tyler Grant @gps
41.22890 N, 73.61831 W #K @ salon, Deep Hollow Road nr 188

Babcia chyba leci na mojego braciszka

* * *

Wieczorem Steve i Jocelyn rozsiedli się w salonie — nie na swoich tradycyjnych miejscach na kanapie, ale na dywanie po drugiej stronie pokoju — i zaczęli oglądać *The Late Show* w CBS. Matt leżał w łóżku, a Tyler na górze pracował z laptopem. Błada poświata z ekranu telewizyjnego odbijała się od łańcucha otaczającego ciało ślepej kobiety, a przynajmniej od tych jego ogniw, które nie były zardzewiałe. Pod brudną ścierką martwe mięso w otwartym kąciku jej ust prawie niewidocznie drżało. W tym miejscu połuźniły się postrzępione, czarne szwy, które ścisnęły jej wargi. Jocelyn ziewnęła i przeciągnęła się, przytulona do Steve'a. Zgadywał, że nie minie wiele czasu i jego żona zaśnie.

Kiedy pół godziny później szli na górę, kobieta wciąż stała w tym samym miejscu niczym zapomniany element nocy, który noc brała teraz w swoje władanie.

2

Robert Grim z bólem obserwował na ekranie, jak tragarze wyciągają z ciężarówki meble owinięte w płótna i plastik i wnoszą je do rezydencji przy Upper Reservoir Road, postępując zgodnie z instrukcjami wrednej japiszonki o ptasim mózdzku. Obraz pochodził z kamery D19-063 zainstalowanej przy domu niedawno zmarłej pani Barphwell, jednak numer kamery był Grimowi zupełnie niepotrzebny. Obraz zajmował większą część zachodniej ściany centrum kontroli HEX-a, a także prawie cały mózg Grima. Ten zamknął na chwilę oczy, a potem całą siłą woli przywołał do siebie kolejny obraz, bardzo wysublimowany: Robert Grim zobaczył na nim drut kolczasty.

Apartheid jest niedocenianym systemem, pomyślał. Nie był zwolennikiem segregacji rasowej w Republice Południowej Afryki ani też izolacji kobiet od mężczyzn w Arabii Saudyjskiej, jednak rewolucyjny i niepokojąco altruistyczny

fragment umysłu Grima widział świat jako wyraźnie podzielony na ludzi z Black Spring i ludzi spoza Black Spring. Najlepiej za pomocą zardzewiałego drutu kolczastego. Drutu pod napięciem dziesięciu tysięcy woltów, o ile to możliwe. Colton Mathers, przewodniczący Rady, potępiał taką postawę i poddając się żądaniom Pointu, nawoływał do kontrolowanej integracji, ponieważ nie rozwijając się, Black Spring albo umrze, albo przerodzi się w endogamiczną komunę, przy której Amishville w Pensylwanii wyglądać będzie jak mekka hipisów. Jednak zabiegi Coltona Mathersa miały się nijak do niemal trzystupięćdziesięcioletniej polityki tuszowania faktów, zresztą ku powszechnej uldze i zadowoleniu ludzi. Robert Grim wyobrażał sobie ego przewodniczącego Rady jako szczególnie napuszony łeb. Nienawidził tego.

Westchnął i przejechał w fotelu na kółkach wzdłuż biurka, aby popatrzeć na statystyki, tabele i pomiary widniejące na monitorze ustawionym przed Warrenem Castillo, który pił kawę i czytał „The Wall Street Journal”, opierając nogi na blacie.

— Neurotyk — powiedział Warren, nie podnosząc wzroku znad gazety.

Grim zacisnął dłonie w pięści. Jeszcze raz popatrzył na ciężarówkę.

A jeszcze w zeszłym miesiącu wszystko wyglądało tak obiecująco. Agent nieruchomości sprowadził parę japiszonów, żeby obejrzeć dom, a Grim przygotował się do tego w najdrobniejszym szczególe, ogłaszając operację „Barphwell”, z szacunku dla starszej pani, która poprzednio zamieszkiwała ten dom. Na operację „Barphwell” składało się tymczasowe ogrodzenie tuż za posiadłością, ciężarówka wypełniona piaskiem, kilka betonowych płyt, wielka płachta z logo wykonawcy robót i napisem POPOLOPEN NIGHT BAZAAR & CLUB, OTWARCIE W POŁOWIE 2015 oraz ukryte głośniki koncertowe, do których podłączono subwoofery, mające odtwarzać z iTunes wybrane nagrania muzyki new age. I rzeczywiście, po tym, jak kamery przemysłowe pokazały samochód pośrednika handlu nieruchomościami zbliżający się do miasta drogą numer 293, a Grim dał sygnał do rozpoczęcia odtwarzania ścieżki dźwiękowej, trudno było zignorować te dźwięki. Razem z wielkim hałasem wiertarki udarowej Butcha Hellera, którą posadzkarz zaczął na chybił trafił przewiercać betonowe płyty, sugerowały, że ktoś buduje tutaj co najmniej zamek.

Potencjalni nowi mieszkańcy nosili nazwisko Delarosa i pochodzili z Nowego Jorku. Według informacji, którą Grim otrzymał z Pointu, mąż zdobył posadę w biurze Rady Miasta Newburgh, a żona była doradcą medialnym i przyszłą spadkobierczynią imperium odzieżowego, specjalizującego się w projektowaniu ubrań dla mężczyzn. Będą karmić znajomych z Upper East Side opowieściami, jak to na nowo odkryli zalety życia na prowincji, postarają się o dwójkę albo trójkę dzieciaków i za jakieś sześć lat zapewne wrócą do wielkiego miasta. Takie mieli zamiary.

Jednak to nie było takie proste. Kiedy już osiedlą się w Black Spring, nie

będzie dla nich powrotu.

Bardzo ważną rzeczą było więc, żeby zapobiec ich osiedleniu się w Black Spring.

Wiarygodność fałszywego placu budowy powinna być poza dyskusją, jednak dla pewności postawił jeszcze na Upper Reservoir Road trójkę miejscowych młodzieńców. Zawsze dawało się znaleźć w Black Spring nastolatków chętnych, aby zarobić trochę papierosów albo skrzynkę budweisera. Tym razem trafiło na Justina Walkera, Burana Sayera i Jaydona Holsta, syna nieżyjącego już rzeźnika. Agent nieruchomości mógł tylko przyglądać się, jak jego prowizja przepada, kiedy młodzieńcy skarżyli się Bammy Delarosie, że muszą pracować na nocną zmianę. Oblegli ją, kiedy tylko wysiadła z samochodu. Potem zaprosili ją jeszcze, ciasno otaczając i szarpiąc, aby obejrzała, jak pracuje piła hydrauliczna.

To powinno było zakończyć sprawę. Kiedy Grim z zadowoleniem położył się wieczorem do łóżka, pogratulował sobie pomysłowości i szybko zasnął. Przyśniła mu się Bammy Delarosa, która w jego śnie miała garb. Garb z kolei miał usta i próbował je otwierać, żeby krzyczeć, jednak nie był w stanie, tak jakby jego wargi były zszyte drutem kolczastym.

— Weź się w garść — powiedziała Claire Hammer następnego ranka, kiedy Grim wszedł do centrum kontroli. Wzięła do ręki niewielką kartkę. — Bo chyba w to jednak nie uwierzysz.

Grim nie wziął się w garść. Przeczytał korespondencję. Colton Mathers był wściekły. Oskarżał HEX o poważny błąd w ocenie. Agent handlu nieruchomościami zaczął zadawać pytania na temat płachty z napisem POPOLOPEN NIGHT BAZAAR & CLUB, OTWARCIE W POŁOWIE 2015. Grim przeklął śmierć pani Barphwell, której najbliższy krewny zatelefonował do pośrednika nieruchomości z Newburgha zamiast do Hometown Realty, firmy należącej do Donny Ross z Black Spring, której Grim płacił, żeby raczej zniechęcała do osiedlania się w mieście, niż do tego zachęcała.

„Tak czy siak, masz do czynienia z obcymi”, napisał Mathers. „I jeszcze raz ci powtarzam, wykonujesz swoje obowiązki w sposób zanadto kreatywny, ale nieprzemyślany. Na Boga, jak ja mam się później wydostać z tego bałaganu?”

Ale to było zmartwienie przewodniczącego Rady. Zmartwienie Grima polegało na tym, że państwo Delarosowie zakochali się w posiadłości i postanowili ją kupić. Grim momentalnie przedstawił kontrofertę, wymyślając fałszywych nabywców. Delarosa podbił stawkę. To samo zrobił Grim. Przedłużanie rozgrywki, aż potencjalni kupcy stracą zainteresowanie transakcją, było w tych sprawach podstawową zasadą.

Tydzień później, w porze lunchu, Warren Castillo zadzwonił do niego z centrum kontroli akurat wtedy, gdy Jim miał się wgryźć w kanapkę z baraniną, którą kupił w Griselda's Butchery & Delicacies. W mieście zauważono mercedesa

Delarosów. Claire była już w drodze. Ryzyko czerwonego kodu — dostrzeżenia widzimy przez obcych — było bliskie zeru, ale Warren błyskawicznie postawił w stan gotowości dwóch ludzi. Natychmiast ruszając do akcji, wściekły z powodu prawie nietkniętej kanapki, Grim popędził na wzgórze. Gdy wpadł na Claire, tuż przy Kładce Pamięci na Upper Reservoir Road, prawie brakowało mu tchu.

— Czego chcecie? — zapytał nowojorczyk z niedowierzaniem, gdy zaczęli go i jego nienaturalnie opaloną żonę przed bungalowem pani Barphwell.

Delarosowie przyszedli bez swojego agenta nieruchomości, prawdopodobnie dlatego, że sami chcieli się jeszcze raz przekonać o nadzwyczajnym charakterze domu i jego okolicy.

— Chcemy, żebyście zrezygnowali z zakupu tego domu — potwórzyl Grim. — Macie nie składać już żadnych ofert kupna ani na ten dom, ani na żadną inną nieruchomość w Black Spring. Miasto jest gotowe zrekompensować wam niedogodności, wypłacając odszkodowanie w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Pod warunkiem, że kupicie jakikolwiek inny dom, w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie w Black Spring.

Delarosowie popatrzyli na dwoje funkcjonariuszy HEX-a ze szczerym niedowierzaniem. Był gorący dzień i nawet tutaj, w cieniu lasu Black Rock, Grim czuł, jak krople potu spływają po jego łysiejących skroniach. Uważał, że łysina czyni go kimś wyjątkowym. Łysa głowa inspirowała japiszonów i kobiety. Robert Grim, chociaż był po pięćdziesiątce, wciąż prezentował się bardzo sztywnie, jeśli wziąć pod uwagę jego wysoki wzrost, okulary w rogowych oprawkach i elegancki krawat; towarzysząca mu Claire Hammer byłaby niesłychanie piękną kobietą, gdyby tylko nie zwracać uwagi na jej zbyt wysokie czoło, którego nie powinna nadmiernie podkreślać.

W drodze na miejsce omówili taktykę. Claire wołała podejście emocjonalne i jakąś łzawą historię o więzach rodzinnych i wspomnieniach z dzieciństwa. Grim był przekonany, że gdy się ma do czynienia z takimi karierowiczami jak Delarosowie, należy od początku rozmowy walić z grubej rury, i w ogóle jej nie słuchał. To z powodu jej czoła. Rozpraszało go. W nadmiernie wysokim czole kobiety było coś, co kazało ją lekceważyć. Przynajmniej kiedy to czoło bezsensownie odsłaniała.

— Ale... dlaczego? — zapytał pan Delarosa, kiedy w końcu odzyskał głos.

— Mamy swoje powody — odpowiedział Grim beznamiętnie. — Dla własnego dobra wyjedźcie stąd i o wszystkim zapomnijcie. Szczegóły porozumienia spiszemy w kontrakcie...

— A kogo pan właściwie reprezentuje? Jakie władze?

— To jest nieważne. Chcę, żebyście zrezygnowali z kupna domu, a dostaniecie za to pięć tysięcy dolarów. Są na świecie rzeczy, których za pieniądze nie można kupić. W każdej innej sprawie jesteśmy do usług.

Delarosa sprawiał wrażenie człowieka, któremu Grim właśnie oświadczył, że chce przeprowadzić publiczną egzekucję jego żony na szafocie miejskim.

— Uważa pan, że jestem szalony? — zawołał z wściekłością. — Co to jest właściwie za propozycja? Co pan sobie myśli?

Grim zamknął oczy i przykucnął.

— Niech pan pomyśli o pieniądzach — powiedział. Sam pomyślał w tej chwili o cyjanku. — I potraktuje moje słowa jak propozycję biznesową.

— Nie zamierzam przyjąć łapówki od pierwszego psa podwórzowego w okolicy! Moja żona i ja pokochaliśmy ten dom i jutro podpiszemy akt kupna. I niech pan się cieszy, że na pana nigdzie nie doniosę.

— Proszę, niech mnie pan posłucha. Pani Barphwell wiecznie przeciekał dach. W zeszłym roku woda poważnie zniszczyła jej podłogi. Ten dom — mówił Grim, gestykulując obiema rękami — to kupa gówna. Przecież piękne posiadłości znajdują się chociażby w Highland Falls. Są równie sielskie i leżą nad samą rzeką Hudson. Poza tym ceny domów są tam niższe.

— Myli się pan, jeśli sądzi, że dam się zbyć jakimiś tam pięcioma tysiącami dolarów — powiedział Delarosa. Po chwili coś mu przyszło do głowy. — To wy jesteście tymi dowcipniami z Night Bazaar? Do diabła, po co to robicie?

Grim otworzył usta, jednak Claire uprzedziła jego odpowiedź.

— Nie lubimy was — warknęła, pełna nienawiści do swojej roli, ale jak zwykle w najwyższej formie. — Gardzimy takimi miastowymi wymoczkami jak wy. Tylko zanieczyszczacie powietrze.

— Oto zdrowa dawka wrodzonego humoru — dodał Grim poufale.

Wiedział już, że razem z Claire przegrali ten pojedynek.

Bammy Delarosa popatrzyła na niego pogardliwie, odwróciła się do męża i zadała mu pytanie:

— O co im właściwie chodzi, kochanie?

Robert Grim wyobraził sobie, że jej mózg trochę się przypiekl na leżaku i teraz nie chce się odkleić od wewnętrznych ścianek czaszki.

— Cicho, najdroższa — zareagował Delarosa i objął ją w talii. — A wy wynoście się stąd, bo wezwę policję.

— Pożałujesz tego — odparła Claire, ale Grim pociągnął ją do tyłu.

— Daj spokój, Claire. To nie ma sensu.

Tego wieczoru zadzwonił jeszcze do Delarosy na telefon komórkowy i znów błagał go, żeby zrezygnował z kupna domu. Kiedy mężczyzna zapytał go, dlaczego zadaje sobie aż tyle trudu, Grim odparł, że nad Black Spring od ponad trzystu lat ciąży klątwa, która dotknie również Delarosów; jeśli się tu osiedlą, przekleństwo nie opuści ich aż do śmierci, a poza tym w Black Spring mieszka nikczemna wiedźma. Wtedy Delarosa odłożył słuchawkę.

— Cholera jasna! — wrzasnął teraz Grim, gapiąc się na ciężarówkę

z meblami nowych lokatorów. Rzucił długopisem w wielki ekran i wtedy dwadzieścia monitorów, które go otaczały, zaczęło pokazywać inne obrazy, gdyż zmienił się kąt ustawienia kamer. — A chciałem ci oddać cholerną przysługę!

— Uspokój się — powiedział Warren. Złożył gazetę i położył ją na biurku. — Zrobiliśmy wszystko, co leżało w naszej mocy. Może facet jest intelektualistą, skurwysynem i dupkiem, ale przynajmniej jest naszym intelektualistą, skurwysynem i dupkiem. A ona sprawia wrażenie soczystej zdrowej dupeńki.

— Świnia — powiedziała Claire.

Grim wskazał palcem na ekran.

— W Radzie już zacierają ręce. Ale kiedy ta para zrobi piekło, kto to później posprząta?

— My — odparł Warren. — Przecież jesteśmy w tym dobrzy. Stary, spuść z siebie trochę pary. Ciesz się, że mamy na co stawiać zakłady. Pięćdziesiąt dolców, że wkrótce dojdzie do wizyty domowej.

— Pięćdziesiąt dolców? — Claire była zszokowana. — Jesteś szalony. Statystyki mówią, że nigdy nie zaczyna się od wizyty domowej.

— Czuję to w kościach, dziecino — powiedział Warren i zaczął bębnić palcami po biurku. — Na jej miejscu trochę bym się postarał i poszukał nowego mięcha, o ile wiesz, o co mi chodzi. — Uniósł brwi. — Kto wchodzi?

— Daję pięćdziesiąt dolarów — zareagowała Claire. — Moim zdaniem zobaczymy ją na ulicy.

— Kamery bezpieczeństwa wszystko zarejestrują — wtrącił się do rozmowy Marty Keller, analityk danych pracujący po drugiej stronie centrum kontroli. — I podnoszę stawkę do siedemdziesięciu pięciu.

Pozostali popatrzyli na niego, jakby podejrzewali, że stracił rozum.

— Nikt nigdy nie widzi naszych kamer, jeśli z góry nie wie, że tutaj są — powiedział Warren.

— On zobaczy — odparł Marty i ruchem głowy wskazał na monitor. — To jest właśnie ten typ. Taki, co zauważa kamery bezpieczeństwa i zaczyna zadawać pytania. Siedemdziesiąt pięć.

— Wchodzę — powiedziała pośpiesznie Claire.

— Ja też — dodał Warren. — I stawiam pierwszego drinka.

Marty postukał po plecach Lucy Everett, która siedziała na krześle obok niego, wsłuchując się w rozmowy telefoniczne. Zdjęła z głowy słuchawki.

— O co chodzi?

— Dołączasz do zakładu? Siedemdziesiąt pięć dolców.

— Jasne. Wizyta domowa.

— Ani się waż, do cholery, to ja postawiłem na wizytę! — wrzasnął Warren.

— Będiesz więc musiała podzielić się wygraną z Warrenem — powiedział Marty.

Lucy odwróciła się i posłała Warrenowi całuska. Warren skrzywił się, po czym opadł na swoje krzesło.

— A ty, Robert? Wchodzisz w to? — zapytała Claire.

Grim westchnął.

— Jesteście wszyscy bardziej odrażający, niż myślałem. W porządku, usłyszą o tym w mieście. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

Marty zapisał zakład mazakiem na białej ścieralnej tablicy.

— Pozostaje jeszcze Liz i Eric. Wyślę obojgu maile. Jeśli dołączą, będziemy mieć w puli... pięćset dwadzieścia pięć dolarów. Wciąż będziesz mógł zarobić dwieście siedemdziesiąt pięć, Warren.

— Dwieście sześćdziesiąt dwa dolary i pięćdziesiąt centów, kochanie — poprawiła go Claire.

— Cicho, smoczyco — ofuknął ją Warren.

Robert Grim włożył płaszcz, ponieważ chciał kupić w mieście ciasto orzechowe. I tak miał zepsuty nastrój na resztę dnia, dlatego zamierzał pocieszyć się przynajmniej ciastem dotowanym przez państwo. Chociaż bez mandatu Rady nie dysponował żadną oficjalną władzą i chociaż ze wszystkiego musiał składać kwartalne sprawozdania swojemu kontaktowi w Poincie, Grim sprawował jednak realną władzę wykonawczą w Black Spring, a jednym z jego talentów było wypraszenie dotacji z instytucji, którą nazywał Skarboną bez Dna. Z tej skarboney pochodziły płace siedmiorga pracowników HEX-a, z niej utrzymywano ponad czterysta kamer infiltrujących oraz cały system operacyjny HEX-a, wydajny serwer dający dostęp do Internetu całemu miastu, finansowano z niej bankiety (okraszone doskonałym winem) po posiedzeniach Rady, a także bezpłatne iPhone'y dla każdego mieszkańca, pod warunkiem, że w sytuacji kryzysowej będzie używał aplikacji HEX zamiast numeru alarmowego. To ostatnie rozwiązanie uczyniło Roberta Grima najbardziej szanowanym człowiekiem wśród młodych mieszkańców Black Spring, a jemu samemu czasami zdarzało się marzyć o jakiejś nieznanym, młodej (zazwyczaj długonogiej) brunetce, przybywającej do centrum kontroli po to, żeby zbadać legendarne rozmiary jego kultowego statusu pomiędzy belami podpierającymi dach, wciąż cuchnącymi zgnilizną z siedemnastego wieku.

Robert Grim jednakże pozostawał człowiekiem samotnym.

— Przy okazji, otrzymaliśmy maila od Johna Blancharda — powiedział Marty, gdy Grim już miał wychodzić. — Wiesz, od tego hodowcy owiec spod lasu, z Rogu Ackermana.

— O Boże, właśnie od niego? — odparł Warren i wznosił oczy do nieba, jakby od Boga spodziewał się litości.

— Mówi, że jego owca Jackie urodziła jagnię o dwóch głowach. Martwe.

— O dwóch głowach? — zawołał Grim z niedowierzaniem. — To straszne!

Przecież nic takiego nie zdarzyło się od czasu, kiedy Henrietta Russo urodziła dziecko z dwiema głowami w dziewięćdziesiątym pierwszym.

— Jego mail mocno mnie wkurzył. Facet rozpisał się o prorocत्वach i omenach, i jeszcze o dziewiątym kręgu czegoś tam.

— Zignoruj go — polecił Warren. — Na ostatnim posiedzeniu Rady mówił, że widział jakieś dziwne błyski na niebie. Powiedział, że ignoranci i sodomici zostaną ukarani za swoją pychę i chciwość. Ten człowiek to wariat. Widuje znaki z niebios co najmniej raz na dzień.

Marty popatrzył na Grima.

— Ale czy mamy to zatrzymać? Popatrz tylko, jakie nam przysłał zdjęcie.

Nacisnął palcem panel dotykowy i na wielkim ekranie pojawiła się fotografia obrzydliwego, zakrwawionego, martwego zwierzęcia leżącego w piachu. Rzeczywiście, można było u niego dostrzec dwa zdeformowane łby. Jackie, matka tego dziwadła, nie chciała ściągnąć z niego nawet błony płodowej. W rogu widoczna była jej nieostra sylwetka. Jadła spokojnie siano i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza poświęcać potworowi, którego właśnie powiła, najmniejszej uwagi.

— Fuj, co za dziwactwo — stwierdził Grim i odwrócił wzrok. — Tak, każcie doktorowi Stantonowi, żeby się temu przyjrzał, a później zalejcie to coś formaldehydem i umieście w archiwum razem z innymi okazami. Ktoś jeszcze ma ochotę na ciasto orzechowe?

Jednomyślne „taaak” rozbrzmiało z gardeł pozostałych członków zespołu, dlatego Grim nie usłyszał, że Claire jako jedyna nie zawołała „taaak”, tylko „sraaak”. Już chwycił za klamkę, kiedy mu to uświadomiła:

— Nie, Robert, ja naprawdę nie chcę żadnego ciasta. Pieprzyć to. Marty, rzuć na pełen ekran obraz z posiadłości pani Barphwell.

Marty usunął fotografię martwego jagnięcia i na ekranie znowu pojawiła się ciężarówka z meblami.

— Nie, przełącz na obraz z jej działki, D19... 064.

Grim wyraźnie pobladł.

Kamera bezpieczeństwa umieszczona była na latarni przed bungalowem Delarosów i dawała widok na Upper Reservoir Road, opadającą w dół skrajem lasu Black Rock. Ciężarówka z meblami parkowała po prawej stronie i można było dostrzec robotników wynoszących z niej skrzynie i znikających u dołu ekranu. Pozostała część ulicy była pusta, jeśli nie liczyć miejsca położonego w odległości jakichś dwudziestu metrów w górę. Na trawniku przed niskim domem po drugiej stronie ulicy nieruchomo stała kobieta. Nie patrzyła w kierunku robotników, spojrzenie miała natomiast utkwione we wzgórzu. Robert Grim nie musiał jednak wcale się jej przypatrywać ani powiększać obrazu, żeby stwierdzić, że kobieta właściwie nigdzie nie patrzy. Ogarnęła go panika.

— Cholera jasna! — krzyknął. Jego prawa ręka powędrowała do ust. Zakrył je. — Cholera jasna, jak to możliwe? — Wrócił biegiem do biurka i popatrzył na ekran.

Wielka ciężarówka zasłaniała parze japiszonów i robotnikom widok na kobietę, ale wystarczyłoby, żeby obeszli rampę wyładunkową i już by ją zobaczyli. Pieprzony kod czerwony do czwartej potęgi. Przecież oni zaraz zadzwonią na numer alarmowy: „poważnie okaleczona, niedożywiona kobieta — tak, wygląda na niedożywną i straszliwie zaniedbaną, przyslijcie natychmiast ambulans i policję”. Albo, co gorsza, sami zechcą udzielić jej pomocy. A wtedy konsekwencje będą straszliwe.

— Co ona tam robi, na miłość boską? Czy nie miała przypadkiem przebywać u rodziny Grantów?

— Tak, była tam do... — Claire zajrzała do dziennika — ...przynajmniej do ósmej trzydzieści siedem dzisiaj rano, o czym poinformował nas najmłodszy dzieciak, który musiał w końcu pójść do szkoły. Później dom był pusty.

— W jaki sposób ten stary babsztyl się o nich dowiedział?

— Uspokój się — powiedział Warren. — Ciesz się, że nie wlaźła do ich salonu. Stoi na trawniku. Ogrodzimy ropuchę sznurem, na którym powiesimy pranie. Ty i Marty możecie tam dotrzeć w ciągu pięciu minut. Zadzwonię do ludzi z tej posesji albo do któregoś z sąsiadów i powiem, żeby przykryli wieźmę kocem, zanim przyjedziecie.

Grim pobiegł do wyjścia i wypchnął Marty’ego na korytarz.

— Co za pieprzona sprawa.

— Jeśli ją zobaczą, powiemy, że jest częścią festiwalu — zdecydował Warren. Posłał Grimowi uśmiech, który bardziej pasował do wesołej imprezki z mojito i salsą niż do sytuacji, w której mogli umrzeć ludzie, i ani trochę go nie uspokoił. — Żartem okolicznych mieszkańców witających nowo przybyłych. Mała sugestia może być skuteczna. Przecież to jest tylko czarownica.

Robert Grim odwrócił się w drzwiach.

— A Delarosowie nie są pieprzonym Jasiem i Małgosią!

3

Ostatni ciepły dzień roku zaczął się i szybko skończył. Semestr trwał już od trzech tygodni i Steve Grant zaczynał przyzwyczajać się do rytmu, który wyznaczały mu zajęcia w New York Med i praca na stanowisku szefa projektu w naukowym centrum badawczym. Jocelyn przez trzy i pół dnia pracowała w Muzeum Przyrodniczym Hudson Highlands w Cornwall, a chłopcy dojeżdżali do liceum O’Neilla w Highland Falls, chociaż zawsze z wielką niechęcią. Tyler z trudem ukończył przedostatnią klasę i obecnie brał dodatkowe lekcje matematyki, żeby odpowiednio przygotować się do końcowych egzaminów. Był z tego powodu

wściekły. Tyler był człowiekiem słów, nie liczb, i jeśli ukończyłby szkołę — z dużym naciskiem na słowo „jeśli” — chciał pracować ze słowami. Najchętniej poszedłby na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Nowojorskim, jednak w takim wypadku musiałby codziennie dojeżdżać do miasta. Pokój w domu studenckim, w tak niewielkiej odległości od Black Spring, byłby zbyt dużym niebezpieczeństwem. Powoli, niemal niedostrzegalnie, odciągałby go od jego własnego domu... i w końcu to akademik stałby się dla niego najważniejszym miejscem na ziemi, a on prawdopodobnie nawet by tego nie zauważył.

Matt przebrnął przez pierwszą klasę gimnazjum śpiewając i zaczął drugą klasę, dojrzewając w przyspieszonym tempie. Otaczał się dziewczętami ze szkoły i zdawał się dzielić z nimi zarówno ich bez troskie chichoty, jak i ponure dni naznaczone PMS-em, chociaż wtedy trochę się ich bał. Jocelyn głośno wyrażała obawy, że w tym albo następnym roku Matt może ujawnić swoją prawdziwą naturę, i chociaż Steve z politowaniem wysoko unosił brwi, kiedy słyszał jej słowa, w głębi ducha podejrzewał, że Jocelyn ma rację. Jej przecucia niepokoiły go nie dlatego, że był konserwatywnym ojcem, ale dlatego, że wciąż widział Matta tylko takim, jaki był przez cały czas — słodkim, wrażliwym dzieckiem.

Oni naprawdę rosną, myślał, nie bez cienia smutku. A my się starzejemy. Nikt dla nas nie zrobi wyjątku. Wszyscy się zestarzejemy... i będzie się to dziać w Black Spring.

Z powodu tych rozmyślań pogrążony w ponurym nastroju, szedł ścieżką wzdłuż wybiegu dla koni, kierując się do skraju podwórza. Chociaż była już niemal jedenasta, powietrze wciąż utrzymywało wysoką temperaturę. Był to typowy wieczór późnego lata, niezawierający w sobie ani śladu nadchodzącej jesieni, chociaż prognozy na następny dzień przewidywały ulewne deszcze. Przed oczami Steve'a rósł wysoki las, cichy i mroczny. Gwizdnął na Fletchera, który schował się gdzieś wśród drzew.

Po drugiej stronie płotu dostrzegł żarzący się koniuszek papierosa, którego palił Pete VanderMeer. Steve uniósł dłoń i Pete wesoło przyłożył dwa palce do skroni. Socjolog z krwi i kości, Pete często zasiadał na podwórku i palił papierosy aż do późnej nocy. Kilka lat temu odszedł na wcześniejszą emeryturę z powodu reumatoidalnego zapalenia stawów. Od tamtego czasu domem zajmowała się wyłącznie jego żona Mary. Pete był piętnaście lat starszy od Steve'a, jednak jego syn, Lawrence, był w tym samym wieku co Tyler, a obie rodziny przez lata bardzo się do siebie zbliżyły.

— Hej, Steve. Próbujesz wycisnąć resztki z kończącego się lata? — Pete uśmiechnął się.

— Ile tylko się da. Cieszę się nim, dopóki mogę. Na jutro zapowiadają burze.
— Steve uniósł brwi.

— Może już słyszałeś? — Pete wydmuchnął wielką chmurę dymu. — Mamy

świeże mięcho.

— O, cholera — odparł Steve. — Co to za ludzie?

— Jakaś para z miasta, oboje jeszcze dość młodzi. On dostał pracę w Newburghu. Trochę mi was przypominają. — Jeden z koni w stajni cicho zarżał. — Ale co ich przyniosło akurat tutaj? Łatwiej się u nas żyje, jeśli ktoś urodził się na miejscu, jak ja. Dadzą sobie radę, jeżeli ich małżeństwo jest dość silne. Większość par sobie radzi. Ale tobie przecież nie muszę tego mówić.

Steve uśmiechnął się z rezygnacją. On i Jocelyn również nie pochodzili z tej części świata. Przenieśli się do odnowionej kolonialnej rezydencji przed osiemnastu laty, kiedy Jocelyn nosiła w brzuchu Tylera, a Steve przyjął pracę w grupie lekarzy pierwszego kontaktu w New York Med. Mieli problemy ze sprzedażą dotychczasowego domu, kiedy opuszczali Atlantę — trafili na kiepskiego agenta nieruchomości i niespodziewane kłopoty związane z hipoteką — jednak wiedzieli, że nowe miejsce będzie idealne do wychowania dzieci. Duży dom otaczały lasy rosnące w dolinie rzeki Hudson, a odległość do uczelnianego kampusu była taka, że dało się pokonywać ją codziennie bez problemów.

— Mam nadzieję, że — dla ich dobra — żona także miała coś do powiedzenia przy przeprowadzce — powiedział Steve. — Bo jeśli chodzi o mnie, wciąż składam podziękowania kamieniom, które wtedy zaległy na dnie mojego serca.

Pete odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał. Jocelyn pracowała nad doktoratem z geologii i wkrótce po przeprowadzce zakochała się w wielkich głazach, które pozostały po epoce lodowcowej wzdłuż całej Deep Hollow Road, od ich posesji aż po centrum miasta. Steve nigdy nie ośmielił się powiedzieć tego głośno, podejrzewał jednak, że te kamienie ocaliły jego małżeństwo. Gdyby przeprowadzka do Black Spring miała przynieść jakiegokolwiek korzyści tylko jemu, nie był pewien, czy Jocelyn zdołałaby mu to wybaczyć. Być może chciałaby, jednak żal, jaki żywiłaby wobec niego, mógłby z czasem okazać się zbyt wielki.

— Och, jakoś dadzą sobie radę — odezwał się Pete. — Nigdy w pełni nie zawładną tym miejscem... ale Black Spring zawładnie nimi, zobaczysz. — Puścił do Steve'a oko, jakby obaj byli chłopcami dzielącymi jakiś sekret. — Tymczasem pójde już do łóżka. Wkrótce czeka mnie trochę pracy.

Pożegnali się i Steve odszedł na tyły posesji, szukając Fletchera. Ze stajni dobiegły go odgłosy wydawane przez jednego z koni — Pabla albo Nike — zwierzak głośno wciągał powietrze, niespokojny, a zarazem ufny. Było coś dziwnego w tym, że Steve uwielbiał życie w Black Spring mimo jego ograniczeń — nie potrafił tego, jak i wielu innych aspektów ludzkiej psychiki, racjonalnie wyjaśnić, a jednak to uwielbienie naprawdę w nim tkwiło. Steve miał racjonalny umysł naukowca i w zasadzie nie wierzył w coś tak spirytualnego jak siła miejsca, chociaż bardziej prymitywna część jego mózgu, ta, która opierała się na intuicji,

podpowiadała mu, że jego sąsiad ma rację. To miejsce zawładnęło nimi. I nawet teraz, w lekkim wietrze późnego letniego wieczoru, czuł, że tym miejscem z kolei włada coś znacznie starszego. Jego dom stał na granicy lasu Black Rock, będącego rezerwatem przyrody, u stóp Mount Misery. Łańcuch gór, wypchniętych wysoko przez lodowiec w epoce lodowcowej, a potem obniżonych, gdy lód zaczął się topić, od niepamiętnych czasów stanowił atrakcję dla ludzi, którzy osiedlali się w okolicy. Każdy, kto trochę pokopałby w tej ziemi, miał szansę natrafić na resztki osiedli i cmentarzyska plemienia Munsee i Mohikanów. Później przybyli tu holenderscy i angielscy kolonizatorzy, jednak po pewnym czasie odpłynęli „rzeką Indian”, jak nazywano Hudson, daleko stąd i dzikie obszary zdołały odzyskać pierwotny charakter, a ze wzgórz zaczęli korzystać barbarzyńcy i poganie, uprawiający swoje obrzędy. Steve znał historię, jednak czynnikiem, którego historycy nigdy nie analizowali, był wpływ tego miejsca na ludzi. Był to czynnik irracjonalny i mogli go zauważyć jedynie ci, którzy tutaj żyli... i dawali się ogarnąć jego sile.

W każdym razie pierwsze lata, jakie Steve tutaj spędził, nie były łatwe.

Najpierw przyszła niechęć, a potem złość. Niechęć zakończyła się gwałtownie, gdy — po siedmiu tygodniach niedowierzania i konsternacji — wykupili z Jocelyn miesięczne wakacje w luksusowym bambusowym bungalowie na tajskiej plaży. Steve uznał, że Jocelyn dobrze zrobi w czasie ciąży chwilowa ucieczka od problemów, na jakie natrafili w nowym miejscu. W połowie pierwszego tygodnia w Azji oboje wpadli w depresję, tak jakby z Zatoki Tajlandzkiej spłynął na nich wielki, niewidzialny smutek i natychmiast zaczął ich trawić od środka. Nie miał żadnego źródła, nigdzie nie był skierowany, a jednak istniał i rozszerzał się jak atramentowy kleks na papierze. Steve ani myślał przyznawać, jakoby miał on cokolwiek wspólnego z ostrzeżeniem Rady, że nadmierna długość wakacji w głupi sposób zagraża ich życiu, mimo że po niecałych dwóch tygodniach pobytu poza domem zaczął poważnie rozważać, czy nie powiesić się pod sufitem bambusowego bungalowu, korzystając z pociętego prześcieradła.

Chryste, jak długo tutaj stałem? — zadał sobie wtedy pytanie, kiedy gwałtownie obudził się z bezmyślnej maligny. Mimo tropikalnej gorączki na ramionach i na plecach miał gęsią skórkę. Stał z prześcieradłem w rękach. Nie wiedział, co go opętało, jednak wyobraźnia podsuwała mu bardzo wyraźny i straszny widok własnych wytrzeszczonych oczu, gdy napięte prześcieradło odetnie dopływ tlenu do jego mózgu, a ciśnienie hydrostatyczne jego płynu mózgowego wzrośnie do poziomu, którego organizm nie zaakceptuje. Ale w tej wizji Steve wciąż żył. Żył i patrzył na swoje stopy przebierające w powietrzu, dopiero potem unosił wzrok, patrzył na morze — i wreszcie przychodziła śmierć. Na Boga, co to było? — rozmyślał, obmywając twarz zimną wodą. Chciałem tego.

Naprawdę tego chciałem.

Jocelyn też miała wizję. Ale ona się w niej nie zabijała. Ona uprawiała seks z osłem, a potem wbijała sobie nóż w brzuch, żeby rozszarpać nienarodzone dziecko.

Tego samego wieczoru spakowali bagaże, zmienili rezerwację na samolot i wrócili prosto do domu. Kiedy tylko znaleźli się w Black Spring, wielki smutek opuścił ich jak ręką odjął, a świat znów stał się całkiem do zniesienia.

Nigdy więcej nie było im tak źle jak wtedy w Tajlandii. Prowadzili potem emocjonalne rozmowy z Robertem Grimem i małą grupą wolontariuszy z miasta, których przydzielono do Rady. Wśród nich znajdował się Pete VanderMeer.

„Przyzwyczaicie się do tego” — mówił Pete. „Kiedyś uważałem Black Spring za celę śmierci, teraz jednak odbieram to miasto jak małą stajenkę z zakratowanymi drzwiami. Od czasu do czasu wolno ci wsunąć palec pomiędzy kraty, ale tylko dlatego, żebyś mógł się przekonać, że twój palec sympatycznie obrasta tłuszczkiem”.

Kiedy Steve i Jocelyn zdali sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzeczać oczywistej prawdzie, uczucie bezsilności powoli przerodziło się w depresję i niegasnące poczucie winy, które podniosło napięcie w ich związku. Jednak pojawienie się dziecka przyniosło z kolei uzdrowienie. Kiedy Tyler miał sześć miesięcy, Steve dał sobie spokój z wszelkimi próbami nie tylko zrozumienia własnej sytuacji, ale też jej odmienienia, i uznał, że przeprowadzka do Black Spring była po prostu gestem miłości. Dzięki temu się pozbierał, jednak na sercu wciąż nosił rany: rozumiał, że Tyler nigdy nie zostanie korespondentem wojennym, a Jocelyn będzie musiała raz na zawsze zapomnieć o badaniach na lodowcach Grenlandii. Ich miłość musiała skierować się na wyludnioną i zapomnianą ziemię, a nie na jakąś osadę w żyznej dolinie rzeki Hudson. To złamało ich serca, podobnie jak ludzkie serca łamią wszystkie niespełnione marzenia, ale takie było po prostu życie. Jocelyn i Matt nauczyli się kochać konie — szczególnie Matt polubił jazdę konną i już od pięciu lat startował w zawodach jeździeckich — a Tyler miał swoją kamerę GoPro i YouTube'a. Jocelyn i Steve zaadaptowali się w Black Spring, oboje coś dla tego miejsca poświęcili. Ludzie postępowali tak z miłości albo po prostu dla dzieci. Z powodu choroby albo wypadku. Z powodu nowych marzeń... a czasami z powodu Black Spring.

Czasami poświęcano się z powodu Black Spring.

Płowa sowa zahukała w lesie, przestraszyła się własnego głosu i zamilkła. Steve jeszcze raz zagwizdał na psa. Zaczął odczuwać zaniepokojenie. Niczym nieuzasadnione, oczywiście, niedorzeczne, a nawet absurdalne, jednak w taki wieczór, gdy czuło się w ciemnościach moc tego miejsca, trudno było je odrzucić. Niezbyt często wracał myślami do pierwszych lat w Black Spring. W jego pamięci uległy dość głębokiemu zatarciu. Przypominały topniejący śnieg, znikający w tym

samym momencie, w którym nadeptnie się na niego butem. Pamiętał, że zadawali sobie pytanie, czy to etyczne — zabierać dziecko do świata znajdującego się właśnie w takim miejscu. Jocelyn reagowała na to pytanie cokolwiek zjadliwie, twierdząc, że w latach wojny i głodu dzieci rodziły się i żyły w znacznie trudniejszych warunkach.

Później żyli przez większość czasu stosunkowo szczęśliwie... jednak poczucie winy nigdy całkowicie ich nie opuściło.

— Fletcher, chodź tutaj — syknął Steve.

W końcu Fletcher wynurzył się z ciemności i podszedł do Steve'a, jednak nie po linii prostej, lecz łukiem, aby okazać mu, że przecież nie zrobił niczego złego. Steve zamknął stajnię i poszedł za psem kiepsko wybrukowaną ścieżką do tylnych drzwi domu.

W domu panowała cisza, zakłócana tylko przez odgłosy śpiących ludzi. Jedyne światło dochodziło z pokoju Tylera, znajdującego się na piętrze. Kiedy Steve stanął na ostatnim stopniu schodów, chłopak akurat wychodził z łazienki. Steve zatrzymał się przed nim, przyjął postawę bokserką i Tyler uderzył go pięściami w otwarte dłonie; było to ich standardowe powitanie.

— Jesteś gotowy na jutro?

— A czy my wszyscy kiedykolwiek będziemy gotowi na jutro?

Steve uśmiechnął się.

— Wieczny filozof. Tylko nie siedź w nocy za długo.

— Właśnie miałem zamiar wyłączyć światło. Dobranoc, tato.

Ale kiedy pół godziny później Steve szedł do łazienki, przez szczelinę nad drzwiami wciąż sączyła się z pokoju Tylera blada poświata, której źródłem niewątpliwie był ekran laptopa. Już chciał to skomentować, jednak zrezygnował. Postanowił nie naruszać już dzisiaj prywatności chłopca.

Właśnie miał się położyć, ale zdecydował się raz jeszcze wstać z łóżka i popatrzeć przez okno. Jocelyn nawet się nie poruszyła. Ich pokój znajdował się w tylnej części domu i na zewnątrz, na podwórzu, było zbyt ciemno, by mógł rozróżnić wzrokiem jakieś kształty, jednak Steve odniósł wrażenie, że dostrzega czerwone światło kamery obserwacyjnej, umieszczonej wśród konarów dębu w rogu posesji. Ale po chwili światelko zniknęło. Być może zasłoniły je liście. Skojarzył je z koniuszkiem papierosa, który palił Pete VanderMeer. Przypomniała mu się pohukująca sowa. Odgłosy zaniepokojonych koni. I światło z pokoju Tylera. Wszyscy są czujni, pomyślał. Oni wszyscy czuwają. Dlaczego?

Aby strzec tego, co należy do nich. Była to raczej nedorzeczna, chaotyczna myśl, ale po niej pojawiła się następna, bardziej klarowna, która wcisnęła się do zmęczonego mózgu Steve'a z zimną stanowczością: czasami ludzie są czujni z powodu Black Spring.

Odepchnął ją od siebie i wkrótce zasnął.

Wpis, zamieszczony następnego dnia rano na stronie Otwórz Oczy: Głos z Gniazda Czarownicy, brzmiał następująco:

zrobimy to dzisiaj! #fantastycznie
#mainstream #japierdolę #testlatarni

Zamieszczone o godz. 10.23 przez: Tylera Granta

Oczywiście nikt w Black Spring nie przeczytał wpisu tego dnia. Pięć osób, które wiedziały o istnieniu tej strony i które znały do niej hasło, miało od szesnastu do dziewiętnastu lat i nawet za milion lat żadna z nich nie wpadłaby na pomysł odwiedzenia strony Otwórz Oczy za pomocą łączy internetowych, jakich dostarczało miasto.

Powitanie na stronie OO brzmiało następująco:

Okej, oto ostrzeżenie, którego, jak ci się mocno zdaje, nie przeczytasz, podobnie jak formułek o pełnoletniości, które odhaczasz z automatu, kiedy chcesz zwalić konia. Ale w tym przypadku sprawa wygląda inaczej: masz przed sobą oficjalny tekst, który musisz zapamiętać słowo po słowie, lepiej niż pieśń bojową drużyny O'Neill Raiders (dla bohaterów wśród nas) albo przemowę gettysburską (dla neonihilistów). To ostrzeżenie jest **ABSOLUTNIE TAJNE** i nie wolno się na nie **LOGOWAĆ, KURWA, W BLACK SPRING**, nawet na iPhone czy tablecie. Jesteś głupi, jeśli to zrobisz, bo wykryją URL swoim wykrywaczem. Na temat OO możesz dyskutować jedynie w realu, nie przez Skype'a, nawet jeśli krowa stoi na kablu pomiędzy tobą a HEX-em. Żeby wszystko było jasne: podlegamy prawodawstwu, które stanowi, że: 1) przechowywanie lub rozsyłanie nielegalnie zdobytych zdjęć Babci K. skutkuje biletem w jedną stronę do Doodletown i 2) przecieki uważane są za „poważne naruszenie miejskiego porządku publicznego” i już wcześniej dawaliśmy sobie z nimi radę, podobnie jak w średniowieczu, stosując karę cielesną („nie-stosowaliśmy-tej-kary-od-1932-roku”, JMTO*). Weź pod uwagę, że **TO, CO ROBIMY, JEST NIEBEZPIECZNE**. Jediną dobrą rzeczą w mieście, które wybija się w indoktrynowaniu młodych ludzi, jest to, że wszyscy w nim potraficie dotrzymywać sekretów. Ufam wam. Nie chcę się na ten temat wymądrzać, ale każdego dnia sprawdzam państwowy licznik, aby wiedzieć, kto się loguje i skąd. Każdy, kto łamie zasady, otrzyma dożywotni zakaz korzystania z OO bez wcześniejszego ostrzeżenia. I to zanim Colton i spółka zaczną swój popieprzony występ. **PODPORZĄDKUJCIE SIĘ ZASADOM**. To nasze ostateczne wpięprzenie was w system!

* Jakby mnie to obchodziło.

Podporządkowywali się zasadom, oczywiście. OO było prawdopodobnie jedynym takim partyzanckim ruchem online, który funkcjonował wyłącznie w pełnym świetle dnia: wszyscy jego użytkownicy mieszkali w Black Spring

i spędzali nocę we własnych łózkach.

Ale nie tę noc. Tej nocy wymknęli się ze swoich pokojów, zeszli w dół po rynnach i piorunochronach jak bojownicy na okupowanym terytorium, wyposażeni w szpadle, liny, czarne ubrania i nożyce do cięcia drutu. Nie można było nazwać ich bliskimi przyjaciółmi, przynajmniej nie wszystkich. Z piątki, która wyszła z domów w nocy, za swoich prawdziwych przyjaciół Tyler uważał jedynie Lawrence'a VanderMeera z sąsiedniej posesji i Burana Sayera — nie takich, z którymi wymienia się esemesy do wczesnych godzin porannych, ale takich, którym można się zwierzać z nawet najbardziej osobistych spraw. To i tak mało powiedziane, bo Tyler nie miał nikogo innego, komu mógłby zaufać. Ludzie urodzeni w Black Spring znali się nawzajem od najwcześniejszego dzieciństwa i obawiali się wyłącznie dorosłych, a nie swoich rówieśników.

Była to pierwsza deszczowa noc tej jesieni. Padał wcale nie letni kapuśniaczek, lecz prawdziwy jesienny deszcz, taki, który wydaje się leniwy i zdaje się nie mieć końca. Zanim po czterdziestu minutach skończyli misję, byli kompletnie przemoczeni. Podali sobie dłonie i Tyler powiedział uroczyście:

— Dla nauki, koledzy.

— Dla nauki — powtórzył Lawrence.

— Dla nauki — odpowiedzieli jak echo Justin Walker i Buran.

Jaydon Holst obrzucił ich kwaśnym spojrzeniem i powiedział:

— Za was, pedzie.

Następnego poranka, z workami pod oczyma sięgającymi stóp, zgromadzili się na werandzie Sue's Highland Diner przy rynku miejskim, chociaż słowem „rynek” określano to miejsce raczej na wyrost. Było to bardziej zbiorowisko sklepów i restauracji umiejscowionych przy Lower Reservoir i Deep Hollow Road, otaczających Mały Kościół Metodystów (który wszyscy nazywali Kryształowym ze względu na kształt jego okien) i stary cmentarz, umiejscowiony na Wzgórzu Świętym. Ale byli też tacy, którzy uważali słowo „zbiorowisko” za zbyt mocne dla kilku byle jakich knajpek i tanich sklepików na niewielkim skrzyżowaniu. Do tych sceptyków należało pięciu chłopców, którzy zajęli miejsca na werandzie u Sue i niemrawo sączyli cappuccino oraz latte, zbyt wymęczeni, aby nadmiernie ekscytować się tym, co się zbliżało.

— Czy wy przypadkiem nie powinniście być teraz w szkole, chłopcy? — zapytała Sue, kiedy przyniosła im zamówione napoje.

Wreszcie przestało padać, powietrze było jednak chłodne i Sue musiała zetrzeć całe kałuże wody z plastikowych stolików i krzeseł.

— Nie, pierwsze dwie lekcje zostały odwołane i nauczyciele pozwolili nam wyjść — odpowiedział jej Buran.

Pozostali chłopcy pokiwali twierdząco głowami i zmrużyli oczy, chroniąc je przed bladym słońcem. Buran pracował u Sue na zmywaku, dzięki czemu pierwsze

zamówienie mieli u niej za darmo. Po nim zwykle przenosili się do Griselda's Butchery & Delicacies po drugiej stronie placu (Griselda była matką Jaydona) i znów korzystali z darmowego zamówienia.

Jednak Buran nie kłamał, przynajmniej nie całkowicie. Pierwsze dwie lekcje rzeczywiście odwołano, jednak nikt ich z tego powodu nie wypuścił ze szkoły.

— Mieliśmy alarm, chłopcy — powiedziała Sue.

— Wiemy, proszę pani — odparł Jaydon Holst uprzejmie; dla wszystkich, którzy go znali, był to znak, że wypowiada słowo UWAGA, i to wielkimi, lśniącoymi jak neon literami.

W gruncie rzeczy, jak kiedyś Tyler powiedział do Lawrence'a, Jaydon był jedynym powodem, dla którego słowo „uwaga” w ogóle istniało, podobnie jak słowa „przymusowe zobowiązanie” i „rychła katastrofa”. Wszyscy jednak znali tego przyczynę, próbowali więc okazać zrozumienie.

— Stwierdził, że jeśli tutaj usiądziemy, będziemy mogli pomóc, gdyby się coś wydarzyło.

— Jesteś aniołem, Jaydon. Powiem o tym twojej mamie dzisiaj po południu.

— Buran z trudem powstrzymał śmiech, kiedy Sue postawiła przed nim popielniczkę. — Przynieść wam coś jeszcze, chłopcy?

— Nie, dziękujemy pani — odparł Jaydon z uśmiechem, który wyrósł na jego ustach jak chmura tlenku węgla.

Kobieta miała już zabrać ze stolika otwarte menu, gdy Tyler szybko położył na nim rękę z większą siłą, niż zamierzał.

— Mogę zatrzymać kartę? Pewnie później będę chciał coś jeszcze zamówić.

— Jasne, Tyler — odpowiedziała Sue. — Tylko krzyknij, dobrze? — Zabrała z powrotem tacę.

Przez moment wszyscy milczeli. W tej ciszy niezręczność sytuacji zdawała się zagęszczać powietrze. Wreszcie Jaydon odezwał się ze słabym uśmiechem:

— Do kurwy nędzy.

— Stary, naprawdę... naprawdę chcesz skończyć w Doodletown? — Mimo że Tyler odczuł ulgę, serce podbiegało mu niemal do gardła.

Gdyby Sue odkryła GoPro pod menu, wszyscy znaleźliby się po pachy w gównie. Światelko sygnalizujące nagrywanie paliło się, a obiektyw kamery skierowany był na południe, wzdłuż Deep Hollow Road, w miejsce, w którym dwaj mężczyźni ustawiali w poprzek ulicy biało-czerwone barierki tuż przy kościele Matki Boskiej. To samo działo się w północnej części Deep Hollow Road, za skrzyżowaniem z Old Miners, która biegnąc od Pointu, właśnie tam otwierała się na główną arterię. GoPro nie mogło tego rejestrować, ale Tyler, Justin i Lawrence mogli. I działo się coś jeszcze: z domu spokojnej starości Roseburgh, położonego tuż przy knajpce Sue, wyszło osiem albo dziewięć grubo ubranych starszych kobiet i uważnie lustrowało ulicę. Rozmawiały między sobą i wzięwszy się pod ramiona,

minęły werandę, po czym ruszyły w kierunku skrzyżowania.

— Czas na przedstawienie — zauważył Justin. — Tłumy oszaleją.

— Która godzina? — zapytał Tyler.

Lawrence zerknął na swojego iPhone'a.

— Dziewiąta trzynaście. Jeszcze minuta. Włącz kamerę, stary.

Bardzo ostrożnie Tyler przesunął kamerę, zakrywaną przez kartę menu, na drugą stronę małego stolika i wycelował jej obiektyw w Old Miners Road, biegnącą ku wzgórzu ostrymi zakrętami w kształcie litery „S” i mijającą zamknięte Centrum Turystyczne Popolopen. Para starszych kobiet usiadła na ławce przy fontannie, nad którą górował brązowy posąg praczki. Pozostałe weszły spacerowym krokiem na cmentarz — zapewne żeby sprawdzić, czy są już dla nich gotowe miejsca, pomyślał Tyler.

— Och, Boże — cicho jęknął Justin i pokiwał głową. — Jest.

— Dokładnie o czasie — oznajmił Tyler, zbyt podekscytowany, żeby zachować spokój i nad sobą panować. Oblizał wargi, wyjął spod menu iPhone'a należącego do Lawrence'a i przytrzymał go przed obiektywem kamery. — Środa rano, godzina dziewiąta czternaście. Jak zwykle, dokładnie we właściwym miejscu.

Z daleka zobaczył, jak z lasu, prosto na Old Miners Road, wychodzi kobieta.

Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego wybiera **DOKŁADNIE** ten sam szlak na rynku i zawsze w tym samym tempie mija cmentarz w **KAŻDY** środowy poranek, jednak wiedźma z Black Rock jest jak Pani Autyzm, niepokonana posiadaczka tytułu od trzystu pięćdziesięciu lat. A przecież wiedźmy i czarownice bynajmniej nie z tego są znane. Człowiek się zastanawia, czy kiedykolwiek doskwiera jej pragnienie. Cóż, nie. Ona jest jak system operacyjny Microsoftu: zaprojektowana, by siać śmierć i zniszczenie i za każdym razem przekazywać informację o tym samym błędzie.

Zatem ów wzór zachowania jest megainteresujący, ponieważ: co ona tutaj robi i dlaczego co tydzień powraca? Uważajcie! Mam dwie teorie:

Według pierwszej teorii kobieta tkwi w jakiejś pętli czasu i powtarza swoją przeszłość aż do momentu obsesji — kompulsywnej nerwicy (znanej także jako teoria Windows XP). Grim mówi, że dawno temu na placu przed kościołem funkcjonował rynek pod gołym niebem (zapytałem, czy znajdował się też przed samym cmentarzem, a on odparł, że nie ma pewności, czy w tamtym okresie cmentarz w ogóle istniał) i być może kobieta chodziła tam wówczas po chleb i ryby (co zdaje się w ogóle nie mieć sensu, bo jeśli miasto ją wyгнаło, raczej nikt nie dopuściłby, żeby robiła na jego terenie zakupy. Wniosek: Grim jest bystry, ale w tym przypadku tylko zgaduje). Zapewne nie chodziła również do kościoła, ponieważ heretycy do kościoła nie chodzą (chyba że tacy, którzy tańczą nago przed krzyżem, smarują się krwią Chrystusa i śpiewają różne swoje psalmy i pieśni), w przeciwnym wypadku nie mielibyśmy teraz z nią do czynienia, prawda?

I jeszcze jedno: jeśli ktoś jest martwy (albo powinien być martwy), w jakim celu tydzień po tygodniu maszeruje zawsze tą samą trasą? Czy w szkołach dla czarownic nie uczą różnorodności? Jednostajność ma równie mało sensu jak staromodne zabawy poltergeistów: światło włącz, światło wyłącz (według mnie, jeśli ktoś chce coś wyrazić, po prostu powinien głośno mówić i bynajmniej nie w pieprzonej łacinie).

Drugą i bardziej prawdopodobną teorią jest ta, w myśl której **KOBIETA CHODZI WCIAŻ TĄ SAMĄ TRASĄ, PONIEWAŻ MA ZASZYTE OCZY**. Co, jeśli mamy w Black Spring czarownicę, która **ZOSTAŁA CAŁKOWICIE ZAMROŻONA** (nazwijmy to teorią Windows Vista)?

Źródło: strona internetowa Otwórz Oczy, wrzesień 2012

Obserwowali, jak kobieta z zaszytymi oczami przechodzi przez Old Miners Road, mija przystanek autobusowy i jest coraz bliżej i bliżej. Jej białe stopy formowały w kałużach rozchodzące się kółka. Być może jej napędem był instynkt albo coś znacznie starszego i bardziej prymitywnego niż instynkt, w każdym razie Tyler wiedział, że jest to coś, do czego nie potrzebowała niewidzących oczu. Słyszał głuchy szczeł łańcuchów, które przytwierdzały jej ręce i suknię do ciała. Łańcuch nadawał jej wygląd enchilady z supermarketu, zawiniętej w celofan, nieruchomej, bezbronnej i nieapetycznej. Tyler uważał ją za mniej straszną, kiedy chodziła, ponieważ wtedy nie musiał się zastanawiać, co knuje gdzieś w głębi, za starannie zaszytymi oczyma. Była jak rzadki owad, którego chce się uważnie oglądać, pilnując jednak, aby nie użądlił.

Ale kiedy się zatrzymała... była trochę dziwaczna.

— Wiecie, co mnie w niej uderza? — zapytał Justin zadumany głosem. — Ona jest nieskończonym brzydactwem, trudno więc uznać ją za postać z baśni.

— Bo ona nie jest żadną pieprzoną postacią z baśni — powiedział Buran. — Jest zjawiskiem pozaziemskim.

— Do diabła, akurat. Czarownice pojawiają się tylko w baśniach. A więc i ona jest postacią z baśni.

— Gówno prawda! Pod jakim kamieniem ojciec zrobił dziecko twojej matce? Pomimo takiej niezziemskiej przygody nie powiła cię przecież kobieta z baśni. W każdym razie czarownice nie istnieją naprawdę.

— A gdyby nagle pojawił się przed tobą Czerwony Kapturek? — zapytał Justin z powagą, na którą nie należało reagować drwiną. — Byłby dla ciebie zjawiskiem pozaziemskim czy postacią z baśni?

— Wyłącznie laską, która ma obsesję na punkcie tamponów — odparł Jaydon.

Buran parsknął śmiechem, rozbryzgując na koszuli cappuccino, a Lawrence dostał niemal spazmów ze śmiechu. Trochę za wiele tego dobrego, pomyślał Tyler.

— O, kurwa! — Buran zaczął wycierać plamy serwetkami. — Facet, jesteś

wariatem.

— Przy okazji — odezwał się Lawrence, kiedy odzyskał nad sobą kontrolę — wiedźma z Blair także nie była postacią z baśni.

Był to argument, którego Justin nie mógł obalić i który w gruncie rzeczy zakończył dyskusję.

Do kościoła Matki Boskiej zbliżał się samochód. Starsze kobiety z ławki przed fontanną wyciągnęły energicznie szyje i popatrzyły w jego stronę, samochód jednak zatrzymał się przed blokadą na drodze i skręcił w lewo. Kobiety uspokoiły się. Pewnie to jakiś mieszkaniec miasta. Gdyby zobaczyły kogoś obcego, starsze panie już gromadziłyby się dookoła Babci i ruszyłyby razem z nią, intensywnie przerzucając się uwagami. A gdyby Babcia się zatrzymała, Tyler wiedział (i ta wiedza, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiała, że wstydził się statusu chłopaka z Black Spring), że staruszki znów otoczyłyby ją jak swoiste *Glee* dla umierającego i zaczęłyby śpiewać kościelne hymny. Głębszego znaczenia tej sceny nie mógł dostrzec, była ona jednak znakomitym przykładem odwróconej psychologii: nikt nigdy nie dostrzeże wymizerowanej kobiety skrępowanej łańcuchami, jeżeli z góry nie będzie wiedział o jej istnieniu. I nikt nie będzie w stanie trawić starych ludowych pieśni przez czas wystarczająco długi, aby się o niej dowiedzieć.

Kobieta z zaszytymi oczami minęła patio tuż przed chłopcami i szła dalej w kierunku placu, obserwowana uważnie przez staruszki siedzące przy fontannie. Tyler przestawił GoPro. Dla powodzenia eksperymentu zasadnicze znaczenie miało to, żeby w pobliżu nie znalazł się żaden obcy. W chwili, gdy już miał się uśmiechnąć na myśl o dopisującym im szczęściu i powodzeniu, w drzwiach knajpki pojawiła się Sue. Stała w progu, jakby nagle uderzyło w nią jakieś szlachetne, do tej pory niewidziane u niej poczucie odpowiedzialności za nieletnich gości.

— Ma pani jakieś pestycydy? — zapytał Jaydon.

Sue roześmiała się i odparła:

— Gdyby działały, korzystalibyśmy z nich od dawna, Jaydon.

Nie zdawała sobie sprawy, że chłopcy potrzebowali pestycydów właśnie dla niej, a nie dla czarownicy. To ona musiała zniknąć. Tymczasem Buran błyskawicznie pojął sytuację, wspomniawszy coś o swoim grafiku dyżurów i oboje z Sue zniknęli za drzwiami.

Justin roześmiał się.

— Ta kobieta pozwoliłaby nawet, żebyś ją wypieprzył, Jaydon.

— Odpierdol się.

— Panowie, zamknijcie się — zażądał Tyler. — To się zaraz stanie.

Wyciągnął GoPro spod menu i osłonił sprzęt własnym ciałem przed okiem kamery umieszczonej na fasadzie Point Inn po drugiej stronie skrzyżowania. Ku powszechnej wesołości chłopców kamera wciąż zwisała byle jak, pod niskim

kątem, w takiej pozycji, w jakiej Jaydon pozostawił ją ostatniej nocy, mocno uderzywszy w nią długim kijem. Jaydon był jak żywa mapa wojskowa, gdy chodziło o znajomość rynku i jego otoczenia, ponieważ razem z matką mieszkał za sklepem mięsnym po drugiej stronie. Powiedział, że są jeszcze dwie kamery, które mają widok na latarnię po wschodniej stronie cmentarza. Jedna umieszczona była w krzakach na najwyższym rogu Wzgórza Świątynnego; powiesili przed nią gałązkę sosny. Do drugiej kamery nie mogli dotrzeć. Ukryta była we framudze okna kościoła Kryształowego, uznali jednak, że rośnie przed jej obiektywem zbyt wiele drzew, żeby mogła stanowić w nocy realny problem.

Była druga pięćdziesiąt siedem, kiedy niczym kurtynę zawiesili na gałęzi dębu wyrastającego ponad cmentarny płot długi szary płaszcz Burana. Była trzecia trzydzieści sześć, kiedy wykręcili z wody przemoczoną kurtynę i zrolowali ją. Przez cały ten czas przez Deep Hollow Road przejechał, nie zwalniając, tylko jeden samochód.

Jedynym widocznym dowodem ich operacji było to, że światło uliczne za kurtyną zniknęło o godzinie trzeciej siedemnaście, dokładnie w chwili, w której Jaydon przeciął naziemny kabel elektryczny biegnący do podziemnego źródła zasilania. Szczęśliwie sama lampa nie była zbyt wysoka, a jej klasyczna obudowa wykonana została z aluminium, a nie z kutego żelaza. Łatwizna. Do czasu, kiedy wszystko wyczyścili i wzniesli toast za naukę, lampa nie stała już przy cmentarnym płocie, lecz została starannie wbita w chodnik, mniej więcej o metr w lewo.

Strefa zero.

A więc jak widzicie na nagraniach poniżej, kobieta wychodzi wprost z lasu i idzie Deep Hollow Road w kierunku zachodnim. Dociera do rynku, kroczy wzdłuż strumienia, przechodzi na trotuar, wykonuje niepełny piruet w kierunku płotu cmentarnego, jakby była jakąś primabaleriną, i zatrzymuje się twarzą do ulicy, jakby nagle ktoś odłączył ją od źródła zasilania. Następuje jakiś poważny błąd wykonania. Zapewne z dymem unoszącym się z jej włosów efekt byłby jeszcze bardziej dramatyczny. Dokładnie osiem minut i trzydzieści sześć sekund później następuje sytuacja, jakby ktoś nacisnął Ctrl + Alt + Del, bo staruszka znowu zaczyna iść i znika za domami na Hilltop Drive. I dzieje się tak co tydzień, wszystko przebiega identycznie (jeśli pominąć głupi problem wynikający z tego, że nikt dokładnie nie wie, gdzie i w jaki sposób ona się ulatnia — jakieś pomysły, panowie?).

Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka.

Kiedy kobieta z zaszytymi oczami szła wzdłuż strumienia i minęła znak drogowy UWAGA, DZIECI, chłopcy na werandzie wpadli w takie podniecenie, że wstali z krzeseł i zaczęli kołysać się na nogach. Nic na to nie mogli poradzić. Odnosili wrażenie, że są świadkami jednego z tych rzadkich wydarzeń w historii ludzkości, które przeżyją nawet Wikipedię, takich jak wynalezienie penicyliny czy

pierwszy wybuch implantu silikonowego w damskiej piersi. Tyler zapomniał o strachu przed Doodletown i nie troszczył się już o ukrywanie GoPro przed kamerami obserwacyjnymi. To trzeba było zarejestrować.

— O-do-kurwy-nędzy — wyjęczał Justin na bezdechu.

— Ona to zobaczy... ona to zobaczy... ona to zobaczy.

Nie zobaczyła. Z głuchym odgłosem wiedźma z Black Rock weszła na przestawioną latarnię i upadła na tyłek.

Kobiety przy fontannie podskoczyły, wrzasnęły i zakryły usta dłońmi. Tyler i jego koledzy popatrzyli po sobie w ciszy. Opadły im szczęki, zaskoczenie odebrało mowę. Buran stanął w drzwiach knajpki. Można było odnieść wrażenie, że w jednym momencie z atmosfery wyssany został cały tlen. To, co zobaczyli, przekroczyło ich najśmielsze wyobrażenia. Właśnie przewrócili na ziemię trzystuletnie zjawisko nadprzyrodzone i nagrali to na pieprzonym sprzęcie wideo.

Babcia zaczęła się tarzać na schyłnym chodniku u stóp latarni niczym enchilada w celofanie. Jej pomarszczona i okaleczona twarz wydawała się teraz jeszcze brzydsza. Sprawiała wrażenie całkowicie bezbronnej, niczym mały ptaszek, który wypadł z gniazda. Nie było szansy, że samodzielnie wstanie. Podeszła do niej jedna ze starszych kobiet. Dłoń przykładła do policzka i przez moment Tyler obawiał się, że podejmie samobójczą decyzję o udzieleniu jej pomocy, gdy nagle wydarzyło się coś niesamowitego. Czarownica niespodziewanie stanęła z powrotem na nogach. Obserwująca to kobieta cofnęła się i wrzasnęła. W jednej chwili babcinka leżała na ziemi, bezbronna i wijąca się bezradnie, a w kolejnej, zmienivszy pozycję niczym na taśmie wideo odtworzonej w zwolnionym tempie, stała poirytowana przed słupem latarni, jakby chciała przejść wprost przez niego.

— Jezu, kurwa... — Jaydon zdołał powiedzieć tylko tyle.

— Nagrałeś to? — zapytał Lawrence.

Tyler popatrzył na kamerę i zdał sobie sprawę, że właśnie popełnił najgłupszy błąd w swojej karierze reporterskiej. Całkowicie zaaferowany pozwolił, żeby kamera zawisała na pasku i nagrała niezwykle interesujący obraz chodnika zamiast niesamowitego podniesienia się czarownicy z upadku. Poczł, jak czerwienieją mu policzki, i przeklął się w myślach, jednak pozostali chłopcy byli zbyt zajęci czym innym, by teraz zwracać na niego uwagę.

— Co się dzieje? — zapytała Sue. Stanęła w progu za plecami Burana i próbowała cokolwiek dojrzeć.

Nikt nie raczył się do niej odezwać.

— Popatrzcie na to — powiedział Justin. — Ona próbuje przedostać się przez słup.

Była to prawda. Przez trzysta lat czarownica tędy przechodziła i dzisiejszy dzień nie miał być wyjątkiem, nieważne, że na chodniku stała jakaś lampa.

— Ona jest jakby zaprogramowana — zauważył Lawrence.

— Ona jest jak ta pieprzona lampa — dodał Jaydon.

Po trzydziestu sekundach tarcia metalu o metal czarownica niespodziewanie przedarła się przez słup, wykonała swoje trzy czwarte piruetu i odeszła.

Justin roześmiał się pierwszy.

Potem Buran.

Nagle już wszyscy chłopcy śmiali się dzikim, niekontrolowanym śmiechem, klepali się po ramionach i uderzali pięściami w barki. Ponure staruszki przy fontannie odwróciły się i utkwiły spojrzenia w młodzieńcach. Dostrzegły GoPro i jedna z nich krzyknęła:

— Hej, co wy tam macie? Co ty robisz z tą kamerą, młody człowieku?

— Hej, baby! — wrzasnął Jaydon. — Która z was ją pchnęła?

Pytanie wywołało wśród kobiet ogólną konsternację, jakby zaczęły poważnie się zastanawiać, czy któraś z nich rzeczywiście nie przewróciła czarownicy (a może ludzie po siedemdziesiątce po prostu tracą zdolność szybkiego myślenia?), co sprawiło, że chłopcy zaczęli śmiać się jeszcze głośniej. Wciąż chichotali, gdy po minucie mijali blokadę na drodze i biegli w dół Deep Hollow Road, a potem śmiali się jeszcze głośniej, aż po przebiegnięciu dwustu metrów nie byli w stanie powstrzymać ciekawości i przystanęli, by obejrzeć obraz zarejestrowany na ekranie LCD kamery GoPro.

* * *

Obrazy nie powinny stanowić zaskoczenia: wiadomo, co na nich jest. Kamera nagrała — po raz pierwszy w historii dziennikarstwa — zjawisko nadprzyrodzone upadające na tyłek. Jego wyjątkowość nakazywała przypuszczać, że w ciągu kilku minut na YouTube powinni zainteresować się nim po prostu wszyscy, że wkrótce będzie omawiane na setkach blogów, nie wspominając o nieskończonych powtórkach u Jimmy'ego Fallona. Ale, oczywiście, coś takiego nie mogło nastąpić: nagranie musiało pozostać tajne. A jednak jeszcze tego samego wieczoru osiągnęło status niemal kultowego.

Chłopcy nie urodzili się wczoraj i wiedzieli, że dysponują czymś niebezpiecznym. Wiedzieli, że jest tylko jeden sposób, żeby uniknąć Doodletown: sami muszą zrobić pierwszy krok i udawać niewiniątka.

— Tak się po prostu zabawialiśmy — mówi Tyler, kiedy pokazują reżyserską wersję nagrania Robertowi Grimowi.

W tej wersji widać na ekranie tylko czarownicę idącą wzdłuż strumienia, wpadającą na lampę i przewracającą się. Grim odtwarza nagranie prosto z karty pamięci. Tylko te nagrania z poranka zostały na niej zachowane. Pozostałe zostały przeniesione na macbooka Tylera i zabezpieczone hasłem. Tyler próbuje nadać skruszoną barwę swojemu głosowi, wyobrażając sobie aureolę nad własną głową, jednak w pewnym momencie nie potrafi powstrzymać śmiechu.

Robert Grim także się śmieje. I nawet łzy toczą się po jego policzkach, kiedy ogląda komiczną scenę. Śmieje się z tego samego powodu, który wywołuje śmiech u chłopców, i z tego samego, z czego śmieją się regularni bywalcy baru Quiet Man, gdy tego samego wieczoru pochylają się nad jego laptopem. Nikt spośród nich nie zdaje sobie sprawy, że jest to coś więcej niż jedynie wesoła rozrywka, wywołana wodewilowym upadkiem czarownicy. To triumf, drobny i pozbawiony konsekwencji, jak się wydaje, nad zjawiskiem, które rzuca cień na życie ich wszystkich, odkąd sięgają pamięcią. W ich śmiechu można wyczuć wspólną ulgę, zwycięstwo nad strachem tak głęboko osadzonym, że sprawia wrażenie dość osobliwego. Później, gdy Tyler zda sobie z tego sprawę, strach przejmie go aż do szpiku kości.

— Oficjalnie nie mogę was za to pochwalić — mówi Robert Grim, wreszcie zebrał się w sobie i wytarłszy łzy z oczu.

Ale po chwili znów zaczyna głośno się śmiać. Chłopcy bez sprzeciwu przystają na jego propozycję: aby pozostać w całkowitej zgodzie z Radą, muszą dokładnie spisać przebieg wydarzeń, zapłacić z własnej kieszeni za zniszczone kable i przez pozostałą część tygodnia zbierać śmieci w Ladycliff Park.

Leżąc tej nocy w łóżku, Tyler otrzymuje wiadomość od Jaydona:

@QT Człowieku. Upadek staruchy i wszystkim trzęsą się brzuchy.
SPIERDOLONE!

W tym momencie Tyler wciąż oszołomiony jest sukcesem próby z latarnią (choć poważnie tonuje go pytanie, jakie postawił mu Lawrence, kiedy pisał raport dla OO: „W porządku, ale czego to dowodzi?”), nie rozumie więc jeszcze, co Jaydon ma na myśli.

Ale następnego dnia, gdy sprząta w parku i widzi w deszczu twarze ludzi, doznaje olśnienia. Wszyscy zdają się wiedzieć, co zrobił, i z dnia na dzień staje się bohaterem. Nikt nie mówi ani słowa, wszyscy się jednak do niego uśmiechają i wyrażają milczące wsparcie. To uśmiechnięte twarze są źródłem olśnienia. Powinny być miłe, sympatyczne, a jednak takie nie są. Są przewrotne, jak zawsze. Ponieważ kiedy się uśmiechają, on nie jest w stanie ich rozpoznać. Są to twarze, które dawno straciły tę umiejętność. Jest na nich zbyt wiele skóry, zbyt wiele zmarszczek powstałych przez wiele lat. Są to twarze, które wiodą własne niezawisłe życie i każdego dnia trochę bardziej się ściągają. Są spłaszczone, ponure, emanują stresem, którego nie potrafią zwalczyć. Są to twarze z Black Spring. Kiedy próbują się uśmiechać, wyglądają, jakby krzyczały.

Tego wieczoru, kiedy Tyler leży w łóżku, odnosi wrażenie, że otacza go jedynie ciemność i strach, a dwie wizje sprawiają, że nie jest w stanie zasnąć do bladego świtu: wrzeszczących twarzy w deszczu i przewracającej się czarownicy. W końcu jednak i te wizje znikają w czerni.

Byłe Centrum Turystyczne Popolopen, leżące na samym początku Old Miners Road, od 1802 roku stanowiło własność Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point. Fryz na zewnętrznej ścianie budynku wciąż nosił motto szkoły zapisane wielkimi staroświeckimi literami: OBOWIĄZEK — HONOR — OJCZYŻNA. Obecnie placówka była opuszczona i oficerowie z West Point raczej unikali tego miejsca, jednak flaga z orłem wciąż zwisała nad skromnym muzeum znajdującym się w Centrum. Można tam było znaleźć nostalgiczne grafiki prezentujące oficerów we frakach i kobiety w futrzanych kołnierzykach. Ale Centrum Turystyczne już dawno temu zamknięto. Gdyby ktoś jednak zdołał zajrzeć do środka, na pewno natrafiłby na zabrudzoną czarno-białą fotografię, wiszącą niepozornie w rogu i przedstawiającą plac przed kościołem Matki Boskiej. Widać na niej trzy kobiety w łachmanach, z zamkniętymi oczami, pochylone i wygrażające pięściami grupce dzieci w krótkich spodenkach i ciężkich płaszczach. W szponiastych rękach trzymają miotły, takie, jakimi na początku minionego wieku czyściło się kominy. Podpis pod fotografią informuje: OBCHODY DNIA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH, ROK 1932.

Ale nawet gdyby czarownice z fotografii zostały uwiecznione, jak objijają miotłami drobne tyłeczki dzieci i targają nimi do momentu, gdy wybuchają płomieniami, nie zepsułoby to doskonałego nastroju Roberta Grima. Krótco po północy tego dnia, gdy wydarzył się incydent przy latarni, opuścił bar Quiet Man i schodził w dół wzgórza z szerokim uśmiechem na twarzy i laptopem pod pachą.

Grim rzadko bywał w tak wspnianym nastroju, a wzięwszy pod uwagę, że tego samego dnia otrzymał oficjalne upomnienie od Coltona Mathersa, było to tym bardziej zadziwiające. Biedne konserwatywne ego szefa Rady rozsierdził incydent z latarnią. Nazwanie Roberta Grima człowiekiem postępowym byłoby tym samym, co porównanie Auschwitz do obozu harcerskiego, jednak konserwatyzm Coltona Mathersa osiągał zupełnie inne wymiary, równe wymiarom prymitywnego stworu, pełzającego po pierwotnych bagnach. Jedynym odniesieniem był dla niego Bóg; niemniej Grim doskonale wiedział, że w imieniu Boga działali przecież także krzyżowcy.

I ustawa zakazująca handlu w niedziele.

I dżihadyści.

Szedł w kierunku Old Miners Road. Następnego dnia rozpada się monotony, zdający się nie mieć końca deszcz, który nie ustanie przez cały pierwszy tydzień października, teraz było jednak sucho, a chmury przemieszczały się po niebie ciemnymi kłębami. Grim wyciągnął z kieszeni klucze do byłego Centrum Turystycznego i wszedł do środka. Nie miał nocnej zmiany, czuł się jednak zbyt podniecony, żeby dzisiaj spać. Zamknął za sobą drzwi na klucz, w ciemności wszedł za kontuar i zszedł po schodach trzy kondygnacje w dół do

sekretnego miejsca, które tonęło we wzgórzu.

Nie przypadkiem były posterunek wojskowy opierał się bokiem o strome zbocze wzgórza, gdyż — oczywiście — jego głównym zadaniem nie było pomieszczenie Centrum Turystycznego Popolopen. Przychody, jakie generowało wynajmowanie budynku prywatnym właścicielom rezerwatu leśnego Black Rock, dopóki w 1989 roku nie przenieśli się do Cornwall, pokrywały większość wydatków, które Point ponosił z tytułu prowadzenia własnej tajnej operacji: nadzorowania mieszkańców Black Spring. Cel Roberta Grima był nieco inny: chodziło mu o ocalenie ich skóry.

Wnętrze centrum kontroli HEX-a wyglądało jak skrzyżowanie centrum kontroli NASA w Houston z wnętrzem zniszczonego klubu osiedlowego. Obok pomieszczenia koordynacyjnego z wielkim ekranem i biurkiem komputerowym w kształcie podkowy znajdowały się tu dobrze utrzymane archiwa z nagraniami wideo i mikrofilmami. Dalej można było dostrzec stanowisko obsługi miejskiej sieci komputerowej, małą bibliotekę z książkami okultystycznymi, magazyn zasłon dymnych mocno przypominający podręczną teatralną rekwizytornię (większe obiekty, jak stelaże i bariery, którymi odgradzano teren, kiedy czarownica pojawiała się na drogach publicznych, trzymane były w szopie przy Deep Hollow Road), pomieszczenie socjalne ze starymi, rozpadającymi się kanapami i niewielką kuchenką bez zmywarki. Na przestrzeni lat centrum kontroli wielokrotnie odnawiano i modernizowano zgodnie z wymogami postępu technicznego i zmian zachodzących we wzornictwie przemysłowym, nie zapominając jednak o konieczności oszczędnego gospodarowania funduszami. Jako szef bezpieczeństwa HEX-a Robert Grim bezustannie odnosił wrażenie, że gra rolę w jednym z odcinków przygód Jamesa Bonda, wyreżyserowanym przez kogoś ograniczonego umysłowo. Najbardziej bolesnym dowodem na to było tekturowe pudło, przynoszone tutaj co tydzień przez Coltona Mathersa, zawierające zazwyczaj zapki błyskawiczne i herbatę Lipton w czternastu różnych smakach.

Czajnik elektryczny nie działał od wielu miesięcy.

Jednak dzisiejszego wieczoru nawet wizja głupawej twarzy Mathersa nie mogła zmącić dobrego nastroju Grima. Wszedł do pokoju koordynacyjnego i niemal wyśpiewał powitanie do pełniących nocny dyżur Warrena Castillo i Claire Hammer.

— Co jest, ktoś cię przeleciał czy co? — zapytał Warren.

— Lepiej — odparł Grim. — Mieliśmy premierę galową.

Z szerokim uśmiechem postawił na stół laptopa.

— Nie!

— Tak!

— Bohater!

Warren roześmiał się głośno, ale Claire warknęła nieprzyjemnie jak

zamykająca się pułapka na myszy:

— Robert, do diabła, co ty sobie myślisz? — zawołała. — Już raz dzisiaj zadarłeś z Coltonem i chyba nie zamierzasz tego powtórzyć?

— A co on mi może zrobić? Jeszcze raz na mnie nawrzeszczyć?

— Według protokołu...

— Pieprzyć protokół. Popiera mnie całe miasto. Oni to kochają. Absolutnie kochają. Potrzebują tego, Claire. Pozwól im spuścić czasem trochę pary. Mamy tutaj aż nadto ciężkiej roboty. A żalosa dupa Coltona z zadowoleniem przyjmuje od czasu do czasu jakiś figiel.

Warren uniósł brwi.

— Zadowolenie Coltona Mathersa z figli jest tak nieprawdopodobne, jak zakończenie filmu Disneya, w którym wszyscy umierają z powodu krwotoku wewnętrznego.

— Mówię po prostu, żebyś był ostrożny, Robert — odezwała się z naciskiem Claire. — Bo to może wrócić i mocno cię trzasnąć.

— Karma to suka. Ale dość już tego. Jak spędza noc nasza uroczą damą?

Warren wrzucił na główny ekran mapę cyfrową. Miejsca najświeższych pojawień czarownicy zaznaczone były słabymi światełkami. Jedno z nich, w dolnej części Black Spring niedaleko drogi numer 293, błyskało na czerwono.

— Przebywa na Weyant Road, w piwnicy pani Clemens, od wpół do szóstej. Podobno jest tam mnóstwo mebli. Pani Clemens natknęła się na nią dopiero wtedy, gdy zeszła po puszkę kukurydzy. Stoi wciśnięta pomiędzy krzesłem do masażu a deską do prasowania.

— Wiele nie trzeba, żeby była szczęśliwa — powiedział Grim.

— Pani Clemens mocno się zdenerwowała. W jej wieku niespodziewani goście to coś, czego może nie przeżyć. — Warren parsknął śmiechem. — Ale zadzwoniła do nas, uwierzyłybyś? Nic nie powiedziałem, jednak w zeszłym roku poprosiła o iPhone'a, bo chciała używać cholernej aplikacji. Myślę, że korzysta z niego tylko wtedy, gdy rozmawia przez Skype'a z córką w Australii.

— Szkoda, że nie skorzystała ze Skype'a przy tym krześle do masażu. — Grim popatrzył na ekran. — A Katherine? Jest wstrząśnięta po wydarzeniach dzisiejszego poranka?

— Nie, a przynajmniej tego nie zauważyliśmy — odparła Claire. — Chyba w żaden sposób to na nią nie wpłynęło. Być może ma guza na czole, ale wiesz, jak znikają zmiany, kiedy przemieszcza się z miejsca na miejsce. Ciekawa jednak jestem, czy w przyszłym tygodniu zmieni trasę.

— Stare przyzwyczajenie trudno jest wykorzenić — powiedział Warren. Ziewnął i popatrzył na Grima. — Wiesz co, może się trochę zdrzemniesz, pracoholiku? My damy sobie tutaj radę we dwoje.

Grim uznał, że może skorzystać z rady Warrena, kiedy tylko sprawdzi pocztę

elektroniczną. Claire znów skoncentrowała uwagę na ruchu w Internecie, a Warren zaczął układać pasjansa. W poczcie ani na Yahoo! News nic nie było i po dziesięciu minutach Grim zorientował się, że on także ziewa. Gotów był pójść do domu, kiedy Warren nagle podskoczył przy biurku i wrzasnął triumfalnie:

— Wizyta domowa! Wiedziałem!

Grim i Claire odwrócili się i popatrzyli na niego. Claire opadła szczęką.

— Niemożliwe. U Delarosów?

Warren zatańczył przed biurkiem, robiąc wygibasy przywodzące na myśl moonwalk i gangnam style jednocześnie. Grim nie potrafił zdecydować, czy jest on dobrym, czy też skończenie złym tancerzem.

Claire wciąż nie dowierzała.

— Przecież mieszkają tutaj zaledwie od tygodnia. Jak to możliwe?

Na wielkim ekranie widoczne były zielonkawe, jak to kręczone w nocy, obrazy wydarzeń, pokazywane przez kamerę D19-063 umiejscowioną przed posesją pani Barphwell, obecnie należąca do Delarosów. Na środku ulicy stała Bammy Delarosa, niczym antyczna Greczynka owinięta jakimś białym materiałem. Chociaż kamery obserwacyjne w Black Spring nie miały mikrofonów, było jasne, że kobieta krzyczy. Jej mąż — na imię miał Burt, Burt Delarosa — ubrany był jedynie w slipy i podskakiwał dookoła niej przerażony i bezbronny. W oczach Roberta Grima oboje wyglądali jak satyr i menada, pragnąca jak najszybciej pójść w objęcia Dionizosa.

Doświadczenie Grima z podobnymi sytuacjami dodało mu otuchy. Delarosowie wybiegli z domu tak szybko, jak tylko uniosły ich nogi, zapomniawszy w pośpiechu telefonów komórkowych. Dzięki temu Grim i jego zespół mieli trochę więcej czasu, zanim małżeństwo wpadnie na pomysł zatelefonowania pod numer alarmowy. W każdym razie nie sprawiali wrażenia, że potrafią się opanować i skontaktować z władzami. Pewnie prędzej zatelefonowaliby po egzorcystę — gdyby taka myśl w ogóle powstała im w głowach.

Po prawej stronie ekranu rozbłysnął kwadrat światła. To pani Soderson mieszkająca obok otworzyła drzwi i wyszła z domu. Z różnych stron przybywało coraz więcej sąsiadów próbujących uspokajać nowicjuszy.

— Tak, wizyta domowa — powiedział Grim. — Gratulacje, Warren. Zaraz pękne ze śmiechu.

— Zaraz zadzwoni telefon — odezwała się Claire.

Rzeczywiście, po sekundzie zadzwonił. Claire podniosła słuchawkę i zaczęła rozmawiać z jednym z sąsiadów Delarosów.

Warren stał obok Grima, wpatrując się z zamyśleniem w ekran.

— Teraz dowiedzą się, dlaczego utknęli u nas na resztę życia.

— Tragedia. Nie mogła się przydarzyć miłszym ludziom.

— Kto się tym zajmie?

— Ja — odparł Grim bez wahania.

Chociaż wiedział, że z tego powodu bezpowrotnie straci możliwość przespania się tej nocy choćby przez chwilę, akceptował to bez narzekania. Miłosierdzie nie było jego mocną stroną, jednak współczuł Delarosom. Przekazanie nowicjuszom informacji nie było łatwym zadaniem. Delarosowie będą musieli zrewidować swoją percepcję zjawisk duchowych i nadprzyrodzonych w sposób subtelny i jednocześnie drastyczny. Grim, urodzony i wychowany w Black Spring, nigdy nie zaznał takiej chwili, bywał jednak jej świadkiem wystarczająco często, żeby znać jej traumatyczne efekty. Był niepraktykującym metodystą i poza pracą nie miał ze zjawiskami paranormalnymi żadnej styczności. A jednak jakieś nieokreślone pokłady jego *spiritus mundi* po prostu akceptowały fakt, że niewytłumaczalne zjawiska zdarzają się nawet na świecie, który uważa się za w pełni oświecony. Jednak nie to było dla niego najbardziej bolesne: dla wielu nowych ludzi w Black Spring informacja o nieodwracalności ich losu, jego skończoności, była pierwszą przedziwną konfrontacją z własną śmiertelnością. Ludzie z desperacją opierali się nieuchronności własnej śmierci, odwracając się od tego zagadnienia i unikając jakichkolwiek rozmów na ten temat. Jednak w Black Spring współżyli ze śmiercią. Wprowadzali ją do własnych domów i ukrywali ją przed światem zewnętrznym... a czasami stawiali na jej drodze latarnię.

Jednak Delarosowie... nieodwracalność zjawisk oraz śmierć nie pasowały do ich kosmopolitycznego, wyrafinowanego życia i zwrotów w karierze dokonywanych po menopauzie. Black Spring było pigułką arszeniku, którą przypadkowo odkryli pod językami i rozgryźli, nie zdając sobie z tego sprawy. Gdyby Robert Grim nie przegrał właśnie zakładu, pewnie by się nad nimi litował.

Obserwowali na wielkim ekranie, jak sąsiedzi wprowadzają Delarosów do domu pani Soderson. Claire odłożyła słuchawkę i powiedziała:

— Są w dobrych rękach. Obiecałam, że za dziesięć minut będziemy mieli gotowy zespół. Kto jedzie?

— Ja — odpowiedział jej Grim. — Czy oni są wierzący?

— Nie. O ile dobrze pamiętam, on w młodości był metodystą, ale już nie praktykuje.

— Kościoła więc nie mieszajmy.

— Kij i laska Pana dodadzą im otuchy¹ — zacytował uroczyście Warren.

— Naprawdę chcesz tam jechać, Robert? Po twoim ostatnim kontakcie z nimi prawdopodobnie jesteś ostatnią osobą, która może ich uspokoić.

Przecież wcale nie zamierzamy ich uspokajać, pomyślał Grim. Z konieczności jeszcze mocniej wstrząśniemy ich światem.

— Są w zbyt wielkim szoku, żeby zdać sobie sprawę, kim jestem. Wezmę ze sobą jeszcze Pete'a VanderMeera i Steve'a Granta. W tym miesiącu to oni dyżurują przy telefonie. Socjolog i lekarz, obaj mają wystarczające doświadczenie, żeby

wiedzieć, w jaki sposób nawlec tę igłę. Och, i przyda się któraś z żon, dla Bammy. To powinno wystarczyć. — Włożył płaszcz i dodał: — Aniele, pamiętaj, że dzwoniąc, będziesz zrywać ich z łóżek.

Zostawił Warrena i Claire w centrum kontroli i przygotował się na bardzo długą noc.

6

— Nazywa się Katherine van Wyler, jednak większość z nas nazywa ją czarownicą albo wiedźmą z Black Rock — powiedział Pete VanderMeer.

Głęboko zaciągnął się papierosem i popadł w zamyślenie.

Siedzieli w holu Point Inn, w zniszczonych skórzanych fotelach, cuchnących starością. Na stoliku pomiędzy nimi stało pełno szklanek z niedopitymi napojami, butelek i termosów. Przygotowawszy pokój dla Delarosów, gospodyni wróciła do łóżka, pozostawiając skąpo oświetlony bar hotelowy we władaniu gości. Pete VanderMeer i Grim pili piwo; Steve popijał kawę. Jocelyn siorbała z kubka gorący rumianek, podobnie jak Bammy Delarosa, która jednak po namowach Grima przyjęła od niego porcję wódki. Jej mąż nie potrzebował szczególnej zachęty i był już po trzeciej kolejce. Nie był jeszcze pijany, jednak znajdował się na najlepszej drodze. Prawdopodobnie dobrze mu to robi, pomyślał Steve.

Burt i Bammy Delarosowie nie byli bynajmniej aroganckimi snobami, za jakich Grim ich dotąd uważał. Steve zaczynał ich nawet lubić, chociaż w tej chwili trudno mu było zorientować się, jacy są w zwyczajnych, codziennych sytuacjach. Niemniej, kiedy minął pierwszy szok, zaczęli podchodzić do całej sytuacji trochę spokojniej. Nie znaczy to, że pogodzili się z nią. Byli jakby odrętwiali, w taki sam sposób, w jaki odrętwiali są przedsiębiorcy pogrzebowi, kiedy muszą omawiać z rodziną zmarłego praktyczne sprawy dotyczące pogrzebu. Jutro lub najpóźniej w czasie weekendu ostro uderzy w nich realizm sytuacji, a kiedy to się stanie, w pełni pojmą, z czym mają do czynienia. W każdym razie w tej chwili mieli szansę dokonać odkrycia w bezpiecznym wnętrzu hotelu. Nic na świecie nie mogło przekonać Delarosów, żeby teraz wrócili do swojego ciemnego, opuszczonego domu... tam, gdzie przebywała ona.

Grim pojechał po Pete'a, Jocelyn i Steve'a swoim dodge ramem i nowicjusze powitali ich wszystkich grzecznie, lecz z drżącymi rękami w hotelowym holu. Początkowo Steve czuł się udręczony i lekko oszołomiony; on i Jocelyn spali już od dwóch godzin, kiedy zadzwonił telefon. Teraz jednak, gdy kawa w końcu zagnieździła się w jego żołądku, umysł powoli zaczynał mu się rozjaśniać.

— Katherine van Wyler — powiedział Burt Delarosa niepewnym głosem.

— Tak — odparł Pete. — Mieszkała w Ostępie Filozofów, lesie za posiadłościami, które obecnie zajmują Steve i Jocelyn oraz ja z żoną. To w Black Spring została w 1664 roku skazana na śmierć za rzucanie czarów, chociaż to

miejsce wcale nie nazywało się wówczas Black Spring. Było kolonią holenderskich traperów, znaną pod nazwą New Beeck. Pozostała na zawsze w tym miejscu.

Za ich plecami trzasnęło jakieś grube polano w kominku i Bammy podskoczyła na krześle jak na sprężynie. Biedna kobieta była płochliwa jak sarna, zauważył Steve, w kącikach ust miała głębokie zmarszczki, które świadczyły, że znajduje się w stanie ogromnego napięcia.

— W Highland Falls, Fort Montgomery i, oczywiście, w Poincie wszyscy wiedzą, że okoliczne wzgórza i lasy są nawiedzone. Ale ludzie wcale nie muszą znać szczegółów. Czują to, ponieważ aura nawiedzenia unosi się w powietrzu, jak zapach ozonu po burzy z piorunami. Jednak czarownica jest wyłącznym problemem Black Spring i, niestety, nie możemy zrobić nic, tylko utrzymywać bieżący stan rzeczy.

Upił łyk piwa. Delarosowie wpatrywali się pustymi spojrzeniami we własne szklanki i nie mogli się zmusić, żeby wziąć je do rąk.

— O jej życiu wiadomo tak mało, że prawie nic, co jedynie dodaje zagadkowości jej postaci. Musiała tutaj przybyć na jednym ze statków Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej około 1647 roku. W owym czasie Nowy Amsterdam był tętniącym życiem miastem portowym. Osady wzdłuż rzeki Hudson, w których handlowano z Indianami, były bardzo prymitywne, a opowieści o tamtych wydarzeniach przekazywano sobie jedynie z ust do ust, z pokolenia na pokolenie. Czas sprawił, że wiele z nich pokryła niepamięć. Katherine mogła być pasterką, a może akuszerką. Rolą kobiet w Nowym Świecie było budowanie społeczeństw.

— Poprzez rodzenie dzieci — wyjaśniła Jocelyn.

— Właśnie. One rozsiewały ziarna nowej cywilizacji. Osiedla budowane przez Holendrów powstawały głównie na bezpiecznych brzegach rzek. A lasy po zachodniej stronie pełne były niebezpieczeństw, Indianie z plemienia Munsee zakładali pułapki w lasach, które teraz nazywamy Black Rock, czyli mniej więcej w okolicy, gdzie Holendrzy założyli New Beeck. Ale raczej dobrze dogadywali się z Indianami. Handlowali z nimi. To Anglicy się z nimi ścierali. No i Nowa Anglia bardzo pragnęła wchłonąć Nową Holandię. I tak się stało w kolejnym roku: Anglicy zaanektowali osiedla holenderskie, ale nie przelano przy tym ani jednej kropli krwi. I to w końcu Anglicy siłą pozbyli się Munsee... chociaż wielu ludzi uważa jednak, że plemię Munsee opuściło swoje terytoria dobrowolnie i powędrowało na północ. Ponieważ wtedy Black Spring było już zakazanym miejscem.

— Przepraszam, a co to właściwie oznacza? — zapytał Burt Delarosa.

— Oznacza to, że nad miastem ciąży klątwa — odparł Grim ze swoim zwykłym brakiem delikatności. — Że jest ono przeklęte. Zatrute.

— Przynajmniej wierzono w to w dawnych czasach — zauważyła Bammy.

— Tak, można to ująć w ten sposób — przyznał Grim z szyderczym uśmiechem na ustach, jednak pod wpływem jadowitego spojrzenia Pete'a VanderMeera opamiętał się.

Delarosowie popatrzyli na siebie i oboje zmarszczyli czoła. W innych okolicznościach ta synchronizacja ich zachowania byłaby nawet śmieszna.

— Musicie państwo zrozumieć, że zabobony już dawno temu zagnieździły się w ludzkiej psychice — kontynuował Pete. — Mam tu na myśli psychikę ludzi, którzy musieli dawać sobie radę w całkowicie obcym świecie, w bardzo niebezpiecznych czasach. W Europie ludzi dopadały epidemie i zarazy, plagi nieurodzaju, zagrażał głód i bezprawie, a Nowy Świat był pełen nieznanych nigdzie indziej dzikich bestii, brutalnych tubylców i demonów. Nikt nie wiedział, jakiego rodzaju siły nadprzyrodzone panują na zachód od ich osiedli. Sytuacja osadników była co najmniej nieprzyjemna. Bez zdobyczy nauki ludzie musieli dawać wiarę opowieściom starych kobiet i omenom. Bali się Boga Wszchemogącego, śmiertelnie przerażał ich diabeł. Te wszystkie strachy odciskały piętno na okolicznych puszcach. Tylko pomyślcie, jak się nazywa wzgórze za naszym domem.

— Mount Misery? — zapytał Burt. — Zaledwie tydzień temu poszliśmy tam na pieszą wycieczkę. Przepiękne miejsce. Ze szczytu widzieliśmy Hudson.

— I doskonale się tam spaceruje. Obecnie wzgórze jest całkowicie bezpieczne, o ile nie schodzi się z wytyczonych szlaków. Ale te omeny... Musicie je odbierać jako prymitywne formy meteorologii, mimo że nie przepowiadają pogody, lecz zbliżającą się katastrofę. Naturalnie słyszeliście o procesach czarownic z Salem, które miały miejsce jakieś dwadzieścia albo trzydzieści lat później w kolonii nad zatoką Massachusetts. Poprzedziły je nieudane zbiory zbóż, epidemia czarnej ospy i bezustanne zagrożenie atakami miejscowych plemion. Dopiero później połączono te fakty, ale to nie ma znaczenia. Od tamtego czasu strach odgrywał wielką rolę w wyolbrzymianiu plotek poprzedzających tragedie. Ludzie wszędzie widzieli znaki nadchodzącego nieszczęścia. Martwe porody, dziwne zjawiska w przyrodzie, gwałtowne gnicie mięsa, wielkie ptaki na niebie...

— Pete uśmiechnął się szeroko. — Holendrzy mocniej stąpali po ziemi niż purytanie, ale w 1653 roku w Nowym Amsterdamzie pojawił się wielki ptak, który codziennie o zmroku, przez trzy tygodnie, lądował na iglicy kościoła portowego, wywołując ogromny hałas. Mówiono, że jest większy niż gęsi, szary i poluje na martwe ludzkie ciała. Dzisiaj oczywiście możemy bez obawy o pomyłkę powiedzieć, że to był po prostu sęp, jednak wówczas ludzie nie znali natury tych ptaków. Bo skąd mogli cokolwiek o nich wiedzieć ówcześni kolonizatorzy? Tłum zbierał się na ulicach i snuł przepowiednie oparte na zachowaniu ptaków. Rada miejska postanowiła w końcu ptaszysko zastrzelić, jednak było za późno: w następnym roku mieszkańców zdziesiątkowała czarna ospa. Ludzie obwinili

o nią ptaka.

Jocelyn coś sobie przypomniała.

— Steve, opowiedz tę historię o lekarzu i dzieciach. Nie jestem pewna, czy Pete ją zna.

— Nie, nie znam.

— Kiedyś opowiedział mi ją pewien kolega z New York Med — zaczął Steve. — Przed epidemią z 1654 roku, o której mówimy, pewien lekarz z Nowego Amsterdamu o nazwisku Frederick Verhulst badał zachowania dzieci, które bawiły się w „pogrzeb”. Dzieci kopały doły poza murami fortu, a następnie wynosiły do nich w ponurych procesjach skrzynie z owocami. Ich rodzice uznali, że dzieci zostały opętane, a ich zabawę uznano za zły omen.

— Dzięki Bogu, że w dzisiejszych czasach mamy Wikipedię — powiedział Pete.

Wszyscy się roześmiali, nawet Delarosowie, chociaż Bammy zdobyła się jedynie na słaby uśmiezek.

— Funkcjonuje wiele podobnych historii — kontynuował Steve. — Niektóre są dość okrutne. Od tego czasu zaczęto znajdować ludzkie zwłoki z kawałkami muru wcisniętymi pomiędzy szczęki. W czasie bostońskiej epidemii żółtej febry w 1693 roku często otwierano masowe groby, żeby dorzucać do nich nowe zwłoki, a grabarze natrafiali w tych grobach na spuchnięte ciała, z których ust wypływała krew, a całuny na twarzach nieboszczyków były poprzegryzane. Wyglądało to tak, jakby zmarli wgryzali się w całuny i wracali do życia, żeby pić krew. Dzisiaj wiemy już, że gnijące ciała nabrzmiewają z powodu wypełniających je gazów. Gnijące organy wypychają płyny z ust, a całuny zjadane są przez bakterie, które się w nich znajdują. Jednak wówczas martwych, którzy ożywali w grobach, uważano za winowajców epidemii, dzięki niej zyskujących nowe zwłoki, z których mogli spijać krew. Kapłani wsuwali więc zmarłym do ust kawałki murów, żeby ich zagłodzić.

Zapadła przejmująca cisza, zakłócana jedynie przez trzask drewna w kominku. Po chwili odezwał się Burt:

— Widzicie, nawiedzone miasta w pewnym sensie przecież się rozwinęły. Powiedźcie nowicjuszom, jak tutaj jest miło. Opowiedźcie o dobrych restauracjach i takich tam...

Grim prychnął i zachłysnął się piwem. Tymczasem wszyscy głośno się roześmiali, nawet Bammy. Jocelyn kilkakrotnie uderzyła Grima w plecy; dopiero po dłuższej chwili doszedł do siebie. Steve pomyślał, że dowcip Burta to dobry znak. Oznaczał, że nie jest wstrząśnięty na tyle, by wszystko, co tej nocy usłyszał, jednym uchem wpuścić, a drugim wypuścić. Mogło to nastąpić jedynie, gdyby wypił całą butelkę wódki.

— Bardzo trafna uwaga — powiedział Pete, kiedy wszyscy przestali się

w końcu śmiać. — Ci, którzy przepowiadali zagładę, korzystali z ludzkiej niepewności i strachu, który atakuje ludzi, kiedy mają do czynienia z klęskami nieznanego natury. A w tym czasie rodziły się ślepe dzieci, w błocie pojawiały się odciski kopyt dziwnych zwierząt, na nocnym niebie ukazywały się dziwne światła... Kiedy ludzie zaczynają wierzyć w omeny, następuje ogólne załamanie w ich sposobie myślenia i życia. Jakież to straszliwe rzeczy nas wkrótce czekają? Zadają sobie wyłącznie takie, a nie inne pytania. To zjawisko było podatnym gruntem dla strachu przed Katherine van Wyler.

— Uznali ją za czarownicę — zauważył Burt.

— Właśnie — odparł Pete. Jego papieros prawie wypalił się na popielniczkę i zaczął sobie skręcać kolejnego. — Jest to niby typowa ponura historia polowania na czarownicę, a jednak pod wieloma względami różni się ona od innych. Na przykład jeśli chodzi o jej przyczynę: Katherine była samotną kobietą mieszkającą w lesie, wszyscy więc traktowali ją z góry. W roku 1664 miała zapewne jakieś trzydzieści lat, ponieważ była matką dwojga małych dzieci, syna i córki. Kim był ojciec i dlaczego z nią nie mieszkał, tego nie wiemy. Krążyły opowieści, że wiązała się z Indianami. Jeśli dodać do tego fakt, że opuściła kościół, nic dziwnego, że wkrótce ludzie zaczęli wytykać ją palcami. Mawiali, że praktykuje pogańskie obrzędy. To, co rzekomo miało z tych praktyk wynikać, stało się wodą na młyn dla wszelkich plotek.

— Czciła szatana? — zapytał Burt.

— Przypisywano jej sodomie. Zezwierzęcenie. Kanibalizm. Rzecz jasna, mawiano, że współdziałała z diabłem.

— Jezu.

— Część z Jezusem nastąpi za chwilę. W październiku 1664 roku dziewięcioletni syn Katherine zmarł na czarną ospę. Świadkowie zeznawali, że widzieli ją, jak ubrana w kompletny strój żałobny zakopuje jego zwłoki w lesie. Ale kilka dni później ludzie zobaczyli chłopca, jak spaceruje ulicami New Beeck, jakby Katherine przywróciła go do życia niczym Jezus Łazarza. Zaczęli rzucać w niego kamieniami, mówię wam. Jeśli wskrzeszenie kogoś z martwych nie jest ostatecznym i najmocniejszym dowodem, że ktoś ma do czynienia ze sprawami obcymi zwykłemu śmiertelnikowi, to cóż nim jest? Katherine van Wyler została skazana na śmierć za uprawianie czarów. Po ciężkich torturach do wszystkiego się przyznała, jednak nie ma w tym nic dziwnego. Boże, po łamaniu kołem i zanurzaniu pod wodę każdy przyzna, że potrafi latać pomiędzy dachami na miotle. A z Katherine postąpiono naprawdę okrutnie. Zmuszono ją nawet do zabicia bezbożnego stwora, który rzekomo był jej zmartwychwstałym synem, i to gołymi rękami. Gdyby tego nie uczyniła, sędziowie kazaliby zabić nie tylko ją i tego chłopca, ale także jej córkę.

— To straszne! — wykrzyknęła Bammy. — Musiała zatem wybrać między

swoimi dziećmi?

Pete wzruszył ramionami.

— Wtedy matki nie żywiły takiej miłości do dzieci jak dzisiaj. Wiał zimny wiatr ze Starego Świata. Oskarżenia i wyroki za uprawianie czarów były na porządku dziennym. Katherine nie miała wyboru, po prostu zrobiła to, co jej kazano, zabiła syna i ocaliła córkę. Kiedy to uczyniła, w akcie miłosierdzia skazano ją na śmierć przez powieszenie. Ludzie jednak nie zabili jej swoimi rękami: musiała sama założyć sobie stryczek i skoczyć z podwyższenia ku pewnej śmierci. Miało to symbolizować jej pokutę i dobrowolne poddanie się karze. Gdy wyzionęła ducha, jej ciało rzucono w lesie na pożarcie dzikim zwierzętom. Tak zresztą działo się niemal zawsze w podobnych przypadkach. Innym sposobem uśmiercania czarownic było palenie ich na stosie. Oczywiście, wszystkie te kobiety były Bogu ducha winne.

— Straszne — mruknęła Bammy i zadrżała.

— Ale w tym wypadku kobieta wcale nie była taka niewinna, jak się zdaje — powiedział Grim.

Delarosowie popatrzyli na niego.

— Chwileczkę, wcale tego nie wiemy — dodał Pete pośpiesznie. — Nie wiemy, czy była winna przestępstw, za które została skazana. Nawet w Black Spring trudno nam jest przyjmować cokolwiek w tej kwestii za pewnik. Wiemy tyle: osadnicy wierzyli, że Katherine van Wyler wskrzesiła syna po śmierci... I to im wystarczało. Spoglądając wstecz, jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że za życia posiadała pewne moce nieznanne innym, jednak nic nie wskazuje na to, że dokonywała cudów albo że wykorzystywała swoje umiejętności, aby komukolwiek czynić krzywdę. Bardziej prawdopodobne jest, że to jej gwałtowna śmierć, poprzedzona strasliwymi torturami i zmuszeniem jej, aby zamordowała własne dziecko, uczyniła z Katherine taką postać, jaką jest dzisiaj. Ale tutaj poruszamy się jedynie w sferze domysłów. Świat okultyzmu nigdy nie dostarcza wystarczającego materiału badawczego do rzetelnych dociekań naukowych.

— Dobrze — powiedział Burt Delarosa. Wypił kolejny kieliszek wódki. — A więc macie tutaj swoją własną wiejską zjawę. — Roześmiał się piskliwie, jakby zdziwił się, że wypowiada te słowa, i wyciągnął rękę z pustym kieliszkiem w kierunku Grima. — To jest w sumie fascynujące. Kiedy zatelefonowałeś do mnie, mówiłeś prawdę, sukinsynu. A ja myślałem, że mnie nabierasz. Cóż... oczywiście, że tak myślałem.

— O czym ty mówisz? — zapytała Bammy.

Była wyraźnie zaskoczona.

— Mówię o dniu, w którym on i ta kobieta próbowali nas przekupić. Tego samego dnia zatelefonował na moją komórkę i spróbował jeszcze raz, opowiadając mi jakąś niedorzeczną historyjkę o Czarownicy z Zachodu. Nie mówiłem ci o tym,

ponieważ zaszokowało mnie to, jak daleko można się posunąć w natarczywości, no i nie chciałem cię denerwować. I... cóż, wiesz przecież, kochanie, co sobie o nich myśleliśmy.

— Przepraszam — powiedział Grim bez cienia ironii w głosie.

— Nazwałeś ją wiejską zjawą — zauważył Pete — co nie jest do końca poprawnym określeniem, ale dość bliskim. Zdaje się, że bez większych trudności zaakceptowałeś, że to, co pojawiło się w waszej sypialni, jest czymś realnym, jednak bardzo szczególnym. Dlaczego nie zadzwoniliście na policję, kiedy zobaczyliście tę, jak mówisz, zjawę? Przecież ludzie właśnie od tego zaczynają, kiedy stwierdzą obecność intruza w domu. Mogliście też dzwonić po pogotowie, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowała.

Delarosowie wymienili cierpkie spojrzenia. Nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Steve'a ogarnęło nagle poczucie déjà vu, jak zwykle kiedy uczestniczył w rozmowie, w trakcie której nowicjuszom ujawniano złożoność sytuacji. Działo się tak zaledwie kilka razy w roku, o ile mieli szczęście, i zazwyczaj o bardziej cywilizowanej godzinie. Jednak pora dnia nie miała nic wspólnego z tym, co teraz czuł. Było to przed osiemnastu laty, gdy spotkał się z tym samym Pete'em VanderMeerem co dzisiaj, wówczas znacznie młodszym, ale już pracującym na wydziale socjologii Uniwersytetu Nowojorskiego, może mniej biegłym w snuciu opowieści, jednak posługującym się identycznym, spokojnym i jakby zamyślonym głosem. Z tego spotkania Steve pamiętał głównie strach i niepewność. Słuchaliśmy opowiadania o omenach i czarownicach, a jednak ani przez chwilę mu nie wierzyliśmy. Nie... nawet po tym, co zobaczyliśmy.

W końcu odezwała się Bammy:

— Poczuleś, że ona... że ona wcale nie jest intruzem. Właściwie po jednym spojrzeniu nie było co do tego wątpliwości. Ale była złem. — Popatrzyła na męża. — Może im powiem, jak to było?

Burt chyba chciał coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką.

— Mów.

— Jeszcze wtedy nie spaliśmy. Byliśmy... zajmowaliśmy się sobą. — Dyskretne rumieńce zakwitły na jej policzkach, a Steve i Grim ugryźli się w język. Przez wiele lat praktyki lekarskiej Steve nie słyszał bardziej świętoszkowatego opisu aktu seksualnego czy też opisu bardziej pasującego do osoby go wygłaszającej. — Położyłam się na plecy i nagle ją zobaczyłam, w nogach, tuż przed łóżkiem. Zobaczyłam ją za Burtem. Było w niej coś, co wywoływało gęsią skórę. Po pierwsze sam fakt, że pojawiła się w jednej chwili, jakby spadła z nieba, i na mnie patrzyła. Mimo że nie miała oczu, a jedynie czarne, postrzępione nici na opuszczonych powiekach i właśnie nimi na mnie spoglądała. Okropnie mnie przeraziła.

— Usłyszałem krzyk żony — dodał Burt głosem bezbarwnym i suchym. —

Wyślizgnęła się spode mnie, jakby poraził ją prąd. I wtedy także ją zobaczyłem. I również krzyknąłem. Wydaje mi się, że ostatnio zdarzyło mi się to, kiedy wpadłem do przerębła na Jamaica Bay, teraz jednak krzyczałem znowu. Wrzeszczałem z całych sił. Było tak, jak mówi Bammy: nie miałem cienia wątpliwości, że w naszej sypialni pojawiła się zjawa albo nocny koszmar, tyle że ten koszmar był całkiem realny i oboje się na niego gapiliśmy. Bammy okryła się prześcieradłem i wybiegła z sypialni. Pobiegnęłam za nią, jednak kiedy dotarłem do drzwi, odwróciłem się, ponieważ chciałem sprawdzić, czy koszmar nie zniknie, jeśli kilkakrotnie zamrugam oczami, tak jak to się dzieje z koszmarami. Ale ona wciąż tam była. I... wróciłem.

— Ale dlaczego? — zapytała Bammy, zaszokowana.

Burt wzruszył ramionami.

— Cóż, w naszej sypialni pojawiła się okaleczona kobieta. Skuta łańcuchami. Chyba chciałem się przekonać, czy mogę coś dla niej zrobić.

— I coś się stało? — chciał wiedzieć Grim.

Początkowo Burt nic nie mówił, a Steve zauważył, że Bammy mocno zaciska dłoń na jego ręce.

— Nie — powiedział w końcu. — Po prostu sobie stała. A ja bałem się i w końcu poszedłem za żoną.

Grim i Steve wymienili spojrzenia. Pete przejrzał kłamstwo, uznał jednak, że nie ma ono znaczenia, przynajmniej na razie.

— Doskonale. Oboje więc odnieśliście wrażenie, że nie macie do czynienia z istotą ludzką?

— Jak to jest, że właściwie niczego o niej powszechnie nie wiadomo? — zapytał Burt. — To znaczy, jeśli wasze miasto naprawdę nawiedza duch — a nie przyjmę tego do wiadomości, dopóki dokładnie nie zbadam sprawy — ale założmy, że to jest prawda, to cała wiedza naukowa wywróci się do góry nogami. Nagraliście ją kiedykolwiek na wideo?

— W naszym archiwum cyfrowym mamy ponad czterdzieści tysięcy godzin nagrań — powiedział Grim. — Kamery porozmieszczane są w całym mieście. Nie zauważyliście tego jeszcze? Przechowujemy materiały przez dziesięć lat, ale potem je wyrzucamy. Po dłuższym oglądaniu są po prostu nudne.

Delarosowie znów wbili w niego spojrzenia.

— Chyba nie nadażam — powiedział Burt powoli.

— Robert chce przez to powiedzieć — odezwał się Pete — że robimy wszystko, co w naszej mocy, aby wiedzy o Katherine nie rozpowszechnić. Zasadniczo zależy od tego nasze życie. — Popatrzył prosto w oczy najpierw Burtowi, potem Bammy. Steve z głębokim szacunkiem dla Burta skonstratował, że słuchając go, mężczyzna nie odwrócił głowy. — Otóż, widzicie, historia Katherine nie kończy się wraz z jej śmiercią. Pewnego zimowego poranka 1665 roku, cztery

miesiące po tym, jak ją powieszono, grupa ludzi pod wodzą byłego dyrektora generalnego Nowej Holandii, Petera Stuyvesanta, udała się na wzgórze, żeby sprawdzić, jak się powiodło traperom. Gdy weszli do New Beeck, osada była całkowicie opustoszała. Z dachów zwisały sople lodu, wszystko było pokryte grubą warstwą śniegu. Najdziwniejsze jednak zdawało się to, że śnieg wcale nie był świeży. Powinny być więc na nim widoczne różne ślady, jednak nic z tego. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy mieszkańcy po prostu wyparowali, i to jednej nocy. Nigdy więcej ich nie widziano. Holendrzy podejrzewali działanie jakiejś klątwy i później unikali osady duchów i otaczających ją wzgórz, gdyż byli przekonani, że na wszystkich ludzi, którzy tam się udadzą, spoglądać będzie z góry „złe oko”. W czerwcu następnego roku Stuyvesant wrócił do Holandii. Większość spośród pierwszych osadników opuściła te tereny i wydarzenia związane z Katherine van Wyler zaczęły znikać z ludzkiej świadomości. Jedynym oficjalnym dokumentem historycznym, wspominającym o zniknięciu ludzi z New Beeck, jest tekst, który powstał czterdzieści lat później, w 1708 roku. Znajduje się on w państwowych archiwach holenderskich i zawiera streszczenie legendy. Dysponujemy jego treścią. Przypisuje exodus ludzi z New Beeck trudnościom gospodarczym, spowodowanym drugą wojną angielsko-holenderską i przejściem Nowego Jorku, zakłada też, że część osadników zginęła w potyczkach z plemionami indiańskimi.

— A więc to jest jakaś lokalna tradycja? — mruknął Burt.

— Tyle że — wtrąciła się Jocelyn — według pewnych źródeł Indianie opuścili te tereny poprzedniej jesieni, w środku sezonu na polowania. Według legendy bali się i mówili, że lasy, które kiedyś uważali za swoje, zostały „zanieczyszczone”. Trudno nam dzisiaj powiedzieć, co naprawdę spowodowało ich nagłą rezygnację z lukratywnego handlu z osadnikami i dlaczego wydarzyło się to od razu po tym, jak traperzy pozostawili ciało Katherine w lesie.

— Właśnie. — Pete pokiwał głową. — Ale relacje z późniejszych wydarzeń są trochę pełniejsze, ponieważ to, co się stało w 1713 roku, zostało udokumentowane. W kwietniu tego roku do osady wprowadzili się osadnicy angielscy i zmienili jej nazwę na Black Spring. Po tygodniu trzy osoby popełniły samobójstwo. Bethia Kelly, akuszerka, zdążyła zabić ośmioro dzieci, zanim ktokolwiek się zorientował.

— Chyba zmyślasz.

— Chciałbym. Kiedy ludzie przyszedli ją aresztować, oznajmiła, że to kobieta, która wyszła z lasu, wyszeptala jej do ucha, żeby wybrała jedno z dzieci i je zabiła. Ponieważ nie potrafiła podjąć decyzji, zabiła wszystkie. W archiwum znajduje się krótka informacja o lokalnej tradycji związanej ze złym okiem i dziwnym zjawiskiem, jakie wystąpiło na Mount Misery, prawdopodobnie w związku z czarownicą. Miesiąc później do lasu udała się grupa starszych parafian. Kiedy

wrócili, oznajmili, że pozbyli się zagrożenia ze strony nawiedzonej kobiety, zaszywając jej oczy i usta oraz krępując łańcuchami jej ciało. Jeszcze w tym samym roku wszyscy zmarli, chociaż okoliczności ich śmierci pozostają nieznane. Ale przynajmniej odnieśli częściowy sukces. Raz na zawsze zamknęli złe oczy.

— Jednak ona nie opuściła okolicy — powiedziała Bammy z wyrazem głębokiego przerażenia na twarzy.

— Nie, i to jest właśnie cały problem — przyznał Pete. — Nigdy nie odeszła. Do dzisiejszego dnia Katherine van Wyler krąży ulicami Black Spring, w dzień i w nocy... i pojawia się w naszych domach.

Znów wszyscy na długo zamilkli, Grim postanowił więc kontynuować swoje zadanie.

— Nie rozmawiamy o jakimś dawnym duchu, którego widywało jedynie jakieś natrętne, autystyczne i niedoceniane dziecko, któremu nikt nie wierzył, ale które w ostateczności miało rację. Czarownica z Black Rock wciąż tutaj jest. I nie jest ona bynajmniej żadnym sympatycznym widmem ani przypomnieniem o miłej przeszłości, jak to czasami bywa w ociekających krwią horrorach, pomieszanych z pornografią. Konfrontuje się z nami niczym pitbull, bezpiecznie zamknięty w klatce. Ma kaganiec i nigdy się nie rusza. Jednak gdyby ktoś wsunął palec pomiędzy kraty, nie popatrzy, czy jest wystarczająco tłusty, żeby go zjeść. Z miejsca rozerwie go na strzępy.

Burt wstał. Chciał znów nalać sobie kieliszek wódki, ale zmienił zdanie. Nagle jakby całkowicie wytrzeźwiał, mimo że przecież w jego żyłach krążyło już mnóstwo alkoholu.

— Zakładając, że to wszystko jest prawdą... czego ona chce? Czego chce od was ta przeklęta czarownica, do wszystkich diabłów?

— Zakładamy, że chce się zemścić — powiedział Pete ponuro. — Cokolwiek nią kieruje, jej śmierć wyzwoliła siłę żadną rewanzu wobec ludzi, którzy zmusili ją do popełnienia strasznych czynów. I chociaż minęło już trzysta pięćdziesiąt lat, tymi ludźmi jesteśmy my, mieszkańcy Black Spring.

— Ale skąd to wiesz? Czy ktokolwiek próbował się z nią porozumieć? Albo, nie wiem, odprawić egzorcyzmy?

— Właśnie. — Bammy wsparła męża. — Może ona chce po prostu zostać usłyszana...

— Próbowaliśmy tego — powiedział Grim. — Tabliczki ouija są bezużyteczne, mogą nam przynieść tylko śmierć. Niedorzeczne sztuczki pogańskie po prostu na nią nie działają. Ale próbowaliśmy wszystkiego. Ściągnęliśmy nawet egzorcystę z Watykanu, który jednak stwierdził, że nasza czarownica nie ma nic wspólnego z Bogiem i dlatego on nie może nam pomóc. Oczywiście prawda była taka, że po prostu przeraził się tym, co tutaj zastał. Nie tylko on. Różni kapłani, szamani, białe wiedźmy, komandosi, żołnierze... ich obecność za każdym razem

doprowadzała do bardzo nieprzyjemnych sytuacji. Próbowano skrócić ją o głowę, spalić, jednak ona znikwała, kiedy tylko dym zaczynał unosić się spod jej spódnicy, żeby powiedzieć to obrazowo. Obecnie obowiązuje u nas Dekret o stanie wyjątkowym, stanowczo zakazujący podobnych prób, ponieważ zawsze kończą się śmiercią. Kiedy ktoś próbuje skrzywdzić Katherine, w tej samej chwili zawsze ginie jakiś niewinny mieszkaniec Black Spring. Zaszycie jej oczu i ust, zakucie w łańcuchy uczyniło ją właściwie niegroźną — Bóg jeden wie, jak ci ludzie to zrobili — jednak jeśli wiadomości o tym, co się tutaj dzieje, wypłyną na zewnątrz, wszyscy nieuchronnie będą chcieli otworzyć jej usta i oczy. Ludzkość wielokrotnie już udowadniała, że ma tendencję do przekraczania granic, których pod żadnym pozorem przekraczać nie powinna. A my funkcjonujemy w głębokim przekonaniu, że jeśli jej oczy otworzą się, że jeśli Katherine zacznie miotać przekleństwami i zaklęciami, wszyscy umrzemy. Dlatego ukrywamy ją przed światem. Ona nie chce, żebyśmy ją zrozumieli, a nam nie wolno jej zrozumieć. Katherine jest paranormalną bombą z opóźnionym zapłonem.

— Przykro mi, ale ja jednak w to nie wierzę — powiedział Burt.

Pete upił łyk piwa i odstawił kufel na stolik.

— Panie Delarosa, kiedy pańska żona wybiegła z domu, a pan zatrzymał się w sypialni, czy usłyszał pan szept czarownicy?

W głosie Burta pojawiło się wahanie.

— Ja... tak, coś usłyszałem, chyba tak. Kąciki jej ust poruszyły się, ale niemal niezauważalnie. Przez chwilę nasłuchiwałem, bo chciałem się przekonać, czy ona chce coś powiedzieć.

— I co pan usłyszał?

— Jej szept.

— Niech mi pan wybaczy, ale muszę teraz zapytać: czy w tamtym momencie zaczął się pan zastanawiać nad popełnieniem samobójstwa?

Bammy wydała zduszony okrzyk i przewróciła pustą filiżankę po herbacie, stojącą na oparciu jej skórzanego fotela. Filiżanka spadła na podłogę i rozbiła się na trzy części. Jocelyn pospieszyła, żeby je podnieść. Bammy chciała znów otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, jednak kiedy popatrzyła na twarz męża, jej dolna warga zaczęła drżeć.

— Pomyślał pan o tym, prawda? — kontynuował Pete. — Usłyszał pan jej szept i zapragnął zrobić sobie krzywdę. Oto, w jaki sposób ona przedostaje się do naszych umysłów. Sprawia, że ludzie sami się zabijają, robią to, co zrobiła ona, kiedy ją zmuszono.

— Burt? — odezwała się Bammy drżącym głosem. — O czym oni mówią, Burt?

Burt chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie i jedynie odchrząknął. Jego twarz straciła wszystkie kolory.

— Byłem z nią sam na sam jedynie przez kilka sekund. Niczego nie powiedziałem. Bałem się, że jeśli wydam z siebie jakikolwiek dźwięk, ona przesyje mnie wzrokiem. A nie chciałem, żeby podniosła na mnie oczy, rozumiecie. Może była ślepa, ale nie chciałem, żeby patrzyła w moim kierunku. Słyszałem jej szept. A kiedy wyszedłem do holu, zapragnąłem rozbić sobie głowę o framugę. — Bammy wzdrygnęła się, jakby ktoś ją uderzył, i przyłożyła dłonie do ust. — Przysięgam na Boga, że w wyobraźni chwyciłem się framugi i waliłem w nią trzykrotnie głową, aż pękła. A potem... potem krzyknęłaś do mnie, kochanie. Dzięki twojemu okrzykowi oprzytomniałem i pobiegłem za tobą. Nie zabiłem się, ponieważ krzyknęłaś.

— Przestań — jęknęła Bammy i przytuliła się do męża. — Przecież to nie może być prawda. Nie chcę więcej tego słuchać, Burt, proszę.

— Niech pani się uspokoi — napomniała ją Jocelyn. — Teraz oboje jesteście bezpieczni. Takie zdarzenie nie wywołuje trwałego efektu.

Burt, wciąż w objęciach żony, popatrzył na Pete'a, a Steve po raz pierwszy tej nocy zauważył, jak chory i wyczerpany nerwowo jest Delarosa. Pojął też, że wbrew pozorom mężczyzna wierzy w przekazywane mu informacje.

— Kto o tym wie? — z pewną trudnością rzucił pytanie.

— Ludzie z Pointu, na końcu drogi — odparł Grim. — Funkcjonuje tam mały, ściśle tajny wydział. Jest tak mały, że nie podlega żadnej komisji. Wyłącznie dlatego, żeby uniknąć przecieków.

— Niech pan mówi jaśniej.

— Przypuszczam, że o istnieniu tego wydziału nie wie nawet obecny prezydent. Wcześniej, owszem, niektórzy wiedzieli. Dawno temu, poczynając od George'a Washingtona aż po Abrahama Lincolna, musieli wiedzieć, co się tutaj działo, ponieważ dysponujemy informacjami z archiwów, że odwiedzali Black Spring. W 1802 roku w West Point założona została Akademia Wojskowa, głównie po to, żeby pomóc nam w ukryciu problemu. Nie dam za to głowy, jednak zapewne pod koniec wojny secesyjnej West Point był już na tyle poważną instytucją, że mógł objąć nad Black Spring wyłączną władzę. Prawdopodobnie na podstawie osobistego rozkazu dobrego, starego Abe. Okoliczności jego wydania są bardzo niejasne. Później, kiedy region się rozwinął i ryzyko przecieków znacznie wzrosło, zorganizowaliśmy się dość profesjonalnie. I tak powstał HEX.

— Co to jest HEX?

— To my. Jesteśmy pogromcami duchów. Usuwamy czarownicę z widoku publicznego.

Burt popatrzył na Grima z widoczną trudnością.

— Co oznacza ta nazwa?

— Och, to jest po prostu jakiś stary akronim, który nam przypasował. Nikt tak naprawdę nie zna jego znaczenia. Ważne jest jedynie to, co robimy, a nie, jak

się nazywamy. Dzięki zorganizowaniu wojskowi z Pointu pozwalają nam pilnować własnych spraw, jednak piszemy dla nich regularne raporty, żeby byli zadowoleni, i musimy uzyskiwać ich zgodę, jeśli na przykład chcemy zamknąć jakąś drogę albo kiedy potrzebujemy czegoś w rezerwacie. W końcu bez nich nie zdołalibyśmy przez cały czas utrzymywać tajemnicy. Możemy do woli ustawiać zasłony dymne, jednak to wymaga pieniędzy i całkowitej tajności. Point powstał tylko po to, żeby zachować status quo, ponieważ nie mają tam zielonego pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dążą jedynie do tego, żeby utrzymywać wszystko w tajemnicy przed opinią publiczną oraz przed zagranicznymi służbami wywiadowczymi. Nie sprawują żadnej kontroli nad Katherine i w gruncie rzeczy przez cały czas robią w spodnie w obawie, że wydarzy się coś, na co nie zdołają zareagować. Gdyby mogli, otoczyliby nas wielkim płotem i zamieniliby ten teren w niezamieszany rezerwat, jednak wówczas ich ręce splamiłyby się krwią trzech tysięcy ludzi, czyli tylu, ilu zginęło jedenastego września. Postanowili więc prowadzić politykę powstrzymywania. Dopóki nie znajdzie się rozwiązanie — cokolwiek, do diabła, to znaczy — życie tutaj będzie się toczyło jak zwykle, a my będziemy otrzymywali subsydia w zamian za trzymanie ust na kłódkę, kwoty niemal niezauważalne w wydatkach rządowych.

— To kwestia wizerunku — powiedział Pete. — Jeśli ktoś ma brodawkę na szyi, nosi wysokie kołnierze.

— Jezu — mruknął Burt Delarosa. — A czy ktoś kiedykolwiek spróbował otworzyć jej oczy?

— Miało to miejsce tylko jeden raz — odparł Pete po długiej ciszy. — Jednak ludzie nawet nie dotknęli oczu Katherine. Nastąpiło to w 1967 roku, z inicjatywy departamentu wywiadu wojskowego funkcjonującego w Poincie. Przez długi czas nic się nie działo i ludzie zaczęli powątpiewać, czy czarownica naprawdę stanowi poważne zagrożenie. W mieście coraz bardziej chcieli ją zrozumieć i, widząc, coś jej dać. Przypuszczano, o czym już wspomniała Bammy, że może ona po prostu chciała zostać usłyszana. Eksperyment został nagrany na taśmie filmowej. Robert, może pokażesz im ten film?

Grim wyciągnął z teczki macbooka i otworzył go.

— Wykorzystujemy ten fragment, żeby uzmysłwić nowym mieszkańcom, jak poważna jest sytuacja. Ale pozwólcie, że was ostrzegę: to, co się wtedy wydarzyło, było efektem skrajnie złej oceny sytuacji przez wszystkich. Sceny w filmie są bardzo dzikie, wręcz okrutne. Takie dzikie obrazy są przeważnie cenzurowane i nie pokazuje się ich w pierwszych wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Mam nadzieję, że wyrażam się dość jasno.

— Nie wiem, czy mam ochotę na to patrzeć — odezwała się Bammy, wycierając łzy z oczu.

— W porządku, kochanie — powiedział Burt. — Nie musisz, jeżeli nie

chcesz.

Nerwowo zaszurał nogami i popatrzył na Pete'a, szukając u niego potwierdzenia. Ten pokiwał głową. Grim włączył macbooka i nacisnął przycisk PLAY.

* * *

Nagranie jest bez wątpienia szokujące. Obrazy są autentyczne, przetworzone cyfrowo z taśmy filmowej z lat sześćdziesiątych i — w przeciwieństwie do nagrań Tylera z GoPro — wywołują nostalgię za starymi filmami, do których nie mogą się nawet zbliżyć zdjęcia z Instagrama. Steve łapie się na tym, że instynktownie lubi takie nagrania, chociaż kolory są na nich sprane, a jego starszy syn nazwałby je totalnie archaicznymi. Ale Steve w tej chwili nie patrzy w monitor. Siedzi po drugiej stronie holu, obejmując ramieniem Jocelyn i wpatrując się w twarze Burta i Bammy Delarosów. Wie jednak, co znajduje się na nagraniach. Wszyscy ludzie w Black Spring to wiedzą. Tymi nagraniami ich indoktrynowano, większość z nich od wczesnego dzieciństwa. Steve jest zajadłym przeciwnikiem pokazywania tych fragmentów dzieciom z piątej klasy szkoły podstawowej Black Rock, kiedy więc przychodziła pora, żeby obejrzał je Tyler, a potem Matt, próbował temu zapobiec, tłumacząc, że jego dzieci są chore, jednak zagrożono mu wysoką grzywną. W Black Spring wszyscy bez wyjątku muszą się podporządkowywać postanowieniom Dekretu o stanie wyjątkowym.

Wciąż pamięta te sytuacje, jakby się wydarzyły wczoraj: byli przy tym wszyscy rodzice i to było najstraszniejsze. Dla wielu dzieci chwile, w których obejrzały te zdjęcia, oznaczały moment, w którym weszły w dorosłość, i stało się to stanowczo zbyt wcześnie.

Wszystko dzieje się w kwadratowym gabinecie lekarza rodzinnego. Katherine van Wyler zajmuje miejsce na krześle pośrodku pomieszczenia. Zdołali zmusić ją, żeby usiadła, korzystając z obroży z drutu kolczastego, normalnie wykorzystywanej, żeby zmuszać do posłuszeństwa niesforne psy. W pewnej odległości od krzesła stoi oficer z Pointu w tweedowej marynarce, Katherine wciąż ma na szyi obrożę. Dwaj inni mężczyźni stoją za nią z kijami gotowymi do uderzenia.

Czarownica nie sprawia jednak wrażenia, jakby zamierzała dokądkolwiek uciekać.

Czarownica z Black Rock nie porusza się.

W gabinecie znajdują się jeszcze trzej inni mężczyźni: dwaj lekarze z Black Spring i kamerzysta, który komentuje rozgrywające się sceny głębokim głosem Waltera Cronkite'a. Lekarze nie wypowiadają ani jednego słowa. Nie trzeba przyglądać się im zbyt uważnie, żeby dostrzec, że po ich czołach spływa pot. Są skrajnie zdenerwowani. Klęczą tuż przed czarownicą, przenosząc ciężar ciała

z jednej nogi na drugą, żeby znaleźć najwygodniejszą pozycję, a jednocześnie nie dotknąć kobiety. Jeden z nich ma w ręce parę pęset, a drugi przecinak do szwów.

— Doktor McGee w tej chwili przystępuje do zdjęcia pierwszej nici z jej ust — rozlega się głos kamerzysty; można w nim usłyszeć strach i niepewność.

Grim, Burt i Bammy (która nie chce tego oglądać, a jednak spogląda co chwilę na ekran) widzą, jak doktor McGee ostrożnie przesuwając pęsetą drżące, wyschnięte mięso w lewym rogu ust czarownicy i naciąga zewnętrzny szew. Następnie przesuwając po nim ostrzem noża i szew pęka jak gumka recepturka. Doktor odrobinę się cofa i zmienia pozycję. Wyciera pot z brwi. Katherine jak dotąd nie poruszyła się. Zakrzywiona, czarna nić wystaje z kącika jej ust, podobnie jak w czasach współczesnych. Widzimy, że kącik jej ust wyraźnie drży. Doktor McGee pochyla się znowu i nagle na jego twarzy pojawia się wyraz zdumienia. Drugi lekarz również przesuwając się bliżej czarownicy. Oficerowie z Pointu słyszą szept Katherine; nie zdają sobie sprawy, że od tego momentu znajdują się pod jej wpływem.

— To był pierwszy szew — rozlega się głos, który na pewno nie należy do Waltera Cronkite'a, a McGee mruga oczami.

Jeszcze raz przeciera brwi i unosi pęsetę, jednak tym razem jego ręka w połowie drogi zastyga i opada. Lekarz znowu się pochyla.

— Wszystko w porządku... doktorze McGee? — rozlega się głos kamerzysty, a lekarz reaguje na pytanie, niespodziewanie unosząc przecinak do szwów i z prędkością maszyny do szycia wbija go sobie w twarz, wielokrotnie, jakby nie chciał skończyć.

W ciągu następnych kilku sekund wszystko dzieje się jednocześnie. Chaos jest całkowity. Słychać wycie przenikające do szpiku kości. Kamera przewraca się, uderzając o ścianę, i nagle widzimy gabinet z perspektywy przyprawiającej o mdłości. Czarownica nie siedzi już na krześle, stoi za to w kącie pomieszczenia i widzimy jedynie dolną część jej ciała; reszty nie ogarnia obiektyw. Rozerwana obroża leży na podłodze. Leży także doktor McGee, w kałuży krwi, jego ciałem wstrząsają konwulsje. Widzimy również nogi drugiego lekarza tuż obok, a przynajmniej domyślamy się, że są to nogi drugiego lekarza. Oficerowie wrzeszczą i wybiegają z gabinetu co sił w nogach. Bammy Delarosa sprawia wrażenie, jakby chciała uczynić to samo; trzyma zaciśnięte dłonie przed twarzą i z trudem oddycha. Jej mąż wydaje się przeżywać zbyt wielki szok, żeby zdać sobie sprawę, że obserwuje wydarzenia, które naprawdę kiedyś się rozegrały.

Odzywa się Robert Grim:

— To był ostatni przypadek, kiedy służby wywiadowcze spróbowały położyć paluchy na czarownicy.

Przerywa odtwarzanie i ekran macbooka robi się czarny.

* * *

— Zginęło pięć osób — podsumował Pete. — Dwaj lekarze na miejscu popełnili samobójstwo, a w tym samym czasie troje starszych ludzi po prostu padło martwych na ulicach Black Spring. Autopsje wykazały, że ich śmierć spowodowana została nagłym wylewem krwi do mózgu. Założono, że moment ich śmierci odpowiadał dokładnie momentowi, w którym lekarz przeciął szew na ustach Katherine.

W barze hotelowym zapadła cisza. Steve popatrzył na wyświetlacz swojego telefonu i zorientował się, że jest już piętnaście po trzeciej. Bammy, przytulona do Burta, drżała i płakała. Pozostali również mieli niezbyt tęgie miny.

— Nie chcę wracać do tego domu, Burt! — krzyknęła Bammy. — Nigdy nie chcę już tam wrócić.

— Spokojnie, spokojnie — wyszeptał Burt do jej ucha. — Nie musisz tam wracać. — Popatrzył na Grima. — Proszę pana, jesteście strasznie przybici. Naprawdę doceniam, że wynajął nam pan pokój w tym hotelu, ale nie zamierzamy z żoną pozostać w Black Spring ani minuty dłużej. Ciśnie nam się na usta wiele pytań, ale one mogą poczekać. Gdy tylko moja żona uspokoi się na tyle, że będzie mogła prowadzić samochód, pojedziemy do przyjaciół na Manhattan i tam spędzimy resztę nocy. Jeśli Bammy nie zdoła prowadzić samochodu, wezwiemy taksówkę i pojedziemy do jakiegoś motelu w Newburghu.

— Nie sądzę... — spróbował zareagować Pete, ale Burt nie dopuścił go do słowa.

— Jutro zatelefonuję do agenta nieruchomości. Przykro mi... że musicie żyć tutaj z tym wszystkim, ale... to nie dla nas. Wyprowadzamy się.

— Obawiam się, że nic z tego — powiedział wreszcie Pete bardzo spokojnym głosem.

Steve zdał sobie sprawę, że nawet Pete nie ma dość śmiałości, by spoglądać w oczy któremuś z małżonków.

Kiedy ostatnie słowa dotarły do Burta, wykrztusił pytanie:

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Mówił pan wcześniej o „waszym” wiejskim duchu i „waszej” czarownicy. Przykro mi, że muszę to teraz panu uzmysłowić, ale poczynając od dzisiejszej nocy, ten duch i czarownica to również wasz problem. Ona nie pozwoli wam stąd odjechać. Jesteście teraz mieszkańcami Black Spring. To oznacza, że miejscowa klątwa dotyczy również was.

Ciszę, która zapadła, ośmielił się przerwać dopiero Robert Grim.

— Witamy w domu. — Na jego twarzy pojawił się makabryczny uśmiech. — Mamy tutaj naprawdę wiele atrakcji, wcale nie gorszych niż w wielkim mieście.

Następnego popołudnia Tyler wrócił do domu po obowiązkowych pracach społecznych przemoczony i ze ściągniętą twarzą. Steve siedział przy stole w kuchni, czytając jakiś artykuł w „New Yorkerze”, jednak musiał rozpocząć go dwukrotnie, ponieważ jego myśli krążyły gdzieś indziej. Razem z Jocelyn wrócili do domu dopiero piętnaście po szóstej rano, otepiali i skrajnie zmęczeni. Poszli do kuchni i spędzili zaledwie parę minut nad filiżanką herbaty, gdy — ku swej irytacji — Steve dostrzegł za oknem zarys lasu. Na wschodnim niebie zaczynał się świt. Postanowił, że nie pójdzie już za Jocelyn do łóżka, i od tej chwili przerzucił się na kawę; i tak musiał o siódmej wstać do pracy.

Po południu, skończywszy zajęcia ze studentami, zamknął się w swoim gabinecie w centrum badawczym, aby przejrzeć wyniki prac doktorantów, jednak złapał się na tym, że jedynie gapi się na strumienie deszczówki spływające po szybach. Jego myśli powędrowały ku rozmowie z Delarosami.

— Nie wiem, o czym pan teraz rozmyśla — powiedziała jego starsza asystentka Laura Frazier, kiedy przyszła do gabinetu, żeby porozdzielać do teczek formularze badawcze — ale niech pan posłucha mojej rady: powinien pan pojechać do domu i trochę się przespać. Chyba pan tego potrzebuje.

Steve posłał jej niepewny uśmiech.

— Miałem bardzo krótką noc. Moja żona jest chora.

Ogromnie się zdziwił, z jaką łatwością kłamstwo przeszło mu przez usta. Chryste, w ciągu minionych ośmiu lat z roku na rok stawał się coraz większym kłamcą. „To jest część tożsamości mieszkańca Black Spring”, powiedziała by Pete VanderMeer.

— Sam pan zachoruje, jeżeli nie będzie na siebie uważał. Ja nie żartuję.

— Wyglądam pewnie jak siedem nieszczęść, co? — zapytał i nagle przypomniał sobie rozpaczliwe pytanie Burta Delarosy: „Dlaczego nie staraliście się mocniej, żeby nas zniechęcić do tego miejsca, wy skurwysyny?”.

W tej chwili Jocelyn przebywała w sypialni na górze, a Matt odrabiał lekcje. Tyler wydobył z siebie zduszone „cześć” i też poszedł na górę, żeby zdjąć przemoczone ubranie. Steve zorientował się, że coś go gryzie. Wiedział, że będzie musiał z nim porozmawiać, jednak zdawał sobie sprawę, że jeśli sam podejmie inicjatywę, wszystko spieprzy. Problemów Tylera nie rozwiązywało się tak po prostu; należało cierpliwie odczekać, aż on sam się z nimi zgłosi. Ta chłopięca wrażliwość była jedną z cech, które Steve w nim uwielbiał.

No i, oczywiście, zaraz się zacznie, pomyślał, kiedy po piętnastu minutach Tyler zszedł do kuchni. Nie podniósł jednak wzroku znad artykułu. Nie chciał sprawić na nim wrażenia, że czekał na tę chwilę.

— Mama powiedziała mi, że wróciliście bardzo późno ze spotkania z tymi nowymi ludźmi — powiedział Tyler z wymuszoną swobodą.

Usiadł przy stole, jednak daleko od ojca.

— Nie chcę sobie tego przypominać — odparł Steve. — Spędziliśmy z nimi całą noc.

— I jak poszło?

— Nędznie i podle, jak zwykle. Ale jakoś przez to przebrną. A jak prace społeczne?

Tyler poczerwieniał i uśmiechnął się z poczuciem winy.

— Przecież wiesz.

— Całe miasto wie — powiedział Steve. Mrugnął do syna, podszedł do niego i objął go ramieniem. Ten gest sprawił, że Tyler odczuł widoczną ulgę. — Jesteś naprawdę dobry. W nocy Robert Grim pokazał mi twoje nagrania. Muszę przyznać, że jak dotąd jest to najbardziej sensacyjny ze wszystkich raportów.

— Bez dwóch zdań. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. I, szczerze mówiąc, czułem pewne zakłopotanie, kiedy jej to robiłem. Widzisz, spodziewaliśmy się czegoś, ale nie tego... nie tego, że ona po prostu wylądowała na tyłku.

Steve uśmiechnął się, jednak podjął poważnym głosem:

— Chyba rozumiesz, że wszyscy mieliście nieprawdopodobne szczęście. Jeden błąd i nie dostalibyście szansy na zbieranie papierków w parku; wszyscy znaleźlibyście się na tej wyspie.

— Przecież wiesz, że Robert jest po naszej stronie.

— Może Robert, ale nie Rada. Sam powiedziałeś, że nie wiedziałeś, czego się spodziewać. Przecież ona mogła po prostu obejść tę latarnię, a tymczasem wpadła na nią i się przewróciła. Bóg jeden wie, co jeszcze mogło się stać. Gdyby to zależało od Rady, wszyscy już teraz siedzielibyście w Doodletown.

Tyler wzruszył ramionami, co trochę zaskoczyło Steve'a.

— Czy ty w ogóle masz pojęcie, z czym igrasz? — zapytał. — Dobre intencje nie czynią cię niezniszczalnym, powinieneś to wiedzieć. I nie chodzi mi wyłącznie o nią. Rada nie ma zbyt dobrego zdania o takich osobnikach jak Jaydon Holst. Czy to był jego pomysł?

— Nie, nasz wspólny — odparł Tyler bez mrugnięcia okiem.

Również to podziwiał w nim Steve: nigdy nie zwał na innych tego, co sam przeskrobał.

Problem nie tyle polegał na tym, że zabawili się w podglądaczy i nagrali coś na wideo: były to w końcu zabawy dość powszechne wśród chłopców. W kwestiach wychowania Steve i Jocelyn zawsze byli postępowi, pomimo ograniczeń, jakie nakładał Dekret o stanie wyjątkowym. Jedyłą rzeczą, która sprawiała, że sytuacja w Black Spring była znośna — do przeżycia, jak twierdzili niektórzy — było to, że Black Spring było komuną indoktrynowaną. Mieszkańcy przestrzegali sztywnych ograniczeń, ponieważ wierzyli w sens tych ograniczeń i akceptowali je bez niepotrzebnych pytań. Dzieci przyjmowały zapisy Dekretu wraz z mlekiem matek: nie wolno zbliżać się do czarownicy. Nie wolno rozmawiać

o niej z ludźmi z zewnątrz. Wizyty gości należy ograniczać do minimum. Dekret wymieniał też potencjalny śmiertelny grzech: nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno otwierać oczu czarownicy. Zapisów tych przestrzegano ze strachu, a Steve wiedział, że strach w końcu nieuchronnie prowadzi do przemocy. W minionych latach na boisku szkoły podstawowej Black Rock widywał mnóstwo przerażonych, bladych małych twarzyczek z czarnoniebieskimi siniakami i opuchniętymi ustami, twarzyczek dzieci, które zawierały bliskie przyjaźnie z kolegami lub kuzynami spoza miasta i w efekcie były bite, dopóki nie zostawały w pełni przeprogramowane na wzór rodziców.

Steve i Jocelyn nie pochwalali takich metod. Postanowili wychowywać synów w dobrze ugruntowanej harmonii i symbiozie, dawać im wiele miejsca na samodzielne myślenie, nie tracąc jednak z oczu tego, co jest ich przeznaczeniem. W rezultacie obaj chłopcy wyrosli na sympatycznych i wrażliwych młodzieńców, młodzieńców wyzwalających w rodzicach wiarę, że nigdy nie wmieszają się w nic niestosownego.

Zaufanie jest jednak iluzją, myślał Steve. Przez lata można odnosić wrażenie, że panuje się nad wszystkim, a później ktoś wypowiada słowo „Doodletown” i Tyler po prostu beztrąsko wzrusza ramionami.

— Kiedy po raz ostatni odwiedziłeś bunkier? — zapytał Steve.

— Chyba w szóstej klasie. Pani Richardson nas tam zaprowadziła.

— Zatem chyba przyszedł czas, żebyśmy go ponownie zobaczyli. Pamiętasz, jak jest w środku?

Ramiona Tylera opadły. Centrum Więzienne Doodletown było prywatnym bunkrem na ponurej wyspie Iona, znajdującej się na rzece Hudson, w odległości jakichś ośmiu kilometrów od miasta, niemal w cieniu mostu Bear Mountain. Częścią starannie przygotowanego programu nauczania w szkole podstawowej Black Rock była wizyta w bunkrze, aby dzieci w pełni zdały sobie sprawę z nieszczęścia, jakim może okazać się dłuższy przymusowy pobyt w tym miejscu.

— Ściany i podłogi są tam wywatowane — powiedział Tyler.

— Właśnie. I nie bez powodu. Trzy tygodnie samotności w jednej z małych cel potrafią doprowadzić człowieka do szaleństwa. Ludzie, którzy się tam znajdują, bardzo szybko błagają strażników, żeby pozwolili im wrócić do Black Spring. W tych chwilach wciąż jeszcze się zastanawiają, dlaczego cele są wywatowane. Aż wreszcie, w połowie trzeciego tygodnia, zaczynają wrywać sobie włosy z głów i rozmyślać o samobójstwie. Są obserwowani, żeby nie zrobili sobie jednak krzywdy, ale trzeba tego doświadczyć. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tato, wiem, jak to jest. — Tyler westchnął.

— Nie, wcale nie wiesz — odparł Steve i zimna dłoń jakby dotknęła jego wnętrzości, kiedy sobie przypomniał dawne doświadczenie z Tajlandii, gdy nagle zorientował się, że w dłoniach trzyma rozerwane prześcieradło i spogląda na

własne nogi zwisające z sufitu... Jak blisko spełnienia tej wizji znalazł się wówczas? — Chodzi o to, że nie wiesz, i właśnie na tym polega problem.

Funkcjonowanie Doodletown opierało się na założeniu, że jeśli skazaniec osobiście doświadczy wpływu czarownicy, już na zawsze będzie świadom zagrożenia, jakie stanowi dla siebie i innych mieszkańców Black Spring. I chociaż Steve z zasady był zażartym przeciwnikiem tego rodzaju sankcji, była ona bez wątpienia ogromnie skuteczna: recydywiści prawie w ogóle się nie zdarzali.

— Wiesz, ile podstawowych praw człowieka jest gwałconych w Doodletown? — zapytał Tyler.

— Być może, jednak nie rządzi nami dyktator. Katherine jest złem nadprzyrodzonym. To sprawia, że zwyczajne cywilizowane normy są u nas nieskuteczne, a naszym pierwszym, drugim i trzecim zadaniem jest utrzymywanie bezpieczeństwa.

— Mówisz, jakbyś to popierał.

— Oczywiście, że nie popieram. Ale czy kiedykolwiek zauważyłeś, jaką zgrają purytańskich drani są ludzie w Black Spring? Nieważne, czy ja to popieram czy nie — oni popierają tę sytuację. A ja chciałbym zobaczyć, jak ty obalasz ich argumenty. Co więcej możemy zrobić?

— Wyjść z zamknięcia — powiedział Tyler ze śmiertelną powagą. Steve uniósł brwi.

— A w jaki sposób chciałbyś do tego doprowadzić? Chcesz zorganizować paradę wolności na Deep Hollow Road?

— Ha, ha! Popatrz, w *Czystej krwi* wampiry naprawdę wychodzą z zamknięcia. Gdybyśmy poruszali się w mainstreamie i zebrali dowody naukowe, nikt nie zdołałby ich obalić, czarownica czy ktokolwiek. Przecież to jest jedyna droga, jakiej jeszcze nie próbowano.

— Tyler... *Czysta krew* to przecież serial telewizyjny!

— I co z tego? Środki przekazu inspirują rzeczywistość. Weźmy na przykład arabską wiosnę. Wszystko rozpoczęło się od marzenia jednego człowieka, który zamieścił je na Facebooku. Dwa miesiące później plac Tahrir wypełniony był ludźmi. To media społecznościowe sprawiają, że ludzie ruszają dupską. Wolność znajduje się w odległości zaledwie kilku kliknięć myszką, nawet jeśli się mieszka w Iranie. Dlaczego Black Spring ma być gorsze?

— Tyler... — Steve nieudolnie chciał przerwać synowi, jednak chłopak już się nakręcił i nie zamierzał zamilknąć.

— Nie tylko ja tak myślę. Wszystkie dzieciaki czują to samo. Ja po prostu jestem jedynym, który ma dość śmiałości, żeby otworzyć usta. Życie w warunkach wczesnego średniowiecza już nas przyprawia o mdłości. Chcemy wolnego Internetu i prywatności. Naszego Facebooka i nasze wiadomości w WhatsApp cenzuruje HEX, jakbyśmy żyli w pieprzonej Moskwie. Niektóre są zatrzymywane.

Nie mamy dostępu do Twittera. Masz pojęcie, jak jesteśmy niewiarygodnie zacofani? Może twoje pokolenie jest już do szpiku kości indoktrynowane, my jednak chcemy zmian.

Steve popatrzył na syna z bezradnym podziwem.

— Większość ludzi w mieście ma twój Internet w głębokim poważaniu. Uważają go za potencjalne źródło przecieków z naszego labiryntu. Nie opowiadaj nikomu o swoich pomysłach, bo reakcją mogą być wyłącznie jeszcze większe ograniczenia.

— Tylko spróbujcie — powiedział Tyler z szyderczym uśmiechem.

— I od czego chciałbyś zacząć? Od maila do „New York Timesa” z nagraniem, jak czarownica wchodzi w latarnię?

Tyler wydobył z siebie nieskończenie pogardliwy jęk.

— Moglibyśmy doprowadzić do tego, że na początek w najgłębszym sekrecie i dobrej jakości film dokumentalny nakręciłaby stacja National Geographic albo Discovery Channel. Oczywiście stałby się sensacją medialną. Na miasto najechaliby dziennikarze i naukowcy z całego świata. Musielibyśmy dobrze się do tego przygotować. Gdybyśmy mogli tylko przedstawić ludziom z zewnątrz grozę sytuacji i uzmysłowić im, jak ważne jest, żeby usta i oczy czarownicy nadal pozostały zaszyte, nic złego nie mogłoby się stać.

— Tyler... w to wszystko musiałyby wkroczyć wojsko! Dziennikarze i wszelkiej maści poszukiwacze przygód zrobiliby taki najazd na miasto, że trzeba by je było poddać totalnej kwarantannie. Może wojsko uznałoby, że ta kwarantanna to jedyny sposób na utrzymanie naszego bezpieczeństwa. Albo nie, odcięliby nas od świata, żeby nie dopuścić do ogólnej rebelii. Dyktator to ktoś przewidywalny, z czarownicą jest jednak inaczej. Wojsko nie miałoby innego wyjścia, jak odciąć nas od całej reszty świata. A ty uważasz, że teraz nie masz żadnej wolności?

Tyler wahał się tylko przez moment.

— Może byłoby tak na samym początku. Ale pomyśl tylko o tym. Z kamerami, które obserwowałyby nas z granicy, mielibyśmy doskonałą platformę, żeby opowiadać naszą historię! Wywołalibyśmy powszechne współczucie. I może znaleźlibyśmy rozwiązanie problemu? Niech zastanawiałby się nad nim cały świat. W końcu nie jesteśmy pierwszym pieprzonym miastem w historii, na które spada klątwa.

Steve był skonsternowany. Tyler na pewno nie prezentował mu pomysłu, który wpadł mu do głowy właśnie w tej chwili. Był całkowicie przekonany do swoich racji. Ale to było niemożliwe. Steve przypomniał sobie jedno z wielu pytań, którymi Burt Delarosa zarzucił ludzi z HEX-a poprzedniej nocy w długiej, emocjonalnej tyradzie: „Jak to możliwe, że tak ogromny problem od tak długiego czasu utrzymywany jest w tajemnicy?”. Ta kwestia zawsze stanowiła dla nowicjuszy największą zagadkę. Odpowiedź Steve’a była perfekcyjnym

podsumowaniem niemożności wprowadzenia w życie pomysłów Tylera: „Wszystko koncentruje się na naszej woli przetrwania. Jeśli sprawa przedostanie się na zewnątrz, niemal na pewno zginiemy. Każdy człowiek z zewnątrz, który do nas przybywa, czy to wojskowy, czy naukowiec, czy ktokolwiek inny, miesza strach i niedowierzanie z ciekawością, co się stanie, jeżeli otworzymy oczy czarownicy. Ta ciekawość zawsze ich ogarnia. Nigdy więcej nie dopuściliśmy jednak do katastrofy podobnej do tej z 1967 roku. Wielu ludzi pozbyliśmy się stąd dzięki łapówkom. Nie chcemy, żeby ktokolwiek, kto nie musi, dzielił nasz los. Dlatego robimy wszystko, żeby ukrywać istnienie czarownicy. Budujemy wokół niej ściany, stawiamy przed nią parawany, jeśli pojawia się w restauracjach albo supermarketach. Minionego roku, tuż przed Wielkanocą, zjawiła się w Market & Deli i postanowiła pozostać tam przez trzy dni. Musieliśmy otoczyć ją balonem, wyobrażającym zająca wielkanocnego, jak wielkim ocieplaczem na dzbanek z herbatą. Point wezwał za to Grima na dywanik, ale oni, niestety, nie rozumieją, że czasami musimy stosować praktyczne metody. Blokujemy ulice, którymi ona przechodzi, sadzimy krzaki dookoła niej, jeśli zatrzymuje się w pobliżu którejś z uczęszczanych ścieżek w lesie... Robimy wszystko, co jest skuteczne. I co najważniejsze, przechwalamy się nią. Tak jak w Roswell przechwalają się swoim UFO. Widzieliście może jaskrawą rzeźbę zgarbionej starej czarownicy z miotłą przed Sue's Highland Diner? Wygląda co prawda bardziej jak Zła Czarownica z Zachodu z *Czarodzieja z Krainy Oz* niż jak nasza Katherine, a jednak jest. Sue's Highland Diner organizuje specjalne leśne wycieczki drogami czarownicy. Od czasu do czasu zbiera się jakaś większa grupa, głównie emerytów i dzieci. W czasie wycieczki wszyscy mogą sobie robić zdjęcia z czarownicą — aktorką z miasta. Wiem, brzmi to cokolwiek ckliwie i prowincjonalnie. Ale takie okresowe wycieczki są dla nas doskonałą zasłoną. Bo przecież nie możemy zagwarantować, że nigdy nie zobaczy jej nikt z zewnątrz. Mieszkamy na terenie tłumnie odwiedzanym przez turystów, ludzie uwielbiają naszą przyrodę. Kiedy już ktoś z zewnątrz zobaczy czarownicę — są to rzadkie przypadki, dzięki dobrej pracy Roberta Grima — natychmiast organizujemy naprędce wycieczkę, która wyrusza od Sue. Zarówno jej uczestnicy, jak i czarownica są wtedy aktorami z Black Spring. Taka wycieczka służy fałszywemu wyjaśnieniu turystom, co widzieli. Sprawa zamknięta”.

Pomysł Tylera, aby wyjść z ukrycia, był sprzeczny z purytańską duszą miasta. Był to pomysł idealistyczny, buntowniczy, a w takim społeczeństwie, jakie zamieszkiwało Black Spring, czyli zarządzanym przez strach, bunt był szczególnie niebezpieczny. Najmniejsze ziarno idealizmu bywało tu poświęcane na ołtarzu bezpieczeństwa. I Steve gotów był zrobić wszystko, żeby Tyler na tym ołtarzu nie skończył.

— Posłuchaj — powiedział. — Jestem z ciebie bardzo dumny. Podzielamy

z mamą twoje ideały. Jednak dziewięciu na dziesięciu mieszkańców Black Spring woli pozostawić sprawy w takim stanie, w jakim są obecnie, ponieważ boją się konsekwencji wszelkich zmian. Twoja propozycja nie ma najmniejszej szansy na przegłosowanie w Radzie. Dlaczego więc chciałbyś rozpętać bitwę, która z góry jest przegrana?

Tyler niepewnie odchrząknął.

— Nie wiem. Dla zasady. Pragnę żyć. Nie zamierzam spędzić reszty moich dni tutaj, na głuchej prowincji. A ty? — Chłopak jakby dodał sobie tym pytaniem odwagi i dorzucił na tym samym oddechu: — Poza tym chcę być uczciwy wobec Laurie.

Aha, i tutaj jest pies pogrzebany, pomyślał Steve. Chodziło o miłość. Poczul, jak ogarniają go wyrzuty sumienia: Tyler rzeczywiście zasługiwał na coś lepszego niż Black Spring. Nagle zauważył, że kiedy syn robi zmartwioną minę, jest uderzająco podobny do swojej matki.

— Tato, jeśli będę chciał powiedzieć o wszystkim Laurie, poprosz mnie?

— Wiesz, że to niemożliwe.

— Wiem, jednak mam już serdecznie dość tych wszystkich kłamstw. Myślisz, że mnie nie pyta, dlaczego prawie nigdy nie może zostawać u nas na noc? Uważa, że oboje z mamą jesteście telewizyjnymi kaznodziejami.

Steve z trudem, ale powstrzymał się od śmiechu — sprawa była zbyt poważna. Laurie była odpowiednią dziewczyną dla Tylera, inteligentną i rezydentną. Prawie się nie malowała, zresztą nawet bez makijażu wyglądała atrakcyjnie. Tyler po raz pierwszy przyprowadził ją do domu siedem albo osiem miesięcy temu.

— Właściwie jak poważny jest wasz związek?

— Kocham ją.

Steve westchnął.

— Ostrzegłem cię, kiedy zaczynałeś z nią chodzić. Laurie jest u nas bardzo mile widziana. Jeśli chodzi o mnie, możesz wszystkie godziny wizyt spędzać razem z nią. Jednak czas jej pobytu u nas nie może nachodzić na godziny policyjne. Gdyby władze się o tym dowiedziały, dostalibyśmy taką grzywnę, że musielibyśmy sprzedać wszystkie konie. Powinieneś się cieszyć, że od czasu do czasu Matt oddaje ci swoje godziny.

— Wiem o tym i dlatego myślę, że gdyby ona po prostu wiedziała...

— Wiesz, że to się nie może stać. Nigdy. To nie jest takie proste wyznanie jak wtedy, gdy chłopak mówi dziewczynie, że jest wegetarianinem albo biseksualistą, albo cokolwiek podobnego. Ta sprawa dotyczy całego miasta.

— Przecież wiesz, że nie byłbym pierwszy — powiedział Tyler ostro. Zerwał się z krzesła. — Naprawdę myślisz, że nikt nie powiedział o naszej czarownicy jakiemuś przyjacielowi, który mieszka poza tym pieprzonym miastem?

— Oczywiście, że takie wyznania się zdarzały. Ale właśnie tacy ludzie

najgłośniej krzyczą z oburzenia, kiedy się dowiedzą, że ich sąsiedzi uczynili to samo. Wiesz, w jaki sposób rozumują? Tak, ja potrafię ocenić, czy mój przyjaciel jest wart zaufania, ale moi sąsiedzi tego nie potrafią.

— Wiesz, jakim jesteś teraz hipokrytą?

— Witamy na planecie Ziemia. Ty...

— Witamy w Black Spring! — krzyknął Tyler niespodziewanie.

Wrzasnął tak głośno, że Steve aż się cofnął. Zdał sobie sprawę, jak istotny jest ten temat dla jego syna. Zrozumiał, że musi postępować bardzo ostrożnie, wyjaśniając rozżłoszczonemu Tylerowi złożoność zagadnienia. Na razie chyba był niezbyt uważny i zachowywał się jak słoń w składzie porcelany.

— Nie możesz powiedzieć o niczym Laurie, Tyler. Uwierz mi: nie chcesz jej tego robić. Ryzyko jest zbyt wielkie. Nie wiesz, jak ona zareaguje albo komu się zwierzy. Nie możesz obarczać jej tym ciężarem.

— Mówisz tym samym, że już nigdy nie będę mógł być wobec niej szczery. W przyszłym roku po końcowych egzaminach Laurie chce pojechać na sześć miesięcy do Europy. Zapytała mnie, czy pojechałbym razem z nią. I co ja mam jej odpowiedzieć: „Lepiej będzie, jak zostanę w domu z moją nierozłączną rodziną Adamsów?”

— Tyler, przykro mi, ale zawsze tak będzie, jeśli zapragniesz spotykać się z dziewczyną z zewnątrz. Laurie chce iść do college’u, chce podróżować — kto może ją za to winić? Wiem, że to niesprawiedliwe, ty jednak nie możesz opuścić tego miejsca. Możesz studiować w mieście, jeżeli chcesz spędzać codziennie cztery godziny w pociągu, ale jak sądzisz, jak długo to wytrzymasz? I jak długo ona to wytrzyma?

Usta Tylera drżały z rozpaczy.

— Chcesz mi powiedzieć, że najlepiej będzie, jak z nią zerwę?

— Ależ nie, skądże. Ale wciąż jesteś taki młody. Nie powinieneś wiązać się...

— Kocham ją i nie pozwolę, żeby to pieprzone miasto stanęło między nami!

— Jaka jest więc alternatywa? — zapytał Steve. Spróbował objąć chłopaka ramieniem, ale ten się wyrwał. — Wiesz, że mógłbyś jej o wszystkim powiedzieć tylko w takim wypadku, gdyby miała się przeprowadzić do Black Spring, albo, powiem inaczej: dopiero po tym, jakby się przeprowadziła. Pytam więc: chcesz jej to zrobić? Musiałbyś sam zdecydować, jak będzie wyglądała reszta jej życia. Myślisz, że kiedykolwiek byłaby zdolna ci to wybaczyć?

— Ty zadecydowałeś za mnie i za Matta — syknął Tyler, przewracając oczami.

Oczywiście natychmiast pożałował swoich słów, ale było już za późno. Steve poczuł, jak ścina mu się twarz — jakby syn posypał solą jego najgłębszą ranę. Fakt, że z powodu swej nieszczęśliwej decyzji, aby powrócić do Black

Spring, wydał wyrok na swoje dzieci, gnębił go od ich narodzin. Popatrzył na Tylera, odwrócił się i usiadł.

— Jesteś niesprawiedliwy — powiedział cicho. Wzburzenie w jego głosie równe było bólowi. — Co mieliśmy zrobić? Przerwać ciążę mamy?

— Przepraszam — mruknął Tyler niepewnie.

Ale Steve znów usłyszał w głowie lament Burta Delarosy: „Dlaczego nie staraliście się mocniej, żeby nas zniechęcić do tego miejsca, wy skurwysyny?”. Delarosa płakał, a przecież nie miały to być jego ostatnie łzy, Steve doskonale o tym wiedział. Były to te same łzy, jakie on sam wypłakiwał osiemnaście lat wcześniej. „Naprawdę bardzo mi przykro”, powiedział do Delarosy. „Najwłaściwszym posunięciem byłoby hermetyczne odcięcie Black Spring od reszty świata i doprowadzenie do unicestwienia klątwy razem ze śmiercią ostatniego spośród nas. Jasne, mamy tutaj więcej pustych domów niż gdziekolwiek indziej nad rzeką Hudson, a w niektórych światła co jakiś czas zapalamy i gasimy automatycznie, żeby wyglądały na zamieszkane. Robert Grim współpracuje z agentem nieruchomości, żeby trzymać obcych ludzi jak najdalej od nas, jednak Rada, której przewodzi stary Colton Mathers, cholernie pragnie utrzymać miasto w dobrym zdrowiu i próbuje walczyć z nieuchronnym problemem powszechnego starzenia się jego mieszkańców. Powiadają, że dopuszczenie do nas świeżej krwi jest lepszym spośród dwóch złych rozwiązań. Oznacza to poświęcanie ludzi z zewnątrz, jednak życie na naszej głuchej prowincji naprawdę nie jest aż takie złe. Jasne, niesie za sobą pewne drobne niedogodności, takie jak na przykład brak możliwości wyjazdów na długie wakacje albo konieczność rejestrowania gości (aby uniknąć czerwonego kodu, sami rozumiecie). Są też pewne restrykcje, jeśli chodzi o korzystanie z Internetu... Ale życie jest tu naprawdę wygodne, jeśli ktoś stosuje się do obowiązujących zasad. Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy, nie możemy organizować wszystkich naszych spraw wokół zjawiska nadprzyrodzonego, prawda? W końcu pozostaje też nadzieja. Nadzieja, że w jakiś sposób, ten czy inny, sytuacja... sama się rozwiąże”.

— Posłuchaj — powiedział Steve okropnie zmęczonym głosem. — Dzisiejszej nocy przez całą godzinę próbowałem wyjaśnić nowym ludziom, dlaczego, na miłość boską, nie powstrzymaliśmy ich przed kupnem domu. Polityka miasta wprawia mnie w zażenowanie, Roberta Grima też. To jest zła polityka. Jeśli naprawdę kochasz Laurie, nie rób jej tego. Nie ma żadnej alternatywy.

— Jest, jeżeli wydostaniemy się z zamknięcia — powiedział Tyler z nadąsaną miną.

— W przyszłym roku osiągniesz pełnoletniość. Wtedy będziesz mógł przedstawić swoje propozycje Radzie, będziesz mógł mówić, co tylko zechcesz, i porwać za sobą tylu ludzi, ilu tylko zdołasz. Jeśli zaprezentujesz jeden dobry plan, ja za nim zagłosuję. Ale do tego czasu nie zrób niczego niezgodnego z prawem,

a już w szczególności nie zrób nic głupiego, nie konsultując się z Radą. Skończ z głupimi żartami z wiedźmy, przestań umieszczać filmy na YouTube, dość już szalonych pomysłów. Czy wyrażam się jasno?

Tyler mruknął coś pod nosem.

— Mam nadzieję, że nie ukrywasz przede mną jakiegoś asa w rękawie, co?

— Nie — odparł Tyler beznamiętnie, jednak po krótkim wahaniu.

Steve obrzucił go szybkim badawczym spojrzeniem.

— Jesteś tego całkowicie pewien?

— Powiedziałem, że nie, zgadza się? — Tyler znów się nadał; obaj z ojcem byli zmęczeni i zdenerwowani. — Jezu, tato, tak się wszystkiego boisz?

Steve westchnął.

— Ostatni przypadek, kiedy ktoś chciał upublicznić naszą klątwę, miał miejsce w 1932 roku, w czasie wielkiego kryzysu. Kilku robotników straciło pracę w tartaku. Zagrozili, że jeśli nie dostaną nowej pracy, rozpowszechnią o wszystkim. Groźba była poważna, ponieważ nie mieli żadnej szansy na znalezienie zajęcia. Miasto przeprowadziło w ich sprawie głosowanie i postanowiło ich przykładowo ukarać, żeby ostrzec innych potencjalnych szantażystów. Zostali publicznie wychłostani, a potem stanęli na rynku przed plutonem egzekucyjnym.

— Tato... ale teraz jest rok 2012.

— Tak, i pluton egzekucyjny nikomu nie grozi. Jednak kary cielesne wciąż są zapisane w Dekrecie o stanie wyjątkowym i będziesz głupcem, jeśli nie zrozumiesz, co nasze władze z tobą zrobią, jeżeli poczują się zapędzone w kozi róg.

Tyler przez długą chwilę milczał. Wreszcie powoli potrząsnął głową.

— Aż nie chce mi się w to wierzyć. Mamy w życiu już przesrane, ale coś takiego oznaczałoby jeszcze wyższy poziom przesrania.

— Zacytuję twoje własne słowa: witamy w Black Spring — powiedział Steve.

8

Griselda Holst, właścicielka Butchery & Delicacies, szła pospiesznie mokrymi ulicami Upper Mineral Valley w górnej części miasta. Była pochylona i przyciskała do piersi małe białe zawiniątko, a poncho, w które była ubrana, miało plastikowy kaptur, który chronił jej przedwcześnie posiwiałe włosy przed strumieniami deszczu. Gdyby kaptur był czerwony, można by ją wziąć za małą dziewczynkę z bajki... tej z wilkiem, nie z czarownicą.

Na wardze miała krew, jednak to ignorowała. Gdyby ktoś ją w tej chwili zobaczył, prawdopodobnie by jej nie rozpoznał, ponieważ stali bywalcy jej sklepu znali ją jako silną kobietę — owszem, miała zmienne nastroje wynikające z trudów jej życia, jednak powszechnie ją szanowano. Wielu ludziom Griselda's Butchery

& Delicacies służyło jako miejsce spotkań; było bardziej popularne niż Quiet Man na przeciwnym rogu rynku. W Quiet Manie ludzie upijali się i zapominali. U Griseldy wszyscy byli trzeźwi, a wspomnienia formowały bruzdy na ich czołach. Może dlatego, że Griselda uważana była za „swoją”, w jej sklepie i w niewielkiej części restauracyjnej, nad talerzem jakiegoś pożywnego dania, omawiano najnowsze miejskie plotki. Ludzie znali jej przeszłość. Nigdy jednak o niej nie wspominali, jakby jej blizny i gruby makijaż, którym maskowała siniaki na twarzy, były wspomnieniami po miłości. Nigdy nie wymieniano z imienia i nazwiska jej męża, Jima Holsta, prawdziwego rzeźnika, który nie dał sobie rady z ograniczeniami życia w Black Spring i zniknął bez śladu siedem lat wcześniej. O jego losie mogła cokolwiek podpowiedzieć jedynie krótka notka w bostońskiej popołudniówce: „Nieznany mężczyzna rzucił się pod pociąg”. Wszyscy wiedzieli, kim był, jednak nikt nie przerywał milczenia.

Z kolei Griselda wiedziała, że większość jej wiernych klientów tęskni za Jimem mimo cierpienia, jakie jej zadawał, chociaż zapewne żaden z nich nie przyznałby się do tego nawet przed sądem inkwizycji. Jim's Butchery & Delicacies było sławne za sprawą pasztetu z gęsich piersi, wspaniałego przysmaku, który Jim wymyślił i codziennie przyrządzał. W porównaniu z wyrafinowaną wędliniarnią Jima to, co proponowała Griselda, było jedzeniem mało wyszukany i nie zawsze smacznym. A jednak ludzie kupowali u niej już od siedmiu lat, a ona jakoś z tego żyła. Odbывał się tutaj typowy dla Black Spring spektakl milczącego współczucia: ściskano dłoń Griseldy, całowano ją w policzki, a jej wyroby, przyniesione do domów, i tak lądowały w śmietnikach. Ludzie zastanawiali się jedynie, czy ona płacze po nocach, czy może naprawdę jest taka silna, na jaką pozuje.

W każdym razie teraz, mijając luksusowe posiadłości przy Upper Mineral Valley, masywne i zadbane, Griselda wcale nie wyglądała na silną kobietę. Sprawiała wrażenie, jakby przed kimś uciekała. Była napiętnowana i przeklęta, opluto ją i wykorzystano.

„Hej, ty brudna kurwo. Rozłóż jeszcze raz nogi”.

Powiedział to Arthur Roth, który nie znał jej nazwiska — przynajmniej teraz już go nie znał — kiedy wychodziła z piwnicy Małego Kościoła Metodystów.

„Odpierdol się, ty wstrętna suko!”

To z kolei powiedział jej własny syn, Jaydon, zaledwie przed godziną.

A ona po każdym okrutnym słowie mówiła sobie, że oni i tak nie są w stanie dorównać bezlitosnym rękom Jima, szarpiącym jej purpurowe sutki, a jego pięści nie są już w stanie zadać jej żadnego bólu, że nie musi już znosić jego oddechu cuchnącego wódką i paszтетem z gęsich piersi.

„Nie lubisz tego, Griseldo? Czy nie dlatego za mnie wyszłaś?”

Griselda zatrzymała się obok sadu przy drodze i omiotła wzrokiem wzgórze. Nikt stamtąd się jej nie przypatrywał. Wszyscy przebywali w domach, oglądając

w telewizji lokalne wiadomości albo serial kryminalny „Prawo i porządek” przy po raz pierwszy tej jesieni włączonym ogrzewaniu. Szybko przerzuciła przez niski płot swoje zwaliste ciało i przeszła przez sad, po czym idąc w poprzek opadającego w dół pola, dotarła do skraju lasu. Ziemia była podmokła i dwukrotnie się poślizgnęła. W lesie, niemal bez tchu, dotarła jeszcze do osłoniętej drzewami moreny i wreszcie trochę się uspokoiła. Nie było tu ścieżek, ale nie było też kamer, które sięgały jedynie do Rogu Ackermana.

Powietrze w lesie zdawało się bardzo ciężkie od wilgoci i zapachu gnijących liści. Ktoś inny mógłby się zdziwić, że nie słyhać ani śpiewu ptaków, ani cykania świerszczy i że nie ma tutaj nawet owadów, jednak nie Griselda — i nie w Black Spring. Zatoczyła się, ciężko oddychając. Czuła ból poniżej klatki piersiowej. Wkrótce dotarła do koryta wyschniętego strumienia, który płynął tutaj po kamienistym podłożu całe wieki temu. W korycie, tam gdzie strumień skręcał kiedyś ostro w lewo, zalegało przewrócone drzewo. Griselda zatrzymała się właśnie w tym miejscu.

Przy drzewie stała Katherine.

Tkwiała w głębokim cieniu, jej przemoczone, bezkształtne ubranie przylegało do wychudzonego ciała i z tego powodu czarownica zdawała się jeszcze mniejsza i drobniejsza niż w rzeczywistości. Griselda nie była wysoką kobietą, a jednak przewyższała wzrostem Katherine przynajmniej o głowę. Czarownica zdawała się niezwykle delikatna, niemal tak krucha jak dziecko; Griselda przypuszczała, że w jej czasach ludzie nie osiągali takich rozmiarów jak obecnie. Czarownica nie poruszała się. Woda deszczowa, która przesiąkała przez jej przemoczoną chustę na głowie, gromadziła się pomiędzy niemi na jej okaleczonych powiekach i spływała po wychudzonych policzkach. Można było odnieść wrażenie, że płacze.

— Cześć, Katherine — powiedziała nieśmiało Griselda. Wbiła spojrzenie w ziemię. — Chciałam ci przynieść parasol, ale deszcz chyba ci nie przeszkadza, prawda?

Kobieta o zaszytych oczach nie zareagowała.

Griselda opadła na ziemię u stóp Katherine i po chwili usiadła plecami do niej, jęcząc z bólu w trzewiach. Nie miało znaczenia, że jest przemoknięta i brudna. Musiała jedynie odpocząć przez minutę, aby odzyskać oddech. Wiedziała, że kiedy mówi do czarownicy, nie powinna na nią patrzeć, podobnie jak nie spogląda się na dzikie zwierzę, wkraczając na jego terytorium. Katherine stała nad Griseldą jak bożek. Szept, dobiegający z kącika jej ust, był tylko odrobinę głośniejszy od westchnienia. I chociaż Griselda znajdowała się tak blisko wiedźmy, że czuła jej ciężki, wiekowy zapach, to deszcz i szum drzew pochłaniały jej szept i nic nie było w stanie skłonić kobiety, żeby przysunęła się do niej bliżej albo... żeby jej dotknęła.

Griselda wyciągnęła z torby papierowe zawiniątko i wyjęła z niego

jednorazowy talerz z porcją gęsiego pasztetu Holsta. Talerz położyła na ziemi przed czarownicą, tuż u jej kościstych, uwalanych w błocie stóp. Deszcz kapał z rąbków jej sukni i natychmiast zmoczył pasztet, dlatego Griselda przesunęła talerz trochę do przodu. Od czasu do czasu wciąż opadały na niego krople z drzew, jednak ta woda nie była przynajmniej brudna.

Griselda rozejrzała się dookoła. Były w lesie same.

— Przyniosłam ci wyjątkowo gruby kawałek, Katherine — zaczęła. — Ponieważ chciałam cię przeprosić za to, co zrobił Jaydon. Z tymi swoimi kumplami. Wiesz, o czym mówię. Zawstydzili cię.

Kobieta z zaszytymi ustami nie zareagowała.

Niespodziewanie Griselda zaczęła wylewać z siebie żale.

— To okropne, co ci zrobili. Co za głupi dowcip! Stało ci się coś, moja droga? Dostał ode mnie ochrzan, możesz być tego pewna. I jeszcze będzie cierpieć za swój wygłup. Nie ujdzie mu to płazem. Zapłaci za swoje grzechy, słyszysz mnie? Tak się boję, tak strasznie się boję! Przyczał się na chwilę, mój ukochany Jaydon, ale to już się zmieniło. Po prostu nie potrafię już do niego dotrzeć. Nie chce ze mną rozmawiać nawet o swoich sukcesach w piłce ani o dziewczynach, z którymi się spotyka, ani o innych rzeczach, które lubi. Czuję się taka bezsilna! Potrafię dawać sobie radę z wszelką złośliwością, mam z nią do czynienia przez cały czas. I zaznałam jej w życiu już mnóstwo, jak wiesz. Ale nie potrafię zmagać się z obojętnością. Czasami zastanawiam się, czy nie postępuję z gruntu źle, nie wiem jednak, czy powinnam być wobec niego bardziej surowa, czy patrzeć na niektóre jego sprawy przez palce. Wiesz, przez co oboje przeszliśmy. Nie było mu łatwo. A teraz coś takiego...

Na talerzu spoczywającym u stóp czarownicy, wokół pasztetu zaczęła się tworzyć kałuża deszczowej wody. Griselda tego nie widziała.

— Moja droga, nie zrozum mnie źle, oni potraktowali cię bardzo niegrzecznie — kontynuowała. — Ale Jaydon twierdzi, że to nie był jego pomysł. On tak łatwo ulega wpływowi kolegów. To był prawdopodobnie pomysł tego muzułmańskiego chłopaka, tego Burana. Założę się, że on to wymyślił; on i jemu podobni znani są z takich głupot, prawda? A Jaydon? Och, potrafi być nieznośny, ale nigdy nie wyrządzi nikomu krzywdy. Gdybyś tylko widziała, jak mi pomaga w sklepie... w głębi duszy jest bardzo kruchym dzieckiem.

I wtedy usłyszała jego głos grzmiący w jej głowie, tak nagły i głośny, że aż ją przeraził i sprawił, że szybko rozejrzała się dookoła: „Odpierdol się, ty wstrętna suko!”.

Chociaż wszyscy w Black Spring zdawali się wiedzieć, co zaszło, Griselda nie wiedziała o niczym aż do dzisiejszego poranka, kiedy w jej sklepie pojawili się pierwsi klienci, zawsze gotowi do roztrząsania miejskich plotek. Zdawało się, jakby pół miasta przyszło do sklepu, żeby obserwować tępe niedowierzanie na

twarży żony rzeźnika, a gdy stało się jasne, że ona aż dotąd o niczym nie wiedziała, jeszcze więcej ludzi zjawiało się u niej, żeby osobiście się o tym przekonać. Taka pani Schaeffer, która poślubiła tego bogatego chirurga — wiadomo dlaczego — przychodziła nawet dwa razy, po raz drugi pod pretekstem, że zapomniała kupić pasztet Holsta, chociaż nigdy wcześniej go nie kupowała.

Niektórzy wyrażali oburzenie, jednak większość uważała cały incydent za dość zabawny. Griselda była zszokowana. Natychmiast postanowiła skontaktować się z Coltonem Mathersem, szefem Rady — w której, jako jedna z najznamienitszych i najporządniejszych obywaterek, również zasiadała — ale Mathers sam do niej zadzwonił, akurat w porze największego przedpołudniowego ruchu w sklepie. Griselda wymknęła się na zaplecze, pozostawiając klientów bez opieki w sali restauracyjnej i przy ladzie. Wszyscy aż drżeli z ciekawości, czego chce od niej Mathers.

Stary radny był wściekły. Grzmiał na Grima, że potraktował chłopców pobłażliwie, nie dając dojść do głosu Radzie. Uważał, że aby uniknąć powszechnego buntu, jedynym rozwiązaniem było udzielenie im oficjalnego ostrzeżenia, chociaż dobry człowiek wyrażał też stanowcze przekonanie, że Jaydonowi dobrze zrobi surowe odwołanie się do autorytetu rodzicielskiego. Griseldę aż skręcało, kiedy Colton Mathers mówił: „Możesz mi wierzyć albo nie, ale miasto zdaje się aprobować zachowanie tych nicponi i ich ostatni wygłup”.

Po tych słowach Griselda się przestraszyła. Przez cały dzień strach coraz bardziej ścisnął jej brzuch, jakby czuła, że z szybkością ekspresowego pociągu zbliża się ku niej wielkie i nieuniknione nieszczęście. Nie bała się tego, co czeka Jaydona, ani nie obawiała się o wizerunek swojego sklepu. Jak wszyscy mieszkańcy miasta, Griselda żyła w bezustannym strachu przed złym okiem Katherine van Wyler, której spojrzenie pewnego dnia mogło paść przecież na nią. Wszyscy wiedzieli, że przekleństwo okazało się fatalne dla nieobliczalnego męża Griseldy, ale nikt nie zdawał sobie sprawy, że od dnia, w którym się od niego uwolniła, kobieta była wdzięczna Katherine, a cały jej strach przerodził się w determinację, aby uwolnić się także od groźby, jaką zwiastowało złe spojrzenie czarownicy. I to dlatego przez siedem długich lat, w najgłębszym sekrecie, pod groźbą kary dużo bardziej straszliwej niż zamknięcie w Doodletown, Griselda przynosiła Katherine prezenty i smakołyki, a także czyściła chodniki, po których Katherine miała chodzić następnego dnia. Powierzała jej wszystkie swoje sekrety, opowiadała jej plotki z miasta, również te najsmakowitsze, które słyszała w swoim sklepie, i wskazywała palcem na winnych w nadziei, że ona i Jaydon zostaną oszczędzeni, jeśli kiedyś wydarzy się to, co najgorsze. Poprawiała na głowie Katherine chustę, którą zaczął rozwiewać wiatr (posłużyła się długim kijem, oczywiście), i trochę inaczej ułożyła łańcuchy, które zdawały się jej przeszkadzać. Znowu nadała wiedźmie kształt bogini, którą czciła; coraz mniej wierzyła w stare

legendy, jakie ją otaczały, a coraz bardziej w samą czarownicę. Griselda zrobiłaby dla niej wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, na którą przenigdy nie mogłaby się zdobyć... nie otworzyłaby jej oczu.

„Ale — powiedziała kiedyś wiedźmie w zaufaniu — wiem, że pewnego dnia pojawi się ktoś, kto odda pani tę przysługę, pani van Wyler — było to, zanim przeszły na „ty” — i mam nadzieję, że tego dnia dobrze będzie pani pamiętała, jaka zawsze byłam dla niej dobra”.

Jednak teraz bała się, że wszystko, co z takim wielkim wysiłkiem budowała przez siedem lat, nieodwołalnie zniszczy jeden wygłup Jaydona.

To dlatego musiała w tak zdecydowany sposób pokazać, po czyjej jest stronie. Czekala na Jaydona w kuchni; chłopak jeszcze dobrze nie przeszedł przez próg, gdy uderzyła go otwartą dłonią w twarz. Jaydon krzyknął i oparł się plecami o stół. Uderzenie zabrzmiało jak strzał z pistoletu i sprawiło, że w kuchni zapanowało niewyobrażalne napięcie. Dotąd nigdy nie podniosła ręki na rodzzonego syna; pięści Jima aż nadto obijały i Jaydona, i ją. Teraz jednak nie miała wyboru. Nie mogła się cofnąć.

— Co ty sobie myślisz? — zapytała zimnym i wściekłym głosem. — Co, do diabła, sobie myślisz? Gówno masz zamiast mózgu?

— Kurwa, mam!

Griselda jeszcze raz uderzyła syna otwartą dłonią w twarz. Spróbował zasłonić się rękami i cofnąć, ale znowu natrafił na stół. Griselda poczuła, że ogarnia ją gorączka, taka sama, jaką odczuwała, kiedy to Jim atakował ją z wściekłym spojrzeniem i uniesionymi pięściami. Jednak gdy zobaczyła, że młody człowiek jest bezbronny i zdezorientowany, wiedziała już, że bardzo szybko osiągnęła to, czego chciała — nie miał drogi ucieczki.

— Dlaczego nas narażasz? Myślałeś, że się nie dowiem? Całe miasto o tym wie. Jak możesz być taki głupi?

— Ale o co chodzi?

— Zamknij gębę, ty...

Jaydon był autentycznie zdumiony.

— Jezu, uspokój się, wszystkiego dopilnowaliśmy. Grim kazał nam za karę sprzątać park, kretyński pomysł, bo przecież od tego są ludzie, którzy tam pracują. Ale niech mu tam.

— Nie obchodzi mnie, co ci kazał Grim. Teraz masz ze mną do czynienia.

— Rzeczywiście, zupełnie inny wymiar. — Jaydon zawahał się, jednak wziął się w garść i na jego twarzy wykwitł wyraz buntu, którego Griselda tak nienawidziła. — Rada powiedziała...

— Rada nie ma z tym nic wspólnego — warknęła Griselda. — Chodzi o ciebie i o mnie, rozumiesz? — Rozejrzała się nerwowo po kuchni i ściszyła głos. — Co będzie, jeśli pewnego dnia ona otworzy oczy? Myślałeś o tym

kiedykolwiek? Uważasz, że cię oszczędzi, skoro z niej drwiłeś? Czy ty w ogóle rozumiesz, w co nas pakujesz?

Ku jej rozczarowaniu Jaydon zaczął się śmiać, ale nie był to bynajmniej śmiech radosny. Słysząc w nim było pogardę i poczucie wyższości wobec matki.

— Mamo, bądź poważna. Przecież jesteś osobą inteligentną.

Chciał odejść, jednak Griselda chwyciła jego sweter tuż pod szyją — musiała szybko wyciągnąć rękę, żeby to zrobić — i pchnęła go na stół.

— Nigdzie stąd nie pójdziesz, mój drogi.

— Nie dotykaj mnie — warknął Jaydon i wyrwał się matce.

— Wiesz, co się stało z twoim ojcem? Chcesz skończyć tak jak on? — zawołała Griselda.

Uderzyła celnie. Zobaczyła, jak twarz chłopaka tężeje. Mimo że ojciec często bił go prawie do nieprzytomności, Jaydon zawsze gotów był pójść za nim do piekła i z powrotem. Griselda nigdy nie potrafiła pojąć, czym zasłużył sobie u syna na taki respekt. Chociaż Jaydon miał teraz dziewiętnaście lat, a jego ojciec nie żył już od siedmiu, uczucie to wcale nie osłabło.

— Walczę o nas oboje — kontynuowała Griselda. — Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się nam. Myślisz, że nam pomagasz, robiąc z niej idiotkę?

Oczy Jaydona emanowały obrzydzeniem, pogardą i nienawiścią. Matka próbowała nie widzieć przynajmniej tej nienawiści, ona jednak tkwiła we wzroku syna, widoczna tak wyraźnie jak tłusta plama na kałuży deszczówki.

— Jeśli ona otworzy oczy — powiedziała — wszyscy umrzemy.

Jaydon odwrócił się, a Griselda złapała go za ramiona i zaczęła błagać:

— A przecież to się nie musi stać, rozumiesz? Dopilnuję, żebyśmy oboje nie umarli, ty i ja, Jaydon. Posłuchaj...

Jaydon odwrócił się na piętach.

— Odpierdol się, ty wstrętna suko!

PLASK!

Zanim zdołała nad sobą zapanować, jej ręka znowu zaatakowała syna, tym razem znacznie mocniej niż poprzednio. Sekundę później w jej głowie eksplodował okrutny ból, a ona sama wylądowała na kuchennym linoleum. Jej dolna warga drżała, poczuła w ustach metaliczny smak krwi. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiała, co się wydarzyło.

Jaydon stał nad nią w progu i uważnie się w nią wpatrywał, z prawą pięścią zacisniętą w lewej dłoni i półotwartymi ustami.

— Już ci mówiłem, nie dotykaj mnie — powiedział cichym głosem. Otworzył dłoń i przycisnął ją do policzka. — Nie jesteś ani trochę, kurwa, lepsza od niego.

I wyszedł. Najbardziej zaboląły Griseldę nie jego słowa, nie uderzenie jego pięści, ale wyraz jego oczu. Mimo przeszywającego ją bólu ujrzała w wyobraźni

plac zabaw dla dzieci i karuzelę: karuzelę, na której w innym życiu, w innym miejscu mogłaby go posadzić i kręcić w kółko. Oboje byliby zadowoleni z życia, roześmiani, weseli.

Mimo wszystko jakoś się pozbierała, podobnie jak przez całe życie, i była teraz właśnie tutaj, w lesie. Czuła się słabo, miała mdłości. W kałuży wody, jaka zebrała się na dnie wyschniętego strumienia, ujrzała odbicie twarzy, której nie rozpoznawała. Miała obwisłe policzki i skórę bladą jak wosk, wory pod oczami i opuchnięte, spękane wargi.

Kobieta z zaszytymi oczami wciąż się nie ruszała.

Poczęstunek tkwił u jej stóp nietknięty.

— Powiedz mi, co robić, Katherine. Powiedz mi, daj mi jakiś znak, żebym mogła coś zmienić w życiu. Proszę cię o tak niewiele, a przecież wiesz, że zawsze byłam dla ciebie dobra — mówiła Griselda. — Oszczędź nas, proszę, kiedy nadejdzie twój dzień. Zachowaj nas w zdrowiu. Pozwól nam uchronić się przed chorobami, być wolnymi od grzechu, nie spoglądaj wtedy na nas. To wszystko nie może okazać się tak złe, jak wszyscy mówią, prawda?

Bezmyślnie przechyliła papierowy talerz i zlała z niego wodę deszczową. Następnie wbiła palec w pasztet, nabrała go sobie trochę i równie bezmyślnie włożyła do ust.

— Czy nie dość już zostałam pokarana? Popatrz tylko na moją twarz. Wyglądam na dziesięć lat starszą, niż jestem. Nie mówię, że to jest twoja wina, jednak ta sytuacja ma przecież związek z tobą. Z moimi stawami jest coraz gorzej, że nie wspomnę już o bliznach, jakie mam na całym ciele.

Jej bogini stała nad nią nieruchomo. Griselda wzięła na palec kolejną porcję pasztetu i powoli go zlizwała.

— Zabrałaś mojego męża i krzyż mu na drogę. Tak, jestem ci wdzięczna, że oderwałaś go ode mnie, chociaż to było bolesne. Nie boli mnie to, że go nie ma, lecz bolą wspomnienia z czasów, kiedy ze mną był. Ale życie toczy się dalej, jak dobrze wiesz. Po upadku zawsze trzeba się podnieść. Do bólu można się przyzwyczaić, jednak nigdy się go nie zapomina. Wciąż noszę go w sobie. I przynoszę do ciebie; obie nosimy potężny krzyż nie z naszej winy. Wiem, co czujesz, Katherine. Wiem, jak to jest. I właśnie dlatego proszę cię o tę jedną rzecz: nie odbieraj mi chłopca i nie zabieraj mnie. Proszę, nie proś mnie o to.

Nie przerywając błagalnego przemówienia, Griselda zjadła cały przemoczony pasztet. Lubiła w nim nie smak mięsa, ale miękkie kawałki wątróbki, które, kiedy mówiła, kleiły się do jej podniebienia i którymi bawiła się, przesuwając po nich językiem.

Była tak pogrążona w swoim błaganiu, że nie zauważyła, jak czarownica odwróciła głowę w jej kierunku.

— Powinnam już iść — powiedziała. — Wkrótce będzie ciemno. To nie jest

tak, że nie chciałabym jeszcze z tobą zostać, jeśli jednak będę spacerować ulicami po zmroku, ludzie na pewno to zauważą. — W rzeczywistości pozostanie po zmroku sam na sam z czarownicą w lesie było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Griselda, a przecież ciemność między drzewami zapadała bardzo szybko. — Arthur Roth zamknięty w kościele Kryształowym jest wciąż taki sam. Zanim tu przyszłam, zatrzymałam się, żeby go zobaczyć. Colton Mathers chce, żebym ograniczyła mu wyżywienie do połowy, dlatego teraz przynoszę mu jedzenie tylko co drugi dzień. Robi się coraz bardziej kościsty. Myślę, że chcą się go pozbyć, jednak taki sposób jest bardzo niehumanitarny. Ludzie cywilizowani tak nie postępują, prawda? Jestem pewna, że jego sprawa znajdzie się na porządku dziennym kolejnych obrad Rady, jednak zdziwię się, jeśli podejmą wtedy jakąkolwiek konkretną decyzję.

Arthur Roth od lat był cierniem w oku Rady Black Spring; były właściciel sklepu z artykułami żelaznymi, który wpadł w depresję i alkoholizm, we wrześniu 2007 roku stracił dom, a dwa miesiące później postradał zmysły. Od tego czasu groził, że ujawni tajemnicę miasta i wszędzie otwarcie będzie opowiadał, co się dzieje w Black Spring. Czterokrotnie odbywał odsiadkę w Doodletown, jednak przebywanie w zamknięciu jedynie pogłębiało jego obłąd. Mimo to Rada nie ośmielała się skazać go na pobyt w odosobnieniu poza Black Spring, podejrzewając, że zanim się zabije, zdoła narobić jeszcze wiele zła. Gdyby pozbyć się ciernia z oka samodzielnie... W gruncie rzeczy nikt nigdy czegoś takiego nie zaproponował. W końcu w Black Spring żyli wyłącznie ludzie cywilizowani.

Griselda zlizwała z palca wskazującego resztki pasztetu.

— Może odwiedziłabyś go pewnego dnia? — zapytała. — Przepraszam, że zawracam ci głowę czymś takim, w końcu wiem, że nie lubisz kościoła, ale może zrobiłabyś ten jeden wyjątek? On jest na samym dole, w piwnicznej celi. Naprawdę, to by wiele ułatwiło... — Griselda nieśmiało obróciła głowę i po raz pierwszy tego wieczoru obrzuciła czarownicę pospiesznym spojrzeniem. — Może wyszeptałabyś mu coś do ucha?

Katherine błyskawicznie się nad nią pochyliła. Ciało Griseldy zadrżało od nagłego chłodu. Krzyknęła i upadła na plecy w błoto, niemal tak samo, jak wcześniej tego samego dnia upadła na kuchenne linoleum. Szarymi falami ogarnął ją strach zmieszany z zimnym deszczem, gdy została zmuszona do spojrzenia od dołu na okaleczoną twarz i na szwy, które niczym czarny zamek błyskawiczny wybiegały z martwej skóry wiedźmy; poderwała się do tyłu i w obliczu śmierci zaczęła drapać palcami obu rąk w błotnistej ziemi.

Po chwili zaległa bez ruchu.

Kobieta z zaszytymi oczami już się nie ruszała.

Griselda uniosła się na łokciach i wsłuchiwała w nieregularne bicie swojego serca, wyraźnie wyczuwalne w skroniach. Zaczęło jej się kręcić w głowie, miała wrażenie, jakby płynęła w powietrzu. Katherine van Wyler wciąż stała w korycie

strumienia, mroczna bogini, ociekająca wodą, zakuta w łańcuchy, podświetlona jedynie przez resztki światła dziennego. Griselda przez chwilę bała się, że zemdleje, jednak myśl, że później będzie musiała iść przez ciemne królestwo swojej bogini, dodała jej sił na tyle, że zdołała odwrócić się na brzuch i stanąć na nogach. Ruszyła w swoją stronę, obdarzając Katherine jedynie krótkim „do widzenia”.

Poczęstunek dla czarownicy w postaci czystego mokrego talerza leżał porzucony w korycie strumienia. Jeszcze tego wieczoru, ale znacznie później, kiedy czarownica z Black Spring ruszyła się, przypadkiem na niego nadepnęła.

9

W ciągu trzech tygodni, jakie minęły od próby z latarnią, chłopcy z Otwórz Oczy: Głos z Gniazda Czarownicy dokonali istotnego postępu w swoim przedsięwzięciu polegającym na zebraniu jak największej liczby dowodów naukowych, które mogłyby trafić do Internetu i połączyć miasto z całym światem. W ciągu tych trzech tygodni boleśnie oczywisty stał się również konflikt między Tylerem Grantem a Jaydonem Holstem. Dzielił ich od zawsze, to oczywiste — Jaydon od najwcześniejszych lat był nieprzewidywalny i niebezpieczny — jednak pozostawał uśpiony, a obecnie jak podziemna skamielina wy dostał się na wierzch, wydobyty z ukrycia przez nieuniknione wybryki losu.

Tym wybrykiem stała się wiadomość zamieszczona piętnastego października na stronie internetowej OO:

Następny krok: #superśmiała próba szeptu

Zamieszczone o godz. 13.29 przez: Tylera Granta

Próba szeptu nie była pierwszym eksperymentem od czasu kłótni między Tylerem a jego ojcem na temat Laurie. Była to ich najgwałtowniejsza sprzeczka od bardzo dawna — w gruncie rzeczy Tyler nie potrafił sobie przypomnieć podobnie burzliwego starcia w przeszłości. Tyler i Steve w ogóle bardzo rzadko się kłócili, podobnie jak Matt i Jocelyn. Ten incydent wstrząsnął nimi oboma tak bardzo, że odbił się również na pozostałych członkach rodziny. Następnego popołudnia Tyler poszedł pomagać ojcu i Mattowi w stajni, a kiedy podawał Steve’owi belę siana, jedno pospieszne spojrzenie sobie w oczy dało im obu jasność, że to już koniec sprzeczki pomiędzy nimi. I chociaż topór wojenny został zakopany, to jednak ucisk w piersiach Tylera wciąż pozostawał. Oczywiście nie był w stanie opowiedzieć ojcu o wszystkich swoich planach, jednak ukłuło go to, że Steve nie pochwalił go za to, co już usłyszał.

Przez kolejne dni Tyler starał się unikać rodziców. Gdy dobiegła końca narzucona mu praca społeczna w parku, po lekcjach w szkole dość długo nie wracał do domu, lunch jadał u Laurie albo z kolegami w Newburghu. Popołudniami włączył się bez celu po mieście albo logował się do bezpłatnej sieci

wi-fi w Starbucksie i pracował na stronie OO. Aż do teraz robił to jedynie w zaciszu swojej sypialni — kiedy rodzice szli spać, rozłączał domowe wi-fi, a kolejnego dnia podłączał się do sieci szkolnej, której nie mogło obserwować uważne oko HEX-a, i dopiero wtedy umieszczał w sieci to, co napisał, będąc offline w domu. Teraz czuł, że powinien być jeszcze bardziej ostrożny. Może zaczynała go ogarniać paranoja, jednak nie potrafił nad tym zapanować. Laurie pytała, co się z nim dzieje, a Tyler nieodmiennie ją zbywał, wytwarzając pomiędzy sobą a dziewczyną niepotrzebne napięcie. Zaczął tracić ochotę na przebywanie z nią, co wcześniej było nie do pomyślenia. Czuł się z tym źle, a kłamstwo powoli wyrastało pomiędzy nimi jak mur.

A pod koniec dnia, kiedy wracał do domu z konnej przejażdżki drogą, która wiała się pomiędzy wielkimi domami Cornwall, siedząc na grzbiecie swojego Diamentowego Jokera, rozmyślał, co czeka go na końcu tunelu z drzew. Coraz mocniej uderzała go myśl, że tę mroczną drogę będzie niezmiennie przemierzał już do końca życia. Być może ludzie obserwowali go przez okna i widzieli w nim zdrowego amerykańskiego chłopca, powracającego do domu po długim dniu. Chłopca, który żył w wolnym kraju i niemal już ukończył szkołę, który wkrótce rozłoży skrzydła i zerwie się do lotu w pogoni za marzeniami. A jednak nikt, po prostu nikt nie wiedział, co działo się zaledwie kilka kilometrów dalej. Nikt nie wiedział, że ten chłopiec nigdy nie zdoła wynurzyć się z mroku.

Nic nie przekonywało go bardziej niż te rozmyślenia, że jego życie musi się zmienić. Tyler nie chciał być chłopcem, który na zawsze pozostanie w mroku.

Wyniki eksperymentu z okularami przeciwsłonecznymi postawiły nowe pytania, jak to zawsze bywa w przypadku problemów naukowych. Tyler wrzucił na stronę OO pełne, niezmontowane nagranie, aby w przyszłości nikt mu nie zarzucił mistyfikacji, ale jako wstęp zamieścił krótkie wideo w stylu TylerFlow95. Oto ten materiał.

* * *

Widzimy grupę chłopców otaczających czarownicę z Black Spring, jednak w bezpiecznej odległości, w alejce za Market & Deli. Tyler podłożył pod wideo *Brooklyn's Finest* Jaya-Z i Notorious B.I.G. i zmienił obraz na czarno-biały, dlatego nagranie wygląda jak hip-hopowy klip. Używając grabi, których nie oddali po pracy w parku, chłopcy umieścili okulary słoneczne Burana pod chustą na głowie czarownicy. Okulary wylądowały na nosie wiedźmy cokolwiek przekrzywione, jednak wystarczył jeden dodatkowy ruch i po raz pierwszy od trzystu pięćdziesięciu lat Katherine van Wyler miała na sobie — oprócz łańcuchów — modny i drogi dodatek.

— Kto jest teraz moją zdziwą? — rapuje Buran, a chłopcy podskakują i śpiewają razem z Jayem-Z i B.I.G., zapewniając słuchaczy: — Nasza wiedźma,

nasza zdzira, weźmy ją od tyłu...

Oczywiście scenie towarzyszą zwykłe żarty, jednak najważniejsze są podskoki w rytm kroków Katherine, przemierzającej alejkę za supermarketem. Chłopcy uparcie podążają za nią. Gdy czarownica skręca za róg, znika z pola widzenia, jednak chłopcy czegoś nie mogą jej przecież podarować — okularów przeciwsłonecznych Burana. A przynajmniej tego, co z nich zostało. Rozlegają się pełne zaskoczenia, podekscytowane okrzyki, kiedy obiektyw kamery koncentruje się na fragmencie asfaltu, a Tyler mówi:

— Ostrożnie, nie dotykajcie ich...

Okulary jakby się stopiły — inaczej tego określić nie można. Jedna z soczewek jest pęknięta, druga jest miękka jak podgrzany plastik. Szkło nie odpadło od oprawek, lecz wtopiło się w plastik, jeden z zauszników sterczy pionowo w górę jak antena. Logo firmy Ray-Ban pozostało nienaruszone. Ale z oprawkami stało się jeszcze coś dziwnego: przylgnęła do nich jakaś czarna, chropowata substancja, z pewnością niebędąca częścią ich oryginalnej konstrukcji. Ma konsystencję materiału izolacyjnego, wystającego ze szczeliny w ceglany murze.

— Jezu, co to jest? — pyta ktoś.

— Boże, jak to śmierdzi! — woła ktoś inny.

Widzimy, jak Tyler wkłada rękę do torby termoizolacyjnej i unosi przez nią okulary.

— Wciąż są gorące — mówi niemal bez tchu.

Okulary przykleiły się do asfaltu i gdy je od niego odrywa, wydają głośny trzask. Po chwili Tyler trzyma dowód rzeczowy przed obiektywem kamery i oznajmia:

— To jest historyczny moment.

Następne kadry prezentują oszkloną szafę w szkolnej pracowni chemicznej. „Liceum im. Jamesa I. O’Neilla w Highland Falls” — głosi podpis. Lawrence VanderMeer i Tyler — kamerzysta — spijają niemal każde słowo z ust laboranta. To elegancki siwowłosy mężczyzna, jego palce są pożółkłe od papierosów. Ogląda resztki okularów pod mikroskopem.

— A więc naprawdę pan nie wie? — pyta Tyler, podekscytowany, ponieważ bez wątplenia takiej odpowiedzi oczekiwał, a przecież mimo wszystko jest w widoczny sposób rozczarowany, jakby w gruncie rzeczy... cóż, czegoś się spodziewał.

Laborant wyłącza światło i mówi głośno:

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli wiem, co to jest. Do identyfikacji jest to zbyt mocno spalone. Jeśli weźmiemy pod uwagę zapach, na pewno jest w tym siarka, ale struktura tego materiału wydaje się bardziej organiczna. Ale, chłopaki... co wy, do diabła, robiliście z tymi okularami? Aby stopić szkło, trzeba uzyskać

temperaturę tysiąca czterystu stopni. A przecież plastikowa oprawka się nie stopiła, widzicie? A to jest niemożliwe. Ponieważ skoro szkła tak szybko wystygły, popękana powinna być także druga soczewka.

O mój Boże, 1400 stopni! Czy to możliwe, aby czarownica z Black Rock używała do objawiania się tak dużej energii, że osiąga aż tak wysoką temperaturę? A może to jest jakieś nieznanne zjawisko nadprzyrodzone? A co z tym spalonym paskudztwem? Siarka, ale o strukturze organicznej, mówi pan Mason z liceum O’Neilla. Oczywiście nie mogliśmy powiedzieć mu o naszej teorii, ale — poproszę o werble — czyżbyśmy natrafili na pierwszy namacalny dowód, że istnieje **EKTOPLAZMA???**

Dla tych spośród nas, którzy są niedouczeni: „ektoplazma” to termin wprowadzony przez francuskiego fizjologa Charles’a Richeta na określenie substancji, którą można wyłonić albo uzyskać za pomocą medium lub energii duchowej (według Wikipedii). Wszyscy widzieliśmy fotografie wędrujących mediów, wypluwających z siebie wielkie chmury o konsystencji purée ziemniaczanego. Zazwyczaj media są fałszywe i rzeczywiście plują purée ziemniaczanym — dlatego właśnie nauka nie potwierdziła jeszcze istnienia ektoplazmy. Ale mimo wszystko ektoplazmę łączy się z duchami od czasu, kiedy widziany był pierwszy duch. Nawet dzisiaj, kiedy w filmie *Kłątwa* pojawia się dziewczyna z koktajlem mlecznym w gardle, widać ją jako obrzmiałą chmurę w rogu sypialni. A w *The Blair Witch Project* mamy do czynienia z niebieską galaretą, która pokrywa plecak niepiśmiennego hipisa w noc poprzedzającą dzień, w którym dopada go czarownica.

Oczywiście nie chcemy od razu przechodzić do ostatecznych konkluzji, ale, kurwa mać, to jest ekscytujące! To wymaga dokładnych badań naukowych. My z OO będziemy starannie zbierać w naszych archiwach dowody, aby później przekazać je National Geographic. NG: możecie dostać je za darmo w domu Tylera, ale w zamian za nową parę okularów przeciwsłonecznych (według Burana chodzi o Ray-Ban, najlepiej typu rb8029k Aviator Ultra, z limitowanej edycji).

* * *

Wbrew wszelkim oczekiwaniom test szeptu niemal spieprzyli. A to dlatego, że okazja do jego przeprowadzenia pojawiła się mniej lub bardziej przypadkowo, zanim zdążyli rozważyć i przedyskutować wszystkie opcje. Spoglądając wstecz, Tyler doszedł do wniosku, że nawet gdyby mieli dość czasu, i tak eksperyment byłby obarczony wielkim ryzykiem. Ale czasami badania naukowe trzeba prowadzić w kraterze płonącego wulkanu i nic nie można na to poradzić.

W to niedzielne popołudnie Tyler postanowił pójść z Lawrence’em i Fletcherem na spacer do lasu rozciągającego się za ich domami. Drzewa mieniły się olśniewającymi kolorami po obu stronach namokniętych ścieżek i nadzwyczaj

jaskrawo błyszcząły w oczekiwaniu na koniec miesiąca, kiedy natura sprawi, że zaczną blaknąć i zrzucać liście. Kiedy ścieżka skręciła ostro w lewo na wzgórze, w kierunku punktu widokowego, chłopcy jakby instynktownie ruszyli wzdłuż Strumienia Filozofów, poza zasięg ukrytych kamer, dzięki którym wszystkie trasy spacerowe na Mount Misery widoczne były na monitorach w siedzibie HEX-a.

Lawrence i Tyler szli bez pośpiechu, dyskutując o praktycznych szczegółach testu szeptu, gdy smycz, na której uwiązany był Fletcher, niespodziewanie się napięła i owczarek zaczął warczeć z podniesionymi uszami.

Tyler mocno owinał sobie smycz wokół pięści i zatrzymał się.

Z oddali dotarły do niego podniecone głosy i coś zaczęło rozrzucać opadłe liście. Niespodziewanie Fletcher zaczął gwałtownie ujadać. Tyler i Lawrence wymienili zaskoczone spojrzenia i pobiegli za Fletcherem do miejsca, gdzie wilgotne koryto strumienia rozgałęziało się, a jego brzegi robiły się węższe i bardziej strome. Buran, Jaydon i Justin stali na lewym brzegu, a pomiędzy nimi znajdowała się czarownica z Black Rock. Dźgali ją długimi gałęziami. Kiedy usłyszeli psa, Buran i Justin odwrócili głowy, unieśli ręce i wesoło się uśmiechnęli.

— Jezu — jęknął Tyler. — Spokojnie, Fletcher. Siad! — Pociągnął za smycz i wsunął jej koniec do ręki Lawrence'owi. — Trzymaj go i nie podchodź z nim ani kroku bliżej, bo inaczej pies będzie szalał.

Lawrence pokiwał głową, a Tyler podbiegł do pozostałych chłopców.

— Co wy robicie, do diabła? Dostyc tego!

— I kto to mówi? Czyżby nasz nieustraszony przywódca? — Justin roześmiał się. — Prowadzimy właśnie badania naukowe. Udowadniamy, że czarownica wykonana jest z ciała stałego.

— Właśnie. Popatrz — powiedział Jaydon i pchnął czarownicę w ramię końcem gałęzi.

Zrobił to gwałtownie, zupełnie niepotrzebnie wkładając w pchnięcie dużo siły. Katherine zachwiała się i powoli odwróciła głowę w jego kierunku, jednak poza tym nie ruszyła się.

Tyler był zniesmaczony. Chłopcy drwili z czarownicy. Oczywiście, nie kto inny jak on wymyślił test z latarnią, jednak w tym wypadku żart był poniżej pasa. Prostackie zaczepianie czarownicy było niedopuszczalne; nie trzeba było nawet znać Dekretu o stanie wyjątkowym, żeby to wiedzieć. To, co robił Jaydon, zszokowało Tylera. Jaydon stąpał po cienkim lodzie, a to mogło spowodować, że wpadnie pod wodę.

— Przestań — powiedział Tyler raz jeszcze i pchnął Jaydona w ramię trochę mocniej, niż zamierzał.

Jaydon wbił w niego groźny wzrok. Opuścił gałąź i odwrócił się. Był dwa lata starszy, o głowę wyższy od Tylera i gotów do konfrontacji. Tyler poczuł, że serce podchodzi mu do gardła i bije jak oszalałe, jednak nie cofnął się.

— Stary, chyba jesteś chory, nie można jej tak traktować. Narażasz nasze badania.

— To twój pies je naraża — odparł Jaydon.

Tyler zobaczył w jego oczach coś, co absolutnie mu się nie spodobało, coś, co go przstraszyło, coś, co tkwiło w Jaydonie od dnia, kiedy opuścił go ojciec, udając się na spotkanie ze swoim mrocznym przeznaczeniem. Za plecami chłopców Fletcher znowu zaczął ujadać, a Lawrence uklęknął, starając się go uspokoić.

— Uzgodniliśmy, że eksperymenty będziemy prowadzić jedynie wspólnie i tylko dla dobra nauki. W przyszłym tygodniu jest posiedzenie Rady, a twoje postępowanie zagraża naszym szansom na wolny Internet. — Tyler nerwowo oblizał wargi, po czym postanowił pójść o krok dalej. — Weź się w garść albo wylatujesz z OO.

— A kto nagle zrobił cię szefem? — zapytał Jaydon, zbliżając się do niego.

— Hmm... chyba my wszyscy? — zauważył Lawrence i Tyler zamknął oczy w modlitewnym podziękowaniu.

— To jego strona internetowa — powiedział Justin z głupawym uśmiechem.

— Tak, i jego plan — dodał Buran.

Jaydon popatrzył na niego zimno i Tyler nagle powrócił myślami do przeszłości. Mieli wtedy po dziesięć i dwanaście lat i obaj chodzili do szkoły podstawowej. Tyler był w piątej klasie, a Jaydon w szóstej, ponieważ tego lata nie otrzymał promocji. Było to mniej niż rok po tym, jak ojciec Jaydona przepadł bez śladu, ale wówczas Tyler Grant był zbyt młody, aby wiązać ze sobą oczywiste fakty. Wiedział jedynie, że nie należy odwracać się do Jaydona plecami — dla swojego własnego dobra — ponieważ był to palant gotów w każdej chwili do uderzenia; takie wychowanie otrzymał w domu.

Pewnego dnia, kiedy grali w piłkę nożną na boisku za szkołą, pomiędzy dziećmi pojawiła się Katherine. Część z nich wystraszyła się, jednak panna Ashton nakazała im, żeby przenieśli się na lewą stronę boiska i nie przerywali gry.

— Pamiętajcie, że kiedy ją zobaczycie, powinniście natychmiast zawiadomić nauczyciela albo rodziców, ale powinniście także kontynuować to, co akurat robicie, jakby nic się nie stało — powiedziała.

Andy Pynchot, zuchwały chłopaczek, rok starszy od Tylera, zasugerował, żeby wykorzystać Katherine jako słupek od bramki, za co natychmiast zarobił solidne uderzenie w tył głowy. Gdy panna Ashton w końcu klasnęła i dzieci zaczęły grać, piłka potoczyła się za linię boiska, niedaleko czarownicy. Tyler i Jaydon znajdowali się najbliżej i to Tyler chciał po nią pobiec, jednak Jaydon popatrzył na niego tym samym zimnym spojrzeniem, jakim zmierzył go teraz, siedem lat później. Mały Tyler wystraszył się — nie czarownicy, lecz Jaydona. Później, kiedy potrafił już patrzeć na to wydarzenie z pewnej perspektywy,

wyobraził sobie, że dzikie zwierzęta, gdy po raz pierwszy wdychają zadymione powietrze w płonącym lesie, odczuwają zapewne taki sam rodzaj strachu. Wtedy Jaydon uczynił coś przerażającego: pobiegł po piłkę, wrócił z nią i wycelował w czarownicę, uderzając ją mocno niczym młotem parowym. Katherine zgięła się wpół, a skórzana piłka eksplodowała głośno w tym samym momencie, w którym czarownica po prostu zniknęła.

Wszystkie te wizje przebiegły przez głowę Tylera w ciągu kilku sekund, w trakcie których on i Jaydon stali blisko siebie, zwrócenii twarzą w twarz, pośrodku lasu. Siedem lat to długo; od tego czasu różnie przecież między nimi bywało. Jednak wstrętny smak, jaki ten incydent zostawił w jego ustach, nigdy go nie opuścił, no i Tyler nigdy nie zapomniał tego zimnego spojrzenia oczu Jaydona. Jeśli dwunastoletni chłopak był w stanie kopnąć piłką w czarownicę z taką wściekłością, do czego zdolny jest ten sam chłopak w wieku lat dziewiętnastu?

W końcu Jaydon opuścił ręce.

— Nie płacz, cioto — powiedział.

Tyler trochę się uspokoił, jednak pozostał czujny.

— Posłuchajcie, nie chodzi o to, kto jest szefem. Po prostu nie chcę, żebyśmy to spieprzyli. Nie możemy ryzykować. Wkrótce możemy być wolni, więc trzymajmy się ustaleń.

— Nie ma problemu. Na zawsze pozostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

Tyler przewrócił oczami.

— Wiedzą już, że ona tutaj jest?

— Nie — odparł Justin. — Według aplikacji Katherine ostatnio przebywa gdzieś w Lower South i na razie nie wydano nowego ostrzeżenia. Po prostu na nią tutaj wpadliśmy.

— Po prostu wygłupiamy się z nią i tyle — powiedział Buran.

Tyler wrócił do Lawrence'a i mijając Burana, posłał mu oziębłe spojrzenie. Buran pochwycił je, niczego nie zrozumiał i zrobił urażoną minę. Jednak Tyler nie mógł być bardziej wyrazisty: jasne, Jaydon i Justin mogli być beztroscy, jednak nie spodziewał się tego po Buranie. Stanął z boku i zapytał:

— Może więc ktoś zechce wysłać wiadomość na aplikację? Nie znajdujemy się daleko od szlaków, a w okolicy są pieprzeni turyści.

— Jasne — odparł Jaydon i wyciągnął iPhone'a, być może chcąc pokazać, że ma naprawdę dobre intencje.

Tyler pochylił się, żeby uspokoić Fletchera, gdy nagle Jaydon wydał okrzyk zaskoczenia. Głowa Tylera gwałtownie podskoczyła. Czarownica wykonała energiczny krok do przodu i prawie zderzyła się z Jaydonem, który zajęty był pisaniem esemesa. Zaskoczony, cofnął się o kilka kroków. Czarownica znieruchomiała, czarne szwy na jej oczach i ustach robiły wrażenie, jakby ktoś okrutnie podrapał ją po bladej twarzy.

Jaydon zapomniał o telefonie w ręce i wszyscy nagle ucichli. Fletcher przestał warczeć i wydawał teraz z siebie jedynie niski zwierzęcy skowyt. Może Jaydon stanowił dla niego zagrożenie, jednak Katherine posiadała znacznie starszą, pierwotną moc i swoim jednym krokiem przypomniała wszystkim, że to ona znajduje się na końcu łańcucha pokarmowego. Coś się tutaj wydarzy, stary, pomyślał Tyler. Chyba coś wywołującego ciarki na skórze.

— Hej — powiedział Jaydon nieśmiało.

Czarownica stała przed nim bez ruchu.

— Przepraszam, co to było? Coś mówiłaś, Katherine?

Przekrzywił głowę i nasłuchiwał.

Gwałtownie bijące serce Tylera zagłuszyło mu wszystkie dźwięki dookoła.

— Co chcesz, żebyśmy zrobili? — zapytał Jaydon. — Posłuchaj, Katherine, chcesz, żebyśmy dotknął twoich cycków?

Justin i Buran zgięli się w pół i zarżeli głośnym śmiechem. Tyler i Lawrence nie śmiali się, wymienili jednak spojrzenia i Tyler pomyślał: Proszę, daj spokój, to grozi nieszczęściem. Nie kpij z czarownicy. Utrzymując bezpieczną odległość, Jaydon ostrożnie wyciągnął ręce i zaczął udawać, że bawi się piersiami Katherine. Zarazem w obsceniczny sposób poruszał biodrami — do przodu i do tyłu.

— Nie masz jaj, żeby pójść krok dalej — kusił go Buran.

— Nie? Przecież ją przelecę, to żadna sprawa — odparł Jaydon. Nagle pochylił się i wrzasnął czarownicy prosto w twarz: — Ty wstrętna dziwko! Chciałabyś tego, co? Brudna pizdo! W swoich czasach robiłaś to często, co?

Fletcher zaczął wyc i skoczył do przodu tak gwałtownie, że trzymający smycz Lawrence niemal się przewrócił. Tyler złapał psa za obrozę, żeby utrzymać nad nim kontrolę, i krzyknął:

— Jaydon, odpuść!

Jaydon odwrócił się do kolegów z głupawym uśmiechem na ustach.

— Dwadzieścia dolców — powiedział. — Dwadzieścia dolców dla tego, który zrobi zdjęcie jej cycków. Gołych, oczywiście. Chcę się dowiedzieć, jak wygląda siedemnastowieczny cycek.

— Wynośmy się stąd — odparł Tyler. — Nie robimy teraz niczego dobrego.

— Och, daj spokój. — Jaydon roześmiał się. — Jestem pewien, że ona nie będzie miała nic przeciwko temu. Prawda, Katherine? Nie masz nic przeciwko temu? — Przebiegł za jej plecy i kontynuował piskliwym głosem, udając wiedźmę: — Nie, Tyler, w ogóle nie mam nic przeciwko. W rzeczy samej robi mi się ciut mokro, już kiedy o tym wspominasz! Chcesz podejść i sam się o tym przekonać, Tyler? Chcesz poczuć, jak mokre są moje majtki?

Rozbrzmiało jeszcze więcej śmiechu. Katherine van Wyler znosiła poniżenie w ciszy, prawdopodobnie wcale go nieświadoma. Być może za jej zamkniętymi oczyma w ogóle nie istniała świadomość tego, co ją otacza, pomyślał Tyler —

w każdym razie ludzka świadomość. Trudno było jednak o pewność. Być może Katherine czekała na swoją chwilę, podobnie jak przez wieki czekała nie wiadomo na co w uspieniu? Na myśl o tym Tyler poczuł, jak w jego brzuchu przewracają się jelita.

Jaydon powrócił do aplikacji HEX na swoim iPhone, a Lawrence niespodziewanie powiedział:

— Czekajcie. Możemy ją przecież nagrać.

Chłopacy popatrzyli po sobie. Tylerowi wystarczyły na zastanowienie trzy sekundy: niemal absolutna cisza lasu oraz fakt, że wszystko dzieje się poza zasięgiem kamer bezpieczeństwa, dawały prawie niepowtarzalną szansę. Podniecenie uruchomiło w nim płomień, pod wpływem którego odezwał się:

— O, kurwa. W porządku, tylko się pospieszmy.

Użyli smyczy Fletchera. Tyler odczepił ją, a Lawrence poprowadził psa strumieniem, trzymając go mocno za obrozę. Jaydon podał Tylerowi iPhone'a, a ten, wciąż się zastanawiając, czy dobrze robi, kilkakrotnie owinął telefon smyczą i mocno zacisnął na nim węzeł. Następnie przymocowali urządzenie na końcu długiego kija, którym Jaydon dotąd dźgał czarownicę.

Z oddali dobiegł ich wesóły śmiech dzieci. Znieruchomieli na chwilę, rozejrzeli się. Głos docierał od południa i w dziwny sposób przebijał się przez baldachim z liści. Prawdopodobnie turyści. Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale po raz drugi tego śmiechu już nie usłyszeli.

— Dalej, szybko — powiedział Buran i odebrał kij Tylerowi. — Gotowy?

Tyler wyciągnął z kieszeni GoPro i zaczął filmować.

— Mamy niedzielę, dwudziestego pierwszego października. To jest próba szeptu. Chwileczkę... — Cofnął się o kilka kroków. — W porządku. Zaczynamy.

Jaydon włączył w iPhone rejestrator głosu i wyszeptał:

— Wszyscy zachowajcie ciszę...

Buran uniósł kij wysoko w powietrze jak wędkę, a wtedy iPhone zaczął kołysać się na smyczy Fletchera. Poruszając kijem bardzo ostrożnie, chłopak umieścił telefon przez twarz czarownicy z Black Rock. Tyler zobaczył, że ręce Burana drżą i bardzo trudno jest mu utrzymać iPhone'a bez ruchu. Buran przesunął kij w lewo i aparat otarł się z dziwnym odgłosem o policzek Katherine, tuż obok tego kącika jej ust, w którym znajdował się naderwany szew.

Przez pełną minutę nikt nie wydał żadnego dźwięku. Kiedy Buran w końcu wycofał swoistą wędkę, a Jaydon złapał w powietrzu swojego iPhone'a, wszyscy zaczęli wiwatować i klaskać, zadowoleni z pełnego powodzenia eksperymentu. Tyler był jednak ostrożny w okazywaniu entuzjazmu: gdy pozostali cieszyli się beztrudnie, on spokojnie wyłączył GoPro. Podszedł do Jaydona i obaj pochylili się z należnym szacunkiem nad jego telefonem. Na wyświetlaczu widniało pytanie rejestratora głosu do właściciela, czy chce odtworzyć plik, czy też zarejestrować

kolejny.

— Oto szept śmierci Katherine — powiedział Jaydon, złowieszczo potrzęsając telefonem. Jego kciuk zawisł nad wyświetlaczem, jakby chciał zademonstrować, że ma dość determinacji, aby odtworzyć plik. — Być może jest to najbardziej niebezpieczne nagranie na świecie. Być może można nim kogoś zabić.

— Jasne. Kto się poświęci? — zapytał Justin.

Pozostali roześmiali się, jednak niezbyt przekonująco. Nikt o zdrowych zmysłach nie zgłosiłby się na ochotnika do takiego zadania.

— Jeszcze nic nie róbmy — powiedział Tyler. — Powinniśmy najpierw znaleźć do tego kogoś z zewnątrz. Następnie sami wysłuchamy nagrania, ale w odpowiednio bezpiecznym otoczeniu. Jaydon, czy mógłbyś przesłać je do mnie przez Bluetooth? To jest taki sygnał, którego nie przechwycą.

— Jasne — odpowiedział Jaydon i przystąpił do przesyłania pliku dźwiękowego.

Po krótkiej chwili telefon Tylera rozpoczął przyjmowanie pliku.

— Zamierzasz umieścić to nagranie w sieci? — zapytał Buran.

— Oczywiście, że nie. To gówno może przynieść śmierć. Lepiej się tym nie zabawiać. Usuniemy oryginalny plik, kiedy tylko zostanie przesłany do mnie, dobrze? Nie chcę, żeby się nam zdarzył jakiś wypadek.

Tyler popatrzył ostro na Jaydona, a ten odpowiedział mu uśmiechem. Wkrótce ich telefony dały sygnał, że plik został przeniesiony. Wtedy Jaydon kilkakrotnie stuknął kciukiem w ekran i powiedział:

— W porządku, nie ma go już u mnie.

Jego twarz rozjaśniła się i wsunął telefon do kieszeni. Tyler wyobraził sobie, że wyciąga w kierunku twarzy Jaydona swoją dłoń i nie czuje nic oprócz ciemności.

* * *

Kilka dni później na stronie OO zostało umieszczone zupełnie nowe nagranie. Widzimy w nim, jak kamera skupia się na iPhone Tylera, następnie ukazuje hałaśliwą szkolną aulę i wreszcie prezentuje twarz siedemnastoletniego młodzieńca w czapce baseballowej i ze słuchawkami na uszach.

— Hej, co jest, stary? — pyta młodzieniec, a Tyler odpowiada:

— Cześć, Mike, wyświadczysz mi przysługę?

Mike uśmiecha się do kamery i odpowiada:

— Jasne, będziemy udawać, że nie poprosiłeś mnie właśnie, żebym wysłuchał twojego krótkiego klipu muzycznego, a ja nie zgodziłem się już wcześniej odpowiedzieć: „Hej, co jest, stary?”.

Jego koledzy wybuchają śmiechem i Tyler mówi:

— Doskonale. Zróbmy to jeszcze raz.

— Hej, co jest, stary? — pyta Mike, a Tyler mu odpowiada:

— Hej, Mike, wyświadczysz mi przysługę?

Mike uśmiecha się szeroko.

— Jasne. Czy to jest coś, co wymyśliłeś naprędce?

— Tak, w rzeczy samej — mówi Tyler. — Hej, Mike, co jest, stary?

— Hej, Tyler, mogę coś dla ciebie zrobić?

I tak bez końca, przejdźmy jednak do następnej sekwencji, w której Mike zdjął z uszu słuchawki i wymienił je na dwie miniaturowe słuchawki podłączone do iPhone'a należącego do Tylera.

— Oto Mike z Highland Falls — prezentuje Tyler — który posłucha pliku dźwiękowego. Jesteś gotowy, Mike?

Mike wznosi do góry kciuk i Tyler włącza odtwarzanie.

Początkowo nic się nie dzieje. Ale po chwili Mike robi krzywą minę i wciska słuchawki głębiej do uszu, jakby chciał dokładniej przyswoić sobie docierający do niego dźwięk. Tyler patrzy na niego jak zahipnotyzowany.

— Właściwie co to jest? — pyta Mike, jednak Tyler gestem nakazuje mu, żeby był cicho i uważnie słuchał nagrania.

— No i co usłyszałeś? — pyta po odtworzeniu pliku do samego końca.

Mike wyjmuje z uszu miniaturowe słuchawki.

— Po prostu jakieś szepty — odpowiada.

Sprawia wrażenie odrobinę podenerwowanego.

— Ale o co w nich chodziło? — dopytuje Tyler.

— A skąd mam wiedzieć? To na pewno nie było po angielsku. I w ogóle w żadnym języku, jaki znam. To po prostu jest bełkot. Co to jest, jakaś wiadomość, którą trzeba odtworzyć od tyłu i w której, kiedy trafi do twojej podświadomości, usłyszysz groźbę ZGINIESZ, SKURWYSYNU, WYZNAWCO DIABŁA, SKURWYSYNU? — Ostatnie słowa wypowiada głębokim basem, wzbudzając histeryczny śmiech otaczających go kolegów.

Tyler odzywa się:

— Tak, to jest właśnie coś bardzo podobnego. Ale... powiedz mi, co czułeś, kiedy tego słuchałeś?

Wyraz twarzy Mike'a zmienia się w pogardliwy i chłopak odpowiada:

— Co czułem? Hej, człowieku, właściwie za czym ty węszysz?

Tyler kieruje kamerę na siebie i mówi:

— Teoria potwierdzona. Obiekt nieuszkodzony — misja zakończona.

Jesień była dość ciepła, jednak na dwa dni przed Halloween przyszło niespodziewane ochłodzenie. Staromodny termometr rtęciowy przed Quiet Manem wskazywał marne pięć stopni. Zapanowało przenikliwie zimno, tym bardziej

dokuczliwe, że pojawiło się po stosunkowo długim okresie z przyjemniejszymi temperaturami. Przenikało ludzi aż do kości. Trzydziestego pierwszego października niebo nad Black Spring było stalowoszare i nabrzmiawało deszczem, który jednak rozszedł się po górnych warstwach atmosfery i nie spadł na ziemię.

Bardzo wczesnie tego poranka, na zamkniętym skrzyżowaniu Deep Hollow Road i Lower Reservoir Road, przy niżej położonym skraju cmentarza postawiono Wiklinową Kobietę — wielkiego trzciniowego manekina, który jeszcze tego samego dnia wieczorem miał zostać podpalony w ramach świątecznej zabawy. Ludzie musieli wchodzić na wysokie drabiny, żeby ozdobić manekina poczerniałymi stalowymi łańcuchami, które wcześniej wygrzebano pogrzebaczami z gorących popiołów; te same łańcuchy wykorzystywano co roku. Zakład krawiecki Lizy Belt dostarczył specjalnie uszytą chustę, którą zawieszono wokół głowy manekina. Ponadto w jego usta i oczy wepchnięto mnóstwo słomy. Rytuał był starszy od któregośkolwiek z mieszkańców Black Spring, a ponieważ miał charakter pogański, co roku ganił go Colton Mathers i rady parafialne zarówno Małego Kościoła Metodystów, jak i kościoła Matki Boskiej. I co roku komitet organizujący obchody Halloween skutecznie dowodził, że przecież nie można zrywać z tradycją, bo spalenie Wiklinowej Kobiety zawsze było najważniejszym punktem dorocznych obchodów święta Katherine. W ten sposób Black Spring przypominało o swojej czarownicy turystom i widzom, którzy, nieświadomi powagi sytuacji, zjeżdżali tutaj z całego hrabstwa.

Różnica zdań z Coltonem Mathersem była rzecz jasna zmyślona. Prawda była bowiem prosta, jeśli nie prostacka: sam rytuał tkwił głęboko w mentalności tutejszej społeczności i nikt nie zamierzał go stamtąd wydobywać. Czy to chrześcijanin, czy żyd, muzułmanin czy ateista, wszyscy mieszkańcy Black Spring w równym stopniu pragnęli zgodnie z prawem przynajmniej raz w roku zlekceważyć zakaz mieszania się w sprawę Katherine van Wyler. Tego poranka miejscowi znosili z każdego zakątka prezenty dla niej, jeden większy od drugiego, i w ciszy wsuwali je w pustą przestrzeń pod spódnicą Wiklinowej Kobiety. Wielu ludzi dotykało wówczas manekina z pewnym zdenerwowaniem, na moment padali na kolana, starali się nie spoglądać w jego wielkie, złowrogie oczy. Niektórzy przynosili żywność: dzieci rzucały cukierki i jabłka pomiędzy trzciniowe poszycie; rodzice znosili różnorakie dania obiadowe na swoich ulubionych talerzach albo po prostu upieczone ciasto; byli też tacy, którzy na żelaznych łańcuchach manekina zawieszali naręcza czosnku. Inni z kolei przynosili różne przedmioty codziennego użytku: świeczki, domowej roboty plecionki z wikliny, ręczniki, mydło, urządzenia do karbowania włosów, wśród darów znalazła się nawet stara maszyna do szycia marki Bernette. Jednym słowem Wiklinowa Kobieta otrzymywała wszystko, co można było poświęcić dla Katherine w celu zapewnienia całej społeczności kolejnego roku niezagrożonego zagładą. Zdarzały się również dary wątpliwej

jakości: John Blanchard, hodowca owiec z Rogu Ackermana, przytargał martwe jagnię; młoda matka z miasta nalegała, by razem z Wiklinową Kobieta spalić plastikową torbę pełną brudnych pieluch jej niemowlaka; a Griselda Holst ofiarowała głowę cielęcia — dziwny przysmak, specjalnie zamówiony na tę okazję w rzeźni. Wszystkie te rzeczy zostały przed przybyciem pierwszych obcych przykryte darami bardziej prozaicznej natury.

Steve i Jocelyn Grantowie byli osobami zbyt praktycznymi, aby angażować się w tego rodzaju bałwochwalstwo. Kiedy ich synowie byli młodszy, co roku pozwalali, aby Matt i Tyler posłusznie dołączali do darów jakiś rysunek albo marchewkę, i później obserwowali, jak Wiklinową Kobieta ogarniają płomienie. Obecnie chłopcy byli zbyt dorośli, aby wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu, rytuał ten odłożyli więc na półkę, podobnie jak wiele innych zwyczajów i zabaw z dzieciństwa. Steve zawsze z rezerwą podchodził do symboliki płonącej czarownicy. Co gorsza, dym powstający przy paleniu kukły na długo przywierał do ubrań. Brał więc udział w „paleniu czarownicy” jedynie z tego samego powodu, dla którego zawsze fascynowały go ogniska ze starych bożonarodzeniowych drzewek, urządzane na początku stycznia: dlatego że każdego mężczyznę zawsze hipnotyzuje wielki ogień, a fala gorąca na twarzy przynosi upragniony koniec ponurej jesiennej nocy.

Ale ta część miała dopiero nadejść. Black Spring oferowało tego dnia znacznie więcej niż rytuał palenia Wiklinowej Kobiety.

Tego poranka kuchnia w Griselda's Butchery & Delicacies tętniła życiem. Griselda zatrudniła dodatkowo sześć osób, aby na czas przygotować tradycyjne dobra przeznaczone na stragan z żywnością, który ustawiała na rynku miejskim. Znajdowała się na nim sałatka ziemniaczana, talerze z tapas, mięso pieczone na rożnie, specjalny zielony gulasz czarownicy (czyli bardzo gęsta zupa grochowa z małymi klopsikami), serwowany z prawdziwego miedzianego kociołka i, oczywiście, wielkie półmiski z pasztetem Holsta, wykonanym w wersji Griseldy. Kobieta nie była ani trochę zainteresowana zarabianiem pieniędzy w czasie święta, jednak oprócz niej dosłownie każdy miejscowy przedsiębiorca po prostu szalał, aby zarobić na ponad dwóch tysiącach przybyszów z zewnątrz, którzy ściągali tego dnia do miasta.

W końcu, mówiła sobie, wszystko odbywało się na cześć Katherine.

Mniej więcej o godzinie trzeciej po południu, kiedy zaczynały się już gromadzić prawdziwe tłumy, główne ulice Black Spring wyłączono z ruchu samochodowego, a stoiska ze słodkościami i pamiątkami uformowały podkowę wokół Małego Kościoła Metodystów i cmentarza. Z drzew zwisały pomarańczowe i czarne wstążki, a pod ich koronami składano ozdobne latarnie z wydrążonej dyni. Plac pełen był ludzi przebranych za czarownicę z Black Rock. Niektórzy nosili spiczaste czapki i wymachiwali miotłami, inni namalowali sobie na oczach szwy.

Dzieci miały pomalowane twarze i bawiły się w dmuchanym zamku ustawionym przez Sue's Highland Diner. Wrzeszcząc z zachwytu, zadawały ciosy zwisającym z drzew tekturowym piniatom przedstawiającym czarownicę (czego efektem był deszcz cukierków wypadający z nich na ziemię) albo ważyły się na specjalnych czarodziejskich wagach ustawionych przed kościołem. Jeśli dziecko ważyło nie więcej niż dwie kaczki — co zdarzało się od czasu do czasu — niezależnie od płci ogłaszano je czarownicą i po całym placu goniła je grupa uzbrojonych w widły aktorów z Black Spring, przebranych w siedemnastowieczne łachmany.

Robert Grim uważał tę popularną rozrywkę za raczej kiepską. Kilka lat wcześniej, tytułem eksperymentu, przedstawił propozycję, aby wprowadzić zabawę w średniowieczne tortury, takie jak rozciąganie gęsi czy palenie kota (ponieważ wszyscy wiedzieli, że węgle, na których spalono kota, przynoszą szczęście), jednak jego pomysł odrzucono na podstawie prawa zakazującego dręczenia zwierząt i nieetycznych zachowań. Komisja nie była z niego zadowolona.

Dla Grima trzydziesty pierwszy października tradycyjnie był najbardziej nerwowym i wyczerpującym dniem w roku. Wszelkie próby zapanowania nad obcymi, zwłaszcza zamieszkującymi w dolinie Hudsonu, wymagały sporej dozy empatii i cierpliwości, czyli cech, których Robert Grim nie posiadał w nadmiarze. Według jego skromnej opinii tamtejsi ludzie byli źle wychowanymi, hałaśliwymi, wiecznie zalanymi piwem damskimi bokserami i, co najgorsze, brakowało im zdrowego rozsądku, aby mogli w pełni korzystać z zalet geograficznych miejsca, w którym żyją. Na wschodniej granicy mieli rzekę Hudson i całymi grupami się w niej topili, a na południu Park Stanowy Bear Mountain, gdzie bezwstydnie parzyli się z bobrami oraz jeleniami o białych ogonach, a w efekcie przyspieszali proces swojego wymierania. Mając świadomość ich zdziczenia, Robert Grim, po przeprowadzeniu obowiązkowej inspekcji z oficjelami z Pointu, spędził czujnie resztę dnia na stanowisku w centrum kontroli, co z kolei oznaczało dzień naznaczony cierpieniem dla jego kolegów.

Wiedźma — ta prawdziwa — postanowiła przystanąć na parkingu dla niepełnosprawnych za ratuszem miejskim i tam pozostała. Parking znajdował się w linii prostej w odległości niecałych trzystu metrów od centrum wszelkich atrakcji, była to jednak doskonała lokalizacja. Grim kazał zamknąć dostęp do Deep Hollow Road. Za ratuszem przygotował fałszywe miejsce imitujące plac budowy, pilnowane ze wszystkich stron przez armię stosownie przeszkolonych robotników. Sama Katherine została zamknięta na parkingu w wykonanej dla niej szopie na narzędzia. W nieprawdopodobnej sytuacji, gdyby zachciało jej się przyłączyć dzisiaj do obchodów, rysowało się sześć scenariuszy działań zapobiegawczych. Po raz ostatni coś takiego zdarzyło się w 2003 roku, zanim została zakupiona kataryna. Wiedźma przez cały festyn stała majestatycznie na rynku, przed sklepem Sue. Po gorącej debacie postanowiono umieścić za nią billboard z symbolami Black Spring

i zawiesić transparent z napisem ZRÓB SOBIE ZDJĘCIE Z PRAWDZIWĄ CZAROWNICĄ! Gdy przyczepiono do niej jeszcze znaczek WITAMY W BLACK SPRING, nikt już nie mógł wierzyć, że wiedźma jest autentyczna. Ale wszystkie dzieci chciały mieć fotografię z zabawną starą kobietą. Wykonywanie tych fotografii okazało się stosunkowo bezpiecznym i nadzwyczaj lukratywnym interesem: rodzice chętnie płacili za nie po pięć dolców.

Na jej widok mnóstwo najmłodszych dzieci wybuchowało płaczem, ale po to przecież są dzieci, żeby płakały.

Jednak dzisiaj cały festyn przebiegał bez zakłóceń. Inspektorzy z Pointu szybko sobie poszli, a ludzie bawili się w najlepsze.

O szesnastej piętnaście Tyler Grant i jego koledzy usiedli w cieniu żywopłotu niedaleko fontanny i brązowej statuy praczki. Opychali się wata cukrową i z milczącą zazdrością gapili na mijających ich obcych. Jaydon przez cały dzień pomagał mamie przy jej stoisku z jedzeniem, jednak akurat teraz miał przerwę i dołączył na chwilę do kolegów.

Lawrence przygotował pięć zapalek. Każdy wyciągnął po jednej i wszyscy odsłonili je w tej samej chwili. Buranowi trafiła się jedyna wypalona zapalka. Musiało minąć kilka sekund, zanim dotarł do niego wyrok: w wyniku losowania to jemu przypadło zadanie przeprowadzenia testu szeptu. Zaklął.

— Cholera jasna. Najgorsza robota zawsze spadnie na Turka.

Pozostali chłopcy roześmiali się, lecz w ich śmiechu nie było ani śladu wesołości. Tylerowi zdawało się, że zabrzmiał on nerwowo, jakby każdy z nich odczuwał ulgę, że to nie on musi przeprowadzić test. Chłodny podmuch wiatru poruszył liśćmi u ich stóp, zakryte ołowianymi chmurami niebo nasuwało skojarzenia z ciężką kopułą okrywającą całe Black Spring. Tyler zadrżał i mocno naciągnął kołnierz na szyję. Wszystko zmieni się teraz bardzo gwałtownie, pomyślał.

I zmieniło się, jednak nie w taki sposób, jakiego Tyler oczekiwał.

Na krótko przed siedemnastą, gdy Katherine van Wyler wciąż szeptała niemoralne słowa w dawnych językach, stojąc za ratuszem w prowizorycznej szopie na narzędzia, a Fletcher niespokojnie spał w swojej budzie trzy kilometry dalej, Griselda Holst ukradkiem wycofała się z centrum wielkiego święta. Pospieszyła przez cmentarz na tyły Małego Kościoła Metodystów. Nikt jej nie widział, kiedy za pomocą uniwersalnego klucza otwierała ciężkie drewniane drzwi do prezbiterium i kiedy wchodziła do środka. Znalazłszy się w prezbiterium, była zupełnie odcięta od wrzawy panującej na zewnątrz. Dotykając dłońmi zimnych ścian, Griselda zaczęła schodzić spiralnymi schodami, zagłębiając się coraz bardziej we wstrętnym zapachu starych kamieni, rozkładającego się drewna, sączącej się mulistej wody i śmiertelnych ludzkich chorób. Pod wpływem dotyku kamiennych ścian Griseldę aż do trzewi przeniknął nieprzyjemny dreszcz:

w podziemiach kościoła zawsze panowała zima i zawsze była tu noc.

Arthur Roth opierał się bezwładnie o kraty swojej celi i Griselda w jednej chwili doszła do wniosku, że nie żyje. Był nagi, a w słabym świetle żarówek umieszczonych wysoko na ścianie jego skóra przyjęła bladopurpurowy kolor martwej ryby. Spoczywał we własnych ekskrementach, jedną dłoń zaciskał na kratkach, a żyły na jego ramieniu wyglądały jak odsłonięte przewody elektryczne.

Serce Griseldy zabiło jak szalone, a mimo to poczuła dziwną ulgę. Jej męka wreszcie się skończyła i nie będzie już musiała schodzić po tych upiornych schodach, karmić go ani poić, ani też wsłuchiwać się w jego obłąkańczy rechot, który roznosił się echem w kościelnych lochach, jakby przestrzeń pod świątynią pełna była zagubionych dusz. Griselda nie czuła żalu, a jedynie ciężki, bezkresny wstyd, który nigdy nie opuszczał jej umysłu. A przecież nie zagłodziła go; wykonywała jedynie rozkazy Mathersa. Spełniła jedynie obowiązek, służyła Katherine.

Z pomieszczenia gospodarczego wyciągnęła miotłę i przez kraty kilkakrotnie szturchnęła ciało Rotha. Było bezwładne. Griselda rozejrzała się dookoła i ogarnęła ją nagła panika. Zamarła, zdawszy sobie sprawę, że przecież jest zupełnie sama w mrocznych kościelnych kazamatkach, a obok niej leży ciało Arthura Rotha — prawdopodobnie martwe. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna się co do tego upewnić, jednak sytuacja sprawiała, że jej mózg zaczął szaleć, rozsądek zamienił się w przerażenie, a logika w zwątpienie. Było to identyczne irracjonalne zwątpienie, jakie czuła wiele lat temu, kiedy zostawała zupełnie sama po tym, jak Jim ją pobił albo też wziął ją siłą. Sięgnęła jednak po klucze i konieczność wykonania prostej czynności sprawiła, że nad sobą zapanowała.

Griselda otworzyła celę i ostrożnie uklękła obok zimnego, wygłodzonego ciała, przyciskając do nosa szal, żeby dopuścić do swoich nozdrzy jak najmniej smrodu. Gdy zdała sobie sprawę, że mężczyzna jednak żyje, nie poczuła niepokoju, lecz bezradne zdziwienie. On wciąż oddycha, pomyślała. A kiedy Arthur Roth otworzył oczy i jego ręka zacisnęła się na jej nadgarstku jak sidło na zwierzynie, nie miała nawet czasu, żeby krzyknąć.

Och, krzyków w Black Spring akurat wtedy nie brakowało: wrzeszczały dzieci, które goniły czarownice, i jarmarczni aktorzy, wrzeszczały nastolatki rzucane z siodła narowistego elektrycznego konia, wrzeszczeli dorośli rywalizujący w konkursie rzucania podkową. Wszystkie te krzyki unosiły się wysoko nad ulicami Black Spring, nad którym powoli zaczynała się rozciągać gęsta, niska mgła.

— Ty wstrętne suko — wyszeptał Arthur Roth, odwodniony i przegłodzony, jednak daleki od śmierci. — Przerżnę cię — szeptał. Objął Griseldę nogami i swobodną rękę mocno zacisnął na jej piersiach.

Na powierzchni ludzie tańczyli do rytmów starej muzyki ludowej,

wykonywanej przez kwartet skrzypków — Griselda słyszała jej przytłumione dźwięki docierające do podziemi przez szyb wentylacyjny, słabo, obojętnie, jakby już z drugiego świata oceniając swoje szanse. Nagle znalazła się w innym wymiarze niż ci wszyscy ludzie i ręka Rotha, błędząca pod bluzką, nie sprawiała jej już bólu. Nie mógł już zrobić jej krzywdy; podobnie jak Jim, który był martwy, a ona czuła zapach słodczy i prażonej kukurydzy, pieczonego drobiu i kiełbasek smażonych na oleju.

O piątej dziesięć po południu, gdy Steve Grant i jego młodszy syn Matt przechadzali się w gęstym tłumie na targowisku i zajadali świeżo upieczone churros z zatłuszczonych torebek papierowych, a Griselda Holst w skrajnym wysiłku chwyciła za miotłę i zaczęła uderzać nią bez końca w krwawiącą głowę Arthura Rotha w podziemiach Małego Kościoła Metodystów, wykrzykując przy każdym uderzeniu imię swojego męża, nadzwyczaj wielka sowa przysiadła na kościelnej iglicy. Był to zaiste wielki ptak i ze znacznej wysokości uważnie wpatrywał się w duże zgromadzenie ludzi, jakby oglądał szczury tłoczące się w pułapce bez wyjścia. W nadciągającym zmierzchu ptaka dostrzegło niewielu, jednak ci, którym się to udało, twierdzili później, że słyszeli szum jego wielkich skrzydeł, kiedy odlatywał, i uznali sowę na samym szczycie kościoła za znak nieuchronnie zbliżającej się katastrofy.

1 Aluzja do słów Psalmu 23: „Twoja laska i Twój kij dodają mi otuchy”, Pismo Święte Starego Testamentu, t. 2, Wydawnictwo Świętego Wojciecha, Poznań 2000, s. 146.

Matt wprowadził Steve'a w osłupienie, mimo wszystko pozostawiając ofiarny podarunek; kiedy przeszli przez skrzyżowanie, podszedł do Wiklinowej Kobiety, wyciągnął z kieszeni płaszcz kolorowy proporzec upamiętniający jakieś zawody sportowe, i położył go na stosie razem z wszystkimi innymi darami. Chociaż Steve nie potępiał zachowania Matta, był zszokowany. Gdyby Matt wrzucił jej pod spódnicę kilka churros, byłby to zwyczajny figiel nastolatka, on jednak przyniósł proporzec z domu.

— Po co to zrobiłeś? — zapytał Steve, kiedy Matt odszedł od stosu.

— Bez powodu — odparł Matt beznamiętnie. — Po prostu chciałem dać coś Babci.

— Ale dlaczego akurat jeden z twoich proporców? Przecież wygrałeś go w walce. Takie rzeczy się przechowuje.

Matt wzruszył ramionami.

— To tylko pamiątka z eliminacji, kiedy wróciłem do gry krótko po kontuzji, pamiętasz? Jeszcze nie znałem dobrze Nike i dotarłem na metę jako czternasty. Były wtedy letnie wakacje, po których poszedłem do nowej szkoły i zaczęło się znacznie lepsze życie. — Umilkł, przez chwilę się wahał, po czym dodał: — Poza tym, kiedy poświęcisz coś, co nie ma dla ciebie znaczenia, czy jest sens o tym mówić?

Steve popatrzył na niego ze zdumieniem. Zaczął się zastanawiać, co doprowadziło Matta do tego nagłego, głupiego wyrażenia wiary w przesady. Proporzec wyraźnie symbolizował złe dni, których Matt doświadczył półtora roku temu; spalając go, zamykał za sobą pewien rozdział, odcinał się od podobnego pecha, który mógłby mu się przydarzyć w przyszłości. Steve rozumiał jego intencje i, mówiąc wprost, nie powinien być zdziwiony, że takie zabobony kielkowały również w jego rodzinie, bo przecież żyli w tej samej miejscowości. Po prostu nigdy wcześniej tego nie zauważył.

— Chodzi ci o coś konkretnego? — zapytał w końcu, unosząc brwi.

Ale Matt zaskoczył go jeszcze raz, odpowiadając pytaniem:

— A ma to jakieś znaczenie?

Nie, pomyślał Steve. Nie, o ile ma to jakieś znaczenie dla ciebie. Ludzie znajdują nadzieję, wytchnienie albo ufność, wykonując znak krzyża albo nie przechodząc pod drabiną, tak jak ty znajdujesz nadzieję, ofiarując wiedźmie proporzec w prezencie. Magia funkcjonuje w umysłach tych, którzy w nią wierzą, i nie ma znaczenia jej rzeczywisty wpływ na realne życie. Nawet mój trzynastoletni syn, który musi zaakceptować fakt, że życie w Black Spring biegnie trochę innym torem niż gdziekolwiek indziej, zdaje się to rozumieć. I któż może stanowczo twierdzić, że zna własne dzieci?

Palenie wiedźmy rozpoczęło się o godzinie szóstej wieczorem. Trybuny ustawione najbliżej stosu zostały zdemontowane na polecenie straży pożarnej, a nadzorcy z Pointu kazali przewrócić rozłożony nad wiedźmą baldachim. Ludzie tłoczyli się na ulicach w niekończącej się ciżbie za ogrodzeniem, które rozstawiono wokół Wiklinowej Kobiety szerokim okręgiem. Tłum widzów pragnących obejrzeć spektakl rozpościerał się przynajmniej na pięćdziesiąt metrów we wszystkich kierunkach. Steve i Matt znaleźli sobie całkiem dobre miejsce na Deep Hollow Road. Jocelyn napisała, że stoi trochę dalej. Poszła na rynek z Mary VanderMeer, jednak Steve nie zdołał wyłowić ich wzrokiem w tłumie. I nie miał pojęcia, gdzie jest Tyler.

Tłum zastygł na chwilę w ciszy i modlitewnym skupieniu. Następnie wystąpił do przodu kat w skórzanej kapturze na głowie, z uniesioną ręką, w której trzymał płonąca pochodnię. Ryknął okrutnie — dziesięć punktów za charakteryzację, pomyślał Steve — i podpalił przesiąknięty benzyną kopczyk darów, złożonych u stóp wiedźmy. Płomień przez kilka długich sekund leniwie lizały trzcinę, jednak wkrótce wystrzeliły wysoko w górę i przez tłum przebiegł jęk trwogi. Jednocześnie skrzypkowie zaczęli grać porywającą melodię, a grupa tancerek w strojach ludowych rozpoczęła pląsy dookoła stosu, poruszając się niczym druidzi po wewnętrznej stronie ogrodzenia.

Przez osiem minut wiedźma płonęła, a w szczytowym momencie płomień ognia wznosił się wyżej niż dachy okolicznych domów, wyprostowane sztywno niczym rozczapierzone palce. Po chwili figura kobiety zachwiała się, jej oblicze wzniosło się ku niebu, jakby w ostatnim bezbożnym zaklęciu, i upadła. W zimną październikową noc ku górze znów strzeliły jaskrawe iskry. Gdy strażacy nakazali w końcu tłumom ludzi, żeby się cofnęli i pozwolili zagasnąć czarny stos, ich ubrania już od dawna śmierdziały dymem.

Odezwały się głośniki na ulicach i Steve rozpoznał głos Lucy Everett, jednej ze stałych pracownic HEX-a i przewodniczącej komitetu organizacyjnego:

— Panie i panowie, chłopcy i dziewczęta, tym fantastycznym spektaklem nasze cudowne świętowanie dobiegło końca! Aby ułatwić sprzątanie, bary i restauracje dookoła rynku zostaną teraz zamknięte. Możecie wrócić na parking przy drodze numer 293, stosując się do wskazówek strażaków. Wasze autobusy będą już tam na was czekały. Życzę wam najlepszego Halloween i bezpiecznego powrotu do domu. Do zobaczenia w przyszłym roku!

Steve ukrył uśmiech, gdy tłum obcych powoli zaczął rzednąć. Ludzie szykowali się do dalszej nocnej zabawy i świętowania Halloween w Highland Falls, Highland Mills i Fort Montgomery. Ich odwrót był dość chaotyczny, jednak dało się zauważyć, że nikt nie zamierza lekceważyć poleceń. Pretekst, wykorzystany przez strażaków do zamknięcia o godzinie wpół do siódmej wszystkich barów i restauracji w mieście w najbardziej dochodowym dniu roku,

był prosty, ale działał. Przecież z równym powodzeniem można było ogłosić: wracajcie do autobusów i szybko stąd spierdalajcie, bo inaczej poszczujemy was wściekłymi psami. Ale ponieważ Lucy potrafiła zachowywać się jak nad wyraz entuzjastyczna pracownica miejskiego centrum kultury, nikt nie wątpił w jej prawdomówność i tłum zaczął się rozpraszać zgodnie z poleceniem. Steve wiedział, że koordynacja tego procesu jest przedsięwzięciem dokładnie zaplanowanym przez HEX. Kamery obserwowały ludzi przez cały czas; niczego nie można było pozostawić przypadkowi. Rynek został zamknięty, centrum miasta już wyglądało jak wymarłe. Mniej więcej o godzinie ósmej ostatnie miejscowe dzieciaki, przemarznięte już do szpiku kości, zostaną przegonione do domów, a o dziewiątej całe Black Spring znowu powróci w ręce Black Spring.

Nie było szansy, aby rozbawiona młodzież mogła kontynuować tutaj swój halloweenowy zwyczaj zbierania słodyczy pod groźbą drobnych szantaży.

W drodze do domu Steve i Matt wpadli na Jocelyn, Pete'a i Mary VanderMeerów. W domu zastali Tylera, Lawrence'a i Burana i właśnie wtedy Steve usłyszał plotkę, że wydarzyło się coś poważnego. Tyler przeczytał informację od Jaydona Holsta: „Arthur Roth jest martwy i należy już do przeszłości. O mój Boże, ta jego krew, kurwa, ohyda!”. W Tylerze natychmiast odezwał się dziennikarz i zaczął analizować wiadomość: „A więc on to widział, prawda? Do tej pory nie odpowiedział, ale chyba HEX przechwytuje wszystko, co on pisze...”. Steve i Pete wymienili spojrzenia, ale na jakiś czas powstrzymali się od układania własnych teorii. Zaczęli nerwowo wpatrywać się w aplikację HEX-a w oczekiwaniu na aktualizacje, a Steve wyszedł z domu, żeby wyprowadzić Fletchera.

O dziewiątej dwadzieścia HEX dał zielone światło i wszyscy wskoczyli w dwa samochody, aby udać się na tradycyjną uroczystość zamknięcia obchodów Halloween, czyli na publiczne posiedzenie Rady w ratuszu miejskim. W domu pozostał jedynie Matt, mimo że gwałtownie przeciwko temu protestował. Cóż, spotkanie było zamknięte dla osób poniżej szesnastego roku życia.

W powolnej procesji siedmiuset albo nawet ośmiuset obywateli Black Spring, posłusznie poddających się kontroli dokumentów, plotka zaczynała żyć własnym życiem. Steve przywitał się z kilkoma znajomymi, podawał im ręce i wzruszał ramionami, kiedy zadawali mu pytania. Zdziwił się, gdy dostrzegł Burta i Bammy Delarosów w długich, szarych płaszczach; oboje mocno tulili się do siebie.

— Co słyhać? — zapytał.

— Utknęliśmy tutaj — odparł Burt. — Właśnie wróciliśmy z uroczystości miejskich. Muszę powiedzieć, że zapadły nam w pamięć. Uznaliśmy więc, że z powodzeniem możemy dalej doświadczać tego wszystkiego, co stanowi o terażniejszości Black Spring.

Steve uśmiechnął się i pochylił nad nim.

— Miej oczy otwarte — powiedział przyciszonym głosem. — Możesz jeszcze tej nocy doświadczyć wielu emocji, jednak nie daj się im ponieść. Ludzie tu dookoła wiedzą, że jesteście nowicjuszami. Na początku wiele sprzysięgnie się przeciwko wam.

Steve, Jocelyn i Tyler znaleźli miejsca po lewej stronie, w szóstym rzędzie przed podium dla prelegentów. Pete i Mary usiedli obok nich, a Delarosowie jeden rząd dalej, trochę bardziej w lewo. Steve zauważył, że plansza z reklamą miejscowych przedsiębiorstw, która zazwyczaj znajdowała się zaraz za podium, została zastąpiona transparentem, na którym napisano: UFAJMY BOGU I SOBIE NAWZAJEM. Uderzony nieposkromionym cynizmem tych słów, niespodziewanie przypomniał sobie swoje starcie z Tylerem. Wyjść z ukrycia? — pomyślał. Może wtedy, gdy Wielkanoc i Halloween spadną na nas tego samego dnia, a Colton Mathers postanowi zatańczyć *Noc Walpurgii*.

Krótko przed dziesiątą szmery zaczęły cichnąć i wreszcie na podium stanął burmistrz. Zaprosił członków Rady, aby zajęli miejsca przy stole — było ich sześciu, ponieważ Griselda Holst nie zjawiła się z powodu choroby. Steve spróbował uchwycić wzrok Pete'a, ale jego sąsiad z drwiną wpatrywał się w podium, gdzie burmistrz właśnie pomagał usiąść Coltonowi Mathersowi za stołem i gdzie Robert Grim zajął już swoje miejsce. Pete zwierzył się kiedyś Steve'owi, gdy mieli okazję porozmawiać na werandzie domu socjologa, że jego skromnym zdaniem prezentacja władz administracyjnych w Black Spring jest największą farsą od czasu trybunału Poncjusza Piłata, który skazał na śmierć Jezusa Chrystusa.

— A zatem — odezwał się burmistrz — chciałbym oddać głos panu Mathersowi, który otworzy nasze spotkanie, tradycyjnie odczytując fragment Psalmu 91.

Na widowni było tak cicho, że można by usłyszeć, jak szpilka spada na podłogę. Stary radny, patriarcha społeczności, zaczął czytać uroczystym, monotonnym głosem. Mężczyzna roztaczał wokół siebie dziwny magnetyzm; był tego świadom nawet Steve. Można było odnieść wrażenie, że wysysa z pomieszczenia wszelkie dostępne powietrze. Mathers był stary, jednak wcale nie kruchy. Potężnie zbudowany, mocno stał na nogach, a jego sylwetkę można było porównać do katedry.

— „Kto pod opieką Najwyższego mieszka — zaintonował — i w cieniu Wszechmocnego przebywa, może rzec do Jahwe: »Ucieczko moja i twierdzo moja, Boże mój, któremu zaufałem!«. Zaprawdę, On cię wyzwoli z sidła ptasznika i od zarazy straszliwej. On cię piórami swymi okryje, pod Jego skrzydłami znajdziesz schronienie. Jego wierność puklerzem jest i pancerzem. Nie ulękiesz się grozy nocy ani strzały lecącej za dnia, zarazy, która krąży w ciemnościach, ani moru,

który sieje zniszczenie w południe. Chociażby tysiąc padło u twego boku, a dziesięć tysięcy po twojej prawicy — ciebie zło nie dosięgnie. Spojrzysz tylko oczami swymi, a ujrzysz odpłatę bezbożnych”¹... Panie i panowie, jest moim obowiązkiem poinformować was, że Arthur Roth, uwięziony w podziemiach Małego Kościoła Metodystów za wielokrotne naruszenia Dekretu o stanie wyjątkowym w Black Spring, dzisiaj zszedł z tego świata z powodu zatrzymania akcji serca. Panie, świeć nad jego duszą.

Nastąpiła chwila napiętej ciszy, po czym tłum eksplodował radością. Ludzie zaczęli klaskać. Ale byli też tacy, którzy rozglądali się dookoła z niepewnymi minami.

— Wreszcie nie żyje, ta świnia! — krzyknął ktoś, na co większość zareagowała śmiechem.

Pete pochylił się do Steve’a i wyszeptał:

— Facet kłamie w żywe oczy.

— Właśnie — powiedział głośno burmistrz. — Niech ta kwestia będzie pierwszym punktem naszego programu. Ponieważ sprawa pana Rotha jest sprawą miejską, a przypomnę, że zawsze traktowaliśmy ją w taki sposób, czuję, że będzie dobrze, jeśli nie zmienimy naszego podejścia do niej. O ile mi wiadomo, Arthur Roth nie ma rodziny ani krewnych, ani w naszej społeczności, ani poza nią. Ze względu na jego nieustanne groźby, że zakłóci codzienne funkcjonowanie Black Spring, zostaliśmy zmuszeni do podjęcia decyzji — w sposób demokratyczny, oczywiście — o odizolowaniu go od społeczeństwa. Nieszczęśliwie zachorował na zapalenie opon mózgowych i nigdy już się z tej choroby nie wyleczył. W tej chwili powstaje pytanie: co zrobimy z jego ciałem?

— Spalić skurwysyna! — krzyknął ktoś.

— Rzućmy go wieźmie na pożarcie!

Znowu rozległy się śmiechy.

— Szanowni państwo, przecież nie możemy tak po prostu kogoś spalić — powiedział burmistrz, nadając swoim słowom ton napuszonej drwiny, zarezerwowanej dla przedstawiciela władzy tuż po opowiedzeniu niezbyt udanego dowcipu, który musi umrzeć naturalną bolesną śmiercią, nie wzbudziwszy wesołości.

Ludzi na widowni jednak nie obchodził ton głosu burmistrza. W słabym świetle lamp, zawieszonych na żerdziach pod sufitem, sprawiali wrażenie rozgorączkowanych i złowrogich niczym opętańcy z czasów bardzo dawno minionych. Steve dostrzegł, że Robert Grim spogląda na zgromadzonych z głębokim obrzydzeniem, i nagle również jego ogarnął podobny wstręt.

Pod wpływem impulsu Steve wstał i zapytał:

— Czy widział go jakiś lekarz?

Szmer na sali ucichł i burmistrz popatrzył na niego ze zdziwieniem,

wyraźnie zmieszany. Steve poczuł na sobie spojrzenia setek mieszkańców miasta i głośno odchrząknął.

— To znaczy, chciałem się dowiedzieć, czy jego śmierć została oficjalnie zarejestrowana i czy wystawiono akt zgonu.

— Och, Roth jest martwy jak głąz, może pan być tego pewien — powiedział burmistrz.

Przecież nie o to mi chodzi, pomyślał Steve.

— Rozumiem to, jednak wyłącznie lekarz może określić przyczynę zgonu z jakąkolwiek pewnością. Tymczasem słyszałem z pierwszej ręki, że jego śmierć była raczej krwawa. — Z tłumu uniosło się niespokojne westchnienie, które dodało Steve'owi pewności siebie. Kontynuował: — Jako lekarz nie widzę powodu, żeby ktoś krwawił, gdy śmierć następuje w wyniku zatrzymania akcji serca. Osobą, od której otrzymałem informację o krwi, jest Jaydon Holst, syn radnej Griseldy Holst, której zadaniem było sprawowanie opieki nad Rothem. I która teraz, w dniu jego śmierci, okazuje się chora. Wziąwszy pod uwagę, że mamy do czynienia ze sprawą miejską, jestem pewien, że zechce pan jednak powiedzieć nam wszystkim, co się naprawdę wydarzyło.

Rozległ się szmer aprobaty dla jego słów. Tyler popatrzył na ojca, jakby spoglądał na idola, co nie pozostawiło Steve'a obojętnym. Tymczasem na podium burmistrz szukał wzrokiem pomocy u Coltona Mathersa.

Dlatego Mathers wstał i po chwili zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

— Pani Holst naprawdę znalazła Rotha martwego w celi. Doznała głębokiego wstrząsu i właśnie dlatego nie ma jej dzisiaj z nami, i chyba nikt z nas nie będzie jej czynił z tego powodu wyrzutów. Pan Roth rozebrał się i zadał sobie wiele poważnych ran, w różnych miejscach ciała. Nie będę jednak wchodził w szczegóły. Pani Holst bardzo mocno wystraszyła się tym, co zastała w podziemiach, i w panice najpierw skontaktowała się z synem, a potem ze mną. Kiedy przybyłem na miejsce, ustaliłem bez cienia wątpliwości, że utrata krwi i hipotermia spowodowały zatrzymanie akcji serca u więźnia, co z kolei doprowadziło do jego śmierci.

Kurewsko oczywisty przykład szarlatanerii, pomyślał Steve. On także zdążył już zebrać wszystkie elementy układanki i doszedł do podobnego wniosku, tyle że nie zgadzał się z Mathersem w jednej kwestii: jeśli Griselda Holst po prostu znalazła Rotha martwego, żadnego sensu nie miał jej telefon do syna. Griselda była silną kobietą, długie lata znoszenia przemocy domowej tylko ją wzmocniły i Steve nie dowierzał, że mogła wpaść w panikę. Gdyby myślała racjonalnie, skontaktowałaby się po prostu z Mathersem i przenigdy nie angażowałaby w sprawę Jaydona. A przecież dokładnie tak zrobiła, no i spanikowała. W podziemiach kościoła musiało się wydarzyć coś, o czym burmistrz ani Mathers nie zamierzali wspominać.

Poza tym, jeśli w tym wszystkim odgrywała jakąś rolę hipotermia, to właściwie w jakich warunkach przetrzymywano więźnia w podziemiach domu Bożego?

Dłonie Steve'a zrobiły się wilgotne i lepkie, w ustach poczuł smak zwątpienia. Wciąż stał, gdy nagle do jego umysłu przeniknęła prawda. Mieszkańcy Black Spring, którzy wpatrywali się w niego, siedząc na swoich krzesłach, żyli w bezustannym napięciu i strachu przed tym, co się działo na ulicach ich miasta. Jak daleko się posuną? — pomyślał Steve. Do czego będą zdolni, jeśli napięcie, jakiemu są poddawani, stanie się nie do zniesienia? Być może plotki opierały się na prawdzie i Roth został zagłodzony na śmierć. Być może sprawy potoczyły się dzisiaj w złym kierunku i po prostu zdarzyło się coś, nad czym nikt już nie zdołał zapanować? Czy to miało znaczenie? Lecz przecież wciąż była to sprawa całego Black Spring, sprawa miejska, i jej konsekwencje dotyczyły całego miasta.

Nie, podpowiadała mu nieustępliwa i idealistyczna część umysłu. Wciąż mamy przecież ludzką godność. Ona nadal pozostaje w nas nienaruszona i tak będzie nawet wtedy, gdy wszystko dookoła rozbije się w drobny mak.

— Po prostu uważam, że Arthur Roth zasługuje na właściwą sekcję zwłok, jak wszyscy inni w podobnym przypadku — powiedział i usiadł.

Jocelyn złapała go za rękę i delikatnie ją uściśnęła.

— Przyjąłem do wiadomości — powiedział burmistrz. — Problem polega jednak na tym, że nie możemy uznać Arthura Rotha za martwego zgodnie z przepisami prawa, ponieważ w myśl przepisów prawa ten człowiek od dawna już nie istniał. Moglibyśmy wywołać mnóstwo niepotrzebnych pytań. Rada wydała uchwałę — sześć głosów za i jeden przeciw — aby pochować go anonimowo i w hańbie, bez nagrobka i grobu, poza terenem cmentarza. — W tłumie rozległy się entuzjastyczne głosy poparcia. — Jednak, jak na demokratyczną społeczność przystało, zadecydujemy w tej sprawie wszyscy, pytam więc was...

— Doktor Grant ma rację! — niespodziewanie krzyknął Pete VanderMeer i wstał z krzesła. Burmistrz groźnie zmarszczył czoło, jednak mimo powagi swojego urzędu nie był w stanie samą miną zmusić go do milczenia. — Zadaje nam pan pytanie, rzekomo w imię demokracji, tylko dlatego, żebyśmy to my wszyscy w głosowaniu zadecydowali o cichym pozbyciu się zwłok więźnia, uwalniając pana od osobistej odpowiedzialności. To wcale nie jest demokracja, tak funkcjonuje trybunał ludowy!

— Właściwie jakie to ma znaczenie? — odezwał się mężczyzna o surowej twarzy, zasiadający po drugiej stronie sali. — Przecież musimy się go pozbyć tak czy inaczej. I Roth nie zasługuje na nic lepszego jak nieoznaczony grób.

— Ale to jest farsa! — zawołał Pete. — Ludzie, przecież nie jesteśmy barbarzyńcami! Jeśli podążymy w tym kierunku, wkrótce będziemy przestępców po prostu linczować.

— Zatem jaka jest pańska propozycja, co chciałby pan z nim zrobić? — zapytał pogardliwie mężczyzna po drugiej stronie sali. — Mamy go wydać władzom federalnym?

— Nie — odparł Pete. — Ale niech przynajmniej lekarz oficjalnie potwierdzi przyczynę śmierci. W końcu mamy do czynienia z istotą ludzką, na miłość boską.

W ratuszu miejskim zapanował hałas i rozgardiasz. Ludzie zaczęli przekrzykiwać się nawzajem, wstawać z krzeseł, wyciągać w górę ręce. Colton Mathers walnął dłonią w ciężki, drewniany stół, a w jego oczach pojawiły się ognie.

— Nikt... w tej... sali... nie będzie wzywał imienia Pana Boga nadaremno — powiedział dobitnie. W jego głosie brzmiało zdecydowanie, jakiego brakowało burmistrzowi. — Dekret o stanie wyjątkowym mówi jasno: to, co należy do Black Spring, pozostaje w Black Spring.

— To wcale nie Dekret o stanie wyjątkowym, lecz Katherine tak twierdzi — mruknął Pete i usiadł; nikt go nie usłyszał poza Steve'em, no i może jeszcze poza jego żoną Mary.

— Udowodnijmy jednak, że proces podejmowania decyzji jest w naszym mieście naprawdę demokratyczny i wszyscy zgromadzeni mają prawo odnieść się do słów dwóch dżentelmenów, którzy zaprezentowali nam swoje wątpliwości.

Steve cicho zaklął. Mathers doskonale wiedział, że nieugięta purytańska postawa zwycięży nad zdrowym rozsądkiem i ludzie posłuchają właśnie jego. Pete też o tym wiedział i już milczał. A w myślach Steve'a pojawił się nagle groteskowy obraz: Colton Mathers i Griselda Holst owijali w nim ciało Arthura Rotha czarnym plastikowym workiem, oklejali worek taśmami samoprzylepnymi i na prowizorycznym katafalku, zbudowanym z mioteł, taszczyli je na Mount Misery, aby złożyć w anonimowym grobie i raz na zawsze o nim zapomnieć.

Stary radny nie okazywał żadnych emocji, kiedy oddawał głos burmistrzowi:

— Pytanie brzmi więc: czy zamierzamy uznać ziemskie istnienie Arthura Rotha i wydać oficjalny dokument przygotowany przez lekarza? Kto jest za takim rozwiązaniem, niech podniesie prawą rękę.

Trzeba przyznać, że kilka rąk się podniosło, jednak Steve nawet nie musiał się odwracać, żeby zrozumieć, że ich liczba była marginalna. Spośród członków Rady rękę podniósł jedynie Grim.

— Według mnie sprawa jest zamknięta i wniosek zostaje odrzucony. Jeśli nikt nie wyraża sprzeciwu — burmistrz dla formalności szybko rozejrzał się po sali — chciałbym poddać pod głosowanie drugi wniosek: proponuje się urządzić Arthurowi Rothowi pogrzeb bez żadnych honorów, nie sporządzić nagrobka, grób wykopać poza terenem cmentarza. Kto jest za takim rozwiązaniem, niech podniesie prawą rękę.

Przy głośnym szeleście ubrań i trzaskaniu stawów łokciowych w górę powędrowało mnóstwo rąk. Kilka osób triumfalnie odwróciło się ku gromadce ludzi w szóstym rzędzie, którzy siedzieli z rękami założonymi na piersiach. Steve nie patrzył im w oczy, zerknął jednak przez ramię i spotkał się wzrokiem z Burtem i Bammy Delarosami, którzy sprawiali wrażenie całkowicie zdezorientowanych.

— Wniosek został przyjęty — powiedział Colton Mathers i ciężko uderzył drewnianym młotkiem w stół.

* * *

— To dobrze, że nigdy nie zacząłeś praktyki w mieście — powiedziała Jocelyn — bo dzisiaj wieczorem straciłbyś połowę pacjentów.

Leżeli obok siebie w łóżku i nasłuchiwali odgłosów gwałtownego wiatru. Temperatura spadła poniżej zera.

— To jest zgraja fanatyków religijnych rodem ze średniowiecza — odparł Steve. — Oni wcale nie potrzebują lekarza. Do ich leczenia najlepiej nada się cyrulik.

— Cóż, musimy żyć właśnie wśród fanatyków religijnych, Steve.

Przysunął się bliżej żony, ziewnął i powiedział:

— Większości z nich przydałoby się utoczenie sporej ilości krwi. Chętnie bym się tego podjął.

Jocelyn zaczęła spazmatycznie chichotać i pocałowała męża w usta.

— Dzisiaj wieczorem dałeś komuś powód do dumy — powiedziała i odsunęła się od niego. Steve uniósł brwi, zaciekawiony, a Jocelyn kontynuowała: — Chodzi mi o Tylera. Widziałam, jak na ciebie patrzył. Naprawdę zaimponowałeś mu tym, jak broniłeś swoich poglądów, doktorze. Myślę, że obaj tego potrzebowaliście po nieporozumieniu w kwestii Laurie.

Mam nadzieję, pomyślał Steve. Może dzięki temu nasze relacje trochę się poprawią, jednak nic nie uwolni Tylera od obaw. Po prostu stanął w obliczu faktu, że nasza sytuacja nigdy się nie zmieni. Przedstawienie, jakie dzisiaj widział, jedynie to potwierdza. Było sprzeczne ze wszystkim, w co mój syn wierzy.

Potem się kochali i wreszcie zasnęli w swoich objęciach. Steve'owi śniło się, że w ich sypialni pojawiła się Katherine van Wyler, mroczna zjawa wśród cieni; tylko jej oczy były otwarte i płonęły demonicznym życiem. Gdy tylko rozbudził się na tyle, żeby zdać sobie sprawę, co zobaczył we śnie, wyprostował się i odrzucił kołdrę. Jocelyn spała twardo po swojej stronie łóżka. Steve poczuł, że oczy ma opuchnięte, a górna część jego ciała jest mocno spocona.

Oczywiście Katherine tutaj nie było, mimo wszystko wyskoczył z łóżka i szedł na półpiętro. Katherine dwukrotnie pojawiła się w ich sypialni, odkąd mieszkali w Black Spring jako małżeństwo. Za pierwszym razem, zanim urodził się Matt, stanęła w nocy przy oknie wykuszowym i sprawiała wrażenie, jakby

wypatrywała czegoś na zewnątrz. Steve i Jocelyn przez cały czas pozostali w łóżku, sparaliżowani, patrząc na nią tak, jak spogląda się na śmiertelnie groźne zwierzęta z bezpiecznego punktu obserwacyjnego. Za drugim razem, zaledwie przed kilku laty, stanęła przy ich łóżku na długie trzy dni i trzy noce. Jocelyn namówiła wtedy Steve'a, żeby spali na kanapie w salonie.

Steve obszedł cały dom, także parter i garaż. Włączył wszystkie światła — gdyby wpadł na nią po ciemku, wiedział, że wrzasnąłby ze strachu. Sprawdził wszystkie drzwi. Było to bezcelowe, ale mimo wszystko poczuł się lepiej. Dom był cichy, spokojny. Jedynie Fletcher nie spał i popatrzył na niego ze swojego legowiska, po czym cicho pisnął.

Chryste, wracaj do łóżka, powiedział Steve sam do siebie. Zadrżał z zimna, wystraszony własnymi przywidzeniami.

Mimo wszystko musiał stłumić w sobie okrzyk, kiedy wiatr sprawił, że jakaś gałąź uderzyła w okno sypialni. Wtedy już przestał się nad czymkolwiek zastanawiać i dał nura do łóżka. Zagryzł wargi, potępiając w myślach własną głupotę, i wkrótce zasnął.

12

Następnego dnia rano Tyler zszedł do kuchni piętnaście po ósmej. Pozostali członkowie rodziny siedzieli już przy stole i jedli śniadanie. Matt miał wielkie wory pod oczami i otwarty podręcznik do historii pod łokciem, Jocelyn wciąż była w szlafroku. Zapach świeżych bułek z piekarnika zazwyczaj wzmagił jego apetyt, dzisiaj jednak w ogóle na niego nie działał. Bez słowa podsunął sobie krzesło i zaczął apatycznie żuć krakersa.

— O, kurczę, ktoś chyba źle spał w nocy — skomentował Matt.

— Zamknij się, dupku — odparował Tyler.

Jocelyn odłożyła swój nóż na talerz i powiedziała ostro:

— Hej, chłopcy, dajcie spokój...

— Przecież chodziło mi tylko o to, jak on dzisiaj spał — zaprotestował Matt.

— Nie bądź taki wrażliwy, kolego. Wyluzuj...

— Oto wspaniała, szczęśliwa rodzina — odezwał się Steve. — Pospieszcie się, moi drodzy, bo nie zdążycie na autobus.

— Dzisiaj jest u mnie dzień doskonalenia kadry nauczycielskiej — powiedział Tyler. — Zapomniałem wcześniej o tym powiedzieć.

— Naprawdę? — krzyknął Matt. — Ale z ciebie szczęściarz. Ale czemu ja nic o tym nie wiem?

— Bo takie szczęście przysługuje tylko licealistom, a nie gimnazjalistom.

Kłamstwo poszło w eter, zanim Tyler na dobre zdał sobie z tego sprawę. Aż do tej chwili nawet nie myślał o tym, żeby dzisiaj pójść na wagary. Trochę niepokoił go fakt, że z taką łatwością potrafi okłamywać ojca, zwłaszcza że nie

miał z tego powodu nawet najmniejszego poczucia winy. Oczywiście nie należy dopuszczać rodziców do wszystkich tajemnic, jednak w jego relacjach z matką i ojcem zaszła zasadnicza zmiana od czasu, gdy udzielił odpowiedzi przeczącej na pewne ważne pytanie ojca: „Mam nadzieję, że nie ukrywasz przede mną jakiegoś asa w rękawie, co?”. Swoim zaprzeczeniem wstąpił na ścieżkę, z której zejść było bardzo trudno.

— Dobrze, możesz więc pójść z psem na spacer — powiedział Steve.

Tyler wzruszył ramionami i wyciągnął z pudełka jeszcze jednego krakersa. Matt uściskał Jocelyn i Steve'a na do widzenia i wyszedł na przystanek autobusowy. Kiedy zbyt mocno zatrzasnęły się za nim drzwi, Jocelyn mruknęła coś z niezadowoleniem, jednak nie pobiegła za synem, żeby go skarcić. Zamiast tego nałapała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Wszystko było w najlepszym porządku, zaczynał się kolejny byle jaki dzień, identyczny jak poprzedni. Niespodziewanie Tyler poczuł, że chce mu się wymiotować. Odłożył krakersa na talerz. Pot wystąpił mu na czoło, a w żołądku poczuł bolesne skurcze.

„Mam nadzieję, że nie ukrywasz przede mną jakiegoś asa w rękawie, co?”

Nic nie było w porządku. Wydarzenia wczorajszego dnia uciskały jego trzewia jak twardy kamień. Gdy zaczęło się spotkanie Rady, a Jaydon wciąż się nie pojawiał, Tyler początkowo wpadł w furję. Jaydon był tam potrzebny, żeby wygłosić zastrzeżenia do polityki prywatności i zarządzania Internetem, ponieważ jedynie on z ich grupy osiągnął już wiek upoważniający do zabierania głosu na zgromadzeniach. Tyler zrozumiał jednak, że skoro ktoś umarł, sytuacja się zmieniła, jednak Jaydon mógł przecież jakoś skomunikować się z kolegami, żeby mogli przystąpić do realizacji planu B.

Tyler był przekonany, że cokolwiek robi dla OO, jest to zawsze oparte na zdrowym rozsądku. Jednak zdrowego rozsądku chyba nie było w desperackim, nijakim odczuciu, które dopadło go po ponurym rozpoczęciu posiedzenia Rady i głosowaniu w sprawie Arthura Rotha. W bardzo krótkim czasie jego morale sięgnęło dna. Czy on naprawdę wierzył, że ci sami ludzie, którzy wrzeszczeli „Spalić skurwysyna!” i „Rzućcie go na pożarcie wiedźmie!”, zechcą pozytywnie zaopiniować coś tak głupiego, jak ich własne prawo do korzystania z Twittera i Facebooka? To było niedorzeczne. Po raz pierwszy Tyler zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z siłami znacznie potężniejszymi od tych, z którymi normalnie dałby sobie radę.

„Nie ulęknieš się grozy nocy ani strzały lecącej za dnia, zarazy, która krąży w ciemnościach, ani moru, który sieje zniszczenie w południe”.

Jednak Tyler się bał. I za każdym razem, kiedy zastanawiał się, czy próba zmiany sił przyniesie cokolwiek dobrego, myślał o Jaydonie, w środku lasu dżgającym wiedźmę kijem; w takiej chwili nieuchronnie, zupełnie znikąd nawiedzała go myśl: „Coś się tutaj wydarzy, stary. Coś naprawdę odrażającego,

bez dwóch zdań”.

„Skończ z głupimi żartami z wiedźmy, przestań umieszczać filmy na YouTube, dość już szalonych pomysłów”.

„Nie ma już plutonów egzekucyjnych. A jednak kary cielesne wciąż są zapisane w Dekrecie o stanie wyjątkowym”.

„Mamy w życiu już przesrane, ale coś takiego oznaczałoby jeszcze wyższy poziom przesrania”.

„Witamy w Black Spring”.

— Dobrze się czujesz? — zapytał go Steve, marszcząc czoło. — Wyglądasz nieszczęśliwie, chyba nie z powodu pogody?

Tyler zamrugnął oczami.

— Nic mi nie jest — odparł i zmusił się do uśmiechu. — Chyba się jeszcze dobrze nie obudziłem, to wszystko.

Wstał szybko od stołu, ostatnie kilka kroków do łazienki pokonał biegiem i pochylił się nad sedesem, jednak nic nie zwymiotował. Po chwili przemył twarz wodą i przekrwionymi oczami popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Odpuść sobie, pomyślał. Niech wszyscy idą do diabła. To w końcu nie jest twój interes.

Ale to był jego interes. Jeśli on nie otworzy ust, to kto?

Wróciwszy do swojego pokoju, włączył radio i po chwili podgłośnił dźwięk do maksimum, rozpoznawszy utwór zespołu Train. Nastrojowa piosenka trochę poprawiła mu humor. Przez komunikator połączył się z Lawrence'em, chcąc się dowiedzieć, czy ten siedzi już w autobusie. Lawrence odpowiedział mu, że ojciec zrobił się dla niego bardzo miły po wieczornym posiedzeniu Rady i zgodził się, żeby dziś nie szedł do szkoły, usprawiedliwiając jego nieobecność chorobą. O wpół do dziesiątej spotkali się więc przy głazach leżących pomiędzy ich domami. Fletcher skoczył na Lawrence'a, energicznie machając ogonem. Zostawił na jego kurtce ślady brudnych łap.

— Hej, uspokój się, stary! — zawołał Lawrence. Poklepał psa po pysku i Fletcher warknął. Tyler zaproponował wyprawę do lasu, Lawrence zapytał jednak: — To ty nic nie słyszałeś? Wiedźma jest w domu Burana.

— Burana?

— Tak, wiem to z porannego przekazu HEX-a. Nie mam żadnych informacji od Burana, jednak po posiedzeniach Rady rodzice zazwyczaj dają mu wolny dzień.

Postanowili skierować się do domu kolegi. Rodzina Sayerów mieszkała w Lower South, niedaleko jeziora Popolopen, w domu stojącym przy Morris Avenue. Rodzice Burana byli Turkami i jednymi z nielicznych praktykujących muzułmanów w Black Spring. Tyler już od dawna zastanawiał się, w jaki sposób wyznanie wpływa na ich stosunek do wiedźmy, ale kiedy pytał o to Burana, chłopak jedynie wzruszał ramionami. Z tego, co Tyler wiedział, Buran nigdy nie chodził do meczetu w Newburghu, nie powstrzymywało to jednak Jaydona przed

opowiadaniem w jego obecności wysoce niestosownych żartów na temat muzułmanów.

Dotarli na rynek, gdzie w najlepsze trwało sprzątanie po wczorajszych uroczystościach. Jeden z robotników zmywał wielką plamę popiołu na skrzyżowaniu, posługując się wężem, z którego płynęła woda pod wysokim ciśnieniem. Gdy Tyler na niego patrzył, niespodziewanie dotarł do niego esemes od Burana: „Jest u mnie Jaydon i świruje. Proszę, bądźcie tu jak najszybciej!”.

Ostatni kilometr do domu Burana pokonali biegiem, z Fletcherem na czele. Tyler odczuwał mdłości, niemal stracił nad sobą kontrolę.

— Któregoś dnia ten facet posunie się za daleko — wystękał ciężko Lawrence.

Tak, ale to jego sprawa. Nic nam do tego, znowu pomyślał Tyler. Nie było to jednak prawdą i gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli, on, Tyler, byłby częściowo za to odpowiedzialny.

Samochodu Sayerów nie było przed domem, co znaczyło, że rodziców Burana nie ma w domu. Tyler i Lawrence przeszli przez trawnik i skierowali się na podwórze, najpierw jednak przywiązali Fletchera do jednej z topól rosnących przed budynkiem. Bez wątpienia pies jeszcze nie wyczuł, że w pobliżu znajduje się wiedźma, ponieważ zaczął energicznie obwąchiwać płot. Tyler złapał za kłamkę tylnych drzwi. Były otwarte.

— Halo! — zawołał.

Lawrence przeszedł za nim całą kuchnię i nagle rozstała się zasłona z paciorków w drzwiach do salonu. Stał w nich Buran. Miał dzikie spojrzenie, bez wątpienia był bliski paniki.

— Tyler, musisz...

Ale Lawrence zaraz to zobaczył i niemal zawył żalonym głosem:

— O, Jezu, kurwa...

Mieli przed sobą surrealistyczny i zarazem koszmarny widok. Salon za plecami Burana pobłyskiwał w półmroku, ponieważ zasłony na oknach były zaciągnięte; wypełniał go ostry, gryzący zapach — tak właśnie można by sobie wyobrazić zapach mgły w *Baśniach tysiąca i jednej nocy*. Tyler natychmiast dostrzegł, co jest jego źródłem: na stoliku i nad kominkiem leżały i płonęły długie patyczki zapachowe. A obok stała Katherine. Zazwyczaj w domu Sayerów trudno było o jakieś symbole religijne, teraz jednak wiedźma tkwiła pomiędzy niezliczonymi amuletami, które wyglądały jak niebieskie pawie oczka i dyndały na sznureczkach przymocowanych do sufitu. W upiornej powtórcie zesłotygodniowego epizodu w lesie Jaydon stał przed Katherine z kijem w rękach, jednak teraz do jego końca przymocowany był taśmą klejącą ostry nóż do cięcia kartonu, a nie telefon. Jaydon naciął nim już rąbki sukni Katherine, które zwisały niczym most zwodzony, obnażając bladopurpurową, obwisłą prawą pierś Katherine

van Wyler.

Błysnęło jaskrawe, białe światło — to Jaydon wykonał zdjęcie iPhone'em. Błysk ukazał oczom Tylera więcej, niż chciałby zobaczyć, utrwalając w jego siatkówkach straszliwy widok wstrętnego, czarnego sutka na miękkiej piersi Katherine. Nie była to seksowna pierś, w przeciwieństwie do egzotycznych, wzbudzających pożądanie, chociaż przeważnie dziwnych piersi kobiet z mało znanych plemion. Była ohydna, obsceniczna. Naga skóra na niej była poraniona od noża Jaydona. Z którejś rany toczyła się strużka ciemnej krwi.

Ta strużka krwi, czarny sutek w blasku lampy z aparatu Jaydona, te niebieskie oczka na sznurkach złożyły się na widok, którego Tyler już nigdy nie miał zapomnieć.

— Lawrence... Tyler — odezwał się Jaydon, uniósłszy brwi. — Mam nadzieję, że nie przyszlście tutaj, żeby zepsuć mi imprezę. Bo jeśli tak, to obaj stąd spierdalajcie.

— Kurwa, co ty wyrabiasz? — z trudem wyjąkał Tyler.

Wciąż nie dowierzał własnym oczom. Jezu... Właśnie teraz, kiedy musiał zachowywać trzeźwość umysłu, wszystko zaczynało się sypać. Tego było już dla niego zbyt wiele. To nie mogło być prawdą.

— Co ty sobie, kurwa, myślałeś, przekazując moją prywatną wiadomość swojemu pierdolonemu ojcu, który z kolei musiał podzielić się tą wiedzą z całym pierdolonym miastem? — Jaydon praktycznie wykrzyczał ostatnie słowa, a na jego wargach załśniły kropelki śliny.

Kij z nożem przymocowanym na końcu trząsał się w jego rękach.

— A ty powinieneś być z nami w kontakcie! — wrzasnął na niego Lawrence. — Dzwoniliśmy do ciebie, pisaliśmy wiadomości przez całą noc! Gdzie byłeś, do diabła?

— Może miałem na głowie ważniejsze gówniane sprawy niż wasze pierdolone testy? Mathers dał mi dzisiaj do wiwatu, zupełnie się tego nie spodziewałem! I to wszystko dlatego, że ten pedał nie potrafił trzymać gęby na kłódkę.

— Stary, chcę tylko, żebyś stąd poszedł, teraz... — odezwał się Buran desperackim głosem. — Jeśli moi rodzice się dowiedzą, co zrobiłeś w naszym domu, zabiją mnie.

— Jesteś chory — powiedział Tyler łagodnym tonem; jego spojrzenie wciąż utkwione było w szkaradnym czarnym sutku na piersi wiedźmy. — W tej chwili igrasz z życiem nas wszystkich. Jeśli kiedykolwiek dowie się o tym Rada, czeka cię coś o wiele gorszego niż Doodletown.

Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął kamerę GoPro, jednak kiedy tylko Jaydon ją zobaczył, wycelował kij z nożem w jego pierś. Tyler krzyknął i odskoczył, zderzając się z Lawrence'em.

— Nie, nic z tego — odezwał się Jaydon, a dzikie spojrzenie jego oczu sprawiło, że Tyler natychmiast schował kamerę z powrotem. Pomyślał, że Jaydon oszalał. Całkowicie. — Dzisiaj tylko ja filmuję i tylko ja robię zdjęcia. Najlepsze pierdolone zdjęcia w historii ludzkości. Zdjęcia gołego cycka ducha. — Wybuchnął głośnym rechotem. — Wyślę je do Justina i do Burana, ponieważ prawdopodobnie jest to pierwszy cycek, jaki kiedykolwiek widział nasz Mahomet, i wiem, że jak już będzie miał to zdjęcie, pobiegnie do swojego pokoju, żeby sobie zwalić przy nim konia. Ale jeśli ktokolwiek puści parę z ust, ogłoszę wszem wobec wiadomość o stronie internetowej i waszych testach. Pociągnę was za sobą.

— Odsuń ten pierdolony nóż od mojej twarzy! — powiedział ostro Tyler.

— Jak sobie życzysz, stary — odparł Jaydon, po czym jednym płynnym ruchem odwrócił się i dźgnął nożem Katherine.

Ostrze miało długość zaledwie kilku centymetrów, dlatego całe zniknęło w obwisłej piersi wiedźmy. Jej ciało drgnęło, cofnęło się i zadrżało, jakby przebiegło przez nie wyładowanie elektryczne. Chude, drobne dłonie wiedźmy konwulsyjnie zacisnęły się w pięści. Kiedy Jaydon cofnął nóż, z jej ciała wytrysnęła krew, która zabrudziła dywan.

— Kurwa!

— Zobacz, co zrobiłeś! — krzyknął Buran, wskazując na dywan. — Ojciec mnie zabije!

Lawrence odwrócił się i lekko zatoczył. Po jego policzkach spływały łzy. Wiedźma, spowita łańcuchami, pochyliła się do przodu, jeszcze bardziej odsłaniając pierś. Ostatni cios rozpołowił jej sutek i krew zaczęła sączyć się na jej suknię, tworząc na niej ciemną plamę. Katherine, zniknij, pomyślał Tyler. Zniknij, zanim wydarzy się coś jeszcze gorszego...

Chciał panować nad swoim głosem, jednak nic nie wskórał.

— Jaydon, to jest chore, to jest niedopuszczalne... Nie możesz tak z nią postępować...

— A kogo to obchodzi? Przecież ona jest tylko pierdolonym duchem! Kiedy pojawi się później w innym miejscu, i tak będzie jak nowa.

— Ale nie możesz jej w ten sposób poniżyć, ona...

— Ta suka zamordowała mojego ojca! — wrzasnął Jaydon, gwałtownie potrząsając swoją prowizoryczną włócznią. — Ta suka zgwałciła moją mamę! Nie mów mi więc, co mam robić, ponieważ ona zasługuje na wszystko, co najgorsze!

— Jezu... — jęknął Tyler i wyciągnął przed siebie rozpostarte dłonie. — Posłuchaj, nie wiem, co się stało wczoraj, ale porozmawiajmy o tym. Wszystko możemy rozwiązać wspólnie, prawda, chłopaki?

Popatrzył na Burana i Lawrence'a, szukając u nich pomocy. Buran natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi.

— Tak, on ma rację. Tylko się uspokój.

— Wy mnie tutaj, kurwa, nie uspokajajcie. Byliśmy dla niej mili przez wystarczająco długi czas. Ale plany się zmieniły. Nie będziemy się już więcej z nikim i z niczym liczyć.

— Nie rozumiem — powiedział Tyler, jednak wiedział aż za dobrze, co Jaydon ma na myśli.

Coś w tym chłopaku pękło, coś, co zaczęło się rozpadać już dawno temu i wczoraj rozbiło się ostatecznie. Źródłem tego pęknięcia była wiedźma. Jaydon nie chciał już łątać dziur, nie chciał już nigdzie szukać zrozumienia. Gdyby wraz z kolegami postępował zgodnie z zasadami i do akcji wkroczyłyby władze, nie mogłby już... Jezu... mścić się. Co, do diabła, stało się w podziemiach kościoła? Co go napadło? I dlaczego ta cholerna wiedźma wciąż tutaj jest?

— To znaczy, że OO już nie istnieje — powiedział Jaydon i zmrużył oczy. — Od teraz tylko ja dowodzę. Będziemy robić wszystko tak, jak ja zarządzę. Bez żadnego „ale”. Jeśli któryś z was tylko coś wypapla, pokażę ludziom wszystkie nagrania wideo, wszystkie nasze raporty, wszystkie wiadomości. A wy wszyscy skończycie w Doodletown. Nie zapominajcie, że moja mama jest członkiem komisji dyscyplinarnej i, możecie mi wierzyć, ma w tej komisji duży posłuch. Potrafi dopilnować, żeby członkowie komisji uwierzyli w moją wersję, a nie w waszą.

Z całej siły rzucił kij z przymocowanym nożem w kąt pokoju, po czym przedarł się między kolegami, przeszedł przez kuchnię i wyszedł z domu. Pozostali tkwili bez ruchu w wywołujących mdłości oparach kadzidełek, wstrząśnięci, jakby przed chwilą byli świadkami spustoszenia wywołanego przez huragan. Milczeli. Wreszcie Tyler odwrócił się do czarownicy. Drżał.

— Co z nią? — zapytał Buran ponuro.

— Nie wiem, człowieku.

Nadal się nie ruszała. Po prostu stała, pochylona do przodu na tyle, na ile pozwalały jej łańcuchy, a krew z jej zranionej piersi kapała na dywan. Jeden z niebieskich amuletów obijał się teraz o chustę na jej głowie. Katherine miała skurczone palce... z bólu? Z rozpacz? W każdym razie wszystkie jej palce drgały. W jakim stopniu była świadoma upokorzenia, którego doznała? Tyler naprawdę tego nie wiedział. Człowieczeństwo wiedźmy było zagadką, której nikt jeszcze nie rozwikłał, podobnie jak nikt nie wiedział z wyprzedzeniem, kiedy i w jakim miejscu pokaże się ludziom. Tylko ona o tym decydowała i nie było wiadomo, co nią za każdym razem powodowało. Między innymi to czyniło ją tak dziwną.

— Katherine? — odezwał się Lawrence. Podszedł do niej ostrożnie. Jego usta trzęsły się. — Katherine, przepraszam. To nie powinno było się wydarzyć. To wszystko przez Jaydona, to jego wina. Nigdy nie chcieliśmy, żeby...

— Stary... — Tyler objął go.

Lawrence wzruszył ramionami i wytarł łzy.

— Nie wiem, co robić — powiedział.

— A co to są właściwie za amulety? — Tyler zapytał Burana.

— To *nazar boncuğu*, które mają chronić przed złym spojrzeniem. Kiedy moja mama zeszła dzisiaj rano do salonu, Katherine już tutaj była, mama więc porozwieszała to wszystko dookoła niej, a potem razem z ojcem pojechali do meczetu. Mieli zamiar się modlić, żeby wiedźma jak najszybciej sobie od nas poszła. Kurwa, pewnie ja sam też powinienem się o to modlić, ponieważ jeśli oni wrócą do domu, a ona wciąż tutaj będzie i zobaczą ją w takim stanie...

— Masz jakieś stare prześcieradło albo coś w tym rodzaju? Po prostu powiedz im, że nie mogłeś znieść jej wzroku i przykryłeś ją prześcieradłem.

— Przecież ona jest ślepa.

— Wiesz, co mam na myśli. Twoi rodzice nigdy nie zajrzą pod to prześcieradło. Musimy jednak zetrzeć tę krew z dywanu. Może się uda?... Masz jakąś szczotkę? Ale najpierw wyprostujmy Katherine. Żeby już z niej tak nie ciekło.

— Kurwa, ani myślę jej dotykać.

— A co z tą stroną internetową? — zapytał Lawrence. — Jaydon mówił na serio.

— Damy sobie radę bez niego — odparł Tyler gwałtownie.

— No, nie wiem... — mruknął Buran.

— Co? Mamy mu pozwolić, żeby nam groził?

Buran z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Wczoraj zostałem wybrany do testu szeptu, a dzisiaj ona niespodziewanie zjawiała się w moim domu. To musi coś znaczyć, nie?

— To znaczy wielkie gówno — odpowiedział mu Tyler, jednak w dużej mierze podzielał zaniepokojenie Burana. — Posłuchaj, nie musisz przeprowadzać tego testu, jeżeli nie chcesz. Ja sam to zrobię. W bezpiecznym otoczeniu, w waszym towarzystwie. Nic nie może pójść źle. To wcale nie jest tak, że osoba przeprowadzająca ten test od razu ściągnie na siebie śmierć. Mnóstwo ludzi słyszało jej szept i wciąż chodzą po ziemi, i opowiadają swoje wrażenia.

— Nie wiem, Tyler — powtórzył Buran. — Myślę, że to nie był przypadek. Myślę, że ona chce nam powiedzieć, żebyśmy się powstrzymali. Informacje o twoich eksperymentach nie powinny dotrzeć do wszystkich ludzi. Ona nie chce, żebyśmy do tego doprowadzili. Przykro mi, stary...

— Ale...

Zanim jednak Tyler zdołał się zastanowić, co chce powiedzieć, straciło to znaczenie. Niespodziewanie zasłona z paciorków rozsunęła się i do salonu znów wszedł Jaydon z palcami zaciśniętymi na obroży Fletchera. Już miał sobie pójść, ale natknął się na psa i zmienił zdanie. Być może chciał wyrównać rachunki z Tylerem; może po prostu dostrzegł tę okazję dlatego, że wiedźma była pod ręką.

W każdym razie, niezależnie od tego, co nim kierowało, wpadł na szaleńczy pomysł, aby poszczuć ją Fletcherem. Tyler nie wiedział, czy pies wyczuwa Katherine jedynie po zapachu, czy w jakiś jeszcze bardziej prymitywny sposób, ale zapach kadzidełek musiał go zdezorientować. Gdy ją jednak zobaczył, jego warczenie przeszło w ujadanie, które całkowicie wypełniło mały salon Sayerów; zaczął też skrobać łapami podłogę jak pitbull.

— Jaydon, przestań! — krzyknął Tyler.

Spróbował wskoczyć pomiędzy psa i wiedźmę, ale Jaydon prowokował owczarka, szarpiąc go za obrozę, i Fletcher był głuchy na rozkazy swojego pana. Jego wargi uniosły się, obnażając zęby. Warczał zaciekle, zachowywał się jak oszalały; nagle Jaydon go puścił.

Fletcher prześlizgnął po podłodze. Przez chwilę Tyler miał nadzieję, że go chwyci, palcami wbił się w jego futro. Ale pies dotarł do dywanu i złapał pewniejszy grunt. Z przerażającym warkotem dobiegającym z głębi trzewi — warkotem głośniejszym niż zwykle szczekanie, dzikszym niż zwyczajny psi pomruk — rzucił się na wiedźmę. Silne szczęki zacisnęły się na jej prawym ramieniu. Ciało Katherine, przed chwilą pochylone do przodu i trochę w lewo, teraz przechyliło się w prawą stronę i przez moment Fletcher wisiał na jej ręce opiętej łańcuchem, potrząsając dziko łbem, rozrywając jej skórę i ścięgna. Ale sekundę później pies z żalosnym piskiem przeleciał w powietrzu przez cały pokój i uderzył w ścianę.

W tej chwili, chwili wielkiego szoku i niedowierzania, Tyler poczuł, jakby jego nerwy przeszył prąd, którego źródło znajdowało się poza jego ciałem. Wszystkie włosy stanęły mu dęba. Adrenalina wprost zalała jego żyły. Przeważenie jakby wyostrzyło jego zdolność do odbierania wszelkich bodźców i dlatego zanim zdołał się odwrócić, wiedział już, że wiedźma wyparowała z salonu Burana w kłębach dymu... i że przemknęła obok niego tak blisko, iż musnęła go rąbkiem sukni, kiedy zniknęła.

Niebieskie amulety nadal kołysały się niczym wahadła.

Wyjąc z rozpacz, Tyler padł przed Fletcherem. Pies leżał na boku, popiskiwał i stanowczo zbyt szybko oddychał, bez udziału świadomości drapiąc przednimi łapami swój pysk, jakby przed chwilą wsunął go do gniazda os. Tyler ostrożnie ułożył psi pysk w swoich rękach i delikatnie pogłaskał zwierzę. Fletcher polizał jego dłonie i Tyler, który zazwyczaj tego nie lubił, teraz nie odepchnął go.

Jaydon stał w progu z niepewną miną.

— Czy on?...

— Odpierdol się! — wrzasnął Tyler.

Jaydon mimowolnie podskoczył i zacisnął usta, aż zrobiły się zupełnie białe. Jeszcze przez chwilę stał w miejscu, niezdecydowany, a potem obrócił się na piętach i wyszedł.

* * *

Lawrence został z Buranem, żeby pomóc mu w sprzątaniu. Kiedy Tyler wyszedł na powietrze, chłód wczesnego listopada uderzył go bardziej niż dotąd. Przenikał go aż do szpiku kości, wzmacniany wewnętrznym drżeniem, które zaatakowało go, kiedy stał się świadkiem okrucieństwa Jaydona. Pozwolił Fletcherowi wypić wodę ze strumienia płynącego na tyłach rynku. Pies chleptał długo, łapczywie, pospiesznie, wsuwając pod powierzchnię niemal cały nos. Patrząc na niego, Tyler poczuł nagle wielki niepokój. Fletcher nie miał żadnych widocznych ran, zadrapań ani rozcięć na skórze, był jednak wyraźnie rozdygotany. Chodził za Tylerem bardzo niepewnie, z łbem nisko przy ziemi i ogonem zwiniętym pomiędzy tylnymi łapami. Każdy przelatujący ptak sprawiał, że pies rozglądał się dookoła z szeroko rozwartymi ślepiami, a gdy przejeżdżał samochód, uskakiwał pod płot, cicho popiskując. Tyler próbował go uspokajać, jednak niewiele to pomagało.

W domu zaprowadził Fletchera na piętro, wsadził go do wanny, a potem długo namydłał psim szamponem i płukał ciepłą wodą. Fletcher, który nienawidził wody i w odwecie za tę torturę zawsze ochlapywał śmiałka, który go kąpał, oraz całą łazienkę, tym razem poddał się myciu bez żadnego sprzeciwu. Tyler był zadowolony, że Steve i Jocelyn są teraz w pracy, dzięki czemu nie musi im niczego wyjaśniać. Nie miał pojęcia, co właściwie powiedziałyby rodzicom.

Miał z nią tylko krótki kontakt, wmawiał sobie. Oczywiście, jest zdenerwowany, ale może nie jest z nim aż tak źle? Przecież nie muszę zaraz spodziewać się najgorszego.

Ale kiedy Fletcher wpełzł do swojego kosza i Tyler podał mu jego ulubionego herbatnika z puszki schowanej w kuchennej szafie, pies jedynie go powąchał i popatrzył na chłopaka dużymi, smutnymi oczami.

Przez całe popołudnie Tyler był tak roztrzęsiony, jakby bezustannie znajdował się na pograniczu ataku migreny, który jednak nie nadchodził. Niemal kompulsywnie sprawdzał aplikację HEX na telefonie. O drugiej po południu pojawiła się informacja, że Katherine stoi na wystawie antykwariatu Clougha, jednak oprócz tego wiadomość nie zawierała żadnych szczegółów. Najwyraźniej wszystkie ślady niedawnego incydentu zostały już usunięte... w każdym razie z jej świadomości, gdyż o czwartej, tuż przed powrotem rodziców do domu, kiedy Tyler powinien być na lekcji hiszpańskiego, Fletcher zaczął się trząść w zupełnie niekontrolowany sposób.

— Co się dzieje, chłopaku? — wyszeptał Tyler z nosem zanurzonym w psim futrze, wciągając zapach, który od wielu lat znał tak dobrze. — Już po wszystkim, jesteś bezpieczny. Uspokój się.

Ale Fletcher cicho popiskiwał, a Tyler czuł, jak w psim żołądku nabrzmiewa

ciężka kula, jakby zanosiło się na wielką burzę, przed którą nie można się nigdzie schronić.

Tego wieczoru Fletcher niczego nie zjadł, a jedynie leżał cichutko w salonie przy sprzęcie muzycznym Jocelyn. Jocelyn i Matt oglądali w telewizji *Idola*, Steve pochłonięty był lekturą jakiegoś magazynu, a Tyler bez żadnego celu przeglądał Internet w swoim laptopie. Fletcher ani na chwilę nie zasnął. Od czasu do czasu intensywniej węszył, a potem patrzył w przestrzeń niewidzącymi ślepiami. Kiedy z głośników telewizora rozlegał się jakiś mocniejszy dźwięk, zaczynał cicho powarkiwać.

— Co się dzieje z tym psem? — zapytała Jocelyn. — Jest napięty jak struna. Aż mi działa na nerwy.

— Och, cicho, mamó, nie mów, że Babcia zaraz tu wróci — zażartował Matt.

Tyler bał się podnieść wzrok znad ekranu laptopa.

Tej nocy leżał i gapił się w sufit. Nie mógł zapomnieć zabójczego spojrzenia oczu Jaydona, nagiego, rozszarpanego sutka i Fletchera, przelatującego przez salon Burana niczym pocisk wystrzelony z katapulty. Po raz pierwszy doświadczył sytuacji, w której wiedźma zaczęła się bronić, zamiast stać pasywnie w jakimś kącie. Czy z tego powodu sprawy wyglądały gorzej? Jakie będą konsekwencje wydarzeń, za które on, Tyler, był częściowo odpowiedzialny?

„Działają tutaj siły, nad którymi nie masz kontroli”.

„To jest jeszcze wyższy poziom przesrania”.

Minęło wiele godzin, zanim zasnął, skrajnie wyczerpany. A kiedy już zmorzył go sen, śniły mu się sowy, wielkie sowy o jedwabistych skrzydłach i złotych oczach, polujące w nocy.

* * *

Następnego ranka, w piątek, Fletcher wszedł do kuchni, skomląc i wymachując ogonem. Tyler popatrzył na niego z niedowierzaniem. Jocelyn miała dzień wolny, pomyślał więc, że będzie mogła zająć się psem. Ale kiedy Fletcher zaczął jeść ze swojej miski, Tyler pozwolił sobie na małą nadzieję... nadzieję, że z psem może jednak nie jest tak źle, jak mu się wczoraj zdawało.

O drugiej po południu Jocelyn wyszła na zakupy. Zamierzała zamknąć Fletchera w jego wybiegu, wspominała później — kiedy cała rodzina w stanie rosnącej desperacji próbowała zrekonstruować wydarzenia całego dnia, bez udziału Tylera, milczącego jak zaklęty. Ale Fletcher zrobił coś, co nigdy dotąd mu się nie zdarzyło: warknął na Jocelyn. Dlatego najpierw na niego nakrzyczała i dopiero wtedy wprowadziła go za furtkę wybiegu. Pies pozwolił na to, ciężko zwisiwszy łeb między przednimi łapami. Następnie Jocelyn poszła do miasta i nie myślała już więcej o psie, a przynajmniej nie myślała o nim, dopóki Tyler nie wrócił za

dwadzieścia piąta po południu ze szkoły i nie zauważył, że furka zamykająca psi wybieg jest szeroko otwarta, a sam wybieg i buda — puste.

Mimo że zaczynało zmierzchać, Steve i Tyler wyszli z latarkami do lasu za domem, a Matt zaczął objeżdżać rowerem sąsiedztwo, przejechał też od początku do końca całą Deep Hollow Road, gwiżdżąc i wołając psa.

— Fletcher myśli, owszem, po swojemu, jednak nigdy nie oddała się zanadto od domu, a las zna jak własne podwórze — powiedział Steve z przekonaniem. — Jeśli tam jest, znajdziemy go.

— A jeśli go nie znajdziemy? — zapytał Tyler.

Nadciągający zmrok pozwalał mu ukryć strach na bladej twarzy i drżenie ust oraz potężne poczucie winy, które zaczynało mu ciążyć na sercu. Steve nie odpowiedział na jego pytanie, ponieważ uważał, że to mało prawdopodobne. Oczywiście, że znajdą Fletchera. A jednak go nie znaleźli i wtedy także Steve zaczął się martwić. Jeszcze później, wieczorem, wyszli na poszukiwania po raz drugi, tym razem w towarzystwie Pete'a VanderMeera, jednak w nieprzeniknionej ciemności ich wysiłki były daremne.

O wpół do dziesiątej, gdy Jocelyn po raz kolejny przysięgła, że zabezpieczyła furkę wybiegu skoblem, i zaczęła rozważać straszliwą możliwość, że Fletchera przejechał samochód, a stan psychiczny Tylera pogorszył się na tyle, że można go było określić mianem wczesnego etapu hysterii, HEX umieścił w swojej aplikacji prośbę, aby ludzie wypatrywali czarno-białego owczarka border collie należącego do rodziny Grantów, zamieszkującej przy Deep Hollow Road numer 188. Fletcher oficjalnie został uznany za zaginionego.

13

Tej nocy Fletcher nie wrócił do domu, mimo że drzwi były szeroko otwarte aż do czwartej nad ranem. O pierwszym porannym brzasku przed tylnymi drzwiami pojawili się za to Pete i Mary VanderMeerowie. Mary upiekła babeczki — miły gest, chociaż dzieci wciąż spały, i jedynie Steve miał apetyt, żeby cokolwiek zjeść. Jocelyn, jeszcze w szlafroku, zapytała sąsiadów, czy napiją się kawy, jednak gdy spróbowała nalać kawę do filiżanek, rozlała jej mnóstwo na stół, tak mocno drżały jej ręce. W pełni rozbudzona, zaczęła cicho popłakiwać i zdawało się, że nigdy nie skończy.

— Nie martw się, Jocelyn — powiedziała Mary, wstając, żeby przynieść ręcznik z kuchni. — Znajdziemy go. Zobaczysz, wkrótce wróci do domu, machając ogonem jak gdyby nigdy nic. Wiesz, jakie są psy. Zawsze znajdują drogę do domu.

— Ale Fletcher jeszcze nigdy nie uciekł — westchnęła Jocelyn przez łzy.

Jeden raz wystarczy, pomyślał Steve, jednak nie odezwał się. Pogodził się już z tym, że pies jest raczej martwy, niż że błąka się gdzieś po okolicy. To koty zawsze znajdują drogę do domu. Koty to wędrowcy, gangsterzy. Jeśli z domu

ucieka pies, to nigdy nie kończy się szczęśliwie. Wierny, stary pies, który nie skrzywdziłby muchy, puszcza się do lasu w pogoń za królikiem, wpada w sidła i ginie w męczarniach. Ukochany kundelek, który nie ma zamiaru nigdzie uciekać, pewnego dnia wychodzi beztrąsko z domu i wpada pod samochód na ruchliwej ulicy. To okropne, w jaki sposób psy dokonują swego żywota. Można nawet odnieść wrażenie, że są skazane na makabrę.

Dziesięć po ósmej w ich drzwiach stanął Robert Grim. Wczesne godziny nie były jego ulubioną porą, jednak teraz sprawiał wrażenie rześkiego i rozbudzonego.

— Obejrzelśmy obrazy z kamer na Deep Hollow Road od chwili, w której Jocelyn poszła do sklepu, aż do powrotu Tylera ze szkoły. Jesteśmy pewni, że wasz pies nie uciekł ulicą, ponieważ gdyby tak się stało, zobaczylibyśmy go. Ale kamery za waszym domem również niczego nie zarejestrowały. Tyle że skierowane są na drogę, a nie na wasze podwórko.

— To oznacza, że Fletcher prawie na pewno jest w lesie, prawda? — zapytała Jocelyn z nadzieją.

— Skłaniałbym się ku temu przypuszczeniu — odparł Grim. — Muszę jednak powiedzieć także coś innego, co z pewnością doda wam otuchy: dwukrotnie przejechałem drogę numer 293, od pola golfowego na południe aż po jezioro Popolopen, i na poboczach nie dostrzegłem żadnych psich zwłok. Aplikacja pełna jest słów współczucia od ludzi, którzy mają oczy szeroko otwarte, no, a jeśli Fletcher pojawi się w mieście, od razu zobaczymy go na ekranach. Na pewno pies wkrótce wróci.

Wcale tak nie myślisz, powiedział Steve sam do siebie.

Wyszedł z Pete'em i Grimem na podwórko.

— Popatrzcie tylko. — Wyciągnął skobel z zasuw i przesunął palcami po drucianej siatce płotu. — Jocelyn mówi, że z całą pewnością wsunęła skobel na miejsce. Wierzę jej. Nie zostawia się psa na małym wybiegu, nie zamykając go... to nie miałyby sensu. A teraz spójrzcie na to.

Pchnął furtkę z całej siły, próbując zamknąć wybieg. Furtka cofnęła się, ale znieruchomiała w takiej pozycji, że wyjście z ograniczonej przestrzeni wciąż stało otworem. Steve zrobił to samo jeszcze raz, z podobnym efektem.

— Trzeba wsunąć skobel na miejsce, inaczej furtka po prostu nigdy się nie zamknie.

Pete popatrzył na niego i skinął głową.

— Uważasz więc, że ktoś otworzył wybieg od zewnątrz?

— Absolutnie.

— Ale kto?

Grim podrapał się po głowie.

— W środowy wieczór nie przysporzyłeś sobie przyjaciół w czasie posiedzenia Rady. Nie zrozum mnie źle: twój idealizm był poruszający, ale samo

wystąpienie... dość lekkomyślne.

— Chyba nie myślisz?... — zaczął Steve, jednak urwał w połowie zdania.

Mocniejszy podmuch wiatru przemknął pod okapem domu i Steve zadrżał, właściwie bez istotnego powodu.

— Nie wiem — powiedział Grim. — A może ktoś postanowił się na tobie zemścić i wymyślił, że otruje twojego psa? Ten ktoś z pewnością przyszedłby tutaj z lasu, a nie afiszowałby się, maszerując przez miasto, śledzony przez kamery.

— Nie wierzę w coś takiego. — Pete pokręcił głową.

— Tak, ale to nie jest niemożliwe — mruknął Steve. — Myślisz, że ktoś naprawdę zdobyłby się na coś takiego?

— Na pewno plan nie byłby niemożliwy do realizacji — odpowiedział mu Grim bez chwili wahania. — Jednak ta strategia wygląda mi na nadmiernie skomplikowaną. Jeśli chcesz zabić psa, wystarczy, że wejdiesz na podwórko i podsuniesz mu miskę z zatrutym żarciem. Natomiast siłowanie się z żywym zwierzęciem, porwanie, ucieczka razem z nim raczej nie mogłyby pozostać niezauważone. Szczególnie tutaj.

Dlaczego nie powiesz nam, czego się boisz? — pomyślał Steve. Czego boimy się my wszyscy, jednak nikt nie ośmielił się powiedzieć tego głośno: że jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało, ona ma z tym coś wspólnego. Niby to do niej nie pasuje, ale i tak o niej myślisz, bo w przeciwnym wypadku w ogóle by cię tutaj nie było. Na miłość boską, przecież chodzi tylko o psa.

Zdał sobie sprawę, że Grim chyba czyta w jego myślach, ponieważ szef bezpieczeństwa mocniej opatulił głowę kapturem swojego płaszcza. Przez chwilę milczał, wreszcie jakby podjął decyzję.

— Chyba powinniśmy pójść na mały spacer do lasu — powiedział. — Wciąż jest wcześnie i prawdopodobnie nie natrafimy na żadnych turystów. Jeśli pies wpadł do głębokiego rowu albo zaplątał się w drut kolczasty, być może wciąż żyje.

— Dobrze — odparł Pete, jakby czekał na tego typu rozkaz. — Założę tylko odpowiednie buty. Teren jest rozmokły.

* * *

Szybkim krokiem wspinali się wzdłuż Strumienia Filozofów, który wypływał z rezerwatu przyrody obok domu Steve'a, a potem ginął w kanale ściekowym. Gdy strumień zaczął się zwężać, wybrali ścieżkę po jego lewej stronie i skierowali się na szczyt wzniesienia. Postanowili zacząć poszukiwania na przełęczy i przeczesać stamtąd teren w kierunku południowym i zachodnim, czyli tę część Mount Misery, która należała do Black Spring. Zakładali bez słów — podpowiadał im to instynkt i podświadomość — że Fletcher na pewno wciąż przebywa na terenie Black Spring.

Ścieżka istotnie była grząska i Steve, który już na samym początku przeklął

siebie za to, że udał się na tę wyprawę w butach sportowych, szybko poczuł, że ma mokre skarpetki. Gdy wcześniej wszedł do domu, żeby założyć buty, dzieci już nie spały. Tyler był blady, wycofany i wciąż milczał. Jocelyn i Matt mieli zajęcia dopiero po południu, jednak Jocelyn powiedziała, że je odwoła, jeśli pies nie znajdzie się w lesie. Chciała, żeby wszyscy byli w domu w chwili, gdy Fletcher sam do niego wróci.

Dotarli w pobliżu dwóch poziomych skalnych wychodni, które formowały szczyt wzniesienia. Mijając tę wyższą z lewej strony, zaczęli wspinać się kamienistą ścieżką w kierunku punktu widokowego po południowej stronie. Kiedy tam stanęli, Pete potrząsnął głową i nieznacznie się zgiął.

— Nic ci nie jest? — zapytał Steve.

— Wszystko w porządku, muszę tylko złapać oddech.

Pete usiadł na skale i zapalił papierosa.

Wzgórze miało swoją bogatą historię. Dla Indian z plemienia Munsee, którzy wybudowali osiedla na zboczach niemal u jego podnóża, było świętym miejscem, gdzie chowano zmarłych. W siedemnastym wieku holenderscy traperzy wybudowali na nim posterunek obserwacyjny, jednak nie pozostało już po nim żadnych śladów. Teren stromo opadał ze wzgórza aż ku dolinie, do której w epoce lodowcowej sięgał język lodowca kontynentalnego i gdzie w późniejszych czasach swoje koryto wyrzeźbiła rzeka Hudson. Steve patrzył na ziemię uprawną, rzekę, pola i zabudowania Fort Montgomery, a dalej widział jeszcze Highland Falls, most Bear Mountain i, już w bardzo dużej odległości, Peekskill. Niemal niezmierna szarość i cisza miały w sobie coś średniowiecznego i bardzo nieprzyjemnego. Teren emanował napięciem i trudnym do zlekceważenia zagrożeniem, które zdawało się napierać ze wszystkich stron, koncentrowało się jednak na południu, za łańcuchem wzgórz, za którymi leżało Black Spring. Wręcz cuchnął przeszłością, w której pełno było przemocy i chorób, przeszłością, którą rządził strach. To tutaj przerażeni osadnicy dopuszczali się najbardziej haniebnych okropności; to tutaj wieszali czarownice. Chociaż uciekli do Nowego Świata, wciąż nosili w sobie rany, jakie zadał im Stary Świat, dlatego palili beczki ze smołą i zioła na ulicach, aby opędzać się od skażonego morowego powietrza, a swych zmarłych wyprowadzali z osiedli w złowieszczych procesjach, aby następnie palić ich na stosach pogrzebowych; jednak przez cały czas roznosili chorobę. I właśnie tutaj ich potomkowie któregoś dnia, jeden po drugim, zostali wrzuceni do rzeki i już nigdy ich nie odnaleziono.

Do wszystkiego najgorszego byłby zdolny ktoś, kto pamiętał i o tej przeszłości, i o napięciu, wciąż unoszącym się w powietrzu. Ktoś, kto wyprowadził Fletchera daleko od domu, mógłby go zarówno otruć, jak i rozbić mu łeb twardą skałą. Czy ma jakieś znaczenie, rozmyślał Steve, że minęło trzysta pięćdziesiąt lat i mamy teraz coś, co lubimy nazywać cywilizacją?

— Dalej, stary — powiedział Grim i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. — Jeśli będziemy się grzebać, nigdy nie znajdziemy twojego psa.

Steve pokiwał głową, ale odwrócił się do niego tyłem. Poczł w oczach piekące łzy i po raz pierwszy dotarł do niego, jak mocno boli go zniknięcie Fletchera. Wciąż istniała możliwość, że pies znajdzie się cały i zdrowy, chociaż wiara Steve'a w takie rozwiązanie była raczej nikła. Cholera, jednak bardzo kochał tego psa.

Zeszli niżej, do wysokości, na której zaczynał się las. Gdy teren nieco się wyrównał, Pete się zatrzymał. Na ścieżce przed nim rosły muchomorzy w kolorze zielonkawej kości słoniowej, w tak doskonałym kole, że wydawało się to nienaturalne.

— Krąg czarownic — powiedział. — Moja mama mawiała, że jeśli w takim kole rośnie więcej niż trzynaście muchomorów, znaczy to, że tańczyły w tym miejscu wiedźmy i trzeba je obejść z zamkniętymi oczami, żeby nie ściągnąć na siebie zguby. Kiedy przestałem wierzyć w wiedźmy, nadal tak robiłem, traktując to jako doskonałe ćwiczenie na zachowanie równowagi.

Zamrugął oczami, niemal niezauważalnie. Steve ukucnął i wyciągnął rękę ku muchomorowi, jednak Pete go powstrzymał.

— Uważaj, te grzyby są trujące. To kapelusze śmierci.

Steve cofnął rękę i wymamrotał:

— Jakby ktoś ustawił je tutaj... specjalnie.

— O, tak, właśnie dlatego tak rosnące grzyby nazywa się kręgami czarownic. Grzyby rosną tak szybko jak chwasty i podobny krąg może powstać w ciągu jednej nocy. Dawniej ludzie bali się takich miejsc, jednak w gruncie rzeczy powstają one w wyniku całkiem naturalnego procesu. Grzybnia rozrasta się pod ziemią we wszystkich kierunkach, a kiedy substancje odżywcze są na wyczerpaniu, wówczas pojawiają się owocniki, które wyrastają pionowo w górę. Natura to tajemnica, jednak jak w przypadku wielu tajemnic prawie zawsze istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie.

Steve zdziwił się, kiedy pojął, że ani on, ani żaden z jego towarzyszy nie zamierza minąć kręgu jako pierwszy. Wreszcie ruszył jednak Robert Grim, a za nim Pete. Żaden z mężczyzn nie zamknął oczu. Steve pomyślał, że na pewno zrobiliby to obaj, gdyby byli sami.

Pod wpływem impulsu i zakłopotania, że chwilowo uległ głupim przesądom, Steve kopnął jeden z kapeluszy śmierci i przerwał krąg. Ani Pete, ani Grim tego nie widzieli, a on szybko do nich dołączył.

Nie trzymali się cały czas szlaku, lecz weszli głębiej do lasu, przechodząc po zarośniętych skalnych wychodniach i przeskakując przez strumienie niemające nazw. Pochyły teren pokryty był gęsto rosnącymi paprociami i pustymi miseczkami żółodzi, które wcześniej stanowiły wspaniałą ucztę dla jakiegoś zwierzęcia. Od

czasu do czasu któryś z mężczyzn gwizdał lub nawoływał psa, jednak wkrótce przestali to robić. Gdyby Fletcher był w pobliżu, nie mógłby nie zareagować na hałaśliwych ludzi, przeczesujących zarośla i poszycie leśne.

To Steve niespodziewanie podjął nurtujący ich temat.

— Kiedy ostatnim razem sama wpędziła nas w kłopoty? — zapytał. Starał się, aby jego głos zabrzmiał naturalnie. — Jeżeli nie liczyć roku sześćdziesiątego siódmego, oczywiście.

— Chodzi ci o zdarzenie, którego jesteśmy pewni? — Pete uniósł głowę. — Kurczę, to było dawno, bardzo dawno. Dobry Boże, wątpię, czy żyje jeszcze któryś ze świadków. W trzydziestym drugim roku, kiedy wydarzyła się ta drastyczna historia z robotnikami, których zastrzelono na starej farmie, żadnego z nas trzech nie było jeszcze na świecie. Ale Katherine nie miała jednak z tym nic wspólnego. Ludzie zawsze prosili się o kłopoty i to się nigdy nie zmieni — to nadchodzi falami. Oczywiście, krąży też historia o sześciu oficerach z Pointu, którzy w czterdziestym piątym wrócili z Berlina i podobno znaleziono ich powieszonych na drzewach niedaleko stawu wiedźmy, tutaj, w tych lasach, ale to raczej tylko plotka. Co prawda, stary William Rothfuss, który jest już zniedołężniały i czeka na śmierć w Roseburghu, twierdzi, że oficjalna wersja, jakoby oficerowie zmarli na froncie, to tylko mydlenie oczu, a on sam był jednym z ludzi, którzy ściągali ich z tych drzew. Tyle że Rothfuss opowiada tę historię wyłącznie po kilku kolejkach bourbona w Quiet Manie, a opowieść o tym, że staw wiedźmy wciąż gdzieś tutaj jest, to całkowita bzdura. Mogę wam pokazać miejsce, w którym się znajdował, gdzie wrzucono jej ciało, jednak cały teren został zalesiony, kiedy las Black Rock w dziewiętnastym wieku stał się centrum przemysłu drzewnego. Staw jest jedynie bardzo dawnym wspomnieniem.

— Nigdy nie wierz alkoholikowi — powiedział Grim. — Chyba że płaci sam za siebie.

— Oczywiście, liczba samobójstw jest tutaj nienaturalnie wysoka. Zawsze tak było. Zazwyczaj na to zjawisko wpływa społeczna izolacja, depresja i długotrwały stres. Tak jak w Japonii, gdzie ludzie pracują tak ciężko, że w pewnym momencie coś w nich pęka. Tutaj jest tak samo. Myślę, że u nas da się żyć tylko dlatego, że Katherine jest w pewnej mierze przewidywalna. Już od bardzo dawna sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. W sześćdziesiątym siódmym roku miałem zaledwie dwadzieścia lat, a ty, Robercie... kiedy się urodziłeś?

— Siedemnastego sierpnia 1955 roku, tego samego dnia, w którym huragan Diane zalał dolinę rzeki Hudson — odparł Grim. — Mówią, że to rzeka mnie wypłula.

— Nie zdziwiłbym się, stary dziadku. Ale widzisz, nawet ty byłeś wtedy dzieckiem. Wiedźma zachowuje się stabilnie i to jest nasz ratunek. Ci, którzy

zaszyli jej oczy — Bóg jeden wie, jak tego dokonali — wyświadczyli nam wielką przysługę.

Pete przez chwilę stał bez ruchu, z rękami opartymi na biodrach, i uważnie się rozglądał. Roślinność dookoła była już znacznie gęstsza niż wcześniej. Drzewa ograniczały dopływ światła słonecznego, a przechodzenie ponad ich połamanymi kikutami, pokrytymi gnijącą korą, stawało się coraz bardziej męczące.

Teraz inicjatywę w rozmowie przejął Grim.

— Ostatni przypadek, kiedy naprawdę odeszła od swojego utrwalonego zachowania, wydarzył się w 1887 roku, kiedy w lesie zaginęła Eliza Hoffman. Nikt nie wiedział, co ją do tego doprowadziło, jednak wściekłość ludzi, którą wzbudziła, spowodowała, że Point postanowił powołać do życia HEX.

— A co tak naprawdę się wydarzyło? — zapytał Steve, który znał tę historię tylko pobieżnie.

— Eliza Hoffman pochodziła z prominentnej rodziny z Nowego Jorku, która całkiem niedawno przeprowadziła się do Black Spring — powiedział Pete. — Słyszałem tę opowieść od mojego dziadka, który znał ją z kolei od swojego ojca. Mój pradziadek był właścicielem jednej z tych starych bielarni, które prosperowały w Black Spring w osiemnastym i dziewiętnastym wieku dzięki czystej wodzie źródlanej spływającej ze wzgórz. Ale już około 1887 roku wybielanie tkanin stało się zajęciem wymierającym. Po tym, jak wprowadzono surowe przepisy dotyczące ochrony środowiska, a w miastach zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu pralnie chemiczne i samoobsługowe, tradycyjne bielarnie musiały się zamykać. Mogę jedynie powiedzieć, że interes starego VanderMeera też zaczął podupadać. A wracając do tematu, pewnego dnia Hoffmanowie podczas spaceru w lesie stracili swoją małą dziewczynkę z oczu. Nigdy więcej już nikt jej nie widział. Biedne dziecko nie miało nawet ośmiu lat. Szukano jej z psami tropiącymi, przeczesywano jezioro Popolopen, ale bez rezultatu.

— Uznano więc, że dziecko ktoś porwał? — domyślił się Steve.

— Właśnie. Jednak ludzie z Black Spring mieli na ten temat swoje zdanie, zupełnie inne. Przez trzy dni woda w Strumieniu Filozofów miała ciemnoczerwony kolor krwi, a na jej powierzchni pływały niezliczone martwe gronostaje. Utopiły się całą gromadą bez żadnego wytłumaczalnego powodu. Przez wiele dni woda nie nadawała się do picia. Moi dziadkowie musieli na tydzień zamknąć bielarnię, co wcale dobrze nie wpłynęło na interesy. Najdziwniejsze jednak było to, że krew w strumieniu wcale nie pochodziła od gronostajów, ponieważ one wszystkie po prostu utonęły. Dziadkowie twierdzili, że to sama ziemia nagle zaczęła krwawić.

Steve nie wiedział, co sądzić o tej opowieści. Nie po raz pierwszy dochodził do wniosku, że chociaż życie wśród zjawisk nadprzyrodzonych stosunkowo łatwo jest zaakceptować, nie oznacza to wcale, że trzeba przyjąć za wiarygodne kolejne nadzwyczajne opowieści... Po prostu nie chciało mu się w nie wierzyć.

— Nie wygląda to jednak na sprawkę Katherine — powiedział w końcu.

— I to jest w tym najdziwniejsze. Nikt nie wie, dlaczego coś takiego się wydarzyło. I nikt nie wie, co się stało z dziewczynką.

— Ale... gronostaje?

— Kilka z nich wciąż trzymamy w formalinie — odezwał się Robert Grim. — Kiedy je palono, ktoś wpadł na pomysł, żeby parę truchwał zachować. Możesz wpaść do nas i na nie popatrzeć, jeśli chcesz, chociaż to nie jest żaden nadzwyczajny widok. Po prostu stare, martwe zwierzęta.

— I nic podobnego już nigdy więcej się nie wydarzyło?

— Nie. — Pete pokręcił głową. — I może zamieciono by to pod dywan, gdyby nie fakt, że Hoffman był w Nowym Jorku uznanym sędzią i że sprawa wywołała spore zamieszanie. „New York Times” opublikował artykuł pod sugestywnym tytułem „Czy Mount Misery jest nawiedzona?”. O ile mi wiadomo, był to jedyny wypadek, gdy któraś z najważniejszych gazet pisała, co się u nas dzieje. W artykule próbowano nawet połączyć zniknięcie małej Elizy z, cytuję, „serią zniknięć ludzi w lasach wokół Black Rock w roku 1713 i 1665, które mają rzekomo jakiś związek z wiedźmą”. Kiedy Point zwęszył zagrożenie, postanowił podjąć działania.

— I tak powstał HEX — powiedział Steve.

— Dokładnie tak. Jego powołanie nie było trudne, gdyż od 1871 roku Black Spring rządziło się samodzielnie. Wcześniej było zaledwie dzielnicą Highland Mills, ale i tak rada miejska spotykała się w Black Spring. Burmistrz funkcjonował jak człowiek z rozdwojeniem jaźni. Co tydzień radni przybywali z Highland Mills, z Central Valley i z Harriman, nieświadomi sytuacji, tymczasem Katherine nie adaptowała się do częstych zmian granic administracyjnych. Klątwa dotyczyła tylko nas. Point przyznał więc Black Spring autonomię i powołał do życia HEX jako instytucję, która nie powinna rzucać się w oczy, a która miała mieszkańcom pomagać w specyficznym codziennym życiu. Ludzie z Pointu wciąż kontrolują, kto do nas przyjeżdża i kto opuszcza granice miasta, trzymają łapę na pieniądzach, ale poza tym nie brudzą sobie rąk naszymi sprawami. I trudno ich za to winić. Poza tym cholernie się boją.

Steve przeczeszał palcami stertę suchych liści.

— Czego? Że w końcu świat się o nas dowie?

— Boją się tego, że coś takiego w ogóle jest możliwe i że nie mogą wysłać wojska, żeby raz na zawsze zapanować nad sytuacją.

— Jezu — jęknął Pete.

Zatrzymał się tak nagle, że Steve niemal na niego wpadł.

Trafili na trochę jaśniejsze miejsce w lesie. Po prawej stronie krętej ścieżki trzy cienkie, martwe, pozbawione liści drzewa sprawiały, że z lasu można było dostrzec listopadowe niebo. Mogły to być brzozy, jednak ich kora była tak stara

i zniszczona, że odgadnięcie gatunku nastęczało sporych trudności. Martwe drzewa chwiały się na wietrze, cicho pojękując, a ich nagie gałęzie wyglądały na tle stalowoszarego nieba jak zastygłe pioruny. Pete patrzył do góry i Steve powędrował za jego spojrzeniem. Jakies trzydzieści metrów nad ziemią, na jednej z najwyższych gałęzi, wisiał Fletcher.

Owczarek miał przednie łapy przymocowane do rozchodzących się konarów, jego sierść sterczała, łeb ciężko opadał w dół. Na pewno nie był okaleczony, na pewno nie był oszpecony i właściwie sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł otworzyć ślepią i zaszczekać. Jednak wystarczyło popatrzeć na niego chwilę dłużej, żeby zrozumieć, że nic takiego już nigdy nie nastąpi. Ślepią Fletchera były zmrużone i szkliste, język sterczał mu z pyska, blady i jakby wysuszony. Mimo że było zimno i znajdował się wysoko, już chodziły po nim mrówki.

— Czy to jest Fletcher? — zapytał Grim, chociaż znał już odpowiedź.

— Tak, to na pewno on.

Steve westchnął. Zaczął się zastanawiać, co powie w domu. Fletcher był częścią rodziny. Wszyscy szaleli na jego punkcie — nie tylko on i Jocelyn, ale także chłopcy. Pete poklepał go po plecach; ten prosty gest pocieszenia dodał Steve'owi niewiele otuchy w chwili emocjonalnego rozchwiania.

— Tego nie zrobił żaden prymitywny dręczyciel zwierząt — powiedział Grim. — Żaden człowiek nie wszedłby tak wysoko na drzewo i nie ryzykowałby własnego życia, żeby powiesić psa.

Później przez wiele długich minut trzech mężczyźni milczeli. Znajdowali się w odległości zaledwie pięciu minut marszu od uczęszczanych dróg, jednak w lesie panowała absolutna cisza.

— Czy istnieje chociaż niewielka możliwość, że twój pies wszedł na drzewo i sam zrobił sobie krzywdę?

Steve skrzywił się.

— Skądże. Psy nie wspinają się na wysokie drzewa. I popatrz... popatrz tylko na to drzewo. Czuję tutaj coś bardzo złego. Ty też to rozpoznajesz, prawda?

Była to prawda, wszyscy trzech czuli to samo. Coś straszliwie złego czaiło się w tym miejscu, kojarzyło się ono wyłącznie ze śmiercią. Jako lekarz Steve wiedział, że powinien reagować chłodno i racjonalnie, jednak nie czuł się teraz do tego zdolny. Nagłe pojawienie się trzech rosnących blisko siebie martwych drzew w środku niemal dziewiczego lasu nie wydawało mu się dziełem przypadku, przypadkiem nie mogło być ani ich wzajemne położenie, ani to, że Fletcher wybrał sobie to szczególne miejsce, żeby umrzeć. Dookoła rosły małe jarzęby, jednak nie rozpraszały one poczucia skrytego mroku, otaczającego martwe drzewa, jakby wciąż zawierały w sobie resztki ostatniej nocy. Nawet powietrze było w tym miejscu nieruchome, zimniejsze niż gdzie indziej, jakby zjełczałe. Steve natychmiast pojął, że Fletchera spotkał zły koniec, że w jego śmierci nie było nic

dobrego, nie było w niej ani odrobiny spokoju.

Może odbyłoby się to inaczej, gdybyśmy minęli te kręgi czarownic z zamkniętymi oczami? — pomyślał. Może wtedy Fletcher by nie zginął?

Była to głupia myśl, wielka brednia, zawierała w sobie jakiś szalony przesąd, któremu wcale nie chciał się poddać... ale to także była prawda.

Kiedy przestałem wierzyć w czarownice, nadal tak robiłem, traktując to jako doskonale ćwiczenie na zachowanie równowagi.

— Bardzo mi się to nie podoba, Robert — powiedział Pete.

— Możesz uznać, że jestem szalony — odparł Grim — ale absolutnie nie wygląda mi na to, że pies sam wlaźł na to drzewo i zginął śmiercią samobójczą. Przecież on nie dałby rady wspiąć się tak wysoko, a potem się powiesić.

Steve'a ogarnął przenikliwy chłód; był tak intensywny, że wdarł mu się aż do płuc i utrudnił oddychanie. Oczyma wyobraźni nagle zobaczył Fletchera z wielkimi przerażonymi ślepiami, wspinającego się po przegniłej korze suchego drzewa, poganianego z ziemi szeptami jakiejś zgarbionej kobiety. W druidycznej symetrii z dwóch pozostałych martwych drzew zwisały na długich szarych linach ciała dwóch synów Steve'a, Matta i Tylera. Ich oczy były otwarte i wpatrywały się w niego oskarżycielsko matowymi rogówkami w kolorze kości słoniowej; te oczy przywiodły mu na myśl muchomory w kręgu czarownicy, kręgu, który zniszczył...

Gwałtownie odwrócił się, dłonie oparł na kolanach. Zacisnął oczy tak mocno, że po chwili zaczęło mu się kręcić w głowie. Kiedy otworzył je znowu, zobaczył przed sobą białe plamki, lecz dzięki nim pozbył się przynajmniej straszliwych wizji, jakie jeszcze przed momentem podsuwał mu umysł.

— Dobrze się czujesz? — zapytał go Pete.

Grim telefonował. Steve'owi nie spodobał się wyraz jego twarzy. Nie było na niej ani odrobiny zwykłego, energicznego cynizmu, który gościł na niej praktycznie bez przerwy.

— Szczerze mówiąc, nieszczególnie — odparł. — Chcę stąd już spierdalać.

— Wracajmy — zgodził się Pete. — Rey Darrel ma drabinę malarską, która powinna wystarczyć do ściągnięcia psa na ziemię. Biedak zasługuje przecież na przyzwoity pogrzeb.

* * *

Gdy Steve wyszedł z lasu po raz drugi, teraz z martwym Fletcherem owiniętym w prześcieradło (nie potrafił umieścić go w worku na śmieci), był już w miarę spokojny i mógł dość trzeźwo zastanowić się nad sytuacją. Atmosfera napięcia i dziwne poczucie ponadczasowości, które miał tam, w lesie, zdawały się pochodzić jakby ze snu. Teraz mógł się zająć bardziej przyziemnymi myślami: przyszło mu do głowy, że są w życiu chwile, które zapamiętuje się na wieczność, i prawie zawsze dotyczą one samego życia lub śmierci. Właśnie taką chwilę

przeżywał, wchodząc na podwórko przez tylną furtkę z dużym białym pakunkiem w ramionach i potykając się pod ciężarem martwego psa. Troje pozostałych członków rodziny wybiegło mu naprzeciw, wszyscy we łzach. Była to chwila, która bardzo mocno uderzała w nich wszystkich i musiała zostać zapamiętana do końca życia. Nie mieli szans, żeby o niej zapomnieć... gdyż zapomnienie oznaczałoby akceptację tego, co się wydarzyło, i oznaczałoby wykonanie wielkiego kroku ku momentowi, w którym ból zniknąłby i powróciłyby do nich wyłącznie miłe wspomnienia.

Urządzili symboliczny ponury pogrzeb i złożyli psa w ziemi obok klombu, na którym latem zawsze rosły wiciokrzewy, tuż za zagrodą dla koni, która wyznaczała granicę ich posiadłości, opierając się o Strumień Filozofów. Jocelyn stwierdziła, że Fletcher zawsze lubił to miejsce. Wcześniej wpadł do nich weterynarz. Grim nalegał, żeby przeprowadzić oficjalną autopsję, Steve wymógł jednak na nim, aby pozostawił psa rodzinie. Według weterynarza sprawa była oczywista, a wszystkiego dowodziły ślady na psim futrze: kiedy Fletcher zawisł na szyi, lina odcięła mu dopływ tlenu do mózgu i zwierzę zadławiło się na śmierć. Nic więcej. Później Jocelyn powiedziała jednak mężowi, że kiedy odprowadzała weterynarza do kuchni, żeby mógł umyć ręce, zobaczyła, jak wykonuje gest rogów — uniósł wyciągnięty w górę mały palec i palec wskazujący; gest ten jakoby chronił przed „złym okiem”.

W końcu nadeszła chwila, kiedy rodzina została sama. Dopiero wówczas wszyscy czworo tak naprawdę pogrążyli się w żałobie. Opuścili Fletchera, opatulonego w prześcieradło, do świeżo wykopanego dołu. Wspominali psa. Matt i Jocelyn głośno płakali, przytuleni do siebie. Tyler stał obok nich, wciąż z wyrazem niedowierzania na twarzy, pogrążony we własnych myślach. Mówił bardzo niewiele. Steve zaczynał się o niego martwić. Tyler wszystkie niepowodzenia przeżywał, zamykając się w sobie, zwykle jednak wykazywał jakiś kontakt z rzeczywistością, a ten kontakt trudno było teraz zauważyć.

Rzucili do grobu kwiaty, następnie zasypali psa ziemią. Steve przypomniał sobie coś, co powiedział Delarosom na temat dzieci bawiących się w pogrzeby w czasie epidemii czarnej ospy w 1654 roku. „Dzieci kopały doły poza murami fortu, a następnie wnosili do nich w ponurych procesjach skrzynie z owocami. Ich rodzice uznali, że dzieci zostały opętane, a zabawę uznano za zły omen”.

Odegnął od siebie tę myśl. Jocelyn zabrała chłopców do domu, a on poszedł do stajni, żeby zostawić tam łopatę. Pablo i Nike parsknęły niespokojnie, kiedy znalazł się w środku — cicho i z dziwną nostalgią, jak to zwykle czynią konie. Przytulił się na moment do każdego z nich i zostawił je same.

* * *

Jest kilka minut po czwartej, kiedy Robert Grim wraca ze złymi

wiadomościami, niczym prorok zagłady ze starożytnej tragedii greckiej. Tyle że jego złe wiadomości mają formę krótkiego nagrania wideo.

— To jest jedyny fragment, jaki zdołaliśmy wyodrębnić ze wszystkich kamer dookoła Mount Misery — mówi. — Ale mówi właściwie wszystko. Myślę, że powinniście go zobaczyć.

Rozsiadają się wokół stolika, na którym Grim stawia macbooka i naciska przycisk odtwarzania. Początkowo trudno jest zidentyfikować obraz; wszyscy mają wrażenie, jakby spoglądali na rozmazany negatyw fotograficzny. Ale po chwili Steve zdaje sobie sprawę, że spogląda na obrazy zarejestrowane w podczerwieni. Na obiektywie kamery widać krople wody, cokolwiek rozmazujące zarejestrowane nagranie, jednak w dalszej perspektywie dostrzega drzewa i coś, co na pewno jest wijącą się pomiędzy nimi ścieżką. W dolnym rogu ekranu widać cyfry i litery: 02.11.2012, godz. 08.57. Wczoraj, dociera do niego.

To, co nagranie ujawnia po chwili, jest tak straszne, że jego ciało przenika mróz. Wszyscy są zaskoczeni, jednak najbardziej Tyler: widok niemal odrzuca go od ekranu, gryzie palce, a w jego oczach pojawiają się łzy. Wideo pokazuje dwie postacie, białawe i błyszczące w nocnej scenerii: wiedźmę sunącą przez las niczym duch na balu maskowym i Fletchera u jej boku. Pies węszy, wysuwając łeb to w lewo, to w prawo, a co jakiś czas nawet macha ogonem. Steve zaczyna sobie zdawać sprawę, dlaczego to z pozoru niewinne nagranie jest tak przerażające — nikt dotąd nie widział, żeby Katherine zachowywała się z taką pewnością siebie. Aż do teraz, do chwili, w której idzie w nocy przez las z Fletcherem u boku, prowadząc go na spotkanie śmierci.

— To jest nadzwyczaj niepokojące, chyba rozumiecie? — odzywa się Grim. — Skonsultowałem się z Radą i spróbujemy to nagranie zataić przed mieszkańcami, żeby nie wzbudzać wśród ludzi zbędnego niepokoju, jesteśmy jednak mocno skonsternowani. To jest coś zupełnie nowego. Czy z Fletcherem stało się coś, co mogło spowodować tę sytuację? Jeśli tak, muszę to wiedzieć.

Jocelyn i Steve powoli pokręcili przecząco głowami.

— Z reguły strasznie się jej bał — mówi Jocelyn, głęboko wstrząśnięta. — A tutaj... popatrz tylko, jak on przy niej idzie.

— To wszystko przez was! — niespodziewanie wybucha Matt. — Nic jej nie daliście! — Gdy Steve spogląda na niego ze zdumieniem, dodaje: — Przypomnijcie sobie stos, na którym płonęła wiedźma... niczego jej nie rzuciliście, nic nie chcieliście jej dać, no to sobie zabrała Fletchera!

— To nie ma żadnego związku z Fletcherem — odpowiada mu Steve. — Jak coś takiego mogło ci w ogóle przyjść do głowy?

— Co wy właściwie wiecie? — Matt płacze i odsuwa się od matki.

Steve dostrzega przygnębienie na twarzy Grima i myśli: To jest dopiero początek. Przez najbliższe dni usłyszymy jeszcze wiele dziwnych historii na

temat śmierci Fletchera. Ludziom łatwo będzie wskazywać palcem winnych, poszukiwać kozła ofiarnego. Jeśli ta historia przedostanie się do publicznej wiadomości, będziemy w głębokim gównie. Wiesz o tym, prawda?

— Tyler? Czy może wiadomo ci cokolwiek o jakimś nadzwyczajnym zdarzeniu z udziałem Fletchera?

Tyler gwałtownie potrząsa głową, jego usta drżą.

— Nie natknęliście się przypadkiem na wiedźmę, kiedy wyprowadzałeś Fletchera na spacer?

— Nie.

Steve patrzy na syna badawczo i dodaje:

— Jeśli cokolwiek się stało, coś niezwykłego, powiedz nam teraz, dobrze? Przecież chodzi o nasze bezpieczeństwo.

— Twój ojciec ma rację — wtóruje mu Grim. — Może narobiłeś z kolegami jakichś nowych kłopotów, jak z tym waszym wideo? Obiecuję, niczego nie powiem Radzie. Oczywiście nigdy nie chcieliście zrobić nic złego. Ale muszę o wszystkim wiedzieć. Wokół nas dzieje się coś bardzo poważnego, rozumiesz to?

Oczy Tylera są pełne łez, jego usta drżą jeszcze bardziej i być może, tylko być może, został już doprowadzony do ostateczności i za chwilę o wszystkim opowie — ale nagle rozlega się potężny grzmot — który sprawia, że wszystkie inne wydarzenia odchodzą w zapomnienie. Steve ma jedynie tyle czasu, żeby odwrócić głowę w kierunku źródła hałasu — ma wrażenie, że to ciężkie drzewo przewróciło się na ziemię — i widzi przez wysokie okna jadalni coś, czego jego umysł nie jest w stanie w pełni pojąć. Widzi konia kłusującego w jego kierunku. Widzi jego napięte mięśnie. Widzi pianę na jego pysku, widzi wytrzeszczone ślepia, widzi końskie kopyta, które młócą powietrze. Okno pęka niczym eksplodujący kryształ i przez ścianę szklanych odłamków do jadalni wbiega Pablo. Koń uderza w stolik, który w jednej chwili się rozpada, a jego nogi odlatują na boki. Końskie kopyta także nie wytrzymują uderzenia i zwierzę przewraca się na bok, oszalałe ze strachu.

Rodzina Grantów i Robert Grim rzucają się do ucieczki, jakby szukali schronienia przed bombardowaniem. Nikt nie krzyczy; gwałtowność, z jaką w jadalni pojawia się koń, jakby wysysa z pomieszczenia cały tlen. Ale po chwili zwierzę wstaje, zgrabne, nierealne, niszczy żyrandol i wtedy Jocelyn z Mattem rzucają się w jego kierunku w spontanicznej próbie uspokojenia ogiera. Jednak nie tylko Pablo wybiegł ze stajni: w tym samym momencie oszalała w ślepej panice Nike wybiega z podwórza przez tylną bramę, obiega zabudowania i zaczyna galopować Deep Hollow Road w kierunku zachodnim. To czysty przypadek, że na ulicy nie ma ruchu — szczęśliwy dla samochodów i szczęśliwy dla Nike. Jej ruchy rejestruje kilka kamer obserwacyjnych: pierwsza niedaleko parkingu, gdzie kończy się Strumień Filozofów, a druga na rogu Patton Street. Tymczasem w domu

Jocelyn i Matt w końcu uspokajają zdezorientowanego ogiera. Zwierzę prycha i kopie, rozbijając krzesła, jednak mocny głos Jocelyn w końcu do niego dociera. Steve pomaga Robertowi Grimowi podnieść się na nogi. Jest przekonany, że gdyby jego serce mogło bić szybciej, rozerwałoby klatkę piersiową.

Tymczasem z okolicznych domów wybiegają ludzie. VanderMeerowie — Pete, Mary i Lawrence — spieszą do Grantów, podobnie jak Wilsonowie z drugiej strony ulicy i wielu innych. Kamery HEX-a pokazują, że najpierw dom, a potem podwórze za domem Grantów przyciągają ich niczym magnes. W centrum kontroli Warren Castillo i Claire Hammer patrzą na ekrany monitorów z otwartymi ustami. Obserwują, jak Steve, Tyler i Grim wychodzą z domu, aby się zorientować, co aż tak mocno wystraszyło konie. Claire szybko przełącza obraz z kolejnej kamery i nagle ma ochotę zwymiotować.

Na ekranie widać małą grupę ludzi zgromadzonych na piaszczystym brzegu Strumienia Filozofów.

Panuje mrok, jednak w wodzie można wyraźnie dostrzec krwawe plamy.

14

Tej niedzieli srebrny dzwonek nad drzwiami Griselda's Butchery & Delicacies nie przestawał dzwonić. Zazwyczaj w niedziele Griselda miała zamknięte, dzisiaj jednak postanowiła zrobić coś dobrego dla lokalnej społeczności i otworzyła restaurację dla zaniepokojonych mieszkańców, którzy po zakończeniu nabożeństwa potrzebowali jakiegoś miejsca, gdzie mogliby wspólnie porozmawiać o tym, co ostatnio działo się w mieście.

Był słoneczny, jesienny dzień, orzeźwiająco chłodny, a blade, lecz intensywne promienie słońca odbijały się w ulicznych kałużach. A jednak Black Spring pogrążone było w posępnym nastroju, który odbijał się na ludzkich twarzach. Ludzie nie zbliżali się tego ranka do wzgórz, gdyż z porastających je lasów dobiegał ohydny odór drzew i wody, wiszący ciężko w powietrzu. W oczach Griseldy wszyscy wyglądali, jakby przed czymś uciekali, a kierowali się jedynie do kościoła metodystów albo do kościoła katolickiego; poganiały ich zresztą dźwięki dzwonów i wielka potrzeba dzielenia się własnym strachem z innymi. Przepisy stanowczo zakazywały zarówno pastorowi, jak i księdzu intonowania modlitw związanych z Katherine (przecież wśród wiernych mogliby się znaleźć ludzie z zewnątrz), jednak duchowni obchodzili zakazy, zachęcając parafian, aby nie poddawali się „terrorowi nocy” i aby „w pełni zaufali Bogu”. Tak przynajmniej powiedziała Griseldzie pani Talbot, jedna z pierwszych klientek, bo przecież Griselda i Bóg nie nadawali na tych samych falach. Griselda spędziła cały poranek w kuchni, przygotowując się do obsłużenia licznych klientów w porze lunchu. Według pani Talbot, kiedy wielebny Newman zaintonował modlitwę dziękczynną, ktoś z członków chóru kościelnego zerwał się z ławki i zawołał gromkim głosem:

„To są bzdury! Dlaczego nie powiesz nam, co się tutaj naprawdę dzieje i jak powinniśmy reagować?”. Głos po chwili się załamał i mężczyzna zaczął łkać, a ludzie wymienili jedynie zaniepokojone spojrzenia, zachowując własne przemyślenia dla siebie.

Jednak u Griseldy języki bardziej się im rozwiązywały. Krwawiący strumień i śmierć psa były tematami dnia, jednak nawet w napiętej atmosferze mieszkańcy Black Spring nie zapominali, co przeszła ostatnio biedna żona rzeźnika, i wszyscy kupowali od niej mięso. Kupowali i jedli. Można było odnieść wrażenie, że w ten sposób do niej przemawiają: „Daj nam swojego mięsa, Griseldo, i pozwól nam jeść; daj nam mięsa, a my poniesiemy twój krzyż razem z tobą”.

— Kto, do diabła, tak mocno wstrząsnął Katherine? — zapytała głośno pani Strauss, przeżuwając kanapkę z ciepłą baraniną.

Niektórzy z klientów prowadzili dialogi w ciszy, co jakiś czas wypowiadając szeptem nazwiska. Kiedy Griselda przechodziła obok starego pana Piersona, ten chwycił ją drobną, lecz silną dłońią:

— To ten cały cholerny Internet — powiedział i ściągnął zębami klops z widelca. — Zawsze ci mówiłem: nic dobrego z niego nie wyniknie. Co zrobimy, kiedy następnym razem nie zginie pies, ale ktoś z nas?

Kilkoro starszych ludzi pokiwało głowami, zgadzając się z nim, jednak rozległy się również szydercze śmiechy. Griselda podała starszemu mężczyźnie papierową serwetkę (wcześniej nieświadomie starła sobie nią pot z czoła), ponieważ z ust ściekała mu gęsta struga sosu.

Pani Schaeffer, żona chirurga, czekała już przy kontuarze.

— Och, kochana — powiedziała — tak ci trudno w życiu. Ale jesteś bardzo dzielna. Podaj mi plaster pasztetu Holsta, ale taki porządny, gruby plaster.

Zasadniczo Griselda pogardzała panią Schaeffer i poświęcała jej minimum uwagi, ale teraz spostrzegła, że kobieta zaciska dłoń na małej torebce tak mocno, że aż zbiełały jej knykcie. Gdy podawała Griseldzie pieniądze, jej ręka drżała. Biedaczka była śmiertelnie przerażona.

„Daj nam mięsa, Griseldo, i pozwól nam jeść; daj nam mięsa, a przebrniemy przez to wszystko razem...”

Griselda również nie najlepiej się czuła, a wszyscy ci ludzie w jej restauracji dodatkowo ją denerwowali. Minęły zaledwie cztery dni od okropnych chwil z Arthurem Rothem i jeszcze nie doszła do siebie po tym, co przeżyła. A teraz rozpoczynały się kolejne problemy.

Odbyło się kryzysowe posiedzenie Rady. Kiedy ostatni raz widziała się z Coltonem Mathersem, uściskał jej dłoń i powiedział łagodnie, lecz dobitnie:

— Uspokój się, Griseldo. Postąpiłaś dobrze. To była naturalna śmierć. Nikt nigdy nie musi się o niczym dowiedzieć.

Tym razem spotkanie odbyło się na brzegu Strumienia Filozofów; zebrała się

tam cała Rada i dodatkowo kilku członków HEX-a. Wpatrywali się w milczeniu w strumień, bojąc się wykonać chociażby jeden krok zbyt blisko przeklętej wody. Krew w kilku miejscach zwilżyła piasek, pozostawiając na nim ślady podobne do tych, jakie zostawia czerwony atrament. Było jej zbyt mało, żeby nasycić całą wodę, ale na brzegach powstało już wiele rdzawych śladów. Zjawisko to, nienaturalne i bluźniercze, miało w sobie mroczny magnetyzm, a jego widok przyprawiał Griseldę o drżenie.

Co takiego się wydarzyło, że Katherine w tak dobitny sposób wyraziła swoje niezadowolenie? Podobnie jak wielu mieszkańców Black Spring, Griselda była owładnięta obawą, że to ona sama była źródłem tej reakcji. Różnica polegała na tym, że w przypadku Griseldy było to prawdą. Ostatniej nocy nie potrafiła zasnąć, rzucała się i przewracała na łóżku. Prześcieradło uporczywie wciskało się jej pomiędzy pośladki, wciąż czuła przenikliwy smród własnego potu. Była coraz bardziej przekonana, że zawiodła, że Katherine osobiście ją wybrała i w każdej chwili może zjawić się w jej sypialni z otwartymi, białymi jak mleko oczyma, w ciszy wskazując na nią palcem...

Nawet teraz, gdy w jasnym świetle dnia czyściła ekspres do kawy, ta myśl przyprawiała ją o mdłości.

Z ulicy dobiegły jakieś hałasy i szepty w restauracji zamarły. Griselda wyjrzała na zewnątrz. Przed cmentarzem mała grupa ludzi tłoczyła się dookoła Johna Blancharda, hodowcy owiec, który jedną ręką wykonywał jakieś szerokie gesty, a w drugiej trzymał mały płaski komputer, powszechnie zwany tabletem. Griselda przerzuciła przez ramię ręcznik do naczyń i stanęła w drzwiach. Nad jej głową zadźwięczał mały dzwoneczek.

Nie do wiary, ale owczarz głosił kazanie:

— Potępienie! Potępienie! Czyż nie ostrzegałem przed nim was wszystkich, kiedy światła pojawiły się na nocnym niebie, czyż nie jest prawdą, że wiedźma zabiła teraz psa doktora? Ostrzegałem was, ale wy mnie nie słuchaliście. Czyż nie jest prawdą, że sowy latały w środku dnia, że ziemia zaczęła krwawić i że konie doktora oszalały?

— Tak! — zawtórował mu jeden spośród słuchaczy. — Czy to wszystko nie jest winą tego doktora Granta i bajerów, które on opowiada?

— Nie — odparował mu John Blanchard — ponieważ nie on sam poniesie ciężar gniewu wiedźmy. Moje owce są niespokojne od dnia, w którym na świat przyszło jagnię o dwóch głowach. Nie chcą jeść. Czyż Pan nie powiedział Jeremiaszowi, że ludzie zostaną ukarani, ponieważ ich przodkowie Go opuścili? Czyż nie powiedział, że kara będzie miała cztery oblicza? Oblicza zarazy, miecza, głodu i... ach... aha... — Owczarz dotknął palcem ekranu swojego tabletu. Jednak urządzenie nie zareagowało na dotyk, kilkakrotnie więc uderzył w nie z wielką irytacją, aż wreszcie krzyknął: — Wypnania!

Liza Belt, krawcowa, podeszła do Griseldy i powiedziała:

— Skoro Stary Testament opublikowano już także jako e-booka, chyba osobiście zjem Biblię rodzinną mojej matki. Dobry Boże, czy to jest John Blanchard?

— Tak — odparła Griselda. — I ma swoich wyznawców.

Głos Blancharda był energiczny i donośny, a fakt, że mówił o zagładzie z lokalnym akcentem, czynił jego wystąpienie raczej osobliwym niż łzawym i kiepskim.

— Wyznajcie swoje grzechy i chwalcie Pana, dobrzy ludzie, to jest jedyny sposób, aby ustrzec się przed złym okiem. Cudzołożnicy, wystąpcie! Homoseksualiści, wystąpcie! Pedofile, przyjezdni, bratobójcy, wystąpcie do przodu i wyznajcie wasze grzechy! Zaśpiewajmy razem. — Znów kilkakrotnie stuknął w ekran tabletu i w końcu stracił cierpliwość. — Czy ktoś wie, jak działa to pieprzone urządzenie?

— Musisz kupić porządny sprzęt, a nie śmieć z wyprzedaży! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Dostałem to w prezencie za wykupienie subskrypcji „Autoweeka” — odparł Blanchard z roztargnieniem. — O, mam.

Skierował ekran tabletu w stronę wyznawców. Były na nim widoczne słowa hymnu zamieszczonego na YouTube w wersji karaoke, a z małego głośnika rozległa się przenikliwa muzyka organowa. Ponieważ jednak Blanchard znajdował się na powietrzu i w sporej odległości od punktu wi-fi, pomiędzy obrazem a dźwiękiem było opóźnienie; słowa na ekranie ukazywały się zbyt późno i ludzie, którzy śpiewali hymn — a było ich całkiem sporo — nie byli w stanie nadażyć za melodią.

Jeśli twój Pan to słyszy, pomyślała Griselda, pewnie teraz żałuje, że podjął się stworzenia świata.

Nie minęło dużo czasu i Blanchard oraz jego zgromadzenie zostali przepędzeni przez personel HEX-a. W mieście było jednak niespokojnie przez całe popołudnie. O siedemnastej trzydzieści, kiedy ostatni klienci wyszli z restauracji, Griselda Holst zawiesiła wreszcie na drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE. Czowała wielkie zmęczenie i ulgę jednocześnie.

* * *

Tego wieczoru, w spokojnym półmroku swojego malutkiego domku na zapleczu sklepu mięsnego i restauracji, Griselda uczyniła coś, czego nie robiła od dwudziestu lat: nałała sobie drinka. Nie było to piwo; piwo ciągle pił Jim i Griselda kojarzyła je z odstręczającym zapachem jęczmienia, potu Jima i jego natrętymi dłońmi. Griselda piła wino. I to nie byle jakie. Przed rokiem kupiła butelkę w Market & Deli, na wszelki wypadek, gdyby przyszło poczęstować jakichś gości,

jednak żadni goście nigdy do niej nie przychodzili, a ona zapamiętała, że butelkę schowała pod chłodziarką do mięsa, żeby Jaydon przez przypadek jej nie wypatrzył. Zasadniczo gardziła alkoholem, lecz jeśli w ogóle istniał dobry czas, żeby odstąpić od tej pogardy, była nim właśnie dzisiejsza noc. Ponieważ krótko przed kolacją, kiedy Griselda smażyła na patelni siekane mięso z ziemniakami, wreszcie dotarło do niej — w sposób zupełnie naturalny, gdyż kiełkowało w jej głowie zapewne już od popołudnia — proste pytanie: „A kiedy ty przygotujesz dla niej coś do jedzenia... kiedy to ty zanieziesz jej jakiś cholerny dar od siebie?”.

W tym pytaniu tkwiła pewna logika. Griselda obdarowywała wiedźmę pasztetem. Sprezentowała wiedźmie łeb martwego cielaka. Ale potem wiedźma odebrała życie psu. A zatem to, co do tej pory dostała, najwidoczniej jej nie wystarczało: Katherine pragnęła otrzymać coś żywego.

Ktoś inny prawdopodobnie machnąłby ręką na oczywisty obowiązek, uznając za dar życie Arthura Rotha, jednak Griselda była zbyt pragmatyczną osobą, żeby zająć takie stanowisko. Poza tym to Griselda błagała przecież wiedźmę, żeby odwiedziła Rotha i z nim skończyła. I chociaż sama to zrobiła, czyż nie dało się dostrzec pewnej poetyckiej sprawiedliwości w tym, że zatłukła go miotłą? A jednak nie był to z jej strony żaden dar; Griselda doskonale to rozumiała. Dokonała tego aktu wyłącznie dla siebie. Z każdym uderzeniem w ten marny, okaleczony łeb coraz bardziej uwalniała się od Jima i wyrównywała rachunki z przeszłością. A silny ból mięśni w rękach, który nawet dzisiaj sprawiał jeszcze, że nie była w stanie podnieść ich powyżej poziomu ramion, stanowił najlepszy dowód na to, że wreszcie jest wolna.

Griselda usiadła na krześle przy oknie i nalała wino do szklanki. Jego cierpki smak sprawił, że skrzywiła się, ale po krótkiej chwili, kiedy wino spłynęło do gardła, okazało się wcale nie takie złe. Była krzepką kobietą, ale zupełnie nieprzyzwyczajoną do alkoholu, i gdy dopijała drugą szklankę, zaczęło jej wirować w głowie, a myśli zaczęły szaleć, nieokiełznane.

Jim często zabijał bydło, głównie dla drobnych farmerów z Highlands, którzy każdego roku przyprowadzali do niego a to cielaka, a to kilka jagniąt. Na zapleczu warsztatu miał urządzenie do krępowania i ogłuszania bydła, ręczną maszynkę do wyrabiania kiełbasy z jagniąt w wieprzowych flakach, chłodzię, w której dojrzewały gotowe produkty, wędzarnię i pomieszczenie do suszenia szynki. Po jego śmierci Griselda wszystko to sprzedała — obecnie niezbędne produkty otrzymywała od hurtowników. A jednak warsztat Jima wciąż cuchnął krwią zwierzęcą, tyle że unosił się w nim także zapach metalu i oliwy z roweru Jaydona. Zakład rzeźnicki Holstów nie był już wzorcową firmą tego typu, ale przykroiwszy go do swoich możliwości, Griselda była przynajmniej w stanie nim zawiadywać.

I chociaż, w przeciwieństwie do męża, nie miała doświadczenia w zabijaniu

zwierząt, wielokrotnie widziała, jak on to robił.

W co ty się pakujesz, Griseldo? Naprawdę chcesz poświęcić dla niej krowę? Przecież wiesz, ile jest problemów formalnych, jeśli ktoś chce szlachtować bydło — Jim bezustannie na to narzekał. Po pierwsze, nie możesz sama przywieźć krowy do swojego zakładu. Potem, zanim jeszcze naostrzysz nóż, wszystko sprawdza inspektor. Następnie do akcji wkracza tester. Myślisz, że w formularzu, w którym trzeba wpisać przeznaczenie pozyskanego mięsa, znajdzie się rubryka „ofiara”? Z kolei, jeśli ubijesz krowę nielegalnie, grozić ci będzie utrata licencji, a jeśli Katherine będzie niezadowolona, stracisz o wiele więcej...

Ale czy te rozważania miały jakiegokolwiek znaczenie, czy Griselda po prostu wsłuchiwała się w głos zachęcający do stchórzenia? Ten sam głos kazał jej nie opuszczać Jima, a jednak proszę, jak to się wszystko skończyło. Poza tym, przecież i tak nie zabije tej krowy w warsztacie.

To będzie musiało się stać gdzieś w lesie.

Zaczęła się zastanawiać nad wszystkimi ewentualnościami. Wiedziała, że kilku okolicznych farmerów na pewno nie odmówi jej pokątnej sprzedaży jakiegoś cielaka, część z nich prowadziła nawet samodzielny ubój, jednak Griselda uważała ich za konkurentów. Nie chciała mieć z nimi żadnych kontaktów. Po chwili przypomniała sobie informacje o muzułmanach z miasta i ich ubojach rytualnych; mówiono o tym ostatnio w telewizji. Akurat skończyli ramadan, czy jak tam nazywają te swoje dziwactwa, kiedy podrzynają gardła kozom i pozwalają, żeby kozia krew spływała po posadzce meczetu. Jasne, ci ludzie mogliby dla niej poderżnąć gardło jakiejś kozie, pomyślała Griselda z pogardą. Wolałaby jednak utoczyć własną krew, niż mieć z nimi cokolwiek do czynienia, a zresztą czas, kiedy muzułmanie podrzynali gardła kozom, skończył się mniej więcej tydzień temu i kolejna okazja będzie dopiero za rok. Pewnie w tej chwili nie mieli już żadnych żywych kóz.

Zapominasz o najważniejszej sprawie. Jak myślisz, co powiedzą ludzie, kiedy zobaczą, jak idziesz przez miasto z kozą na sznurku. „To nasza Szurnięta Griselda. Co teraz wymyśliła?” Trudno zaprzeczyć, że od dawna wykorzystywała ich współczucie, jednak gdyby ludzie doszli do wniosku, że ma jakieś wspólne sprawy z wiedźmą, na pewno by się od niej odwrócili.

Dzięki, tępaki, pomyślała z pogardą. Przecież działałabym dla nich!

A te wszystkie cholerne kamery?

Griselda wstała i przytrzymała się oparcia krzesła. Salon wirował dookoła niej w dzikim ruchu przyprawiającym o mdłości. Z trudem doszła do kuchni i zwiesiła głowę nad zlewozmywakiem. Spocona z wysiłku zwymiotowała.

Uznała, że musi porzucić ten pomysł. Był szalony i zbyt niebezpieczny.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi.

Zastygła nad zlewozmywakiem. Nagle straciła zdolność myślenia,

owładnięta przecuciem, które przejęło ją grozą: to Katherine. Ktoś otworzył jej oczy i teraz przyszła do Griseldy, aby żądać od niej ofiary. Jej powieki będą postrzępione po wyrwanej z nich nici i zmierzy Griseldę śmiertelnym wzrokiem, szepcząc do niej, że nie wywiązała się z zobowiązania...

Griselda zakręciła kran z wodą i podreptała do drzwi. Palcami o barwie wosku odsunęła starą koronkową zasłonkę i wyjrzała na zewnątrz. W słabym świetle lampy zobaczyła nie Katherine, lecz Jaydona, czekającego niecierpliwie z rękami w kieszeniach. Griselda spróbowała się roześmiać, drżącymi rękami przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

— Przepraszam, zapomniałem klucza — wymamrotał Jaydon.

— Okropnie wyglądasz! Co się stało? — Griselda popatrzyła na twarz syna, ukrytą w cieniu.

Dostrzegła, że ma podbite prawe oko, które zaczynało już puchnąć.

— Biłem się — odpowiedział Jaydon.

— Biłeś się? Z kim?

— Nie chcę o tym gadać.

Odniosła wrażenie, że czas zatoczył pełne koło. Czarne, podbite oko Jaydona. Arthur Roth. Gwałtowna kłótnia, jaką niedawno miała z synem w kuchni. Pięści Jima, objijające bez opamiętania ciało dziewięcioletniego chłopca. Jaydon aż nadto widział i doświadczył przemocy domowej. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego czarne oko i skonsternowana Griselda niespodziewanie beknęła, przez co poczuła w nosie kwaśny odór alkoholu.

— Kochanie, ktoś ci mocno dołożył, pozwól, że spojrzę...

Jaydon zbył ją, zanim zdołała go dotknąć.

— Mamo, solidnie na to zasłużyłem, rozumiesz? — Jego głos się załamał. — Powiedziałem coś głupiego.

— Ale to nikomu nie daje prawa, żeby cię tak okrutnie potraktować.

Jaydon coś wymamrotał, rzucił w kąt torbę na zakupy z Market & Deli, w której nosił strój sportowy, i pobiegł na górę. Po chwili zatrzasnął za sobą drzwi swojego pokoju. Griselda przez jakiś czas patrzyła za nim, zaniepokojona, w końcu postanowiła jednak zostać w kuchni. Po kilku minutach wylała resztę wina do zlewu i nalała sobie mleka do szklanki. Gdy dopijała drugą porcję, zdała sobie sprawę, jakie wrażenie sprawiał Jaydon: w gruncie rzeczy wyglądał na przerażonego na śmierć.

Długo wpatrywała się w torbę z Market & Deli, a potem w jednej krótkiej chwili podjęła decyzję.

* * *

Czterdzieści minut później, opatulona w płaszcz przeciwdeszczowy i z torbą na zakupy pod pachą, przeszła przez trawnik, kierując się na podjazd. Wiał silny

wieczorny wiatr. Kierowała samochodem z pijackim entuzjazmem — mówiąc najłagodniej — ostro skręciła na pierwszym zakręcie, a drugi ostro ścięła, przejeżdżając po chodniku, i wjechała w Deep Hollow Road. Gdy po półtorej godziny światła jej starego dodge'a znowu błysnęły na podjeździe przed domem, nie było w niej już nic z pijanego kierowcy; Griselda całkowicie wytrzeźwiała.

Przyciskając torbę na zakupy do piersi, weszła do warsztatu. Kiedy wychodziła z niego po kolejnych trzydziestu minutach — dochodziła wówczas godzina pierwsza po północy — torba była już zasyta, tyle że z otworu w jej rogu wystawał gruby pęk pawich piór. Ukryła je pod płaszczem.

Zamierzała dostarczyć Katherine najznakomitszy dar, jaki mogła przygotować... dar, który ukryła w torbie zakupowej Market & Deli.

Pewna siebie, pojechała wcześniej na Popolopen Drive, do niewielkiego ogrodu zoologicznego, położonego tuż przy kościele prezbiteriańskim w Monroe. Był to skromny park, w którym żyło trochę kóz, kaczek i paw. Zaparkowała dodge'a w ciemnym miejscu pomiędzy dwiema odległymi lampami ulicznymi i przeszła przez ulicę. Następnie popatrzyła przez płot. Nie dostrzegła pawia. Ulicą przejechał jakiś samochód i Griselda ukryła się za drzewem. Zaczęła gorączkowo rozważać, co robić dalej. Przecież nie mogła tak po prostu pokazać się z głupią kaczką. Minęło dwadzieścia minut — traciła cenny czas. Wreszcie sobie przypomniała, co przeczytała, kiedy w Google umieściła pytanie: „Jak złapać pawia?”. Przecież pawie często śpią na drzewach.

Popatrzyła w górę i zobaczyła w cieniu ogon z piór na wielkim dębie przy stawie.

Idiotka! — pomyślała o sobie. Jeśli jesteś taką bohaterką, nie stój beczynnienie!

Rozejrzała się dookoła, chcąc zyskać pewność, że nikt jej nie obserwuje. Przerzuciła torbę zakupową przez płot i po chwili sama przedostała się na drugą stronę. Skoczywszy z płotu, upadła z głuchym łoskotem. Potężna postura i słabe ramiona działały przeciwko niej, jednak sprzyjało jej zdecydowanie i wiara w słuszność tego, co chce zrobić. Powstała na drżące nogi, otrzepała się i przystąpiła do pracy.

Najpierw rzuciła dużym kamieniem w pawia, co spowodowało, że z przenikliwym skrzekiem porzucił schronienie na drzewie.

Ptak zaczął uciekać. Griselda przylgnęła do drzewa przekonana, że odgłosy z ogrodu zoologicznego docierają do połowy mieszkańców Monroe i niebawem wszyscy się obudzą. Ptak robił wielkie zamieszanie, a przy tym szeroko rozłożył niebieski ogon.

Dopiero po dziesięciu minutach ośmieliła się wyjść z cienia. Trzymała przed sobą rozłożony koc, który wyciągnęła z torby. Ptak stał przed ogrodzeniem z drutu kolczastego, patrząc na nią podejrzliwie. Gdy Griselda podeszła bliżej, uciekł,

ciągnąc za sobą ogon z piór niczym tren. Griselda zapędziła go w kąt ogrodu. Gdyby teraz ktokolwiek ją zobaczył, byłaby skończona. Przecież nikt nie wzięłyby jej za właścicielkę ogrodu, za to szybko przyjechałaby policja i musiałyby gęsto się tłumaczyć ze swojego zachowania. Jednak Griselda tak ślepo wierzyła w Katherine, że nawet nie rozważała tej możliwości. Rzuciła koc na ptaka i natychmiast padła na ziemię — na koc i na pawia — całym swoim potężnym ciałem.

Znalazłszy się znów na ulicach Black Spring, minęła ogrodzenie zamykające szlak za byłą rezydencją Hopewellów u podnóża Bog Meadow Hill. Zadrżała na myśl, że będzie musiała wejść do lasu, gdzie panowała nieprzenikniona ciemność i gdzie będzie już tylko ona i wiatr. Zmusiła się jednak, żeby o tym nie myśleć, i kontynuowała marsz. Paw w torbie był spokojny. Griselda bała się, że kiedy go chwyciła, mogła mu złamać skrzydło. Gdy padła na niego, wydał dźwięk, jakby rozgniatła właśnie pudełko z jajkami. Jęczał groźnie, jednak w połowie drogi powrotnej do domu zasnął. Od czasu do czasu Griselda upewniała się, że wciąż żyje, wsuwając rękę do torby i sprawiając, że delikatne małe ciało poruszało się.

Marsz w kompletnej nocnej ciemności był szaleństwem, jednak w końcu natrafiła na Katherine — dokładnie tam, gdzie powinna się znajdować zgodnie z informacją, jaka zawarta była w aplikacji HEX, czyli w lesie za polami Rogu Ackermana. Oglądając mapę, mniej więcej orientowała się, w pobliżu której ze ścieżek ją znajdzie, Griselda nie chciała jednak chodzić utartymi szlakami, ponieważ spodziewała się, że są pod wzmocnioną obserwacją, nawet w nocy. Przeszła więc przez zarośla tak gęste, że co chwilę musiała się zatrzymać. Dar, który niosła, z każdym krokiem był coraz cięższy. Odór błota, pleśni i gnijących drzew był niemal nie do wytrzymania. Całe jej pulchne ciało aż krzyczało z bólu, krańcowo wyczerpana ciężko oddychała. Już miała zrezygnować i przerwać wyprawę, kiedy Katherine stanęła przed nią niespodziewanie, do ostatniej chwili niewidoczna w matowej ciemności.

Griselda zastygła w bezruchu.

— Przestraszyłaś mnie, Katherine — powiedziała ochryplym głosem. — To ja, Griselda.

Dźwięk własnego głosu w ciemności sprawił, że włosy stanęły jej dęba i musiała użyć całej siły woli, jaką jeszcze dysponowała, żeby nie odwrócić się i nie uciec. A wiedźma po prostu przed nią stała — nieruchoma czarna postać przesycona śmiercią.

Griselda obróciła głowę w prawo i w lewo. Stała pośrodku skupiska wysokich starych sosen. Usiłowała wmówić sobie, że moc sił tajemnych, jakimi dysponuje Katherine, w tym miejscu nie jest ani trochę silniejsza niż gdzie indziej, że wystarczy zejść ze wzgórza, a znów znajdzie się w miasteczku, które zna od dzieciństwa, daleko od pogańskiej złej mocy, jaka zdawała się unosić w lesie.

Katherine przyszła tutaj kierowana pradawnym instynktem. Wiedźma powinna być dla niej dobra, jeżeli tylko Griselda będzie dobra dla wiedźmy.

Padła przed nią na kolana, ale jej lewe kolano natychmiast poślizgnęło się na czymś bardzo lepkiem. Podskoczyła natychmiast, jakby szarpnął ją prąd elektryczny. Dopiero teraz zaczęła badać dłonią czarną ściółkę leśną i w końcu znalazła przed sobą coś wilgotnego, ale ciepłego i elastycznego. Niemal natychmiast wprawna ręka żony rzeźnika rozpoznała, co to takiego: serce świni. Nagle poczuła złość, poczuła się znieważona, a to trochę zmniejszyło jej strach. Był tutaj już ktoś przed nią. Jakiś wstrętny tchórz! Ktokolwiek to był, na pewno próbował wkraść się w łaski Katherine. Griselda ostrożnie odrzuciła wstrętne znalezisko w krzaki i wytarła dłonie.

Wtedy uznała, że ołtarz jest odpowiednio przygotowany, i ponownie uklękła przed swoją boginią.

— Och, przepraszam cię, Katherine, może nie jestem tak dobrym mówcą jak Colton albo John Blanchard, albo wielu innych, jednak moje serce znajduje się we właściwym miejscu, pamiętaj o tym. Popełniłam błąd, jeśli chodzi o ofiary dla ciebie, i teraz na kolanach chcę ci podziękować, że mi to wytknęłaś. Powinnam być mądrzejsza. Proszę, przyjmij mój dar pokoju: to najpiękniejsza rzecz, jaką mogłam znaleźć. — Z nieśmiałą dumą dodała: — Paw.

Katherine wciąż stała w ciemności bez ruchu. Griselda podniosła się z kolan i wyciągnęła z kieszeni zwój liny konopnej. Paw poruszył się nerwowo w torbie na zakupy i zaczął cicho gruchać.

— Nie chcę cię prosić o zbyt wiele, czy jednak mogłabyś sprawić, że wszystko znów będzie tak jak dotąd? To znaczy strumień i tak dalej... Wiem, że nie chciałaś nikomu zrobić krzywdy, jednak ogromnie wystraszyłaś mieszkańców miasta i mnie też, mówiąc szczerze. Przyniosłam ci żywą ofiarę, tak jak chciałaś. Wiem, że brudne wnętrzności zwierząt do niczego nie są ci potrzebne. Ale... powiedz mi, kto przyniósł ci to ohydztwo? Jeśli się dowiem, pokażę tej osobie, że nie masz ochoty na takie prezenty.

Griselda przystąpiła do działania. Rzeźnicki nóż zostawiła w domu, ponieważ ostatnie elementy układanki ułożyły się w jej głowie, kiedy wracała z ogrodu zoologicznego. Co się stanie, jeżeli Katherine okaże się niezbyt zachwycona, kiedy kałuża ciepłej krwi pojawi się na jej obnażonych stopach? Wówczas ofiara Griseldy mogłaby zostać całkowicie źle zinterpretowana. Musiała przekazać wiedźmie swój dar w sposób godny, bez nieprzewidzianych incydentów. Nie potrzebowała wiele czasu, żeby wymyślić, jak to zrobić.

Odcięła niemal dwa metry liny i przełożyła jej koniec przez oba uchwyty w torbie na zakupy. Następnie wyciągnęła z kieszeni parę woskowych zatyczek do uszu — dawniej każdej nocy wkładała je do uszu, ponieważ Jim głośno chrapał, a teraz nosiła je przy sobie z przyzwyczajenia — i znów zastygła w bezruchu, gdyż

uświadomiła sobie coś niepokojącego.

Wiedźma w ogóle nie szeptała.

Dopiero teraz Griselda zdała sobie sprawę, że w lesie panuje absolutna cisza.

Zaczęła uważnie nasłuchiwać, skierowała ucho ku Katherine i policzyła do sześćdziesięciu. Cisza.

Głęboko poruszona i ogarnięta uczuciem, które w całej prostocie mogło być uczuciem znacznie bliższym przyjaźni niż jakakolwiek namiastka przyjaźni zaznana przez Griseldę w jej długim życiu, pocałowała swoje dłonie i w nabożnym skupieniu dmuchnęła na nie, posyłając pocałunek w kierunku wiedźmy.

— Dziękuję ci, moja droga — powiedziała drżącym głosem. — Dziękuję, że mnie zaakceptowałaś.

Już się nie bała. Chcąc podejść bliżej, przeciągnęła linę przez jedno z ogniw łańcucha oplatającego ciało Katherine. Mimo wszystko bardzo się starała, żeby jej nie dotknąć. Drugi koniec liny przywiązała do długiej i grubej gałęzi. Stanąwszy za wiedźmą, zawijała linę na gałąź tak długo, dopóki nie była pewna, że wystarczy jej do opasania Katherine. Następnie uniosła gałąź niczym wędkę, dzięki czemu torba na zakupy podniosła się z ziemi. Gdy tylko torba zawisła przed postacią wiedźmy, paw zaczął wydobywać z siebie przenikliwe wrzaski. Griselda szeroko otworzyła oczy, chcąc jak najwięcej widzieć w ciemności. Tutaj, w lesie, wrzask ptaka nie był czymś nadzwyczajnym, brzmiał w nim jednak strach i melancholia, niczym w nawoływaniach umierającego człowieka. Griselda jęknęła, jednak już się nie cofnęła. Używając wszystkich sił, uniosła torbę tak wysoko, jak tylko mogła, a następnie zaczęła chodzić z gałęzią dookoła Katherine, dopóki mocno nie oplótła jej liną. Wreszcie cieńszy koniec gałęzi wsunęła pod uchwyty torby na zakupy.

Z wielką ulgą zatrzymała się, aby złapać oddech. Szkoda, że było tak ciemno; bardzo chciałyby obejrzeć rezultat swojej ciężkiej pracy. Ale w głębi umysłu i tak nie miała wątpliwości, że Katherine będzie usatysfakcjonowana. Kiedy w późniejszych godzinach tej nocy nadejdzie jej czas, aby zniknąć, paw w torbie zapłonie i wzniesie się nad ziemię jak feniks.

Jeszcze raz Griselda podeszła bliżej.

Tym razem, żeby poprawić jego pióra.

15

Krótko przed siódmą trzydzieści w poniedziałkowy poranek Marty Keller zatelefonował do Roberta Grima i powiedział mu, żeby jak najszybciej przyszedł. Jeszcze przed zakończeniem krótkiej rozmowy Grima ogarnęła pokusa, żeby odgryźć Coltonowi Mathersowi worek mosznowy, wypluć go i zbić na miazgę jego jądra drewnianym tłuczkiem do mięsa, który jego matka zawsze trzymała w kuchni. Nie była to myśl uspokajająca, ale przynajmniej na chwilę przyniosła mu ponurą satysfakcję.

Skończywszy rozmowę, Grim i Warren Castillo ubrali się w peleryny przeciwdeszczowe i pospieszyli w górę Old Miners Road. Poranek był ponury, a wiatr cały czas się wzmaczał. Na ulicy nie było żywej duszy. Ci, którzy nie musieli wyjść tego ranka do pracy, ryglowali drzwi i zamykali okiennice przed burzą. Mnóstwo ludzi postanowiło zrobić sobie tego dnia wolne, wymawiając się szefom niespodziewaną chorobą. Grim wiedział, że mieszkańcy tak naprawdę nie bali się tej burzy, która nadciągała z zewnątrz, ale tej, która wzbierała w samym Black Spring. On sam wyczuwał w powietrzu ogólne zaniepokojenie, które zresztą zaczynało się udzielać również jemu.

„Katherine, co teraz kombinujesz, dziewczyno? Co w ciebie wstąpiło?”

Warren, niemal dziesięć lat młodszy od Grima, z trudem za nim nadążał, kiedy stąpali mokrym poboczem.

— Jak myślisz, będzie bardzo źle? — zapytał go, ciężko dysząc.

— Damy sobie radę — odparł Grim, jednak w jego głosie absolutnie nie było słycać pewności siebie.

Po szalonym incydencie z końmi Granta w sobotnie popołudnie Grim doszedł do wniosku, że mniej więcej opanował sytuację. Wypadek, oczywiście, doprowadził go niemal do ataku serca, jednak zwierzęta szybko przestały sprawiać kłopoty i dały się uspokoić. Trudno było zgadnąć, dlaczego wpadły w dziką panikę i wydostały się ze stajni. Grim kazał przetransportować konie Grantów na pastwisko Saula Humfriesa po drugiej stronie miasta, ponieważ źródło ich niezwyklego przerażenia mogło znajdować się tuż za ich stajnią, tam gdzie Strumień Filozofów biegnął dokładnie wzdłuż posesji Steve’a Granta.

Kiedy Grim zobaczył, co się dzieje z wodą w strumieniu, zrozumiał, że sytuacja wcale nie jest opanowana. W gruncie rzeczy nigdy dotąd nie była w tak cholernie zawiły sposób pogmatwana.

Mathers powiedział, że chce incydent zataić przed ludźmi, ale wtedy Grim niemal eksplodował.

— Posłuchaj — oświadczył — mamy tutaj do czynienia ze zwierzętami, które nagle zdziczały, mamy do czynienia z psem, który popełnił samobójstwo, a Mount Misery brudzi pieprzone łożysko strumienia, który z niej wypływa. Dlatego ty spokojnie poinformujesz o wszystkim ludzi, a ja grzecznie pójde do Pointu i złożę im raport.

— Nic takiego nie zrobisz, Robercie — powiedział stary radny z taką zawziętością, jaką widuje się jedynie u bardzo małych dzieci oraz u niebezpiecznych maniaków religijnych.

Jednak Grim wyczuł w jego głosie również wahanie i pojął, że przecież ma do czynienia ze starym człowiekiem, głęboko znużonym życiem.

— Nie mamy wyboru. Katherine nigdy nie zajmuje się zwierzętami domowymi. Po raz pierwszy od stu dwudziestu lat zmieniła sposób zachowania,

nikt nie wie dlaczego i nikt nie wie, dokąd to może doprowadzić.

— Właśnie. I dlatego musimy się dowiedzieć, co zaszło, zanim podejmiemy jakieś poważne decyzje. To jest sprawa całego miasta, nasza wspólna sprawa. A Black Spring zawsze potrafiło dbać o siebie i teraz również sami o siebie zadbamy.

— Ale my w gruncie rzeczy nie wiemy, co się właściwie stało, i w tym tkwi sedno problemu! — zawołał Grim z przerażeniem. — Mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową i skrajnie niebezpieczną. Ludzie są przerażeni na śmierć i trudno im się dziwić. Wszystkie władze powinny ogłosić stan najwyższego pogotowia na wypadek eskalacji wydarzeń.

— Pan Mathers ma rację, Robercie — wtrącił się Adrian Chass, jeden z członków Rady. — Czego właściwie możemy się spodziewać po West Point poza tym, że przez kuloodporną szybę będą obserwować, jak sytuacja w mieście wymyka się spod kontroli?

Griselda Holst energicznie pokiwała głową i dodała:

— Zaufajmy Panu.

— Pierdolona paranoja. — Grim potrząsnął głową. — Przepraszam, ale nie mogę się z wami zgodzić. Mam swoje obowiązki.

Kościste palce Mathersa objęły nadgarstek Grima niczym jadowity wąż.

— Decyzja Rady jest decyzją obowiązującą, Robercie. Jeśli się do niej nie zastosujesz, zwolnię cię ze stanowiska.

Grim przeklął Coltona Mathersa i akuszerkę, która powitała go na tym świecie. Wcale nie dlatego, że nadzwyczajnie poważał ludzi z Pointu: owszem, rok po roku pilnie wypełniał dla nich raporty, jednak zwykle traktował ich jako biurokratycznych upierdliwców, których przyjaźń trzeba było podtrzymywać ze względu na pieniądze, którymi dysponowali. Teraz jednak sytuacja była inna. Grim chciał posłać im próbkę wody ze strumienia, aby jak najszybciej zbadano ją w laboratorium. No i chciał, żeby wiedzieli, co się dzieje. Być może zaznajomienie Pointu z ostatnimi wydarzeniami przyniesie jedynie niewielkie i złudne poczucie bezpieczeństwa, wydawało się jednak, że taki krok jest właściwy. Cholerna woda ze strumienia sprawiła, że Grimowi cierpła skóra i każde działanie, które chociaż teoretycznie mogło mu przynieść spokój, było pożądane.

Ale Mathers się bał i strach odbierał mu zdolność jasnego myślenia. Strach czynił go nieodpowiedzialnym, spychał go do rogu, z którego nie było żadnej drogi ucieczki. A Grim, podobnie jak Steve Grant, rozumiał potencjalnie niebezpieczne konsekwencje ostatnich zdarzeń: prymitywne ludzkie dążenie do kanalizowania strachu mogło przerodzić się we wściekłość, a rozwścieczeni ludzie łatwo znajdują kozły ofiarne. Niedowierzenie w całym mieście mogło szybko obrócić się w fanatyzm na tle Katherine. Kto zadrwił z wiedźmy? Co takiego się zmieniło, że nagle zapragnęła nas karać? Każdy poszukiwał w ostatnich wydarzeniach czegoś

niezwykłego i w różny sposób łączył fakty. A było ich wiele. Spalenie Wiklinowej Kobiety. Pojawienie się obcych na festiwalu. Sąsiadka, która pomalowała płot ogrodowy w brzydkim, bladym kolorze terakoty. Niestety doktora Granta — w końcu to jego pies zginął.

Colton Mathers za źródło nieszczęść uważał krew, która przyłgnęła do rąk żony rzeźnika w ostatnią środę, trochę po godzinie piątej po południu. Grim mógł tylko zgadywać, co się stało, ale cokolwiek to było, na pewno nie było w porządku. Pani Holst została znaleziona we krwi i w głębokim szoku przy ciele Rotha — a teraz Katherine zaczyna groźnie się zachowywać. Dla Mathersa sprawa była oczywista.

To byłby zbyt wielki pierdolony zaszczyt dla ciebie, ty małpoludzie, pomyślał Grim o Mathersie, gdybyś miał możliwość bezpośrednio kontaktować się z Bogiem i jeszcze wpływać na wiedźmę.

W każdym razie o sprawie Arthura Rotha Point nigdy nie został poinformowany i teraz z tego powodu należało czekać na uderzenie pioruna. Colton Mathers chciał, żeby służby wywiadowcze trzymały się z daleka od miasta. Rada zagłosowała stosunkiem głosów pięć do dwóch, dwa były przeciw, i Grim znalazł się pod ścianą.

Ponieważ pierwsza krew pokazała się w sobotę, siedmioosobowy personel HEX-a zdołał się zmobilizować i zapanować nad sytuacją. Informacje o tym samym zjawisku napłynęły także z nad strumienia Spy Rock Valley, który miał koryto bardziej na zachód, przy historycznym kole wodnym za ratuszem. Kiedy słońce wstało w niedzielę rano, miejsce przedstawiało żalospny widok: po raz pierwszy od remontu w 1984 roku koło nie obracało się. Wzniesiono płoty, żeby uniemożliwić wejście na teren rezerwatu, zarówno tam, jak i na Mount Misery. Wkrótce „krwawiły” już wszystkie strumienie. Wody w nich prawie nie było i chociaż można by mówić turystom, że w strumieniach pojawiła się rdza, jednak Grim wolał nie ryzykować. Nikt nie wiedział, czy zanieczyszczenie jest groźne dla ludzi i jak będzie się rozwijać sytuacja. Krwawiące strumienie wywoływały panikę wśród zwierząt, a Grim gotów był zaufać ich instynktom.

Sytuację pogarszał fakt, że niedziela była pięknym, słonecznym dniem i co rusz trzeba było usuwać turystów z obranych przez nich szlaków. Grim przy każdej barierze postawił wolontariusza w mundurze strażnika stanowego. Wolontariusze mówili turystom, że Akademia Wojskowa prowadzi w okolicy ćwiczenia na wielką skalę z wykorzystaniem ostrej broni strzeleckiej. Tyle że tak naprawdę nigdzie nie strzelano: odgłosy strzałów pochodziły z zasobów dźwiękowych HEX-a.

Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny trzy osoby z rozkazu Grima chodziły za Katherine jak cienie. Najpierw ukazała się w szopie na narzędzia przy Sutherland Drive (jej obecność wykryto przypadkowo, gdy domowy jamnik zaczął jak wściekły rzucać się na drzwi szopy). Później zaczęła chodzić do góry i na dół

po polach przyległych do Rogu Ackermana, a niedzielną noc spędziła w lesie. Były to jej stare przyzwyczajenia, nie robiła nic, co mogłoby wskazywać, że się zmieniła. Poza tym w nocy temperatura powietrza znacznie spadła, obserwatorzy wiedźmy zaczęli marznąć i się nudzić, Grim posłał ich więc do domów.

To, jak się okazało, było jego największym błędem od czasu, kiedy w niedzielę wypił całą dostępną kawę w biurze i przerzucił się na red bulla. Grim zaczął mieć wrażenie, że miotają nim konwulsje kofeinowe, i był bliski rozerwania sobie żył.

Zawołał Marty'ego, który poprowadził jego i Warrena przez skąpany w deszczu las. Zaaferowany dzieciak wybiegł im na spotkanie w mokrych butach sportowych i ze zmęczoną twarzą, na której wypisana była nieprzespana noc.

— Jeszcze trochę w górę — wysapał. — Robert, to wszystko jest popierdolone...

Dobry Jezu, pomyślał, kiedy to zobaczył. Jego szczęka niemal opadła z trzaskiem na przemoczoną ściółkę leśną.

Wiedźma stała pomiędzy paprociami. Jej drobna postać ociekała wodą deszczową. W ułamku sekundy Grimowi zdało się, że Katherine znajduje się na targu drobiu z pawiem pod pachą. Czy ja naprawdę to widzę? — pomyślał z niedowierzaniem, jednak zaraz zobaczył także, że ktoś przywiązał jej do szyi niebieską, zaszytą torbę, z której dumnie wystawał wielki pęk pawich piór. Niezliczone zielone i niebieskie pawie oczka z ciemnymi źrenicami wystawały spomiędzy nich, jakby to sama Katherine otworzyła oczy i obserwowała przybyszów.

Myśl uderzyła Grima jak cios w twarz z otwartej dłoni. Gdyby widział wiedźmę wśród *nazar boncuğu* — błękitnych amuletów w kształcie łez w salonie Sayerów kilka dni temu, natychmiast uderzyłoby go ich wielkie podobieństwo do tego, co widział teraz. Jednak w salonie Sayerów nigdy nie był i jeszcze nigdy w życiu nie miał tak silnego przeczucia, że spogląda na rosnącą moc... złą moc.

— Ptak wciąż żyje — powiedział Marty.

— Chyba żartujesz — odparł Warren.

— Naprawdę. Przed chwilą słyszałem, jak gdaka. Albo grucha. Albo... cokolwiek robi paw.

— Daj spokój — westchnął Grim.

— Ale to nie wszystko — kontynuował Marty. — W krzakach leży jakiś organ... myślę, że to zwierzęce serce, ale nie jestem anatomem. Poza tym mamy tu jeszcze lalkę z gałązek... — wskazał na jakiś dziwny zdobiony krzyż z witek wierzbowych, zwisający z gałęzi bardzo niedaleko — co wydaje mi się żywcem ściągnięte z *Blair Witch Project*. Nie rozumiem tego, ponieważ w filmie było to zło pochodzące od samej czarownicy, dlaczego więc ktoś chciał zaoferować jej coś takiego? No i, hmm, są tutaj jeszcze kupony na zniżki w supermarkecie.

Grim i Warren popatrzyli na niego pytająco.

— Coś jest na nich napisane, z tyłu. Deszcz mocno to rozmazał, ale to są chyba jakieś wersety z Biblii.

Paw w torbie na zakupy wydał żaloszny odgłos.

— Skurwysyny — syknął Grim. — Marty, zadzwoń do Claire. Niech zamieści informację, że sytuacja jest pod pełną kontrolą i że kontakt z wiedźmą wciąż jest zakazany. Niech wspomni o Dekrecie o stanie wyjątkowym i powtórzy ludziom, co ich czeka, jeśli będą ignorować jego postanowienia. Powiedz Claire, żeby dobrze przejrzała wszystkie nagrania z najważniejszych kamer bezpieczeństwa. Chcę znaleźć dupków, którzy to zrobili, i powiesić ich skalpy na murze.

Wyciągnął z kieszeni płaszcz nożyk do kartonu i zrobił krok do przodu.

— Co robisz? — zapytał go Warren.

— Odetnę to, oczywiście. Ci dowcipnisie nie mają pojęcia, w co się pakują. Przecież ona już jest ranna i jeśli ludzie będą przywiązywać do niej śmieci, Bóg wie, jak zareaguje. Co się stanie, jeśli ludzie zaczną padać martwi na atak serca, jak ci staruszkowie w 1967 roku? Co oni sobie, do diabła, myśleli?

— Tylko bądź ostrożny, dobrze?

Grim zauważył, że martwe, wilgotne wargi wiedźmy w miejscach, gdzie zgromadziła się woda, lekko się poruszyły, sprawiając, że mokre szwy w lewym kąciku jej ust się napięły. Skoncentrował uwagę na głosie Marty'ego Kellera, który właśnie połączył się z Claire, i na szumie deszczu w lesie. Wiedźma coś szeptała, jednak Grim jej nie słuchał, gwałtownie zmuszając się, by przypomnieć sobie melodię grupy Katrina & The Waves, nie dbając jednak o słowa piosenki.

Odchrząknął i postąpił do przodu. Paw lekko poruszył się w niebieskiej torbie na zakupy. Całe jego upierzenie jakby zadrżało. Ręce Katherine swobodnie zwisały po bokach. Grim wyciągnął rękę z nożykiem do kartonu...

...i wtedy wiedźma mocno złapała dłonią pawie pióra.

Grim odskoczył do tyłu, zachwiał się, jednak Warren Castillo zdołał uchronić go przed upadkiem. Wydał z siebie zduszony krzyk. W jednym krótkim momencie chude, mizerne palce Katherine zacisnęły się na ogonie biednego ptaka niczym sidła na wilczej łapie. Wiedźma przekręciła zaciśniętą dłoń i na oczach trojga ludzi ptak postradał życie. Lśniące zielen i błękit zniknęły z jego oczu, w jednej chwili ustępując miejsca żalosznej szarości. Cienkie pióra wokół nich zakręciły się, przemieniły w puch i uleciały z wiatrem.

Ptak nie wzniósł się ku niebu jak feniks — po prostu upiekł się jak kurczak. Z torby na zakupy uniosły się wstęgi dymu i zaczęły rozsiewać dookoła wstrętny, przenikliwy zapach — nie był to zapach towarzyszący paleniu czegokolwiek, lecz odór zwęglania. Czuło się go tak, jakby komuś do gardła wpadł suchy kawałek węgla drzewnego i wypełnił tchawicę gorącym popiołem. Grim wyobraził sobie, że

takie zapachy musiały towarzyszyć otwieraniu starych grobów w Pompejach.

— Ja... Zaraz do ciebie oddzwonię — wyjąkał Marty i rozłączył się. — Jezu, widzieliście to? Cholera, naprawdę to widzieliście?

Nikt nie odpowiedział na jego pytanie. Katherine stała przed mężczyznami bez ruchu. Coś szczególnego w sposobie, w jaki trzymała niewątpliwie martwego ptaka, sprawiało wrażenie, że z nich drwi, jakby tym jednym prostym czynem właśnie przypomniawszy im, kto rządzi w Black Spring. Grim próbował w myślach jakoś racjonalnie wyjaśnić to, co właśnie zrobiła, jednak poczuł, że cały świat wiruje w szalony sposób, dlatego odskoczył, byle jak najdalej od wiedzy. Znalazł się w objęciach duszącej paniki i po raz pierwszy w życiu z całego serca zapragnął nigdy nie urodzić się w Black Spring i nigdy nie być przedmiotem jej przekleństwa. Niech spotkałoby to kogoś innego.

* * *

Katherine wciąż trzymała pawia.

Zamiast zniknąć i pojawić się gdzie indziej, jak to się zwykle działo co siedem godzin, teraz zachowała się inaczej. Zaczęła wędrować przez miasto z torbą na zakupy przewieszoną dookoła talii i garścią piór martwego pawia w dłoni.

— Myślę, że ucieszył ją ten dar — uznał w pewnym momencie Warren Castillo, jednak nikt nie wiedział, czy to prawda.

W poniedziałkowy wieczór, kiedy wszystkie amerykańskie stacje telewizyjne koncentrowały się na wyborach prezydenckich, które miały się odbyć następnego dnia, Strumień Filozofów nabrał koloru mrocznej czerwieni, tak jakby w wodzie pływał wielki rekin biały i zagryzał turystów.

Katherine — z pawiem w garści — ruszyła w stronę miejskiego ratusza.

16

Skrajnie otępiały po śmierci Fletchera — o godzinie wpół do drugiej w poniedziałkową noc — Tyler leżał w łóżku jedynie w slipkach. Ciało miał pokryte gęsią skórą, a brodawki na jego piersiach były ciemne i nabrzmięte. Zazwyczaj mało wydatne, lecz regularne linie jego żeber robiły teraz wrażenie, jakby te żebra się zapadły, a skóra na nich była bardzo blada w słabym świetle wygaszacza ekranu laptopa. Chłopak gapił się w sufit i nasłuchując szmerów w rurach grzewczych, odmierzał upływające sekundy. Szklarze, którzy mieli naprawić okno wychodzące na podwórze, zamówieni byli dopiero na jutro, w domu więc hulały przeciągi, a kaloryfery pracowały bezustannie, wyrabiając nadgodziny.

Tyler był skrajnie wymęczony, jednak sen wciąż do niego nie przychodził. Zmieniał pozycje w łóżku i co chwilę drżał w niekontrolowany sposób, mimo że naciągał na siebie kołdrę powyżej pasa. Nie miał pojęcia, jak udało mu się przetrwać ostatnie czterdzieści osiem godzin, śpiąc tak mało, a jednak tego

dokonał. Był jednak przygnębiony, wyczerpany nerwowo i sfrustrowany. Nie chciał spędzać kolejnej nieprzespanej nocy.

Krótko przed północą Laurie wysłała do niego esemesa:

„Tyler, się masz? Tęsknię, daj znać, co u ciebie, OK? Kocham, Laurie”.

Tyler przeczytał wiadomość i wyłączył telefon. Nie czuł się na siłach, żeby dziewczynie odpowiadać. Wydawało mu się, że Laurie funkcjonuje teraz w innym wymiarze, w którym obrazy, które przesładują jego wyobraźnię z wywołującą mdłości regularnością — sutek Katherine, Fletcher, konie — nie istnieją. Przeniósł się w Internecie na stronę pokazującą widoki z miejskich kamer bezpieczeństwa, jednak nawet one nie były go w stanie zainteresować.

Wreszcie dodał kolejny wpis do swojego bloga, jednak, oczywiście, nie zamieścił go w sieci:

W głowie mam totalną pustkę. Jakby mój mózg umarł. Nie potrafię zebrać myśli. Mózg mam zamknięty w popękanej skorupie, jakby Pablo wcale nie zdemolował salonu, lecz moją głowę. Przydałaby mi się trawka do popalenia albo cokolwiek. Muszę zachować spokój, bo inaczej eksploduję. Wziąłem z dołu butelkę tequili i urządziłem w swoim pokoju jednoosobowe przyjęcie à la TylerFlow95, głupole. Chyba będę rzygał. Jeżeli się nie wyrzygam, już nigdy więcej nie wezmę kropli alkoholu do ust.

Nie mam pojęcia, jaki powinien być następny krok. Jak sprawy się mają. Nieposkromiona pycha, Ikar i te wszystkie bzdety? Tak, to moja wina. OO było moim projektem. Właściwe przygotowania — pełna kontrola. Sformułowanie idei — kontrola. Tolerancja — kontrola, przewidywalność — kontrola. Nie ma jednak tolerancji dla szaleństwa Jaydona, on jest nieprzewidywalny. Jak on wbił ten nóż w jej cycek... SPIERDOLIŁ WSZYSTKO. Nie chcę o tym myśleć, nie potrafię jednak odepchnąć od siebie tego obrazu. Przeciął jej sutek niczym zgniły owoc albo piniatę. Dlaczego w ogóle pozwoliłem temu pieprzonemu Normanowi Batesowi, żeby do nas dołączył?

On jest NIEBEZPIECZNY. I wielka pierdolona kropka. Nie możesz się do niego zbliżać. Nie wolno dać ci się skusić tak jak wczoraj. Prawdziwy mężczyzna broni swoich racji. A on nie dał nikomu pieprzonej szansy. Jakby sam doskonale rozumiał, dlaczego zasługuje na cios pięścią w szczękę. Dziwak, nie? Widziałeś, jak na ciebie patrzył? Jakby wiedział i widział, co się do niego zbliża, niczym karna godzina po lekcjach w szkole.

Poszedłem dzisiaj nad strumień. Tato mówi, że nie powinniśmy się do niego zbliżać, bo nie wiemy, czy nie jest niebezpieczny — powinniśmy za przestrożę mieć to, co się stało z końmi. Konie jednak inaczej odczuwają wszystkie zjawiska i wątpię, by miały one na nas taki sam wpływ jak na zwierzęta. Osobiście uważam, że strumień jest niebezpieczny, ale w zupełnie inny sposób, niż się powszechnie sądzi. On miesza ludziom w głowach. Te ślady krwi w wodzie. Jak serpentyny na

imprezy. One hipnotyzują.

Coś tam napisałem, ale nie mam ochoty wrzucać tego do sieci. Bo niby dlaczego? OO jest martwe i pogrzebane. Ma grób na tyłach domu, tak jak Fletcher.

Och, Fletcher. Tato, tak mi przykro. Mamo, Matt, przepraszam. Gdyby nie ja, Fletcher wciąż by żył. Tato wie, że wiem o jego śmierci więcej, niż powiedziałem. Widzę to po tym, jak na mnie patrzy. Tylko raz mnie o to zapytał, ja jednak milczałem. Czyżby czekał, aż dobrowolnie wszystko wyznam? Ale nie mogę tego zrobić, nawet nie wiedziałbym jak. Poza tym Katherine jedynie zareagowała po swojemu — Fletcher zaatakował ją pierwszy. Czy możemy winić Katherine, że chce się na nas zemścić? Zabiliśmy jej dzieci, a ją samą powiesiliśmy, zaszyliśmy jej pierdolone oczy. Kogo by to nie wkurzyło? Jezu, dlaczego piszę, że to „my”? Paranoja. Może tracę zmysły? Wszystko się rozpada. Kontrola stanu bieżącego: JEJ OCZY NIGDY NIE MOGĄ ZOSTAĆ OTWARTE. Po trzystu latach trzymania jej mocy w zakorkowanej butelce eksplodowałyby niczym supernowa.

Sram w gacie ze strachu. W całym swoim życiu jeszcze nigdy tak się nie bałem. Dlaczego nazwałem nasz projekt Otwórz Oczy? To jest wprost dziwaczne, jak sprawy najpierw wydają się poukładane, sensowne, a później wszystko się chrzani.

To od początku miało być wyzwanie dla Black Spring. Dlaczego teraz wydaje się wyzwaniem dla wiedźmy?

Zatrzeszczała podłoga na półpiętrze.

Tyler zaczął nasłuchiwać niczym salamandra na skale, czując, jak w jednej chwili ogarnia go jednocześnie gorąco i zimno. Źródło dźwięku zmieniło miejsce, z kolei zatrzeszczały łączenia schodów: niewątpliwie wchodził po nich ktoś, kto nie chciał, żeby go słyszano. Tyler rozpoznał kroki Matta — identyfikowanie kroków osób, z którymi się mieszka, nie jest niczym trudnym. Przyszło mu do głowy pytanie, co Matt robił wcześniej na parterze; przecież łazienka znajdowała się również na piętrze. Może chciał coś zjeść? Nagle Tyler poczuł, że on sam jest głodny, przecież przez cały dzień nie zdołał niczego przełknąć. Może kęs jedzenia uwolni go od zgagi, która przyplątała się po wypiciu tequili? Owszem, być może, pod warunkiem że zdoła cokolwiek przełknąć.

Nasłuchiwał jeszcze przez dłuższą chwilę. Cisza. Przycisnął dłonie do oczu i trzymał je przy nich tak długo, że w końcu zobaczył jaskrawe gwiazdy. I nagle wyprostował się i otworzył oczy szeroko. Ze schodów dotarł do niego gwałtowny tupot stóp. Najpierw coś mocno zadudniło, potem ktoś znowu cicho postawił nogę i wreszcie rozległo się zduszone przekleństwo; to Matt po prostu się potknął. Następnie pobiegł do sypialni rodziców. Tyler nasłuchiwał w ciemności tak długo, aż wreszcie usłyszał poruszone, chociaż zaspane głosy. Nie był w stanie wychwycić, o czym rozmawiają.

Nie ma nic do jedzenia, pomyślał głupio. Wiedźma wszystko zjadła. Jutro rodzice zabiorą Matta i ciebie do lasu i pozostawią was tam na pożarcie dzikim zwierzętom.

Ale kiedy usłyszał głośno wyszeptane imię Fletchera, zrzucił z siebie koldrę i bosy wyszedł na korytarz. W sypialni rodziców paliło się światło. Matt spojrzał na niego przez ramię.

— Idź do łóżka, jest wpół do drugiej — usłyszał błaganie Jocelyn, dobiegające niemal spod poduszki.

Steve jedynie coś burknął, a Matt przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

— Co się dzieje? — wyszeptał Tyler.

Matt odwrócił się do starszego brata.

— Śniło mi się, że słyszę, jak Fletcher drapie w drzwi od podwórza. Tak jakbym przypadkowo zamknął go na zewnątrz w zimną noc, rozumiesz? Wyszedłem, żeby go wpuścić do domu, i dopiero na parterze sobie przypomniałem, że Fletcher przecież nie żyje. A mimo to wciąż drapał w drzwi. W świetle lampy na podwórzu widziałem jego cień.

Tyler westchnął. Dostrzegł wokół oczu brata sine podkowsy. W zbyt dużej bawełnianej koszulce wyglądał jak małe dziecko, które w rzeczywistości wciąż w sobie skrywał i które miało prawo objawiać się od czasu do czasu u trzynastolatka — na przykład, kiedy w nocy prześladował go koszmar.

— To ci się śniło — powiedział Tyler. — A teraz idź do łóżka, braciszku.

— Ale lampa na zewnątrz wciąż się pali, Tyler, a to oznacza...

I wtedy obaj to usłyszeli: stłumione warczenie psa, które zdawało się docierać z lasu za domem. Przez chwilę Tyler miał wrażenie, że słyszy to warczenie jedynie w swojej głowie, że jest to jakiś urojony dźwięk wydobywający się z głębi jego przemęczonego umysłu, swoista reakcja psychiczna na to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni. Ponieważ, owszem, psie odgłosy bardzo przypominały warczenie Fletchera. Po chwili jednak usłyszał je znowu, tym razem wyraźniejsze i bliższe, jakby hałasujący pies stanął na podwórku tuż przy końskiej zagrodzie. Teraz jednak Tyler nie miał już cienia wątpliwości, że to warczał Fletcher.

Bracia przystąpili do działania niemal w komiczny sposób: Tyler niezgrabnie zbiegł do drzwi po schodach i zaraz dołączył do niego Matt. Po chwili za ich plecami stanęli Steve i Jocelyn, którzy błyskawicznie wyskoczyli z łóżka. Tyler przestąpił przez trójkąt zimnego światła księżyca, które przez drzwi padało na kafelki podłogowe. Zobaczył, że lampa zewnętrzna już się nie pali. Lampa miała wbudowany wyłącznik czasowy i czujnik ruchu, zatem coś, co spowodowało jej włączenie trochę wcześniej, już nie znajdowało się w jej zasięgu. Na parterze było niezwykle ciemno, ponieważ płyta wiórowa, zakrywająca rozbite okno w jadalni, nie przepuszczała nawet największego promienia światła z zewnątrz. Grantowie nie

kupili jeszcze nowego stołu do jadalni i pusta, zabita płyta przestrzeń wydawała się czarna jak stara kotłownia w fabryce.

Tyler wyciągnął z tylnych drzwi skobel i przekręcił klucz w zamku. Kiedy otworzył drzwi, zimne powietrze z zewnątrz natychmiast schłodziło jego nagą skórę. Matt precyzyjnie się pomiędzy nim a framugą i wyjrzał na zewnątrz.

— Chłopcy, bo złapiecie przeziębienie — powiedziała Jocelyn, ale Matt uniósł palec wskazujący i uciszył ją.

Przekrzywił głowę i nasłuchiwał.

Cisza.

Jednak po chwili psi warkot rozległ się znowu, teraz wyraźniejszy i bardziej oczywisty, gdyż dźwięku nie zagłuszały już żadne ściany. Docierał z lewej strony, z nieprzeniknionej ciemności, jaką zapewniał masyw Mount Misery. Oddech uwiązał w gardle Tylerowi, a Matt odwrócił się z dzikim spojrzeniem:

— To jest Fletcher!

— Nie bądź śmieszny, Matt — powiedział Steve spokojnym głosem.

Stanął w progu razem z synami. Źródło psiego warkotu poruszało się i teraz dźwięki docierały z prawej strony. Nie były to głosy szczęśliwego zwierzaka, nie brzmiało to jak powarkiwanie zadowolonego Fletchera, kiedy biegał za rzucanymi mu kijami. Ale nie było też w nich złości... to było raczej warczenie psa, który jest dręczony, warczenie, w którym brzmiał smutek. A jednak ten dźwięk... Czy można rozpoznać psa po jego warkocie w taki sposób, w jaki rozróżnia się głosy ludzi — w ciemności, w napięciu i w strachu? No bo przecież to na pewno nie mógł być Fletcher. Pochowali go w sobotnie popołudnie i obecnie znajdował się na skraju podwórza, owinięty w prześcieradło, zakopany w płytkim grobie za zagrodą dla koni. Ziemia była wilgotna i koc pewnie zaczynał już gnić. Działka Fletchera straciły już dumny kształt, a białe plamki na jego futrze z pewnością nie były już białe.

Warczenie w oddali przeszło w wysoki, upiorny skowyt i Tyler poczuł mrowienie w całym ciele.

— Posłuchajcie tylko... to przecież jest Fletcher — wyszeptał Matt; tracił nad sobą panowanie.

— Fletcher nie żyje, Matt — odpowiedział mu Tyler. — A poza tym on wydawał z siebie zupełnie inne dźwięki. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby nasz pies wył w taki sposób?

— Nie, ale przecież on nigdy dotąd nie był martwy.

Trudno było szukać argumentów wobec głupiej logiki. Matt wychylił się na zewnątrz i zaczął wywoływać imię martwego psa, bardzo się starając, aby jego głos brzmiał spokojnie. Tyler nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego to nawoływanie napełniło go ogromnym przerażeniem, a jednak tak się stało. Był przerażony do tego stopnia, że odwrócił się, drżąc na całym ciele. Nawet Steve zdawał się czuć

strach, ponieważ po chwili chwycił Matta wpół i wciągnął go do domu.

— Dość tego — syknął. — Do diabła, co pomyślą nasi sąsiedzi, kiedy cię usłyszą? Na pewno jakiś pies biega po lesie, ale to nie jest Fletcher. Fletcher jest martwy.

— A może to jest ona? — zaprotestował Matt. — Skoro potrafiła rzucić urok na strumień, może także... nie wiem. To ona go zabiła!

Steve zdawał się wytracony z równowagi. Jocelyn złożyła ramiona na piersiach — ubrana była jedynie w nocną koszulę — i powiedziała:

— Szczerze mówiąc, nie wydawało mi się, żeby to był głos Fletchera...

— Zostańcie w środku — rozkazał Steve i włożył na nogi gumowe kalosze schnące pod kaloryferem, tuż przy legowisku Fletchera.

Legowisko wciąż tkwiło na starym miejscu, ponieważ nikt nie miał serca, żeby je usunąć do szopy. Był to ludzki fragment bólu po stracie psa, teraz wydający się bardziej złowieszczy, jakby wszyscy czworo nieświadomie czekali na znaki, których i tak nie potrafiliby dobrze zrozumieć... i nad którymi nie mogliby zapanować.

Steve wyszedł na zewnątrz, a Tyler za nim. Jocelyn zawołała go, ale Tyler zatrzasnął drzwi i ruszył za ojcem. Wilgotny chłód uderzył go jak młot parowy. Temperatura na dworze wynosiła około zera stopni Celsjusza, a płytki na werandzie, na których stawał boso stopy, pokryte były mokrymi liśćmi, które przesyłały zimno do jego kostek i rozprzestrzeniały je po całym ciele. Tyler zaczął drżeć. Przycisnął dłonie do pasa i spróbował pocierać się nimi dla uzyskania choćby odrobiny ciepła, jednak to ani trochę nie pomagało. Steve odwrócił się w kierunku, z którego psie odgłosy docierały ostatnim razem, i chyba chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Tyler odniósł wrażenie, że ujrzał błysk ulgi w oczach ojca.

Warczenie ustało. W powietrzu słychać było jedynie szum wiatru i plusk strumienia w ciemności... strumienia, w którym krew była już nie czerwona, lecz czarna. Świecił księżyc w pełni i w jego świetle z ust ojca i syna unosiły się białe kłęby pary.

Warczenie psa rozległo się znowu, tym razem gdzieś z głębi lasu, i Tyler nagle uzyskał irracjonalną pewność, że to warczy Fletcher. Było to niemożliwe, a jednak prawdziwe. W zimną, baśniową noc, jak dzisiejsza, takie sytuacje mogły się przecież zdarzać.

— Rozumiem, dlaczego Matt uznał, że to głos Fletchera — powiedział nagle Steve, dziwnie spokojnym głosem. — Bo ten warkot naprawdę przypomina warczenie naszego psa. Jednak wszystkie psy średniej wielkości wydają podobne odgłosy. W mieście są dziesiątki psów i to może być przecież którykolwiek z nich.

W ciemności Tyler nie był w stanie odgadnąć, czy opanowanie w głosie ojca było szczere, czy też Steve próbuje po prostu przekonać samego siebie.

Znowu zapadła cisza.

Nasłuchiwali przez kilka minut, jednak warczenie już się nie powtórzyło. Steve zrobił w tył zwrot, jakby podjął decyzję.

— Jeżeli ten pies biega luzem, będziemy musieli go złapać, zanim spowoduje jakież szkody — powiedział. — Wyślę esemesa do Roberta Grima. Wracasz do domu?

Tyler pomyślał o wyciu, jakie słyszeli wcześniej. Odchylił głowę i popatrzył w zimne gwiazdy, znów próbując odegnać prześladowające go myśli. Następnie omiół wzrokiem podwórze, wyławiając z mroku koński wybieg, kopiec, który był grobem Fletchera, stajnię, teraz pustą i zupełnie ciemną. Coś się tam ruszało; na skraju dachu przysiadł biały jak śnieg kot, nocny łowca.

Steve dotknął jego ramienia i powiedział:

— Chodź już do domu, bo zamarzniesz.

Kiedy Tyler ponownie podniósł głowę, kota nie było już na dachu.

— O co chodzi? — zapytał go Steve.

— Chyba widziałem białego kota. Na dachu stajni.

— To chyba światło księżyca bawi się z tobą.

Tyler stał przez moment bez ruchu, a potem się odwrócił.

Otoczaki na ścieżce lśniły w świetle pełnego księżyca, jakby wskazywały ojcu i synowi drogę do domu.

* * *

W mieście nie zgłoszono zaginięcia żadnego psa i nikt, poza Grantami, nie słyszał w nocy psiego warkotu. Kiedy Tyler wrócił do domu ze szkoły, Steve powiedział mu, że strumień nad ranem przestał krwawić i że do południa woda zrobiła się krystaliczna jak zawsze. HEX starannie przeczesał lasy, jednak nie natknął się na nic nadzwyczajnego. Jego funkcjonariusze, z Robertem Grimem na czele, tryskali optymizmem. Pies, który uciekł, na pewno pochodził z Mountainville albo z Central Valley, po drugiej stronie rezerwatu, i zapewne wrócił już do swojego pana, twierdził Steve. Po skończeniu pracy przez szklarzy razem z Jocelyn pojechał do Newburgha, do magazynu z meblami, i oboje wybrali nowy stół do jadalni. W oczekiwaniu na jego dostarczenie znieśli na dół ze strychu stary sosnowy stół. W tych poczynaniach było coś z niezdecydowania nowicjuszy i Tyler odniósł wrażenie, że cała rodzina rozpoczyna życie od nowa. Tymczasem ludzie w mieście z ulgą przyjmowali do wiadomości, że wszystko wraca na stare tory, co przecież w zupełności im odpowiadało.

Tyler nie czuł jednak ulgi. Odczuwał większy niepokój niż kiedykolwiek, a nad jego głową wisiało rosnące z każdą godziną poczucie desperacji. Wszystko dookoła wydawało się nie takie, jak powinno, bezsensowne.

Tej nocy minęło sporo czasu, zanim zasnął. Usiadł w oknie swojego pokoju

owinięty kocem, a blade światło księżyca odbijało się w jego oczach. Wciąż słyszał głos młodszego brata: „Nie, ale przecież on nigdy dotąd nie był martwy”. Słowa te wróciły do niego w szkole, na lekcji geografii, kiedy dostał wiadomość od Lawrence’a:

„Słyszałeś psa ostatniej nocy??? Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić, ale prawie zesrałem się w gacie, myślałem, że to Fletcher!”.

— Tyler, chcesz mi coś powiedzieć? — niespodziewanie zapytał go Steve, kiedy chłopak wieczorem chciał już iść na górę do swojego pokoju.

Było krótko po jedenastej i sieci telewizyjne podały właśnie, że w Ohio wygrał Obama, co oznaczało, że będzie prezydentem przez kolejną czteroletnią kadencję.

— Nie. Dlaczego?

Posłał ojcu szczerze, niewinne spojrzenie, jednak w głębi ducha zaklął. Czy to było takie oczywiste?

— Sam nie wiem. Jesteś ostatnio taki milczący.

Tyler wzruszył ramionami.

— Wiele się dzieje, nie sądzisz?

— Chyba tak. — Steve popatrzył na niego, szukając w jego spojrzeniu jakiejś głębi. W gruncie rzeczy potrafił czytać ze wzroku syna niczym z obrazka. — Na pewno dobrze się czujesz?

— Jasne.

Steve uśmiechnął się i powiedział:

— Cóż, jak będziesz gotowy, daj mi znać.

Tyler zdołał przywołać na usta coś w rodzaju uśmiechu i wbiegł po schodach na górę. W tym momencie nienawidził ojca za to, że z taką łatwością potrafi przenikać jego myśli. Jego pytanie było gwałtownym, nieprzyjaznym ciosem, którego siła zdumiała Tylera, a nawet trochę zabolą. Zmusiła go do przyznania, że sytuacja zmieniła się, i to wcale nie na lepsze. A może na lepsze, jednak tylko w niewielkim zakresie, przyznał, kiedy się nad tym głębiej zastanowił.

Kiedy zegar w salonie wybił godzinę pierwszą, wciągnął džinsy, włożył na siebie dwa swetry i zapakował mnóstwo rzeczy do plecaka Adidasa: latarkę, kamerę GoPro, iPhone’a oraz do połowy pełną saszetkę psiego jedzenia, którą wcześniej tego wieczoru przyniósł na górę ze spiżarni; karmy Fletchera jeszcze nie wyrzucili, mimo że pies nie miał już żadnej szansy, aby kiedykolwiek ją zjeść. Przez minutę nasłuchiwał na półpiętrze i uznał, że nie może zaryzykować schodzenia po skrzypiących schodach. Kiedy upewnił się, że wszyscy już śpią, otworzył okno w swoim pokoju, powoli, ostrożnie położył ręce na parapecie, a potem zszedł po niestabilnej kratownicy, przeznaczonej dla winorośli. Po chwili dotknął butami parapetu okna kuchennego, znajdującego się nieco po lewej stronie. Przypadkowo pchnął je do wewnątrz. Zawiasy wydały rozdzierający zgrzyt i Tyler

pomyślał, że z powodu tego jednego odgłosu zawalił cały swój plan — rodzice natychmiast się obudzą. Zobaczą go, jak wisi na kratownicy, i natychmiast wyślą z powrotem do łóżka.

Nic takiego się nie stało i Tyler zeskoczył na ziemię, padł na kolana, przeturlał się i po chwili wstał na równe nogi.

Bezgłośnie przeszedł na podwórko VanderMeerów i zadzwonił na telefon komórkowy Lawrence'a. Minęło dziesięć minut, zanim jego głowa ukazała się w końcu w oknie. Przez ten czas Tyler bezskutecznie do niego wydzwaniał, aż w końcu zaczął rzucać w okno małymi kamyczkami.

— Przepraszam, zasnęłam — wyszeptał Lawrence.

Po kolejnych pięciu minutach w końcu wyszedł przez okno i zeskoczył na ziemię z drewnianego dachu altany.

— Mówiłem ci przecież, żebyś nastawił budzenie.

— Nastawiłem, ale i to przespałem. — Lawrence wbił dłonie w kieszenie spodni i zaczął pocierać nimi uda, aby się rozgrzać. — Jezu, jak zimno. Co robimy?

— Idziemy do lasu.

Lawrence zawahał się, jakby rozważał swoją wcześniejszą obietnicę; być może pomysł Tylera stracił logikę i sens, gdy padło na niego światło gwiazd, lśniących pomiędzy kłębiącymi się chmurami.

— No, nie wiem, stary. Dzisiaj w nocy niczego nie słyszałem.

— Chcę być pewien.

Żaden z nich nie mówił już nic, kiedy weszli na szlak Highland Trail po drugiej stronie strumienia, który biegł stromo pod górę ku łańcuchowi górskiemu. Od czasu do czasu dostrzegali lampki ledowe przy kamerach bezpieczeństwa zawieszonych na drzewach, wysoko nad ich głowami, ale aplikacja podpowiadała, że wiedźma jest w mieście, a nie tutaj, w lesie. Tyler nie obawiał się dostrzeżenia przez HEX-a, szedł wyznaczonym szlakiem, który uspokajał wędrowca tak samo, jak światło latarni dawno temu uspokajało żeglarzy w sztormowe noce. Wokół panowała bowiem nieprzenikniona ciemność. Każdy dźwięk — trzask gałązki, szum wiatru, nerwowe nawoływania nocnych ptaków — był spotęgowany, tak jakby sama noc działała jak naturalny leśny wzmacniacz i jakby wśród drzew toczyło się sekretne życie. Tutaj w wieku siedemnastu lat wciąż był dzieckiem, za jakie przestał się uważać już dawno temu, i rozumiał, że obaj z Lawrence'em są teraz bezradni i samotni w niezmierzonej czarnej puszczy.

Po długiej chwili wy dobył z worka garść karmy dla psów i zaczął ją rozrzucać na szlaku.

— Kurwa, człowieku. — Lawrence patrzył na to z niepewną miną. — To dla mnie wygląda jak początek jakiejś bajeczki. Złej bajeczki, w której na koniec zostaniesz zjedzony przez wielkiego złego wilka.

Tyler posłał mu szeroki uśmiech.

— Chyba mylą ci się bajki.

Przez jakiś czas rozmawiali jak mali chłopcy przy ognisku, przytłumionymi, cichymi głosami. Tyler wyrzucił kolejną garść karmy i zaczął lekko gwizdać.

— Naprawdę uważasz, że to pomoże? — zapytał Lawrence.

Tyler wzruszył ramionami i po chwili Lawrence także zaczął gwizdać. Ich połączone głosy zabrzmiały jak wysokie, przenikliwe nawoływania ptaków, słabe i zimne jak martwa symfonia. To sprawiło, że na karku Tylera wyprostowały się wszystkie włosy. Obaj równocześnie wykonywali kolejne kroki, posuwali się do przodu ramię przy ramieniu. Kolisty promień światła z latarki przenosił się od drzewa do drzewa.

— Naprawdę czuję się jak kretyn — powiedział Lawrence i roześmiał się głupawo. — Tamtej nocy to wcale nie był Fletcher. Owszem, głos tego psa był podobny do głosu Fletchera, ale Fletcher przecież jest martwy. Widzieliśmy, jak Jaydon poszczuł nim wiedźmę, prawda? No to się zemściła. Kurwa, co my tutaj robimy, Tyler?

— Myślisz, że Jaydon się boi? — zapytał Tyler. — Boi się, że ona również jego dopadnie?

— Nie, chyba nie. Na początku się bał, to dlatego nie oddał ci, kiedy uderzyłeś go w głowę. Ale ona chyba nie będzie go ścigać. To Fletcher ją ugryzł własnymi zębami. A Jaydon miał nóż. Ich ciała nigdy się nie zetknęły.

— Jeśli Jaydon dojdzie do identycznego wniosku, będzie jeszcze bardziej niebezpieczny — zauważył Tyler.

— Dlaczego?

Tyler wzruszył ramionami. Miał po prostu przecucie, swoiste przeświadczenie; nie potrafiłby wyjaśnić, skąd się ono wzięło. Powróciło do niego wspomnienie wyrazu oczu Jaydona, zanim gwałtownie zaatakował nożem Katherine; Tyler doszedł do wniosku, że to wszystko znacznie przekroczyło beztroską brawurę, młodzieńczą skłonność do wybryków, a nawet obłąd.

To osiągnęło nieznany dotąd poziom przesrania.

Szli jeszcze przez piętnaście minut, gdy Tyler wreszcie się zatrzymał. Osiągnęli już znaczną wysokość i gdzieś po lewej stronie mieli wielkie skaliste wychodnie, tworzące szczyt góry, za którym znajdował się punkt widokowy i rezerwat Aleck Meadow. Światło latarki przecinało nieprzenikniony mrok pomiędzy pniami drzew i połamanymi gałęziami zalegającymi na zboczu, ale nie sięgało dalej niż na dziesięć metrów i właściwie niczego konkretnego nie można było w nim zobaczyć. Tyler odwrócił się i skierował latarkę do tyłu, na ścieżkę, którą przyszli; ślad rozrzuconej psiej karmy znikał w mrocznym tunelu pomiędzy drzewami. Tyler właśnie uspokajał się myślą, że — tak jak w każdej bajce — trzeba tylko podążać przed siebie wyznaczonym traktem, a w drodze powrotnej

stąpać po własnych śladach, gdy coś poruszyło się z szelestem w ciemności.

Natychmiast przestał zataczać latarką kręgi żółtego światła i zaczął nasłuchiwać. Przez krótką chwilę nie miał pewności, czy w ogóle cokolwiek usłyszał. Ale potem już ją zyskał: jakieś zwierzę stąpało po ściółce leśnej, poruszało liśćmi, skradało się w kierunku ścieżki. Lawrence przechylił głowę, nerwowo zacisnął usta.

Tyler zareagował, sięgając do sportowej torby i szybko wydobywając z niej GoPro. Włączył kamerę i uruchomił nagrywanie. W ciemności ekran LCD zaświecił jak kwadratowa, zielonoczarna plama.

Ponownie usłyszeli dźwięk poruszającego się zwierzęcia trochę niżej na szlaku, który właśnie przebyli. Źródło dźwięku przybliżyło się do nich. Tyler poczuł, że krew uderza mu do głowy. Zwilgotniały mu dłonie i niemal upuścił latarkę. Chociaż jego palce były mokre, usta całkowicie mu wyschły.

— Fletcher? — wyszeptał.

— Jezu, zamknij się — jęknął Lawrence.

— Słyszysz to, prawda?

— Ale ten stwór tam to nie jest Fletcher, to jelen, lis albo jakiś pierdolony szop pracz, to może być cokolwiek. Mam wielką ochotę stąd spierdalać.

Dźwięki zaczęły dochodzić z prawej strony ścieżki, co chwilę oddalały się i zbliżały na pochyłym terenie. Były to krótkie odgłosy, jakby pospieszne, i Tyler doskonale wiedział, że nie mają do czynienia ani z jeleniem, ani z szopem praczem; zwierzęciem, które poruszało się w ciemności, kierował instynkt łowny, szybko i pewnie stawiało łapy na leśnym podłożu. Noc zdawała się oddychać, nabrzmiewając, grożąc w każdej chwili wybuchem. Tyler odniósł wrażenie, że ma nogi jak z gumy. Był pewien, że zwierzęciem, które krąży w mroku, jest pies.

— Jezu, to on! — zawołał Lawrence ochrypłym głosem.

— Fletcher!

Pod wpływem niekontrolowanego impulsu Tyler skoczył do przodu, w leśną gęstwinię, jednak Lawrence złapał go za rękaw i zaciągnął z powrotem na ścieżkę.

— O, nie, ani mi się waż! Zostaniesz tutaj ze mną.

— Fletcher! — znów głośno syknął Tyler i zaraz cicho gwizdnał. Lawrence uczynił to samo.

Przez moment Tyler wyobrażał sobie, że słyszy głośny oddech zwierzęcia... a po chwili był przekonany, że wcale sobie tego nie wyobraża, że pies jest naprawdę tuż przed nim. Znowu się poruszył. Bez wątpienia Fletcher znajdował się w zasięgu słuchu — o ile to był Fletcher, oczywiście, ale dlaczego Tyler miałby się teraz zachowywać, jakby to nie był jego pies? W tej chwili znajdował się nie dalej niż piętnaście metrów od niego, trochę wyżej, jednak dźwięki roznosiły się po nocnym lesie w dziwny sposób. Dlaczego pies się do niego nie zbliżał? Wyobraził sobie Fletchera w ciemności, wężącego w mroku, ślepego i głucheego,

z wywieszonym językiem, nie mogącego znaleźć drogi do domu...

„Nie ulęknieś się grozy nocy, zarazy, która krąży w ciemnościach”.

Głos Coltona Mathersa rozbrzmiał w jego głowie, jednak ani odrobinę go nie uspokoił, ponieważ zaraz po nim usłyszał inny głos, wydobywający się znikąd, jakby sama Katherine szeptała w jego głowie: „Ciesz się ostatnimi chwilami życia, jutro wszyscy umrą”.

Nagle Tyler doznał olśnienia i było to olśnienie równie zimne jak garść czarnego lodu. Latarka zaczęła drżeć w jego dłoni i mocno chwycił się Lawrence’a.

— Mówią, że Katherine wykradła swojego syna śmierci, prawda? Czyż nie za to została powieszona? Wierzysz w to? Wierzysz, że ona potrafi wskrzesić umarłego?

— Odpierdol się. — Głos Lawrence’a zabrzmiał, jakby łkał.

— A jeśli ona...

— Nie wiem. Ale nie sądzę, żeby w tym ciemnym lesie biegał teraz Fletcher, człowieku. Jeżeli to jest Fletcher, dlaczego jeszcze do nas nie podbiegł?

— Fletcher!

— Przestań!

Właśnie w tym momencie obaj spanikowali. Powietrze wypełniło gwałtowne trzepotanie skrzydeł i w jednej krótkiej chwili przez strumień światła latarki przeleciała śnieżnobiała sowa. Chłopcy krzyknęli i przywarli do siebie. Ptak zaskrzeczał i potężnie zamachawszy skrzydłami, odleciał w kierunku zniszczonej drewnianej budki w punkcie widokowym, gdzie jako dzieci spędzili mnóstwo letnich wieczorów i gdzie można by organizować najwspanialsze pikniki na świecie, gdyby tylko pójść w to miejsce, które wskazała sowa. Ale Tyler nie miał ochoty na żaden piknik, natomiast w jednej chwili zrozumiał, że nie będzie już dłużej pragnął sprawdzać, jakie zwierzę kryje się w mroku, nawet jeśli to naprawdę jest Fletcher, bo jeśli Fletcher nie żyje, wśród drzew krąży coś tak przerażającego, że może w jednej chwili pozbawić człowieka wszystkich zmysłów.

Później odnotował już tylko to, że biegnie i słyszy, jak leśny stwór podąża za nimi, z nadzwyczajną łatwością skracając dystans do dwójki uciekinierów. Latarka oświetlała ścieżkę, tworząc zadziwiającą plataninę światła i cieni. Chwilami pierwszy biegł Lawrence, a chwilami Tyler, obaj pokrzykiwali na siebie nawzajem: „nie tak szybko, zaczekaj”, jednak żaden z nich ani na chwilę nie zwolnił. W pewnej chwili Tyler odniósł wrażenie, że słyszy brzęk metalu, i pomyślał o sprzączce na obroży Fletchera.

Oczywiście ślad psiej karmy skończył się w połowie wzgórza. Tak to zwykle bywa ze śladami, które mają kogoś wyprowadzić z lasu. Co dziwne, właśnie ten fakt złagodził przerażenie Tylera; nagle poczuł się pewnie, ponieważ i bez tej psiej karmy wiedział, w jakim miejscu się znajduje — pośrodku nieznanego, ścigany przez koszmar pochodzący prosto z baśni, a na końcu jego drogi i tak znajduje się

Black Spring. Na końcu drogi zawsze znajdowało się Black Spring i linia wytyczająca granicę z zewnętrznym światem, gdzie nikt nie znał ich imion i nie wiedział, jak żyli.

Poza tym jednak pamięć nic mu już nie podpowiadała; jego świadomość zapewne zamknęła się w instynktownej próbie samoocalenia. Najprawdopodobniej razem z Lawrence'em zbiegł z wytyczonej ścieżki, ponieważ zahaczył o coś nogą i głową do przodu wpadł prosto do Strumienia Filozofów. Woda zimna jak lód spryskała jego twarz, sprawiła, że zeszywniały mu policzki, przemoczyła mu całe ubranie do nagiej skóry. Otworzył szeroko usta, chcąc krzyknąć, ale nie wydobył z siebie głosu, za to najadł się mokrego piasku. To sprawiło, że otrzeźwiał. Po chwili uniósł się na kolana, krztusząc się, plując piaskiem i wodą. Później zdał sobie sprawę, że jeszcze przed momentem znajdował się na granicy szaleństwa. A teraz usłyszał w głowie jakiś trzask, jakby otwierała się w niej wielka żelazna zastawka... Po chwili szarpnął go Lawrence i Tyler padł na brzeg strumienia.

Potykaçąc się, znaleźli ścieżkę prowadzącą na podwórze za domem Tylera i razem upadli na trawnik przed stajnią, skrajnie wycieńczeni.

I, ponieważ była to jedyna wyobrażalna reakcja na szaleństwo, obaj wybuchnęli śmiechem.

— W baśni byłby to moment, w którym powinniśmy znaleźć wielką wazę ze złotem i drogocennymi kamieniami, a potem żyć długo i szczęśliwie — powiedział Tyler i te słowa jeszcze bardziej rozbawiły ich obu.

— Twoja kamera — odezwał się Lawrence, kiedy w końcu przestali się śmiać.

Podał GoPro Tylerowi; musiała wysunąć mu się z ręki, kiedy wpadał do strumienia, jednak wodoodporna obudowa sprawiła, że kamerze nic się nie stało. Jednak latarka, niestety, przepadła.

Tyler wstał na nogi, w ciężkim i mokrym ubraniu, wciąż ociekającym wodą ze strumienia, pasma wilgotnych włosów lepiły mu się do czoła. Zaczął szcękać zębami i nie potrafił tego powstrzymać.

— Kuuurwa... co to było? — wymamrotał z trudem.

Lawrence potrząsnął głową.

— Nic nie widziałem.

Popatrzyli na siebie nawzajem i zanieśli się głębokim śmiechem, jednak szybko zamilkli. Niezdecydowany i cały w niekontrolowanych drgawkach Tyler po prostu stał na trawniku. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że czerwone światełko sygnalizujące nagrywanie, nadal się pali. Małe gówienko sfilmowało całą paniczną ucieczkę.

Zdziwiony wyłączył kamerę.

* * *

Tyler dopiero po dwóch dniach jest w stanie popatrzeć na nagranie z kamery.

Przekłada kartę pamięci z GoPro do swojego laptopa i oszołomiony gapi się w ekran szklistymi oczyma. Wiele się zmieniło: jego zabłocone ubranie, dwa dni temu cuchnące wodą ze strumienia, teraz pachnie już środkiem do prania, starannie złożone w kostkę w szafie. Katherine też się zmieniła. Już nie pojawia się i nie znika, tylko od kilku dni przechadza się z wielką torbą na zakupy, w której trzyma martwego pawia (nie umknęło to całkowicie uwagi Tylera, mimo stanu, w jakim się znajduje), i wszystko wskazuje na to, że jest do tego pawia bardzo przywiązana. Obecnie przebywa gdzieś w lesie za domem Grantów, Tyler nie ma jednak zamiaru się za nią rozglądać. Ma dosyć wiedzy, dosyć nagrywania filmów. Poza tym las wciąż jest zamknięty dla turystów; wszędzie stoją ogrodzenia, a wolontariusze z HEX-a w mundurach strażników Parku Stanowego blokują wejścia na szlaki.

Nagranie trwa dwanaście minut i czterdzieści cztery sekundy i ze względu na duże rozmiary Tyler przenosi je na zewnętrzny twardego dysku.

Następnie ogląda film i widzi coś przerażającego.

Zatrzymuje nagranie i wpatruje się w ekran, pogrążony w rozmyśleniach.

Niespodziewanie ktoś zaczyna się gwałtownie dobijać do drzwi od podwórza. Powoli, jakby w transie, Tyler unosi wzrok. Pamięta, że jest w domu sam. W odruchu, który utrwalił się w nim w dniach, kiedy był wideoblogerem, wyciąga kartę pamięci z napędu USB, wsadza ją do GoPro i chowa kamerę w kieszeni. Zbiega po schodach, unosząc ze sobą kamerę, która za chwilę ma zarejestrować ostatni i najbardziej wstrząsający materiał wideo w jego karierze dziennikarskiej.

Do drzwi dobija się Lawrence. Gdy tylko Tyler je otwiera, Lawrence ciągnie go za ramię.

— Chodź ze mną, natychmiast — mówi. — Musimy ich powstrzymać.

— Co... — zaczyna Tyler, lecz zaraz myśli: Jaydon.

Nie ma pojęcia, skąd to wie, ale przecież wie. Obaj z Lawrence'em biegną do bramy, a potem ścieżką do strumienia, a Tyler czuje się tak, jakby od tyłu odtwarzał nagranie wideo. Wkrótce docierają do tego samego miejsca, w którym tak niedawno wylądował w strumieniu. Mijają trzy sekundy i obaj już wiedzą, jak przedstawia się sytuacja i jak jest poważna, ewidentnie wszystko jest popieprzone. Tyler instynktownie wydobywa z kieszeni GoPro i zaczyna nagrywać.

Kamera drży w jego rękach, jednak nagranie nie kłamie. Sto metrów w prawo, tuż przy Deep Hollow Road, stoją płoty, przy których nie ma wolontariuszy. Kamera przesuwają się w drugą stronę i wtedy widzimy tych wolontariuszy, nie na swoim miejscu: to Jaydon, Justin i Buran, w ciężkich butach i mundurach strażników Parku. Sukinsyny, zgłosili się na ochotnika i Grim przyjął ich ofertę, myśli Tyler. Pomiędzy nimi stoi chwiejąca się Katherine, nienaturalnie zgięta, jakby miała złamany kręgosłup. Chłopacy popychają ją do przodu tak, jak

się kieruje bydłem, korzystając z mioteł z odłamanymi końcówkami do zmiatania. Z zachowania więdźmy wynika, że jest przerażona. Jej zaszyte usta wykrzywione są w grymasie paniki, desperacko zaciska dłoń na pawich piórach wystających z jej — to nierealne, myśli Tyler — torby na zakupy z logo Market & Deli. Próbuje oswobodzić się od prześladowców, odejść, oni jednak bezlitośnie dźgają ją ze wszystkich stron. Jaydon uderza ją swoją miotłą i wtedy więdźma zmienia kierunek. Dla Tylera pozostaje wielką tajemnicą, dlaczego więdźma tak kurczowo trzyma tego głupiego pawia, jednak jest to niezaprzeczalny fakt. Zdesperowana Katherine woli dać sobą poniewierać, niż zniknąć, pozostawiając ludziom torbę na zakupy.

Po chwili nagranie rozmywa się; widzimy na nim różowe punkciki palców Tylera, który próbuje zakryć kamerę, słyszymy, jak ktoś biegnie, widzimy drżące leśne podłoże. Widzimy też roztrzaskaną kamerę bezpieczeństwa, którą ktoś zerwał z drzewa: tym razem nie ma miejsca na sentymenty.

— Jezu, przestańcie! — woła Tyler przeraźliwie. — Zostawcie ją w spokoju!

— Pilnuj swoich pierdolonych spraw. Stój sobie i patrz albo stąd spierdalaj!

— Nie pogarszajcie sytuacji. Przecież jeszcze możecie przestać.

— Zabiła twojego psa. Powinieneś być nam wdzięczny. Wszyscy się tylko na nią gapią, ale my w końcu coś robimy. Idź, dziwko!

Kolejne uderzenie i więdźma chwije się na nogach, z trudem utrzymując pozycję pionową.

Zatacza się. Materiał koloru khaki znajduje się nagle bardzo blisko obiektywu. Wiruje niebo. Widać zaszyte oczy i gwałtowne, desperackie kroki więdźmy, spętanej łańcuchami. Dłonie obejmują ramiona. Kij od miotły nagle spada jak bicz; Jaydon nie ma nastroju do żartów. Tyler cofa się i widzimy trawę, widzimy łożysko strumienia, widzimy u góry zdesperowane twarze. Lawrence i Tyler znowu skaczą do przodu i widzimy bijatykę, słyszymy przekleństwa. Nagle Lawrence otrzymuje potężny cios kijem i uderza głową w głaz leżący w strumieniu. Ciężko dysząc, Tyler przewraca go na wznak i widzimy głębokie rozcięcie białej skóry oraz włosy zlepione krwią.

— Lawrence, nic ci nie jest?

— Nie. Powstrzymaj ich.

Patrzy na nich Buran. Waha się, trzyma kij w ręce.

— Skurwysyn! — wrzeszczy Tyler i pomaga Lawrence'owi wstać, a Buran wraca do Jaydona i Justina.

W tej samej chwili, w której Tyler dostrzega, co się dzieje, widok chwytają także kamera i słyszymy zduszony krzyk, który wydobywa się z jego gardła, bardziej zwierzęcy niż ludzki. Trójka dręczycieli doprowadziła więdźmę do niższej partii strumienia. Dalej widzimy dziurę w zbiorniku, który kiedyś zbierał wodę z przepustu pod Deep Hollow Road, jednak nie jest już używany. Dziura ma

powierzchnię mniej więcej metra kwadratowego, a zabłocona metalowa nakładka, która normalnie ją zakrywa, leży teraz na brzegu.

Po raz ostatni Tyler podbiega do dręczycieli wiedźmy, krzyczy, żeby tego nie robili, ale jest już za późno. Rozchwiane nagranie ukazuje, jak Jaydon gwałtownie pcha wiedźmę kijem i jak Katherine wpada bezwolnie do zbiornika. Nie jest głęboki. Wiedźma głową uderza w betonową obwódkę, a jej oprawcy wrzeszczą z uciechy, gromadzą kamienie i kamienują nieszczęsną. Tyler wszystko widzi; widzi, jak dwa ostre kamienie jednocześnie trafiają ją w twarz i rozcinają ją, widzi, jak spada chusta z jej głowy, i widzi krew i coraz więcej nowych kamieni. Wymiotuje, gdy Katherine w końcu ulega. Kiedy znika w zbiorniku, w powietrzu roznosi się zapach spalenizny, docierający z jej torby na zakupy. A kamienie wciąż latają, odbijają się od krawędzi pustego zbiornika i podskakują na ziemi.

— On ma pierdoloną kamerę! — krzyczy ktoś.

Teraz kamienie lecą w kierunku Tylera, ten kuca w samą porę, żeby ich uniknąć. Przez ułamek sekundy widzimy zbliżającą się twarz Jaydona, wykrzywioną w czystej psychopatycznej wściekłości, twarz, która wrzeszczy na ciebie, tak że chcesz tylko ująć z życiem, by zaświadczyć o tym, co właśnie widziałeś. Tyler i Lawrence uciekają więc. Sprawę ułatwia to, że znajdują się blisko swoich domów; gdyby ten dramat rozegrał się w głębi lasu, z pewnością nie uszliby bezkarnie. Ale dookoła jest więcej kamer, ludzie wychodzą z okolicznych domów i pościg za dwoma chłopakami zostaje odwołany. A jednak Tyler, nieświadomy tego wszystkiego, zatrzaskuje za sobą tylne drzwi tak gwałtownie, że drżą szyby w całym domu, przesuwają oba rygle i dopiero wtedy razem z Lawrence'em padają w kuchni na kolana i wybuchają głośnym płaczem.

Teraz jednak nie płaczą jak mali chłopcy, którymi byli jeszcze dwie noce temu. Jest to płacz chłopców, którzy właśnie stali się dorośli — z powodu wydarzeń, które okazały się zbyt doniosłe, aby sami mogli je unieść na swoich barkach. Gdy tak płaczą, obraz na ekranie robi się czarny.

17

Jeszcze tego samego popołudnia Steve zasugerował, żeby pójść po konie i umieścić je z powrotem w stajni, ale usłyszawszy to, Jocelyn zachmurzyła się.

— Nie wiem, Steve. Mam złe przeczucie. Znalazłyby się tak blisko strumienia, lasu i w ogóle... Skąd mamy wiedzieć, że w stajni jest bezpiecznie?

Wyjrzała na zewnątrz przez nowe okno. W jadalni wciąż unosił się ciężki zapach świeżej farby po jego wymianie, jednak powoli w przestrzeni zaczynał dominować zapach wegetariańskiego quiche'a z piecyka.

Steve wzruszył ramionami.

— Przecież my tutaj zostaliśmy, prawda? I nic nam się nie stało.

— Tak, ale z ludźmi jest inaczej — niespodziewanie odezwał się Matt.

Właśnie odrabiał lekcje i teraz odłożył długopis na stół. — Nie chcę, żeby również Nike skończyła powieszona na drzewie, tato.

— Przecież strumień już od dwóch dni wygląda normalnie — zauważył Steve. — I nic nie wskazuje na to, by cokolwiek toczyło się inaczej niż przedtem albo że konie są w jakikolwiek sposób zagrożone.

— Dopóki jakiś osobnik nie zapomni zamknąć drzwi do stajni — powiedział Matt.

Własny komentarz chyba go zaszokował, ale było już za późno: na twarzy Jocelyn pojawiła się maska urażonego cierpienia.

Za to Steve był zaskoczony.

— Co za cholerne założenie! — zawołał.

— Przecież to prawda, nie? Babcia nie może używać rąk, a Fletcher nie otworzył wybiegu samodzielnie, doskonale to wiesz!

— W ogóle nie wiemy, w jaki sposób Fletcher wydostał się z wybiegu. Ale jeśli mama twierdzi, że zamknęła furtkę na skobel, nie masz prawa wątpić w jej słowa. Przepraszam mamę.

— Nie będę przepraszał za coś, co...

— Przepróż!

Matt zrzucił książkę na podłogę i zeskoczył z krzesła.

— Przepraszam. Wystarczy? Przepraszam, że nie potraficie zaakceptować prawdy!

— Matt!

On jednak pobiegł już po schodach do swojego pokoju i po chwili zatrzasnął drzwi. Steve był zdumiony. Popatrzył na Jocelyn w bladym świetle późnego popołudnia, ona jednak spuściła wzrok.

— Dobra robota — westchnęła.

— A może ty sama powinnaś mu coś powiedzieć? — burknął Steve znacznie mniej przyjemnym głosem, niż zamierzał.

Rozumiał, że irracjonalny wybuch Matta był jego sposobem na radzenie sobie z żalem po stracie psa, ale mimo wszystko rozzłościło go zachowanie syna. Nie wiedział, jak sobie radzić z jego zmiennymi nastrojami, szczególnie kiedy targały nim wielkie emocje. Jocelyn była w tym lepsza. Jednym z czynników, które scalały ich małżeństwo w rozgardiaszu Black Spring, był naturalny podział ról w rodzinie, od którego rzadko odbiegali. Ten podział wprowadzał ład w środowisku, w którym wszelkie zawirowania znajdowały się na porządku dziennym. A kiedy trzeba było się mierzyć ze sprawami sercowymi, rozsądek był cnotą. Jeden z aspektów tego podziału ról przejawiał się w tym, że Jocelyn opiekowała się Mattem, a Steve był odpowiedzialny za Tylera. Nie był to, oczywiście, niezmienny podział na czarne i białe, ale ten podział oboje — a właściwie wszyscy czworo — świadomie podtrzymywali.

— Nie chodzi mi tylko o Matta — powiedziała Jocelyn. — To wpływa na nich obu. Tyler od wielu dni nie wychodzi ze swojego pokoju. To pozostawi trwałe rany, Steve. — Ruchem ręki wskazała za okno, gdzie światło dnia było coraz słabsze. — Na zewnątrz czai się coś, co zabiło naszego psa, i nic nie możemy na to poradzić.

— Szczerze mówiąc, reakcja Matta wygląda mi na całkiem naturalny wyraz głębokiego żalu. Okazał się niegrzeczny i nierozsądny, ale takie bywają dzieci. Jego żal szuka ujścia, a on się temu nie przeciwstawia. Chce obwiniać innych ludzi o coś, co wydaje mu się niesprawiedliwe. Jestem pewien, że wkrótce zejdzie do nas i przeprosi.

— Nie o to chodzi. Trywializujesz sytuację. Fletcher spoczywa w grobie. Dobrze. Kupujemy nowy stół, wszystko naprawiamy i ładnie malujemy, chcemy się zachowywać, jakby nic złego nie zaszło. Ale przecież zło się stało i jego ślady masz tuż przed swoimi oczami.

Wskazała na ciemne płytki, na których widać było wgniecenia od ciężkich kopyt Pabla. Steve wbił wzrok w żonę i westchnął spokojnie, chcąc ratować sytuację.

— Zaskakuje mnie, że Matt był strasznie wkurzony, gdy zrozumiał, że w czasie uroczystości nie przekazemy czarownicy żadnego daru. Pamiętasz, jak zareagował na to w sobotę? Niczego jej nie daliśmy, a więc to nasza wina, że Fletcher nie żyje. A miałem nadzieję, że wychowaliśmy Tylera i Matta na bardziej rozsądnych ludzi. Matt zareagował jak zwykły, przeciętny człowiek z miasta.

— A czego się spodziewałeś? — wybuchła Jocelyn. — Co on w gruncie rzeczy wie? Może to właśnie ty wywołałeś jego reakcję, może to jest twoja wina. Chcesz powiedzieć, że nasz syn nie reaguje w naturalny sposób?

— Jocelyn, opowiadasz bzdury.

— Wcale nie. Nie twierdzę, że śmierć Fletchera ma związek z czarownicą, ale my po prostu nie wiemy, dlaczego nasz pies skończył powieszony na drzewie. I nigdy się tego nie dowiemy. To dlatego Matt jest przerażony, Steve. A Tyler... czy przez ostatnie kilka dni usiadłeś z nim na chwilę i porozmawiałeś? Nie martwi cię to, że Tyler przez cały czas dystansuje się od wszystkiego?

— Pytałem go o to.

— Pytanie to nie to samo co rozmowa.

— Kochanie, on po prostu woli sam rozwiązywać swoje problemy. To jest jak najbardziej normalne u chłopca w jego wieku.

— Tutaj nic nie jest normalne. To miasto jest przeklęte, Steve. I wcale nie chodzi tylko o Katherine. Chodzi o wszystko, o głosy, jakie słyszymy w nocy, i o strumień za naszym domem, który przez ostatnie trzy dni był pełen krwi — krwi, rozumiesz? I chodzi też o ludzi. Naprawdę wierzysz, że ostatnie wydarzenia nie wywrą trwałego wpływu na nasze dzieci? A nawet na nas?

Steve popatrzył na żonę, skonsternowany.

— Jocelyn, ja przecież nie udaję, że ostatnio nic się nie wydarzyło. Po prostu staram się zachować spokój. Wydaje mi się, że to jest obecnie jedyna rozsądna postawa. Zresztą, tak było zawsze w tym mieście.

Jocelyn stała przed nim, coraz bardziej zdenerwowana.

— Ale ostatnio wszystko się zmieniło, czy tego nie rozumiesz? Mieszkaliśmy tutaj stosunkowo spokojnie przez osiemnaście lat i dawaliśmy sobie radę, ponieważ nie odczuwaliśmy bezpośredniego zagrożenia. Ale teraz nie żyje Fletcher, nie mów więc, że wciąż nam nic nie zagraża, Steve! Nie ośmielaj się nawet tak myśleć!

— Wydaje mi się, że wszystko wraca do normalności i...

— Nic nie wraca do normalności i nie chcę, żebyś udawał, że tak właśnie się dzieje. To twoja wina, że...

Nie dokończyła zdania, ale wcale nie musiała. A więc o to chodzi, pomyślał Steve. O chytry przytyk, o ostateczny argument, który ma go stłamsić, zmiażdżyć, skoro inne środki zawodzą, ponieważ niezależnie od tego, ile czasu upłynie od złego zdarzenia, argument, że to on jest temu winny, zawsze dotknie go do żywego. Wiedział, co chciała powiedzieć Jocelyn: „To twoja wina, że tutaj mieszkamy, więc zrób coś z tym”. Steve stał jak wryty, jakby właśnie natknął się na grubą, przezroczystą szybę. A więc wciąż o to chodziło? Jak to możliwe, że przez wiele, wiele lat żyli w doskonałej harmonii po to tylko, żeby teraz, ni z gruszki, ni z pietruszki padł argument, który może ich od siebie oddalić? Przecież (zapomnijmy na chwilę o gładach i geologii) to dla kariery Steve’a przeprowadzili się do Black Spring, a Jocelyn z powodu tej przeprowadzki musiała porzucić swoją. Stara rana przetrwała w niej ponad piętnaście lat — w głębokiej dziurze na podwórku, tam gdzie teraz leży Fletcher, pomyślał Steve w roztargnieniu. Czasami jednak to, co zakopamy, powraca, ponieważ słowo „zakopany” nie jest równoznaczne ze słowem „pogrzebany”.

Dostrzegła oburzenie na jego twarzy i dotknęła jego ramienia, on jednak cofnął się i złapał ją za nadgarstek.

— Pamiętaj — powiedział — że to ja nie chciałem, żebyśmy mieli drugie dziecko. Jeśli nie jesteś zadowolona z warunków, w jakich wychowują się nasi synowie, pomyśl o tym, że mogłaś sobie oszczędzić połowy tej udręki.

Oczywiście był niesprawiedliwy; oczywiście nie powinien był tego mówić. Usta Jocelyn zadrzały, wyszarpnęła rękę, odwróciła się i bez słowa poszła do kuchni. Steve został sam w jadalni, która wydała mu się teraz bardziej pusta niż zwykle.

Chryste, jak mogłem nawet myśleć, że wszystko jest w porządku? — zadał sobie pytanie. Katherine, na miłość boską, co ty zrobiłaś z naszą rodziną?

Z kuchni dotarł do niego przytłumiony szloch, a następnie odgłos otwierania

piekarnika. Po chwili dom opanował zapach przypalonego ciasta. Steve zamknął oczy, gdy usłyszał, jak Jocelyn ze złością wyrzuca quiche do pustego kosza na śmieci, a potem wstawia talerz do zlewozmywaka. Po jej twarzy spływały łzy. Weszła do jadalni, wyminęła Steva i poszła na górę. Steve wszedł do kuchni i zajrzał do kosza do śmieci. Quiche po bokach był przypalony, jednak poza tym wyglądał całkiem dobrze. Przeniósł go ostrożnie z powrotem na talerz, odkroił spalone fragmenty, przykrył folią aluminiową i pozostawił na stole. Potem wyszedł z domu. Złapał się na tym, że z przyzwyczajenia chce zabrać ze sobą smycz Fletchera z haka na drzwiach, ale zaraz przypomniał sobie, że wczoraj schował smycz, razem z psim legowiskiem, w szopie na narzędzia.

Szedł szybko, z rękami w kieszeniach, prosto pod silny wiatr, który mroził mu policzki. Przeszedł przez pole golfowe i kontynuował marsz przez kilka kilometrów wzdłuż wysokiego płotu otaczającego West Point, byle jak najdalej od Black Spring. Kurwa, może Jocelyn miała rację — może zanadto pospieszył się z uznaniem, że wszystko w mieście wraca do ustalonego porządku? Uczciwie próbował sobie przypomnieć, co wstąpiło w nich dwie noce wcześniej, kiedy uznali, że słyszą warczenie Fletchera — nawet jeśli trwało to tylko minutę albo dwie. Bzdura, oczywiście, sam w to nie wierzył. Te chwile wydawały się już bardzo odległe, zamazane, jak wstrząs, którego zaznał w lesie, kiedy znalazł martwego Fletchera albo kiedy niszczył krąg czarownic. To były irracjonalne chwile, zdawało się, że zachowywał się wtedy jak ktoś zupełnie inny. Były to chwile konsternacji, oszołomienia, głupich reakcji. Pogrzeb to pogrzeb, pomyślał. Zakopanych zwłok nie można wskrzesić. I kropka.

Ale może to wszystko nie wydawało się głupie dla pozostałych członków jego rodziny? I mimo że bolało go to bardziej, niż skłonny był przyznać, czyż nie był jednak za to odpowiedzialny?

„Kiedy przestałem wierzyć w czarownice, nadal tak robiłem, traktując to jako doskonałe ćwiczenie na zachowanie równowagi”.

Postanowił porozmawiać z Tylerem, kiedy tylko nadarzy się okazja.

* * *

Napięcie odczuwalne było w domu przez cały wieczór, jednak Jocelyn i Matt zjedli przynajmniej trochę quiche’a. Tyler nawet nie zszedł na dół; wymamrotał, że musi się uczyć do egzaminu i chce być sam. Tej nocy Jocelyn i Steve leżeli oddaleni od siebie po przeciwnych stronach dużego łóżka i patrzyli w ściany; niewypowiedziane słowa drżały w pustej przestrzeni pomiędzy nimi. Steve długo nie mógł zasnąć, jednak w końcu zmęczenie wzięło w nim górę i zmógł go sen.

Następnego ranka przy śniadaniu Jocelyn powiedziała:

— Pewnie przyprowadzę po południu konie po dzisiejszych jazdach. Myślę, że masz rację, Steve. To im już nie powinno zaszkodzić.

Steve pokiwał głową i poczuł dużą ulgę.

— Chcesz, żebym pojechał po nie z przyczepą?

Jocelyn pokręciła przecząco głową.

— Matt i ja damy sobie radę.

Więcej słów już nie padło, ale to był dobry początek i nie były konieczne żadne sztuczne zachowania. Okresy napięcia między nimi nigdy nie trwały długo, chociaż teraz sytuacja była trochę inna, delikatniejsza, i wymagała specjalnego, ostrożnego postępowania. Steve zastanawiał się nad tym na uniwersytecie, a gdy po południu grabił liście na podwórku, doszedł do wniosku, że sprawy nie wyglądają aż tak źle. Jocelyn i Matt przymocowali do samochodu przyczepę dla koni. Steve wciągnął głęboko do płuc zimne jesienne powietrze — był to jeden z tych listopadowych dni, które niosą ze sobą pierwsze subtelne ślady zimy — i uspokoił się myślą, że w mieście żyją też ludzie, którzy ostatnie wydarzenia przetrwali w znacznie gorszej kondycji niż jego rodzina.

Wciąż pracował na podwórzu, gdy Jocelyn wyszła z domu w stroju do jazdy konnej i krzyknęła:

— Steve! — W jej głosie słychać było trwogę. — Steve, chodź, szybko!

Rzucił grabie na stertę liści i pobiegł do drzwi.

— Coś złego dzieje się z Tylerem — powiedziała Jocelyn. — Na nic nie reaguje... Nie mogę do niego dotrzeć.

Zaprowadziła go do salonu. Tyler siedział w półmroku na kanapie, z nogami podciągniętymi pod brodę. Steve'owi wystarczyły trzy sekundy, aby postawić diagnozę: chłopak popadł jakby w rozdwojenie jaźni. Palce jego gołych nóg były skurczone i przylegały ściśle do siebie, jego włosy były zmierzwione, knykcie białe. Patrzył w przestrzeń wielkimi niewidzącymi oczami. Steve rozpoznał ten wyraz twarzy: widywał go u pacjentów, którzy bardzo chcieli odseparować się od rzeczywistości. Była to twarz kogoś, kto ze światła pogrąża się w mrok, i Steve zdusił w sobie nagły przyływ wielkiego strachu.

Uklęknął przed Tylerem i położył dłonie na jego ramionach.

— Hej, Tyler, popatrz na mnie...

Potrząsnął nim łagodnie, żeby wybudzić go z zamroczenia. Tyler natychmiast zareagował na jego poczynania krzykiem, co jeszcze mocniej wystraszyło Steve'a. Spodziewał się, że całe ciało syna będzie równie skurczone jak jego palce u rąk i nóg. Wszelki opór mógł być jedynie oznaką tego, że chłopak zachowuje świadomość. Jednak ciało Tylera zachowywało się jak korpus lalki wypchanej słomą. Steve położył mu rękę na karku i posługując się kciukiem oraz palcem wskazującym, nacisnął mu krąg szyjny.

— Co się z nim dzieje? — zapytała Jocelyn, przerażona.

Uklękła obok Steve'a. Niespodziewanie w drzwiach stanął Matt i z przerażeniem w oczach popatrzył na rozgrywającą się przed nim scenę.

— To szok — powiedział Steve. — Daj mi trochę wody, Jocelyn.

Jocelyn wykonała jego polecenie i Steve usiadł na kanapie przy synu. Przytulił go i zaczął delikatnie nim kołysać, do tyłu i do przodu. Ciało Tylera było zimne i lepkie.

— Hej, synu, wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze — szeptał, powtarzając swoje słowa jak mantrę.

W głębi duszy przeklinał jednak siebie; wiedział, że przecież nic nie jest dobrze, i wiedział to już od momentu, w którym Robert Grim zaczął zadawać pytania Tylerowi, tuż po tym, jak oszalały konie. Widział to w jego oczach. Dlaczego bardziej się nie postarał, żeby wydobyć z niego to, co go gnębi? Idiota.

— Co robisz, synu? Okropnie nas przerażasz. — Jeszcze mocniej przycisnął go do siebie. — Jestem tu z tobą, Tyler. Nieważne, co się stanie, zawsze będę z tobą. Wszystko będzie dobrze.

Jego wysiłki w końcu przyniosły efekty i Tyler zaczął drżeć w jego ramionach. Martwy wyraz twarzy zaczął ustępować. Jego usta zadrżały i wydał z siebie cichy, zduszony jęk. Oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły i zaszyły mgłą. Ręce powędrowały do góry, trzęsąc się, i po chwili znowu opadły bezsilnie w dół.

Wróciła Jocelyn ze szklanką wody i ręcznikiem; szklankę postawiła na stoliku przed kanapą. Steve niemal tego nie zauważył, ponieważ w tym samym momencie Taylor popatrzył na niego — ze słabym wyrazem udręki i desperacji. To spojrzenie syna wywołało w nim przyływ niemal pijackiej miłości i tłamszące poczucie żalu.

— Posłuchaj mnie, Jocelyn. Idźcie z Mattem pojeździć na koniach — poprosił.

— Ale przecież nie mogę go tak zostawić... Czy on wydobrzeje?

— Nic mu nie będzie. Po prostu uważam, że obaj musimy pozostać przez jakiś czas razem. Tylko my dwaj.

Posłał żonie stanowcze spojrzenie i Jocelyn zrozumiała.

— Chodź, Matt, idziemy — powiedziała i wyprowadziła go z salonu.

Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi, ucinając nieśmiało protesty młodszego syna. Po chwili oboje wyszli z domu przez drzwi kuchenne i zapanowała cisza.

No, dzieciaku, zostaliśmy sami, pomyślał Steve. Był to szczególny moment. Odniósł wrażenie, że równowaga jego dotychczasowego życia gwałtownie się zachwiała. Ale byli w końcu sami: on i starszy syn, on i jego ukochany chłopak. Tak jakby obaj czekali na tę chwilę przez długi czas — wcale nie od tej dziwnej nocy sprzed kilku dni, kiedy Tyler wyszedł za nim boso z domu, ani nawet nie od tego październikowego dnia, w którym pokłócili się o Laurie, lecz już od dawna, od bardzo dawna. Steve wyprowadzał Tylera z mroku na światło dzienne i wiedział, że to, co ma z niego wydobyć, nie okaże się dobre ani przyjemne, niemniej musiał się do tego dostać w imię swojej głębokiej, ogromnej miłości do

syna.

Zmusił Tylera do wypicia wody. Chłopak rozlał jej trochę na szare spodnie dresowe, wytarł je, a potem pił w ciszy przez długi czas. Steve tulił go do siebie, aż w końcu Tyler się uspokoił. Wtedy przyniósł mu więcej wody i zapytał ostrożnie:

— Jest aż tak źle?

Tyler przytaknął. Jego policzki były blade i wilgotne. Minęło jeszcze kilka długich minut, zanim zdołał wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Kiedy już był gotowy, z jego ust padły trzy ciche, błagalne słowa:

— Pomóż mi, tato.

I Steve przysiągł sobie, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mu pomóc. Dosłownie wszystko.

* * *

Godzinę później, tuż przed przewidywanym powrotem Jocelyn i Matta z końmi i spodziewanymi dziesiątkami pytań, Steve i Tyler wsiedli do toyoty i wyjechali na drogę numer 293, a potem skręcili w 9W, przecinającą las Black Rock. Kiedy tylko minęli przełęcz i zaczęli zjeżdżać do doliny, Steve'a ogarnęła myśl, że znajdują się na terytorium zakazanym, i musiał powstrzymać odruch wpatrywania się we wsteczne lusterko i sprawdzania, czy ktoś nie jedzie za nimi. Dziwne, ale dopadło go to i nie chciało opuścić.

Przez całą drogę nie padło ani jedno słowo.

Później przejechali wzdłuż rzeki Hudson, po czym wjechali do Newburgha, gdzie Steve zaparkował auto przy historycznym budynku, który był siedzibą sztabu wojsk generała Washingtona w trakcie wojny o niepodległość, i znalazł bar — w centrum miasta, jedynie z kilkoma klientami i mnóstwem mrocznych zakamarków. Zamówił dwa piwa korzenne i poprosił o kod do wi-fi. Przez dwadzieścia minut czytał raporty na stronie Tylera i oglądał jego nagrania wideo. Rosło w nim przerażenie i, musiał to przyznać, cichy podziw. Żadne z nagrań nie było tak szokujące jak to, które widział w domu — dzięki Bogu, nie weszło do sieci — ale każde z nich zawierało spektakularny i bardzo obciążający materiał. Obejrawszy je, nakazał Tylerowi, żeby wszystko wykasował, nie pozostawiając żadnego śladu. Chłopak z wdzięcznością przystąpił do pracy.

Obserwując syna i popijając piwo korzenne, Steve rozmyślał z trwogą: Nie widzisz, stary, jak niebezpieczną prowadzisz grę? Niszczysz dowody. Co więcej, wyrzekasz się teraz tej moralności, którą od dawna razem z Jocelyn bardzo w sobie ceniliście. Ale mam nadzieję, że jesteś w pełni świadomy tego, co właśnie robisz: oferujesz Tylerowi ucieczkę od wstrętnej zabawy, w której był głównym rozgrywającym.

Ale czyż Tyler nie został już ukarany w wystarczającym stopniu, kiedy zmuszony był do obserwowania potworności popełnianych przez jego tak zwanych

kolegów? Musiał stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami swojej głupoty. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Tyler przebrnął przez piekło i z niego powrócił. To się nie mogło wziąć znikąd. Nie był w stanie zebrać w sobie dość odwagi, żeby w aplikacji HEX-a sprawdzić, gdzie teraz przebywa Katherine, obawiając się, że armagedon może w każdej chwili uderzyć na miasto. Kiedy Steve zapewniał go, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego i że wiedźma po kamienowaniu powróciła do swoich dawnych zwyczajów, ulga w oczach Tylera była naprawdę wielka.

— Muszę złożyć na ten temat raport, chyba rozumiesz? — powiedział w końcu Steve, przełamując długą, bolesną ciszę po tym, jak usłyszał całą historię od Tylera.

Chłopak pokiwał powoli głową, wystraszony.

— Zwykle zło zostało zastąpione gorszym. Jeśli twoi koledzy dalej będą szli tą ścieżką, zaczną ginąć ludzie. Nie mogą wziąć na siebie tej odpowiedzialności.

Tyler powiedział, że to rozumie.

— To nie jest twoja wina, rozumiesz? Ten cały Jaydon kompletnie postradał zmysły, on potrzebuje pomocy. Ktoś musi położyć temu kres. — Kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że mówi głównie do siebie samego, stara się usprawiedliwić plan, który powoli kiełkował w jego głowie. Potrząsnął nią zarazem z powątpiewaniem i z pewnością. — Nie. Nie twoja wina.

— Po prostu tego nie pojmuję — powiedział Tyler. — Nie pojmuję roli Burana w tym wszystkim. Jaydon to wariat, Justin to cymbał, ale Buran... dotąd był zawsze rozsądny.

— Ale w końcu coś w nim pękło — powiedział Steve bardziej stanowczo, niż zamierzał. — Przecież wiesz, co Black Spring robi z niektórymi ludźmi.

Ale te słowa jakby nie trafiły do Tylera. W końcu podniósł głowę i popatrzył na ojca.

— Jestem przerażony na myśl, co może się z nim stać.

Prawda była jednak taka, że Steve'a przerażała myśl o tym, co wkrótce czeka wszystkich tych chłopców. Coś musiało się zdarzyć, to było oczywiste. Złamali wszystkie artykuły Dekretu o stanie wyjątkowym. Spowodowali śmierć Fletchera i zagrozili życiu wszystkich mieszkańców Black Spring. Może właśnie pobyt w zamknięciu w Doodletown mógł być terapią szokową, jakiej potrzebowali, aby przejrzeć na oczy, aby zrozumieć, jakie piekło wywołali... chociaż w głębi serca, na samym jego dnie Steve czuł, że Doodletown wcale nie będzie końcem ich mąk. Już sama rola Tylera w wydarzeniach kwalifikowała go do pobytu w Doodletown. Jeśli nagrania z kamienowania nie zostaną potraktowane z najwyższą ostrożnością, mogą doprowadzić do masowych zamieszek.

Nagle ogarnął go wielki chłód. Ci pieprzeni idioci zasługują tylko na to, żeby ich surowo ukarano za ich kretynizm. To, co zrobił Tyler, wynikało z jego

idealizmu. Czy jego też należałoby karać? Zaszło mu w ustach, kiedy przypomniał sobie własne myśli samobójcze w bungalowie na tajskiej plaży, dawno temu, w czasie pierwszej ciąży Jocelyn. Takie musi być właśnie Doodletown. A potem przypomniał sobie nieskończenie kruche, błagające spojrzenie Tylera: „Pomóż mi, tato”.

Steve podjął decyzję. I teraz, kiedy jego syn niszczył rezultaty wielomiesięcznych wysiłków, a on sam nie był w stanie uwolnić się od przeczucia, że tym samym znika wyjątkowa okazja, by dokonać postępu w patowej sytuacji — że w gruncie rzeczy Black Spring właśnie cofane jest z powrotem do siedemnastego wieku — przyplątało się do niego uporczywe zwątpienie, zwątpienie, czy na pewno postępuje właściwie.

— Okej, zrobione — powiedział Tyler.

— Wszystko usunąłeś?

— Tak.

— Wszystko? — Steve potrzebował jeszcze wyraźniejszego potwierdzenia.

— Tak. Cała zawartość strony została usunięta, łącznie z adresem URL.

— I nigdy niczego nie będzie można odzyskać?

— Nie do końca. Adres pozostanie w kwarantannie przez trzydzieści dni. Na przykład na wypadek, gdybym jednak chciał znów z niego korzystać. Jednak rejestracja domeny jest anonimowa, nikt więc za jej pośrednictwem nie dotrze do mnie. Chyba że będę ścigany przez prawo. — Tyler zawahał się. — Chyba nie myślisz, że posuną się aż tak daleko, co?

Nie byłbym tego taki pewien, pomyślał Steve. Co będzie, jeżeli w sprawę zaangażowany zostanie West Point? Ale nawet w takim przypadku szanse, że śledczy dotrą do Tylera, były minimalne. Jeśli Jaydon zostanie aresztowany, na pewno go pogrąży. Może pozostała dwójka stanie po stronie Jaydona, chociaż bardziej prawdopodobne wydawało się, że będą trzymać buzie na kłódkę w kwestii ich roli w projekcie Tylera, obawiając się dalszych konsekwencji dla siebie. Wszystko więc ograniczy się do jednego oskarżenia obłąkanego sprawcy, który zabrnął w kozi róg, a nawet w Black Spring wiedziano, że desperacja prowadzi do desperackich czynów.

Znajdujesz się na drodze pełnej wybojów, Steve, i nie masz pojęcia, jakie będą konsekwencje twojej decyzji. Być może ten rodzaj interwencji wcale nie pomoże Tylerowi — czy przyszło ci to kiedykolwiek do głowy?

Och, pieprzyć to. Ani myślę wysyłać mojego syna do Doodletown. Po moim trupie.

— A więc można w jakikolwiek sposób odtworzyć historię tej strony czy nie można? — zapytał. — Może powstają jakieś automatyczne kopie zapasowe czy coś w tym rodzaju?

— Można to zrobić jedynie przy udziale Mike’a.

— A kto to jest?

— Mój kumpel z klasy. Mieszka w Highland Falls. Tworzy strony internetowe i ma swój własny serwer. Pozwolił mi założyć stronę na jego serwerze za skrzynkę piwa.

— Pozwoliłeś więc komuś z zewnątrz...

Tyler wzruszył ramionami.

— Jego to nic nie obchodzi. Myśli, że to jest jedynie prywatna kolekcja moich wideoblogów z YouTube'a. Zresztą na początku tylko o to mi chodziło, w ten sposób rozpoczynałem, żeby Mike'a zanudzić i zniechęcić go do wścibiania nosa w zawartość mojej strony.

Steve zamknął oczy i głęboko westchnął. Kiedy je znów otworzył, zobaczył, że Tyler ma w ręce telefon komórkowy i stuka palcami w ekran.

— Co robisz? — zapytał.

— Piszę do niego. Za kolejną skrzynkę piwa jeszcze dzisiaj zniszczy całą kopię zapasową. Znam tego faceta.

Następnie Steve kazał Tylerowi wymazać historię łączy z przeglądarki, zarówno w laptopie, jak i w iPhone, a także wszystkie rozmowy na chacie oraz cały folder z nagraniami wideo i zapisami tekstowymi, które miały jakikolwiek związek z projektem. Na koniec została jeszcze karta pamięci z GoPro. Pozostał jedynie zapis wideo z kamienowania, znajdujący się na pulpicie laptopa.

Steve pomasażował policzki i nagle mocno się zmartwił.

— Czy pozostali też mają ten materiał na swoich komputerach i telefonach?

Tyler potrząsnął przecząco głową.

— Wspólnie ustaliliśmy, że będziemy się logować do strony jedynie poza miastem. Myślę, że chłopacy robili to w szkole albo w bibliotece, na tamtejszych komputerach. Według nas iPhone'y, które w ubiegłym roku rozprowadzał dla nas HEX, są śledzone, mają detektory klawiszy, postanowiliśmy więc w ogóle z nich nie korzystać przy realizacji projektu.

Steve popatrzył na niego pytająco i Tyler lekko się uśmiechnął.

— Detektor klawiszy to jakby aplikacja, która pozwala z dużej odległości obserwować, co się dzieje z danym komputerem lub telefonem. Odczytuje z daleka każde uderzenie lub każdy dotyk klawiatury, można więc doskonale się orientować, kto ogląda jaką stronę internetową. To bardzo przydatne urządzenie, jeśli na przykład mąż chce się dowiedzieć, czy zdradza go żona.

— Racja. Jesteś więc pewien, że zatarłeś wszystkie ślady? Oni przetrzepią wszystko. Chcę, żebyś zdawał sobie z tego sprawę.

— Jaydon sfotografował... — Tyler skrzywił się i odwrócił wzrok z zakłopotaniem. — Wiesz, to, o czym ci opowiadałem. Musisz im to powiedzieć, tato. Powinni natychmiast zabrać mu telefon, jeżeli zamierzają go aresztować. Ale to wszystko, o niczym więcej nie wiem.

Miejmy nadzieję, że masz rację.

— Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

Tyler przez chwilę się zastanawiał i wreszcie potrząsnął przecząco głową.

— Aha, poczekaj! — zawołał niespodziewanie.

Poczerwieniał i zaczął przeglądać telefon. Steve obserwował z ukosa, co robi jego syn, i zauważył, że — ciekawe — przegląda teraz pliki dźwiękowe. W końcu wybrał jeden z ich.

— Czy chcę wiedzieć, co to jest? — zapytał Steve.

Tyler potrząsnął przecząco głową, po czym popatrzył na plik z żalem i odrazą. Następnie dwukrotnie uderzył w jego symbol palcem i plik zniknął.

Steve zapłacił za piwo i wkrótce obaj wyszli na spacer wzdłuż rzeki Hudson, z wysoko postawionymi kołnierzami i rękami w kieszeniach. Przeszli powoli przez cały port jachtowy i w końcu znaleźli się przy wielkim filarze, który był częścią mostu Hamilton Fish. Zatrzymali się trochę poniżej mostu i patrzyli na jego odbicie, lśniący pomarańczowy kształt widoczny w czarnej wodzie. Północno-wschodni wiatr rozwiewał ich włosy i szarpał ubraniami, jakby chciał zaciągnąć ich z powrotem do Black Spring. Rzeka płynęła jednak w przeciwnym kierunku, uciekając od mroku, który ich otaczał. Za miastem wpadała do Zatoki Nowojorskiej, a potem do Oceanu Atlantyckiego, nad którym słońce wznosiło się zawsze szybciej niż nad wzgórzami, do których należeli Steve i Tyler.

— Jutro porozmawiasz z Lawrence'em — odezwał się Steve. Był to ostatni fragment układanki i gdy znajdzie się na właściwym miejscu, będą mieli przynajmniej szansę. — Ufasz Lawrence'owi, prawda? Powiesz mu, co zrobiliśmy, i że niezależnie od tego, co się stanie, ma trzymać buzię na kłódkę i co najwyżej powtarzać w kółko naszą wersję. Daj mu jasno do zrozumienia, że tylko w taki sposób może ocalić własny tyłek. Jeśli Jaydon zacznie mleć jęzorem, przesłuchają was obu. Jak myślisz, Lawrence się nie złamie?

Tyler wzruszył ramionami.

— A ty? Dasz radę?

Chłopak powoli pokiwał głową. Wyglądał jak skazaniec w celi śmierci, zapytany, czy zdoła o własnych siłach przebyć ostatnią drogę na szafot. Steve objął go ramieniem i poczuł, jak chłopak zadrżał.

— Nikt nie musi o niczym wiedzieć — powiedział. — Tylko ty i ja.

Tyler popatrzył podkrążonymi oczyma na barkę ze żwirem, która powoli płynęła z nurtem rzeki przy cicho pracującym silniku. Steve rozumiał, że Tyler nie tylko się bał, ale doskwierało mu też poczucie winy. Chłopak miał charakter. Steve znał niewiele osób o tak głębokim poczuciu sprawiedliwości jak Tyler. Doskonale pamiętał, z jaką dumą spoglądał na niego, gdy bronił swoich ideałów na otwartym posiedzeniu Rady. I nagle zdał sobie sprawę, że mógł nieopatrznie obarczyć swojego syna ciężarem, którego Tyler nigdy nie będzie w stanie udźwignąć.

Będzie musiał, pomyślał Steve. Nie ma innego wyjścia. Może przez jakiś czas będzie to go prześladować, ale przeminie, tak jak wszystko w końcu przemija.

Spiętrzona fala, utworzona przez barkę, dotarła do filaru i rozbiła się o głązy na brzegu, zamieniając wodę w białą pianę. Steve nagle poczuł złość na siebie samego za złe przeczucia. Chronił Tylera, ponieważ go kochał. Rodzice na całym świecie chronią swoje dzieci za wszelką cenę. Czy Tyler sam nie pytał go zupełnie niedawno na użytek swojego bloga: kogo byś ocalił — własne dziecko czy całą wioskę w Sudanie?

Oczywiście, że ocaliłby własne dziecko. Na tym polega miłość.

— Dobrze — powiedział w końcu Tyler.

Znów zadrzał i Steve przytulił go do siebie. Zaczął dłońmi trzeć jego plecy, żeby go rozgrzać.

— W porządku. Bądź silny, synu, i wszystko się ułoży. Nie zasługiwałeś na takie straszne przejścia.

— Powiesz mamie?

— Nie. — Do tej chwili nawet nie przyszło mu to do głowy, ale uważał taką decyzję za oczywistą. — To zostanie między tobą a mną.

Tyler pokiwał głową.

— Okej. — Przez kilka sekund milczał, a potem dodał, bardzo cicho: — Dzięki, tato.

Długo jeszcze stali na brzegu i patrzyli na płynącą przed nimi ciemną wodę. Steve wiedział, że tych chwil, spędzonych ze starszym synem, nigdy nie zapomni. Nagle z całego serca zapragnął razem z nim wskoczyć na barkę, opuścić Black Spring, płynąc z biegiem rzeki, i minąć porty nowojorskie, kierując się ku nowemu światu. A tam wszystkie sprawy przyjmą już właściwą formę. W przebłysku déjà vu usłyszał sarkastyczny śmiech Matta: „Tak, tato, kogo byś ocalił, Tylera czy mnie?”. Tamtego wieczoru Steven udzielił oczywistej dla siebie odpowiedzi, a Tyler bezbłędnie wyczuł, że jest ona poprawna politycznie. Tymczasem prawda była taka, że każdy ojciec musi czuć się niekomfortowo, jeśli stawia jedno ze swoich dzieci ponad drugie. Steve miał do czynienia z wystarczającą liczbą rodziców w New York Med, by wiedzieć, że jest to mimo wszystko rzecz zupełnie naturalna, a jednak gdy dociera to do ciebie z całą mocą, jesteś szczerze zawstydzony.

Jednak dzisiaj, stojąc na skraju portu jachtowego, obejmując ramionami starszego syna, bez wstydu przyznawał się przed samym sobą do swojej preferencji. Pomimo że kochał Matta i Jocelyn z całego serca i że prawdopodobnie oszalałby z rozpaczy, gdyby jemu albo jej stało się coś złego, Tyler na zawsze miał już pozostać dla niego numerem jeden.

* * *

Ale w nocy, w łóżku, wciąż dręczyły go wątpliwości... Płonęły w nim niczym lampka sygnalizacyjna w głowie, która nie miała zamiaru się wypalić.

Jocelyn przeprosiła za swój wybuch, a Steve przeprosił za niegrzeczne uwagi. Oboje funkcjonowali w ogromnym napięciu. Niewypowiedziane oskarżenia zostały puszczone w niepamięć, ale tak musiało być w imię rodzinnej zgody. Gdy leżeli obok siebie w ciemnej sypialni, Steve chłodnym tonem opowiedział żonie, co się działo z Tylerem — była to ta wersja, jaką zamierzał przekazać również na użytek HEX-a. Nigdy nie szło mu dobrze okłamywanie żony (i nigdy też nie miał ku temu powodów), ale teraz strumień półprawd wydobył się z jego ust z zadziwiającą łatwością i Steve był cokolwiek zdumiony, że nawet się tego nie wstydzi. Jocelyn była zszokowana, ale pochwaliła go, że zdołał wydobyć z Tylera tak wiele. Znowu zaczęła go przeproszać za swoje oskarżenia, że nie daje sobie rady z sytuacją, jednak Steve położył palec na jej ustach i po chwili ją pocałował. Nieźle, jak na próbę kostiumową, pomyślał, ale jeśli nadal będzie chciała mnie przeproszać, zwariuję. Kochali się i ich seks był pod każdym względem szczery: przynajmniej w tej kwestii Steve mógł bez wstydu popatrzeć na siebie w lustrze.

Później długo leżał, nie mogąc spać, i wsłuchiwał się w cichy syk płomieni we własnej głowie. Boże, mam nadzieję, że postąpiłem właściwie. Naprawdę wierzę, że mam serce we właściwym miejscu. Bo przecież miłość to tajemnicza i oszukańcza siła, i jedna z niewielu dziedzin, w których Steve nie ufał w stu procentach sile swoich osądów.

18

Strumień przestał krwawić, ale miasto było udręczone.

Pojawiały się niepokoje i zaczyny buntu — małe demonstracje, które strażnicy na polecenie Roberta Grima dusili w zarodku. Przez cały tydzień w kościołach odbywały się dodatkowe nabożeństwa. Nawoływano do egzorcyzmów, jak w zamierzchłych czasach, i ludzie zapalali świece na nagrobkach cmentarza na Wzgórzu Świątynnym, aby udobruchać śmierć. Tymczasem informatycy zatrudnieni w HEX-ie pracowali po godzinach, aby nadażyć z odpowiedziami na zalew maili, chatów i pytań dotyczących złych znaków i końca świata. Dzięki Bogu, wszystko rozgrywało się jedynie w granicach miasta, jednak nigdy nie było wiadomo, co tym idiotom przyjdzie jeszcze do głowy.

„Chyba teraz rozumiesz, że Majowie mieli rację!” — takiego maila napisała sprzedawczyni z supermarketu, Eve Modjeski, do swojej znajomej w domu spokojnej starości.

Eve Modjeski była idiotką o ptasim mózdzku, za to z całkiem miłymi cystickami, osobą, dla której stworzenia Grim chętnie pozbyłby się żebra — chociaż po uwadze o Majach przyszłaby mu pewnie ochota, aby zamknąć to żebro

z powrotem we własnym ciele i o Eve w ogóle zapomnieć.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów cały siedmioosobowy personel HEX-a pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, aby zapanować nad niepokojami społecznymi i z jak największą dokładnością określić przyczynę wzburzenia Katherine. Już samo odbieranie szalonych telefonów było pracą na pełen etat.

— Znowu telefonował prorok zagłady — powiedział Warren Castillo, kiedy we wtorkowe popołudnie Grim wrócił z inspekcji wody w strumieniu.

— John Blanchard? To już siódmy raz w ciągu dwóch dni.

— Wiem. Powiedziałem mu, że mam dość rozmów z nim, ale wtedy ten głupek odparł, że chce z powrotem dostać swoją owcę. Zapytałem, o jaką owcę mu chodzi, a on wtedy oznajmił, że o dwugłową.

Grim skrzywił się.

— To obrzydlistwo, które zanieśliśmy do archiwum?

— Facet powiedział, że chce zjeść płód, żeby oczyścić się z grzechów. Powiedział, że sam Bóg mu go podarował i jego oczywistym obowiązkiem jest odbycie takiej pokuty. Ja na to, że jeśli jego żołądek jest gotowy znieść wielką dawkę formaldehydu, może do nas przyjść i sobie zabrać ten dwugłowy płód. Wtedy on uznał, że mówię poważnie, i chciał się umówić na konkretną godzinę.

— Aha. Naczelne nigdy nie schodzą poniżej pewnego poziomu.

Pomimo wyraźnie widocznych, zaostrzonych środków bezpieczeństwa, jakie wprowadził sztab HEX-a, i wsparcia wielu mieszkańców miasta, którzy oferowali swą pomoc jako wolontariusze, odzywały się także głosy krytyczne, a jeden z nich należał do samego Coltona Mathersa.

— Zostaliście wyznaczeni, aby zapobiegać takim niepokojom, a wszystko wskazuje na to, że nie potraficie sprostać wymaganiom, jakie przed wami stoją — grzmiał radny przez telefon. — Żądam, żebyście zapewnili w mieście spokój i porządek i żeby osoby odpowiedzialne za ostatnie wydarzenia nie uniknęły odpowiedzialności.

Grim, który przywoływał w wyobraźni trzustkę Mathersa, ozdobioną wielkim, złośliwym guzem, zapewnił go, że HEX robi wszystko, co w jego mocy, bez pomocy Pointu, i odłożył słuchawkę, zanim Mathers zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

Krytycy nie ograniczali się do słów. Tego wieczoru rozbito cegłami okna w byłym Centrum Turystycznym Popolopen. Sprawców — kilku pijanych i niezadowolonych robotników z budowy — schwytano na gorącym uczynku i osadzono w lochach pod kościołem Metodystów.

W tym samym czasie Marty Keller odkrył, kto jest autorem żartu z pawiem. Okazało się, że to kobieta, członkini Rady i żona rzeźnika, Griselda Holst. Trudno mu było w to uwierzyć.

— Ona? — zawołał Grim, głęboko wzburzony. — Chyba nie mówisz tego poważnie?

— Jak najbardziej poważnie — zapewnił Marty.

Pokazał Grimowi to, co zdołał odczytać z nagrań, jakie zarejestrowały kamery bezpieczeństwa. Wieczorem w minioną niedzielę Holst wyszła ze swojego sklepu o dziesiątej pięćdziesiąt osiem, trzymając pod pachą dużą niebieską torbę na zakupy. Kamery przy Old Miners Road nagrały jej dodge'a wyjeżdżającego z miasta w kierunku Highland Mills. Dwadzieścia trzy minuty po północy wróciła, zaparkowała samochód na podjeździe i szybko weszła do domu. Z jej torby na zakupy sterczał wielki pęk pawich piór. Sprawa była tak oczywista, że Grim wpadł w furję; odnosił wrażenie, że stara krowa drwiła sobie z systemu. Dalsze nagrania dowiodły, że wkrótce Griselda Holst poszła do lasu.

— Co za pieprzona idiotka! — zawołał Grim głosem, który z trudem wydostawał się z jego gardła.

Marty wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie myślała, że Katherine zniknie przed świtem i że ptak straci życie, zanim ktokolwiek coś zauważy.

Warren wyszczerzył zęby.

— A tymczasem wiedźma okazuje wdzięczność tej Holst i paraduje z ptakiem przez cały boży tydzień. Co za burdel!

— Ale dlaczego sprezentowała jej akurat pawia?

Claire znalazła w bibliotece stosowne wydawnictwo na temat okultyzmu, opublikowane przez Uniwersytet Harvarda, i streściła:

— Dla Persów paw był symbolem nieśmiertelności, ponieważ wierzyli, że mięso pawia nigdy nie ulega rozkładowi. Co nie jest prawdą: jest to po prostu mięso bardzo suche i właściwie nie nadaje się do jedzenia. Ale idźmy dalej... W średniowieczu paw był złym omenem, ponieważ jego głośne wrzaski przywoływały deszcze — w tej kwestii ludzie mieli rację, bo paw woła na deszcz — a według Paracelsusa, niemieckiego astrologa i okultysty, krzyk pawia bardzo często przepowiadał śmierć kogoś z rodziny, do której ten ptak należał. Owszem, znalezienie pawiego pióra przynosi szczęście, jednak trzymanie takiego pióra w domu może z kolei spowodować nieszczęście. Pomogłam wam cokolwiek?

Grim westchnął.

— Ta kobieta od rzeźnika raczej nie wygląda mi na osobę, która przejmowałaby się symboliczną wartością tego, co daje w prezencie.

— Tak, masz rację — powiedział Warren i zachichotał. — Jest zbyt głupia, żeby policzyć bez błędu do dziesięciu. Próbowaleś kiedyś tego jej cholernego pasztetu? Smakuje, jakby baba najpierw wyssała z siebie własny tłuszcz igłą do liposukcji, a potem dodała to sadło do mięsa.

— Warren, ty świnió! — zawołała Claire. — Trochę szacunku dla

człowieka, bardzo proszę. Ona miała tragiczne życie, chyba znasz tę historię z jej mężem?

— To może być prawda, owszem — powiedział Grim. — Jednak nie daje jej to prawa do podobnych numerów.

Ale to był dopiero początek. Marty i Warren przejrzeni archiwum wideo i w środę wieczorem odkryli, że Griselda Holst miała osobliwy zwyczaj kontaktowania się z wiedźmą poza zasięgiem kamer. Zawsze odbywało się to w podobny sposób. W każdy czwartek, nieważne, czy świeciło słońce, czy padał deszcz, kiedy Katherine przebywała w lesie, Griselda wymykała się zza zaparkowanych samochodów albo zza żywopłotu i wchodziła w gęste krzaki, niosąc białą plastikową torbę. Po godzinie wracała, jednak torby już ze sobą nie miała. Grim był zdumiony. Jak to się stało, że HEX przeoczył coś takiego? I, do diabła, co ta kobieta robiła, kiedy przebywała w towarzystwie Katherine?

Następnego dnia rano wyposażyli Marty'ego w mikrofon i wysłali go do Butchery & Delicacies Griseldy, a tymczasem Grim, Warren, Claire i inni uważnie obserwowali na największym ekranie obraz z kamery obserwacyjnej zainstalowanej w sklepie mięsnym.

— Co ma być? — usłyszeli w głośnikach nieprzyjemny głos Griseldy.

— Poproszę pół kilograma pasztetu z pawia — powiedział Marty.

Warren wybuchnął śmiechem, Grim ruchem ręki nakazał mu, żeby był cicho. Griselda w jednej chwili straciła pewność siebie.

— Chodzi panu zapewne o pasztet Holsta?

— Nie, o pasztet z pawia.

— Nie... nie sprzedaję czegoś takiego.

— To może sprzeda mi pani pierogi z mięsem pawia?

— W ogóle nie mam pawiego mięsa.

— O cholera — westchnął Marty. — Rozumiem więc, że nie ma pani także filetów z pawia? — Na ekranie łatwo było zauważyć, że Griselda nie wie, jak się zachować. — A chciałem spróbować właśnie mięsa z pawia, skoro Katherine jest tak ogromną jego wielbicieleką.

Griselda odrobinę się rozluźniła i uśmiechnęła się.

— Dlaczego pan się zgrywa? — zapytała. W jej głosie można było jednak usłyszeć cień dumy. — Ona nie może bez niego żyć. W przeciwnym wypadku po co tak długo by go ze sobą nosiła?

— Cokolwiek by mówić, osoba, która sprezentowała jej pawia, wie, jak można zażegnać kryzys. Dlatego ja też chcę otrzymać pawia. — Griselda zaczerwieniła się, a Marty kuł żelazo, póki gorące. — Wie pani, moja partnerka i ja zawsze organizujemy te tematyczne wieczory z Katherine i wtedy ludzie naśladują jej zachowania. W czasie weekendu przywiązaliśmy Gaudiego, naszego pieska chihuahua, do gałęzi drzewa. Śmialiśmy się tak głośno, że prawie zsikaliśmy się

w majtki. Chwileczkę, chce pani zobaczyć selfie?

Uśmiech natychmiast zniknął z ust Griseldy, ale wyparowało też jej zakłopotanie. Pozostał w niej tylko pokład twardej wściekłości.

— Ty obrzydliwy mały pętaku! — wrzasnęła. — Zamierzasz szydzić z mojej Katherine? Wynoś się stąd, ale już!

Zdjęła z haka rzeźnickiego wielkie salami i wybiegła zza kontuaru, żeby walnąć kielbasą Marty'ego, który jednak szybko wymknął się za drzwi. Dzwonki nad nimi przez chwilę dzwoniły jak szalone.

— Trzeba cię zamknąć w Doodletown, człowieku! — zawołała za nim Griselda. — Uważaj na siebie, bo o wszystkim doniosę Radzie! Jesteś cudownym dzieckiem Grima, co? Dowiem się, jak się nazywasz!

Wróciła za kontuar z gracją ukraińskiego okrętu wojennego i zatrzasnęła za sobą drzwi. W centrum kontroli Warren zawył jak wilk i zawołał:

— Ta kobieta zasługuje na Oscara!

Grim wciąż nie potrafił połączyć działań Griseldy ze śmiercią psa czy też z krwawieniem strumienia, jednak kontaktowanie się z wiedźmą było przecież surowo zabronione z powodu niemożliwego do przewidzenia ryzyka. Grim nie miał wyboru — musiał poinformować o poczynaniach Griseldy Coltona Mathersa. Radny przyjął go w swoim wiejskim domu, który stał na Wzgórzu Sosnowym i otoczony był starym zardzewiałym płotem. Przypominał posiadłość samego doktora Frankensteina. Z każdą chwilą mocniej marszcząc czoło, stary zgred wysłuchał faktów i w końcu zaskoczył Grima, mówiąc:

— Daj jej spokój, Robercie. Pani Holst jest porządną kobietą i ostatnio żyła w wielkim napięciu. Poza tym musimy poczekać, żeby się przekonać, jakie będą konsekwencje jej działań. Może nie wydarzy się nic złego?

Grim nie wierzył własnym uszom.

— Ale ona...

— Cieszę się, że z tym do mnie przyszedłeś — kontynuował Mathers, jakby Grim był powietrzem — i z całą pewnością będziemy musieli obserwować panią Holst, na teraz jednak moja rada brzmi: nie wywołujmy wilka z lasu.

Robert Grim, który chciał wykrzyczeć mu w twarz, że ów wilk już bardzo dawno temu został wywołany i chodzi teraz po ulicach z pianą na pysku oraz obnażonymi kłami, wrócił do domu z niczym i pomyślał: Kryje ją z powodu tej sprawy z Rothem. Jak długo jeszcze będzie prowadził tę brudną grę?

Odpowiedź przyszła mu do głowy natychmiast: Dopóki nie nabierzesz odwagi i nie staniesz przeciwko niemu.

Jednak Grim lubił swoją pracę i trzymał język za zębami. Zresztą tego wieczoru, po tym jak ucichła burza, a wiedźma przestała wreszcie manifestować swe dziwaczne przywiązanie do martwego pawia, przyszło mu do głowy, że może tak jest lepiej. Wbrew protokołowi, nawet zatrute hipokryzją, ale niech tak

zostanie. Wszystko zdawało się wracać do normalności. Nikt nie chciał już rozmawiać o tym, co dominowało we wszelkich rozważaniach aż do teraz; ludzie chcieli zapomnieć o swoim zaniepokojeniu i wymazać z pamięci wszystko, co się z nim wiązało. Tego samego pragnął Robert Grim. Zaczął wierzyć, że wydarzył się mały cud: Black Spring przetrwało skomplikowaną sytuację z Katherine właściwie bez szwanku.

Trwał na takim stanowisku aż do wczesnego sobotniego wieczoru, kiedy do jego drzwi dotarły złe wieści.

* * *

Oniemiali i odrętwiali członkowie personelu HEX-a, którzy przebywali akurat na miejscu — Claire, Warren oraz Grim — słuchali, jak Steve Grant i Pete VanderMeer opowiadają swoją historię. Mówił głównie Steve. Najważniejsza informacja brzmiała: Jaydon Holst — syn dzielnej żony rzeźnika, na miłość boską — systematycznie terroryzował wiedźmę i dźgał ją nożem do kartonu, a ponadto poszczuł ją psem Granta. Chcąc pomścić śmierć Fletchera, Jaydon, Justin Walker i Buran Sayer zgłosili się do HEX-a jako wolontariusze, żeby mieć swobodny dostęp do Katherine, a Grim ich przyjął i wyznaczył im zadania. Szokujące, straszliwe rezultaty tej pomyłki zostały zarejestrowane na nagraniu wideo, które wykonał syn Granta.

Po prezentacji filmu przez długi czas nikt nic nie mówił. Ciasne pomieszczenie centrum kontroli wydawało się zbyt małe, wszyscy sprawiali wrażenie, jakby wyssali już z niego całe powietrze i powoli się dusili. Grim czuł, że jego serce wykonuje niespodziewane, nierównomierne uderzenia; dopiero po dłuższej chwili powróciło do normalnego rytmu.

Ukamienowanie. O, słodki Jezu, te kilka sekund filmu, na którym młody Grant zarejestrował kamienie ciskane w twarz wiedźmy.

Nagle uderzyła go myśl tak jaskrawa jak sterta płonącego fosforu. Przecież mogli łatwo zerwać w ten sposób szwy z jej oczu.

Claire otworzyła usta i odezwała się pierwsza:

— Kiedy to było? Mówiłeś, że w czwartek po południu?

Steve pokiwał głową.

— Jakoś tak przed czwartą, bo wtedy razem z Mattem wróciłem do domu.

Oczy Claire zaczęły się powiększać, a to, co się w nich pojawiło, wcale się Grimowi nie spodobało.

— Mógłbyś być bardziej dokładny?

Steve wziął znów do ręki macbooka, dwoma palcami stuknął w ikonę pliku z materiałem filmowym i otworzył menu z jego właściwościami.

— Mam. Zawartość utworzona w czwartek, ósmego listopada 2012 roku o godzinie piętnastej trzydzieści siedem.

— O, mój Boże. — Claire zakryła twarz rękami. — To wtedy umarła ta staruszka.

Grim nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

— Kto?

— Rita Marmell. Była pacjentką w Roseburghu. W czwartek po południu miała atak serca, kiedy grała w karty. Jej lekarz powiedział, że atak był zupełnie niespodziewany, ponieważ jej stan był stosunkowo dobry, ale takie rzeczy dzieją się w podobnym wieku, nic sobie więc na ten temat nie pomyślałam. W akcie zgonu zapisane jest, że zmarła za piętnaście czwarta po nieudanej próbie reanimacji.

Pete VanderMeer i Steve wymienili zszokowane spojrzenia.

— Czy Katherine nie postąpiła identycznie w 1967 roku? — zapytał Pete. — Kiedy ci wszyscy lekarze próbowali otworzyć jej usta? W tym samym czasie w mieście zmarły na atak serca aż trzy osoby.

Warren zrozumiał, do czego Pete zmierza.

— Lata mijają, a ona sobie po prostu stoi, niczym zakuty w łańcuchy zahibernowany niedźwiedź. Ale gdyby tylko podejść do niej bliżej... — Zaklaskał rękami, a pozostałe osoby w pomieszczeniu aż podskoczyły, usłyszawszy gwałtowny dźwięk.

Niczym zakuty w łańcuchy zahibernowany niedźwiedź, pomyślał Grim i nagle zadrżał. Czekaający... na co?

— Najwidoczniej wysyła złą energię, kiedy jest zagrożona fizycznie albo znajduje się w stresie emocjonalnym — powiedział Warren. — A to sprawia, że najslabsi spośród nas... padają jak muchy.

— Jeżeli to jest prawda, to ci chłopacy zabili tę kobietę — powiedział Grim ponuro.

W zimnym świetle lamp wszystkie osoby znajdujące się w pomieszczeniu wyglądały słabo i blado, ale jednocześnie na ich twarzach widoczne było ogromne napięcie. Co się stanie, jeśli te informacje rozprzestrzenią się wśród ludzi, Boże broń?

Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak wygląda strach, rozejrzyj się teraz dookoła, pomyślał Grim. Ponieważ już więcej nie będziesz miał ku temu okazji.

— Dobrze. — Grim zdjął okulary i zaczął czyścić soczewki. — Musimy ściągnąć tutaj tych dupków tak dyskretnie, jak tylko się da. Jeśli sprawa się wyda, zanim ich zamkniemy, rozpęta się piekło.

— A myślisz, że tak się nie stanie, jeżeli ludzie dowiedzą się o wszystkim później? — zapytał Pete.

— Prawdopodobnie będzie tak samo, ale przynajmniej nie dojdzie do linczu na tych chłopakach.

— Mam nadzieję.

Grim popatrzył na niego.

— Chyba nie myślisz, że naprawdę...

— A jak uważasz, co postanowi Rada, jeśli rozejdzie się, że chłopcy są odpowiedzialni nie tylko za zeszlotygodniową panikę i za śmierć psa Steve'a, ale też za śmierć tej starszej kobiety? Szanowny pan Mathers uzna, że to jedna z jego miejskich spraw, i każe wszystkim głosować pod pozorem demokracji. Tymczasem jeśli sprawy nie rozwiążemy delikatnie, doprowadzi ona do totalnej anarchii. Nie zauważyliście, jacy wystraszeni są ludzie na ulicach? Będą zdolni do wszystkiego, jeżeli się dowiedzą, kto to wszystko spowodował.

Warren rozpromienił się.

— To dlatego będziemy o jeden krok przed wszystkimi. Zgarniemy chłopaków zniecka i potraktujemy ich zgodnie z Dekretem o stanie wyjątkowym.

— Dobrze, a co mówi Dekret o ludziach, którzy „świadomie powodują poważne zagrożenie dla porządku publicznego w mieście”? Jestem cholernie pewien, że kamienowanie to jedno z takich zagrożeń.

— Daj spokój, te głupie stare przepisy pochodzą z osiemnastego wieku — odburknął Grim.

— Dekret o stanie wyjątkowym obowiązuje nas także teraz.

— Przecież on nie ma już sensu. Mieszkamy w Ameryce, na miłość boską. Nie wiem, ile minęło czasu od ostatniego wydarzenia, które naruszało postanowienia Dekretu, ale zapewniam cię, że jego zapisów nie stosowano współcześnie w postępowaniu z przestępcami. Wszystko wyjaśnimy na spotkaniu Rady.

Ale inni unikali nawzajem swoich spojrzeń i z widocznym zakłopotaniem wpatrywali się głównie w podłogę. Warren okazał się jedynym, który ośmielił się otworzyć usta:

— Ludzi wysyłano do Doodletown za znacznie mniej poważne przewinienia.

— Ludzie, dajcie spokój! — krzyknął Grim z niedowierzaniem. Czuł się postawiony pod ścianą i to wywołało w nim złość. — Chyba sami w to nie wierzycie, co? Nie chcę ferować tutaj wyroków, ponieważ jest to prerogatywą całej Rady, ale nie martwcie się, wymyślimy coś, co będzie przystawało do współczesności. Przykro mi, ale nie mogę zamieść tej sprawy pod dywan. Chłopcy popełnili przestępstwo kryminalne, bez cienia wątpliwości. Nikt nie wie, co mogliby wysmażyć następnym razem. Może spaliliby ją, ponieważ tak się w końcu postępuje z czarownicami. Chcecie czekać, aż to nastąpi? Gdyby sprawy toczyły się dotąd tylko trochę inaczej, wszyscy już byśmy teraz nie żyli.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — powiedział cicho Pete.

Wtedy do rozmowy włączył się Steve.

— Tyler i Lawrence panicznie boją się tych chłopaków, w szczególności Jaydona. A także tego, co się stanie, kiedy wyjdą na wolność.

— Przejdźmy przez ten most, skoro już do niego dotarliśmy — powiedział Grim. — Zakładam, że przez dłuższy czas nie będą oglądać światła dziennego.

— Cóż, twoja władza polega między innymi na tym, że możesz wezwać ludzi z Pointu, jeśli uznasz, że tak trzeba. Prawda? — zapytał Pete z nagłą nadzieją w głosie. — A teraz właśnie tak będzie trzeba postąpić. Jeśli Mathers doprowadzi do tego, że sprawa nie wyjdzie na zewnątrz, podobnie jak sprawa Rotha, miasto będzie funkcjonowało w jeszcze większym napięciu. Chociaż częściowe rozładowanie tego napięcia poprzez drobny nadzór zewnętrzny wcale nie musi się okazać złym pomysłem.

Grim roześmiał się gorzko.

— Posłuchaj, przyjacielu, gdyby to było możliwe, już bym do nich telefonował. Ale Rada zabroniła mi alarmować Point w związku z wydarzeniami minionego tygodnia.

— Co?

— Z powodu Rotha. Jeśli nie posłucham polecenia, stracę pracę.

Była to prawda, jednak nowe informacje okazały się na tyle szokujące, że mogłyby go usprawiedliwić, gdyby zaczął działać na własną rękę. Robert Grim nie potrafił określić, dlaczego tak się dzieje, ale słowa VanderMeera wstrząsnęły nim w jakiś nieokreślony sposób. Ludzie powoli odchodzili od zmysłów i gdyby taka sytuacja się utrzymywała, nic w przyszłości nie pozostałoby tak jak dawniej. Wiedział, że prawdopodobnie najmądrzej będzie zneutralizować sytuację i pozostawać jeden krok przed Mathersem, ale Mathers na pewno nie będzie się temu spokojnie przypatrywał. Grim wyobrażał sobie, że radny nie posunie się do zwolnienia go — kto w gruncie rzeczy miałby go zastąpić? — nie mógł być jednak tego do końca pewien. Colton Mathers był indywiduum, które miało wiele wspólnego z bagnem i trzęsawiskiem: odpornym na ewolucję i wsysającym do głębin swej pamięci każdą niefortunną sytuację, gdzie nigdy nie miała już być zapomniana.

— Uważam, że nie powinieneś się posuwać aż tak daleko — powiedział niespodziewanie Steve. Pete był zaskoczony, ale Steve wzruszył ramionami. — Nie ma idealnej drogi wyjścia z sytuacji, oczywiście, ale jeśli pójdziesz do Pointu, Rada dobierze ci się do dupy. Moim zdaniem powinieneś uspokajać ludzi na miejscu i spróbować doprowadzić do tego, że radni ruszą głowami.

— Dokładnie — zgodził się Grim, który odrzucił już na bok wszelkie wątpliwości i w ten sposób popełnił straszny błąd w ocenie. — Dzisiaj wieczorem poinformuję Radę i ściągniemy gówniarzy z ulicy. Może mieszkamy wszyscy w Black Spring, ale przecież nie jesteśmy zwierzętami.

Griselda Holst doszła do wniosku, że poświęcając się, osiągnęła bardzo

wiele. Po raz pierwszy od urodzenia jedyne go syna czuła coś, co zarazem przyprawiało ją o dreszcze i wprawiało w stan błogości: niedoścignione szczęście, takie, które u innych ludzi wywoływał zmysłowy powiew letniego wiatru albo zapach bzu rosnącego pod ścianą przydomowego ogrodu. Tragiczne było to, że szczęście Griseldy trwało zaledwie cztery dni i zostało nagle przerwane w sobotni wieczór aresztowaniem jej syna.

Początkowo czuła się obrażona, a nawet postawiona w niezręcznej sytuacji. Przygotowała uroczę dary, jednak Katherine, zamiast zniknąć, nie uczyniła tego, zatem ofiara nie była wystarczająca. Co więcej, obecnie istniało poważne zagrożenie, że Griselda zostanie zdemaskowana. Po zamknięciu sklepu w poniedziałek miała wielką ochotę pójść i zapytać, co się właściwie dzieje, jednak nie ośmieliła się, uznała, że najważniejsza jest ostrożność. Jednak następnego dnia, gdy nabrała pewności, że nic złego się jej nie stanie, zaczęła widzieć sprawy inaczej. Otóż Katherine zapewne dlatego tak mocno przywiązała się do pawia, że chciała wszystkim ludziom pokazać, jak bardzo jest wdzięczna swojej przyjaciółce Griseldzie. No i strumień przestał krwawić. Griseldzie zaczęło świtać w głowie, że to, co zrobiła, można jak najbardziej uznać za akt bohaterstwa. W zaciszu mieszkania rozpamiętywała swoje osiągnięcie i bawiła się frywolnymi fantazjami. Gdyby ludzie tylko wiedzieli o jej wyczynie, nosiliby ją ulicami miasta na rękach. Wydaliby na jej cześć wielkie przyjęcie, z tańcami i śpiewem, i każdy chciałby zjeść trochę jej pasztetu. Lecz mimo wszystko Griselda nie pragnęła uznania i sławy. Najważniejsze było dla niej to, że uczyniła coś dobrego dla swojej ukochanej Katherine.

W sobotę od rana stała za ladą swojego sklepu w wyjątkowo dobrym humorze. Jako specjalność dnia przygotowała dla klientów klopsiki w sosie pieczeniowym. Ludzie tłumnie przychodzili do sklepu, jakby w sekrecie wiedzieli już, że to Griselda jest ich wybawczynią. Nawet pani Schaeffer przywitała się z nią serdecznie i kupiła kilogramowy rumszyk, nawet nie mrugnawszy okiem.

Wieczorem Griselda, ułożywszy przed sobą tacę pełną pasztetówki, zadowolona z siebie oglądała w łóżku *Saturday Night Live*, kiedy usłyszała głośne pukanie do drzwi na dole. Była zdziwiona: nikt nigdy nie składał jej wizyt, a Jaydon już po obiedzie zamknął się w swoim pokoju.

— Jaydon, drzwi! — krzyknęła. Nie doczekała się jednak reakcji syna. Słyszała jedynie głośne dudnienie muzyki z pokoju Jaydona na strychu. — Jaydon!

Rozdrażniona wsunęła na nogi pantofle i w samej piżamie wyszła do przedpokoju. Właściwie najpierw chciała pójść na górę do Jaydona i nakrzyczeć na niego — ile razy miała mu powtarzać, że wizyty kolegów są wyłącznie jego sprawą, a nie jej. Jednak znów usłyszała pukanie, tym razem jeszcze głośniejsze, zeszła więc po schodach, przez cały czas mrucząc pod nosem nieprzyjemne słowa. Kiedy włączyła światło w sklepie, dzwonek przy drzwiach zaczął dzwonić bez

przerwy.

— Tak, tak, tak, już idę — burknęła i obeszała ladę. — Przecież nie mam już szesnastu lat, ludzie!

Za firanką dostrzegła trzy zwałiste sylwetki. Jasne, kumple Jaydona, jak się spodziewała. Otworzyła drzwi kluczem i już miała powitać gości niemiłym: „Nie mogliście do niego zatelefonować, że stoicie pod drzwiami?”, słowa jednak zamarły jej na ustach. W progu stali Rey Darrel i Joe Ramsey z Rush Painting, a towarzyszył im Theo Stackhouse, właściciel warsztatu przy Deep Hollow Road, w którym Jaydon, jak sam to określił, luźno dorabiał sobie ostatniego lata. Trzech przerośniętych facetów, pełnych testosteronu, którzy wyglądali, jakby w każdej chwili mieli pęknąć. Dopiero po chwili Griselda dostrzegła za ich plecami Coltona Mathersa, o dwie głowy niższego od nich i opatulonego w obszerny płaszcz. Chevrolet Reya Darrela stał trochę z tyłu, z zapalonym silnikiem i włączonymi światłami.

Griselda popatrzyła niepewnie na trzy twarze.

— Czym mogę panom służyć? — zapytała.

— Czy Jaydon jest w domu? — spytał ją Darrel ostrym tonem.

— A w co on się znowu wpakował? — Na moment popatrzyła za siebie i mężczyźni wykorzystali tę sytuację, aby minąć ją w drzwiach i wejść do sklepu. — Hej, a co to ma znaczyć? Colton, o co wam chodzi?

Radny popatrzył na nią z rozzłoszczoną miną. Nagle Griseldę ogarnął strach, palący strach.

— Ci stróże prawa przyszli aresztować Jaydona, Griseldo. Radzę ci, żebyś pozwoliła im wykonać zadanie, nie stawiając oporu.

— Aresztować? Do diabła, za co?

Trzej mężczyźni zignorowali ją, obeszała sklepową ladę i przeszli do prywatnej części domu Griseldy.

— Hej, wracajcie! To jest mój dom! Jaydon!

Colton Mathers położył dłoń na jej ramieniu i wypowiedział jej imię, starannie wymawiając każdą sylabę, ale Griselda pod wpływem chwili wyrwała mu się i poszła za intruzami, którzy bezwstydnie zaczęli wchodzić po schodach. A przecież nie wolno im było tego zrobić, prawda? Griselda jednak natychmiast z przerażeniem uświadomiła sobie, że mają do tego prawo, jeśli wymaga tego sytuacja. Lokalna policja w Black Spring składała się zaledwie z garstki funkcjonariuszy — wolontariuszy, którym polecenia wydawał HEX — i działała wyłącznie w sprawach dotyczących samego miasta. W kwestii dokonywania aresztowań nie istniały ściśle określone procedury i ich przebieg zawsze był improwizowany, w każdym razie nikt nigdy nie pytał o coś takiego jak nakaz aresztowania. Również teraz taki nakaz nie był potrzebny, skoro Colton Mathers, uosobienie najwyższej władzy w mieście, stał w sklepie i czekał.

Ramsey, Stackhouse i Darrel poszli w kierunku, z którego docierały dźwięki muzyki, czyli prosto na strych. Pierwszy z trzech mężczyzn walnął w drzwi do pokoju Jaydona tak mocno, że aż zatrzęsł się cały dom. Griselda stała za całą tą trójką i kiedy Ramsey otworzył drzwi, zobaczyła, jak Jaydon, który siedział na łóżku i grał w jakąś grę na laptopie, nagle się prostuje.

— Jaydonie Holst, jesteś aresztowany za złamanie niemal każdego cholernego paragrafu Dekretu o stanie wyjątkowym — powiedział Rey Darrel; właściwie wykrzyczał każde słowo i Griselda zdała sobie sprawę, że trzech mężczyzn nie tylko chętnie wykonują swoje zadanie, ale są też naprawdę wściekli na Jaydona. — Masz prawo do milczenia, na twoim miejscu nie liczyłbym jednak na adwokata, ty głupi, mały popierdoleńcu.

Z głośnym trzaskiem rozbił o podłogę krzesło Jaydona, które stało przy stole.

— Oszaleliście? — krzyknęła Griselda.

Szarpnęła Reya za rękaw, on jednak uwolnił się od niej jednym gwałtownym ruchem ramienia.

— Co jest, kurwa? — zapytał Jaydon ze zdziwieniem. Popatrzył na Griseldę, u niej szukając pomocy. — Mamo...

— Co z ciebie za cholerny psychopata? — zapytał Theo Stackhouse. Wargi miał niemal białe z wściekłości. Podszedł do Jaydona i złapał go za rękę. — Nie wiedziałem, że jesteś taki, kiedy dawałem ci pracę!

— Theo, zapanuj nad sobą, człowieku. O co właściwie chodzi?

— To ty powinienes nad sobą zapanować! — wrzasnął Theo i Jaydon aż się skulił. — Teraz, kiedy nie masz kamieni w rękach, nie jesteś już taki odważny, co? Jaydon uniósł przed siebie otwarte dłonie.

— Posłuchaj, to był tylko żart, nic więcej.

— Już ja ci dam żart.

Jednym szybkim ruchem wykręcił Jaydonowi rękę i przycisnął mu ją do pleców. Jaydon pochylił się i krzyknął.

— Przestańcie! — wrzasnęła z kolei Griselda, ale Darrel odepchnął ją palcami, mocnymi jak grube stalowe kable. — Rey, już nigdy nie sprzedam ci mielonej wołowiny, jeśli natychmiast nie powiesz mi, co wy właściwie wyrabiacie.

— Przykro mi, pani Holst, ale takie mamy rozkazy.

— Mów mi po imieniu, jak zawsze.

Ale Darrel zdecydowanie ją odepchnął i złapał Jaydona za swobodną rękę.

— Pójdiesz ze mną — rozkazał.

Mijając Griseldę, mężczyźni wyprowadzili Jaydona z pokoju. Ramsey wziął z łóżka jego laptopa, wyszarpnął z gniazdka zasilacz i wsunął sobie komputer pod ramię.

— Czekać! — krzyknęła Griselda.

Przytrzymując się poręczy, ciężko zeszła po schodach za grupą mężczyzn.

Czuła, że jej serce bije jak szalone, dyszała jak biegacz na długim dystansie, trzymały ją jednak na nogach rozpaczliwe wołania syna o pomoc. Zeszła na parter w chwili, kiedy Darrel uderzył go w plecy i Jaydon wylądował na brzuchu w progu sklepu, szorując twarzą po podłodze. Krew trysnęła mu z rozbitego nosa. W ślepej wściekłości Griselda rzuciła się na najbliższego mężczyznę, Joego Ramseya, on jednak przytrzymał się poręczy i mimo sporej wagi kobieta odniosła wrażenie, że zderzyła się z betonową ścianą.

— Nie róbcie mu krzywdy, wy potwory! — załkała. — Zabierzcie precz brudne łapska od mojego syna!

Leżąc z twarzą przy podłodze, Jaydon zaczął szukać w kieszeni telefonu, ale Theo Stackhouse przycisnął mu nadgarstek skórzanym butem i Jaydon krzyknął z bólu. Właściciel warsztatu odebrał mu telefon i wsunął go do kieszeni swojego płaszcza.

— Skurwysyny! — zawył Jaydon. — Mam przecież swoje prawa, doskonale to wiecie!

— Już nie masz żadnych praw — odparł Stackhouse.

Kopnął go tak mocno w krzyż, że Jaydon zgiął się i zakaszał, po czym wypluł na podłogę mnóstwo śliny. W tym momencie Griselda ujrzała przed oczami Jima, przypomniała sobie, jak Jaydona kopał jej zmarły mąż, i czerwona mgła wściekłości zalała jej oczy.

— Dosyć! — Ponad wszystkimi innymi odgłosami zagrzmiało wołanie Mathersa. — Wstań, chłopcze.

Z twarzą wykrzywioną bólem Jaydon wstał na nogi, przytrzymując się framugi. Przycisnął do piersi obolały nadgarstek. Krew kapała z jego górnej wargi. Załzawionymi oczyma, z których biła patologiczna nienawiść, popatrzył na stalową twarz Coltona Mathersa.

— Młody panie Holst, aresztuję pana w imieniu Boga za wielokrotne i ciężkie naruszenia przepisów Dekretu o stanie wyjątkowym, za ukamienowanie Katherine van Wyler i za celowe narażenie na szwank życia niemal trzech tysięcy mieszkańców Black Spring. Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą.

Darrel i Stackhouse znowu złapali Jaydona i wywlekli go z kontuaru.

— Mamo, widzisz, co oni ze mną robią? — zawołał. — Powiedz o tym wszystkim! Ona widziała, jak mnie pobiliście, skurwysyny! Nie ujdzie wam to na sucho!

Ale Griselda niemal go nie słyszała. Nie była już w stanie logicznie myśleć. Wszystko dookoła niej działo się jakby za mgłą. Ale w jej głowie głośno kołatały słowa: „Ukamienowanie Katherine van Wyler”. Po usłyszeniu tych kilku słów jej umysł zamknął się przy akompaniamencie głośnego kliknięcia. Ukamienowanie Katherine van Wyler. Ukamienowanie...

— Nie zróbcie mu krzywdy — odezwała się, słowa te wypowiedziała jednak

jakby z wahaniem, niemal pytającym tonem.

O dobry Boże. Czy on powiedział UKAMIENOWANIE?

— Na miłość boską, Colton, co on takiego zrobił?

Gdy pozostali mężczyźni wyprowadzili Jaydona, radny w dużym skrócie powiedział jej, o co oskarżony jest Jaydon, ale to Griseldzie wystarczyło. Jej myśli falowały i wirowały, a potem jakby ulatywały w powietrze i spadały w szalonym, dzikim pędzie.

— Moim obowiązkiem jest przekazanie ci tej informacji, ponieważ jesteś jego matką, Griseldo. Niemniej jestem tutaj nieoficjalnie. Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli...

Ale Griselda już nie słuchała. Zaczęła gwałtownie oddychać i myślami była z Katherine, nie dlatego, żeby ją przeproszać albo się z nią pogodzić — czy zgoda w ogóle była możliwa po czymś takim? — ale tylko po to, aby obmyć jej stopy swoimi łzami. Uczyniła niepewny, niezdarny krok w kierunku wieszaka na czapki.

— Griseldo, co robisz? — cicho zapytał ją Colton Mathers.

— Muszę... — „pójść do niej, zobaczyć ją”, niemal jej się wyrwało. — Oczywiście pójść z moim synem.

— Nigdzie nie pójdziesz.

— Ale ja...

Mathers chwycił ją obiema rękami i pchnął delikatnie, lecz stanowczo na ścianę za ladą. Poczula, jak jego zaszuszone dłoń z powykrzywianymi palcami opada na jej pierś. Poczula jego oddech, ciężki, ostry, cuchnący drapieżnym zwierzęciem, i pospiesznie zacisnęła usta, które wydały przy tym głośne, mokre cmoknięcie.

— Bądź cicho. Jestem po twojej stronie, Griseldo. Chyba o tym wiesz?

— Tak...

— To dobrze. Zaufaj mi.

— Ale co?...

— Nic, Griseldo. Zaufaj mi. Ufasz mi?

— Ufam ci...

— Chcę, żebyś za mną powtarzała. Ja, Griselda Holst...

— Ja, Griselda Holst...

— Dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie...

Popatrzyła na niego z wielkim zdziwieniem.

— Co?

— Dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie...

Ręka Mathersa znalazła się na jej piersi. Ścisnęła ją boleśnie, okrutnie.

— Powiedz to, Griseldo. Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie...

Teraz była już przerażona i spróbowała wyrwać się z uścisku Coltona,

jednak na próżno.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ ja wiem, Griseldo — powiedział radny ze szczerym smutkiem. — Wiem, że chodzisz do wiedźmy, i wiem, że podarowałaś jej pawia. Wiem, że odwiedzasz ją regularnie. Wiem o wszystkim i nie chcę oficjalnie cię sądzić, ale, na Boga, zrobię to, jeśli nie odejdziesz dobrowolnie z Rady. Powtarzaj za mną, Griseldo: Niniejszym dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie...

Zaczerwieniła się i popatrzyła na niego wielkimi oczyma, w których widać było poczucie winy.

— Colton, ja...

— Powtarzaj za mną! — Niespodziewanie stary radny wrzasnął na nią z nieskrywaną już wściekłością, a Griseldą wstrząsnął zimny dreszcz. — Powtarzaj za mną, Griseldo! Powtarzaj za mną! Ja, Griselda Holst, dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie!

— Dobrowolnie rezygnuję z członkostwa w Radzie — wyjąkała Griselda, kuląc się ze strachu.

Teraz, gdy Mathers zrzucił maskę opanowania, na jego twarzy pojawiła się pulsująca sieć ścięgien i zmarszczek. I nie była to wcale twarz zniedołężniałego starca, lecz bardzo niebezpiecznego człowieka.

— I nie uczynię niczego, aby w jakikolwiek sposób zakłócić przebieg śledztwa...

— I nie zakłócę śledztwa... Hej, Colton, to mnie boli.

— Ani nie zbliżę się do wiedźmy nawet na chwilę.

— Nie rozumiesz...

— Mów!

Griselda poczuła, jak jej sutek przeszywa piekący ból, gdy Colton Mathers ścisnął go z całej siły.

— Już nigdy więcej nie zbliżę się do Katherine!

Radny uspokoił się i na jego twarz wróciło opanowanie, jakby rozplynęła się warstwa chmur, dotąd zalegająca pod jego skórą.

— Doskonale, Griseldo. Niech Bóg zlituje się również nad tobą.

Poprawił swój wielki płaszcz i już bez słowa wyszedł ze sklepu. Dzwoneczek nad drzwiami zadzwonił wesoło, jak zawsze. Griselda padła na kolana i zaczęła płakać.

* * *

Po aresztowaniu Jaydona Griselda odczuła niemal patologiczną potrzebę umycia i posprzątania wszystkiego — najpierw siebie, a potem całego sklepu, metodycznie i dokładnie, sprania wszelkiego brudu ze swojego ciała i duszy. Sprzątała w jakimś szaleńczym amoku, jakby sama pochylała się nad sobą

z karzącym bitem, jakby opuściła własne ciało; zmagająca się z pogmatwanymi wizjami, które nękały ją niczym koszmary w gorączce: widziała Coltona Mathersa kopiącego Jaydona, widziała mieszkańców Black Spring z obojętnymi, beznamiętnymi twarzami, którzy wiedzieli, co Griselda uczyniła, i rzucali w nią kamieniami (zamiast medalami, na jakie zasługiwała), czuła dłoń Mathersa na piersi i jego namiętny oddech na szyi.

Och, Katherine, co się ze mną dzieje? Wariuję.

Zadrżała na myśl o dotyku radnego; wydał się jej o wiele bardziej straszliwy niż dotyk Arthura Rotha. Rothem kierowało zwyczajne pożądanie i była w stanie sobie z nim poradzić. Ale kiedy Colton Mathers ścisnął jej pierś, widziała na jego twarzy chorą koncentrację inkwizytora, jakby spoglądała w głęboką rozpadlinę ku odległej, dawno minionej przeszłości.

„Jestem po twojej stronie, Griseldo”.

Jednak Griselda żyła już wystarczająco długo na świecie, aby rozumieć, że nikt nie jest po jej stronie, ani Colton Mathers, ani Jaydon, a już z pewnością nie mieszkańcy miasta, którzy jedli jej pasztet. Po jej stronie stała tylko Katherine. Ale teraz to się zmieniło. Za każdym razem, gdy tej nocy już jej się zdawało, że zasypia, przed oczyma stawał jej ten sam obraz: widziała Katherine, przemierzającą w tę i z powrotem Deep Hollow Road, wężącą w powietrzu jak drapieźnik poszukujący ofiary i wypatrującą ślepych oczami Griseldy, bo przecież to jej syn ukamienował Katherine, krew z jej krwi i kość z jej kości, to on odebrał jej pawia. Co kilka minut budziła się z wstrząsem, a jej ciało było zimne i oślizgłe od potu. Przez całą noc przewracała się w łóżku, schwytna w potrzask: jeśli chciała spłacić dług wobec Katherine, będzie musiała pozostać jej wierna; ale jeśli nie chciała dopuścić, by Jaydonowi stała się krzywda, będzie musiała stanąć po jego stronie.

O pierwszym brzasku w niedzielę zatelefonowała do ratusza, ale nikt nie podniósł słuchawki. Spróbowała połączyć się z Mathersem, ale również on nie odebrał — zresztą spodziewała się tego. W HEX-ie zastała natomiast Roberta Grima, który niechętnie powiedział jej, że Jaydon został przesłuchany, obecnie znajduje się w pojedynczej celi w Doodletown i czeka na proces, podobnie jak jego koledzy. Grim dodał, że Jaydon, w przeciwieństwie do pozostałej dwójki, jest pełnoletni i on, Grim, nie ma obowiązku przekazywać informacji Griseldzie.

— Proszę, nie zróbcie mu krzywdy, Robercie — powiedziała błagalnym głosem. — Niezależnie od tego, co zrobił, niezależnie od tego, co myślisz o mnie, nie zróbcie krzywdy mojemu synowi.

— Oczywiście, nikt mu nic złego nie zrobi — odparł Grim lapidarnie. — Będzie traktowany tak jak wszyscy inni.

— Przy aresztowaniu zepchnęli go ze schodów i skopali na podłodze.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza; Grim zmagał się z sobą, aby

zachować spokój w głosie.

— Przykro mi z tego powodu. To nie powinno się zdarzyć.

Ale się zdarzyło i to był dopiero początek. Wiadomości o ukamienowaniu zaczęły roznosić się po Black Spring niczym wirus, już nie szeptano ich na ucho, ale wykrzykiwano je oszalałymi głosami. Nagle starannie trzymany w ryzach strach powrócił, a w jego cieniu panika, złość i insynuacje. Można było odnieść wrażenie, że czas cofnął się o tydzień. Jednak sam fakt, że wcześniej ludzie głupio uwierzyli, jakoby niebezpieczeństwo było już za nimi, czynił ich oburzenie potężniejszym, a strach jeszcze bardziej paraliżującym niż przed kilkoma dniami.

Z okna sypialni Griselda wyjrzała na rynek i dostrzegła tłumy ludzi zgromadzonych przed kościołem Metodystów i barem Quiet Man. Ludzie co jakiś czas wznosili okrzyki zaogniające sytuację. Nie minęło dużo czasu i zaczęli walić pięściami w okna sali restauracyjnej. Griselda próbowała wyodrębnić spośród wrzasków głosy tych ludzi, którzy zawsze dobrze ją traktowali. Ukryła się za firanką i z desperacją czekała, aż histeria opadnie, ale w miarę jak zbliżał się zmrok, na zachodzie zaczęły wznosić się ku niebu coraz ciemniejsze chmury dymu i coraz głośniej wyły syreny straży pożarnej. Ktoś przyniósł skrzynkę z pustymi butelkami po piwie, napełnił je benzyną i zaczął rzucać w okna domu tureckiego kolegi Jaydona — tego całego Burana. Wkrótce zaczął płonąć cały budynek. Rodziny Sayerów nie było akurat na miejscu, gdyż w tym czasie ich przesłuchiowano, przez co uniknęli obrażeń, jednak praktycznie cały parter spłonął i dom uznano za niezdatny do użytkowania.

Sayerowie byli łatwym celem, oczywiście. Griselda przez lata zyskała w mieście znacznie więcej szacunku niż oni, jednak następnego dnia od rana zorientowała się, że nie przyjdzie do niej już żaden klient, a po południu zjawili się w sklepie dwaj mężczyźni z Lower South i kijami baseballowymi porozbijali jej okna wystawowe w drobny mak.

Natychmiast zamknęła sklep i dla własnego bezpieczeństwa zaciemniła wszystkie okna. Z przygnębieniem wyciągając kawałki szkła z mielonej wołowiny, Griselda nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co ją zmroziło, czego nie potrafiła ubrać w ludzkie słowa, a co było oczywiste: jeśli każda osoba podda się zbiorowej hysterii, w Black Spring zapanuje powszechne szaleństwo.

Wizja przyszłości miasta, nad którym wisiała nieodwracalna klątwa, była przerażająca.

Proces wyznaczono na wtorkowy wieczór w Sali Pamięci i przyszło na niego całe miasto. Kiedy Steve pojawił się z Jocelyn i z Tylerem i zobaczył kolejki przed wejściem, w jednej chwili zrozumiał, że nawet cały skromny budynek nie zdoła pomieścić tak wielkiego tłumu i pęknie w szwach. Podczas gdy na zgromadzenia

w halloweenowy wieczór stawiało się zazwyczaj około ośmiuset mieszkańców Black Spring, teraz przed gmachem ratusza zgromadziło się ich około dwóch tysięcy.

Tyler błagał, żeby pozwolili mu zostać w domu, jednak zatelefonował ktoś z Rady i powiedział Steve'owi, że obecność jego syna na procesie jest obowiązkowa. Wtedy jego serce zaczęło uderzać w piersiach jak ciężki tłok. Próbował nie okazywać zdenerwowania, jednak praktycznie niczego nie zjadł na kolację i Jocelyn zapytała go, czy to z powodu zbliżającego się procesu.

— Prawdopodobnie z nerwów — przyznał, żałując, że nie może jej powiedzieć, co jest największym źródłem jego zdenerwowania.

Tylera przesłuchiowano w ratuszu zarówno w niedzielę, jak i w poniedziałek. Steve zrobił wielką awanturę, utrzymując, że ma prawo uczestniczyć w przesłuchaniu, ponieważ Tyler jest nieletni, w końcu jednak musiał się wycofać i zostać w poczekalni, razem z Pete'em i Lawrence'em VanderMeerami. Ten ostatni miał na czole brzydkie szwy, którymi zaszyto jego ranę. Kiedy Tyler wreszcie wyszedł, przyszła kolej na niego. Steve zapytał syna, jak mu poszło, i Tyler odpowiedział, że wcale nie było źle. W niedzielę rano, kiedy Jaydon zaczął mówić, zabezpieczono do sprawdzenia laptopy, telefony i iPada Tylera. Steve modlił się, żeby chłopcy nie popełnili błędu w zeznaniach, jednak nieskrywana wściekłość Pete'a na Jaydona, który podstępem próbował wciągnąć kolegów w awanturę, z pewnością działała na ich korzyść. Kiedy, bez Pete'a i Lawrence'a, wracali do domu, Tyler powiedział, że ma wrażenie, iż Buran i Justin milczą na przesłuchaniach. Chociaż sam nie był zbyt rozmowny, śledczy mogli odnieść wrażenie, że w pełni z nimi współpracuje, a zapytany o swoją rzekomą stronę internetową, udawał całkowitą niewiedzę, nie utrudniając jednak przesłuchania milczeniem. Steve miał jedynie nadzieję, że Lawrence będzie potrafił postępować tak samo.

Był umiarkowanym optymistą... aż do popołudnia, kiedy odebrał telefon z Rady.

Tłum wypełniał korytarze aż do samych drzwi Sali Pamięci i blokował wyjście na zewnątrz tym osobom, które miały nieszczęście znaleźć się w toalecie. Steve, Jocelyn i Tyler dołączyli do stojących po lewej stronie sali, tuż za rzędami składanych krzesel, ale kiedy tylko wszechobecni strażnicy ich dostrzegli, natychmiast skierowali ich do drugiego rzędu, gdzie zarezerwowano dla nich miejsca obok rodziny VanderMeerów. Kiedy przeciskali się wśród ludzi, Steve czuł skierowane na siebie spojrzenia. Na twarzy każdego człowieka dostrzegał wyraz strachu i złości.

— Co za żałosny widok, prawda? — powitał go z uśmiechem Pete, kiedy już wreszcie zajął miejsce.

Steve był zdenerwowany.

— To pomieszczenie jest zbyt zatłoczone. Jeśli wybuchnie panika, ludzie stracą się na śmierć.

— Obawiam się, że całe zamieszanie jest sztucznie podsycane. Widziałeś to?
— Pete wskazał palcem na scenę.

Za podium i napisem UFAJMY BOGU I SOBIE NAWZAJEM znajdował się wielki ekran plazmowy. Steve poczuł, że krew odpływa z jego twarzy. Idioty zamierzali wykorzystać nagrania wideo, żeby wznieść zamieszki.

— Mam nadzieję, że nie wprowadzą tutaj chłopców. Jeśli to zrobią, praktycznie oddadzą ich jak jagnięta na rzeź.

— A my będziemy w głębokim gównie — przytaknął Pete. — Jednak jeśli tego nie zrobią, też będziemy w głębokim gównie.

Z tyłu sali zapanowało jakieś poruszenie. Ludzie zaczęli się przewracać za ostatnimi rzędami krzeseł, popychani przez masy usiłujące przedostać się za próg. Natychmiast pospieszyli tam strażnicy z zamiarem zlikwidowania ostatnich rzędów siedzących, chcąc w ten sposób uzyskać w pomieszczeniu przestrzeń dla większej liczby osób. Ze wzrastającym niepokojem Steve dostrzegł, że wyjścia awaryjne są już zablokowane. Nawet na balkonie zgromadził się potężny tłum.

— Ludzie, niech miejsca siedzące zajmują osoby starsze! — krzyknął ktoś.
— Oddawajcie miejsca starszym, zachowujcie się jak dobrzy Amerykanie!

Kiedy do sali w zwartym szyku weszła Rada i wszyscy zajęli miejsca na podwyższeniu — Steve zauważył, że jest ich sześćoro, brakowało kobiety, która prowadziła sklep mięsny — hałas powoli zaczął zamierać. I wreszcie zapanowała tak nieprawdopodobna cisza, że można było usłyszeć pojedyncze przestąpienie z nogi na nogę, szelest papieru czy tłumiony kaszel. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy obecni nagle wstrzymali oddech w oczekiwaniu na to, co miało za chwilę nastąpić.

Rozpoczął Colton Mathers; obyło się bez zwyczajowych słów otwarcia wygłaszanych przez burmistrza. Głos starszego mężczyzny był głęboki, władczy i nieprawdopodobnie spokojny. Unosił się wśród milczących ludzi jak fale ciemnej wody.

— „Przeznacz mi Twój sąd, o Boże, a ja rządzić będę sprawiedliwie Twoim ludem i ubogimi Twymi zgodnie z prawem i zetrę w proch ciemności”². Psalm 72. Drodzy współmieszkańcy, zebraliśmy się dzisiaj wieczorem, aby osądzić przerażające przestępstwo i bluźniercze drwiny, które wpływają na los nas wszystkich: ukamienowanie Katherine van Wyler w miniony czwartek, ósmego listopada, przez młodych dżentelmenów — Jaydona Holsta, Justina Walkera i Burana Sayera, co doprowadziło do śmierci naszej ukochanej Rity Marmell. Panie, zmiłuj się nad jej duszą.

Oczywiście wszyscy słyszeli już plotki, ale teraz, kiedy padły stanowcze słowa, pomruk furii i obrzydzenia przemknął wśród ludzi i w krótkim momencie

wszyscy zjednoczyli się we wspólnej konsternacji: wierzący i niewierzący, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi.

Adrian Chass, członek Rady, którego zły gust w zakresie doboru ubrań równy był tylko brakowi kręgosłupa moralnego, odchrząknął i zaczął czytać z kartki. Nie miał nawet połowy charyzmy Mathersa.

— Panie i panowie, pani Marmell zmarła na skutek niedokrwienia mózgu dokładnie w tym czasie, w którym miało miejsce kamienowanie, co bezdyskusyjnie przywodzi na myśl podobne zdarzenia z roku 1967, kiedy usunięto jeden ze szwów w ustach Katherine. — Zakaszła. — Konsekwencje nieodpowiedzialnego i haniebnego czynku popełnionego przez tych młodych ludzi są ogromne i mogłyby dotyczyć każdego spośród nas. Prawdopodobnie zauważyli państwo, że mówię o sprawcach jako o winnych zbrodni, a nie jedynie o nią podejrzanych. Czynię tak na podstawie jednoznacznych dowodów, które za chwilę zaprezentujemy, aby w pełni uświadomić wam barbarzyński charakter ich przestępstwa.

Steve zobaczył, że Robert Grim, siedzący na scenie, zamyka oczy, i jego podziw dla niego wzrósł. Grim był przeciwny temu spektaklowi, zapewne był też przeciwny całej procedurze, która do niego doprowadziła.

Na ekranie plazmowym nagle pojawił się znany mu las za domem i wydarzenia sprzed kilku dni. Tyler, który siedział obok niego, opuścił szczękę i zadrżał nerwowo. Steve żałował, że nie może chłopakowi tego oszczędzić; odgórnie zmuszono go, żeby przeżywał wszystko jeszcze raz — popychanie wiedźmy kijami, walkę, w której ranny został Lawrence, desperackie okrzyki, a potem uderzenia kamieni w ciało Katherine. Steve ścisnął jego dłoń, jednak nie zdołał powstrzymać jego łez. Jocelyn, która aż do tej chwili nie patrzyła na ekran, przyłożyła dłonie do ust.

Wreszcie film się skończył i ekran zgasł. Sam pomysł rzucania w wiedźmę kamieniami był zły, ale oglądanie tego na własne oczy wznieciło w mieszkańcach Black Spring ślepą furję, gwałtowną jak płonący fosfor. Niektórzy zaniemówili. Rozległy się buńczuczne okrzyki. Niektórzy wybuchali płaczem.

— Gdzie są ci mordercy? — krzyknął ktoś z tyłu sali.

— Każdy z nas mógł przez nich zginąć! — zawołał ktoś inny.

— Niech ich tylko dostanę w swoje ręce! — wrzasnął kolejny mieszkaniec.

Roześmiał się szalonym, piskliwym śmiechem, jakby nie traktował poważnie tego, co przed chwilą powiedział, ale zaraz zawołał, głośno i wyraźnie:

— Nie daruję im tego!

Ludzie z tyłu sali rzucili się do przodu i padali jedni na drugich, jakby wszyscy nagle doznali iluzji, że sprawcy znajdują się na scenie. Gdyby to było prawdą, zostaliby na miejscu zlinczowani, Steve nie miał co do tego wątpliwości. Krzesła przewracały się, nawzajem rozrywano sobie ubrania, ludzie upadali na

podłogę, skręcały się kończyny w kostkach i nadgarstkach. Strażnicy z wielkimi problemami starali się zapanować nad zgielkiem.

— Spokój! — rozległ się z głośników głos burmistrza. — Ludzie, uspokójcie się.

— Steve, jesteście tutaj bezpieczni? — zapytała Jocelyn, z zaciśniętymi pięściami spoglądając na chaos za ich plecami.

— Chyba tak, przynajmniej przez jakiś czas.

Rwetes powstał zbyt daleko od nich i zbyt wielu ludzi starało się uspokoić tłum, żeby zagrożenie mogło być w tej chwili realne. Burmistrz nadal uciszał mieszkańców z trybuny, Steve jednak dostrzegł, że Colton Mathers obserwuje niespokojny tłum — jego tłum, pomyślał — z błyskiem triumfu w oczach. Oczywiście stary radny doskonale wiedział, że coś takiego się wydarzy.

W końcu sytuacja się uspokoiła, a lekarze zaczęli udzielać pomocy najbardziej poszkodowanym osobom. Adrian Chass znów zabrał głos, chociaż zagłuszały go niespokojne nawoływania na sali.

— Wasze oburzenie jest zrozumiałe, jednak bardzo was proszę o spokój. Pan Grim i jego współpracownicy zapewnili nas, że ostatnie wypadki nie będą miały dalszego wpływu na Katherine. Wszyscy wiemy, że nie zmienia ona utartego zachowania bez powodu...

— Co więc pan powie o strumieniu? — krzyknął ktoś ze środka sali i natychmiast otrzymał głośne oklaski.

— Uzyskaliśmy już wyjaśnienie tego zjawiska — odparł Chass. — Niestety, ukamienowanie nie jest pierwszym przestępstwem, które ostatnio popełnił pan Holst. Mamy kilku świadków, którzy zeznają, że tydzień wcześniej poniżył Katherine, rozdierając jej ubranie i obnażając jej pierś, po czym dźgnął ją nożem i poszczuł psem. Był to pies należący do państwa Grantów, a — jak prawdopodobnie wiecie — bezpośredni kontakt z wiedźmą spowodował śmierć zwierzęcia.

Ludzie ponownie eksplodowali wściekłością, a Steve zdał sobie sprawę, że niebezpieczna, parna atmosfera w Sali Pamięci zamienia zgromadzenie w coraz bardziej prymitywny trybunał ludowy. Ktoś zaintonował groźne zawołanie, a masy po chwili przejęły je niczym tłum ulicznych rebeliantów:

— Brać ich, brać ich, brać ich!

Steve zrozumiał, że tłum jest na skraju wybuchu. Wystarczyło teraz niewiele, by rozjuszone masy wzięły sprawy w swoje ręce. Po raz pierwszy zobaczył w oczach Pete'a VanderMeera nieskrywany strach.

Chass próbował przekrzyczeć tłum, jednak udawało mu się to z wielkim trudem.

— Panie i panowie, sprawcy zostali aresztowani i obecnie przebywają w izolacji. Chcielibyśmy teraz... Panie i panowie, proszę, uspokójcie się.

Chcielibyśmy teraz przedstawić wam dwóch dzielnych młodych ludzi, Tylera Granta i Lawrence'a VanderMeera. Jak już się przekonaliście, uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby powstrzymać trzech rówieśników przed realizacją aktu zdziczenia i pomimo niewątpliwie wielkiego ciężaru, jakim się obarczyli, przekazali swoim rodzicom materiał będący dowodem przestępstwa. Wzywamy wszystkich państwa razem i każdego z osobna do podążenia za ich przykładem i do niezakłócania porządku publicznego. Tyler i Lawrence, proszę, powstańcie.

Tyler wzdrygnął się i popatrzył na Steve'a. Ten mógł jedynie skinąć głową i zachęcić go do wyprostowania się. Daj im tę radość, synu, chociaż przez chwilę, pomyślał. Ogarnęła go wielka ulga. Obecność Tylera w Sali Pamięci miała jedynie ceremonialny charakter. Może dla rodziny była to chwila bolesna, jednak nie niosła ze sobą żadnych konsekwencji.

Lawrence i Tyler niechętnie podnieśli się i rozejrzeli dookoła, mocno onieśmieleni, a tymczasem tłum wokół nich zaczął głośno wiwatować i klaskać. Tyler lekko skinął głową i zaraz pospiesznie usiadł.

— Dobra robota — wyszeptał Steve, Tyler jednak odwrócił od niego wzrok.

— No, już dobrze. — Do akcji wkroczył Colton Mathers. — Ponieważ kwestia winy została już rozstrzygnięta, a sprawcy przyznali się do popełnienia przestępstwa, jako prokurator przejdę do wyroku...

— Ukamienujemy ich na śmierć! — wrzasnął ktoś i odpowiedziały mu okrzyki poparcia; oczywiście nikt tak naprawdę nie zakładał, że dojdzie do ukamienowania winowajców, ponieważ wszyscy byli cywilizowanymi ludźmi.

— ...i tak, jak leży to w naszym zwyczaju, sprawa zostanie potraktowana zgodnie z zapisami obowiązującego w Black Spring Dekretu o stanie wyjątkowym, przyjętego przez naszych praocjów w 1848 roku. Panie i panowie, popełniając ohydne przestępstwo, Holst, Walker i Sayer, szumowiny i wyrzutki naszego społeczeństwa, świadomie narazili na niebezpieczeństwo życie każdej osoby spośród nas. Urodzili się i wychowali w Black Spring, zatem są w pełni świadomi, jakie obowiązują u nas prawa i jakie niebezpieczeństwa wiążą się z niewłaściwym traktowaniem więdźmy. Śledztwo wykazało, że każdy z nich był w pełni *compos mentis*, także Walker i Sayer, którzy są osobami niepełnoletnimi. Niech dla wszystkich stanie się jasne, że skrajnie szkodliwe czyny, jakich się dopuścili, nie będą tolerowane w naszym społeczeństwie i zasługują na nadzwyczajną karę. Ale, szanowni państwo, ci młodzieńcy nie są jedynymi osobami, które w ciągu ostatnich tygodni naruszyły przepisy Dekretu o stanie wyjątkowym. — Ludzie zaczęli spoglądać na siebie z niedowierzaniem, zapadła pełna napięcia cisza. A Mathers, którego głos zaczął drżeć z wściekłości, kontynuował swoją litanię: — Znajdują się wśród was osoby, które zaczęły wiązać się z więdźmą. Są wśród was osoby, które zaczęły szukać jej towarzystwa. Są wśród was osoby, które zaczęły przynosić jej bluźniercze dary i które z nią rozmawiały. Mając tę wiedzę, mogę powiedzieć teraz

jedno: wszyscy... jesteśmy... w... niebezpieczeństwie... zagrożeni... są... wszyscy pośród nas! Nie wolno nam nawiązywać relacji z wiedźmą. Jesteśmy potępieni! Znacie treść Dekretu o stanie wyjątkowym i wiecie, jaki czeka nas los, jeżeli Katherine otworzy oczy! Jesteśmy przeklęci i potępieni, przeklęci i potępieni!

Steve słuchał kazania radnego niemal w stanie hipnozy i znowu poczuł dziwny magnetyzm, jaki otaczał tego człowieka. Mathers był niczym zwiastun ognia piekielnego i zagłady, który wzniecał strach, i to skutecznie. Steve poczuł, że się boi, po prostu się boi.

Tymczasem Mathers kontynuował:

— Te akty zostaną nadzwyczaj surowo ukarane. Użyjemy środków odstrasżających, bo taki jest nasz obowiązek. A jednak żadne z waszych przestępstw nie jest tak naganne i nie zagraża w takim stopniu całemu miastu, jak to, co uczynili chłopcy, którzy pohańbili wiedźmę. Zgodnie z postanowieniami Dekretu o stanie wyjątkowym takie zachowanie zostanie ukarane publiczną chłostą, aby świadkami wykonania przykładowej kary mogła zostać cała nasza społeczność. — Na sali zapanowała konsternacja... i, tak, instynktowne, bestialskie podniecenie. Robert Grim z niedowierzaniem patrzył na radnego. Z gardła pani Sayer wydobył się straszliwy, rozdzierający serce skowyt, ale Mathers grzmiał nadal: — Taki zatem jest mój wyrok: pan Justin Walker i pan Buran Sayer zostaną w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przyprowadzeni na miejski rynek i obaj publicznie przyjmą po dziesięć razy biczem o dziewięciu rzemieniach na gołą skórę, jak nakazuje tradycja. Pan Jaydon Holst ze względu na to, że przestępstwo popełnił dwukrotnie, a także dlatego, że osiągnął już pełnoletność, zostanie przyprowadzony na rynek miejski w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i otrzyma dwadzieścia razy biczem o dziewięciu rzemieniach na gołą skórę, jak nakazuje tradycja. Następnie wszyscy trzej młodzi ludzie spędzą trzy pełne tygodnie w izolacji w Doodletown, po czym pozwoli im się wrócić na łono społeczeństwa, pozostaną jednak pod ścisłym nadzorem i otrzymają odpowiednią opiekę psychologiczną.

Gdyby Robert Grim nie wskoczył w tym momencie na podwyższenie, chaos wywołany przez nową, wybuchową mieszkankę bezsilnej wściekłości i tłumionego napięcia osiągnąłby zapewne nieprzewidywalne proporcje. Ale Grim uczynił właśnie to i z rozłożonymi rękami stanął na scenie.

— Nie, nie, nie! To nie tak, nie to ustaliliśmy, Colton. W co, do diabła, nas ładujesz?

— Takie jest nasze prawo, Grim! — Radny pogroził mu, niczym stalowym prętem, zrolowanym tekstem Dekretu o stanie wyjątkowym, po czym kilkakrotnie nim pomachał. — Tak, może to wam się wydać dziwne w naszych czasach, w dwudziestym pierwszym wieku, ale co innego możemy zrobić? Musimy tych

chłopców przykładowo ukarać.

— Ale nie w ten sposób! — wykrzyknął Grim i zwrócił się do zgromadzonego tłumu: — Ludzie, przecież nie jesteśmy barbarzyńcami, prawda? Moi drodzy, zachowajmy rozsądek. Przecież nie możemy stosować prawa szariatu. Powinniśmy rozwiązać problem w godny sposób. Z pomocą Pointu znajdziemy przecież stosowne rozwiązanie.

W tłumie rozległ się pogardliwy śmiech, który Mathers zręcznie wykorzystał.

— W West Point nikt nie wie, jak to jest żyć w mieście, na którym ciąży klątwa wiedźmy. West Point jest bezsilny w obliczu zła. Żyjemy pod szklanym kloszem i możemy się zdawać tylko na dobrego Boga... i na samych siebie. — Rozłożył szeroko ręce, jakby w tej chwili chciał być samym Jezusem. — W Black Spring sami zajmujemy się swoimi sprawami pod okiem Wszechmogącego Boga.

— Ale czy Bóg chce, żebyśmy chłostali nasze dzieci?

Jabłko Adama na szyi Mathersa podskoczyło do góry i zaraz opadło, jakby w konwulsji.

— Ci, którzy oszczędzają bata, nienawidzą swoich synów!

— To jest sąd kapturowy!

— To jest sprawa całego miasta. I podobnie jak każdą sprawę, która dotyczy całego miasta, rozstrzygnie ją głos demokracji.

Niespodziewanie wstała wdowa po panu Talbocie, która mieszkała w bogatszej części miasta, i zaczęła mówić perfekcyjnie opanowanym głosem:

— Jestem skłonna zgodzić się z panem Mathersem. Przecież nie możemy ich po prostu zamykać w Doodletown, nawet trzy razy z rzędu, i zamienić ich we wraki psychiczne, prawda? A to się właśnie stało z Arthurem Rothem i zamieniło go w człowieka niepoczytalnego. Szczerze mówiąc, było to znacznie mniej humanitarne, niż zawsze będzie wymierzenie kilku batów na gołą skórę, co trwa zaledwie pięć minut.

Steve z niedowierzaniem patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę i czuł, że włosy stają mu dęba na głowie. Jeżeli ta kobieta, modelowy przykład osoby wytwornej i powszechnie poważanej, potrafiła wstać i z zimną krwią ogłosić, że popiera publiczne znieważenie skazańców, publiczną torturę... to wszelkie tamy zostały przerwane.

— Poza tym — kontynuowała pani Talbot, unosząc palec wskazujący — jeżeli ludzie naprawdę byli na tyle nieodpowiedzialni, by zbliżyć się do wiedźmy, uważam, że pomysł, żeby każdy z mieszkańców był świadkiem zastosowania przykładowej kary, jest bardzo dobry. Ma pan moje błogosławieństwo.

Rozległ się pomruk aprobaty, zabrzmiało w nim jednak także zdenerwowanie i wyczekiwanie.

— Ale co niewłaściwego jest w zamykaniu winnych w odosobnieniu? —

naciskał Grim. — Mamy przecież przeznaczone do tego pomieszczenia w piwnicach kościoła. Możemy tych chłopców objąć opieką psychologiczną i przekonać ich, że dopuścili się ogromnego zła. Przecież...

— Już poznaliśmy pańskie stanowisko, Grim! — krzyknął ktoś spośród zgromadzonych. — Niech pan już usiądzie.

Wypowiedź ta spotkała się z ogólnym poparciem i Grim rozejrzał się bezsilnie dookoła. Steve poczuł instynktowną potrzebę, aby wstać i zabrać głos przeciwko tej szaradzie, ale Jocelyn złapała go za rękę i przycisnęła ją mocno do swojego brzucha.

— Nie masz nic mówić, Steve. Pomyśl o Tylerze i o Matcie.

Popatrzył na nią ze zdumieniem, jednak dostrzegł w jej oczach strach i wszystko zrozumiał. Mieszkańcy Black Spring wybaczyli mu idealizm, jaki zaprezentował ostatnim razem, kiedy bronił sprawy Arthura Rotha. Teraz wydarzenia potoczyłyby się zapewne zupełnie inaczej. Zbiorowe szaleństwo zabrnęło za daleko; powszechne oglupienie było nie do powstrzymania. W tym momencie Grantowie byli bohaterami, ponieważ wytropili pasożyty, które ukamienowały wiedźmę i wykurzyli je z ich nor... Lepiej więc będzie pozostać bohaterami, niż się narażać.

— Przecież będą głosować — wyszeptała Jocelyn. — Uwierz w ich zdrowy rozsądek.

— Przykro mi, ale w niego nie wierzę — odparł Steve.

Popatrzył na Pete'a, szukając u niego wsparcia, ale Pete jedynie patrzył przed siebie z wyrazem twarzy człowieka, który właśnie zobaczył na jawie najgorszy koszmar, jaki tylko można sobie wyobrazić. Zaciskał palce na ramieniu Mary i Steve zorientował się, że absolutnie nie ma zamiaru zabierać głosu.

Pomyśl o Tylerze. Wiedziałaś, że to się wydarzy.

Ale nie coś takiego!

Przestań, kogo właściwie chcesz oszukać? Oczywiście, że wiedziałaś. Trzymaj gębę na kłódkę albo słono za to zapłacisz.

— Tato, chcę iść do domu — wyszeptał niespokojnie Tyler.

Steve popatrzył na syna i złapał go za rękę. Przecież i Tyler mógł być sądzony w tej sprawie. A on sam mógł sobie fantazjować do woli, że spływa razem z nim rzeką Hudson, byle jak najdalej od Black Spring, ale jeśli nie uzna realnego zagrożenia i nie przyzna, że na szali leży teraz jego przyszłość, zupełnie go jej pozbawi. Zatem wyprostował się na krześle... i milczał.

Resztę procesu odbierał jak przez mgłę. Pan Sayer wygłosił emocjonalny apel. Jego dom został już zniszczony; może więc miasto okazałoby litość przynajmniej jego synowi? Mówił o budowaniu mostów i wznoszeniu się ponad różnice etniczne. Mówił o humanitaryzmie i przyzwoitości. Mówił z silnym obcym akcentem i chociaż w końcu zaczęli go szarpać znajdujący się najbliżej

współobywatele, nadal nie przestawał mówić. Wybuchła bijatyka i wtedy zaczął krzyżeć również pan Walker. Zagroził, że o wszystkim poinformuje dziennikarzy, jeśli ludzie nie zrezygnują z wymierzenia okrutnej kary. Jednak ani złowrogie spojrzenia mieszkańców Black Spring, ani surowa mina Mathersa nie były potrzebne, aby potwierdzić to, co oczywiste: że pan Walker jest załamany człowiekiem, który i tak nie ma najmniejszych szans, aby wygrać walkę z tłumem. Poza tym wszyscy byli mocno przekonani, że gdyby akurat nie chodziło o jego syna, głosowałby tak jak wszyscy inni, za surową karą.

Griselda Holst także protestowała ze łzami w oczach. Jej wystąpienie trwało najdłużej, ponieważ współmieszkańcy wciąż ją lubili. A jednak bez wątplenia była to tylko formalność i jej słowa nie mogły doprowadzić do żadnej zmiany. Ludzie czuli krew i chcieli jak najszybciej głosować. Żona rzeźnika przypomniała tłumowi tragiczną historię Jaydona, poniewieranego przez ojca, i spustoszenie emocjonalne, jakie go dotknęło. Zakończyła prośbą, żeby jej Jaydona raczej leczono, a nie karano.

— Proszę was, drodzy przyjaciele. Przecież dobrze się znamy, prawda? Czy nie przychodzicie do mnie co tydzień i nie kupujecie u mnie steków? Hamburgerów? Kotletów cielęcych? Skrzydełek kurczaka? Pasztetu?

— Zabierzcie stąd tę kobietę, zanim wyliczy cały asortyment swojego sklepu mięsnego! — zawołał jakiś mądrała.

Żart był niesmaczny, jednak żartowniś uzyskał, co chciał: łkającą Griseldę wyprowadzono z sali.

Wreszcie nadszedł moment głosowania. Radny Mathers poprosił zgromadzonych, którzy popierają zaproponowany przez niego wyrok, o podniesienie prawej ręki. Do góry powędrowało mnóstwo dłoni, wśród nich także dłonie trzech członków Rady. Następnie Mathers poprosił o podniesienie rąk tych, którzy są przeciwni wyrokowi. Steve wysoko uniósł rękę... i ku swej ogromnej uldze ujrzał, że bynajmniej nie jest osamotniony. Teraz także zagłosowało trzech członków Rady, a wśród nich oczywiście Robert Grim. Steve poczuł iskierkę nadziei. Powstała niejasna sytuacja. Nie można było rozstrzygnąć, za czym głosowała większość. Oznaczało to, że, dzięki Bogu, duża grupa ludzi miała dość rozsądku, aby w milczeniu odciąć się od szyderstwa

Gdy przygotowywano się więc do głosowania na kartkach, jeszcze raz głos zabrał Grim:

— Ludzie, nie bądźcie głupi. Doskonale wiem, co stanowi Dekret o stanie wyjątkowym, ale to wszystko jest farsą. Zapamiętajcie: jeśli kiedykolwiek nadejdzie moment, w którym uwolnimy się od klątwy Katherine, czy będziecie mogli spojrzeć sobie w oczy, mając na sumieniu zatwierdzenie dzisiejszego wyroku? Będziecie w stanie tańczyć wokół kościoła i śpiewać: „Hura, wiedźma nie żyje”, jeśli na waszych dłoniach pozostanie krew? Proszę, bądźcie rozsądni!

Następnie rozpoczęła się nieskończona procesja ludzi, którzy szurali nogami, przechodząc przed podwyższeniem. Przygotowano trzy ryzy papieru. Każdy otrzymywał kartkę i anonimowo miał wpisać na niej „za” lub „przeciw”. Steve, Jocelyn i Tyler byli jednymi z pierwszych głosujących, ponieważ zajmowali miejsca z przodu sali. Steve wrzucił do urny prowizoryczną kartę do głosowania — do tej samej urny, której używano zaledwie przed tygodniem w wyborach prezydenckich. W ubiegłym tygodniu głosowano, kto otrzyma na kolejne cztery lata klucze do Białego Domu: Barack Obama czy Mitt Romney. Urna była absurdalnym łącznikiem pomiędzy szerokim światem a ponurą rzeczywistością Black Spring.

Minęła przynajmniej godzina, zanim zagłosowali wszyscy, łącznie z tymi, którzy mieli trudności z chodzeniem i poruszali się na wózkach, a także z tymi, którzy czekali na swoją kolej w korytarzu i na balkonie. Policzenie głosów przez członków Rady zabrało kolejne dwadzieścia minut. Steve stracił z oczu Jocelyn, Tylera i VanderMeerów i nigdy nie czuł się tak stłamszony i samotny, mimo że wielu współmieszkańców podchodziło do niego i wypytywało o szczegóły ostatnich wydarzeń. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że staje mu przed oczyma niespodziewana i nierealna wizja: ludzie wokół niego nie tylko przypominali w niej, ale w rzeczywistości byli osobnikami z dalekiej przeszłości, opatulonymi w łachmany, śmierdzącymi błotem i chorobami. Gdyby teraz wyszedł na zewnątrz, Deep Hollow Road byłaby traktem dla furmanek, dzwoniłby dzwon na drewnianej dzwonnicy pobliskiego kościoła, a w kalendarzu widniałby rok 1664.

Steve odczuł jednocześnie ulgę i śmiertelne zmęczenie, kiedy Colton Mathers w końcu poprosił o ciszę na sali.

— Panie i panowie, dziękuję wam za uwagę. Nie będę dłużej nadużywał waszej cierpliwości. Przy 1332 głosach za i 617 przeciw zaproponowany wyrok został zaakceptowany.

Fala przerażenia wstrząsnęła Salą Pamięci, gdy ludzie zdali sobie sprawę, jak wielu ich sąsiadów i znajomych, korzystając z bezpieczeństwa anonimowości, sensacyjnie pokusiło się o głosowanie zgodnie z sumieniem. Rozległy się brawa i okrzyki gniewu, niektórzy płakali, a inni wzywali do nieposłuszeństwa, jednak większość zebranych była usatysfakcjonowana, że sprawiedliwości stało się zadość.

Radny kontynuował:

— Wyrok zostanie wykonany w najbliższy czwartek w miejscu, gdzie tradycyjnie palimy w święto czarownicę, na skrzyżowaniu Deep Hollow Road i Lower Reservoir Road. Obowiązkiem i odpowiedzialnością każdego spośród was jest uczestniczenie w tym wydarzeniu. Sugeruję zatem, abyśmy ustalili porę chłosty na pierwsze chwile po świcie, aby zminimalizować jej wpływ na porządek publiczny i na wasze indywidualne zobowiązania związane z pracą zawodową.

Módlmy się, abyśmy z ostatnich wydarzeń wynieśli właściwą naukę i abyśmy wkrótce mogli zapomnieć o tym buncie młodych ludzi raz na zawsze. Ojciec nasz...

Mathers rozpoczął odmawianie modlitwy, do której przyłączyła się większość zgromadzonych. Ludzie w Sali Pamięci znali się nawzajem przez całe życie, szanowali się i kochali nawzajem w szczególny sposób, jak to się zwykle dzieje w małych miastach na północy. Steve zauważył jednak, że w ciągu ostatnich godzin wszyscy przeszli radykalną przemianę. Odczuł to jeszcze silniej, kiedy tłum po chwili zaczął wylewać się z gmachu ratusza. Ludzie szli w ciszy, wzajemnie unikając spojrzeń. Ogarnęło ich poczucie rezygnacji, które Steve uznał za jeszcze bardziej osobliwe niż ich uprzednie napięcie.

Wszyscy wyglądali, jakby wiedzieli, że uczynili coś okropnego, coś nieodwracalnego... ale jednocześnie coś, nad czym łatwo przejdą do porządku dziennego.

21

Black Spring przygotowywało się do wykonania wyroku jak do święta. Z gabloty wystawowej, znajdującej się w małej izbie Rady w ratuszu, wyciągnięto oryginalny siedemnastowieczny bicz o dziewięciu rzemieniach. Było to piękne narzędzie: bogato zdobiony kij, zakończony dziewięcioma skórzanymi rzemieniami, z których każdy miał sześćdziesiąt centymetrów długości, węzeł w połowie i małą ołowianą kulkę na końcu. Nie używano go od 1932 roku. Colton Mathers zaniósł bicz do warsztatu kuśnierskiego Dinnie i nakazał jej zaimpregnować skórę woskiem z oliwą, aby przetrwał egzekucję bez uszkodzeń.

Theo Stackhouse, właściciel warsztatu i mechanik samochodowy, z ochotą przyjął funkcję egzekutora wyroku i wezwany został do stajni w posiadłości radnego Mathersa na środowy wieczór. Poćwiczył uderzenia biczem najpierw na skórzanym siodle, żeby uzyskać pewną wprawę, a potem na związanym cielaku, żeby przygotować się do chłostania żywego mięsa. A zanim położył się spać, zażył dwie tabletki przeciwbólowe, aby uśmierzyć ból w ramieniu, którym wymachiwał. Zasnął jak dziecko.

Griselda Holst noc przed egzekucją spędziła bezsennie. Mimo że w centrum uwagi miało się znaleźć jej własne dziecko, ogarnęła ją apatia i poczucie uległości. Nie była w tym osamotniona: ludzie z Black Spring poddali się tej samej rezygnacji. Gdyby Pete VanderMeer nie był tak boleśnie związany z całą sprawą, jako socjolog wskazywałby na podobieństwa wydarzeń w Black Spring do sytuacji w krajach, w których ludzie dobrowolnie poddawali się działaniu prawa szariatu. Ludzie tu i tam mieli takie same powody, by nie protestować przeciwko działaniu prawa. Nawet ci, którzy zagłosowali przeciwko wyrokowi, teraz uważali, że ich obowiązkiem jest podporządkowanie się decyzji większości. Chcieli mieć to już za sobą i zająć się wyłącznie własnym życiem.

Zamiast więc martwić się losem Jaydona, Griselda spędziła całą noc na modlitwach do Katherine. Klęcząc na gołych kolanach na małym dywaniku przed łóżkiem, prosiła Katherine o wybaczenie za swoje odstępstwo. Wymierzyła też sobie karę: chłostała się po plecach paskiem Jaydona. Czuła się jednak niezręcznie i niezgrabnie, dlatego kiedy poczuła pierwszy ból, pomyślała: To nie moja sprawa, i zaprzestała chłosty.

Gdyby, zamiast się umartwiać, wyjrzała przez okno, zobaczyłaby, jak jej syn, Justin Walker i Buran Sayer w ciszy eskortowani są na cmentarnej alei przez dziewięciu krzepkich mężczyzn. Oskarżeni zostali przyprowadzeni do Małego Kościoła Metodystów, gdzie musieli zejść do lochów tymi samymi schodami, którymi tak często Griselda schodziła, aby podtrzymać przy życiu Arthura Rotha. W podziemiach Colton Mathers głośno odczytał im wyrok. W pierwszej chwili chłopcy uznali, że żartuje, wkrótce jednak rozległy się ich krzyki, najpierw pełne przerażenia, a później hysterii. Były to okropne wrzaski, wstrząsające do głębi dowody ludzkiego cierpienia i desperacji. Gdy tylko z hukiem zatrzasnęły się drzwi, znaleźli się w podziemiach sami, jedynie z martwymi ludźmi, pochowanymi na cmentarzu. Zdawało się, że martwi krzyczą razem z nimi.

Krzyki obudziły sowy. Obudziły łasice.

A gdzieś w Black Spring wiedźma przestała szeptać i zaczęła... nasłuchiwać.

Nad ranem piętnastego listopada ludzie zaczęli przybywać na miejsce chłosty, żeby zapewnić sobie najlepsze miejsca obserwacyjne. Podobnie jak w dniu palenia kukły czarownicy dwa tygodnie wcześniej, skrzyżowanie ulic zostało zagrodzone barierkami, które otoczyły drewniany szafot. Sam szafot ustawiła firma budowlana Clyde'a Willinghama. Była to platforma wysoka na prawie dwa metry, o powierzchni trzech metrów kwadratowych, a stało na niej coś, co wyglądało jak przewrócona litera „A” zbudowana z drewnianych koźłów. Mieszkańcy ustawiali się w wąskich ulicach wokół skrzyżowania, smaganych listopadowym deszczem. Była to typowo nowojorska pogoda z dużym zachmurzeniem i ludzie ubrani byli w poncza, płaszcze z kapturami przeciwdeszczowymi, jednak mieli dość rozsądku, by zostawić w domach parasole, które mogłyby zasłaniać widok tym, którzy zajęli miejsca dalej od szafotu. W Sue's Highland Diner zwiertzano dobry interes i sprzedawano gorącą kawę oraz kakao ze stoiska przed drzwiami, aby złagodzić zebranych niewygodę oczekiwania. Szczęściarze, których znajomi mieszkali w najbliższej położonych domach, wyglądali na zewnątrz z ciepłych i suchych pomieszczeń na piętrach. Wielu starszych i bogatych mieszkańców zgromadziło się w pokojach Point Inn; gospoda udostępniła pokoje na godziny po lichwiarskich cenach, aby zrekompensować sobie koszty, jakie poniosła, przenosząc zameldowanych tam obcych do czasowych kwater za miastem.

Oczywiście za praktyczne aspekty realizacji tego wydarzenia odpowiadał Robert Grim. Hermetycznie zamknął miasto ze wszystkich stron, postawił płoty,

a na granicach wystawił patrole złożone z wolontariuszy. Sprawa była ryzykowna, jednak przy starannym planowaniu drogi miały być zamknięte przez godzinę przed pierwszym przebłyskiem różowego świtu na wschodzie. Ponieważ Rada nakazała wszystkim przedsiębiorcom, aby zmienili plany lub odwołali zaplanowane na ten poranek prace poza miastem, blokady dróg praktycznie nie zostały zauważone i w czasie całej akcji trzeba było zawrócić jedynie kilka samochodów.

Robert Grim był zde gustowany. Wszystko dookoła napawało go wstrętem. Wstręt wzbudzali w nim ludzie z ich hipokryzją i ohydą żądzą krwi. Wstręt budził w nim ich oportunizm i dwulicowość. Brzydził go Mathers, egzekutor wyroku, Katherine i chłopcy, którzy ją ukamienowali. Brzydził się samego siebie, ponieważ nie miał dość jaj, aby się przeciwstawić temu ohydnemu cyrkowi.

Kilka minut po godzinie siódmej trzydzieści wreszcie nadeszła wielka chwila. Z Małego Kościoła Metodystów wyruszyła krótka procesja, przemierzając cmentarną aleję i zmierając ku szafotowi. Przed szafotem stał już Colton Mathers, imponujący i surowy, a po jego bokach miejsca zajęli dwaj członkowie Rady, którzy głosowali za wyrokiem. Tuż za nimi znaleźli się strażnicy, dowodzeni przez Reya Darrela. Jaydon Holst, Justin Walker i Buran Sayer byli brutalnie szarpani, zakuci w żelazne łańcuchy; traktowano ich równie okrutnie, jak oni potraktowali kilka dni wcześniej wiedźmę. Od pasa w górę byli nadzy, a na ich twarzach rysował się wyraz panicznego przerażenia. W otoczeniu drugiej grupy strażników stał egzekutor w ceremonialnym kapturze zakrywającym jego twarz, chociaż wszyscy wiedzieli, kim jest.

Ludzie nie wiwatowali. Nikt nie wznosił okrzyków. Nad tłumem unosił się jedynie szmer przyciszonych, niepewnych głosów. Teraz, gdy chwila, na którą czekali, wreszcie nadeszła, kiedy mogli wreszcie na własne oczy przyjrzeć się potworom, które ukamienowały Katherine, nagle jakby wszyscy sobie przypomnieli, że pomimo strasznego przestępstwa, jakie popełnili, są to przecież także istoty ludzkie, a dwaj z nich to wciąż dzieci. Że są to również istoty ludzkie, z którymi będą musieli żyć w tym samym mieście jeszcze przez wiele lat. Żądza krwi zaczęła ustępować wstydomi, ekscytacja niepewności. Dopiero kiedy procesja dotarła do tłumu przy mosiężnym pomniku praczki, ktoś krzyknął:

— Mordercy!

Wtedy kilku kretynów rzuciło w więźniów dużymi szyszkami sosnowymi i tłum odrobinę się ożywił.

Ludzie brali przecież udział w przedstawieniu i nie powinni w takiej chwili zastanawiać się nad sobą.

Krzycząc ze strachu, chłopcy starali się unikać rzucanych szyszek, które zostawiały brzydkie ślady na ich nagiej skórze. Jedna z szyszek trafiła w policzek strażnika. Wtedy bez wahania on i jeszcze dwóch pomocników rzuciło się na prowodyrów, żeby stłumić pożar w zarodku.

Dalej, mniej więcej z odległości czterdziestu metrów na wschód od centrum skrzyżowania, spektakl oglądali Steve, Jocelyn, Tyler i Matt. Ze swojego miejsca nie wyczuwali wielkiego wzburzenia ludzi zgromadzonych najbliżej szafotu, ale i tak udzielało się im powszechne zaniepokojenie. Steve i Jocelyn strasznie się pokłócili. Natychmiast po głosowaniu we wtorkową noc Jocelyn zabrała Tylera do domu, ponieważ chłopak nie mógł już dłużej znieść atmosfery ratusza. Miała pretensje do Steve'a, że w czasie zgromadzenia w ogóle nie zabrał głosu. Co więcej, kategorycznie nie zgadzała się, żeby Matt oglądał chłostę. Wrzeszczała na Steve'a — naprawdę wrzeszczała — ale Steve również wrzeszczał, przypominając jej, że to właśnie ona zabroniła mu wkroczyć do akcji, kiedy była ku temu stosowna pora. A kiedy wyrok zapadł, wszyscy rodzice mieli obowiązek zaprowadzić swoje dzieci powyżej dziesiątego roku życia przed szafot, żeby obserwowały, jak miasto wymierza przestępcom przykładną karę. Zlekceważenie tego nakazu nie wchodziło w grę.

Steve był urażony, jednak rozumiał, że złość i cierpienie Jocelyn mają związek z całą sytuacją. Ponieważ nie była w stanie niczego zmienić, kierowała swoje frustracje ku niemu.

Teraz, na podstawie obserwacji twarzy w tłumie, Steve doszedł do wniosku, że dzień wcześniej jego dom nie był jedynym w Black Spring, gdzie latały talerze.

Objął więc ramionami swoją rodzinę i mocno przytulił całą trójkę do siebie. Modlił się — nie do Boga, lecz do ludzkiego zdrowego rozsądku — aby wszyscy przetrwali o zdrowych zmysłach to straszliwe widowisko.

Jaydona, Burana i Justina zaprowadzono na szafot. Zdziczali ze strachu, spoglądali w tłum, tam szukając ostatniej szansy na wybawienie — ostatniej nadziei, ostatniego śladu humanizmu. Strażnicy przymocowali krępujące ich łańcuchy do drewnianego kozła w kształcie litery „A”, a potem pociągnęli je tak mocno, że chłopcy musieli unieść ręce wysoko do góry i stać na palcach. Wykonawszy swoją pracę, zeszli z szafotu i dopiero wtedy tłum zobaczył skazańców w całej okazałości. Ich chude ciała były bladoniebieskie na zimnym powietrzu, wystające klatki piersiowe wilgotne od deszczu. Trzej amerykańscy chłopcy w sportowych butach i dżinsach niemal wisieli na łańcuchach niczym tusze zwierzęce w rzeźni.

Rozległy się dźwięki dzwonów zegarowych na kościele Metodystów. Ludzie w Highland Mills i w Highland Falls mogli teraz pomyśleć, że rozpoczynają się obrzędy jakiegoś porannego pogrzebu. Kuranty grały, a na skrzyżowaniu ulic Jaydon krzyczał z całych sił:

— Ludzie, chyba na to nie pozwolicie? — Pod wpływem zimna na policzki wystąpiły mu purpurowe plamy, a z ust ciekła ślina. — Co z was za popaprańcy? Ludzie, zróbcie coś, dopóki możecie!

Jednak tłum uporczywie milczał, a tymczasem wykonawca wyroku powoli

wstąpił na szafot.

Długimi, powolnymi krokami zaczął krążyć dookoła skazańców, trzymając w prawej ręce trzonek bicia z dziewięcioma rzemieniami i same skórzane rzemienie, zakończone ołowianymi kulkami, w lewej. Kaptur z otworami na oczy i jego muskularna sylwetka czyniły z niego postać, jakiej nikt nie chciałby ujrzeć w najgorszym koszmarze. Justin spróbował wyrwać się z więzów, szarpiąc nimi w panice niczym przerażone zwierzę, jednak jedynie zakołysał się na łańcuchach, wierzgając nogami w powietrzu; ale jego rozpaczliwy skowyt można było usłyszeć nawet na odległych ulicach. Buran splunął na kaptur oprawcy, ten jednak w żaden sposób nie zareagował i wciąż chodził dookoła trzech chłopców. Krótkim szarpnięciem naciągnął skórzane rzemienie, które wydały nieprzyjemny odgłos, wyraźnie słyszalny w tłumie.

Jaydon zwrócił się do zamaskowanego mężczyzny tak cichym i łagodnym głosem, że nie dosłyszeli go nawet ludzie, którzy stali najbliżej. Jego słowa dotarły jedynie do egzekutora:

— Theo, proszę, nie rób tego.

Ale w tym samym momencie, w którym to mówił, w momencie największego upodlenia, którego nie zapomni już do końca życia, Jaydon zdał sobie sprawę, że za maską wcale nie kryje się Theo, lecz oprawca z dawno minionych lat, z lat Katherine; oprawca, którego nazwiska nie znał i nigdy nie miał poznać, ponieważ gdy okrutnik ściągnie kaptur, znowu będzie rok 2012.

Egzekutor stanął za jego plecami.

Grały kuranty.

Ludzie oblizywali wargi.

Ludzie zamknęli oczy.

Ludzie modlili się.

Bicz z dziewięcioma rzemieniami zawisł w powietrzu.

Z brutalnym, straszliwym odgłosem, który odbijał się od ścian okolicznych budynków, nagie plecy trzech chłopców zaczęły przyjmować karę chłosty. Dziewięć rzemieni rozcinało ich skórę, a ołowiane kulki rozrywały mięśnie jak ostre pazury. Już drugie uderzenie spowodowało, że ich plecy spływały krwią. Chłopcy krzyczeli z całych sił nieziemskimi głosami, które nie mogły należeć do ludzi, wrzeszczeli niczym świniom obdzierane żywcem ze skóry tępymi nożami. Razy spadały na nich jeden po drugim, uderzenie po uderzeniu bicz o dziewięciu rzemieniach niszczył ich młode ciała, wywoływał straszliwy, nieznośny, okrutny ból, nie dając nieszczęśnikom ani jednej chwili na swobodny oddech, nie dając szansy na wołanie o litość.

Ludzie w tłumie z przerażeniem wpatrywali się w szafot. Wszyscy obywatele Black Spring mieli teraz wrażenie, jakby bicz spadał nie na chłopców, lecz na ich własne ciała. Słabe odgłosy unosiły się nad całą okolicą, daleko za

miastem, biegły ponad doliną i docierały na południu aż do rzeki. Powietrze wirowało od nich na przestrzeni wielu kilometrów dookoła. Gdyby ktoś tego ranka przystanął, zasłonił sobie uszy i schował się za metalowym szkieletem mostu Bear Mountain, wyczułby w powietrzu dreszcz spadających razów, chociażby tak delikatny jak ruchy motyli skrzydeł. A jednak nikt ani na chwilę nie przystanął, niczego nie poczuł, nikt nie wiedział, co się dzieje w Black Spring. Ludzie podróżujący z rana samochodami pomiędzy Highland i Peekskill słuchali po prostu radia. Na drogach, w domach, w czasie rozmów telefonicznych, spożywając pospiesznie śniadania, na które często składały się jedynie bajgle w papierowych torebkach, Ameryka budziła się do życia. Dzień dobry, Ameryko.

Gdy egzekutor podniósł rękę, aby zadać ósmy cios, nagle wśród ludzi zapanował niepokój. Zaczęli krzyczeć i wskazywać na coś palcami, a z ich ust zaczęły się wydobywać szeptane słowa:

— Wiedźma... Katherine... wiedźma... ona jest tutaj...

Wszyscy ci, którzy stali po zachodniej stronie skrzyżowania, jednocześnie unieśli głowy, bo zobaczyli Katherine stojącą na balkonie Point Inn. Może było to zbiorowe przywidzenie, a może jakiś mroczny cud, ponieważ kiedy tylko dostrzeżono wiedźmę, każda dusza w tłumie zobaczyła również identyczny koszmar: wiedźma miała otwarte oczy. Niczym pasterz na swoje owieczki, spoglądała na okrutne tortury trwające na skrzyżowaniu... i śmiała się.

W ułamku sekundy wizja znikła, jednak wszyscy byli święcie przekonani, że ją widzieli. Przeżyli tę wizję. Katherine naprawdę stała na balkonie, ale, oczywiście, jej oczy były zaszyte, tak jak zawsze. Niemniej jej pojawienie się w tej chwili trudno było uznać za przypadek. Niemal natychmiast ludzie, którzy ją zobaczyli, doszli do przekonania, że to ona uknuła okrutną intrygę, że to jej zwyrodniałe szeptki wydobyły z nich najgorsze instynkty, przez co zrealizowała diaboliczny plan. Bo przecież nie mogło istnieć żadne inne wytłumaczenie tego, że oni, prawi i porządni obywatele swojego miasta, bez wahania wplątali się w tak brutalne, nieludzkie i niemoralne przedsięwzięcie.

To olśnienie wywołało w tłumie taki strach, że nagle wszyscy zaczęli się rozbiegać w cztery strony świata w ślepej panice, przewracając się i poniewierając innych. Zapanował totalny chaos. Ludzie po wschodniej i południowej stronie skrzyżowania nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje, jednak także ich ogarnęła panika i wszyscy w jednej chwili zapragnęli uciec jak najdalej od szafotu. Nawet Colton Mathers nie próbował uczynić nic, aby powstrzymać ludzi przed ucieczką.

Jedynie egzekutor zdawał się nieświadomy nagłej zmiany atmosfery. Skończył z Buranem i zajął się Justinem. Chłopcy wili się w łańcuchach w nieznośnym bólu, ich plecy przeistoczyły się w otwarte rany, dzinsy spływały krwią, a głowy opadały, jakby chcieli naśladować mękę Chrystusa. A egzekutor z niesłabnącą energią kontynuował chłostę, z całej siły smagając biczem

zakrwawione, niczego już nieświadome ciało Jaydona, który pod każdym ciosem podrygiwał jak lalka na łańcuchu.

Gdy egzekutor w końcu odliczył dwadzieścia uderzeń, kuranty kościelne zamilkły. Mnóstwo ludzi, którzy mimo wszystko pozostali na skrzyżowaniu, odwracało się od szafotu z niesmakiem i wstydem, podążając z tłumem tych, którzy paniką zareagowali na niespodziewane pojawienie się wiedźmy. Niektórzy patrzyli w kierunku Katherine i chociaż ona tego nie widziała, gestami nakazywali jej, żeby sobie poszła, jednak większość spoglądała po prostu przed siebie, w kierunku, w którym zmierzali: byle jak najdalej stąd. Nikt nic nie mówił. Wiele osób płakało. Wszyscy pragnęli wymazać to zdarzenie z pamięci i nikt, dosłownie nikt, nie wspominał o nim ani słowem po powrocie do domu.

Strażnicy weszli na szafot, żeby uwolnić z łańcuchów z maltretowane ciała. Na noszach — ułożeni twarzami w dół — chłopcy zostali umieszczeni w furgonetce i odwiezieni do gabinetu doktora Stanton, lekarza pierwszego kontaktu, aby udzielił im właściwej pomocy. Furgonetka długo przedzierała się przez chmary ludzi. Szafot został zniszczony — splamione krwią deski przemielono na trociny jeszcze tego samego dnia. Zamiatacze przystąpili do sprzątnięcia skrzyżowania. Właściciele Point Inn zasłonili Katherine baldachimem, zlikwidowano blokady na drodze numer 293. Około godziny dziesiątej nie było już żadnego śladu po wydarzeniach z wczesnego poranka, żadnego dowodu na to, że prawie trzy tysiące ludzi zgromadziło się na skrzyżowaniu, a potem jednocześnie z niego uciekło, zmiecione przez śmiertelny strach.

W Black Spring rozpoczął się nowy dzień.

22

Listopad odszedł wreszcie w niepamięć niczym nieproszony gość, który nadmiernie przedłużył swój pobyt. Kiedy nadszedł pierwszy dzień grudnia, Tyler poczuł nadzwyczajną ulgę. Z trudem zdawał kolejne egzaminy cząstkowe, jednak szczęśliwie nie opuścił się w nauce aż tak bardzo, jak się tego obawiał. Tylko nauka hiszpańskiego w ogóle mu nie szła. W semestrze wiosennym zamierzał jednak poprawić złe oceny, żeby świadectwo ukończenia szkoły wyglądało przyzwoicie.

Jak wszyscy inni w Black Spring, Tyler bardzo się starał, aby po piętnastym listopada stopniowo wrócić do normalnego życia, zapomnieć wydarzenia tego dnia i otrząsnąć się z poczucia winy. W końcu jakoś mu się to udało. W tym okresie napięcie między rodzicami w domu było wyraźnie wyczuwalne. Prawdopodobnie Tyler nie powinien był nosić w sobie poczucia winy za to, że obciążył ojca swoim sekretem, a jednak tak się czuł i żadne racjonalne argumenty nie mogły tego zmienić.

Matt przez jakiś czas miewał koszmary nocne, a któregoś popołudnia

Jocelyn wyznała Tylerowi, że jego młodszy brat zoczył się w łóżko. Tyler bardzo mu współczuł. Tego wieczoru pomógł mu wyszczotkować Pabla i Nike i chociaż o tym głośno nie rozmawiali, obaj cenili sobie takie rzadkie wspólne chwile. Wkrótce Tyler poprosił Matta o laptopa; chciał znaleźć w Google jakieś informacje, niezbędne do pracy domowej. Kiedy otworzył przeglądarkę Safari, w historii stron, które odwiedził Matt, natknął się na gejowskie porno. Tyler przygryzł wargi, udał, że tego nie widział, i wtedy też zdał sobie sprawę, że kocha Matta mocniej, niż jest to w stanie wyrazić słowami.

Tydzień po piętnastym listopada Robert Grim przyszedł do Grantów, żeby zwrócić Tylerowi laptopa i iPhone'a. Wziął Tylera na bok i powiedział do niego, patrząc znacząco:

— Nieważne, co znalazłaś. Jeśli zdarzy ci się to jeszcze raz, dowiem się o tym. Jasne?

Tyler mocno się zaczerwienił i wbił wzrok w podłogę. Czyżby Grim wiedział? Oczywiście. A przynajmniej miał mocne podejrzenia. Na pewno zorientował się, że adres URL strony OO znajduje się w kwarantannie. Dlaczego nie zareagował ani nie wspomniał o tym Tylerowi? Chłopak nie mógł tego odgadnąć — aż do dzisiejszego wieczoru, gdy leżał w łóżku i nagle zrozumiał, że gdyby jakiegokolwiek informacje na temat OO wyciekły, konserwatywna Rada prawdopodobnie w odpowiedzi odłączyłaby cały Internet w Black Spring. Grim, pieprzony sukinsyn, trzymał gębę na kłódkę po to, żeby nie doprowadzić do przestoczenia Black Spring w drugą Koreę Północną. Tyler zasnął z uśmiechem na twarzy, a następnego dnia było mu odrobinę lżej na duszy.

Nadszedł dzień, na początku grudnia, kiedy wróciwszy ze szkoły i zobaczywszy puste miejsce tam, gdzie kiedyś znajdowało się legowisko Fletchera, Tyler przypomniał sobie o śmierci psa, o leśnym koszmarze, który później nastąpił, i o przerażającym kamienowaniu wiedzy. Zdziwiły go te nagłe wspomnienia i poczuł lekkie poczucie winy, jakby coś złego było w tym, że próbował o wszystkim zapomnieć. Jednak czas mijał i pewne rany goiły się szybciej od innych... chociaż wiedział, że na zawsze pozostanie mu już w sercu blizna.

W dniu urodzin Jocelyn, czwartego grudnia, pogoda była burzowa i przygnębiająca. Dom, który jeszcze niedawno był areną gwałtownych wydarzeń, teraz wydawał się ciepły i przytulny jak nigdy dotąd. Przyszli VanderMeerowie z tortem urodzinowym, była też Laurie, która otrzymała zgodę, żeby zostać u Grantów na noc. Tyler postarał się wykonać kolaż całej rodziny — uwzględnił na nim Fletchera — a Matt napisał przekomiczny wiersz na cześć Jocelyn; wysłuchawszy go, śmiała się tak długo i radośnie, że w końcu się popłakała. Kiedy Jocelyn zaczęła otwierać przy kominku paczki z prezentami, Tyler ze zdziwieniem zobaczył, że są wśród nich również dwa wczesne bożonarodzeniowe podarunki dla

nich. Ten dla Tylera znajdował się w płaskim pudełku. Gdy rozerwał opakowanie i zobaczył w środku nowego macbooka, popatrzył na ojca z otwartymi ustami. Steve skinął mu głową z ciepłym uśmiechem mówiąc: „To egzemplarz bez dodatków szpiegujących”. Tyler był głęboko wzruszony zaufaniem ojca i z wielkim wysiłkiem powstrzymał łzy. Przysiągł sobie z chłopięcą mocą, że nigdy nie nadużyje tego zaufania, i mocno uściskał Steve’a.

W ogóle tego wieczoru było mnóstwo uścisków. Tak jakby wszyscy w rodzinie nagle odczuli potrzebę dotykania się i obejmowania. W pewnej chwili Tyler zobaczył swoich rodziców siedzących razem na kanapie, z mocno splecionymi dłońmi. Nie zauważyli, że ich obserwuje. Przez chwilę wrócił myślami do chwil, gdy sprawy pomiędzy nimi stały niemal na ostrzu noża, jednak zaraz wyrzucił z siebie ponure wspomnienia oraz wszystko, co wiązało się z Katherine.

Po urodzinach Jocelyn ponura pogoda ustąpiła i zaczął się umiarkowanie mroźny tydzień. Nocami padał śnieg, a w słoneczne dni, które po nich następowały, las lśnił urokliwą świeżą bielą. Przerażające wydarzenia, które cieniem miały położyć się nie tylko na rodzinie Grantów, ale także na całym Black Spring, z powolną pewnością zbliżającej się asteroidy zwiastowały nieuchronny koniec pięknego tygodnia i każdego innego pięknego tygodnia, jaki mógłby nastąpić. Jednak w tym tygodniu wszystko jeszcze wydawało się doskonałe. Nie był on w niczym wyjątkowy w sposób, w jaki wyjątkowe bywają niektóre dni w życiu każdego człowieka, ale był po prostu normalny i prawdopodobnie to już wystarczało. Tyler przygotował na swoim kanale na YouTube kolejne wideo, po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Regularni goście bloga mogli zauważyć, że Tyler nie śmieje się już tyle co wcześniej, wykonał jednak całkiem solidną robotę i sam zresztą był z niej dumny. W tym tygodniu często spotykał się z Laurie; w ich związku na nowo odżyło mocne uczucie. W sobotę Steve powiedział mu, że Jaydon, Justin i Buran zostali wypuszczeni z Doodletown i w ciągu kilku następnych tygodni będą się znajdować pod czujną opieką psychologiczną. Tyler przyjął informację do wiadomości i poświęcił jej niewiele uwagi aż do kolejnej środy, kiedy jechał przez miasto rowerem i zobaczył mizerną postać brnącą przez zaśnieżoną Deep Hollow Road, skuloną pod płaszczem, z twarzą zasłoniętą przez daszek dużej czapki baseballowej. W pierwszej chwili Tyler pomyślał, że ma przed sobą staruszkę dziwnie wyglądającego w młodzieżowych ciuchach — lecz kiedy on i przechodzień spotkali się wzrokiem, rozpoznał w nim Jaydona. Tylerem wstrząsnęło, jakby przepłynął przez niego prąd elektryczny. Jaydon był straszliwie wychudzony, jego kości policzkowe nieomal przebijały skórę, szedł powoli, garbiąc się. Jego ręce drżały, jakby cierpiał na chorobę Parkinsona. Oczy miał zapadnięte i martwe; Tyler nie dostrzegł w nich najmniejszego sygnału, że Jaydon go rozpoznał. Głęboko wstrząśnięty, mocniej nacisnął na pedały roweru i pognął do domu.

Tego wieczoru, gdy Jocelyn udała się na piętro, Tyler razem ze Steve'em oglądał telewizję, siedząc na kanapie, i nagle wybuchnął płaczem. Płakał długo i głośno, a Steve uspokajał go, tulił do siebie, powtarzał mu, że wszystko już jest w porządku. A jednak nic nie było w porządku i nic już nigdy nie mogło być w porządku, ponieważ to był ostatni raz, kiedy się obejmowali, ale czy postąpiliby inaczej, gdyby o tym wiedzieli? Czy mogło być coś bardziej doskonałego niż tulenie syna przez ojca? Jocelyn zbiegła w klapkach po schodach i posłała Steve'owi niespokojne spojrzenie, ale on dał jej głową znak, i zostawiła ich samych. Były to chwile, które musieli przeżyć tylko we dwóch. Przez długi czas siedzieli na kanapie, mocno przytuleni. Tyler nie musiał nic mówić i chciał, żeby tak pozostało. Jego ojciec rozumiał. A on kochał swojego ojca. I ojciec także go kochał.

Spoglądając wstecz, mogła być to jedyna rzecz, której pożałowali: tego, że nic nie powiedzieli głośno.

* * *

Krótko przed czwartą nad ranem następnego poranka ktoś popchnął i powoli otworzył lekko uchylone okno w sypialni jakimś długim, cienkim narzędziem. Do pokoju wpadło zimne powietrze. Delikatnie skrzypnęły zawiasy, niczym daremne ostrzeżenie wartownika, jednak Tyler przespał tę chwilę.

Blade dłonie złapały za parapet i jakaś postać mozolnie zaczęła podciągać swoje ciało. Poruszała się z większą trudnością niż Tyler przed kilkoma tygodniami po swojej nocnej przygodzie w lesie, a jednak dostała się do środka, napędzana wielką siłą woli. Stała na podłodze i przez chwilę trwała bez ruchu. Następnie ruszyła w kierunku łóżka.

Zaskrzypiała deska w podłodze.

Tyler poruszył się we śnie, odwracając się od źródła dźwięku.

Postać zastygła w bezruchu.

Po jakimś czasie jeszcze bardziej zbliżyła się do Tylera.

Tyler leżał na brzuchu, jedną rękę miał wyciągniętą przed siebie, lewy policzek przyciskał do materaca. Spał, kiedy postać wyciągnęła coś z kieszeni spodni, coś, co oświetliło pokój bladym, sztucznym światłem. Jej palce zacisnęły się dookoła ekranu dotykowego, szukając czegoś, co wszyscy inni przeoczyli.

I znalazły to, co chciały.

Gdy postać przyłożyła iPhone'a do ucha Tylera, jej ręce drżały tak gwałtownie, że musiała przytrzymywać własny nadgarstek drugą ręką, aby utrzymać telefon w stałym położeniu. Postać przycisnęła iPhone'a do ucha Tylera i włączyła odtwarzanie.

Tyler wybełkotał coś przez sen. Po chwili jego bełkot przeszedł w jęk, ale się nie obudził.

Gdy nagranie się skończyło, postać odtworzyła je ponownie.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

1Cyt. za Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, t. 2, Wydawnictwo Świętego Wojciecha, Poznań 2000, s. 251.

2 Jest to raczej luźna interpretacja Psalmu 72, dokonana przez Coltona Mathersa (przyp. tłum.).

Część 2

Śmierć

23

Podobnie jak to jest w przypadku całkiem sporej liczby bajek, najokrutniejsza część bywa często zapominana: nie jest to część z wiedźmą, ale część z biednym drwalem, oplakującym utratę swoich dzieci.

Jako lekarz Steve Grant wiedział, że możliwość przygotowania się do śmierci kogoś ukochanego, jak chociażby kogoś cierpiącego na nieuleczalną chorobę, jest darem bożym — przynajmniej dla krewnych. Takie świadome przygotowanie osłabiało ból i odbierało mu jego najostrzejsze krawędzie, pomagając człowiekowi przywyknąć do myśli, że straci kogoś cennego, osłabiając cios, jakim dla bliskich jest śmierć. Oczywiście było to wygodne psychologiczne bajdurzenie, ocierające się o skraj neurotyzmu, jednak Steve nie mógł sobie pozwolić na luksus jego stosowania. Przerażające wydarzenia zaatakowały go z nagłą i niepohamowaną mocą i wbiły jego umysł w mrok jednym przerażającym ciosem. Mężczyzna, który obudził się w ten pamiętny piątkowy poranek, czternastego grudnia, który ogolił się i po pracy pojechał z Jocelyn na zakupy do Newburgh Mall, nie był mężczyzną, który niemal całą noc spędził na podłodze przy łóżku Tylera — nie na łóżku, gdyż nie miał dość odwagi, aby zniszczyć zarys jego sylwetki, który pozostał na pościeli.

Tym, co dopełniło ciemności, była ostatnia upiorna udręka, niesmaczne baśniowe okrucieństwo: nie zdołali odciąć ciała... ponieważ ona była z nim.

Steve był nieco i w cokolwiek niepokojący sposób świadomy, że teraz powinni trzymać się razem jako rodzina, jednak w mrocznej krainie, w której przebywał, taki pomysł miał niewielkie znaczenie. Ukojenie i wsparcie były kiepskimi pojęciami. Steve pogrążony był w szoku, dalekim od rozżalenia, z którym można sobie poradzić, i po prostu nie był w stanie komukolwiek udzielić ani przyjąć od kogokolwiek pocieszenia. Poza tym nie istniała już jego rodzina jako taka — ten rozdział został zniszczony. Obecnie Jocelyn siedziała na twardym krześle w zimno oświetlonej poczekalni Szpitala Świętego Łukasza w Newburghu — jej dziecko wciąż żyło, rozmyślał Steve złośliwie — a opiekował się nią jej ojciec i Mary VanderMeer. Ale przecież wkrótce będzie musiała dawać sobie radę sama.

W pewnym momencie tego wieczoru zadzwonił telefon i po chwili do pokoju wszedł Pete z zaczerwienionymi oczami. Steve nie mógłby powiedzieć, kiedy dokładnie to nastąpiło, ponieważ jego poczucie czasu zapętlilo się, jednak właściciel domu pogrzebowego już wyszedł, a on sam siedział wtedy przy stole

w jadalni nad talerzem nietkniętego chińskiego dania na wynos. Był początek września, Tyler i Matt siedzieli naprzeciwko niego i razem zabawiali się GoPro Tylera.

— Zdołali oczyścić większość prawego oka Matta — powiedział Pete. — Wypompowali mu zawartość żołądka i jego życie nie jest już zagrożone. Ale jego oko to inna historia, ponieważ klej osadził się na rogówce. Oko szerniało, zanim zaczęto mu udzielać pomocy.

— Tak — odparł Steve.

Słońce późnego lata oświetlało pokój. „Założę się, że nie chcesz wiedzieć, co myślę”, powiedział Matt do obiektywu kamery Tylera, a Tyler odparł: „Nie, nie chcę, bracie śmierdzący koniem. Wolę, żebyś wziął prysznic”.

— Steve?

Steve stłumił uśmiech, a potem zmieszany popatrzył na Pete’a.

— Tak?

— Istnieje realne zagrożenie, że rana się nie zagoi, rozumiesz? To wdarło się do jego rogówki. Może być ślepy do końca życia.

— Tak, jasne — odparł Steve.

Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi Pete. W jego głowie przemawiał Tyler: „Postawmy więc pytanie bliższe rzeczywistości. O *padre mio*, gdybyś miał wybierać, kto za chwilę ma zginąć, to kogo byś wybrał: swojego syna czy pozostałych mieszkańców naszego miasta?”.

Wszelkie ślady po uśmiechu na dobre zniknęły z twarzy Steve’a.

— Słyszałeś, co właśnie powiedziałem? — zapytał Pete z naciskiem.

— Tak, owszem.

Pete złapał go za rękę. Zadziwiająco, jak delikatny i łagodny był dotyk ręki sąsiada. Zadziwiająco niestosowny, pomyślał.

— Steve, musisz do nich pojechać — nalegał Pete. — Zawiozę cię do Newburgha. Potrzebują cię tam. Twoja żona cię potrzebuje. Wiem, że sytuacja jest zagnatwana, ale, do cholery, masz jeszcze jednego syna, a on leży w szpitalu i walczy o życie. — Uniósł i opuścił rękę. — Cholera jasna, nie powinieneś teraz przebywać akurat tutaj...

Znów zaczął płakać, a Steve, do którego większość słów Pete’a nie dotarła, powoli uniósł głowę. Jego świadomość zaczęła rozpoznawać terażniejszość i pojął, że musi się cały do niej dostosować, chociaż nie był pewien dlaczego.

— Nie mogę tam jechać, Pete — powiedział. Jego głos był zimny i grzeczny. — Muszę zostać tutaj.

Jednak ramiona Pete’a drżały; nie panował nad sobą. Steve objął go ramieniem i pomyślał: Uspokajam sąsiada po śmierci mojego syna. Ironia tego stwierdzenia była absurdalna i Steve musiał przygryźć wargi, żeby się głośno nie roześmiać. Przypuszczał, że jego śmiech zostałby uznany za nieodpowiednią

reakcję. Poczul ukłucie bólu i jego twarz wykrzywiła się. Och, tak musi być: jego dolna warga była napuchnięta, purpurowa, rozerwana. Poprzegryzał ją do krwi, zanim go znaleziono tego popołudnia, klęczącego przy poręczy na półpiętrze, z podkurczonymi nogami, z pięściami w ustach, wytrzeszczonymi oczyma, opuchniętym gardłem, włosami stojącymi dęba. Teraz krew sączyła się do jego ust i smak miedzianego drutu, jaki ze sobą niosła, odpowiadał mu, przywoływał jego niebezpiecznie wirujący mózg do rzeczywistości. Gdyby się teraz roześmiał, po chwili zacząłby krzyczeć, a potem postradałby zmysły.

„To jest politycznie poprawne, tato”, powiedział Tyler w jego głowie i te słowa znów zapętlily w nim wszelkie poczucie czasu, tyle że spróbował sobie przypomnieć, jak brzmiały ostatnie słowa, które Tyler wypowiedział do niego rano... i nie potrafił.

* * *

Z krystaliczną jasnością pamiętał natomiast nieskończenie trywialne chwile przed powrotem do domu. Niczym warstwy kalki kreślarskiej jego umysł próbował ułożyć wydarzenia, które miały miejsce w domu, chcąc znaleźć punkty odniesienia i podobieństwa: Co on robił, kiedy wychodziliśmy z Walmartu? Co my robiliśmy, kiedy zabierał linę ze stajni? Nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź, a jedynie piekielny refren fragmentarycznych wspomnień: Gdyby tylko... Gdyby tylko... Gdyby tylko... Torturowała go maszyna, która zagnieżdżyła się w jego głowie i która karmiła się jego poczuciem winy.

Oboje z Jocelyn wcześniej skończyli pracę i postanowili zrobić zakupy na Boże Narodzenie, tyle że skończyło się to jedynie przechadzką po kawiarniach i po sklepach ze słodyczami. Najważniejsze prezenty dali już chłopcom na urodzinach Jocelyn, po ponurym listopadzie, podarunki na Boże Narodzenie miały być więc proste, lecz wesołe. Steve chciał kupić trochę dobrego mięsa w Walmart Supercenter, a Jocelyn szukała dla siebie jakiegoś ładnego ubrania na dzień po Bożym Narodzeniu, kiedy oboje mieli polecieć na kilka dni do Atlanty, do jej ojca. Nic nie wskazywało na to, że ten dzień będzie się różnił od innych. Powietrze nie było ani cięższe, ani mroźniejsze niż zazwyczaj. Ludzie, którzy przepychali się przez centrum handlowe, byli równie zaaferowani swoimi sprawami jak co dzień. Przez kilka chwil oglądali kiepski występ ulicznych tancerek przed sklepem Bon-Ton, a później grzecznie im klaskali. A tymczasem w ich domu rozgrywał się nieopisany dramat.

Obecnie, w czarnej jak węgiel studni swojego szoku, siedząc w sypialni Tylera, gdzie wszystko wciąż oddychało Tylerem, Steve zastanawiał się (jego myśli uspokoiły się i trochę uporządkowały, chociaż wciąż dryfowały w stronę zdradzieckiego irracjonalizmu — tak oceniłby je, gdyby potrafił teraz analizować własne myśli z pełną świadomością), co uczyniliby, gdyby wiedzieli. Czy byliby

w stanie czemukolwiek zapobiec? Jak kuszące byłoby obwinić o wszystko Jocelyn, bo przecież to ona chciała zostać dłużej w Barnes & Noble, albo siebie samego o to, że naciskał na zatrzymanie się w Starbucksie — och, pieprzony idioto, jak mogłeś być tak głupi? Gdyby tylko wrócili do domu trochę prędej...

Załadowali sprawunki do toyoty. Z parkingu, z którego większość samochodów wyjeżdżała w prawo, na I-84 oraz I-87, oni skręcili dwa razy w lewo, na Broadway. Do 9W, którą mieli wyjechać z miasta i z której mieli zjechać w lewo do Parku Stanowego Storm King, było tylko kilka skrzyżowań ze światłami. Z tego miejsca mieli już niecałe dziesięć kilometrów drogą numer 293 do Black Spring. Dziesięć kilometrów do tego, co kołysało się nieodwołalnie nad ich głowami niczym półkolisty bułat wahadła, legendarne narzędzie tortur stosowane przez hiszpańską inkwizycję. I z każdym kilometrem, który przejeżdżali, lśniaca stal była coraz niżej nad ich karkami, ostrze brzytwy coraz bliższe i bliższe. W prawo, w lewo, w prawo, w lewo, kołysało się wahadło okrutnego średniowiecznego zegara, który obwieszczał koniec wszystkiego, co znali, wszystkiego, co kochali.

Podróż do domu. Każdy jej szczegół iskrzył się jak drogocenny kamień w jego umyśle. Nisko zawieszone słońce, które oślepiało go we wstecznym lusterku. Błade promienie słoneczne nad Hudsonem. Propozycja Jocelyn, żeby postarać się o nowego psa. Za każdym razem, kiedy przeżywał to od nowa, chciał krzyknąć do widma Jocelyn: zawróćmy, odjedźmy stąd jak najdalej, jakby przez ucieczkę mogli zanegować to, co się wydarzyło. Ale to wspomnienie przypominało jedynie straszny film, którego dramatyczny finał został już zdecydowany, a oni nieuchronnie ku temu finałowi zmierzali.

Zmierzali, mijając pole golfowe po prawej stronie Deep Hollow Road. Przejeżdżając przez strumień i zatrzymując samochód na podjeździe przed domem. Dom stał pusty w grudniowym słońcu, jakby wstrzymywał oddech. Torby z zakupami wynieśli z samochodu przed drzwi frontowe. Jocelyn roześmiała się, gdy zobaczyła, jak Steve ślamazarnie taszczy jeden z bagaży, i w tym samym momencie włożyła klucz do zamka. Steve wiedział, co się zbliża. Pocałowała go, a torba z Walmartu wysunęła się spod jego lewego ramienia i uderzyła o ziemię. Jocelyn pochyliła się, żeby pomóc mu pozbierać jej zawartość, i powiedziała, jakie to szczęście, że nie niósł w niej bombek na choinkę. Ciszę w domu przerwał śmiech — ciszę, do której byli przyzwyczajeni, odkąd nie witał ich w nim Fletcher, nie skakał, nie machał ogonem i nie powarkiwał wesoło, przymilając się, pokazując, jakim jest dobrym psem.

Hol, schody. Och, Boże, schody.

I to, co czekało na nich na górze, zaledwie za czterdzieści sekund.

Jocelyn przeszła do jadalni, żeby otworzyć pocztę, a Steve do kuchni, żeby przełożyć do lodówki zakupy spożywcze. Kiedy się tam znalazł, nagłe przecucie

sprawiło, że znieruchomiał i popatrzył na sufit. Steve nie był przesądny, wiedział jednak, że wszyscy ludzie obdarzeni są pewnymi właściwościami biorytmicznymi, które funkcjonują jak przywidzenia, i on sam nagle odniósł wrażenie, że słyszy odległe krzyki z izby tortur. To przeczucie, jakby silniejszy podmuch powietrza, było niczym ciężki ruch wahadła, teraz znajdującego się zaledwie kilka centymetrów nad jego głową, i dopiero siedem godzin później Steve położył się w sypialni Tylera, kotłując się i wijąc, aby wyrwać się z więzów, którymi był przymocowany do narzędzia tortur.

Zamknął drzwi lodówki i wziął do ręki torby z prezentami. Wrócił do holu i zaczął iść po schodach. Steve chciał zawołać do siebie: Spierdalaj stamtąd, jeszcze dwanaście sekund, tylko dwanaście sekund i wszystko się skończy, tylko dziesięć, dziesięć sekund i ostrze opadnie wystarczająco nisko, aby...

Ale on nie słuchał. Szedł po schodach... ponieważ nie wiedział.

Pomyślał, że przed kolacją będzie miał jeszcze dość czasu, żeby trochę pobiegać.

Drzwi do sypialni otworzyły się i do środka wszedł Pete VanderMeer. Był zaskoczony, kiedy zobaczył, że Steve siedzi na podłodze przy łóżku Tylera. Ale Steve nie wiedział, że większość naczyń krwionośnych w jego oczach popękała, skrywając jego spojrzenie za czerwoną mgłą.

— Nie, wynoś się stąd, to wszystko nie ma sensu — powiedział Pete.

Pociągnął Steve'a za ramię. Steve chciał zaprotestować, chciał uniemożliwić powietrzu, które płuca Tylera wdychały tutaj jeszcze tego dnia rano, aby dostało się do płuc Pete'a, albo co gorsza, aby uciekło przez otwarte drzwi; ponieważ to było powietrze Tylera, chciał je zachować w tej sypialni. Chciał, żeby Tyler żył.

— Posłuchaj mnie: jesteś w stanie, który uniemożliwia ci podejmowanie decyzji, będziesz więc robił to, co ja ci każę. Pojedziemy do szpitala. Twoja żona jest w złym stanie. Mary robi przy niej, co może, ale oboje siebie teraz potrzebujecie, bardziej niż kiedykolwiek.

Wyprowadził go z pokoju Tylera, dotykając drzwi w miejscu, w którym Tyler zostawił odciski palców. Steve z ulgą pozwolił się poprowadzić, głównie dlatego, że Pete musiał wyjść z sypialni, zanim wymaże w niej wszystkie ślady obecności Tylera.

— Pozostanę tam z wami, a Mary wróci do domu i trochę się prześpi. Lawrence przebywa z rodzicami Mary w Poughkeepsie. Nie chciała, żeby...

...żeby był teraz w Black Spring; Steve usłyszał we własnej głowie, jak dokańcza zdanie Pete'a. Poczł gwałtowne ukłucie w sercu. Dobry pomysł. Skoro dopadła Tylera, należy przyjąć, że Lawrence będzie następny, prawda?

Pete poprowadził go na półpiętro i po raz drugi tego dnia Steve zobaczył swojego młodszego, tego rozkosznie szczęśliwego dzieciaka, który czasami doprowadzał go do furii i który teraz w połowie drogi do holu siedział na podłodze

z głową odchyloną do tyłu. Zakleił sobie oczy klejem budowlanym, a jego usta były wygięte w straszliwym, srebrzystym uśmiechu. To dlatego, że były wypełnione śmiercionośną zawartością. Ciekła z nich ślina. Po jego koszuli spływały kawałki trujących muchomorów. Siedział uwięziony w kręgu czarownicy, a trujące grzyby wyrastały wokół niego ze szpar pomiędzy deskami podłogowymi. Na pewno przyszło mu do głowy, że aby się uwolnić, musi je wszystkie zjeść. Ale za każdym razem, kiedy zerwał jednego z nich, nowy muchomor wyrastał na jego miejsce i krąg wokół Matta znowu się zacieśniał.

Pistolet do uszczelniania okien klejem leżał na podłodze poza kręgiem.

Matt doświadczył czegoś, co pozbawiło go rozumu w jednym krótkim momencie.

Steve odwrócił się i, niczego nieświadomy, poczuł, jak stał wahadła dzieli jego ciało na pół. Odniósł wrażenie, że robi się pusty, jakby po ciosie zaczęły z niego wypływać wszystkie wnętrzości, lecz przecież nic go fizycznie nie opuszczało. Po prostu pustka powstawała w jego głowie, tracił zdolność myślenia. Było to tak realistyczne uczucie, że niemal się roześmiał.

Tyler powiesił się na długiej linie ze stajni. Przerzucił ją przez belkę pod sufitem, zawiązał na szyi, a potem kopnął taboret. Szarpnięcie, gdy opadał, nie wywołało efektu, na jaki liczył, i nie doszło do natychmiastowego złamania karku. Śmierć przyszła do niego powoli i boleśnie, witał się z nią w pełni świadomy tego, co się dzieje.

Jego szklista, nabrzmiała twarz nosiła ślady po łzach. Na jego masce pośmiertnej wypisane było przerażenie i głęboki, mroczny smutek.

I dopiero teraz Steve zobaczył Katherine van Wyler, która stała wyprostowana za wiszącym ciałem — wiedźmę z Black Rock, która jak Czerwona Śmierć przyszła tutaj niczym złodziej w nocy. Wtedy zrozumiał: Tyler, jego syn, jego Tyler, był martwy.

Gdy Pete VanderMeer prowadził go po schodach siedem godzin później, zaczął krzyczeć.

24

Była to najtrudniejsza decyzja w jego karierze — nieposłanie Matthew Granta natychmiast do Szpitala Świętego Łukasza w Newburghu — lecz Robert Grim przyjął na siebie tę odpowiedzialność i gotów był zaakceptować wszelkie konsekwencje. Koszmar osiągnął apogeum wtedy, gdy bezustannie krzyczącą Jocelyn trzeba było odciągać od schodów, a Steve usiadł po prostu w jadalni przy stole i gapił się w przestrzeń z tak upiorną koncentracją, że wydawało się, jakby z jego głowy wyparował cały mózg.

To Mary VanderMeer zatelefonowała do Grima. On i Warren przybyli do domu Grantów zaledwie po trzech minutach, podobnie jak Walt Stanton, lekarz

pierwszego kontaktu. Znowu tutaj, pomyślał Grim z niepokojem, tak jakby klątwa wiedźmy skoncentrowała się w tym szczególnym miejscu i właśnie osiągnęła największą moc. Pete powiedział mu, że on i jego żona przerazili się straszliwymi krzykami, które zaczęły dobiegać z domu Grantów, i natychmiast przybiegli z pomocą. Właściwie nie było w czym pomagać, jednak przynajmniej odciągnęli rodziców od martwego syna.

Matta położyli na plecach na marmurowym stole kuchennym i Mary razem z Jocelyn polewały go zimną wodą z kranu. Kiedy Stanton zobaczył w zlewie resztki muchomorów, zapytał ostro, czy Matt je jadł. Nie czekając na odpowiedź, przełożył chłopca na brzuch i wsunął palec do jego gardła, żeby wywołać wymioty.

Grim przez ułamek sekundy spoglądał w oczy chłopca.

Jezu, co za oczy.

Matowa warstwa plastiku w kolorze kości słoniowej robiła wrażenie, jakby gałki oczne chłopaka zostały nakłute igłami, wypłynęły, a potem ponownie ktoś umieścił je we właściwym miejscu.

Gdy Warren zajmował się Mattem, Grim pobiegł po schodach i dopiero tam jego emocje sięgnęły granicy szaleństwa. Tyler Grant, ten uroczy, sympatyczny chłopak, zaledwie nastolatek, powiesił się na belce sufitowej we własnym pokoju. Powód tego kroku od razu stał się jasny: za wiszącym na linie ciałem Tylera stała wiedźma. Pole widzenia Grima gwałtownie przybrało ponury odcień perłowej szarości, a zawroźnienie Jocelyn jakby się od niego oddaliło. Z pełną świadomością ugryzł się w język i odczekał, aż świat powróci do niego w pełnej ostrości. Zmusił się do racjonalnego zachowania. Na wszelki żal miała dopiero przyjść pora, teraz jego najważniejszym obowiązkiem było zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim tym, którzy wciąż żyli.

Po schodach wbiegł Stanton, przeskakując po dwa stopnie naraz, i przyłożył dłoń do ust.

— Dobry Jezu. O dobry Jezu.

Bose stopy Tylera wisiały mniej więcej metr nad podłogą, palcami w dół, a tuż za nimi widoczna była brudna, zniszczona suknia Katherine.

— Co zazwyczaj robisz w podobnych przypadkach? — zapytał Grim.

Stanton popatrzył na niego, zszokowany. Jego słowa nie w pełni do niego dotarły.

— Chodzi mi o samobójstwo — uzupełnił Grim.

— Och. — Stanton potrząsnął głową i przeczesał palcami włosy. — Będę musiał poinformować o zdarzeniu prokuratora okręgowego. Zostanie przeprowadzone dochodzenie, także w związku z tym, co się stało z jego bratem.

— Jasne. Ale najpierw ona musi stąd odejść.

Stanton popatrzył na doskonale okrągły krąg czarownicy złożony z muchomorów, które wyrastały spomiędzy desek podłogowych. Grim wcześniej

nawet ich nie zauważył... i widok ten tak go przeraził, że ugięły się pod nim nogi. Musiał zebrać w sobie wszystkie siły, jakimi dysponował, aby skupić się na obowiązkach, które musiał wykonać.

— To grzyby trujące — powiedział Stanton. — Robert, muszę zabrać chłopaka do szpitala.

— Niemożliwe. Jeśli zabierzesz go w takim stanie, szpital od razu wezwie policję. Jeśli nie zgłosimy tego przypadku równocześnie z samobójstwem Tylera, władze zaczną podejrzewać, że doszło do przemocy w rodzinie, i będą wścibiać nos w nie swoje sprawy.

— Ale jego trzeba zabrać do szpitala! — Stanton niemal krzyknął. — Nie wiem, ile zjadł tych grzybów, ale one są śmiertelnie trujące. I te oczy...

— Zabierz go do swojego gabinetu i zrób wszystko, co potrafisz, żeby mu pomóc.

— Przecież wiesz, że mi nie wolno. Jako lekarz składałem przysięgę...

— A ja składałem przysięgę jako szef bezpieczeństwa w HEX-ie. Przejmuję tu dowodzenie. Rób, co ci powiedziałem: pomóż temu chłopcu.

— Nie mogę dla niego nic zrobić w gabinecie! Pomyśl, co się stanie, jeśli ona nie odejdzie w ciągu trzech godzin! Ten chłopak jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Robercie, ci ludzie jednego syna już stracili.

Oczy Grima powędrowały ku ciemnej plamie w kroczu na dżinsach Tylera. Umierając, chłopak opróżnił pęcherz. Grim odwrócił głowę. Dlaczego śmierć musiała być zawsze taka okrutna, taka wyzbyta godności? Nigdy tego nie rozumiał. Ale teraz poczuł w końcu znajomy spokój, który ogarniał go w ciągu wielu lat, gdy musiał się zmagać z idiotycznymi, nerwowymi sytuacjami, które nakazywały mu odpychać od siebie wszelkie zasady moralne. Stanton nic nie rozumiał. Prawdopodobnie najmocniej wcale nie gnębiła go perspektywa sprzeniewierzenia się przysiędze lekarskiej — wielkie ryzyko, owszem — ale straszliwa prawda o tym, co się wydarzyło. Grim zacisnął ręce na jego ramionach.

— Posłuchaj, Walt. Czy nie sądzisz, że ja też chciałbym znaleźć inne wyjście z tego bagna? Ale w sytuacjach nadzwyczajnych interes miasta muszę stawiać ponad interesem jednostek, doskonale o tym wiesz. Nie mamy wyboru. Możemy tylko mieć nadzieję, że damy sobie radę z rodzicami tych chłopców. Dam ci znać, kiedy tylko tutaj coś się zmieni. A teraz się pospiesz. Nie wiem, jak to zrobisz, ale uratuj chłopaka, na miłość boską.

Stanton jeszcze przez dwie sekundy tkwił w bezruchu, rozdzierany wątpliwościami, a potem uczynił coś niespodziewanego: podszedł do Tylera, uniósł do góry ręce i zamknął mu oczy. Był to czuły gest, pełen litości, i Grim ucieszył się, że lekarz go wykonał. Po chwili Stanton zbiegł po schodach, a Grim zawołał za nim:

— Tylko działaj tak, żeby rodzice się nie zorientowali.

Stanton wyniósł Matta z domu i po chwili Grim usłyszał, jak odjeżdża jego samochód. W ten sposób pozbył się jednego powodu do zmartwienia. Ale kolejne minuty minęły mu na chaotycznym działaniu. Początkowa histeria Jocelyn spowodowała u niej mętlik w głowie. Chciała telefonować do różnych ludzi i Grim musiał powiedzieć, że na razie nie wolno jej nigdzie dzwonić. Wreszcie Mary usiadła z nią na kanapie. W pewnym momencie powiedziała, że musi wyciągnąć na noc z zamrażalnika piersi kurczaka, ale Mary zaraz zapewniła ją, że już o to zadbano. Grim martwił się o nią coraz bardziej. Chciał poszukać pomocy u Steve'a, on jednak wciąż siedział przy stole w jadalni, otępiały i niezdolny, żeby się ruszyć. Dopiero po dwudziestu minutach Jocelyn zorientowała się, że Matta nie ma w domu, i Grim powiedział jej, że Stanton zabrał go do szpitala. Jocelyn zaczęła płakać i postanowiła wrócić do Tylera. Cholerne pomieszenie z popłątaniem.

W końcu VanderMeerowie zajęli się sąsiadami, a Grim zabrał Warrena na górę. Zaczęli rozważać możliwe rozwiązania. Katherine stała bez ruchu przy swojej ofierze, niczym lwica chroniąca zdobycz przed pazernymi hienami, gotowymi dopaść martwych szczątków. Z rosnącym przerażeniem Grim dochodził do przekonania, że wiedźma szybko z tego domu nie zniknie. To była męka. Nie mógł niczego zaplanować.

Katherine chciała, żeby rodzice Tylera cierpieli.

Tak jak kiedyś cierpiała ona sama.

Cóż, jej intencje są teraz przynajmniej jasne, prawda?

Warren potrząsnął głową.

— Nic z tego nie rozumiem, Robercie. Przecież nigdy dotąd znikąd nie musieliśmy jej usuwać.

Była to prawda. HEX był nieskończenie kreatywny, gdy chodziło o ukrywanie Katherine, jednak protokół zakazywał im dotykania jej. Gdyby sprowokowali wiedźmę, w mieście mogłaby umrzeć kolejna osoba, ktoś o słabym sercu, mający kłopoty z krążeniem... ktoś, kto odebrałby jej wibracje i po prostu padłby martwy na ziemię.

Katherine wciąż stała bez ruchu.

Szeptła swoje bluźnierstwa.

Igrała z nimi.

Chodźcie i dotknijcie mnie, mądrale. Chodźcie i dotknijcie mnie. Zobaczymy, kto umrze tym razem.

Niespodziewanie Warren kopnął trujące grzyby, niszcząc krąg czarownicy. Jeden z kapeluszy poleciał aż pod trupio blade nogi Katherine.

Zatrzymał się, dotknąwszy jej sękatych, brązowych paznokci.

— Katherine — powiedział Warren i odchrząknął. — Hej, Katherine.

Grimowi zaschło w ustach i zakaszłał, a po chwili wydał z siebie nerwowy jęk. Chciał zapobiec działaniu Warrena, ale odniósł wrażenie, że stoi przybity do

podłogi. Przecież jedna z ich niepisanych zasad brzmiała, że nigdy nie będą się odzywać do wiedźmy. Fakt, że Warren czynił to właśnie teraz, był jeszcze bardziej upiorny niż pozostałe wydarzenia tego dnia.

— Przecież masz już, czego chciałaś. Chłopak nie żyje. — Głos Warrena zabrzmiał jak bulgotanie, tak jakby w gardle uwięzła mu porcja gęstej galarety. — Pozwól nam przystąpić do pracy i wynoś się stąd.

Katherine stała bez ruchu.

Nie: palce jej prawej ręki lekko się skrzywiły.

Coś się jednak działo za jej zaszytymi oczyma.

Drwiła z ludzi.

Warren podszedł do niej o krok bliżej.

— Hej, nie masz już dość?

— Warren, przestań — wyszeptał Grim; wzdrygnął się z odrazą i nagle uderzył go szaleńczy strach. Nie miał wątpliwości, kto w Black Spring pociąga za wszystkie sznurki. Dopóki stan taki trwał, wszyscy w mieście znajdowali się na łasce i niełasce wiedźmy. — Odejdź od niej, zanim i ty skończysz na sznurze.

Czas włókł się bez końca. Minęło kolejne czterdzieści pięć minut. Grim i Warren zeszli na dół. Niebo za oknami zaczynało się czerwienić.

Warren zasugerował, że wypchną wiedźmę z domu miotłami. W którym kierunku? Najlepiej po schodach; jeśli się przewróci, to zniknie. Tak jak wtedy, gdy ci gówniarze użyli kijów, żeby ją wepchnąć do zbiornika przy Strumieniu Filozofów, a potem ukamienować. Grim popatrzył na sine obwódki pod oczyma Jocelyn i zawahał się. Miałby świadomie zaryzykować życie jakiegoś staruszka z miasta? Przekonanie, co jest moralne, a co nie jest, ulegało w nim przemianie tak szybko, jak szybko płynął czas.

Znów weszli na piętro, Warren z miotłą, a Grim z mopem. Na ich czołach pojawiły się zimne krople potu. Z największą ostrożnością zaczęli lekko dźgać Katherine. Jej kruche ciało wychyliło się, jednak nie poruszyła nogami — jedynie odwróciła głowę z zaszytymi oczami w kierunku intruzów.

Ani Grim, ani Warren nie zdobyli się na nic bardziej stanowczego.

— Chcę pójść do mojego dziecka! — Rozdzierający serce krzyk Jocelyn dobiegł z parteru.

Grim i Warren wymienili zaskoczone spojrzenia, a po chwili na piętrze zjawił się Pete VanderMeer. Bez wątplenia był w podłym nastroju, miał jednak ze sobą dodatkowy kij od miotły. Grim poczuł do niego głęboką wdzięczność.

— Co się dzieje na dole? — zapytał cicho.

— Bałagan — odparł Pete. — A jak myślisz? Mary zaparzyła rumianek, to powinno trochę pomóc.

Roześmiał się krótko przez łzy. To przecież było absurdalne: czy rumianek może w jakikolwiek sposób pomóc w tak ogromnym nieszczęściu?

Cała trójka spróbowała teraz wypchnąć Katherine zza ciała Tylera na prawą stronę i w końcu zmusili ją do ruchu; zaczęła się przesuwać, krok po kroku. Grim poczuł, że jego serce bije jak ciężki młot. Warren pchnął wiedźmę trochę mocniej... i w ułamku sekundy Katherine znalazła się przed zwłokami Tylera, pomiędzy mężczyznami. Grim gotów był przysiąc, że usłyszał, jak na nich syknęła. W jednej chwili mężczyźni odskoczyli na boki. Warren potknął się i usiadł pośrodku zniszczonego kręgu czarownicy.

Nagle wydarzenia zaczęły się rozgrywać z przerażającą prędkością.

— Jocelyn! — krzyknął ktoś z dołu.

Grim zdał sobie sprawę, że to krzyk Mary, jednak w wielkim szoku spóźnił się z reakcją na to, co miało się zdarzyć; nie był dość szybki, aby ją powstrzymać. Nagle usłyszał pospieszne kroki Jocelyn, wbiegającej po schodach z obnażonymi zębami. Kiedy znalazła się na piętrze, dosłownie rzuciła dzbanek z gorącym rumiankiem prosto w twarz wiedźmy.

Efekt był zaskakujący. Odłamki szkła i gorąca woda poleciały na wytapetowaną ścianę, a Grim musiał oskoczyć, aby uniknąć ran i poparzenia. Wiedźma zgięła się wpół i natychmiast zniknęła. Rozłożywszy ramiona, Jocelyn z krzykiem rzuciła się na ciało martwego syna.

* * *

Przyjechali policjanci i zaczęli zadawać pytania. Dzięki Bogu, Mary VanderMeer zdążyła już zabrać Jocelyn do Szpitala Świętego Łukasza, ponieważ Grim nie sądził, aby była w stanie rozsądnie reagować na zainteresowanie jej osobą. Po tym, jak razem z Pete'em zatelefonowali na numer alarmowy, Grim usiadł ze Steve'em przy stole w jadalni i zapytał go, czy da radę cokolwiek powiedzieć policji.

Steve powoli wchłonął w siebie pytanie, jakby powracał z jakiegoś mrocznego, odległego miejsca. Patrząc na niego nieskończenie smutnym wzrokiem, sam zapytał po chwili:

— Czy wtedy zdejmą Tylera ze sznura?

Właśnie. Grim czuł, że wszystkiego jest już za wiele, nawet dla niego. Bardzo mocno przytulił do siebie zrozpaczonego ojca i powiedział:

— Tak. — Cieszył się, że nie musi patrzeć mu w oczy. — To właśnie zrobią policjanci.

Grim panował nad sobą, częściowo dlatego, że musiał postawić diagnozę: Steve był na tyle przytomny, że rozumiał, co się wydarzyło, a to oznaczało, że prawdopodobnie wiedział także, co może, a czego nie może powiedzieć policji.

Grim puścił go i wyprostował się.

— Steve, muszę cię o to zapytać. Czy wiesz o czymś... o czymkolwiek, co mogłoby to wyjaśnić?

Steve powoli pokręcił przecząco głową.

— Może Tyler coś powiedział? — Steve nadal kręcił głową, ale Grim kontynuował: — Pytam cię w zaufaniu, nie na użytek Rady. Jeśli cokolwiek się stało, muszę o tym wiedzieć ze względów bezpieczeństwa. Wiem, że Tyler prowadził stronę internetową, nie wierzę jednak, że to ona ma związek z jego samobójstwem, bo przecież gdyby tak było, popełniłby je dużo wcześniej. Przez ostatnie miesiące kontrolowaliśmy jego laptopa i nie zauważyliśmy, żeby pracował nad czymś nowym. Wiesz może, czy kombinował z czymś nowym? Na Boga, co poszło nie tak?

— Nie wiem, Robercie — odparł w końcu Steve, szczerze i przekonująco.

Grim popatrzył na niego, napotkał jego wzrok i uwierzył, że mężczyzna mówi prawdę. Steve był równie zakłopotany jak zszokowany i Grim postanowił na razie odpuścić; Steve miał przecież dość problemów na głowie. Poklepał go po ramieniu:

— Spokojnie, stary. Wieczorem do ciebie zadzwonię.

Steve podziękował mu i Grim podał Warrenowi kluczyki do samochodu. Miał zostać w domu jako przyjaciel rodziny i rozmawiać z policją stanową. Natomiast Grim poczuł ulgę, że wreszcie może stąd wyjść. Czuł w tym miejscu obecność śmierci wiszącej nad nim jak ciężki, zatruty welon, wypełzającej z każdego kąta. Oczywiście było to przekonanie o wartości co najwyżej zabobonu, jednak w tym domu odnosiło się wrażenie, że śmierć podlega prawom mroku, a każde nieszczęście wywołuje kolejne i roznosi się jak zaraźliwa choroba. Na nogach jak z waty Robert Grim podszedł do drzwi wychodzących na podwórko. Dopiero kiedy znalazł się kilka metrów od budynku, paroma głębokimi haustami nabrał w płuca mroźnego wieczornego powietrza. Głowę miał zwieszoną, jego uda drżały.

Skonsternowany i cokolwiek zniechęcony do życia, ruszył w kierunku byłego Centrum Turystycznego. Nie chciał natknąć się na policję, dlatego wybrał drogę skrajem lasu, wznoszącą się i opadającą podobnie jak pola, na których światło księżyca odbijało się w zalegającej nisko mgle. Ujemne temperatury minionego tygodnia zastąpiła odwilż i powietrze było ciężkie od wilgoci. Grim obserwował, jak jego oddech formuje w ciemności małe chmurki.

Po kilku minutach pożałował, że wybrał leśną drogę.

Wyciągnął z kieszeni telefon, aby oświetlić teren przed sobą, i przyspieszył kroku. Po jego lewej ręce choiny formowały masywną czarną ścianę. Gdzie indziej wśród wzgórz, bardziej na północ i na zachód, ludzie bawili się z psami, wychodzili na nocne spacery albo kochali się w letnie wieczory. Nic takiego nie działo się jednak tutaj, w nawiedzonej części rejonu. W Black Spring nikt po zmroku nie wychodził z domu.

Oczy tego dzieciaka.

Jakże ktokolwiek mógł sobie zrobić coś takiego? Czy Katherine zmusiła go do tego, czy może pokazała mu coś tak obłądnego, że zapragnął się oślepić, w upiorny sposób naśladowując samą wiedźmę? Jak daleko sięgał jej wpływ?

Nagle powrócił do niego obraz Jocelyn, ciskającej dzbanek z rumiankiem w twarz wiedźmy, ale tym razem, kiedy rozbiło się szkło, krew trysnęła z jego własnych oczu, a on zachwiał się i padł prosto na schody.

Opanuj się, idioto.

Był jednak mocno poruszony i nie potrafił oczyścić umysłu ze strasznej wizji. Miało to pewnie coś wspólnego z wiatrem, który właśnie zawiął w szczególny sposób, powodując, że wszystkie drzewa nagle się wyprostowały, jakby chciały ulecieć ku niebu. Robert Grim przyspieszył kroku, chcąc dotrzeć do celu jeszcze przed zmierzchem. Ponieważ był sam, niedowierzanie i zdumienie zaczęło przybierać w jego głowie namacalny kształt i pojawiały się w niej coraz to nowe pytania. Jak w ogóle to wszystko mogło się wydarzyć? W ciągu niemal trzydziestu lat, gdy pełnił w HEX-ie funkcję szefa bezpieczeństwa, Katherine nigdy nikogo w taki sposób nie zaatakowała. Nie przypisano jej żadnego samobójcy od dnia, kiedy w 1967 roku spróbowano przeciąć jeden ze szwów na jej ustach. Wszyscy wiedzieli, do czego może doprowadzić człowieka jej szept, i nikt nigdy nie podjął ryzyka, by stać się jego ofiarą. Tyler i jego koledzy być może zaszli za daleko z wygłupami i nagrywaniem wiedźmy, ale Tyler był w gruncie rzeczy inteligentnym chłopcem i nigdy nie popełniłby nieodwracalnego błędu, prawda? Teraz, o wiele za późno, Grim zaczynał się obwiniać, że być może podjął złą decyzję, nie przekazując Radzie informacji o jego poczynaniach.

Patrząc z perspektywy czasu, przyjacielu, z całym szacunkiem, ale milcząc, nie oddałeś mu bynajmniej dobrej przysługi.

Przystanął i odwrócił się. Na ścieżce za nim coś się poruszyło.

Zaczął się ślizgać na korzeniach pokrytych cienką warstwą lodu. Zdołał utrzymać się w pionie, a gdy ponownie popatrzył za siebie, niczego podejrzanego już nie dostrzegł; poprzednie wrażenie wywołała zapewne mgła, unosząca się nisko nad ziemią, albo po prostu zadrwiła z niego wyobraźnia. Nagle zaczęło mu się spieszyć i ruszył biegiem. Niespodziewanie ogarnął go irracjonalny strach i przerażające przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś złego.

Zbliżał się koszmar.

Był częścią wciąż tej samej spirali przyczyn i skutków. Nóż do kartonu przecinający pierś Katherine. Śmierć psa. Krwawiący strumień. Ukamienowanie, a potem szaleństwo w mieście. Jaydon, który pod ciosami egzekutora otarł się o śmierć, ale w końcu przeszedł na jasną stronę. I teraz Tyler.

„Dzieci kopały dziury poza murami fortu, a następnie wносиły do nich w ponurych procesjach skrzynie z owocami. Ich rodzice uznali, że dzieci zostały opętane, a ich zabawę uznano za zły omen”.

Grim skrzywił się, gdy gałąź ukuła go w lewy bok, i po chwili skręcił w żwirową ścieżkę, która biegła obok starego domu Hopewellów i w końcu docierała do Deep Hollow Road. Ulica była jasno oświetlona i trochę się potykając, kontynuował szybki marsz w kierunku Centrum Turystycznego Popolopen.

Na skraju dachu, nad fryzem, siedziała sowa o płowym futrze. Ptak popatrzył na niego grzesznymi, lśniąco-czarnymi oczyma drapieżcy. Grim nie mógł zrozumieć, dlaczego ta sowa wypełniła go tak wielkim poczuciem katastrofy i przygnębienia, jednak zaklaskał w dłonie, żeby ją przegonić. Ku jego wielkiej konsternacji sowa nawet się nie ruszyła, nawet nie mrugnęła okiem. Dopiero kiedy Grim podniósł kamień i rzucił nim w jej kierunku, ptak zatrzepotał skrzydłami i odleciał.

W środku Grim dowiedział się, że Katherine zjawiała się w jakiejś kuchni w Lower South. Wezwał Claire i Marty'ego, aby poszli do tego domu, wysłali mieszkańców do Point Inn i nie spuszczali wzroku z wiedźmy ani na sekundę. Na razie nie było żadnych informacji, by rzucenie dzbankiem z gorącym rumiankiem spowodowało jakieś ofiary. Grim pozostał w centrum kontroli i zaczął przeglądać nagrania z kamer bezpieczeństwa. Różne obrazy oglądał wielokrotnie, przewijając nagrania to do tyłu, to znów do przodu. Zobaczył, jak Matt wraca do domu z przystanku autobusowego. Jednak za ciemnymi oknami domu Grantów widział jedynie złudny spokój. Dlaczego Tyler przed śmiercią w ogóle nie zapalił światła? Pomiedzy powrotem Matta ze szkoły a momentem, w którym jego rodzice wjechali samochodem na podjazd, mniej więcej półtorej godziny później, w domu dosłownie nic się nie działo. Wziąwszy pod uwagę tragedię, jaka rozegrała się za jego murami, kamery prezentowały obraz surrealistycznej, upiornej normalności.

Zatelefonował Warren ze szpitala. Steve Grant został w domu w Black Spring z Pete'em VanderMeerem oraz z właścicielem zakładu pogrzebowego i miał przyjechać tam później. Matt miał poważne zatrucie pokarmowe po zjedzeniu muchomorów, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Obecnie lekarze zajmowali się jego oczami, nie dawali jednak gwarancji, że ocala mu wzrok. Warren chciał zostać w Newburghu na wypadek, gdyby chłopak się obudził i zaczął mówić — było to wysoce nieprawdopodobne, ale nie niemożliwe.

Grim odłożył słuchawkę. Zaczął rozważać różne strategie działania, aby nie wywołać kolejnej fali paniki w mieście, nie mógł jednak otrząsnąć się z wrażenia, że wciąż nie dostrzega czegoś istotnego, czegoś, co zwiastowało szybko nadciągającą katastrofę. Coś bezustannie dzwoniło mu w uszach niczym dzwon pogrzebowy. Spróbował skoncentrować się na sprawach praktycznych: na pytaniach, jakie będzie musiał postawić rodzicom, jaką wiedzę może udostępnić opinii publicznej, czy urządzić pogrzeb w mieście, czy poza jego granicami. Co się stanie, jeśli Katherine w czasie pogrzebu nagle pojawi się przed oczyma przyjaciół rodziny i krewnych spoza Black Spring... niczym piromanka, pragnąca się osobiście przekonać, jakie szkody wyrządził podłożony przez nią ogień?

Pewnie to wszystko zaplanowała. Zapewne śmierć Matta była częścią jakiegoś mrocznego, wcześniej ułożonego planu.

Grim podskoczył, jakby te ostatnie słowa wypowiedział ktoś stojący tuż obok niego. Szeroko otwartymi oczyma, z gęsią skórką, która niespodziewanie pojawiła się na całym jego ciele, popatrzył na swój telefon komórkowy leżący spokojnie na biurku. Po dwóch sekundach telefon zadzwonił. Claire.

— Halo?

— Robert, nie ma jej. Zniknęła przed kilkoma sekundami.

Początkowo nie rozumiał, skąd pochodzi ciężki, zwietrzały zapach starczego ciała.

— Dobrze, wracaj... — zaczął i nagle usłyszał szept.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z udręczonym, koszmarnym obliczem Katherine van Wyler. Jej poranione wargi układały się w uśmiech, rozciągając szwy. Otwarty kącik po lewej stronie ust poruszył się z wielką koncentracją i do umysłu Grima wdarły się okaleczone słowa. Z krzykiem upuścił telefon i zachwiał się, zahaczył o biurko, zrzucił coś na podłogę, po czym sam na niej wylądował.

Spokojnym, ostrożnym krokiem Katherine obeszła biurko i stanęła dokładnie nad Grimem.

— Robert? Robert! — usłyszał zniekształcony głos ze swojego telefonu.

Grim zdołał usiąść, a tymczasem wiedźma z Black Rock coraz bardziej się do niego zbliżała, przesuwając po podłodze obnażone, zszarzałe stopy. Jej paznokcie były makabrycznie żółte, długie i zakręcone na końcach. Żelazne łańcuchy, którymi było opasane jej ciało, dzwoniły głucho. Panicznie wystraszony Grim zerwał się na nogi, zderzył się z ekranem i znów upadł, tym razem w rogu pomieszczenia — ach, wszystko zawsze kończyło się w rogu bez wyjścia.

Po sekundzie Katherine się nad nim pochylała, jej ciało było sztywne, a jej usta niemal dotykały jego ucha. Nie mógł uciec martwej kobiecie, nie dotykając jej, dlatego zastygł w bezruchu, wsunął sobie palce do uszu i zaczął głośno śpiewać. Tym razem nie była to jednak piosenka grupy Katrina & The Waves, tym razem był to tylko żałosny skowyt, to w ogóle nie była piosenka. Dźwięki, jakie wydobywały się z jego gardła, były atonalnymi odgłosami, które miały mu zapewnić przetrwanie, które miały go bronić przed szeptem wiedźmy. Zawodząc, musiał patrzeć w zaszyte oczy Katherine oraz wdychać odrażający zapach błota i śmierci.

25

Matta utrzymano w stanie śpiączki farmakologicznej do sobotniego popołudnia. O czwartej, kiedy Steve, Jocelyn, Milford Hampton, ojciec Jocelyn mieszkający w Atlancie, i Mary VanderMeer wrócili z lunchu, którego niemal nie tknęli, chłopiec obudził się. Wkrótce stało się jednak jasne, że nie reaguje na żadne

bodźce zewnętrzne i lekarze postawili okrutną diagnozę: zahamowanie katatoniczne. Leżał w łóżku szpitalnym blady i niemal przejrzysty, a bandaże na jego oczach sprawiały wrażenie, jakby ktoś rozpoczął przygotowania do zdjęcia z niego maski pośmiertnej. Upiorne było również to, że jego głowa uniesiona była kilka centymetrów nad poduszką, przytrzymywana przez wsporniki. Jeden z lekarzy powiedział, że kiedy zmieniał mu bandaże, źrenica w prawym oku w ogóle nie reagowała. Jego lewe oko nie mogło funkcjonować bez transplantacji rogówki. Steve z własnego doświadczenia lekarskiego wiedział, jak muszą oczy Matta wyglądać pod bandażami: były bladobiałe i mętne, tak jakby jego gałki oczne w ogóle nie istniały.

Ani Steve, ani Jocelyn nie poszli spać. Jocelyn nie chciała wracać do Black Spring, zameldowali się więc w Ramada Inn przy Międzynarodowym Porcie Lotniczym, gdzie wcześniej zatrzymał się pan Hampton. Steve nie był w stanie interesować się, jak jego żona przeżywa tragedię. Przy śniadaniu wyglądała, jakby cierpiała na wyjątkowo ciężką gripę. Odzywała się krótkimi, bezładnymi zdaniami. W szoku całkowicie zapomniała o protokole obowiązującym mieszkańców Black Spring: w pewnej chwili odezwała się do ojca:

— To sprawka Katherine.

Mary, która przez cały czas opiekowała się nią w zadziwiająco profesjonalny sposób, próbowała uspokoić ją, nie zaprzeczając jej słowom, ale w końcu wyprowadziła ją do toalety.

— Boże, co za straszna tragedia — powiedział pan Hampton.

Miał podkrążone oczy i tego ranka nie ogolił się. Steve zawsze go lubił, ale razem z Jocelyn nigdy nie zdołali jej rodziny uczynić częścią własnego życia — a teraz ich światy, leżące w znacznym oddaleniu, rozdzielały się jeszcze bardziej, w najbardziej nienaturalny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

— Steve... kim jest ta Katherine, o której wspomina Jocelyn?

Steve nie był w stanie rozmawiać z żoną. Podczas gdy jego umysł wciąż odtwarzał krytyczne momenty w ponadczasowym zapętleniu, on sam tkwił w ogromnym, tępych bólu, który wkrótce doprowadził go do takiego stanu, że prawie nie reagował na to, co się dzieje wokół niego. Pytanie pana Hamptona jednak do niego dotarło.

— Nie wiem — odparł.

I chociaż rozumiał, że postępuje nieuczciwie, kłamiąc na temat śmierci swojego syna, usłyszał, jak dodatkowo gmatwa sprawę, dodając bez trudu:

— Jocelyn jest w szoku. Jej poczucie czasu uległo zachwianiu. Myślę, że w przeszłości znała jakąś kobietę o imieniu Katherine.

— Sam już nie wiem. — Nagle stary człowiek zaczął płakać. Pochylił się nad stołem i złapał ręce Steve'a w drżące dłonie. — Nie mogę w to uwierzyć. Tyler i samobójstwo? Dlaczego? Czy ty i Jocelyn naprawdę nie dostrzegliście... że

coś... się zbliża?

Wypowiadając te słowa, gwałtownie potrząsał rękami Steve'a.

Nie, proszę pana, chciał odpowiedzieć Steve, nagle wściekły na teścia. Nasz pies zawisł na drzewie w zeszłym miesiącu, wyżej, niż jest w stanie wspiąć się normalny człowiek, a w środku naszego miasta torturowano kilku chłopaków. To był w gruncie rzeczy taki nasz miejski wymiar sprawiedliwości. Ale, cholera jasna, czegoś takiego naprawdę się nie spodziewaliśmy. Tyler był takim...

Nagle zrozumiał, co chce powiedzieć jego teść, i gardło ścisnęła mu straszna panika, ponieważ nie chciał, żeby te słowa padły głośno. A jednak padły i były dla Steve'a niczym sól posypana na otwartą ranę:

— Tyler był takim żywym chłopcem.

Tak, był żywym chłopcem, nasz Tyler był nadzwyczajnym dzieckiem. Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym, ty kretynie, jakby go już między nami nie było, jakby był czymś, co już się zdarzyło i nie zdarzy nigdy więcej, co było i minęło? Co za żywy chłopiec. „Pomóż mi, tato”, prosił, i co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?

Steve powoli potrząsnął głową.

— Nie wiem, Milford.

— Nie zostawił jakiegoś listu, nic w tym rodzaju? Nie muszę wiedzieć, co w nim napisał, ale dobrze byłoby, gdybym wiedział, że taki list istnieje.

— Nie. Nic mi o nim nie wiadomo.

Do diabła, gdzie się podziewały Jocelyn i Mary? Steve miał już dość bycia sam na sam ze starszym mężczyzną.

Pan Hampton cofnął swoje wysuszone dłonie i opuścił oczy.

— Czy to możliwe, że Tyler sam zrobił to młodszemu bratu? Że to był jakiś... przejaw szaleństwa?

Steve musiał przygryźć już i tak mocno poranione wargi, aby nad sobą zapanować. Drżącym głosem odparł:

— Nie wiem, Milford.

* * *

Zostali zaproszeni do małego pokoju na rozmowę z lekarzem Matta i ze szpitalnym psychiatrą. Był z nimi Warren Castillo, gotów udzielić wszelkiego niezbędnego wsparcia... i mieć na oboje baczenie. Jocelyn zdawała się trochę bardziej przytomna niż rano i nie ujawniła już żadnej poufnej informacji. Za to znowu się rozplakała i w krótkim czasie zużyła całą paczkę chusteczek jednorazowych.

Po rutynowych pytaniach, które w większości nie uzyskały odpowiedzi, lekarz powiedział:

— Jest pewna delikatna kwestia, którą chciałbym z państwem

przedyskutować. W chwili obecnej nie dysponujemy informacjami o potencjalnym dawcy rogowki dla Matta. A im szybciej mu pomożemy, tym większe są szanse, że w pełni uratujemy mu wzrok w oku. Czy zechcieliby państwo rozważyć możliwość przekazania mu rogowki Tylera?

Steve podświadomie się tego spodziewał, a jednak pytanie lekarza zaszokowało go. Psychiatra uzupełnił jego słowa:

— Nie musicie państwo odpowiadać natychmiast. Zastanówcie się nad tą kwestią i dopiero wtedy zdecydujecie. Być może w ten sposób śmierć starszego brata nie byłaby daremna, mimo całej swej okropności.

Jasne, pomyślał Steve. A może weźmiemy od obu chłopców to, co najlepsze, i przekształcimy ich w jednego syna? W tym wszystkim musi być jakaś ukryta logika, ale nawet jeśli ona istnieje, nie ogarniam jej. Niemniej natychmiast udzielił lekarzowi odpowiedzi twierdzącej, bo było to przecież oczywiste.

— A pani? Co pani o tym myśli?

Jocelyn wytarła oczy.

— Skoro Steve nie ma nic przeciwko, ja też to popieram. Tyler zrobiłby dla Matta wszystko.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy. Warren uniósł brwi i uważnie obserwował oboje małżonków. Jocelyn nie zauważyła tego, ponieważ znowu się rozplakała. Ale Steve zrozumiał: nie uwierzyli jej. Podobnie jak jej ojciec, byli przekonani, że to Tyler potraktował brata pistoletem do uszczelniania okien, zanim zabił sam siebie. Warren widział to w oczach lekarzy i był zadowolony. A Steve czuł, jak jego serce rozpada się na pół. Jego syn, jego Tyler został zmuszony do odebrania sobie życia wbrew własnej woli, sparaliżowany mocą zbyt potężną, by ją zrozumieć, mocą, która spadła również na Matta, a oni wszyscy myśleli, że Tyler oszalał. Ot, zdarzył się incydent w wykonaniu żalonych gówniarzy, popieprzonych nastolatków, żądnych mocnych wrażeń; jakże często czyta się w prasie takie historie.

Ogromna niesprawiedliwość tej oceny spowodowała, że Steve po raz pierwszy się rozplakał, długim żalnym płaczem, którego źródłem był głęboki, rozstrajający go żal. I podobnie jak on wcześniej nie był w stanie uspokoić Jocelyn, teraz z kolei ona nie potrafiła mu pomóc. Siedzieli obok siebie na krzesłach, samotni i pogrążeni w rozpacz, a Steve nie był pewien, czy potrafiliby zaakceptować gest ukojenia z jej strony, gdyby się na to zdobyła.

Warren wyprowadził ich do szpitalnej kawiarni, Hudson View Cafe. Wielkie okno wychodziło na zadrzewiony parking, a za nim leniwie płynęła rzeka. Ogromna choinka bożonarodzeniowa na okrągłym podjeździe szpitalnym kołysała się w słabym wietrze, a tymczasem dzień po raz kolejny przechodził w noc. Po ciepłym poranku nie pozostało nawet wspomnienie. Zastąpił go nieprzyjemny, zimny grudniowy wieczór. Całkiem niedaleko, w kostnicy szpitalnej w innej części budynku, znajdował się syn Steve'a, nagi, pocięty; patolodzy zdążyli już pewnie

usunąć z jego ciała najważniejsze organy.

— Jest mi strasznie przykro — odezwał się Warren — jednak musimy się zająć kilkoma praktycznymi sprawami, zanim dom pogrzebowy Knocksa i Kramera zacznie organizować pochówek. Czy chcecie ciało Tylera skremować, czy zakopać?

— Zakopać — odparł Steve niemal natychmiast, a Jocelyn popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

— Steve...

Nie mieli ubezpieczenia na wypadek pogrzebu, chociaż pieniądze nie stanowiły problemu. Steve zawsze wierzył, że oboje z Jocelyn nie są osobami, które nadają jakiegokolwiek symboliczne znaczenie grobowi. W przeszłości mówili sobie, że po śmierci oboje chcą zostać skremowani — rozmawiali hipotetycznie, oczywiście, bo przecież rozważali ten temat jak ludzie, dla których śmierć jest sprawą bardzo odległą. Lecz teraz Steve nagle wyobraził sobie, jak z przyjaciółmi i rodziną wracają do domu po ceremonii kremacji i grzebią widelcami w sałatkach i quiche'ach na stypie, krótko po unicestwieniu Tylera w piecu. Gorący ogień wypaliłby i spopielił jego skórę, stopiłby jego włosy, w ciągu kilku minut zniszczyłby mięśnie, które formowały ciało chłopaka przez tak wiele lat. Z Tylera nie pozostałoby nic, poza stertą popiołu i dymu, który uniósłby się z komina krematorium i uleciałby w zimne powietrze, a wkrótce jego molekuly osiadłyby na dachach tysięcy domów. Tej wizji Steve nie mógł znieść. Wiedział, że pragnie, aby ciało syna pozostało gdzieś blisko niego, za wszelką cenę.

— Pochowamy jego ciało w ziemi — powiedział stanowczo.

— Och, Steve, nie wiem... — odezwała się Jocelyn. — Tyler zawsze chciał uciec z Black Spring, odkrywać, jak wygląda odległy świat. Czy nie będzie lepiej, jeśli rozrzucimy jego prochy w jakimś odpowiednim miejscu?...

Ale Steve nie zamierzał ustąpić. Nie do końca wiedział dlaczego. Może było to egoistyczne postanowienie, czuł jednak, że to jest ważne, jakby coś z zewnątrz nagle go zainspirowało, a on poddawał się temu głosowi.

— Chcę, żeby został z nami, Jocelyn. Chcę go odwiedzać.

— Dobrze, zdecydуй więc.

W końcu chodziło o Tylera. Gdyby w grę wchodził pochówek Matta, z pewnością decydowałaby Jocelyn.

— Gdzie miałyby zostać pochowany? — zapytał Warren.

Obok Fletchera, na naszym podwórku, nagle pomyślał Steve i poczuł, jak jego ciało ogarnia lodowaty chłód.

— W Black Spring.

— Tego się bałem. — Warren westchnął.

— Jakiś problem?

— Nie. Oczywiście, że nie. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby wszystko

odbyło się tak, jak tego chcesz, możesz na nas liczyć. Po prostu, nie używając mocnych słów, martwimy się. Katherine zachowuje się inaczej niż dotąd i wszyscy ludzie w mieście śmiertelnie się jej boją. Nie wiemy, czego się po niej spodziewać w przyszłości.

— Warren, w jakiś sposób Tyler musiał usłyszeć jej szept. To jedyne rozsądne wyjaśnienie tego, co zaszło, rozumiesz? To był straszny wypadek.

Warren obniżył głos.

— Wczoraj wieczorem zaatakowała Roberta.

Steve i Jocelyn popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

— Nie martwcie się, nic mu się nie stało. Ale trochę się wszyscy wystraszyliśmy. Nie rozumiemy, co było powodem, jednak wszystko wskazuje na to, że celowo na niego napadła.

— Ale dlaczego? — zapytała Jocelyn, a jej do tej pory drżący głos załamał się. — I dlaczego zabiła Tylera, Steve? Staram się o tym nie myśleć, ale wciąż mam go przed oczami... jak wisi... a potem widzę Matta, jak wpycha sobie do ust te muchomory... Przecież tego nie zrobił on, to ona musiała jakoś zadziałać, to ona go do tego zmusiła, chciała zabrać nam nie tylko Tylera, ale również Matta... A za każdym razem, kiedy próbuję sobie przypomnieć twarz Tylera, nie mogę... wyobrażam sobie jej twarz... i jej oczy są otwarte... i patrzą na mnie... — Po jej policzkach potoczyły się łzy. — Och, Steve, pomóż mi, proszę, przytul mnie, dobrze?

„Pomóż mi, tato”.

Steve przytulił ją. Mocno objął ją ramionami, a ona płakała żałośnie w jego koszulę, jednak nic to dla niego nie znaczyło. Miał wrażenie, że przyciska do siebie manekina. Przez cały czas patrzył przez okno na ludzi schodzących po okrągłym podjeździe szpitalnym, przy zawodzącym wietrze, opętany własnymi demonami i złymi wspomnieniami. Ale ci ludzie szli do swoich domów i wkrótce zapomną o przyczynach swoich wizyt w szpitalu. W domach czekają na nich dzieci i choinki bożonarodzeniowe. Steve nagle zobaczył przed sobą makabrycznie wyraźny obraz dzieci pływających w wielkich dzbanach z formaliną, ustawionych pod konarami sosen; nagie, opuchnięte dziecięce ciała w żółtawym płynie. Jednym z tych dzieci był Tyler, z wytrzeszczonymi oczyma, odbijającymi świąteczne światełka.

* * *

Trumnę z ciałem Tylera wystawiono na widok publiczny we wtorek. Ponieważ jedyne dom pogrzebowy w Black Spring znajdował się przy domu spokojnej starości Roseburgh, wybrali na ceremonię słoneczną werandę na tyłach baru Quiet Man. Tyler lubił chodzić tam z kolegami na piwo korzenne, a barman powiedział Steve’owi ze łzami w oczach, że zawsze był mile widzianym, sympatycznym klientem.

Chaos w głowie Jocelyn sięgnął zenitu w poniedziałkowe popołudnie. Zaczęła sobie wyobrażać, że żadne z ostatnich strasznych wydarzeń nie miało miejsca i co chwilę dopadały ją ataki paniki. Steve znalazł ją przy limbo, gdzie jeden po drugim wyczesywała frędzle z dywanu. Doktor Stanton zapisał jej wieczorem leki przeciwpsychotyczne i w końcu uspokoiła się, zasnęła po raz pierwszy od piątku, co można było uznać za jakiś postęp.

Pete naciskał na Steve'a, żeby zainteresował się tymi członkami rodziny, którzy wciąż żyli, a Steve w głębi serca wiedział, że jego przyjaciel ma rację. Jocelyn była w stanie totalnego załamania, a stan zdrowia Matta nie poprawiał się. Chociaż transplantacja rogówki okazała się sukcesem, nie można było dostrzec żadnego sygnału, że chłopiec wie, co się wokół niego dzieje. A jednak Steve nie był w stanie poświęcić młodszemu synowi i żonie uwagi, jakiej potrzebowali i na jaką prawdopodobnie zasługiwali; jego myśli bezustannie krążyły wokół Tylera.

Wcześniej tego ranka Tylera przywieziono do Quiet Mana w jasnej, nowoczesnej trumnie ze sklejki. Steve i Jocelyn już tam byli i spędzili z synem kilka chwil w samotności, zanim trumnę zamknięto. Tylera ubrano tak, jak zdecydowali rodzice, w dżinsy, białą koszulkę z dekoltem w szpic i rozpinany sweter — tak właśnie ubierał się najczęściej za życia. Specjaliści od zwłok, którzy przygotowali jego ciało, wykonali naprawdę doskonałą robotę. Zniknęły nawet otarcia po sznurze, które przecież powinny być widoczne, czego bardzo bał się Steve.

Był taki piękny. Jego syn. Jego Tyler.

Wyglądał, jakby spał. Taki spokojny. Taki żywy. Steve'a ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że Tyler naprawdę jedynie śpi i czeka na moment, kiedy będzie mógł otworzyć oczy, przeciągnie się, a potem wyjdzie z trumny. Jednak delikatny warkot generatora, który chłodził jego posłanie w trumnie, niszczył tę iluzję. Ciało Tylera już się w środku rozkładało i tego procesu nie można było powstrzymać, a jedynie trochę spowolnić.

Przyszła Laurie. Jej rodzice nie mogli zwolnić się z pracy na czuwanie przy trumnie, powiedziała, ale będą na pogrzebie. Steve rozplakał się razem z nią przed barem, a potem wprowadził ją do środka.

— Czy mogę... mogę go dotknąć? — zapytała po chwili.

— Oczywiście, kochanie — odparł Steve.

Delikatnie ułożył rękę Tylera w jej dłoni, lecz ona szybko ją puściła, zapewne zdumiona, że jest tak bardzo zimna i sztywna.

No cóż, tak to już w życiu jest, pomyślał Steve. Możesz go już puścić. Przez jakiś czas będziesz cierpieła, ale życie potoczy się dalej. Latem znajdziesz sobie nowego chłopaka, a Tyler będzie dla ciebie jedynie stopniowo zanikającym, bolesnym wspomnieniem.

— W ogóle tego nie rozumiem — mówiła Laurie przez łzy, rękawem

ocierając oczy.

Steve poczuł nagle jakby wyładowanie elektryczne w pomieszczeniu, kierujące się prosto na niego. Właśnie teraz nadeszła chwila, aby zapytać dziewczynę, czy nie zauważyła w zachowaniu Tylera niczego niezwykłego... czegoś, co wyjaśniałoby jego niespodziewane samobójstwo. Zdawał sobie sprawę, że Laurie spodziewa się takiego pytania i dziwi się, że jeszcze go nie usłyszała. Ale Steve nie potrafił go zadać. Nie, na tę szaradę przyjdzie czas później i na pewno nie przy zwłokach Tylera.

— Ani ja, Laurie — powiedział w końcu, drżąc.

Wreszcie przy trumnie stanęli wszyscy inni. Śmierć Tylera niczym bomba wstrząsnęła społecznością Black Spring i najbliższych okolic. Tego poranka na werandzie Quiet Mana rykoszetem odbijało się od wszystkich ścian przedziwne napięcie. To było coś więcej niż wspólna żałoba zgromadzonych ludzi: to były czołowe zderzenia mieszkańców Black Spring z ludźmi z zewnątrz, ludzi, którzy wiedzieli, z ludźmi, którzy nie wiedzieli. Nawet optymistyczne piosenki grupy Owl City — ulubionej formacji Tylera — nie mogły zmniejszyć tego napięcia. Można było odnieść wrażenie, że tego poranka granica miasta przebiega w poprzek knajpki i ci, którzy stoją po jednej stronie tej granicy, stronią od tych z drugiej strony. Mieszkańcy Black Spring byli jak skamieniali. Tylera dotknęła przecież Katherine, a na nich ciążyło przekleństwo wiedźmy. Spoglądali na ciało chłopaka jedynie ukradkiem, przystawali przed trumną w odległości przynajmniej jednego metra, wykonywali znak krzyża, a potem sobie tylko znane gesty, które miały chronić ich przed złym spojrzeniem wiedźmy. Kiedy wracali z werandy do głównej sali Quiet Mana, czuli wielką ulgę. Absurdalne zachowanie; Steve był zniesmaczony. Gdyby Tylera nie lubiano w mieście tak powszechnie, większość z tych ludzi nawet nie zebrałaby się na odwagę i nie przyszłaby tutaj, żeby go po raz ostatni pożegnać.

W połowie ceremonii wziął Jocelyn na bok. Była blada jak płótno i sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się załamać. Policzki miała obwisłe, a jej ręce drżały.

— Dasz radę? — zapytał Steve cichym głosem.

— Nie wiem, Steve. Jeśli usłyszę od kogoś kolejny banał o moim synu, chyba zacznę krzyczeć.

Bez wątpienia ciążyły jej wszystkie kondolencje, wszystkie jedynie rozdrapywały jej rany, coraz głębiej i głębiej. Miała dosyć bezsensownych zapewnien typu „czas leczy rany” czy „życie nie zawsze jest sprawiedliwe”, niezbyt zachęcających obietnic, że „po siedmiu chudych latach nastąpi siedem lat obfitości” oraz banalnych stwierdzeń, że „ludzie przychodzą i odchodzą”.

— Co oni właściwie chcą mi powiedzieć, na miłość boską? — zapytała Jocelyn, mocno już zdenerwowana. — Czy oni wszyscy myślą, że będę się do nich

uśmiechać, cieszyć i odpowiadać: „Och, dziękuję pani, naprawdę nie wiedziałam. Wnioskuje z pani słów, że śmierć mojego syna wcale nie jest wielką tragedią, prawda?”.

— Uspokój się — powiedział Steve i przytulił ją.

Jocelyn znowu zaczęła płakać, a kiedy Mary zobaczyła, że jest w bardzo złym stanie, z pewnym wahaniem, ale się nią zajęła. Steve chciał okazać jej wdzięczność, Mary jednak wbiła wzrok w ziemię, mając mu wyraźnie za złe, że nie potrafi zaopiekować się żoną. W takich sytuacjach nikt nie jest doskonały, uznał Steve.

Griselda Holst przysłała z wielkim pierogiem nadziewanym mięsem. Steve nie wiedział, co z nim zrobić, nie miał jednak serca odmawiać przyjęcia daru. Dopóki nie odebrał go od niego Pete, stał z nim przed trumną jak gamoń.

— Naprawdę strasznie wam współczuję — powiedziała Griselda, lekko dotykając ramienia Steve’a.

— Dziękuję, że pani przysłała — odparł Steve chłodno.

— Każdego wieczoru modłę się za waszego drugiego syna. — Rozejrzała się i dodała przyciszonym głosem: — Nie rozumiem, dlaczego Katherine robi coś takiego. Przecież on chciał jej pomóc, prawda? Wszyscy wiedzieliśmy, że jest po jej stronie.

Steve nie wiedział, co odpowiedzieć. Wspomnienie o stronach uznał za absurdałne.

— Dziękuję, pani Holst. Jak się ma Jaydon?

Pani Holst nerwowo wbiła wzrok w podłogę.

— Nie za dobrze. Ale dojdzie do siebie.

— Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło. Chcę, żeby pani wiedziała, że głosowałem przeciwko, byłem przeciwny tak okrutnemu potraktowaniu Jaydona i pozostałych chłopców.

— Miło mi to słyszeć. Nigdy nie żywiłam do pana żadnej urazy.

Urazy do mnie? — chciał zapytać Steve, ale nagle zrozumiał, i na krótką chwilę niczym pocisk przez jego mózg przemknęła fala paraliżującego strachu... ale zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, niczym fala pływowa, która odkryła coś na brzegu, a potem znów to przykryła. Steve próbował zidentyfikować źródło strachu, jednak szybko zrezygnował. Ci wszyscy ludzie. Te wszystkie słowa. Ile bólu potrafi znieść człowiek? Dlaczego to wszystko wydaje się zupełnie bez znaczenia? Nagle, tu i teraz, żal po stracie syna spadł na niego jeszcze mocniej niż do tej pory i zrozumiał, że gotów byłby uczynić wszystko, dosłownie wszystko w świecie, żeby to się nie wydarzyło, żeby cofnąć czas o tydzień i spędzić razem z synem te kilka ostatnich dni, nie odstępując go ani na krok, byleby nie dopuścić do tego, co się z nim stało.

Prawdopodobnie byłby to koniec wszystkiego: tego głębokiego osobistego

smutku, który kaleczyłby ich życie jeszcze przez długi czas, ale w końcu przerodziłby się w coś do zniesienia, aż w końcu stałby się jedynie wspomnieniem. I prawdopodobnie nadszedłby dzień, w którym jako rodzina zdołaliby podjąć życie na nowo, bez Tylera. Ale Griselda Holst musiała być pierwszą osobą, która głośno wypowiedziała imię wiedźmy, Steve przeniósł więc swoje rozgoryczenie na Katherine van Wyler. Myślał tylko o jednym: Dlaczego? Dlaczego ktoś nosi w sobie tyle złości, że zmusza niewinnych rodziców do tak ogromnego cierpienia? Żona rzeźnika mogła sobie być do pewnego stopnia ekscentryczką, ale miała rację: Tyler był po jej stronie, do jasnej cholery. Chciał ją chronić przed tymi sukinsynami, którzy zaczęli w nią rzucać kamieniami. Chciał jej pomóc; czyż nie mogła okazać mu litości? W końcu to sama Katherine została zmuszona do zabicia własnego syna, zmartwychwstałego syna, dlaczego więc...

To go uderzyło jak ciężki piach z osuwiska. Przed oczyma Steve'a bar zaczął się przewracać, a ludzie w czerni znikać z jego pola widzenia. Jakby z wielkiej odległości usłyszał, jak Griselda Holst mówi: „On po prostu chciał jej pomóc, prawda? Przecież wszyscy widzieliśmy, że był po jej stronie”.

Co mówił Pete VanderMeer w nocy, kiedy zaznajamiano z sytuacją Delarosów?

„W październiku 1664 roku dziewięcioletni syn Katherine zmarł na czarną ospę. Świadkowie zeznawali, że widzieli ją, jak ubrana w kompletny strój żałobny zakopuje jego zwłoki w lesie. Ale kilka dni później ludzie zobaczyli chłopca, jak spaceruje ulicami New Beeck, jakby Katherine przywróciła go do życia niczym Jezus Łazarza”.

„On po prostu chciał jej pomóc, prawda?”

„Jeśli wskreszenie kogoś z martwych nie jest ostatecznym i najmocniejszym dowodem, że ktoś ma do czynienia ze sprawami obcymi zwykłemu śmiertelnikowi, to cóż nim jest?”

„Po torturach przyznała się, ale one wszystkie wówczas się przyznawały”.

„Po torturach przyznała się”.

„On po prostu chciał jej pomóc, prawda?” „Wskreszenie kogoś z martwych...”

Dreszcz prymitywnego zrozumienia przebiegł przez kręgosłup Steve'a i usłyszał z oddali warczenie psa w tę zimną listopadową noc, zaledwie półtora miesiąca temu, psa, którego warczenie bardzo przypominało Fletchera.

Tyler został pochowany we wtorkowy poranek na cmentarzu za kościołem Matki Boskiej, większym spośród dwóch cmentarzy znajdujących się w Black Spring. Pogoda była ponura, a tłum żałobników powitało smętne grudniowe słońce. Dwoma osobami, które uczestniczyły tylko w części ceremonii — każde miało

własny powód — byli Robert Grim i Griselda Holst.

W czasie mszy pogrzebowej Griselda siedziała w kościele w ostatniej ławce. Teraz weszła na wzniesienie na skraju cmentarza, za tłumem, który zgromadził się na ścieżkach i pomiędzy grobami aż po samą cmentarną bramę z kutego żelaza. Nie ośmieliła się wejść między ludzi. Od procesu i tortur Jaydona traktowali ją jak wygnańca. Mieszkańcy miasta unikali jej jak zarazy. Black Spring nigdy w pełni nie podniosło się z traumy po piętnastym listopada. Ludzie po prostu nie wiedzieli, jak po tym wszystkim odnosić się do siebie nawzajem. Dla wielu okrutne, przerażające widowisko na skrzyżowaniu dróg było takim wstrząsem, że dosłownie powymazywali je z pamięci. Na ulicach wymieniali jedynie zdawkowe pozdrowienia i ani słowem nie wspominali o tym, co się wydarzyło. Każdy nosił na twarzy ten sam wstyd, każdy miał w sobie poczucie winy za tę niegodziwość.

Od tego dnia z końca listopada, gdy Griselda ponownie otworzyła swój sklep, powszechnie unikano Butchery & Delicacies. Klienci pojawiali się u niej z rzadka, było ich zbyt mało, aby sprzedaż mogła pokryć jej koszty, i Griselda zaczęła się martwić o przyszłość. O ironio, jeszcze lepiej zrozumiała teraz, jak biedna musiała się czuć Katherine. Katherine także była wyrzutkiem, robakiem społeczeństwa. Griselda głęboko w sercu czuła, że są pokrewnymi duszami, ale odkąd usunięto ją z Rady, nie ośmielała się już z nią kontaktować. Ogromnie za nią tęskniła, jednak bała się, że dostrzegą ją kamery bezpieczeństwa. A najbardziej ze wszystkiego bała się gniewu Katherine.

Matka Tylera Granta, ubrana w czarny płaszcz, wyglądała w oczach Griseldy, jakby w ciągu sześciu dni postarzała się o sześć lat. Wspierał ją ojciec, sympatyczny przyjezdny w wieku około siedemdziesięciu lat. Bezustannie rozglądała się wokół z niedowierzaniem, jakby chciała się upewnić, że jej młodszego syna naprawdę nie ma na pogrzebie brata. Biedny chłopak leżał w szpitalu w Newburghu; ogromna tragedia. Plotki głosiły, że popadł w psychozę, z której już nigdy nie wyjdzie. Steve Grant stał obok żony, jednak Griseldzie nie umknęło, że w czasie całej ceremonii nawet na moment jej nie dotknął. Sprawiał wrażenie zagubionego i jakby opętanego, wrażenie człowieka, który nie był już w stanie rozpoznawać rzeczywistości.

Rodzina Grantów nie była religijna, ale z powodu wstrząsu, jaki śmierć Tylera wywołała w całej społeczności, pastor zgodził się powiedzieć na pogrzebie kilka słów... dyskretnych, jak zawsze, kiedy słuchali obcy. Griselda omiotła wzrokiem tłum. Szokiem był dla niej widok Coltona Mathersa, skrytego w cieniu krucyfiksu tuż przy żelaznej bramie. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, była blada jak marmur, a starcze dłonie, poprzecinane grubymi niebieskimi żyłami, trzymał głęboko w kieszeniach płaszcza. Na jego widok Griselda poczuła przypływ zimnej nienawiści; to przecież on w jednej chwili porzucił ją jak tonę cegieł. Bolało ją to bardziej niż ostracyzm, jaki okazywali jej wszyscy inni.

Była pariasem. Ona, Griselda Holst, która wykonała całą brudną robotę przy Arthurze Rocie i której łączność z Katherine przez te wszystkie lata zapobiegła czemuś — właśnie czemuś takiemu.

Griselda przycisnęła chusteczkę do nosa. Opuszczając z wściekłością cmentarz, energicznie się wysmarkała.

* * *

Tuż za bramą niemal wpadła na Roberta Grima i skłęła go za to, że nie uważa, gdzie stawia nogi. Nic dziwnego, że wcześniej go nie rozpoznała, ponieważ Grim był zaledwie cieniem człowieka, jakim był jeszcze niedawno — a konkretnie do piątkowego wieczoru. Był otulony grubym skafandrem, a w jego oczach nie można było dostrzec nawet śladu zuchwałego cynizmu sprzed zaledwie kilku dni. Twarz miał wykrzywioną i drżącymi palcami wsuwał co chwilę papierosa do ust; porzucił palenie dwadzieścia lat temu, ale wrócił do nałogu w sobotę rano.

Palił przede wszystkim dlatego, żeby usunąć z pamięci odór.

Zły, mroczny odór wiedźmy.

Grim ukrył to przed współpracownikami i zmusił się, żeby nadal wykonywać swoje obowiązki, prawda była jednak taka, że przeżył załamanie nerwowe. Celowy atak Katherine potwierdził jego przeczucia. Wewnętrzny głos, który ostrzegał go przed nadchodzącą burzą, teraz brzmiał mocniej, nie był nieśmiałą zapowiedzią zła, ale kategorię, obsesyjnym wołaniem, zapowiadającym wielką tragedię. Mieszkańcy Black Spring zgromadzeni na pogrzebie również zdawali się to czuć. Bez żadnego szczególnego powodu wznosili spojrzenia ku niebu albo rozglądali się pomiędzy grobami, pragnąc jak najszybciej powrócić do domów i do złudnego bezpieczeństwa pomieszczeń za zaryglowanymi drzwiami. Byli chorzy ze strachu i chory ze strachu był również Robert Grim. Gdyby mógł od tego wszystkiego uciec, na pewno by to uczynił. Ale z Black Spring nie było ucieczki. Poza tym wciąż był człowiekiem bardzo odpowiedzialnym. Miał nadzieję, że potrafi zawsze być o krok przed wiedźmą.

Grim odwrócił wzrok od cmentarza i popatrzył na parkujące samochody obcych, ustawione w niekończącym się melancholijnym rzędzie, który miał początek na rynku miejskim i ciągnął się wzdłuż Lower Reservoir Road aż po samo wzgórze. Prawą rękę nerwowo zaciskał na telefonie komórkowym, czekając na złe wiadomości. Katherine znajdowała się w lesie, jakiś kilometr na zachód, a cały personel HEX-a trwał w pogotowiu, gotów wkroczyć do akcji, gdyby wymagała tego sytuacja. Wolontariusze zajęli stanowiska dookoła cmentarza na wypadek, gdyby wiedźma zechciała pojawić się właśnie tutaj, okazując wyjątkowy brak empatii. Grim właściwie spodziewał się, że to nastąpi. I co wtedy? — rozmyślał. Jeśli planuje przedstawienie, będziemy musieli tańczyć do jej muzyki jak pieprzone marionetki.

Jego palce zastygły na telefonie. Katherine zaatakowała go w chwili, kiedy zaczęło mu świtać w głowie, że wszystkie tragiczne wydarzenia są częścią jakiegoś wcześniej przygotowanego planu. Czy to mógł być przypadek?

Och, Robert, daj spokój.

Lecz jeśli ona to wszystko starannie obmyśliła? Co to znaczyło? Ach, gdyby tylko mógł dostrzec, co jest istotą tego małego kręgu powiązanych wydarzeń, łańcucha sytuacji, które następują po sobie nieuchronnie, jedna po drugiej... gdyby tylko, na Boga, był dość silny, żeby ten łańcuch przeciąć.

* * *

Trochę dalej Griselda Holst zmierzała już z powrotem do sklepu, pochylając się dla osłony przed wiatrem. Chciała zobaczyć, jak sobie radzi Jaydon. Doodletown złamało go i absolutnie nie chciał uczestniczyć w pogrzebie swojego byłego przyjaciela.

Od jego uwolnienia, niemal przed dwoma tygodniami, Griselda zaczęła się trochę bać — nie Jaydona, ale siebie samej. Pamiętała chwile na kanapie z synem tego wieczoru, kiedy przyprowadzono go do domu. Jaydon, który teraz poruszał się jak słabowity stary człowiek, przytulił się do niej jak dziecko i głowę położył na jej kolanach. Zasnął niemal natychmiast. Griselda głaskała go po głowie i cicho mu śpiewała. Była głęboko zdumiona swoim zachowaniem i czuła wewnętrzny konflikt: kołysała syna z wielką miłością, a przecież nie robiła tego od odejścia Jima... i to właśnie jej syn ukamienował Katherine. Jej Katherine. W tej samej chwili kochała go i nienawidziła.

Ostrożnie uniosła kołnierz koszulki Jaydona. Nie obudził się. Skrzywiła się, kiedy zobaczyła odrażającą paletę źle zagojonych ran i poniszczonej skórę na jego plecach. W trakcie nadzoru psychiatrzy mieli mu pomagać w wychodzeniu z traumy, ale Griselda wiedziała, że rany fizyczne pozostaną z nim na całe życie. Przez trzy samotne tygodnie lepiej lub gorzej starała się przygotować na jego uwolnienie, jednak na widok tych okropnych ran nie była gotowa: Wszyscy wiedzą, że je ma. Wszyscy ludzie wiedzą, co uczynił Jaydon. Ich przekleństwo pozostanie z nim na zawsze.

Griselda podniosła z podłogi haftowaną chusteczkę, którą od pewnego czasu sama wyszywała, i zaczęła śpiewać kołysankę dla syna, mieszając miłość z nienawiścią: „Toczą się koła autobusu, i toczą, i toczą, i toczą...”

Wbiła igłę w materiał i ucięła nitkę maleńkimi nożyczkami. Za każdym razem, kiedy jej ręka przez chwilę była wolna, głaskała włosy Jaydona.

„A autobus trąbi, trąbi, trąbi, trąbi, trąbi, trąbi...”

Nagle Griselda przestała wyszywać i uniosła głowę, zaskoczona. W jednej ręce trzymała nożyczki, a drugą wciąż głaskała Jaydona.

„Dzieci w autobusie są grzeczne, grzeczne, grzeczne, grzeczne, grzeczne,

grzeczne...”

Miłość i nienawiść, miłość i nienawiść.

„Mamy w autobusie... są...”

Nagle Griselda zapragnęła wbić nożyczki w gardło Jaydona, tuż pod rytmicznie poruszające się w górę i w dół jabłko Adama. Było to całkiem naturalne pragnienie, zrodzone nie z nienawiści, lecz z miłości.

Byłby to akt wyrwania go z niedoli. Przed Jaydonem nie było już życia w tym mieście, a dla tego życia nie miał przecież żadnej alternatywy. Czyż Griselda nie miała prawa nadać temu życiu wartości, w całości poświęcając je Katherine?

Griselda Holst, kobieta, której nigdy dotąd nie nawiedzały patetyczne myśli, pomyślała teraz: Moja krew rzucała w ciebie tymi strasznymi kamieniami. I ofiaruję ci moją krew. Tak samo jak ciebie zmuszono kiedyś do zamordowania własnej krwi.

Wstrzymawszy oddech, przycisnęła ostrza nożyczek do bladej skóry na gardle Jaydona.

Ciało bez protestu się im poddało.

Jaydon nie poruszył się.

Przez kilka kluczowych sekund próbowała sobie wyobrazić, jakie będzie jej życie bez Jaydona, życie, w którym nie będzie musiała ukrywać syna na zapleczu sklepu mięsnego niczym wstydliwego sekretu, życie bez napadów złości i agresji, bez nieustannych wysiłków, żeby zaskarbić sobie łaskę Katherine...

Ale Jaydon poruszył się w końcu we śnie i położył dłoń na jej udzie. Ten gest, ten rozbijający gest dziecka, instynktownie poszukującego wsparcia w matce, w jednej chwili przywołał ją do porządku. Jej serce mocno i gwałtownie zabiło w piersiach i wydawszy z siebie cichy, żalony jęk, odrzuciła nożyczki w kąt pokoju. Zaciśnęła usta i przez chwilę zmagala się z sobą, chcąc odzyskać pełną kontrolę nad własnymi myślami i czynami.

— Śpij, dzieciątko — powiedziała i znów zaczęła go głaskać. — Śpij spokojnie. Jesteś bezpieczny przy swojej mamusi. Masz tylko mamusię. Ale nikt już nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

Odniosła wrażenie, że słyszy odpowiedź Jaydona: Oni mi jeszcze zapłacą, mamo, za to, co zrobili.

Cóż, dzisiaj nie pochowano przecież Jaydona, lecz Tylera Granta. To tak, jakby Katherine dała Holstom znak, że im wybacza. I gdy Griselda Holst, z policzkami piekącymi od mrozu, wsuwała klucz do zamka w drzwiach swojego sklepu, rozmyślała: Tak, synu, zabiorę cię ze sobą do Katherine. Pokażę ci właściwą ścieżkę. My i Katherine staniemy przeciwko nim wszystkim.

Zadzwoił mały dzwonek i Griseldę od razu uderzył w nozdrza odór. Smród odrzucił ją. Przyłożyła rękę do ust, drugą ręką chwyciła framugę

i z niedowierzaniem popatrzyła w kierunku kontuaru z mięsem. Z trudem oddychała. W pierwszej chwili nie rozumiała, na co spogląda, skłonna przyjąć, że ktoś wyrzucił ze sklepu całe mięso i zastąpił je dziwnym, zakurzonym kocem ułożonym pod ladą. A potem dostrzegła, że na mięsie leży po prostu niebieskoszara glina, niczym gąbczasta tkanka na zainfekowanej ranie, brzydka, lecz doskonale widoczna w świetle docierającym z okna wystawowego. Całe mięso było zniszczone, upstrzone jajeczkami złożonymi przez muchy, tak jakby Griseldy nie było tutaj przez co najmniej tydzień, a nie zaledwie przez czterdzieści minut. Po mielonym mięsie pełzały blade glisty. Steki miały kolor płuc gruźlika. Klopsiki, które przygotowała dzisiaj rano, śmierdziały, jakby już od października gniły w grobie. Na gulaszu zalegał gruby żółtawy kożuch i chodziły po nim robaki.

To jest znak, pomyślała Griselda z przerażeniem. Och, dobry Boże, co się dzieje?

Na zewnątrz rozbrzmiały dzwony pogrzebowe, a dwadzieścia kilometrów dalej ślepe oczy Matta niespodziewanie otworzyły się pod bandażami. A kiedy podbiegła do niego pielęgniarka, żeby zobaczyć, co się dzieje, Matt zawołał:

— Nie róbcie tego! Nie róbcie! Nie pozwólcie, żeby otworzył jej oczy! Mamo! Tato! Nie pozwólcie mu, żeby otworzył jej oczy!

27

Po pogrzebie Jocelyn oświadczyła, że chce razem z ojcem pojechać do Szpitala Świętego Łukasza i być z Mattem. Następnego dnia mijał pierwszy tydzień jego pobytu w Newburghu. Gdy po południu wszyscy wrócili już do domów — kondolencje zdawały się nie mieć końca — Jolceyn powiedziała Steve'owi, że jeśli przez kolejny tydzień nie nastąpi u Matta poprawa, trzeba będzie rozważyć zabranie go z powrotem do Black Spring... zanim jej wpływ na młodszego syna stanie się zbyt silny.

Steve pokiwał obojętnie głową i powiedział, że ma jeszcze parę spraw do załatwienia z właścicielem domu pogrzebowego, lecz później do Newburgha przyjedzie. Tymczasem rozmyślał: I znowu to samo. Twój młodszemu syn. Teraz jest twoim jedynym synem, nie zapominaj.

W czarnym garniturze, jednak z rozpiętym kołnierzem koszuli i z luźno wiszącym krawatem poszedł na skraj podwórza, gdzie znajdował się grób Fletchera. Prawdziwym powodem, dla którego nie zamierzał jeszcze jechać do szpitala, było to, że chciał pozostać sam ze swoim bólem. Jakaś uporczywa część jego umysłu odmawiała zaakceptowania faktu, że pozostał mu tylko jeden syn, odmawiała uznania, że Tylera już nie ma. Obecność na pogrzebie tak wielu znajomych w pewnym sensie wymusiła na nim chwilowe zapomnienie o własnej desperacji, jednak później powróciła ona ze zdwojoną siłą. Próbowwała odmienić rzeczywistość i urządziła sobie tańce z jego duszą za każdym razem, kiedy chciał

się oswajać z faktami. Spowodowała krótkie spięcie, z powodu którego oddalił się nie tylko od rodziny, ale także od siebie samego. Mimo swej boleści zdawał sobie sprawę, że odcinając się od wszystkiego, przystępuje do niebezpiecznej gry. We wtorek, po zamknięciu trumny, przez krótką chwilę — za to w pełni świadomie — zastanawiał się nad popełnieniem samobójstwa jako logicznym podsumowaniem ogromnego bólu. Ale wydało mu się to głupie, uznał samobójstwo za bezsens, za nadmierną reakcję na nieszczęście, które go spotkało.

Steve Grant nie wierzył w życie pozagrobowe, zatem samobójstwo nie mogło go doprowadzić do Tylera.

Było przenikliwie zimno. Światło dzienne w lesie miało nieprzyjazną barwę. Wiele lat temu, zanim wybudowali wybieg dla koni, mały Tyler spędzał gorące miesiące, wykonując tutaj koziołki na trampolinie, ze ślepą wiarą, że nigdy z niej nie spadnie, tak jakby martwienie się o przyszłość w ogóle nie leżało w jego naturze. Steve pamiętał, że Jocelyn trochę się obawiała tych jego wyczynów, tym bardziej że pod trampoliną znajdował się spory dół. Bała się, że któregoś dnia pięknie jedna ze sprężyn, Tyler spadnie na ziemię i złamie nogę. Później usunęli trampolinę, jednak dziura w ziemi pozostała: dziura oznaczała śmierć i w końcu go do siebie ściągnęła. Teraz leżał w takiej dziurze, ponad kilometr stąd, na cmentarzu przy kościele Matki Boskiej, i miał tam już pozostać na zawsze.

Steve ukląkł przy grobie Fletchera i wyszeptał:

— Cześć, chłopaku. Dobrze opiekuj się Tylerem. Wiem, że byłeś gotów oddać za niego życie. Ja też.

Niespodziewanie usłyszał głos Tylera: „Fletcher nie żyje, Matt. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby nasz pies wył w taki sposób?”.

„Nie, ale przecież on nigdy dotąd nie był martwy”.

Steve poczuł, jak zimny dreszcz przenika całe jego ciało. Tamtego wieczoru uznał, że to bzdury, że martwy pies nie może warczeć ani skowyczeć, lecz jednak się pomylił, prawda? Fletcher był martwy, ale tej nocy, kiedy cała rodzina usłyszała go, jak wyje z głębi lasu, wcale martwy nie był. Na tę noc Katherine przywróciła go do życia.

Nie. Nie wierzymy w takie rzeczy.

Steve zadrzał i pomyślał: „Kiedy przestałem wierzyć w czarownice, nadal tak robiłem, traktując to jako doskonałe ćwiczenie na zachowanie równowagi”.

Ktoś odchrząknął za jego plecami i Steve odwrócił się ze zdziwieniem. To był Lawrence. Był bardzo smutny, a garnitur pogrzebowy, którego jeszcze nie zdjął, zupełnie do niego nie pasował.

— Przepraszam. Nie zamierzałem pana przestraszyć.

— Nie ma problemu, Lawrence. Co u ciebie? Dobrze się czujesz?

Chłopak wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to, czy on dobrze się czuje, nie ma najmniejszego znaczenia.

— Chciałem podziękować panu za wszystko. Że nas pan nie wsypał. Tylera i mnie.

— Nie ma sprawy.

Lawrence podszedł bliżej i stanął obok Steve'a przed grobem.

— On miał bzika na punkcie Fletchera, wie pan. Być może... gdyby Jaydon nie poszczuł jej tym pieprzonym psem... może to wszystko by się nie wydarzyło... Nie zasłużył na to, proszę pana...

Jego głos załamał się i po policzkach pociekły mu łzy. Steve poczuł, że coś eksplodowało w jego gardle.

Nie, Tyler na to nie zasłużył, nie on. Nie pozwól, aby kiedykolwiek zaginął w twojej pamięci, bo jeśli tak się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczysz. Jeśli będziesz cierpieć, pokochaj swój ból. Jeśli będzie cię trawił ogień, nie próbuj go gasić. Niech się pali, niech żyje. Tak, podtrzymuj go, podsycaj...

O, Jezu. To było już zbyt wiele. Ból był zbyt wielki, nie był w stanie go znieść. Bolała go każda komórka w ciele, każda komórka wołała z całej siły za Tylerem — żeby go zatrzymał, żeby powiedział mu, że go kocha. Oddałby dosłownie wszystko, żeby cofnąć to, co się wydarzyło. W życiu Tylera nie nastąpił żaden ekwilibrystyczny przełom, nie pojawiła się w nim kolejna piękna dziewczyna z miasta; zmarł w pętli, którą sam zadzierzgnął, przytomny, w pełni świadomy tego, co się działo, kiedy świat się od niego oddalał.

Z całą powściągliwością, na jaką potrafił się zdobyć, Steve powiedział:

— Może powinienes już pójść do domu, Lawrence?

Lawrence otarł łzy.

— Muszę panu coś powiedzieć. Jeśli nie zrobię tego teraz, nie zrobię już nigdy. Chodzi o Tylera.

Steve mocno zacisnął powieki i wziął głęboki oddech. Zadrżał, kiedy jego płuca wypełniło mroźne powietrze. Temu chłopakowi od sąsiadów zdawało się, że jest mu coś winien, i teraz, w chwili dla Steve'a najczarniejszej i najboleśniejszej, zamierzał zrzucić z siebie na niego jakiś ciężar. I Steve rozumiał, że będzie musiał przyjąć od chłopaka to gorzkie lekarstwo i wypić je do ostatniej kropli.

— O co chodzi? — zapytał tępym głosem.

— Tyler nigdy nie uczyniłby czegoś takiego sam z siebie. On na pewno usłyszał jej szept. Nie ma innej możliwości. Ale Tyler nigdy nie był wobec niej podły. Inni tacy byli, ale nie Tyler. Zawsze stawał w jej obronie. Od pierwszej chwili nie mieściło mi się w głowie, dlaczego zapragnęła się na nim zemścić czy w ogóle zrobić mu cokolwiek złego. I w końcu zdałem sobie sprawę, że to nie była ona.

Cisza.

— Co masz na myśli?

— Nagraliśmy jej szept. Poprosiliśmy chłopaka z Highland Falls, żeby go

wysłuchał. Chcieliśmy mieć pewność, że nie stanie mu się przez to żadna krzywda. Zakładam, że Tyler wymazał to nagranie, kiedy obaj poszliście do HEX-a. Ale, widzi pan... wykonaliśmy to nagranie telefonem Jaydona. Widziałem, jak Jaydon je wykasowuje, lecz przecież możliwe jest, że tylko wtedy udawał. Pomyślałem: nie, przecież złapali tego palanta. Musieli natychmiast wymazać zawartość jego telefonu. Ale to był plik dźwiękowy. I to mnie przeraziło. Bo, widzi pan, dlaczego mieliby wymazywać z telefonu jego nagrania muzyczne? — Steve zrozumiał, do czego zmierza Lawrence, zanim chłopak to powiedział. — A więc, jeśli Jaydon wciąż ma to nagranie...

„Nigdy nie żywiłam do pana żadnej urazy”, usłyszał w głowie słowa Griseldy. Być może mówiła prawdę. Ale to nie miało już dla Steve’a znaczenia. W jednej przerażającej sekundzie wszystkie elementy układanki pojawiły się na właściwych miejscach. Szczeka mu opadła i nagle pomyślał o tym, co przyszło mu do głowy nad rzeką Hudson, kiedy oczyścili zawartość macbooka Tylera: że oszczędzając go, może nie robi dla niego nic dobrego.

Jeżeli sugestia Lawrence’a była zgodna z prawdą, wówczas Steve, pomimo swych dobrych intencji, był osobiście odpowiedzialny za śmierć syna.

Mimowolnie zacisnął pięści, przez chwilę podwórze niebezpiecznie falowało w jego oczach, jakby w każdej chwili miał zemdleć. Jego głowa pulsowała równie intensywnie jak serce, gdyż odpłynęła z niej krew. Słyszał jakby z oddali słowa Lawrence’a:

— Może coś pan znajdzie na jego laptopie? Wiem, że opisywał większość tego, co robił, nawet jeśli nie zamieszczał tego w sieci. Może coś napisał... w swoje ostatnie dni.

Steve usłyszał własny głos:

— Nie znam jego hasła.

— Ale ja znam.

— Jakie to hasło?

— Data pańskich urodzin.

* * *

Dobiegł do muszli klozetowej w ostatniej chwili i gwałtownie zwymiotował ciasto z owocami oraz mdłą poranną kawę. Padł na kolana, kurczowo chwycił dłońmi klozet i na długo nad nim zastygł, z zamkniętymi oczami i głową ciężką od natłoku myśli. Podniósł się dopiero wtedy, gdy przestał odczuwać nudności. Poza ciastem i kawą w muszli klozetowej znalazła się tylko jego żółć; od wielu dni prawie nic nie jadł. Kiedy poczuł, że już jest z nim lepiej, splukał muszlę i podszedł do umywalki. Opłukał usta i zwilżył twarz. Następnie popatrzył w lustro, żeby ocenić skalę zniszczenia.

W jednej chwili znieruchomiał. Za łazienkowym oknem na parapecie

siedziała sowa o płowym upierzeniu. W drobnym, zakrzywionym dziobie ptak trzymał polną mysz. Mysz była już rozerwana na strzępy i z jej ciała strumieniem wydostawały się wnętrzności. Złotobrazowe, okrągłe oczy sowy wpatrywały się w niego zimno i trwało to, dopóki Steve nie uderzył w okno pięścią.

Sowa drgnęła, odrzuciła do tyłu łeb i w całości pożarła swoją ofiarę. Wtedy rozpostarła skrzydła i natychmiast zniknęła.

Ogarnięty pragnieniem, by jego syn wciąż żył, Steve powoli wszedł na schody, aby odkryć ostatnie fakty dotyczące jego śmierci.

W pokoju Tylera nic się nie zmieniło. Od ostatniego piątku Steve wszedł tutaj tylko po to, żeby wyciągnąć z szafy ubranie, w którym chłopaka pochowano. Natychmiast uderzyła go niezwykła atmosfera tego miejsca i wyraźny zapach, który Tyler pozostawił po sobie. Pościel na jego łóżku była pognieciona, krzesło odsunięte od biurka. Na biurku stał macbook; czekał tam, odkąd Tyler odszedł od jego ekranu w piątek i poszedł do stajni po linę. Steve spróbował sobie wyobrazić, czego Tyler doświadczał w ostatnich chwilach życia, jednak nie potrafił, ponieważ dopadły go inne wrażenia i wzbudziły w nim wielki niepokój. Cały pokój zdawał się naładowany energią, jakby w napięciu czekał na coś... tak jakby Tyler mógł wejść tutaj w każdej chwili i rozpocząć życie od momentu, w którym je przerwał, jak gdyby nic się nie stało.

„Kilka dni później ludzie zobaczyli chłopca, jak spaceruje ulicami New Beeck”.

Przygnębiony Steve usiadł przy biurku Tylera i otworzył komputer. Oczywiście wiedział, że hasło nie zadziała. Tyler otrzymał tego laptopa zaledwie dziewięć dni przed śmiercią jako wczesny prezent bożonarodzeniowy, ponieważ stary laptop prawdopodobnie był zainfekowany oprogramowaniem szpiegowskim. Naturalnie musiał wymyślić nowe hasło. A jednak Steve spróbował i wpisał datę swojego urodzenia... i komputer jednak ożył.

Na moment poczuł się nieswojo... jak intruz, jakby Tyler go nakrył i stał tuż za nim. Nagle usłyszał w głowie bardzo wyraźnie: „Miałeś mi pomóc, tato”. Steve ujrzał w wyobraźni twarz syna, jednak wyglądała zupełnie inaczej, niż ją pamiętał. Nie mógłby jasno powiedzieć, na czym polegała różnica... ale śmierć mocno chłopca zmieniła. „Miałeś mi pomóc”, powtórzył głosem smutnym i pełnym wyrzutu. „Nic złego nie miało mi się stać, a przecież nie żyję. Jak mogłeś na to pozwolić?”

Obarczenie wszelką odpowiedzialnością Jaydona Holsta było pójściem na łatwiznę. Jak mocne były nasiona nienawiści, które Steve zasiał w sercu chłopaka, torturowanego na oczach całego miasta tak okrutnie, że prawie umarł — wszystko dlatego, że Steve próbował chronić syna? Jakże mógł się okazać aż takim głupcem?

Jednak Steve wiedział, że w jego wydaniu to wcale nie była głupota. Zrobił to z miłości. Ale czy miłość i głupota nie są właściwie tym samym?

Przepraszam, Tyler. Tak ogromnie cię przepraszam...

Pograżając się jeszcze bardziej w destrukcyjnej sieci, jaką roztaczało wokół niego poczucie winy, Steve przeszukiwał komputer syna. Jego nadzieja wkrótce się rozviała: natrafił na niewiele informacji. Otwierał dokumenty tekstowe i sprawdzał historię przeglądarki. Obejrzał ostatnie wideoblogi na kanale Tylera, na YouTube, i aż krzyknął, kiedy TylerFlow95 ukazało go żywego i roześmianego. Karta pamięci GoPro była pusta; znalazł na niej jedynie kilka starych fotografii.

Wciąż podtrzymując w sobie słabą nadzieję, Steve zaczął w końcu przeglądać pliki MP4 na zewnętrznym dysku Tylera. W połowie tej pracy natknął się na coś, na co w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi... ale co wkrótce zmroziło go do szpiku kości.

* * *

Nagranie wideo. Oczywiście, to jest nagranie wideo, ponieważ Tyler właśnie tak się komunikował. W pierwszej chwili Steve nie rozumie, co ogląda, ponieważ na ekranie widać zielonoczną ciemność i słyszy jedynie, że ktoś się potyka i szepcze coś niezrozumiałego. Ale po chwili ktoś wywołuje Fletchera i działa to tak, jakby nagle temperatura w pokoju spadła o dziesięć stopni. To Lawrence i Tyler, są w lesie, noc jest czarna, jakby wszystko działo się pod ziemią, i do Steve'a nagle dociera, co takiego krąży wokół chłopców w ciemności.

— To nie jest Fletcher — szepcze Lawrence — to jelen, lis albo jakiś pierdolony szop pracz, to może być cokolwiek. Mam wielką ochotę stąd spierdalać.

Gdy Steve wpatruje się w niewyraźne nagranie, przerażenie spada na niego jak chmara owadów i sprawia, że włosy stają mu dęba na głowie.

— Jezu, to on! — lamentuje Lawrence.

Tyler z kolei krzyczy:

— Fletcher!

Z rosnącym zaniepokojeniem, ledwie łączącym się z rzeczywistością, Steve wsłuchuje się w głosy z przeszłości. Na ekranie widzi tylko, jak promień latarki Tylera wyłania z mroku pnie drzew. Nie zdaje sobie sprawy, że jego poczucie rzeczywistości kołysze się jak linoskoczek przechodzący nad niebezpiecznym morzem szaleństwa, umyka mu zdolność do racjonalnego myślenia, a z głębi serca dociera do niego złowieszczą myśl i zaczyna dominować nad umysłem: „Jutro wszyscy umrą”.

— Mówią, że Katherine wykradła swojego syna śmierci, prawda? — odzywa się Tyler. — Czyż nie za to została powieszona? Wierzysz w to? Wierzysz, że ona potrafi wskrzesić umarłego?

O Jezu Chryste! Myśli w głowie Steve'a niemal krzyczą. Jezu Chryste! On to mówi sam z siebie. Tyler to głośno mówi! Jaki jest sens temu zaprzeczać, ty głupi tchórzu? Jeśli Katherine potrafiła ożywić swojego syna... czy nie może oddać mi

również Tylera?

— Nie wiem — odpowiada Lawrence. — Ale nie sędzę, żeby w tym ciemnym lesie biegał teraz Fletcher, człowieku. Jeżeli to jest Fletcher, dlaczego jeszcze do nas nie podbiegł?

Teraz, gdy w końcu zrozumiał — wreszcie ogarnął myśl, która bezustannie plątała się po jego głowie od wtorku, gdy czuwał przy zwłokach Tylera — Steve ogląda resztę nagrania jakby we śnie. Blade palce zaciska na blacie biurka. To czyste szaleństwo, nienaukowe brednie, ale w tych dniach nauka wydaje się zjawiskiem z dalekiej przeszłości. Powoli gasnącym ogniem, który pozwalał mu trwać w nieracjonalnej wierze, że zachowuje Tylera przy życiu.

W głośnikach macbooka rozlega się krzyk i obraz na nagraniu zaczyna się trząść. Chłopcy w panice zbiegają ze wzgórza. Błyski światła i całkowita ciemność pojawiają się na zmianę w trakcie koszmarnej ucieczki. Ale w pewnym momencie tej ucieczki w mroku kamera nagle odwraca się i rejestruje coś, co całkowicie zmienia pogląd Steve'a na to, co jest normalne, a co nienormalne. Steve nie ma prawa wiedzieć, że spogląda na to samo, co jego syna prześladowało w koszmarach w ostatnim miesiącu życia. Nie wie też, że za oknem, przez które wszedł morderca jego syna i zmusił go do wysłuchania szeptu Katherine, trzy sowy usiadły na gałęzi i zaglądają prosto do pokoju. Steve myśli tylko o jednym: A więc to prawda. Och, dobry Boże, to jest prawda.

Czy to jest pies? W gruncie rzeczy Steve nie dałby sobie za to głowy uciąć, nie ma pewności nawet wtedy, gdy zatrzymuje nagranie. A jednak wszystko wskazuje, że jest to przynajmniej jakieś zwierzę. Niskie zwierzę. Czarno-białe. Coś błyszczący. Może to jego oko, a może obnażony biały ząb? Może sprzączka przy psiej obroży? Jeśli ktoś chce uwierzyć, że ta niewyraźna, zamazana sylwetka na nagraniu wideo to pies, to owszem, nagranie przedstawia psa.

A Steve chce wierzyć... jeśli to ma zwrócić mu Tylera, to wierzy z całego serca.

Wtedy jedna z sów uderza całym ciałem w okno i Steve z krzykiem zrywa się na równe nogi.

* * *

Szklane odłamki poleciały na biurko, a przezroczysta firana wyduła się, gdy do pokoju gwałtownie wleciało zimne grudniowe powietrze. Sowa padła na biurko pomiędzy fragmenty rozbitej szyby, zatrzepotała złamanym skrzydłem, zaczęła pohukiwać i spróbowała podnieść łepkę. Przez cały czas patrzyła złowrogo na Steve'a. W opóźnionej reakcji na gwałtowne zdarzenie Steve szeroko otworzył oczy. Dostrzegł inne sowy. Ale za oknem nie było ich już trzech; pojawiło się osiem albo dziewięć. Ich widok był tak nienaturalny, że dopiero po długiej sekundzie prawda przesiąkła do umysłu Steve'a: to ona.

Coś zablokowało mu tchawicę.

Steve złapał się za gardło i spróbował oddychać, jednak nie był w stanie nabrać do płuc ani odrobiny powietrza. Do jego uszu docierało jakieś przytłumione popiskiwanie. Oblał się zimnym potem. Zaczął się cofać, żeby wyjść do holu, ale jedynie zderzył się z drzwiami, odwrócił się i przyłożył dłonie do ust, chcąc w jakikolwiek sposób wtłoczyć powietrze do organizmu.

Nagle dom wypełniły odgłosy trzepotania skrzydłami. Ich źródła znajdowały się dosłownie wszędzie. Było to złowieszcze, potężne trzepotanie, jakby pod dachem domu zaczął latać cały klucz sów. Po chwili rozległ się głośny zgrzyt i głuchy łoskot, jakby teraz na dachu coś się przewróciło. Steve próbował krzyczeć, ale nie był w stanie; wciąż nie mógł nabrać powietrza. Jego twarz przybrała jaskrawoczerwoną barwę i z oczu popłynęły mu łzy.

Zdołał zejść na półpiętro, a potem zaczął się zsuwać po schodach i w końcu z nich spadł. Boleśnie uderzył głową o podłogę. Ostry ból przeszył jego szczęki i wywołał falę nudności, które zaczęły skręcać jego ciało. Mokry od potu, nagle zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie oddychać dlatego, że coś tkwi w jego gardle.

Ja się dławię...

Gdy podniósł się i przeszedł do jadalni, jego żołądek zanurkował, a przełyk zaczął działać w niekontrolowany sposób. Ciałem Steve'a wstrząsnęły konwulsje. Poczul, że się kręci, wiruje, wykonuje salta. To, co blokowało mu przełyk, wywoływało silne ukłucia, jakby od wewnątrz żądliły go osy, zgagę w żołądku i ohydne wrażenie, że ma w ustach pełno włosów. Dopadł go wielki atak bólu i Steve wypluł mnóstwo oślizgłej żółci oraz pukiel niestrawionych włosów wielkości śliwki. Pukiel potoczył się po jego języku i spadł na podłogę z głośnym plaśnięciem. I wreszcie, po długiej przerwie, tlen znów zaczął płynąć do jego płuc.

Z sercem bijącym jak szalone padł na kolana przed rzeczą, którą właśnie zwrócił. Steve mieszkał na skraju lasu od osiemnastu lat i natychmiast rozpoznał, co to jest: pisklę sowy. Jednak...

Jednak futro tego pisklęcia nie był szare jak futerko polnej myszy, a miało jasny kolor ludzkich włosów.

Były to włosy jak len, rozwichrzone i o takiej samej grubości jak włosy Tylera.

Jeśli wymiotujesz szczątkami własnego syna, pomyślał Steve z taką jasnością, że aż zachichotał, to znaczy, że jesteś na dobrej drodze, aby postradać zmysły. Zaniósł się wysokim, piskliwym śmiechem, przeraźliwym śmiechem szaleńca, który przez długi czas odbijał się od wszystkich ścian pustego domu.

Gdzieś w oddali, jakby we śnie, głos Pete'a VanderMeera odzywał się w jego głowie jak mantra: „Kiedy przestałem wierzyć w czarownice, nadal tak robiłem, traktując to jako doskonałe ćwiczenie na zachowanie równowagi”.

— Proszę — wyszeptał Steve głosem, który ledwo przypominał jego własny.

— Oddaj mi Tylera. Oddaj mi Tylera, a ja zrobię dla ciebie wszystko.

Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą zabłocone łachmany Katherine van Wyler.

28

Steve zaciągnął zasłony w oknach. Zahaczył udem o kanapę, a na środku pokoju potknął się o podłużną ławę. Jego ciało trzęsło się w niekontrolowany sposób. Na zewnątrz wiał porywisty wiatr. Ulice były puste... nie było nikogo, kto mógłby dostrzec, w jak krytycznym momencie Steve wygląda przez okno, jakby tylko gwiazdy zamierzały być świadkiem realizowania się jakiegoś mrocznego przeznaczenia.

Katherine van Wyler stała przy stole w jadalni. Jej postać unosiła się i opadała, tak jakby kręgosłup wiedźmy był straszliwie zdeformowany. Wstrętnie śmierdziała starym wiekiem i zgnilizną. Zgnilizna zabrała z jej twarzy wszelką powagę, jednak pod warstwą brudu, który się w nią wgryzł, coś zdawało się czekać. Bezustannie śledziła każdy ruch Steve'a. Oczy, skryte pod zaszytymi powiekami, przez cały czas koncentrowały się na nim — czuł jej wzrok każdą komórką swojego ciała. Zastanawiał się, czy znajduje się teraz pod wpływem hipnozy, czy jakiegoś zaklęcia dominującego nad jego wolą, jednak właściwie nic na to nie wskazywało. Gdyby zechciał, mógłby w każdej chwili wyjść z domu, wsiąść do samochodu i pojechać do Newburgha, do Jocelyn i do Matta. Przez krótką chwilę w gruncie rzeczy rozważał ten krok — kluczyki do samochodu, które czuł w kieszeni spodni, kusiły go.

Ale nawet teraz Steve wiedział, że wcale nie kieruje nim hipnoza, ale coś znacznie bardziej niebezpiecznego: to była miłość. Steve robił to, co nakazywało mu serce, które krwawiło z tęsknoty za Tylerem.

Stanął w otwartych rozsuwanych drzwiach, dławiąc się wszechogarniającym odorem śmierci. Katherine pokiwała głową. Był to jakby wymuszony, niemal zwierzęcy ruch, właściwie nieprzypominający w niczym ludzkiego odruchu. Wreszcie przyszła do domu Steve'a... jakąś częścią umysłu jakby wiedział, że to w końcu nastąpi, od chwili, kiedy w ostatni piątek znalazł Tylera martwego. Czuł wielki wewnętrzny przymus, żeby do niej podejść, jednak równie wielki był jego strach przed nią, wzmacniany wahaniem płynącym prosto z serca. Mój Boże, nad czym ty się zastanawiasz, Steve? Naprawdę chcesz przez to przechodzić?

Tak, pomyślał, naprawdę chcę przez to przejść... Ponieważ Katherine zapraszała go. Nie szeptała. Po prostu skinęła w kierunku ludzkich włosów, które pokrywały martwe pisklę sowy. A kiedy odwróciła się i ruszyła wprost przez kuchnię, Steve potulnie ruszył za nią.

Jej bose stopy pozostawiały brudne ślady błota na kafelkach podłogowych i Steve pomyślał: Gdyby zbadać to błoto w laboratorium, znalazłyby się w nim

osady i bakterie, jakich nie widziano w tej części świata od ponad trzystu lat.

Kiedy doszła do kuchennych drzwi, zatrzymała się i popatrzyła na Steve'a. Oczywiście... spodziewała się, że je przed nią otworzy. Sama nie mogła tego zrobić, ponieważ uniemożliwiały jej to żelazne łańcuchy, krępujące jej ciało. Gdy zbliżył się na niewielką odległość do jej odhumanizowanej postaci, zakreśliło mu się w głowie, jakby stanął na skraju otchłani — rozpadliny, do której Katherine go zapraszała. Nie oddychając, przycisnął się do framugi, przesunął dłoń po szybie w drzwiach, przekręcił klucz w zamku i dopiero wtedy nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Pchnął je, żeby stanęły szeroko otworem. Serce biło mu jak szalone. Powoli wycofał rękę...

...i przypadkowo otarł nią o dłoń wiedźmy.

O Jezu! Dotknąłem jej! Kurwa, dotknąłem jej!

Gotów był na to, że teraz wszystko się skończy, że zginie... a jednak nic się nie stało i trochę się uspokoił. Wiedźma powoli wyszła na werandę, a Steve za nią. Rąbki jej sukni zaczęły furkotać w porywistym, mroźnym wietrze.

Kiedy szli przez trawnik, nie rozejrzał się, nie zaciekawiał, czy ktoś ich obserwuje. Wiedział, że na trawnik rozciąga się doskonały widok z okna na piętrze domu VanderMeerów, ufał jednak, że jego sąsiedzi akurat nie wypatrują na zewnątrz. Zresztą, i tak nie miał na to wpływu.

W połowie drogi przez trawnik w kierunku stajni nagle zatrzymał się. Część jego skołowanego umysłu zdawała sobie sprawę, jaką drogą zmierza i dokąd ona prowadzi, próbowała go z niej ściągnąć, strasząc okropnościami, z którymi na pewno nie potrafiłby sobie poradzić. Poczul, jak coś pstryka pod jego gałkami ocznymi. Jego mięśnie ścięły się. Włosy dosłownie stanęły mu dęba, a dłoń, zaciśniętą w pięść, niemal wsadził sobie w całości do ust. Wszystko, czego się bał przez minione osiemnaście lat, teraz objawiało się wizją najstraszliwszych okropności. Z ogromnym trudem stłumił w sobie krzyk.

Odwróć się. Odwróć się! Wciąż możesz się cofnąć! Naprawdę wierzysz, że z tego wyniknie coś dobrego? Że nieznanne siły, jakie z twojego powodu powstaną, będą działać w twoim interesie? To jest szaleństwo.

Żadne szaleństwo, myślał. Miłość. Katherine pokazała mu, na czym polega niewypowiedziane cierpienie. Tylko dzięki cierpieniu możemy dokonywać wyborów, których źródłem jest miłość.

Najważniejsze pytanie brzmiało: czy naprawdę wierzył, że Katherine potrafi wskrzesić Tylera? Steve właściwie nie dysponował niczym, co usprawiedliwiłoby tę nadzieję, zaledwie trzystupięćdziesięcioletnią legendą, którą ożywiły ekstrawaganckie słowa Pete'a VanderMeera i niewyraźna czarno-biała plama na ekranie komputera. Nadziei przeczyła wszelka logika, była w gruncie rzeczy całkowicie niepoprawna.

A jednak wszystkie znaki wskazywały, że można przy niej trwać. Tyler

powiedział to głośno, kiedy przebywał w lesie z Lawrence'em, uciekając przed zjawą, która mogła być Fletcherem.

To miało cechy wiadomości.

„Pomóż mi, tato”.

Nagle rozwścieczył go każdy gram zdrowego rozsądku, próbującego zmusić go do porzucenia tego zamiaru. Nawet jeżeli miał jedną szansę na milion, musiał się jej trzymać.

Katherine weszła do stajni i pospieszył za nią. Jeszcze zanim wszedł do środka, usłyszał, że konie zaczynają szaleć. Pablo kopnął w ciężkie drewniane wrota swojego boksu i niemal wyrwał je z zawiasów. Nike parsknęła i prychnęła, jakby była wściekła lub nawiedzona. Po tym, jak konie uciekły ze stajni na początku listopada, Jocelyn zainstalowała w drzwiach ich boksów nowe zasuwki. Steve miał nadzieję, że wytrzymają nawet największy nacisk. Spróbował uspokoić konie, Pablo jednak stawał na tylnych nogach, wywracał ślepiami, kopał ściany z taką mocą, że Steve aż temu nie dowierzał. Dostyc tego, spadaj stąd, zanim sąsiedzi się zorientują.

Katherine czekała cierpliwie przy warsztacie na końcu stajni, nie zwracając na konie najmniejszej uwagi. Kiedy Steve zbliżył się do niej, napinając łańcuchy, wyciągnęła przed siebie ramiona tak daleko, jak tylko zdołała. Następnie skinęła głową w kierunku zakurzonego warsztatu. W pierwszej chwili Steve nie zrozumiał, o co jej chodzi. Na stole dostrzegł wiadro z jedzeniem dla koni i wyrzynarkę, a pod nią metalowe pudło z narzędziami.

Obok pudła leżały średnich rozmiarów szczypce do cięcia metalu.

Na pewno chcesz zaryzykować wszystko, co masz? — odezwały się w nim resztki zdrowego rozsądku. Kłudzisz na szali życie wszystkich ludzi... nie tylko ludzi z Black Spring, ale całej twojej rodziny. Życie żony, drugiego syna, swoje własne... po co? I to wszystko jedynie z powodu zjawy na ekranie. To nie jest miłość, to jest egoizm. Pomyśl o Matcie, pomyśl o Jocelyn! Oni żyją!

Ale wtedy usłyszał głos Tylera: „O *padre mio*, gdybyś musiał wybierać, kto za chwilę ma zginąć, to kogo byś wybrał: swojego syna czy pozostałych mieszkańców naszego miasta?”.

I z nagłym zimnym okrucieństwem pomyślał o czymś, co Matt powiedział, kiedy składał w ofierze swój porzecz, gdy palono wiedźmę w wigilię dnia Wszystkich Świętych: „Poza tym, kiedy poświęcisz coś, co nie ma dla ciebie znaczenia, czy jest sens o tym mówić?”.

Coś wyraźnie słyszalnego kliknęło w jego głowie: to padł w nim ostatni punkt oporu. Reszta jego życia — wszystko, poza najbardziej podstawowymi instynktami — zwinęła się w kłębek i zapadła w najgłębszej dziurze jego pamięci.

Steve podniósł szczypce do metalu i poczuł w dłoniach ich zimny ciężar. W dziwnym przypomnieniu, które nie miało już dla niego żadnego znaczenia,

ujrzał w wyobraźni, jak ostatniej wiosny rozcinał kłódkę zabezpieczającą rower Tylera — Tyler często gubił do niej klucze. Ostrza szczypiec potrafiły wgryzać się w najmocniejszą stal nierdzewną i Steve przypuszczał, że łażliwe, siedemnastowieczne żelazo, mocno skorodowane, nie będzie stanowiło dla nich problemu.

Katherine ponownie spróbowała rozłożyć ręce.

Drżącymi dłońmi Steve umieścił ostrza szczypiec na jednym z ogniw łańcucha. Z wielkiej odległości, nie rozpoznając go jako brzmienia swoich rozwrzeszczanych myśli, słyszał wściekły głos szaleństwa: Co-ja-robię-o-kurwa-co-ja-robię-co-ja-robię-CO-JA-ROBIĘ?

A potem szczypce się zacisnęły.

Z głośnym trzaskiem ogniwo łańcucha pękło i dwa jego luźne końce uderzyły w posadzkę stajni.

W każdym miejscu w Black Spring ludzie przerywali to, co akurat robili, i podnosili głowy, jakby usłyszeli odległy grzmot na niebie. Nagle odkładali pracę, przestawali gotować, zmywać naczynia i doświadczeni zbiorowego ataku zaniepokojenia, który wdzierał się w nich aż po kości. Nikt nie potrafił zidentyfikować jego źródła, wszyscy jednak instynktownie czuli, że coś jest cholernie nie w porządku.

Łańcuch trzeba było przeciąć jeszcze w trzech miejscach; dopiero wtedy Steve mógł w całości zdjąć go z wymizerowanego ciała wiedźmy.

Kiedy skończył, Katherine powoli uniosła martwe ręce do twarzy. Następnie skinęła na Steve'a, żeby do niej podszedł.

Poprowadziła go do domu. Za nimi konie, oszalałe ze strachu, rzucały się na ściany swoich boksów, jednak Steve ich nie słyszał. Nie widział też własnego odbicia, kiedy mijali z Katherine, jak dwa duchy, lustro w jadalni. Miało to swoją dobrą stronę, ponieważ gdyby zobaczył swoją twarz, prawdopodobnie zacząłby krzyczeć. Była to twarz niedołęznego starego człowieka, o oczach i ustach tak wykrzywionych, że wyglądały, jakby już nigdy nie miały się zamknąć.

W sypialni znalazł nożyczki do paznokci, należące do Jocelyn, i dwie pęsety.

Katherine z największą cierpliwością czekała na dole.

Kiedy znów stanął przed nią, wskazała na swoje usta.

Steve chciał się odezwać, jednak głos uwiązł mu w gardle. Nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego artykułowanego dźwięku. Ale odchrząknął i spróbował jeszcze raz:

— Oddaj mi Tylera.

Wiedźma wskazywała na swoje usta.

— Proszę cię. Przywróć go do życia, tak jak przywróciłaś do życia swojego syna.

Ten palec: mizerny, władczy, niewzruszony.

Steve wykonał polecenie.

Drżącymi palcami, jeden po drugim rozciął szwy, które zamykały usta Katherine.

Następnie pęsetą powyciągał kawałki nici z martwego ciała.

Kiedy zrobił krok do tyłu, okaleczone usta wiedźmy otworzyły się z cichym plaśnięciem. Katherine drgnęła i gwałtownie wciągnęła powietrze. Mieszkańców Black Spring znów uderzyła fala niepokoju, tym razem mocniejsza niż przed chwilą. Wszyscy szeroko otwierali oczy, na ulicach rozlegały się krzyki, ludzie patrzyli jedni na drugich z niedowierzaniem i myśleli: Na miłość boską... co się dzieje?

Nieświadom tego, co się dzieje na zewnątrz, Steve zaczął rozcinać szwy na lewym oku.

Kawałki nici spadały na podłogę, jeden po drugim.

Skończywszy, Steve zajął się prawym okiem.

Kiedy ukończył również to, wiedźma odwróciła się od niego z dłonią na oczach, w geście, którego celem było uchronienie wybawiciela przed nią samą. Jej twarz stężała, jakby dopadł ją przenikliwy ból, a ciało pochyliło się do przodu w nienaturalny sposób. Wolną ręką machnęła na Steve'a, nakazując mu, żeby odszedł, odszedł, odszedł, jak najdalej stąd.

A wtedy nowy szok zaatakował mieszkańców Black Spring, ale teraz jego źródło na pewno nie znajdowało się w nich samych; zdawał się docierać z samej ziemi. Na chwilę wszystko pociemniało w ich oczach. Ulice wypełnił wyraźnie słyszalny, niski dźwięk, tak jakby coś gigantycznego toczyło się w mroku ziemi pod ulicami miasta, sprawiając, że zaczął pękać asfalt i chwiać się las. Głębokim i donośnym dźwiękiem zabrzmiały dzwony Małego Kościoła Metodystów. Przy Rogu Ackermana owce Johna Blancharda wydostały się na wolność. Jaydon Holst, który akurat spał i któremu śnił się egzekutor bez twarzy kaleczący jego udręczone ciało, jęknął niespokojnie przez sen. W centrum kontroli HEX-a Robert Grim i Claire Hammer pobiegli w kierunku wielkiego ekranu, który zaczął migać i trzeszczeć. Po chwili w całym Black Spring zabrakło prądu. Rozległ się warkot generatorów awaryjnych, ale po chwili wszystkie przestały działać. Zgasły światełka na choinkach bożonarodzeniowych, które już stały w niektórych oknach.

Ale Black Spring nie było jedynym miejscem, na które spadła ciemność. Prądu zabrakło w Highlands i w dolinie rzeki Hudson, zabrakło go nawet przy drogach i w budynkach biurowych Manhattanu. Mieszkańców Black Spring, którzy w chwili, kiedy Katherine otworzyła oczy, przebywali poza granicami miasta, ogarnął niewypowiedziany, śmiertelny smutek, którego źródła żaden z nich nie potrafił zidentyfikować. Natychmiast w ich umysłach pojawiły się wizje, których nie byli w stanie opanować i które budziły w nich nieokiełznane pragnienie śmierci. Ci szczęściarze, którzy znajdowali się wystarczająco blisko domu,

stosunkowo szybko pojmowali, że siła, która zawsze wiązała ich z Black Spring, wzrosła do nieskończonej potęgi, i natychmiast udawali się z powrotem do miasta... byli jednak tacy, dla których ratunek przychodził zbyt późno, i oni wieszali się w schowkach na przybory do sprzątanania albo wjeżdżali swoimi samochodami w drzewa, przyciskając pedał gazu do samej podłogi.

W domu przy końcu Deep Hollow Road Steve gapił się z przerażeniem na nieludzką, zgarbioną postać, która wciąż zakrywała dłońmi swoje złe oczy. Znowu machnęła na niego, żeby sobie poszedł. Steve przez moment miał wrażenie, że jego nogi są nie z gumy nawet, ale z jakiegoś płynu, i nie był w stanie poruszać stopami. Lodowate igły wbijały się w jego szyję na samą myśl o otwartych oczach Katherine... i o tym, że w końcu jej spojrzenie padnie na niego.

Steve z krzykiem uciekł z domu. Pobiegł do lasu, pobiegł, żeby żyć.

29

Dwadzieścia kilometrów dalej, w Newburghu, Jocelyn Grant poczuła pierwszy szok, ale zlekceważyła go jako atak niepokoju związany ze stanem Matta i szybko o nim zapomniała. Kiedy dopadł ją drugi szok, podniosła głowę znad egzemplarza „Esquire”, który bezmyślnie kartkowała, i w milczeniu zmierzyła wzrokiem szpitalną salę. A kiedy wkrótce doświadczyła kolejnego ataku, znacznie silniejszego niż dwa poprzednie razem wzięte, zerwała się z krzesła, a magazyn zsunął się z jej kolan na podłogę.

Matt jęknął i we śnie poruszył głową. Zdezorientowana Jocelyn obeszła jego łóżko i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Matt! Matt, słyszysz mnie? Słyszysz mnie, kochany?

Ale Matt jej nie odpowiedział. Jego lewe oko zakrywał gruby opatrunek zabezpieczony bandażami, które były owinięte dookoła jego głowy. Opatrunki z prawego oka już usunięto. Pozostawało zamknięte, ale jego niespokojne ruchy pod powieką były większym znakiem życia niż jakiegokolwiek inne, które okazywał od wielu dni. Czy w końcu się obudzi?

Ale tymczasem Jocelyn miała zupełnie inne zmartwienie: dzieje się coś złego. Dzieje się coś bardzo złego.

Czuła to. To nie był wytwór jej wyobraźni. Coś złego ją otaczało, a ona nie potrafiła tego zidentyfikować. Było to coś, czego nie mogła dotknąć, jak zakłóceń na falach radiowych. Zegar na ścianie wskazywał pięć minut po siedemnastej. Na parkingu szalał porywisty wiatr, rzucał plastikowymi torebkami pomiędzy samochodami, które pięknie błyszczały w bożonarodzeniowej iluminacji. Wszystko wydawało się normalne, a przecież nie było normalnie.

Działo się coś złego, ale nie tutaj, lecz w domu, w Black Spring. Jocelyn poczuła, jak to ją ciągnie do siebie, cokolwiek to jest.

Zatelefonowała do Steve'a, ale nie odebrał, nie włączyła się nawet poczta

głosowa. W słuchawce panowała głucha cisza. A umysł Jocelyn nawoływał bezlitośnie, jakby ta cisza w słuchawce była związana z rozstrojem, który ją dopadł: Musimy wracać do domu, zanim nie będzie za późno, mówił.

Zaskoczył ją: sen, ten sam sen, rozpoznała go natychmiast. Był to sen, który śniła dotąd tylko raz, osiemnaście lat temu w bambusowym bungalowu w Tajlandii, lecz który zawsze był obecny w głębi jej umysłu i odpowiadał za najmroczniejsze chwile życia w Black Spring, mimo że przecież było to w przekonaniu Jocelyn życie pełne szczęścia.

Teraz ten sen odczuwała znacznie intensywniej, chociaż jego treść była taka sama. Zobaczyła siebie, jak histerycznie wrywa sobie włosy z głowy. Zobaczyła, jak histerycznie rozrzuca kartki z informacją o historii choroby Matta, zawieszoną na łóżku. Kartki pofrunęły na podłogę, a Jocelyn zobaczyła, jak formują kolaż fotograficzny ze zdjęciami zmarłych. Zmarłych dzieci, małych dzieci i dużych dzieci. Na twarzach, na ciałach dzieci miały najprzeróżniejsze rany. W kolejnej wizji zobaczyła, jak martwe dzieci leżą w sali szpitalnej — dzieci z Black Spring, a jednym z nich jest Matt. Miał twarz wyciętą z ciała i zamiast niej był w tym miejscu czarny węgiel. Zobaczyła siebie nagą, turlającą się w kałużach kolorowej farby, jej ciało było czerwone i czarne, i pokrywał ją dziki odnieniec. Zakrzywione kły zwierzęcia lśniły, gdy wpychał w nią swój członek, warcząc i pochrzając, przebierając kopytami, a ona krzyczała w ekstazie.

Jocelyn nie miała zielonego pojęcia, jak długo wpatrywała się w łóżko Matta, otumaniona, lecz w stanie najwyższego przerażenia. A chaotyczne wizje nie utrwały się w jej głowie. Dotarło do niej tylko niejasne, lecz silne przeczucie, że może z tym wszystkim skończyć tylko w jeden sposób — odbierając sobie życie. Ta perspektywa nie przeraziła jej; napełniła ją jedynie tępym smutkiem, który wcale nie był gorszy niż to, co ją dręczyło w tej chwili. Na ołowianych nogach podeszła do okna. Podniosła z podłogi krzesło, na którym siedziała do tej pory, i wzniosła je nad głowę, gotowa rozbić szkło, które stanowiło ostatnią przeszkodę przed upadkiem z czwartego piętra.

Życie ocalił jej telefon, który akurat wtedy zaczął dzwonić. Wciąż oszołomiona, oprzytomniała jednak, bynajmniej nieuwolniona od ogromnego smutku, ale przynajmniej świadoma siebie, i pomyślała: Boże, naprawdę chciałam to zrobić. Naprawdę chciałam wyskoczyć przez okno. Co się ze mną dzieje?

Zaczęła szukać telefonu, pewna, że na jego wyświetlaczu zobaczy twarz Steve'a. Ale to nie Steve dzwonił, lecz jej ojciec.

— Tato!

— Zejdiesz może na kolację? W restauracji nie ma zbyt wielkiego tłoku...

— Tato, muszę wracać do domu. Mógłbyś mnie tam zawieźć?

— Ale myślałem, że...

— Coś złego dzieje się ze Steve'em — powiedziała najbardziej oczywistą

rzecz, o jakiej mogła teraz pomyśleć. I prawdę: — Nie mogę się do niego dodzwonić.

Nie mogła wyjaśnić ojcu, dlaczego naprawdę musi wrócić do domu. A tymczasem wzrastało w niej zaniepokojenie, ciągnęło ją do Black Spring, jakby ktoś na południe od szpitala położył magnes, przyciągający do siebie jej głowę. Czuła, że dom wzywa ją delikatnymi, narastającymi melodiami — niecierpliwe chóralne pieśni kazały jej podporządkować się wezwaniu, zanim stanie się coś strasznego.

— Pewnie wyszedł pooddychać świeżym powietrzem — powiedział spokojnie i delikatnie Milford Hampton. — Jocelyn, jesteś wyczerpana nerwowo, dlaczego...

— Tato! Proszę, ja muszę wrócić do domu. Możesz przyprowadzić samochód? Zobaczymy się przy wyjściu.

— Tak, dobrze, skoro naprawdę chcesz... — odparł ojciec Jocelyn.

Szybko przerwała połączenie. Weź się w garść, pomyślała. Weź się w garść, skoncentruj się...

Jakiś hałas rozległ się za jej plecami. To Matt wyrwał z ręki kroplówkę, zobaczyła, jak rozdrapuje sobie igłą usta. Jednym skokiem znalazła się przy łóżku i z krzykiem odebrała mu igłę, która wypadła z jego dłoni i poleciała na pościel, znacząc ją kropelkami krwi.

— Matt, uspokój się — powiedziała gorączkowo. — Zamierzam cię stąd zabrać. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

Jednak mrok, przyciąganie, narastający dźwięk — nie opuszczały jej, lecz były coraz silniejsze. I najwyraźniej dopadły również Matta. Ostrożnie, ale w pośpiechu, walcząc z impulsami, które podpałały jej umysł szaleństwem, wyciągnęła synowi z nosa rurkę do karmienia i odrzuciła ją na pościel. Następnie spróbowała opatulić jego sztywne ciało szlafrokiem z kapturem. Trzykrotnie wkładała mu lewe ramię do rękawa, tak mocno drżały jej ręce.

W holu stał wózek inwalidzki i bez wahania zabrała go do sali Matta. Posadziła go na wózku, ubrała mu buty i postawiła nogi na podnóżku. Matt nie protestował — chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje — jednak niespodziewanie zacisnął palce na oparciu, a jego jedyne, perłowobiałe, szeroko otwarte oko wpatrywało się w ściany pokoju ze ślepą intensywnością.

Samobójstwo, pomyślała Jocelyn. Chciał popełnić samobójstwo, podobnie jak ty... Przecież przebywa poza Black Spring zaledwie od tygodnia, a ty jedynie od dzisiejszego poranka i wiesz doskonale, że to jest za krótki czas, żeby poczuć jej siłę. Co ci to mówi? I co to był za szok, zaledwie minutę temu?

Jocelyn okryła nogi Matta kocem i wzięła z nocnego stolika jego opaskę na oczy. Mając nadzieję, że korytarz będzie pusty, wypchnęła syna z sali szpitalnej.

Korytarz pusty jednak nie był. Gdzieś na jego końcu dwie pielęgniarki stały

przy automacie z napojami i piły kawę. Jocelyn zdusiła w sobie pragnienie, aby biec, i wolno ruszyła z wózkiem w kierunku wind. Wcisnęła przycisk. Kiedy dźwięk dzwonka oznajmił, że winda jest na miejscu i rozsunęły się drzwi, usłyszała za sobą głosy:

— Proszę pani... — I ostrzejsze zawołanie: — Proszę pani!

Zacisnąwszy szczęki, pchnęła wózek do kabiny, zdając sobie sprawę, że ktoś szybko idzie w jej kierunku. Nacisnęła przycisk parteru i drzwi windy zasunęły się tuż przed trzema rozkrzyczanymi pielęgniarkami.

W holu na parterze kłębiło się mnóstwo ludzi, nikt jednak nie zwrócił na Jocelyn uwagi. Zaczęła przepychać wózek pomiędzy ludźmi w kierunku wyjścia. Kiedy znalazła się w drzwiach obrotowych, wypatrywała już toyoty, spodziewając się jej na podjeździe, jednak nie dostrzegła samochodu. Wiatr zaczął rozwiewać koc Matta. Poczowała, że znów otwiera się przed nią rozpadlina, że coś dziwnego ją do niej ciągnie. Dla koncentracji po raz kolejny nacisnęła w telefonie numer Steve'a, ale znowu nie odebrał.

— Cholera! — zawołała z desperacją i frustracją.

Wreszcie nadjechał jej ojciec. Szarpnęła za tylne drzwiczki, jeszcze zanim auto na dobre się zatrzymało. Pan Hampton był przerażony, kiedy układał ciało Matta jak szmacianą lalkę na tylnym siedzeniu. Jocelyn szybko odepchnęła wózek.

— Jocelyn, do diabła? Co tutaj robi Matt?

— Jedź.

— Ale przecież nie wypisano go ze szpitala. Jocelyn, nie myślisz racjonalnie i wcale się temu nie dziwię. Może jednak zanieśmy go z powrotem do szpitala, przecież nie mogę pozwolić, żebyś...

— Nie wolno ci nas tutaj zostawić! — krzyknęła Jocelyn i pan Hampton aż się skurczył. — Tu się dzieje coś bardzo złego i Matt musi wrócić do domu, zanim będzie za późno.

— Ale co to takiego? — Ojciec wahał się. — Powiedz mi, co się dzieje.

— Nie mogę. To ma coś wspólnego ze Steve'em. I z nami. I... — W desperacji zaczęła cicho łkać, ukryła twarz w dłoniach.

Pan Hampton spoglądał to na swoją córkę, to na wnuka, lekko wytrącony z równowagi. Chociaż w oczach miała łzy, Jocelyn w tej chwili po raz pierwszy zobaczyła go takim, jakim naprawdę był: zmęczonym, starym człowiekiem. Tragiczne wydarzenia minionego tygodnia odcisnęły na nim nieodwracalne piętno.

— Dobrze, zawiozę was do Black Spring, skoro tak trzeba. Zobaczymy, co u Steve'a, a kiedy go znajdziemy, zabierzemy go z nami i wrócimy prosto do szpitala. Całe to zamieszanie na pewno nie wpłynie dobrze na Matta. — Pan Hampton popatrzył we wsteczne lustro i wjechał w aleję, prowadzącą ze szpitala. — Należą mi się jednak wyjaśnienia.

— Dziękuję, tato — powiedziała Jocelyn z westchnieniem i opadła głębiej

na siedzeniu obok Matta, skrajnie wycieńczona.

* * *

Kiedy wyjechali z centrum Newburgha i włączali się do ruchu na 9W, która przecinała pętlą Park Stanowy, zegar cyfrowy na tablicy rozdzielczej wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt cztery i Jocelyn zaczynała odczuwać dokuczliwy ciężar fermentujący w jej mózgu jak trucizna, której działanie prowadzi do szaleństwa. W Tajlandii było to uczucie fatalne, teraz jednak znosiła je jeszcze gorzej. Znajdowała się jakby obok siebie. Co złego się z nią działo? Jaka moc wydostała się z uwięzi, jaka moc potrafiła prowadzić do tak wielkiej desperacji? Myśli Jocelyn rwały się jak chmury na wietrze, stwarzając pustkę w jej głowie. Umysł odmawiał wchłaniania kolosalnego bólu; po prostu nie był na taki ból przygotowany. Świat Jocelyn ograniczył się do wielkiej, obrzydliwej, bolesnej rany. Rana niszczyła jej wolę do walki z przygnębieniem: chciała umrzeć. A Matt, biedny Matt: w jego stanie nie mogło być nawet mowy, żeby zrobił dla siebie coś dobrego...

Toyota tańczyła na asfalcie, miotając Jocelyn i Mattem na tylnych siedzeniach. Gwałtowniejsze zakręty sprawiły, że kobieta na chwilę wyrwała się z odrętwienia, jednak po chwili znowu się w nim pograżała, zachowywała się jak ktoś, kto usilnie próbuje nie poddawać się anestezji. W pewnej chwili całkowicie odzyskała zmysły, gdyż moment wcześniej złapała się na tym, że zaciska pas bezpieczeństwa wokół szyi Matta i próbuje go udusić; był to akt matczynej miłości, próba uwolnienia go od wszystkich problemów.

W przebiegu głębokiego, nieopisanego strachu Jocelyn sama nieomal wypięła się z pasów.

To rzuciło na ciebie czar. Hipnotyzuje cię. Kiedy się temu poddasz, zmusi cię, żebyś popełniła samobójstwo. Pewnie w ten sposób ona dopadła Tylera.

Toyota zatrzymała się na poboczu z przenikliwym piskiem opon.

— Do diabła, co się z tobą dzieje? Do jasnej cholery! — krzyknął ojciec Jocelyn z fotela kierowcy.

— Och, tato, sama nie wiem. — Pan Hampton był wstrząśnięty tym, co zobaczył. Jego córka miała szeroko otwarte oczy, patrzyła na niego błagalnie.

— Tato, pospiesz się, zawieź nas do domu. I rozmawiaj ze mną...

— Ale, do diabła, co tu się dzieje?

Nie mogła mu powiedzieć, tak samo jak nie mogła zdradzić ojcu prawdziwej przyczyny śmierci Tylera. Głęboko tego żałowała, przypuszczała jednak, że kiedyś będzie mogła wszystko mu ujawnić. Miał prawo wiedzieć, mimo że było to wbrew zasadom obowiązującym w mieście, że Black Spring zabrało mu starszego wnuka. Teraz jednak najważniejsze było dostać się z powrotem do tego miasta, ponieważ Jocelyn czuła, że się pograża...

— Proszę cię, nie zadawaj pytań — powiedziała, krztusząc się przy każdym słowie. — Później ci wszystko wyjaśnię. Tylko rozmawiaj ze mną, to bardzo ważne.

W tych ostatnich słowach było coś takiego, co przekonało pana Hamptona. Zrozumiał, że cokolwiek złego działo się z jego córką, mógł to powstrzymać, jedynie wykonując jej polecenia. Zjechał więc z 9W na drogę numer 293 prowadzącą do Black Spring.

— Mam złe przeczucia w związku ze Steve'em. Oboje powinniście być teraz razem, szczególnie w tej chwili. Martwię się o niego. Niezbyt dobrze daje sobie radę. Zresztą nikt z nas, cholera jasna. Wszystko to jest popaprane, ohydne, ale...

Mając jak najlepsze intencje, pan Hampton popełniał wielki błąd, przez cały czas mówiąc sam do siebie. Nie zdawał więc sobie sprawy, że oczy Jocelyn niemal natychmiast straciły blask i wpatrują się tępo w nicość. Nie przejechał nawet połowy drogi do pojedynczego pulsującego pomarańczowego światła, które wskazywało skręt w Deep Hollow Road, gdy Jocelyn i Matt na dwóch różnych fotelach z tyłu samochodu zaczęli uderzać głowami w drzwi. Zerknąwszy za siebie, pan Hampton zobaczył, jak Jocelyn próbuje złapać klamkę w drzwiach, i gwałtownie nacisnął hamulec. Koła samochodu zablokowały się, zadymiły z powodu gwałtownego hamowania i toyota zatrzymała się jeszcze raz. Troje pasażerów auta zostało rzuconych do przodu, jednak zatrzymały ich na miejscach pasy bezpieczeństwa.

— Tato, pomóż mi, proszę... — Jocelyn popatrzyła na niego z twarzą ściętą przez strach.

Z boku głowy miała mocno krwawiące rozcięcie. Wzięła Matta w ramiona i zaczęła go kołysać.

Pan Hampton patrzył tępo na córkę i wnuka. Zaczynał czuć mdłości. To wszystko go przerastało, straszliwie go przerastało, rozumiał jednak, że musi szybko działać. Nagle pojął, że przyczyna problemów znajduje się przed nimi, czeka... Sekret znajduje się na końcu drogi, w lesie, w ciemności.

W jednej chwili pan Hampton zrozumiał, że jeśli nie pozna tego sekretu, to nie będzie tego żałował.

Drżącą ręką wrzucił pierwszy bieg i znowu ruszył w kierunku Black Spring.

Jocelyn opuściła szybę w drzwiach i poddała twarz działaniu czystego, zimnego powietrza. Ciemna puszcza Black Rock pogrążona była w ciszy, kiedy ją przecinali, sugerując, że dookoła wszystko jest normalne jak zawsze, co przecież nie było prawdą. Jocelyn czuła, że jest bardzo źle. Jeszcze trochę i oboje z Mattem będą bezpieczni, cokolwiek w tym momencie znaczyło bezpieczeństwo. Nie było miejsca na spekulacje, przecież za kilka minut miała zobaczyć wszystko na własne oczy... oczywiście, jeżeli będzie jeszcze na co patrzeć.

Zobaczyła to w chwili, kiedy dostrzegła tablicę WITAMY W BLACK

SPRING — i opadła jej szczęka.

Pan Hampton zdjął nogę z gazu i nacisnął hamulec.

— Nie chcę jechać do Black Spring — mruknął.

— Tato?

— Ja... Wiesz co? Zawróćmy. Wciąż mamy... sprawy... w Newburghu.

Tak. Powinienem być teraz gdzie indziej.

Zaczął już zawracać, jednak nie spuszczał wzroku z tego, co znajdowało się z przodu. Prawie zmusiło go to do zjechania z drogi i skierowania toyoty do rowu.

— Tato, nie rób tego! Musimy jechać!

Ale jej ojciec nie słuchał. Mruknął coś niewyraźnie, a brzmienie jego głosu sprawiło, że Jocelyn zastygła w bezruchu. Na jej twarzy pojawił się wyraz osłupienia, który szybko ustąpił pełnemu zrozumieniu. To nie była wina jej ojca. Ta sama siła, która nakazywała jej spieszyć się do Black Spring, jemu kazała odjechać stąd jak najdalej.

Ponieważ był obcy.

Błyskawicznie otworzyła drzwi i wyciągnęła Matta na ulicę. Nie mogli wrócić do Newburgha; to oznaczałoby dla nich śmierć.

— Tato, proszę... — błagała jeszcze.

— Przykro mi, kochanie. — Popatrzył na nią oczyma, które wcale nie należały do jej ojca. — Mam mnóstwo do zrobienia. W domu, w Atlancie.

Z wciąż otwartymi tylnymi drzwiami toyota wyskoczyła na asfalt. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów drzwi auta zatrzęsły się pod wpływem pędu powietrza. Jocelyn krzyczała za samochodem, ale po chwili nie widziała już nawet jego tylnych świateł.

W wieku trzynastu lat Matt wciąż był dość niskim dzieckiem, jednak Jocelyn miała wrażenie, że waży cholernie dużo. Zaniesienie go do domu zdawało się zadaniem ponad jej siły, nie miała jednak wyboru. Musieli przynajmniej przekroczyć granice miasta. Zacisnąwszy szczęki, wzięła go na ramiona i powoli zaczęła iść do przodu.

Black Spring leżało przed nimi w całkowitej ciemności.

Po stronie Highland Falls uliczne światła paliły się, słabo odbijając się w Długim Stawie przy drodze. Black Spring było czarne jak smoła. Domy i drzewa odcinały się ogromnymi, ledwie ukształtowanymi sylwetkami na tle ciemnego nieba. Jocelyn nie widziała nawet świateł sygnalizacji; słyszała jedynie skrzypienie słupów, na których zawieszane były sygnalizatory. W mieście w ogóle nie było prądu. Ale przecież nie chodziło wyłącznie o brak światła elektrycznego... Jocelyn odnosiła wrażenie, że sama noc jest w mieście jakby gęstsza niż kiedykolwiek, ma głębszy odcień czerni niż zazwyczaj, jest mroczna ciemnością, do jakiej oczy człowieka nigdy nie przywykną. Tutaj, na skraju miast, kontrast był niezaprzeczalny. Jocelyn miała wrażenie, że ktoś rozlał w tym nieszczęsnym

mieście kałamarz z czarnym atramentem, który rozprzestrzeniał się po Black Spring, gasząc po drodze wszelkie promienie światła i nawet najmniejsze promyki nadziei. Jęknęła ponuro, wiedziała bowiem, że ratunek dla Matta i dla niej leży wyłącznie w tej ciemności.

Z ukochanym synem w ramionach Jocelyn minęła tablicę z napisem powitalnym i pochłonął ją nieprzenikniony mrok.

30

W Black Spring niemal wszyscy wylegli na ulice. Było prawie jak w noc sylwestrową, gdy ludzie wychodzą z domów i wymieniają się życzeniami, tyle że teraz nie strzelały w górę sztuczne ognie. Za to każdy miał w ręce latarkę, świeczkę albo wykonaną domowym sposobem pochodnię i tylko te źródła światła wyłaniały miasto z kompletnego mroku, rzucając na zmrożoną ziemię długie, ostre cienie. Poza tym o nikim nie można było dzisiaj powiedzieć, że jest szczęśliwy. Początkowy szok stopniowo się rozplýwał, jednak zastępował go trwały strach, wzmacniany plotkami, które mknęły przez miasto jak błyskawice.

— Czy ona uśmierciła kolejną osobę?...

— Mówię panu, znów jest tak jak w sześćdziesiątym siódmym...

— Nie... nawet niech pan tak nie myśli... to nie może być prawda...

Oczy ludzi błyszczały jak rtęć w słabym świetle, upiorne, pełne strachu. Mróz przenikał ich do szpiku kości, jednak tylko niewielu wracało do domów; większość nie zamierzała opuszczać ulicy, dopóki nie uzyskają informacji, co się naprawdę dzieje.

W centrum kontroli HEX-a Robert Grim i Marty Keller gorączkowo starali się uruchomić generator awaryjny. W mieście zanikł nie tylko prąd elektryczny — cholerna, powszechna awaria, nie działały nawet telefony komórkowe — nie było także ciśnienia w rurach wodociągowych i padła cała sieć telefonów stacjonarnych. Konsekwencje tej katastrofy były niewyobrażalne — podobnie jak jej przyczyna, rozmyślał Grim z rosnącą trwogą — jednak w tej chwili priorytetem było dla niego zapanowanie nad centrum kontroli i przywrócenie jego działania. Jeśli nawet to się nie uda, wszyscy będą ugotowani. Kamery bezpieczeństwa, aplikacja HEX-a i system ostrzegawczy nie będą warte funta kłaków. A to oznaczało, że nikt już nie przyjmie za dobrą monetę żadnych zapewnień, że w mieście jest bezpiecznie... i, do cholery, wszystko na razie ku temu zmierzało.

Generator awaryjny ani drgnął. Nie wydobył z siebie nawet małej pieprzonej iskierki.

W drżącej elipsie latarki umocowanej na głowie Marty zmagał się z przewodem paliwowym. Jego czoło lśniło od potu. Sprawdzali to cholerne urządzenie zaledwie przed trzema tygodniami i działało bez oporów. Wydawało się to niemożliwe, ale żadne próby nie przynosiły poprawy sytuacji. W dawnym

Centrum Turystycznym Popolopen wciąż było ciemno, a w ciemności Grima dopadały coraz dziksze myśli: Chryste, co to było za uderzenie? Co za szok postawił nas na nogi?

Na skrzyżowaniu przed Małym Kościołem Metodystów atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca. Warren Castillo przebiegł z centrum tam i z powrotem, żeby ocenić sytuację. Musiał przedzierać się między zaniepokojonymi mieszkańcami, którzy chwyтали go za ramiona, zadając pytania, na które nie mógł odpowiedzieć. Było wpół do piątej i przynajmniej dwieście osób zgromadziło się przed Point Inn, gdzie personel hotelu zapalił kilka lamp naftowych. Warren słyszał plotki o ludziach, którzy przyjechali z powrotem do miasta, jakby gonił ich sam diabeł, a potem bez słowa zamknęli się w swoich domach. W pierwszej chwili chciał machnąć ręką na te opowieści jako niedorzeczne. Ale wkrótce zauważył chevroleta Reya Darrela z nazwą jego firmy wypisaną na karoserii, stojącego poprzecznie na Deep Hollow Road ze światłami drogowymi rozdzierającymi mrok. Blokada. Dostrzegł w tłumie postać Darrela, który unosił ręce do góry i wołał:

— Nie opuszczajcie miasta! Na zewnątrz nie jest bezpiecznie! Słuchajcie mnie, ludzie: pozostaniecie w mieście!

Reakcją na jego słowa były niezadowolone okrzyki i rzucane ostrym głosem pytania:

— O czym ty w ogóle mówisz? — zawołał ktoś.

— Nie możecie wyjechać z miasta! Jeśli przekroczycie jego granice, pozabijacie się!

Warren przepchnął się przez tłum i chwycił Darrela za kołnierz:

— Zamknij japę, bałwanie, bo wystraszysz tych ludzi na śmierć.

— Mają mnóstwo powodów, żeby się bać — odparł Darrel szczerym głosem i Warren nagle zdał sobie sprawę, że malarz także jest ogromnie wystraszony.

— Co się stało?

— Wyjechałem z miasta. Widać, że dookoła wszędzie jest elektryczność. Ale kiedy tylko przekroczyłem granicę Black Spring, coś... coś mnie zatrzymało. Nie potrafię tego opisać. Jakby ktoś rozciągnął w poprzek drogi jakieś pierdolone pasy, aby zatrzymały każdego, kto chce opuścić miasto. Nie widać ich, ale można je doskonale poczuć. — Jego głos się załamał. — Zanim dotarłem na wysokość pola golfowego, już chciałem się zastrzelić. Chciałem wyciągnąć z bagażnika mojego lancastera kaliber 410 i połknąć kulkę. A przecież mam trójkę dzieci i nigdy dotąd nie chciałem popełnić samobójstwa.

Zaległa głęboka cisza.

— Jest naprawdę, naprawdę bardzo źle — dodał Darrel. — Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby to zauważyć.

Ludzie zaczęli tracić zdrowy rozsądek. Działał efekt domina: ktoś coś szepnął, ktoś inny to głośno podchwycił, kilka osób próbowało się bezskutecznie

dodzwonić do partnerów lub członków rodziny, którzy nie wrócili z pracy; narastała panika. Przetaczała się przez tłum jak fala. Warren rozglądał się dookoła z przerażeniem; praktycznie nie rozpoznawał ludzi, którzy mieszkali w tym samym mieście co on. Jego ciało zeszywniało tak bardzo, że nie potrafił się ruszyć. Szkolono go, żeby nigdy nie dawał wiary plotkom ani nie ulegał przesądom. Spróbował zapanować nad emocjami, przeanalizować wszystko, co usłyszał, ponieważ na razie nie miało to sensu, jednak nie potrafił. Bo przecież być może tym razem, właśnie teraz, strach ludzi był w pełni uzasadniony. Co się stanie, jeśli tym razem Black Spring naprawdę zostanie odcięte od świata zewnętrznego?

Z kierunku wschodniego, skąd przyszedł, Warren usłyszał krzyk. Na niebie nie było księżyca ani gwiazd, które mogłyby rozświetlić ciemności, i ten koniec Deep Hollow Road był pogrążony w całkowitym mroku. Nic się tutaj nie poruszało. Jednak co było źródłem takiego ciśnienia w atmosferze? I dlaczego ciemność była aż tak bardzo nienormalna?

Warren nie mógł się powstrzymać przed wbiciem w nią wzroku. Wiatr z całej siły wiał prosto w jego twarz. Oszalał go, rozwiewał mu włosy i sprawiał, że jego gałki oczne były tak zimne, że bezustannie łzawiły, a jednak nie mógł ich zamknąć.

To jest noc Katherine, niespodziewanie uderzyła go myśl... i wtedy zrozumiał. Wtedy zrozumiał wszystko.

Ciemność wypłuła trzech wrzeszczących mężczyzn, biegnących z latarkami. Co chwilę oglądali się za siebie, aż wreszcie znaleźli się w świetle lamp naftowych i w zasięgu wzroku przynajmniej stu mieszkańców miasta. Warren Castillo spostrzegł, że jeden z nich wygląda jak klaun: palcami porozdzierał sobie skórę na policzkach, a płynąca po nich krew zamieniła jego twarz w dziwną maskę.

— Jej oczy! — wrzeszczał. — Ona ma otwarte oczy! Widzieliśmy ją, była tam! Patrzyła na nas! Ludzie, uciekajcie, jeśli wam życie miłe, złe spojrzenie padnie niedługo na nas wszystkich!

W ten sposób przeznaczenie nieuchronnie spadło na Black Spring.

Jego mieszkańcy — gromada nawiedzonych dusz, które nie mogły znaleźć ucieczki przed paniką — rozpierzchli się na wszystkie strony. Uwięzieni w niedoli wspólnego przeznaczenia, nie potrafili krzyczeć głośniejsze niż ich sąsiedzi ani cierpieć mniej niż oni. Zapanowały reguły chaosu, ale w tym chaosie wyłoniły się pewne objawy obłędnej solidarności: w ciągu kilku sekund zniknęła wszelka iluzja indywidualizmu i tylko jedno życzenie, jeden nieopisany krzyk dominował w kolektywnej świadomości Black Spring. Bo to ludzie stanowili o istocie Black Spring, a to miasto właśnie upadło. We wspólnym, gromkim wrzasku przeważały słowa: „Precz! Precz! Precz! Precz od jej złego spojrzenia!”.

Chaos był nie do ogarnięcia. Ludziom puszczały pęcherze, wrzeszczeli ze wszystkich sił, deptali po sobie nawzajem, niektórzy błagali niebiosa o litość.

Ciągnęli się za kończyny i włosy. Aby przekazywać informacje, nie była już potrzebna żadna aplikacja i w ciągu kilku minut nawet ci, którzy mieszkali na najodleglejszych przedmieściach, wiedzieli, co się wydarzyło. Wszyscy byli skrajnie wystraszeni, a jednak wiedźma nie pojawiała się. Jej oczy były otwarte, a mimo to poza prorokami zagłady nikt jej nie widział ani nie chciał zobaczyć. Wiele osób uciekło do domów i pospiesznie, byle jak zabarykadowało drzwi oraz okna. Dygocząc ze strachu, modlili się w atramentowej ciemności. Niektórzy przecinali sobie żyły albo połykali wszystkie tabletki, jakie mieli w domu. Chociaż prawdopodobieństwo, że taki dzień nadejdzie, tkwiło na dnie umysłów nawet najbardziej naiwnych mieszkańców Black Spring, nikt nie wiedział, w jaki sposób zagłada się rozpocznie i co nastąpi później. Umieranie w niewiedzy wydawało się lepsze niż dalsze życie i czekanie na nieznaną. Ci, którzy dysponowali silniejszym instynktem przeżycia, próbowali uciekać, a jednak zawracali, kiedy tylko przebrnęli za granicę miasta, gdyż nagle dopadało ich przerażające przekonanie, że i tak są w pułapce. Rey Darrel miał rację. Tylko kilku nieszczęśników kontynuowało ucieczkę, ale później nikt o nich już nigdy więcej nie usłyszał.

Około godziny siódmej jedynie wiatr hulał po ulicach Black Spring. Spodziewana zemsta Katherine jeszcze się nie zaczęła i jeśli ludzie umierali, to wyłącznie z własnej woli.

Jednym z pierwszych, który się poddał, był Colton Mathers. Przez całe życie stary radny wierzył, że popełnienie samobójstwa jest wyborem najprostszej drogi do piekła, jednak teraz Bóg zesłał mu wizję. Kiedy wybuchła panika, był akurat w kościele i się modlił, a gdy potem ze schodów kościelnych wpatrywał się w tłum, w jego umyśle pojawił się rozedrgany obraz domów kolonialnych i byle jak skleconych siedemnastowiecznych siedzib farmerskich. Budynki sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego, epatowały potwornościami i śmiercią, a Katherine van Wyler w jego wizji stała przed kościołem, smagana wiatrem niczym galion na morzu i... widziała. Ta iluzja, to boskie widziadło wystarczyło, aby przekonać Coltona Mathersa, że wszechmocny Bóg opuścił Black Spring na dobre. Ognie piekielne powinny być balsamem, jeśli porównać je z okropnościami, które miały spaść na miasto. Właśnie dlatego pasterz — jak Colton lubił o sobie myśleć — opuścił swoje owieczki. Wrócił do domu i wyskoczył z balkonu, połamał sobie wszystkie kości i w kałuży krwi skonał na podłodze przedsionka jeszcze tej samej nocy. O pierwszym brzasku wiele osób uznało to samobójstwo za akt bezprecedensowego tchórzostwa.

A Katherine?

Nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Nikt nie wiedział, czego ona chce.

Jackie i Clarence Hoffmanowie schronili się w kuchni w swoim domu

w Upper Mineral Valley razem z dziećmi — Joeyem i Naomi. Kuchnia była luksusowo wyposażona i zazwyczaj skąpana w silnych promieniach słonecznych, które wpadały do środka przez podwójne okno nad zlewozmywakiem. Jednak teraz wszystkie drzwi i okna w domu były zabite deskami, czyli wszystkimi półkami na książki, jakie znalazły się w zanadrzu (Hoffmanowie namiętnie czytali książki). Mimo to kwadrans po dwudziestej trzeciej lampa nad stołem kuchennym zaczęła się kołysać, jakby zimne grudniowe powietrze znalazło sposób, aby dostać się do środka. Natychmiast zgasły wszystkie świece. Sekundę później w kuchni stanęła Katherine. Przypadkowo biedne dzieciaki znajdowały się w tym momencie pod przeciwną ścianą (mimo zmęczenia grały w Angry Birds na iPadzie, którego bateria wciąż miała dość energii) i pojawienie się Katherine odcięło je od rodziców. Przez kilka sekund rzucała na ściany groteskowy cień, który utrzymywał się dzięki światłu z ekranu iPada. Ale mały Joey nagle wypuścił urządzenie z rąk i ekran pękł po uderzeniu w podłogę, pogrążając kuchnię w całkowitej ciemności.

Nie, nie całkowitej: odrobinę jaśniejsza czerń wpadała przez szpary pomiędzy deskami. To wystarczało, żeby wyłonić z mroku sylwetki Joeya i Naomi, mocno przyciśniętych do zabarykadowanych drzwi, oraz unoszący się nad nimi niewyraźny cień wiedźmy. Jackie krzyknęła. Clarence Hoffman zaczął się przesuwac wzdłuż stołu, aby dotrzeć do dzieci, jednak cień nagle wykręcił jego ciało i syknął na niego jak kot. Nie widział w ciemności oczu wiedźmy, ale czuł na sobie jej spojrzenie, nieludzkie i złowrogie. Cofnął się, jakby ktoś rzucił w niego kamieniem, i złapał Jackie za nadgarstek, kiedy zrobiła krok do przodu.

— Proszę cię, nie skrzywdź moich dzieci — odezwała się Jackie błagalnym tonem. — One są niewinne, podobnie jak niewinne były twoje dzieci, Katherine... Och, mój Boże, co ona robi? Joey, powiedz mamusi, co ona robi?

— Ona... ona chyba chce nam coś dać, mamusiu.

— Nie dotykajcie tego! — wrzasnął ojciec.

— Co to jest?

— Nie wiem... To chyba jest cebula...

— A ja dostałam marchewkę — dodała Naomi.

— Mówiłem, żebyście niczego nie dotykali!

Ale Jackie trąciła męża łokciem w bok i wyszeptała:

— Tylko jej nie denerwuj, Clarence... Może ona nie ma złych zamiarów?

Cień przestał się ruszać; trwał w miejscu. Jackie Hoffman pomyślała, że jeśli warzywa pochodzą z fartucha wiedźmy, wyciągnęła je z ziemi w 1665 roku i przetrwały jej śmierć. Naomi nie lubiła marchwi, ale Jackie wiedziała, że ta, którą przyniosła Katherine, nie może ani trochę przypominać warzyw pakowanych w folie, które wyciągało się z chłodziarki w Market & Deli. Zrozumiała, czego żąda wiedźma.

— Nie daj się prosić, ugryź kawałek, kochanie.

— Ale, mammo...

— Ta pani właśnie tego chce, słoneczko.

— Ale ja nie chcę, mamusiu. — Naomi zalała się łzami.

— Zjedz tę przeklętą marchew!

Joey musiał przełamać ogromny wstręt, ale po chwili Jackie usłyszała, jak wbija zęby w cebulę. Naomi poszła po chwili za przykładem starszego brata i ugryzła kawałek marchwi. Dzieci powoli zaczęły przeżuwać warzywa.

— Ona jest słodka! — krzyknęła Naomi przez łzy.

Dziewczynka zachłannie ugryzła marchewkę po raz drugi i nagle wszystko potoczyło się w bardzo dziwny sposób. Później Clarence i Jackie nie potrafili uzgodnić dokładnego przebiegu wydarzeń. Oboje zapamiętali wstrząsające chwile, kiedy Katherine złapała oboje dzieci za ręce, jednak małżonkowie nie mieli odwagi wyznać, co wtedy zobaczyli. Albo co zdawało im się, że widzą, ponieważ sceny, których byli świadkami, były tak straszne i tak przeczyły zdrowemu rozsądkowi, że po prostu musiały być wytworem ich wyobraźni. W jednej z nich Naomi i Joey zakrwawionymi zębami usiłowali przegryźć deski, które blokowały wyjście z kuchni, a potem rozglądali się błyszczącymi i zarazem matowymi oczami potępieńców, wyłonieni z mroku przez światło, którego źródła nie sposób było wskazać. Podniebienia mieli popękane, usta pełne fragmentów kości. Absurd: oczywiście, że to wszystko musiało się dzieć jedynie w wyobraźni, ponieważ Joey miał na sobie skórzany bezrękawnik, a Naomi ubrana była w długi, brudny fartuch. Cokolwiek się wydarzyło, pozostało niezaprzeczalnym faktem, że kiedy Clarence i Jackie doszli do siebie, zaszuwa wykonana z półki na książki, blokująca dotąd drzwi, była przegniła, jakby zaatakowała ją chmara korników, a w kuchni hulało lodowate zimowe powietrze. Jackie krzyknęła przeraźliwie, nie zobaczywszy dzieci, jednak nie wybiegła z domu, aby ich szukać, ponieważ zrozumiała, że na jej rodzinę zawzięły się moce, którym istota ludzka nie jest w stanie się przeciwstawić.

Wiele osób widziało przez okna swoich domów tę trójkę, przemierzającą w nocy ulice. Na wiedźmę spoglądano spod półprzymkniętych powiek — Boże, ona teraz widziała! — jednak kilka osób rozpoznało przy niej dzieci Hoffmanów, mimo że ubrane były, zupełnie bez sensu, w dziwne staromodne kostiumy. Kiedy nastał świt, kolejni ludzie dostrzegali małego chłopca w kaftanie i bryczesach oraz małą dziewczynkę w grubym fartuchu i z chustą na włosach. Chociaż mieli szkliste oczy, zdawali się iść z wiedźmą z własnej woli. Niektórzy byli przekonani, że dziewczynka niosła w ręce wiatraczek na kij, obracający się z terkotem na wietrze, co wyraźnie ją bawiło.

* * *

Krótko przed świtem w sypialni Griseldy Holst pojawił się cień. Odór zgniłego mięsa roznosił się ze sklepu na cały dom ohydłą słodkawą zawiesiną,

jednak Griselda nie miała sił, żeby zejść na dół i wyrzucić paskudztwo. Jaydon zasnął wczesnym wieczorem po dużej dawce litu, prawie — albo wcale — nieświadomy tego, co się działo. W przeciwieństwie do matki. Bóg jeden wiedział, że Griselda lepiej niż inni w mieście przygotowała się na dzień, w którym Katherine otworzy w końcu oczy... ale teraz, gdy to się już wydarzyło, doświadczyła spazmatycznego paraliżu. To nastąpiło tak nagle. Bez żadnego ostrzeżenia! Czy oznaczało, że Katherine naprawdę ją opuściła?

Griselda potrzebowała czasu, żeby się zastanowić, co ją czeka. Jednak żadna rozsądna myśl nie przychodziła jej do głowy. Na każdy niespodziewany dźwięk, każde skrzypnięcie deski w podłodze, na każdy nieznaną odgłos wyskakiwała z łóżka i trzymając w drżącej dłoni krótką świeczkę, przemierzała całe piętro swojego domu, panicznie reagując na każdy cień, który poruszał się w mroku. Ale ściagała jedynie widma. Wreszcie zasnęła, wyczerpana... a z każdym oddechem zgnilizna, unosząca się w powietrzu, przedostawała się głębiej do jej płuc i rozkładała jej skórę.

Nie zauważyła tego jednego cienia przy łóżku. Ledwie mruknęła coś przez sen, kiedy jej jedyna przyjaciółka w końcu dała jej to, czego tak gorączkowo pożałowała przez te wszystkie lata: odpowiedź. Nagle szeroko otwarte oczy znalazły się tuż przy niej, ugruntowując sen, który jej się śnił. Nie było w nim twarzy, nie było żadnej scenerii, ust — a jedynie te oczy. Griselda przewracała się i drżała na łóżku, śliska od potu, i w końcu ukryła twarz w poduszce, ponieważ nawet śniąc, zdawała sobie sprawę, że właśnie przeżywa najgorszy koszmar, jaki kiedykolwiek się jej przydarzył. Ale potem rozległ się głos. Właściwie nie było w nim słów i historia, którą opowiadała Katherine, nie wybrzmiewała w żadnym języku. Griselda słuchała jej w taki sposób, w jaki szczer w klatce nasłuchuje paplania swojego tresera, niezdolna do zrozumienia nawet najkrótszego fragmentu tej opowieści. Katherine mówiła o świecie i o swoim z niego wygnaniu, o oszustwie i o wyborach, których dokonuje się z miłości, o upodleniu, jakim jest konieczność poświęcenia kogoś ukochanego po to, żeby ocalić kogoś innego, kogo również się kocha. Griselda nie wiedziała, kiedy właściwie ten sen się skończył, ale kiedy usiadła na łóżku, przez zasłony wdzierało się do pokoju światło wczesnego poranka. We śnie zrzuciła kołdrę na ziemię i teraz patrzyła z niesmakiem na swoje woskowe, mięsiste ciało, ciało, którego od dawna już nikt nie kochał, także ona sama. Griselda nie pamiętała już, co to znaczy dokonywać wyborów z miłości; wiedziała jedynie, czym jest silny instynkt samozachowawczy.

Gdy wśród ludzi, zgromadzonych na rynku tuż pod jej oknami, zaczął narastać ponury zgiełk, zaczął w niej świtać jakże przekonujący pomysł, że przecież może ocalić siebie, poświęcając Katherine swojego syna Jaydona... Tym samym całkowicie źle zinterpretowała to, co chciała przekazać jej wiedźma.

— No i to jest to, prawda? — powiedział Warren Castillo, powróciwszy do centrum kontroli. — Koniec.

Grim pokiwał głową, z trudem patrząc mu w oczy. Jego współpracownik sprawiał wrażenie wystraszonego dziecka, błagającego matkę, aby powiedziała mu, że to, co widzi, jest jedynie nocnym koszmarem, a Grim oddałby bez wahania nerkę, gdyby tylko mógł to potwierdzić.

— Warren, doceniam, że wróciłeś, ale jeśli chcesz teraz być z żoną, całkowicie to zrozumiem.

Warren z trudem panował nad emocjami, ale wziął się w garść.

— Nie, zostaję. Miasto nas potrzebuje.

Wtedy Grim uczynił coś, co zupełnie nie pasowało do jego charakteru, coś, co dotąd uważał za niemożliwe w jakichkolwiek okolicznościach: objął Warrena i mocno go uściskał. Było to trochę niezręczne, ale w tej czarnej godzinie wzmocniło obu mężczyzn. Mimo że zdaniem Grima szanse, aby uszli z życiem z katastrofy, były mniejsze niż jeden do miliona.

Chociaż gorączkowo chciał wciąż się trzymać protokołu, myśli uwierały go niczym szrapnel, szczególnie gdy powracał pamięcią do rozmowy z Delarosami.

„Czego chce od was ta przeklęta czarownica, do wszystkich diabłów?”

„Zemścić się”.

„Zakładamy, że chce się zemścić”.

HEX nie miał żadnego planu ratunkowego na Dzień Sądu, po prostu dlatego, że nikt nie miał pojęcia, jak ten dzień będzie się rozwijał. W myśl jedyne go ogólnikowego scenariusza należało jak najszybciej ewakuować wszystkich ludzi, ale jeśli sprawdziłyby się aktualne plotki, na ucieczkę drogami nie było żadnych szans.

Grim natychmiast posłał Claire Hammer, żeby odszukała Eddiego McConroya, głównego miejskiego elektryka. Miał sprawdzić, dlaczego w mieście nie ma prądu, wkrótce jednak i tak stało się jasne, że cokolwiek odcięło Black Spring od świata, nie miało charakteru technicznego, lecz nadprzyrodzony. I nie chodziło wyłącznie o elektryczność, lecz właściwie o wszystko. O wodę w kranach. O linie telefoniczne. Gaz. O godzinie dziewiątej wieczorem Grim był przekonany, że Black Spring katapultowało się z powrotem do siedemnastego wieku, a jego szok był tak głęboki, że wciąż nie był w stanie ogarnąć, jakie niosło to ze sobą konsekwencje.

„Mamy wszelkie powody, aby przypuszczać, że jeśli ona otworzy oczy i zacznie miotać przekleństwami i zaklęciami, wszyscy umrzemy”.

Nie! Myśl o czymś przyjemnym. Myśl o dzieciach. Cholera!

Złączył dłonie na karku i wyłamywał sobie palce. Cóż, nie ma wyjścia. Point.

Rozmyślania przerwała mu Claire.

— Robercie, wiesz, że bez Coltona Mathersa nie możemy podjąć żadnej decyzji...

— A widzisz tutaj Coltona Mathersa? — Niemal wykrzyczał te słowa. Rozpraszał go widok jej czoła. Nie znosił go. Claire ciasno wiązała włosy do tyłu, przez co wyglądała, jakby wystarczyło jedno pociągnięcie, żeby zerwać jej skórę z czaszki. — Nie? W takim razie ja tutaj dowodzę!

Claire cofnęła się odruchowo. Grim stłumił w sobie impuls, by zerwać gumkę z jej włosów i uwolnić naciągniętą skórę na jej czole. Sięgnął za to po stare CB-radio. Pot lał mu się po skroniach, lśniąc w świetle lampek turystycznych, gdy próbował nastroić radio, jednak nic nie wskórał — na wszystkich możliwych częstotliwościach panowała martwa cisza.

Podeszła do niego Lucy Everett z telefonem satelitarnym.

— To też nie działa, Robercie...

— Kurwa mać! — Wyrwał telefon z jej rąk. — Przecież to jest pierdolony satelita. Nie ma nic wspólnego z naszym systemem komunikacyjnym!

Kilkakrotnie stuknął telefonem w biurko, popatrzył na jego ekran, po czym rzucił nim w najdalszy kąt. Drut kolczasty, drut kolczasty, myślał, próbując się uspokoić, jednak jego mózg ignorował polecenia woli: Ona nie chce, żeby ją zrozumiano, nie można jej zrozumieć. Katherine jest paranormalną bombą zegarową.

— Robert, uspokój się! — błagało czoło Claire i kiedy Grim na nie spojrzał, trochę ochłonął.

Marty Keller był w jeszcze gorszym stanie. Niedługo po tym, jak Warren wrócił z szokującymi wiadomościami, chłopak załamał się. Rzucił się na ścianę, wymachując rękami i nogami. Lucy i Grim z trudem go uspokoiili. Z jego ust wydobywały się wściekłe wrzaski, bluzgi i okrzyki strachu. Kiedy w końcu udało się go uciszyć, przeprosił ochrypłym głosem za swoje zachowanie. Powiedział, że boi się ciemności, że w ciemnych pomieszczeniach dostaje klaustrofobii. Grim wiedział jednak, czego Marty nie ośmiela się powiedzieć głośno: że boi się śmierci, wszechobecnej na ulicach. Siedział teraz oparty o ścianę z latarką w jednej drżącej ręce i z niedopitą butelką ciepłej wódki Smirnoff w drugiej.

— Musimy ją zabić, zanim zmiecie nas wszystkich z powierzchni ziemi — powiedział Marty z podłogi. Jego głos brzmiał tak, jakby zamiast języka miał galaretę w ustach.

— A jak zamierzasz to zrobić? — zapytał niecierpliwie Grim.

— Trzeba po prostu dopaść ją wtedy, kiedy nie będzie się tego spodziewała. — Logika tego stwierdzenia była bezdyskusyjna, mimo że padło z ust faceta zalanego rosyjską wódką. — Te dzieciaki właśnie w taki sposób zaczęły ją kamienować. Nie zorientowała się, kiedy ją otaczały. Szybka kula w łeb, to

wszystko, czego jej trzeba. To może być nasza jedyna szansa.

Grim zdołał wznieść się ponad histerię Marty'ego, co trochę poprawiło mu samopoczucie. Wzmocniło to jego pewność siebie; wiedział już, że nie jest człowiekiem bez kręgosłupa i ciągle nie brakuje mu też zdrowego rozsądku.

— Staramy się ją zabić od trzech pierdolonych wieków — powiedział. — I przez ten czas jej oczy były bezustannie zamknięte. Marty, ty naprawdę nie pojmujesz, co się tutaj dzieje? Chłopcy zdołali rzucać w wiedźmę kamieniami, ponieważ ona im na to pozwoliła. Chciała być kamienowana. Chciała osłabić nasze morale. To była część jej planu. Krwawiący strumień, proces, tortury na placu, samobójstwo Tylera... To wszystko jest częścią naszego ostatecznego upadku. Tylko po tym wszystkim była w stanie namówić kogoś, żeby rozciął jej szwy.

— Jak myślisz, kto to zrobił? — zapytała Claire.

— Jaydon Holst? — odpowiedział pytaniem Warren. — W ogóle by mnie to nie dziwiło. Albo jego matka, ta szalona wdowa po rzeźniku, w zemście za to, co uczyniono jej synowi.

Claire pokręciła przecząco głową.

— Bzdura. Griselda obecnie tak się boi Katherine, jak wcześniej miała na jej punkcie fioła.

— Myślę, że to zrobił ojciec Tylera Granta — powiedział Grim.

— Steve? Nie... dlaczego?

— Nie wiem. — Grim zmarszczył czoło. Jego wzrok powędrował ku ciemnej części centrum kontroli. Główny ekran był czarny. Odniósł wrażenie, że coś wokół niego biega. Lucy też to usłyszała i przechyliła głowę. — Może dlatego, że jest ostatnią osobą, którą można by o to podejrzewać?

— To nie ma sensu — powiedział Warren, ale w jego głosie dało się usłyszeć wahanie.

Grim wpatrywał się w ciemność. To, co się tam poruszało, miało już kompanów. Nie rozumiejąc, co podpowiada mu wzrok, zobaczył cień sunący wzdłuż ściany w kierunku Marty'ego: było to coś czarnego jak smoła, kudłatego, o futrze, po którym skakały pchły. Zanim Grim zdołał wyrzec słowo, Marty krzyknął i upuścił latarkę. Coś ukazało się w jej świetle, kiedy toczyła się po podłodze: olbrzymi, wielgachny szczur. Zdaniem Grima miał rozmiar małego kota.

— Skurwysyn! Ugryzł mnie! — krzyknął Marty i zerwał się na równe nogi.

Wyciągnął przed siebie rękę. Skóra na jego przedramieniu była rozerwana i krwawiła. Grim zaczął przeszukiwać podłogę przed ekranem, korzystając z własnej latarki, i po chwili zastygł w bezruchu. Spoglądało na niego pięć szczurów. Miały chytre, świdrujące ślepia i ogony jak glisty, owinięte wokół wzdętych ciał. Jeden z gryzoni był wychudzony i miał białą błonę na ślepiach; zwierzę najwyraźniej było chore.

Claire również zobaczyła szczury i zawołała:

— Spieprzajmy stąd jak najprędzej!

— Masz rację — zareagował Grim niespodziewanie stanowczym tonem. — Lucy, obejrzyj rękę Marty’ego. W kuchni jest apteczka pierwszej pomocy. Rana nie wygląda na głęboką, ale nie chcę, żeby chłopak nabawił się jakiejś infekcji. — Wcale nie tego się boisz, odezwał się głos w jego głowie, ale gwałtownie go stłumił. — Claire, posłuchaj mnie. Warren i ja weźmiemy samochód służbowy. Pojedziemy prosto do West Point, a jeśli nam się nie uda tam dotrzeć z jakiegokolwiek powodu, zatrzymamy się przy pierwszym domu w Upper Highland Falls i zaczniemy wydzwaniać po pierdoloną pomoc. Ty i Marty weźmiecie swoje auto. Chcę, żebyś rozglądała się i wypatrywała wszystkiego, co wyda ci się nienormalne — to może być cokolwiek. Jeśli natrafisz na Katherine, trzymaj się od niej z daleka, jednak postaraj się zaalarmować jak najwięcej ludzi. Upewnij się, że ludzie będą ją obserwować, i natychmiast zgłoś się na drodze numer 293, tam znajdziesz nasz samochód.

— Nie możemy opuścić miasta, Robercie...

Grim musiał się jednak przekonać o tym osobiście. Pierwsze letnie domy przy drodze, stojące już w Upper Highland Falls, znajdowały się w odległości około pięciu kilometrów od granicy Black Spring — po raz pierwszy w życiu fakt ten odnotował z zadowoleniem — a posterunek wojskowy w Round Pond zaledwie kilometr dalej. Katherine była siedemnastowieczną wiedźmą, a nie obcą armią na polu bitwy. Kilometr w dowolną stronę nie powinien mieć w walce z nią żadnego znaczenia.

* * *

Żadna pomoc nie miała już nigdy nadejść.

Nikt z HEX-a nie przebył nawet połowy drogi do posterunku, gdzie nadal świeciły się lampki na choince. Niemal stracili Warrena Castillo i Grim musiał gnać na złamanie karku, żeby go wycofać do Black Spring, co niemal kosztowało go życie. Wcześniej prawie zabił wszystkich troje, jednak Claire miała dość przytomności, żeby zażądać, aby zatrzymał samochód tuż przed granicą miasta. Kontynuowali podróż na piechotę... na wszelki wypadek.

O Boże. Te wizje, które im ukazała. Nic w ich codziennych fantazjach nawet w odległy sposób nie przypominało tego niewysłowionego horroru. Nawet w najmroczniejszych chwilach życia nie doświadczyli tak nienawistnego przygnębienia, tak destruktywnego smutku. Gdy tylko minęli tylną stronę tablicy witającej w Black Spring, odnieśli wrażenie, że znaleźli się w niewidzialnej chmurze gazu trującego, ciężkiego od pesymizmu, strachu i nakłaniającego do popełnienia samobójstwa. Grim musiał powstrzymać Warrena przed rozbiciem czaszki o nawierzchnię drogi, ale sam z trudem panował nad sobą i oganiał się od ohydnych myśli, które wdzierały się do jego mózgu.

Jakoś jednak zdołali przejść poza granicę Black Spring. Przystanęli jak rozbitkowie z zatopionego statku, wciśnięci pomiędzy dwa oceany szaleństwa, wpatrując się w pomarańczowe światła drogowe tuż przy bezpiecznej przystani posterunku wojskowego. Przed nimi leżała śmierć, jednak wiedział, że powinni się bać rzeczy znacznie gorszych od śmierci.

Krzyczeli. Naciskali klakson. Strzelali z raketnicy. Dołączyło do nich kilku dzielnych ludzi z najbliższych domów, których zaintrygował hałas, nikt jednak nie wyszedł z posterunku i żaden samochód nie pojawił się na drodze. Claire sugerowała, że posterunek może być opuszczony (mimo że paliły się lampki na choince?) albo że dźwięk klaksonu nie niesie się dalej niż na odległość kilkuset metrów, Grim nie przypuszczał jednak, by chciała kogoś przekonać. Jasne, było to możliwe. Piętnaście minut później wrócili na granicę miasta z ładunkiem sztucznych ogni z furgonetki Boba Tooky'ego — Bobby był miejscowym waźniakiem, który w okresie świątecznym zawsze potrafił przemycić do miasta trochę fajerwerków. Rozpoczęli bezustanny czerwono-zielony wybuchowy spektakl, który oświetlił całe wzgórze i musiał być widoczny na wiele kilometrów, aż po Highland Falls, po West Point i prawdopodobnie nawet po drugiej stronie rzeki Hudson.

Ale nic się nie wydarzyło.

Nikt się nie pojawił.

Jedyną odpowiedź na nawoływania otrzymali pół godziny przed północą, gdy powietrze trochę oczyściło się z zapachu prochu. Był to wstrząsający, szaleńczy krzyk, który rozległ się w ciemności za ich plecami; wysoki, przenikliwy wrzask, który zmroził wszystkie stawy w ciele Grima. Jednak zdołał go natychmiast rozpoznać; oczywiście, bo cóż innego to mogło być?

Po stronie Black Spring, mniej więcej w miejscu, gdzie zaparkowali samochód służbowy, przez szosę przebiegł paw. A potem kolejny... i jeszcze jeden. Z krzaków w przydrożnym rowie ptaki zaczęły kierować łepki w stronę Grima i żałośnie zawodzić, najpierw na zmianę, a później unisono, wszystkie razem. Grim nigdy nie przypuszczał, że głos pawia potrafi go napełnić tak oszałamiającym łękiem, jednak to właśnie się działo. Zakręciło mu się w głowie. Zmusił się do nabrania w płuca zimnego powietrza, żeby nie zemdleć. Powietrze trochę oczyściło jego głowę, a to już było coś.

Popatrzył na niego Warren i w słabym świetle Grim zobaczył, że opuszczają go resztki determinacji, którą zdołał dotąd w sobie zgromadzić, pozostawiając na jego twarzy ponurą maskę rezygnacji i fatalistycznego spokoju.

— Pawie. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Grim nie odpowiedział mu. Nie musiał. Byli teraz jak szczury w pułapce. Z każdą mijającą godziną, w której nie nadchodziła pomoc, szanse, że zjawi się przy nich ktokolwiek, kurczyły się. Grim doskonale to wiedział. Co będzie jednak,

jeśli godziny zamienią się w dni? Co czekało ich wtedy? Gdy Grim rozmyślał o mroźnych zimach sprzed stuleci, o głodzie, epidemiach i opustoszałych miastach, pawie kontynuowały obłąkańczą symfonię, a po chwili nabrał ochoty, żeby zawodzić razem z nimi.

Może powinienem pójść na spacer? — pomyślał. Po prostu trochę się przespacerować. Co mam właściwie do stracenia? Był to kuszący impuls i przez chwilę uważał spacer za coś, czego nie uniknie... ale Warren Castillo złapał go za rękę i go zatrzymał. Kapitan zawsze schodzi ostatni z tonącego okrętu

* * *

Nad ranem Grim postanowił wrócić na granicę miasta, kiedy tylko pierwsze promienie światła pojawiły się nad rzeką Hudson. Był piątkowy poranek i spodziewał się na drodze wielu ludzi dojeżdżających do pracy. Droga numer 293 nie należała do głównych tras, jednak zawsze jeździło nią sporo samochodów. Zawsze. Gdyby któryś zbliżył się do Black Spring, mogli go zawrócić.

Ale potem — co potem? Co zrobią ważniacy z Pointu? Abrakadabra i więdźmy nie ma?

Grim odepchnął od siebie tę myśl. Jak się okazało, było to najmniejsze z jego zmartwień. Ponieważ wkrótce usłyszał coś nawet z Old Miners Road: przytłumiony zgiełk tłumu, który zgromadził się na placu i na ulicach w pobliżu Małego Kościoła Metodystów. Małymi grupami mieszkańcy spieszyli tam ze wszystkich stron, żeby zobaczyć, co się dzieje. Grim zbladł, kiedy dostrzegł, że wielu spośród nich w obawie przed nieznanym, które czekało za drzwiami, uzbroiło się w noże kuchenne, młotki, kije baseballowe... i w broń palną. Większość trzymała broń przy boku, jednak bez wątpienia wszystkich swędziły ręce i w razie konieczności byli gotowi przelewać krew. Elegancko ubrana kobieta, w której rozpoznał pielęgniarkę z Roseburgha, zerwała krucyfiks ze ściany i trzymała go przed sobą, idąc wśród tłumu, potykając się i chwiejąc jak pijana.

— A więc to koniec — powiedział. — Gównu się rozlało.

Warren ponuro potrzęsnał głową.

Grima ogarnęło silne poczucie déjà vu: znów miał do czynienia z miejską traumą, podobnie jak piętnastego listopada, kiedy młodzi ludzie, skazani za ukamienowanie więdźmy, zostali poddani torturom na oczach wszystkich mieszkańców... Chociaż teraz na ulice wyszło znacznie mniej osób. I powietrze dzisiaj było zupełnie inne niż wtedy, bardziej duszne. Dzisiaj unosiła się w nim woń zła, które miało wkrótce nastąpić. Obywatele Black Spring właściwie nie zmrużyli oczu przez całą noc i byli przemarznięci do kości, lecz byli też zaskoczeni, że w ogóle przetrwali tę pierwszą noc po katastrofie. Teraz mdłe światło dnia wzbudziło w nich nowe inspiracje... w formie wściekłości, która niczym zmiana warty zastąpiła strach. Podburzeni przez wieszczów zagłady, takich

jak John Blanchard, funkcjonowali jakby obok samych siebie. I koniecznie chcieli się dowiedzieć, co mają teraz robić.

Chcieli się też dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za ich niedolę.

Gdy Grim przepychał się przez chaotyczną ciżbę na skrzyżowaniu, niespodziewanie z tłumu wybiegł Marty Keller i do niego przyłgął. Miał szeroko otwarte i podkrążone oczy, a na jego górnej wardze widoczna była zaschnięta kropla krwi, która wyciekła z jego nosa.

— Robert! Musimy coś zrobić!

— Marty, do diabła, co się dzieje?

— Ludzie wszędzie szaleją. Splądrowali Market & Deli jak dzikie świnie. Ktoś rzucił krzesłem w okno wystawowe sklepu Jima i w mgnieniu oka wszystko, co znajdowało się za szybą, zostało rozkradzione, mówię ci. Ludzie próbują robić zapasy w domach — boją się, że żadna pomoc nie nadejdzie. Ale to nie jest prawda, co? Pomoc jest w drodze?

To już się dzieje, pomyślał Grim, głęboko zaskoczony. Tylko tyle trzeba, żeby rozpocząć zbiorowe szaleństwo: ludzie tylko przez jedną noc zdani byli wyłącznie na siebie i niemalże zdziczeli.

Marty przyciskał się do jego ramienia. Wyglądał, jakby się miał za chwilę rozplakać.

— Ty chyba nie masz nadziei, co? Czytam to z twojej twarzy. Mówi się, że na południe i na północ od drogi numer 293 wybuchły pożary, ale nikogo to i tak nie interesuje. W elektrowni wiedzieli, że dzieje się coś cholernie złego, już od pierdolonego wczoraj. Poza tym, co z członkami rodzin ludzi z Black Spring? Przecież nadchodzą święta, muszą być zaniepokojeni brakiem łączności z krewnymi. Tymczasem nikt z zewnątrz nawet nie zbliża się do miasta. Kurwa, co jest?

— Nie wiem, Marty — mruknął Grim. — Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakby wciągnęła cię wyżymaczka.

— Ja... nie czuję się najlepiej. Chyba mam gorączkę.

— Gdzie, do diabła, jest Mathers?

— Nie wiesz?

— O czym?

— Mathers popełnił samobójstwo.

W innych okolicznościach Grim kazałby zadać w rogi i z wielką pompą obwieścić górom i dolinom radosną wiadomość o śmierci Mathersa, ale teraz pomyślał jedynie: Kurwa mać! Teraz, kiedy sprawy toczą się naprawdę źle, wstrętny szczur pokazał nam gołą dupę.

Radny przynajmniej potrafiłby uspokoić tłum. Teraz próbował to czynić duchowny, stojąc na wybrukowanym chodniku przed kościołem, jednak jego głos był stanowczo za słaby, aby mógł zapanować nad oszalałą ciżbą. Z ulgą popatrzył

na Grima, gdy ten wstąpił na schody kościoła i przejął inicjatywę.

— Posłuchajcie mnie, proszę! — wrzasnął. — Ludzie, uspokójcie się.

— Zamknij jadaczkę, Grim! — odkrzyknął mu jakiś mężczyzna z tłumu. Płakał, co głęboko poruszyło Grima. — Ona ma już otwarte oczy. Po co więc nas uspokajasz?

Ktoś inny mu przytaknął i w mgnieniu oka tłum był już tylko zbiorem dzikich spojrzeń i uniesionych pięści. Ludzie nie wykrzykiwali żadnych sloganów, nie można też było ze ściany dźwięku zrozumieć pojedynczych krzyków, jednak panował powszechny gniew i nienawiść. Wierni synowie i córki Kościoła, niewierzący oraz ci, którzy stracili już wszelką nadzieję, połączyli siły i zarzucali się nawzajem tymi samymi pytaniami:

— Gdzie ona jest?

— Czego chce?

— Co zrobi?

— Co się z nami stanie?

— Jako Amerykanie mamy prawo wiedzieć!

— Dlaczego nikt nam nie przychodzi z pomocą?

— Czy to prawda, że ten tchórz Mathers skończył ze sobą?

— Co z naszymi najbliższymi, którzy przebywali poza miastem — gdzie oni teraz są?

Wkrótce plac był już zbyt mały dla wszystkich nieszczęśników i ludzie zaczęli się potracać, rozpychać, ścisnąć, tak jakby każdy chciał zająć inne miejsce niż to, w którym się akurat znajduje, a kiedy już je zajął, nawiedzała go ochota, żeby wrócić na miejsce poprzednie. Niektórzy tracili równowagę, niektórzy wszczynali bijatyki. Grim zobaczył młodą kobietę, która przewróciła się na bruk; jakiś gruby osilek nadepnął jej piętą na głowę i złamał jej szczękę.

To jest szaleństwo, pomyślał. Szaleństwo. Wczoraj po południu wszyscy ci ludzie byli zupełnie normalnymi, dobrze wychowanymi, współczesnymi Amerykanami...

— Ofiara! — niespodziewanie krzyknął John Blanchard z namiętnością szaleńca. — Musimy złożyć jej krwawą ofiarę! Któż ściągnął na nas tę zagładę? Przeprowadźcie go tutaj! Ukamienujemy go!

Rozległ się aplauz tłumu.

— Cholera jasna, uspokój się! — zawołał Grim, jednak jego słowa dotarły jedynie do kilku tuzinów ludzi znajdujących się najbliżej schodów. — Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapanować nad sytuacją, i tym bardziej nie ma żadnego sensu jakiegokolwiek nierozsądne zachowanie. Ponieważ zawodzą systemy łączności, będziemy się starali przekazywać co trzy godziny najnowsze informacje na miejskim rynku... Hej, ludzie, słuchajcie mnie!

— Powiedz nam coś, czego jeszcze nie wiemy! — wrzasnął ktoś. — Kto jej

otworzył oczy?

— Właśnie, kto to zrobił?

— Zabić go!

— Rozerwać na strzępy!

Grima zaczęła ogarniać paniką: wobec tego tłumu był całkowicie bezradny. Wściekłości, która wzięła nad nim górę, nie mógł stłumić jeden człowiek i Grim czuł, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

W niżej położonym rogu placu tłum zaczął się wycofywać sprzed witryny Griselda's Butchery & Delicacies. Matka Holst i jej syn właśnie wyszli na zewnątrz. Znieruchomieli, kiedy zobaczyli ogromną rzeszę ludzi. Na twarzy Jaydona malowało się totalne osłupienie. Grim zdziwił się, że chłopak dopiero teraz zobaczył, jakie sceny dzieją się w mieście; czy w ogóle było możliwe, że dotąd nic nie wiedział? Ale tłum na jego widok zamilkł. Nagle zebrany przyszło stanąć twarzą w twarz z ich heretykiem, ich skazańcem, ich wyrzutkiem.

Griselda już wcześniej proponowała miastu ofiary. Znała milczący słownik takiego aktu i zaraz wślizgnęła się z powrotem do domu. Zaryglowała za sobą drzwi.

— To on! — zawołał ktoś, wskazując na Jaydona lampą, którą zabrał z domu.

— On to zrobił!

Tak, wszyscy to wiedzieli. Wszyscy byli o tym przekonani. Któż inny mógł otworzyć oczy Katherine, jak nie bydlak, który ją ukamienował, który otrzymał za to słuszną karę i który wrócił na ich litosne łono tylko po to, żeby się od niego odwrócić i dokonać zemsty na całym Black Spring? To głębokie poczucie niesprawiedliwości zapaliło lont wiodący do zbiorowego szaleństwa, któremu już nikt nie był w stanie się oprzeć. Wkrótce jakieś trzydzieści do czterdziestu osób półkołem otoczyło złoczyńcę i zaczęło mu wygrażać drżącymi rękami i zaciśniętymi pięściami.

W swoich ostatnich chwilach Jaydon musiał widzieć, że człowieczeństwo zniknęło z ich twarzy, i odwrócił się ku drzwiom sklepu mięsnego z obliczem wykrzywionym przez prymitywny strach. Co musiał pomyśleć, kiedy zdał sobie sprawę, że drzwi są zamknięte na klucz? Co się działo w jego głowie, kiedy zaczął bić w nie pięściami i widział przez szybę matkę, wpatrującą się w niego kamiennymi oczami, gdy widział w tej szybie odbicie ludzi, zaciskających wokół niego krąg?

Wreszcie, w jednej chwili, jego pogromcy porzucili wszelkie zahamowania i krąg zamknął się nad nim. Ludzie błyskawicznie unieśli Jaydona nad głowy i ponieśli go wśród falującej i rozwrzeszczanej ciżby. Jaydon wrzeszczał, ile miał sił w płucach. Z kościelnych schodów Grim dostrzegł jego przerażone oczy, kiedy mieszkańcy Black Spring rozrywali na nim ubranie, wyrywali mu włosy i wreszcie

kończyny. Nie minęło kilkanaście sekund i zginął, a ludzie wciąż rozrywali go na strzępy jak wilki. Wbijali w jego ciało pazury, noże, bili w niego młotkami, a Grim, pozbawiony już wszelkiej nadziei, padł na kolana i z wymiotował na kamienne schody.

Odczuwał głęboką pogardę dla współmieszkańców. Chciał zdystansować się od tego wszystkiego, nie chciał już być człowiekiem; ponieważ ci osobnicy pokazali mu człowieczeństwo od najgorszej strony, nie chciał mieć z nimi już nic wspólnego. Przewrócił się na beton, pogrążony w skrajnej rozpacz. Pocił się i cierpiał, dławił się gęstymi, gorącymi łzami i kwaśnym smakiem żółci. Nie miał pojęcia, jak długo leżał w ten sposób. Oprzytomniał, kiedy usłyszał odgłos wystrzału, który odbił się echem od ścian domów. Miał jednak coś wspólnego z tłumem: ten hałas wszystkich wyrwał z odrętwienia.

Grim podniósł wzrok, przetarł dłonią twarz.

Na lewo od niego, tam gdzie przed chwilą dokonano linczu, stał Marty Keller, samotny na tle rozwścieczonych ludzi. Nad głową w obu rękach trzymał rewolwer, czarny Special kalibru 38. Jego ręce wciąż drżały po odrzucie, jaki towarzyszył naciśnięciu spustu. Wpatrywały się w niego setki nie rozumiejących oczu. Ludziom wciąż krew ściekała po palcach, ich policzki pokryte były śliskim potem, ale strzał z rewolweru sprawił, że ich emocje nagle wygasły.

Chłopak wziął z sejfu cholerną broń służbową. Grim nie wiedział, kto udzielił mu na to zgody, teraz gotów był jednak go wycalować.

Wtedy nadeszła wiedźma.

Wieść przebiegła przez tłum jak bezmyślna modlitwa: „wiedźma, tutaj jest wiedźma, o Boże, wiedźma...”. Ludzie zaczęli się cofać, ukazując to, co pozostało z Jaydona Holsta: papkę złożoną z ciepłej krwi i jeszcze drgających mięśni. Nie patrzyli na to. Wszyscy skierowali spojrzenia tam, gdzie ukazała się postać z ich najgorszego koszmaru. Grim podążył wzrokiem za ich spojrzeniami.

Katherine van Wyler nadchodziła Upper Reservoir Road, trzymając za ręce dziwnie ubrane dzieci; była niczym uosobienie absurdałnego spokoju. Pewna siebie, nie okazując, że się gdziekolwiek spieszy, szła na spotkanie ze swoimi owieczkami. Mieszkańcy Black Spring po raz pierwszy zobaczyli jej otwarte oczy i natychmiast ogarnęły ich najczarniejsze myśli. Jej bezbarwna twarz nosiła charakterystyczne rysy, które znali do tej pory, ale teraz pozbawione krwi, przeszyte mięso jej ust i jej powieki żyły i błyszczały świeżą tkanką. Każdą osobę na placu uderzył fakt, że jej oczy nie wypatrywały z ukosa na boki ani nie miały ohydnych, chorego połysku, jakiego spodziewali się w najczarniejszych koszmarach. W gruncie rzeczy też, gdy jej upiorna maska zaszytych oczu i ust zniknęła, Katherine była zaskakująco ludzka. Jej twarz nie straszyla już, lecz uderzała łagodnymi i wytwornymi rysami. Wiedźma spoglądała na ulice, domy i na

ludzi z dwudziestego pierwszego wieku z tłumionym zaciekawieniem, zrodzonym w ciągu trzystu pięćdziesięciu lat ciemności, uśmiechała się ze zdumieniem i radością. Nie pozostał najmniejszy ślad po jej złośliwości: była po prostu matką z dziećmi. Czy tego przez cały czas pragnęła? Wyraz jej oczu można by nazwać jedynie wyrazem niewypowiedzianej rozkoszy.

Jej widok nie miał nic wspólnego ani z przerażającymi wizjami, które utrwaliła w umysłach ludzi, ani ze strachem, w jakim żyli przez te wszystkie lata. Czy to mogło być prawdą? Katherine wcale nie wzbudzała odrazy... to oni w swoich głowach uczynili ją obiektem wstępu i najwyższego obrzydzenia.

Robert Grim z wielkim przerażeniem patrzył, jak Katherine z dziećmi dochodzi do rynku. Scena ta miała wszelkie atrybuty szczęścia, a jednak szczęścia wcale w niej nie było, nie było w niej idylli, na jaką zasługiwała. Ponieważ Katherine przesunęła wzrokiem po zgromadzonych ludziach i żałosnych szczątkach Jaydona i jej oczy napełniły się smutkiem.

A Grim pomyślał: Nigdy się nie nauczymy.

Tłum cofnął się, byle jak najdalej od niej. Niektórzy ludzie próbowali uciekać, większość rozumiała jednak, że ucieczka nie ma sensu. Jakby na jakiś niewidzialny znak wszyscy zgromadzeni padli na kolana niczym muzułmanie, kierujący się twarzą w stronę Mekki. Ze ściśniętymi gardłami rzucili się ku stopom wiedźmy, całkowicie zdani na jej łaskę, i błagali ją w zbiorowej modlitwie: Przepraszamy cię, Katherine. Przyjmujemy cię do naszego grona, Katherine. Oszczędź nas, Katherine.

Jednak na rękach wciąż mieli krew i wkrótce miało jej popłynąć jeszcze więcej. Kątem oka Robert Grim zobaczył przeznaczenie, zbliżające się pod postacią Marty'ego Kellera, który w drżących rękach trzymał rewolwer i przedzierał się przez tłum klęczących ludzi.

Grim chciał wstać i krzyknąć na niego, żeby się cofnął, jednak potknął się i upadł twarzą na trotuar. Powietrze uciekło mu z płuc i chociaż krzyknął, jego krzyk rozbrzmiał za późno.

Marty strzelił. Jednak Marty był specjalistą od komputerów, a nie strzelcem wyborowym. Poza tym nigdy w życiu nie znajdował się pod tak wielką presją jak w sekundzie, w której pociągnął za spust. Trafił w szyję małego Joeya Hoffmana; chłopiec natychmiast padł na ziemię. Krew obryzgała suknię Katherine. Wiedźma pochyliła się, chcąc złapać dziecko, Joey był jednak martwy, zanim się przewrócił.

Mała Naomi krzyknęła i objęła ramionami szyję wiedźmy. Następną kulą, która miała raz na zawsze zerwać klątwę Katherine, wyrwała dziewczynce większą część czaszki. Można było usłyszeć, jak wiedźma gwałtownie próbuje złapać powietrze. Chwiała się przez chwilę, jakby w makabrycznym walcu, a u jej stóp spoczywały ciała dwojga dzieci.

To jest żart, pomyślał Grim. To jest jakieś straszliwe nieporozumienie, nie

potrafię go nawet ogarnąć.

Wiedźma popatrzyła na Marty'ego.

Marty zaczął krzyczeć. Chciał uciekać, nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa. Wiedźma ruszyła w jego kierunku, przygarbiona, spokojna. Uwięziła jego wzrok w spojrzeniu pełnym pogardy, żalu i żądzy bezlitosnej zemsty.

Położyła dłonie na ramionach Marty'ego i wciąż patrzyła na niego. Przez ponad dziesięć sekund wpatrywała się w nieopatrznego egzekutora, a tłum cofał się, byle dalej od niej i od niego. Wreszcie Katherine zakaszła mu prosto w twarz.

Marty zrobił jeden niepewny krok do tyłu i odwrócił się twarzą do tłumy. Zaczął drżeć i pocić się, jakby w jednej chwili zaatakowała go wysoka gorączka, z nosa gwałtownie poleciała mu krew. Piana i krew pojawiły się także na jego ustach.

— Pomóżcie mi... — wyjąkał, jednak mieszkańcy Black Spring wciąż się cofali, wystraszeni, że zarażą się tym, co właśnie spadło na niego.

Marty wyciągnął ręce w ich kierunku i padł na kolana. Grim dostrzegł, jak ciemne grudki wyrastają na jego policzkach i na szyi, formując groteskową maskę łuszczących się strupów. Zaczynało brakować mu tchu, po chwili nie potrafił już powstrzymać się od kaszlu, ohydneho, chrypiącego, skrzekliwego. Marty kaszłał, jakby za chwilę miał wypluć płuca. Po niedługiej chwili przewrócił się i zaczął się wić, kopać powietrze, jego żyły trzaskały pod skórą, a jego twarz zrobiła się czarna jak węgiel. Zabierała go śmierć, ale on wciąż jeszcze patrzył ślepyimi, wywróconymi, oskarżycielskimi oczyma na oszołomionych ludzi. Jednym z tych ludzi był doktor Walt Stanton, który wypowiedział przez zęby dwa straszliwe słowa:

— Czarna ospa...

Teraz Katherine rzuciła się na ziemię i zaczęła bić w trotuar obiema pięściami. Od tych uderzeń zadrżało całe miasto. Pod jej pięściami pojawiły się pęknięcia w bruku, a Grim już wiedział: tego poranka, poranka kary, nie ma już miejsca na powściągliwość, nie ma miejsca na rozsądek. Jedynie na pokutę. Ludzie z Black Spring sami ściągnęli to na siebie: to oni byli źli, ale takim złem, jakie wyrządzić może tylko człowiek. To oni stworzyli zło pod postacią Katherine, pozwalając, żeby fatum i poczucie beznadziei, tkwiące w nich samych, wzięły górę poprzez zadawanie kary niewinnym i kreowanie własnego wizerunku prawości. Katherine dała im wybór. Teraz było już za późno i gdy wszyscy dookoła Roberta Grima zaczęli uciekać w próżnym wysiłku uwolnienia się od złego wzroku wiedźmy, ta świadomość wzniecała w nich pierwotny lęk, który można było porównywać jedynie do najwcześniejszych wspomnień z łona matki: do pierwszej przegranej, do pierwszego nieodwracalnego wyjścia z bezpiecznego schronienia, do pierwszej tęsknoty, aby powrócić do tego, co się za sobą zostawiło.

Jedyną reakcją noworodka na okrutną halucynację urodzenia jest krzyk...
I Robert Grim właśnie zaczął krzyczeć.

32

Późnym popołudniem w poniedziałek, dwudziestego czwartego grudnia, Steve Grant obudził się, czując, że na twarz kapie mu woda. Leżał na zmrożonej leśnej ściółce, pod nieskończonym dachem z cienkich gałęzi. Spróbował wstać, jednak natychmiast upadł z powrotem, bezradnie jak dziecko. Przekręcił się na bok i zaczął pełzać po cienkiej szadzi pokrywającej błotnistą ziemię. Czuł ból w całym ciele, każdy oddech sprawiał mu ogromne trudności. Do diabła, gdzie właściwie był, co tutaj robił? Zegarek pokazywał mu, że jest godzina szesnasta trzydzieści dwudziestego czwartego dnia miesiąca, ale Steve nie potrafił pojąć, co to znaczy. Chryste, spędził w lesie cztery dni i cztery noce.

Po chwili znów znieruchomiał i leżał apatycznie, wsłuchując się w nienaturalną ciszę lasu. Był mokry, otępiąły z zimna i cały czas się trząsł. Wciąż miał na sobie ubranie z pogrzebu. Jego policzki pokryte były czterodniowym zarostem. Usta miał suche i lepkie, pokryte warstwą śliny, która smakowała jak sam las i jak szyszki sosnowe. Spróbował przywrócić ciało w stan zamroczenia, z którego przed chwilą się wybudził, pozostawał jednak czujny i ciekawy... nie, nie życia, ale...

Tyler! Czy ona oddała Tylera?

To pytanie postawiło go na nogi. Ostre ukłucie bólu w plecach wywołało na jego twarzy krzywy grymas i oparł się o pokrytą liśćmi stertę ziemi. Rozejrzał się i zobaczył rzędy wysokich, bardzo starych choin. Bez emocji rozpoznał, że znajduje się w zalesionej części Mount Misery, tuż za swoim domem. Najwyraźniej ukrył się w jednym z zarośniętych okopów, które wykopali słuchacze Akademii Wojskowej, kiedy ćwiczyli w tej okolicy — a może okopy pochodziły aż z czasów wojny o niepodległość? Chętnie kryły się w nich norki i grzechotniki.

Wydarzenia minionych dni zaczęły do niego powracać — powoli i fragmentarycznie, jak drewniane kawałki kadłuba wyrzucane na brzeg po katastrofie morskiej. Przypomniawszy sobie, jak był sam w domu po pogrzebie Tylera i jak...

O Boże. Piskłę sowy. Włosy Tylera. Ona przyszła do niego, a on otworzył jej oczy. Na Boga, co on zrobił?

Jego wspomnienia tego, co się wydarzyło pomiędzy ucieczką do lasu a chwilą obecną, były kruche. Czy to możliwe, że przez cały ten czas znajdował się w stanie delirium? A jego umysł był tak sparaliżowany wizją tego, co na siebie ściągnął, że po prostu zamknął się w sobie? Najwyraźniej nie był świadomy tego, co robi, i spał przez długie godziny, niebudzony nawet przez fizyczne potrzeby. Chociaż trudno mu było nazwać ten stan snem. Był to raczej stan półprzytomności,

w którym koszmary i to, co realne, mieszały się jak podwójny obraz w stereotypykonie. I to musiało być delirium. No bo w przeciwnym wypadku przecież nie pamiętałby procesji zawodzących biczowników, przedzierających się przez las i objających w akcie cynicznej ekspiacji swe obnażone plecy sznurami, na których przewiązane były supły. To przecież musiało być przywidzenie, prawda?

Trzasnęła jakaś gałązka i Steve zamarł. Ściągnęła mu się skóra na głowie. Jeszcze raz zwrócił uwagę na nienaturalną ciszę w lesie. Nie latały w nim ptaki, żadne zwierzęta nie wędrowały między drzewami. Słyszał tylko delikatny szum wiatru wśród koron drzew i od czasu do czasu szelest jakiegoś zmrożonego liścia. Ale dlaczego trzasnęła ta gałązka? Czy to sprawka Katherine? Czy była razem z nim w ciemności, kiedy leżał i spał? Albo... a może to był Tyler?

— Przestań — powiedział chrapliwym głosem.

Zdał sobie sprawę, że chociaż jest przy zdrowych zmysłach, dopuszcza do siebie myśl, że to martwy syn chodzi za nim w tym lesie. Znowu zdrzął. Skóra na jego czaszce naciągnęła się i posłała ciarki wzdłuż całego kręgosłupa.

Przecież to się musi stać, tak czy inaczej, prawda? Obiecane zmartwychwstanie — nazwijmy rzecz po imieniu.

Ale nie ośmielał się, nie mógł inwestować nadziei... właściwie w co? Drzał i próbował wymazać tę wizję ze swoich myśli, jednak ona nie chciała go opuścić. Wszystko, co się działo, było przerażająco złe. Cisza była zła; zapadający zmierzch też był zły. To, co Steve uczynił, tłamsiło go jak ciężar nie do utrzymania. Wsunął rękę do kieszeni, szukając telefonu komórkowego, ale najwidoczniej zostawił go w domu.

Nie potrzebował kryształowej kuli, żeby zobaczyć swoją przyszłość: pójdzie teraz do domu i stanie twarzą w twarz z konsekwencjami tego, co zrobił. Tego prawdopodobnie się po nim spodziewano, a on czuł się do tego zobowiązany...

Ale do diabła z tym. W rzeczywistości nie był gotów jeszcze się z tym zmierzyć. Modlił się, aby Jocelyn, z jakiegokolwiek powodu, pozostawała aż dotąd w szpitalu z Mattem. Albo zawróciła na pierwszy sygnał... na jakąkolwiek pierwszą wskazówkę, że Katherine ma otwarte oczy, i zamknęła się w jakimś bezpiecznym motelu w Newburghu.

To dlatego plan był cholernie perfekcyjny, prawda? Jocelyn przebywała w Newburghu z Mattem... daleko, bezpieczna, na nic nienarażona. Może to sama Katherine czekała, aby wystąpiły właściwe okoliczności... aby zachować bezpieczeństwo.

Modlił się, żeby to była prawda, nie pozwalał sobie jednak na luksus uwierzenia w coś takiego.

Dalej szedł ścieżką, ale nie tą, która zygzakiem przecinała Ostęp Filozofów i prowadziła do jego domu. Zmierzał bardziej na południe, przez Róg Ackermana,

gdzie dolina Spy Rock prowadziła do miasta. Tam zamierzał ocenić sytuację. Gdyby okazało się, że wszystko jest we względnym porządku, planował wrócić do domu i sprawdzić, czy jest tam Jocelyn. Ale nie wcześniej. Ponieważ jeśli na rękach miał krew Black Spring, istniało też okrutne prawdopodobieństwo, że jest odpowiedzialny za straszny los swojej żony... i nie był pewien, czy potrafi to przyjąć do wiadomości.

W ostatnich promieniach słońca szedł do miasta. Czuł ból w całym ciele, na szczęście uspokoił się przynajmniej jego żołądek.

Co to za odgłosy dobiegały z miasta ostatniej nocy?

Myśl ta przyszła do niego nieproszona i nie miał siły, żeby się od niej uwolnić — ba, niemal zwała go z nóg. Tak, było mu zimno, wszystko go bolało, przypomniał sobie. Był głodny i miał skurcze żołądka, nie panował nad drżącym ciałem, jednak cierpienie fizyczne było niczym w porównaniu z torturami psychicznymi. Wyniszczający strach przed ciemnością doprowadzał go do halucynacji, prawdopodobnie wzmacnianych brakiem tlenu, jak to bywa w przypadku ludzi ogarniętych paniką. A zaczęło się to właśnie od hałasów. Wraz z nimi dotarły do niego wstrętne zapachy. Hałasy i zapachy wywołały ohydne wizje, które nieomal pozbawiły go świadomości... gdy słyszał jęki, widział cierpiących ludzi wijących się na ziemi, ludzi o czarnych twarzach i czarnych krostach pod pachami, na szyjach. To nie były jednak krosty od ospy: czarna ospa była przecież chorobą Starego Świata. Gdy wciągał zapach topiącego się asfaltu, zobaczył beczki ze smołą palone na rogach ulic w celu oczyszczenia miazmatycznego powietrza; nie wiadomo dlaczego, ale to Pete VanderMeer podpalił je własnoręcznie zrobioną pochodnią, wykonaną z pary zamoczonych w benzynie dżinsów, okręconych na kiju od mopa. Gdy wciągał zapach płomieni, zobaczył, jak pali się Mały Kościół Metodystów. Za szkłem witraży widział ludzi chorych i martwych, wszyscy krzyczeli. Twarze w jego wizji były maskami o otwartych ustach, wykrzywionych przerażeniem, a Steve w końcu się odwrócił, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości — nawet we śnie — że jego znajomi i w ogóle mieszkańcy Black Spring płoną.

Ale zawsze była w tym śnie Katherine. Wciąż stała, nieporuszona, i wszystko obserwowała.

W pewnej chwili przed jego oczyma ukazała się totalnie surrealistyczna iluzja. Na środku rynku wszystkie dzieci z Black Spring stały ciasno opatulone w kokony z białego płótna — niektóre były bardzo małe, inne trochę większe, wszystkie ściśnięte w jedną grupę za pomocą powiązanych prześcieradeł. Jedni stali drugim na ramionach i cała ta konstrukcja sięgała wysoko ku niebu jak okrągły stożek, trochę przypominający pierś kobiety. Można było dostrzec spod płótna zaróżowione policzki i oczy: stożek składał się z czterystu dzieci z Black Spring, niesamowicie żywych, o rozmarzonych, szklistych oczach. Mężę

przeżywali jednak ich rodzice, zgromadzeni na ulicach prowadzących do tej wspaniałej wieży, lecz wzajemnie powstrzymujący się przed zbliżeniem do niej, ponieważ było jasne, że jeśli któryś z nich nie oprze się pokusie zabrania swojego dziecka z tej konstrukcji, wieża natychmiast runie. Na jej szczycie stała Katherine, niczym wspaniała matczyzna brodawka na piersi, polewająca ciepłe mleko ze srebrnego dzbanu. Mleko ściekało po bokach jak z doskonale symetrycznej fontanny, a setki głodnych dziecięcych języków lizało je.

Oszczędzi dzieci, pomyślał Steve, wpatrując się w tę scenę w swoim delirium. Czy oni tego nie pojmują? Tylko niech tego nie zniszczą; ona oszczędzi dzieci...

Nie miał pojęcia, skąd się wzięła u niego ta groteskowa wizja. W najdziwaczniejszych fantazjach nigdy dotąd nie wyobrażał sobie takiego ponurego szaleństwa połączonego z niepokojącym, naturalnym pięknem. Steve leżał, wpatrując się w stożek, jakby był świadkiem cudu. Jednak wizja przemieniła się i zamiast Katherine z dzbanem, wieńczącej pierś, zobaczył Griseldę Holst, żonę rzeźnika, nagą jak ją Pan Bóg stworzył. Gruba i mięsista, wyrastała na konstrukcji wysoko ponad głowami rodziców z Black Spring. Podobnie jak kiedyś im oferowała mięso, tak teraz zamierzała karmić ich dzieci. Dawała im życie. Strumienie pasztetu wypływały z jej łona jak błony płodowe i okrywały boki fontanny, brudząc doskonały kształt i pokrywając mazią dziecięce twarze.

Niemożliwe, że ja to widzę, pomyślał Steve. Kurwa, nie ma mowy. Wciąż tkwię w jakimś delirium. Na pewno. Za minutę się obudzę, wystarczy tylko poczekać.

A wizja znów zdawała się zmieniać — jeszcze raz pojawiła się w niej Katherine, a może widział ją przez cały czas. I nagle Steve zrozumiał, że mieszkańcy miasta widzieli tylko to, co chcieli zobaczyć: rzeczy obsceniczne, złe, wstrętne. Gdy Katherine stworzyła obraz szczęścia, rodzice widzieli tylko okrucieństwo. I musieli je zniszczyć.

Celnie rzucony kamień uderzył Griseldę-Katherine w czoło, przecinając brodawkę jak nóż do kartonu. Rozłożyła ramiona, zachwiała się i wpadła prosto w chmurę dzieci. Niski trzask dał się słyszeć niczym pęknięcie struny basowej i nagle dzieci zaczęły uwalniać się z konstrukcji tam, gdzie została ona zniszczona. Wkrótce runął cały piękny stożek. Czteryście dzieci wyleciało w powietrze, jakby ktoś je wystrzelił z katapulty. Steve mimowolnie otworzył usta, obserwując straszliwą scenę, i dostrzegł na dziecięcych twarzach panikę, usłyszał ich żalosne okrzyki strachu i bezgranicznego zdumienia. Ich rodzice nie przeszli próby i nagle dzieci zaczęły spadać z nieba wprost na nich, łamiąc ręce i nogi. Lament, jaki się podniósł nad rynkiem, nie był ludzki i znacznie przekraczał granice szaleństwa, a Steve w swoim delirium pojął, że nawet jeśli jeszcze nie jest szalony, wkrótce oszaleje i tak. Lecz wizja nagle zgasła i znowu pogrzyżył się w ciemności. Pozostała

mu tylko nieokreślona pewność, że trzymał we własnych rękach rezultat tej męczarni.

Gdy las się rozrzedził, niebo było niemal czarne, a chmury tworzyły na nim warstwę ciemnej purpury. Steve ze szczególnym zadowoleniem kogoś, kto wraca do domu, zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Za płotem z drutu kolczastego, który biegł wzdłuż ścieżki, znajdowały się zamrożone pastwiska Rogu Ackermana, gdzie John Blanchard zawsze wyprowadzał na wypas swoje owce. Miał przed sobą dziwnie martwy widok. Z trzech stron otaczał go las, a Black Spring leżało poniżej, za przełęczą, jeszcze niewidoczne. Dalej na południowy wschód ziemia opadała ku dolinie rzeki Hudson i widać było światła Fort Montgomery i Peekskill. Rodziny zapewne gromadziły się właśnie przy świątecznych posiłkach i bożonarodzeniowych drzewkach, wesoło trzaskały płomienie w kominkach, rozwijano prezenty. Myśl o tym nappełniła go wielką melancholią: miasta w dolinie wydawały mu się teraz miejscami egzotycznymi, równie kuszącymi co nieosiągalnymi.

Nie, wcale nie nieosiągalnymi. To jest mój czyściec, pomyślał Steve. Jeśli przejdę próbę, będzie na mnie czekał raj, prawda?

Ta myśl sprawiła, że znów przypomniał sobie wizję z ostatniej nocy i potężny ciężar spadł na niego jak wielki kamień.

Pierdolone brednie. Zdusił w sobie to głupie wspomnienie i ruszył szybszym krokiem w kierunku Black Spring.

* * *

Prawdopodobnie nic na świecie nie mogło przygotować Steve'a Granta do konfrontacji z miastem, w którym wychował swoje dzieci.

Black Spring pograżyło się w chaosie. Jedyne poezja szaleństwa mogła usprawiedliwiać hałasy, które wznosiły się ku niebu. Gęsty, duszący dym unoszący się nad centrum miasta sprawił, że Steve'owi zaczęły łzawić oczy i trudno mu było oddychać. Ale dopiero kiedy przystanął w najwyższym punkcie miasta, na Wzgórzu Świątynnym, zobaczył pełny obraz upadku.

Rynek miejski wypełniony był hordą szaleńców. Już nie setki, ale dwa albo trzy tysiące ludzi uczestniczyło w totalnym pandemonium wycia, zawodzenia, bijatyk, głośnych awantur. Zgromadzili się tam dosłownie wszyscy mieszkańcy Black Spring. Nie sposób było się zorientować, kto z kim i o co walczył. Z Griselda's Butchery & Delicacies pozostały popioły, inne budynki też się paliły. Potężne ognie, które oświetlały tłum, sięgały ku szczytom drzew i odbijały się w dziwnych oknach Małego Kościoła Metodystów, które sprawiały wrażenie, jakby spoglądały na bezbożną ciżbę oczami jak z piekła. Steve próbował rozpoznać kogokolwiek w oszalałym tłumie, ale zdał sobie sprawę, że to niemożliwe: twarze ludzi zdawały się identyczne, pozbawione były oczu i ust, oblicze jednego szaleńca

nie różniło się niczym od oblicza innego. Wszystkie należały do ludzi z Black Spring, a Black Spring przeżywało swoją najczarniejszą godzinę.

Coś kazało mu się odwrócić, jakaś siła, której źródło zdawało się tkwić poza nim, i Steve z trudem stłumił w sobie krzyk. To była Katherine van Wyler. Stała na jednej z dróg wiodących na wzgórze, spoglądała w dół, opierając się o pontiacę grand am o podwójnej chromowanej rurze wydechowej; samochód wyglądał, jakby już nigdy nie miał nigdzie pojechać. Jego maska i szyby były rozbite, a Katherine stała boso wśród kawałków potłuczonego szkła. Chyba jej to nie przeszkadzało. Anarchię, która zapanowała w mieście, obserwowała zupełnie beznamiętnie.

— Przerwij to! — zawołał Steve. Zrobił kilka niepewnych kroków w jej kierunku na nogach, w których stracił już wszelkie czucie. Gdy był wystarczająco blisko niej, ściszył głos. — Proszę cię, spraw, żeby oni przestali. I nie rób tego więcej. Dostyc. Proszę.

Ale wtedy Katherine powoli odwróciła głowę w jego kierunku. I gdy tylko zobaczył jej twarz, zrozumiał, że to, co uznał za beznamiętność, w rzeczywistości było głębokim szokiem, porównywalnym z jego własnym przerażeniem. I wtedy pojął. Oczywiście, stwierdził. Wcale nie wiedźma to wszystko spowodowała.

To nie była kara ani zemsta. To było Black Spring, po prostu.

Katherine uniosła rękę i wskazała na kościół.

Jocelyn i Matt, pomyślał Steve... i nagle, uwolniony od delirium, patrzył już na płonący kościół. Wewnątrz roило się od upiorów, a wśród nich znajdowała się jego żona i młodszy syn. Jedno oko Matta było wilgotne i szare, a włosy Jocelyn potargane i brudne. Matt desperacko trzymał się matki, ale Jocelyn krzyknęła, kiedy łuk nad jej głową eksplodował tysiącami rozżarzonych węgielków, które posypały się na nich oboje.

Nie było to przypomnienie gorączkowego snu z zeszłej nocy, lecz raczej kolejna wizja, wtłaczana do jego umysłu. Dzieło Katherine.

I Steve nagle miał już mdłą pewność, że Jocelyn i Matt naprawdę znajdują się w kościele i że stanie się coś strasznego, coś, czemu on musi zapobiec.

— Matt jest w szpitalu — mruknął. Wszelkie kolory odpłynęły z jego twarzy. Zdawał się tracić kontrolę nad mięśniami. Jego usta opadły, jakby zaraz miał krzyknąć: „Matt jest w szpitalu, nie może go tam być!”.

Ale palec Katherine wskazywał bezlitośnie na kościół.

Po drugiej stronie rynku wybuchła strzelanina i rozległ się krzyk jakiejś kobiety wyraźnie przebijający się przez odgłosy awantury:

— Moje dziecko, tylko nie moje dziecko!

Steve jednak prawie jej nie słyszał.

Jezu, tam jest Matt. Tam jest Jocelyn. Jesteś teraz zadowolony z nieszczęścia, jakie ściągnąłeś, ty cholerny głupku? Ale jak to możliwe, że Matt jest w tym kościele?

Czyż mógł być na tyle głupi, żeby uwierzyć, iż Matt i Jocelyn pozostaną w Newburghu, że unikną najgorszych chwil w Black Spring? Przecież tragedie w ten sposób się nie kończą, nawet jeśli ktoś chciałby, aby nie okazały się prawdą? A zatem kogo Steve właściwie chciał oszukać?

Popatrzył na wiedźmę.

— Gdzie jest Tyler?

Katherine nieubłaganie wskazywała palcem na kościół.

Ten palec, ta ręka, oczywista odpowiedź na jego pytanie; przeraziły go bardziej niż chrapliwy dźwięk jego własnego roztrzęsionego głosu.

— Muszę wiedzieć. Czy tam jest Tyler?

Nic, tylko ten palec.

Pospiesz się, popaprańcu; przecież ona tego nie kontroluje. Nie ona to zaczęła. To miasto oszalało, a Jocelyn i Matt są prawdopodobnie w środku tego szaleństwa. Ona daje ci szansę...

Steve zawahał się, wstrząśnięty smutkiem, a nie złem w oczach wiedźmy... a potem zaczął biec.

Pograżał się w zawierusze.

* * *

Nierozpoznany przez nikogo, zaczął przeciskać się przez tłum. Kiedy znalazł się pośrodku zbocza, tłum wokół niego zgęstniał i wkrótce Steve stracił wszelkie poczucie kierunku. Był potrącany i popychany na wszystkie strony przez brudne, spocone ciała o odrażającym zapachu: ohydny smrodzie strachu, smrodzie niemalże trującym.

Steve zobaczył wydarzenia, jakich do końca życia nie miał już zapomnieć.

Eve Modjeski, była sprzedawczyni z Market & Deli, chodziła z zakrwawioną twarzą — miała dużą ranę na czole — śpiewając głośno coś, w czym w ogóle nie było melodii. Jej oczy obracały się, jakby zupełnie nad nimi nie panowała. Pewien mężczyzna, którego nazwiska Steve nie znał, ale który jeszcze niedawno pracował jako sprzedawca w Marnell's Hardware, przeciskał się pomiędzy ludźmi z nagimi zwłokami, w których Steve rozpoznał dzieci Claire Hammer. Na ziemi leżało pełno martwych ciał. Niektórzy ludzie zginęli od ran postrzałowych — można ich było uważać za szczęściarzy.

Walcząc z paniką, która próbowała przejąć nad nim kontrolę, Steve zaczął wykrzykiwać imiona żony i syna, ale zaraz zdał sobie sprawę, że popełnił błąd: jego rozedrgany głos nieuchronnie zwrócił uwagę tych, którzy teraz go rozpoznawali. Ludzie zaczęli go otaczać ze wszystkich stron. Ich oczy, w których aż do tej pory widział jedynie matowy błysk ignorancji, zaczynały rozbrzmiewać nagłą nieziemską grozą... i oskarżeniem.

— To on! — rozległ się czyjś wysoki głos i Steve rozpoznał z przerażeniem,

że to Bammy Delarosa wskazuje na niego palcem. — To on ściągnął na nas złe spojrzenie.

Tłum nagle opanowało szalone przerażenie. Podczas gdy kobieta, która wznieciła zamieszanie, wciąż wykrzykiwała swoje oskarżenie — przecież to nie mogła być Bammy, na pewno się pomylił — inni zaczęli głośno się modlić i wykonywać znak krzyża w desperackich próbach uchronienia się przed człowiekiem, który ściągnął na nich wszelkie zło. Steve patrzył na to z niedowierzaniem, powoli cofając się, ale wpadając na innych, którzy wyciągali ręce i szarpali jego ubranie.

Oni wiedzieli.

Wiedzieli, że to on otworzył oczy czarownicy. Był jak kozioł ofiarny w siedemnastowiecznej osadzie traperów... wiadomo, jak te historie się kończyły.

Wyrwał się im i zaczął biec. Tłum rozpraszał się przed nim i Steve wykorzystywał dezorientację ludzi, jednak nawoływanie, żeby go zabić, podążało za nim szybciej, niż był w stanie uciekać. Kiedy zobaczył Warrena Castillo, zatrzymał się tylko dlatego, że już wiedział, że i tak nie ucieknie. Nieważne skąd to wiedział, ale była to prawda.

— Warren! — powiedział z wahaniem, a potem dotknął jego ramienia. — Do diabła, co się tutaj dzieje?

Warren odwrócił się i Steve zobaczył, że mężczyzna trzyma w ręce największy tasak rzeźnicki, jaki można sobie wyobrazić.

— Steve — powiedział. — Od dość dawna cię nie widziałem. Jak było na pogrzebie?

Steve cofnął się o krok. Wyczuł od Warrena obrzydliwą woń potu. W jego głosie było coś nieuchwytnego; nie spodobał mu się jego ton. Ani trochę. Warren wydawał się mocno struty, Steve nie czuł jednak w jego oddechu alkoholu, a jedynie zaawansowaną zgniliznę.

— Widziałeś Jocelyn?

— A kto to taki?

Cisza.

— Moja żona.

— Moja żona? — Znów ten dziwny ton w głosie Warrena. — Moja żona zebrała dzisiaj rano w lesie trochę jagód jałowca i jakubka. Mówi, że to oczyszcza powietrze. Nie wiem, kto jej o tym powiedział... — urwał w połowie zdania i przesunął kciukiem po ostrzu tasaka. — Dlaczego to zrobiłeś, Steve? Dlaczego musiałeś otworzyć jej oczy?

Chciał odpowiedzieć, ale kiedy otworzył usta, okazało się, że jego gardło jest zbyt ściśnięte, aby mógł wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa. Ale sekundę później coś uderzyło go w szyję i w tej chwili całe powietrze natychmiast wyleciało z jego ust. Steve przewrócił się, uderzył twarzą o ziemię. Nagle wokół niego zrobiło się

ciemno, widział jedynie tenisówki, buty, kapcie... kopano go ze wszystkich stron. Charcząc, zdołał odwrócić się na plecy i nagle zobaczył przed sobą twarz Reya Darrela i dwie mroczne lufy strzelby.

— No i kogo my tu mamy? — odezwał się Darrel. — Czyż na taki widok nie zapłacze każdy dumny Amerykanin?

— Rey — syknął Steve. — Nie...

— Pierdolony zdrajca.

Wypowiedziawszy te słowa, Rey odchylił się i uderzył go strzelbą w twarz. Steve usłyszał, jak pękają mu kości, i poczuł w szczęce przenikliwy ból. Jego głowa luźno zatańczyła na szyi, czaszka uderzyła o bruk, krew pionowo wystrzeliła z jego ust.

Chyba przez minutę, a może jedynie przez kilka sekund, leżał bez przytomności. W każdym razie wkrótce poczuł, że jest wleczony, potem gdzieś niesiony, a tłum wrzeszczy coś w wielkim podnieceniu. Czuł zapach bruku, dymu, szaleństwa. Zakrztusił się krwią, wypluł ząb. Świat wirował mu w głowie, kiedy ludzie nieśli go nad głowami; miał mdłe wrażenie, że leci w powietrzu i już nigdy nie wylądaje. Mieszkańcy Black Spring transportowali go do miejsca, w którym miała zostać wykonana kara na nim — bez sądu. Był przerażony, rozbita szczęka nie pozwalała mu krzyczeć, zbliżał się jego kres.

Ale wtedy wydarzyło się coś szczególnego.

Nagle zdał sobie sprawę, że widzi twarze mieszkańców Black Spring tymi samymi oczami, których bał się przez tak długi czas... oczami, z których zerwał szwy. Może to dlatego, że podobnie jak Katherine, teraz także on wiedział, jak to jest być uznanym za wyrzutka. Może dlatego, że jak Katherine, teraz on był obiektem ich złości. A może dlatego, że dopiero w obliczu nieuchronnej śmierci potrafił zapanować nad tym, co zawsze zdawało się źródłem jego największego strachu w Black Spring, ale teraz w dziwny sposób przypominało powrót do domu.

To objawienie spadało na niego coraz wyraźniej, w miarę jak tłum zbliżał się do kościoła i koszmar wokół niego stawał się coraz mroczniejszy. Poczuł się blisko związany z Katherine i odczuł z tego powodu dziwną ulgę, pewien sens wspólnoty z nią. Uspokoił się w rękach inkwizytorów i czuł, że ich ręce już go nie ranią. Zamknął oczy, ale wciąż widział świat oczami Katherine: wyzwolona z łaskawej ciemności, oglądała teraz, co trzysta pięćdziesiąt lat postępu cywilizacji uczyniło z mieszkańcami jej miasta. Kobiety ciągnięte były za nogi albo za włosy i wrzucane do kościoła. Rozległo się głośne skandowanie:

— Wiedźma! Wiedźma! Wiedźma!

Nasączone benzyną sterty siana i opon były już przygotowane pod ścianami kościoła. Theo Stackhouse, teraz już niezamaskowany egzekutor ze Wzgórza Świętynnego, trzymał nad głową płonąca pochodnię. Jakaś kobieta z dzieckiem na ramionach próbowała uciec oprawcy, który celował z pistoletu w tył jej głowy,

jednak zginęła. Jej zwłoki ktoś natychmiast wciągnął do kościoła, razem z żywym dzieckiem, wciąż obejmującym ją rączkami.

Po chwili również Steve został wrzucony do kościelnego przedsionka. Wylądował na stercie ludzi i drzwi świątyni zatrzasnęły się tuż przed jego twarzą.

Zaczął pełznąć, byle jak najdalej od zwłok. Dopiero po dłuższej chwili poczuł pod rękami zimną posadzkę. Podniósł się najpierw na czworakach, a potem stanął na nogach. Zrobił kilka kroków jak pijany i prawie przewrócił się z powrotem na posadzkę. Jego opuchnięta twarz pulsowała tęnym i gwałtownym bólem, który przyprawiał o zawroty głowy. Miał wrażenie, że jego dolna warga zwisa zupełnie luźno. Szczeka była złamana.

Nie minęło dużo czasu, gdy cichy szept ognia rozpalonego na zewnątrz zamienił się w grzmot, który wywołał jęki i wrzaski ludzi uwięzionych w kościele. Nie trwało też długo, nim pękł jeden z witraży okiennych i w ciemnej nawie wylądowała butelka z koktajlem Mołotowa. Płomienie wystrzeliły pomiędzy drewnianymi ławkami.

Temperatura natychmiast gwałtownie wzrosła i sprofanowany kościół rozświetlił piekielny ogień. W tym ogniu Steve zobaczył, że świątynia pełna jest ludzi, z desperacją rzucających się na zabarykadowane drzwi, na ściany, próbujących dotrzeć do okien i kucających pod ławkami, aby uniknąć kolejnych wrzucanych butelek. Gdy ruszył do nawy środkowej, aby znaleźć się jak najdalej od ścian, przy których temperatura rosła najszybciej, wiele osób wyciągnęło ku niemu ręce, pytając go, patrząc z niedowierzaniem, dlaczego to uczynił. Widział ludzi, których kiedyś uważał za przyjaciół — chociażby Pete'a VanderMeera klęczącego z martwym dzieckiem w ramionach. Kiedy podniósł wzrok, ich spojrzenia spotkały się przez jeden paraliżujący moment i Steve zobaczył w oczach Pete'a jedynie desperację i... ogromny wyrzut.

Nawet tutaj uważano go za winnego.

Ale czy naprawdę był winny? Czy to właśnie on spowodował to piekło? Przecież jego decyzja, aby otworzyć oczy Katherine, była jedynie reakcją wywołaną bólem po stracie syna, ale kto był za tę śmierć odpowiedzialny? To Jaydon Holst zmusił Tylera, żeby wysłuchał szeptu Katherine. Ale czy sam Jaydon był za to odpowiedzialny po tym, co uczyniło mu miasto? Albo czy odpowiedzialna była za to Katherine po tym, co jej uczyniono?

Jedno zło wywoływało kolejne, większe zło, aż w końcu całe zło zbiegło się w Black Spring.

Miasto samo ściągnęło na siebie najgorsze.

Ogarnął go chłód natury tak mrocznej i pierwotnej, że Steve zaczął drzeć mimo przerażającego gorąca. Gardził nimi. Gardził nimi. Wszystkimi. Tymi w kościele i tymi na zewnątrz. Wszyscy byli tacy sami. Teraz to zrozumiał.

Przez te wszystkie lata to jego oczy były zaszyte. Ale dość już tego.

Wszystkie te otwarte usta wrzeszczące ze strachu, te wszystkie wytrzeszczone oczy, teraz z niego drwiące!

Mógł być ich wyrzutkiem.

Ale nie mogli go oślepić — na pewno nie jego.

Ruszył w kierunku prezbiterium, wszystkich przeklinając. Na jego wysoko uniesioną twarz spadały rozżarzone fragmenty dachu, który w szybkim tempie przestawał istnieć, jednak Steve o to nie dbał: to był jego ogień. Pieprzyć tych wszystkich ludzi. Pieprzyć ich nigdy niekończący się łańcuch egoistycznych wyborów. Pieprzyć ich odmowę pojednania, pieprzyć ich nieumiejętność kochania, pieprzyć ich chorą skłonność do widzenia wszystkiego w najgorszych barwach. Tyler był inny: Tyler miał marzenia. Cholera, cholera, cholera; niech będą przeklęci wszyscy ci, którzy mu odebrali Tylera.

— Tata?

Steve znalazł drzwi, o których wszyscy inni zapomnieli, ukryte w mroku za amboną. Nogi jakby same go tam zaprowadziły, bez udziału świadomości. Teraz jednak gwałtownie się zatrzymał. Wciąż drżał, nie z zimna, lecz z powodu gorączki, jaką wzbudziła w nim wściekłość. Ściągnął już klucz z haka na ścianie i ściskając go mocno w dłoni, odwrócił się.

To byli oni.

Daleko, we mgle gęstego dymu zobaczył Jocelyn osłaniającą Matta własnym ciałem przed kaskadą płomieni. Jej nagie plecy i pośladki były osmalone, pokryte pęcherzami, ale wciąż miała tę samą twarz, nienaruszoną przez ogień. Steve dostrzegł, że jej usta poruszają się. Zdał sobie sprawę, że wypowiada jego imię, jakby we śnie zobaczyła anioła. Wkrótce dosłyszał jej chrapliwy głos:

— Steve, to ty? Och, Boże, Steve, pomóż nam!

Ale to Matt pierwszy ruszył w jego kierunku: wybudził się ze stanu katatonicznego i teraz niemal biegł do ojca.

Steve poczuł, że jego twarz ciemnieje.

Widok młodszego syna, bladego po pobycie w szpitalu, wciąż z opatrunkiem na jednym oku, przypominał mu o wiecznej dychotomii rodziny i o żalu po stracie Tylera... Tylera, który to wszystko rozpoczął. Te kilka paraliżujących sekund odarło go z resztek oporu przed tym, co zamierzał zrobić. Poczuł na sobie wzrok przeklętych. To Matt, biegnący główną nawą, zwrócił ich uwagę. Steve naparł na ciężkie drzwi i zaczął je otwierać drżącymi rękami.

— Tato, czekaj!

Popatrzył na spiralne schody. Głęboka ciemna dziura. Absolutna ciemność.

Niektóre ścieżki, owszem, mogą wieść przez taką ciemność, ale wkraczanie na takie ścieżki to niegodziwość lub szaleństwo.

Wcale nie szaleństwo, Steve już wiedział. Miłość.

Katherine została zmuszona do poświęcenia jednego dziecka, aby ocalić to

drugie. Czymże to było jak nie miłością?

Steve cofnął się i wsunął klucz do zamka. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz, zaciągnął skobel, zanim dosięgły go pierwsze dłonie.

* * *

Potoczył się po stromych schodach.

Z łomotem spadł na samo dno i długo leżał bez ruchu, zwinięty w kłębek na chłodzących kamieniach, jęcząc z bólu. Piwnica była pogrążona w całkowitej ciemności, takiej ciemności, do której nigdy nie przyzwyczajają się żadne oczy. Ale chociaż nic nie widział, mnóstwo odgłosów docierało do jego uszu. Słyszał uderzenia w drzwi, bezładny łomot w nieustępliwe drewno, wznoszący się ponad huk ognia. I słyszał upiorne wrzaski ludzi. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że słyszy swoje imię, udręczony krzyk smutku i bólu. Odepchnął jednak od siebie tę myśl.

Położył się na plecach. Otworzył oczy, zamknął i znów je otworzył.

Było tu w miarę wygodnie. Ta ciemność doskonale mu odpowiadała.

Skierowała jego myśli ku miłości. Gdzieś w innym świecie rozlegały się krzyki umierających ludzi, a on wyobrażał sobie, że to jest śpiew przeklętych. Znowu zwinął się w kłębek, chciał być tak mały, jak tylko się da, i wsadził sobie palce do uszu. Zaczął głośno śpiewać.

Zanim zasnął, wyszeptał:

— Kocham cię, Tyler.

Jednak w ciemności nikt mu nie odpowiedział.

* * *

A w tym samym czasie pojawiła się Katherine van Wyler i wyglądała tak samo, jak widziało ją w koszmarach każde dziecko w Black Spring. Niewydarzona wiedźma, posiadająca moc starszą niż rodzaj ludzki, starszą niż te części wszechświata, które były stare, zanim pojawiła się Ziemia. Stała na Wzgórzu Świątynnym, twarzą zwrócona w kierunku płonącego kościoła, wykonując druidyczne ruchy rękami wzniesionymi ku niebiosom, bełkocząc jakieś niezrozumiałe słowa w języku, którego nie znał żaden człowiek, a jednak panicznie się go bał. Nieliczne osoby, które ją zobaczyły, zaczęły krzyczeć, ale Katherine niewzruszenie kontynuowała swoje inkantacje skierowane ku niebu...

...i przez cały czas płakała.

Ludzie z Black Spring zaczęli iść na wschód: wielka procesja złamanych dusz. Niektórzy z nich byli nadzy, wszyscy mieli w oczach to samo puste oszołomienie. Wszyscy rozpoczęli marsz przy płonącym kościele, mimo że się nie umawiali. Kiedy dotarli do drogi numer 293, nie weszli na nią, lecz po prostu zniknęli w lesie po drugiej stronie. Minęły prawie trzy godziny, zanim pierwszy

z nich wyłonił się na sennej uliczce na południe od granicy Fort Montgomery. Za oknami starannie utrzymanych domów kolonialnych rodzice schodzili ze strychów po schodach, niosąc całe naręczą kolorowo opakowanych prezentów. Układali je w blasku ognia dogasającego na kominkach, a tymczasem drogą szła koszmarne procesja, niemająca końca, przez nikogo niewidziana. Ludzie z Black Spring zniknęli pod wiaduktem autostrady i kierowali się prosto ku rzece Hudson.

Jeden po drugim wchodzili do rzeki, znikali pod lodowatą wodą, a potem porywał ich gwałtowny nurt.

Wiele godzin później niebo nad Highlands zapłonęło krwawą czerwienią.

A kiedy przyszedł w końcu świt, setki opuchniętych zwłok pływało leniwie pod mostem Tappan Zee, kierowanych przez prąd rzeki do Nowego Jorku... Ci, którzy wstawali najwcześniej, pierwsi natykali się na koszmara, jakiego nikt przenigdy nie chciałby zobaczyć.

Był dzień Bożego Narodzenia.

Epilog

Steve'a Granta obudziły blade promienie słońca padające mu na twarz i wstrętny posmak miedzi w nabrzmiąłych ustach. Oczy go piekły i musiał długo przyzwyczajać się do światła, zanim je na dobre otworzył. Leżał na zabłoconych kafelkach jadalni, we własnym domu.

A więc wrócił do domu. Spróbował przypomnieć sobie, w jaki sposób i kiedy opuścił płonący kościół, ale nie potrafił. Czas, który minął od chwili, w której zaryglował drzwi za amboną, był w jego głowie jedną wielką czarną dziurą. Taką jak ciemna piwnica.

Podniósł się na łokciu i zacisnął zęby z bólu. Resztki jego ubrania były porwane i śmierdziały dymem. Skórę na rękach miał niemal czerwoną. Kolano bolało go jak chory ząb. Ale w najgorszym stanie była jego twarz: lewa część była napuchnięta jak balon, ponieważ szczękę miał straszliwie zdeformowaną. Na pewno złamaną. Na pewno wdarła się do niej już jakaś infekcja. Jeśli chcesz myśleć o tym, aby wystartować w programie *Top Model*, musisz natychmiast się nią zająć, pomyślał bez emocji.

Wstał na nogi i tępo rozejrzał się dookoła. Wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, ale było zadziwiająco inne. Cisza w domu zdawała się sprawiać ból. Była tak wstrętna, że słyszał w niej, jak krew dzwoni mu w uszach. Czuł, że coś tutaj jest źle. Bardzo źle. Choinka wciąż stała tam, gdzie ustawiła ją Jocelyn, nieudekorowana. Mieli oboje zawieszać na niej ozdoby tego dnia, kiedy byli na zakupach w centrum handlowym. Ale przecież tego dnia znaleźli powieszzonego Tylera.

Drzewko zaczynało już gubić igły.

Jego uwagę przyciągnęło coś leżącego pod stołem: krótki kawałek czarnej nici. Nici z oka Katherine.

Ale gdzie ona teraz była? I gdzie był Tyler?

Steve zajrzał do holu. Po drodze popatrzył w lustro i natychmiast tego pożałował. Zobaczył pomarszczoną, zmasakrowaną, purpurową twarz z wytrzeszczonymi oczyma — prawie nie rozpoznał samego siebie sprzed kilku dni. Lewy policzek i dolna warga były ciemnoczerwone, niemal czarne, a dolna część całej twarzy pokryta strupami zakrzepłej krwi. Szczękę na pewno należało jak najszybciej zadrutować.

Pokuśtykał do frontowych drzwi, kciukiem rozsunał zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Trawnik pokryty był rosą i lśnił w słabym świetle. Zapowiadał się pogodny dzień. Jednak na zewnątrz też było jakoś niedobrze i w powietrzu również wisiała ta sama uciążliwa cisza co w domu. Wyjrzał na zachód, wzdłuż Deep Hollow Road, zobaczył jednak tylko drewniane i murowane domy, czekające na poranne słońce. Droga czekała z kolei, aż pojawią się na niej ludzie. Ale zdał sobie

sprawę, że to nigdy już nie nastąpi. Czuł, że wszystkie domy są puste. Przyszło mu do głowy pytanie, co zobaczy, jeśli pójdzie dalej do miasta. Powietrze było czyste, nie unosiła się w nim ani odrobina dymu. Nie było w nim... nic. Tylko ta upiorna cisza.

Wkrótce pewnie pojawią się władze. A co potem? Będzie tak jak w lutym 1665 roku. Kiedy pojawią się władze, zastaną jedynie tę ciszę. Trzy tysiące ludzi zniknęło bez śladu. Miasto duchów.

Właśnie, pomyślał Steve. A ja jestem jego burmistrzem.

Zaczął się śmiać — w rzeczy samej zanosił się głośnym rechotem. Atakował go długimi falami i brzmiał bardzo nieprzyjemnie w opuszczonym domu, jak śmiech umarłego człowieka. Przywodził na myśl wahadło, potężne średniowieczne narzędzie tortur, które zawisło nad ich życiem, odkąd wrócił z Jocelyn do domu i znalazł martwego Tylera: ostre jak brzytwa, poruszające się w dwie strony i wykonujące bezlitosne wyroki. Cóż, sąd się odbył, wyrok został wydany. Teraz Steve był jedynie obolałym ciałem, śmiejącym się bez końca w holu własnego domu.

Jego śmiech wkrótce przeszedł w krzyk.

Nie zapamiętał dokładnie kolejnych minut, wiedział jedynie, że przemarzył do szpiku kości, przemarzył tak, że nie miał już nadziei kiedykolwiek w przyszłości się rozgrzać.

Kiedy doszedł do siebie, siedział w holu, oparty o ścianę, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Na podłodze obok niego leżały narzędzia z apteczki domowej: nici chirurgiczne, skalpel, nożyczki, zakrzywiona igła. Był zaskoczony, że nie może sobie przypomnieć ani chwili, w której to wszystko wyciągał, ani celu, dla którego to zrobił. Przecież do naprawy szczęki potrzebował drutu, a nie nici.

Miał pustkę w głowie, aż w końcu uderzyła go myśl: Jocelyn i Matt nie żyją. Mam nadzieję, że wiesz, że ostatniej nocy pozwoliłeś im się spalić. Nie żyją, tak jak Tyler.

Jego ręka oparła się o ścianę, jakby żyła własnym życiem. Wyraźnie czegoś szukała, lecz po dłuższej chwili poddała się i opadła z powrotem na podłogę. Steve drżał — to przeraźliwe zimno!

Tu i teraz, na koniec wszystkiego, spadła na niego paraliżująca, niemal nie do zniesienia myśl, że podjął złą decyzję. Uciekł z mroku, ale to przecież światło, przekłete światło sprawiło, że ten mrok zobaczył. Poświęcenie jednego dziecka dla ratowania drugiego nie było wyborem Katherine, tę decyzję podjęli za nią sędziowie.

A teraz on był sędzią. W chwili ostatecznej próby on też nie wykazał najmniejszego dążenia do pojednania; zakładał, że wszyscy ludzie są źli, podobnie jak myśleli mieszkańcy Black Spring. Naprawdę wierzył, że zasługuje na to, aby ocalić Tylera rękami splamionymi krwią żony i młodszego syna? A nawet gdyby

Tyler wrócił, czyż nie byłoby to niczym innym jak wydarzeniem wzbudzającym największą odrazę?

Och, ciemność. Gdyby tylko znów mógł w nią wejść! Gdyby mógł cofnąć to, co uczynił. Nie chciał widzieć, co czeka go na końcu tego niewybaczającego światła. Mógł jedynie trwać w coraz słabszej nadziei, że Tyler nie umarł bez powodu.

Umarł z miłości, pomyślał.

Ktoś zapukał do drzwi.

Steve gwałtownie wciągnął powietrze.

Podniósł głowę.

Zobaczył cień za szybą. Wyraźną sylwetkę. Ktoś czekał, nie poruszał się.

To była sylwetka... chłopca?

Steve nie poruszył się, sparaliżowany strachem.

Niech ten ktoś odejdzie. Boże, proszę cię, niech on odejdzie. Przecież za drzwiami nie stał jego syn, a on nie czuł miłości, a jedynie niezgłębioną pustkę, która się przed nim otwierała i była znacznie, znacznie głębsza niż najgłębsza miłość.

Znowu pukanie.

Uderzenie pięścią — tylko jedno.

Dostrzegł tę pięść na szybie.

Steve Grant zebrał z podłogi igłę i nici, i chociaż cień za szybą nie przestawał pukać, zamknął oczy, mając nadzieję, że samotność wiecznej ciemności da mu przynajmniej jakieś schronienie przed zimnem.

Podziękowania

Przepraszam za wszystko, trochę poniosły mnie emocje.

Rozważania o ludziach, którzy straszili mnie, gdy byłem dzieckiem, muszę zacząć od mojej opiekunki. Miała na imię Margot i zawsze, kiedy zajmowała się mną i moją siostrą, opowiadała nam przed snem różne historie. Miałem siedem lat, kiedy Margot streszczała nam książkę *Wiedźmy* Roalda Dahla, ze wszystkimi szczegółami, niczym odcinek serialu telewizyjnego, jakich wiele możecie oglądać współcześnie na Netfliksie. Po każdym momencie kulminacyjnym gasiła światła, a ja leżałem pod kołdrą niczym sparaliżowany, wytrzeszczając oczy w mrok i obserwując, jak jej słowa ożywiają w mojej wyobraźni różne nieprzyjemne postaci.

Mniej więcej w tym samym czasie mój wujek Manus zabrał mnie na wycieczkę po lesie i opowiedział mi historię kręgów czarownicy, które napotykał na szlaku. Należało koniecznie mijać je z zamkniętymi oczami, jeżeli chciało się spotkanie z nimi przeżyć i kiedyś o nim opowiedzieć.

W 1990 roku w holenderskich kinach pojawiła się filmowa adaptacja książki Roalda Dahla. Wielką Czarownicę grała w niej Anjelica Houston. Do licha, ten film naprawdę mógł przstraszyć każde siedmioletnie dziecko. Ciężko przeżyłem ten seans.

Przez następne sześć miesięcy ze strachem wołałem mamę, widząc czarownice w każdym cieniu na półpiętrze za drzwiami sypialni. Za dnia bałem się chodzić sam po ulicy... że nie wspomnę o lesie, który rósł niedaleko mojego domu. Czarownice mogły być wszędzie. Podejrzana była każda kobieta. Książka i film spowodowały u mnie ogromny uraz. Czarownice w powieści Roalda Dahla noszą rękawice, żeby skrywać swe odrażające szpony, możecie więc sobie wyobrazić, jak bardzo dłużyła mi się zima tego roku.

Za każdym razem, kiedy natykałem się na krąg czarownicy, omijałem go z zamkniętymi oczami. Później przestałem wierzyć w czarownice, omijałem więc te kręgi w identyczny sposób, ćwicząc równowagę.

Jak wszyscy ludzie, wielcy pisarze też kiedyś umierają, założę się jednak, że gdyby Roald Dahl był wciąż z nami i mógł przeczytać, co mi zrobił, rozparłby się na krześle zadowolony, z szerokim uśmiechem. Był pisarzem, któremu w skrytości ducha straszenie małych, niewinnych dzieci... i ich rodziców, przy okazji, przynosiło radość.

Zdradzę wam sekret: mnie także to kręciło. Kiedy *HEX* po raz pierwszy został opublikowany w Holandii, zacząłem otrzymywać setki listów od czytelników, którym w nocnych koszmarach śniła się Katherine i którzy po lekturze książki musieli pozostawiać na noc włączone światło. Ach, ten głupi szeroki uśmiech na mojej twarzy... Nigdy całkowicie z niej nie zszedł. A teraz ta

książka na dodatek krąży po całym świecie. Jeśli kogoś z was wystraszyła, poproszę o informację na Facebooku lub na Twitterze. Z ochotą uśmiechnę się jeszcze szerzej.

Dziękuję ci więc, Roaldzie Dahlu. Dziękuję, Margot i Manusie. Dziękuję wam za dzieciństwo pełne koszmarów. Bez was ta książka nigdy by nie powstała.

Książka, którą właśnie przeczytaliście, różni się od oryginalnej wersji *HEX*, która ukazała się w Holandii i w Belgii w 2013 roku. Akcja tamtej powieści osadzona była w małej holenderskiej wiosce i kończyła się inaczej. Autorzy rzadko mają okazję, aby zmienić coś w książce już po jej publikacji. Ale kiedy moi agenci sprzedali prawa do jej przetłumaczenia na język angielski po obu stronach Atlantyku, niespodziewanie zyskałem okazję, żeby oryginalną opowieść osadzić w całkowicie nowym środowisku. Nie zrozumcie mnie źle: to nie jest tak, że nie podobała mi się akcja rozgrywająca się w Holandii. Uwielbiałem ją i uwielbiałem „holenderskość” książki. Nie w takim sensie, że czarownica paliła trawkę albo stała za oknem o czerwonych framugach w Amsterdamie; mam na myśli świecką naturę społeczności małych miasteczek holenderskich i to, że ludzie twardo stąpają tam po ziemi. Jeśli osoba zdrowa na umyśle dostrzeże na rogu ulicy oszpeconą czarownicę rodem z XVII wieku, czym prędzej ucieknie. Jeśli Holender lub Holenderka zobaczy oszpeconą czarownicę rodem z XVII wieku w kącie pokoju, zasłoni jej twarz ścierką do naczyń, usiądzie na kanapie i zacznie spokojnie czytać gazetę. I może złożyć jej ofiarę z pawia.

Zawsze, kiedy dostrzegam przed sobą kreatywne wyzwanie, podejmuję je. Jakaż z tego może być radość! A w tym wypadku miałem książkę, którą uwielbiałem, postaci, które kochałem, i okazję, aby je znowu ożywić, nie stając bynajmniej przed okropnym zadaniem napisania *sequelu*.

Mogłem za to stworzyć rozbudowaną wersję — możecie to nazwać *HEX 2.0*, jeśli chcecie — z nowymi bogatymi i wielowarstwowymi szczegółami, osadzoną na bazie legend i zabobonów z innego kręgu kulturowego, nie pozbawiając jej związków z holenderskimi elementami oryginału. Katherine Van Wyler wyszła na nowy ląd po podróży na pokładzie jednego z pierwszych statków Petera Stuyvesanta. Sielskie miasteczko Beek zastąpiło New Beeck, czyli kolonia traperów holenderskich, później przemianowana na Black Spring. Postacie holenderskie stały się amerykańskimi, jednak równie twardo stąpającymi po ziemi jak Holendrzy. Pozostała ścierka do naczyń, podobnie jak paw. I publiczne chłostanie nieletnich, powszechna i wesola tradycja, którą przypominamy każdego roku w wielu małych miejscowościach w całej Holandii.

Bycie Holendrem daje wielką korzyść — to banał, ale zarazem prawda: właściwie wszyscy Holendrzy mówią wieloma językami. Jeśli chodzi o mnie, językiem angielskim posługuję się niemal równie biegle jak ojczystym. Ta biegłość pozwoliła mi nie tylko przeczytać, ale także zredagować fantastyczne tłumaczenie

mojej książki na angielski, dokonane przez Nancy Forest-Flier. Praca nad książką w języku, który nie jest moim ojczystym, pozwoliła mi znacznie wnikliwiej wejrzeć w jej fabułę, a w szczególności zastanowić się nad zakończeniem. Coś mi nie pasowało. Coś musiałem zmienić. Uznałem, że potrafię zakończyć ją lepiej i jeszcze bardziej przerazić czytelnika. Właśnie takie zakończenie przeczytaliście. Przynajmniej kilka rozdziałów, od chwili gdy w Black Spring zaczyna się dziać naprawdę źle, powstało od nowa. Napisałem je po angielsku i naprawdę dobrze się przy tym bawiłem. Moim zdaniem książka stała się dzięki nim lepsza.

Oczywiście, słyszę już, co sobie myślicie i o co chcielibyście zapytać: A jak się kończy wersja holenderska?

Nie powiem wam.

Ale możecie przekupić jakiegoś Holendra — on na pewno wam powie.

Chcę skorzystać z okazji i podziękować Nancy, która naprawdę jest fantastycznym tłumaczem. Fantastycznie mi się z nią współpracowało. Znaczenie tłumaczy w literaturze jest ogromne, bo przecież to oni dzięki słowom pozwalają ludziom na całym świecie odkrywać nowe cudowne miejsca. Nancy jest niesamowita. Podobnie jak niesamowita jest Liz Gorinsky, która redagowała tę książkę. Nawet kiedy Nancy i ja uważaliśmy, że poradziliśmy już sobie z problemami dotyczącymi różnych aspektów kulturowych, które powstają, kiedy przenosi się akcję powieści w zupełnie inne miejsce, Liz odkrywała kolejne anomalie. Liz, ta książka jest jeszcze lepsza dzięki tobie. Wiele się od ciebie nauczyłem. Dziękuję ci.

Inni ludzie z Zespołu *HEX* to Oliver Johnson (cudowny wydawca z Wielkiej Brytanii i cudowny człowiek), Rod Downey, Vincent Docherty, Jacques Post, Maarten Basjes i wszyscy wspaniali ludzie z Tor Books w Stanach Zjednoczonych, z Hodder & Stoughton w Wielkiej Brytanii oraz z Luitingh-Sijthoff w Holandii. Specjalne podziękowania kieruję do Ann VanderMeer, która poza tym że jest fantastyczną i uczynną osobą, pomaga w karierze wielu młodym pisarzom. Ann, nie jestem w stanie dostatecznie podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Podobne podziękowania należą się Sally Harding, najbardziej rasowej i najmądrzejszej agentce literackiej, o jakiej mógłbym zamarzyć. Wspólnie z Ronem Eckelem Sally dokonała dla pisarza pochodzącego z małego, dalekiego kraju rzeczy niemalże niemożliwych. Sally i Ron: jesteście wspaniali i dobrze o tym wiecie.

Anja, twoja pomoc w kwestiach praktycznych była nieoceniona. Podawałaś mi pióro, zanim przychodziło mi do głowy, że zaraz będę podpisywał książkę, i miałaś oczy szeroko otwarte także wtedy, kiedy ja niczego nie widziałem. Wes, masz twórczy umysł i potrafisz dostrzegać doskonale rozwiązania; często wskazywałaś mi je, kiedy ja byłem w kropce. Jesteś również moim najlepszym kumplem. Rodzino Grantów: przepraszam, że ukatrupiłem waszego psa. Moja

rodzino: ~~przepraszam, że was zabiłem~~ kocham was. Francine, szczególnie kocham ciebie. I, Davidzie, dziękuję ci, że trwałeś przy mnie. Zawsze.

Co jeszcze?

Wszystko, co napisałem o nowej lokalizacji dla książki, nie czyni Black Spring ani trochę mniej realnym miejscem niż Beek w pierwszej wersji. Właśnie stamtąd wróciliście, prawda? Gdy tam byliście, zetknęliście się z wieloma mrocznymi wydarzeniami. Nie można przecież powiedzieć, że wasza wizyta skończyła się dla miasta dobrze.

Jeśli któregoś dnia zawitacie do Nowego Jorku, możecie wsiąść do samochodu i pojechać na północ wzdłuż rzeki Hudson. To będzie piękna wycieczka. Przejedźcie przez Bear Mountain Bridge i skręćcie w 9W za Highland Falls, a potem zanurzcie się w Black Rock Forest. Władze West Point odgrodziły wszystko po lewej i po prawej stronie drogi 293, gdzie kiedyś znajdowało się miasteczko Black Spring. Możecie się o tym przekonać na własne oczy, chociaż płoty i koszary nie są szczególnie interesujące. W pewnym momencie pojawi się ktoś, kto powie wam, żebyście stamtąd odjechali — będzie to ktoś, kogo rozkazu raczej posłuchacie.

Dlatego proponuję, żebyście przeszli się po lasach leżących dalej na północ. To pofałdowany teren, przecina go jednak kilka dróg i większość z nich dokądś prowadzi. Wsłuchajcie się w leśną ciszę. Będzie trochę dziwna, bowiem usłyszycie w niej jedynie szum wiatru i drzew. Żadnego śpiewu ptaków. Ani odgłosów leśnych zwierząt. Nic.

Jeśli natraficie na krąg czarownicy, omińcie go z zamkniętymi oczami.

Ale nigdy nie trzymajcie oczu zamkniętych zbyt długo.

Przecież nigdy nie wiadomo, z czym możecie się zderzyć.



Thomas Olde Heuvelt

HEX

ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

